

A woman with her hair in a bun, wearing a pink dress, is sitting in a window frame. She is seen from behind, looking out into a dark space. Her right hand is resting on her left shoulder. The window frame is made of dark wood, and the shutters are a faded green. Blurred green leaves are visible in the foreground and background.

TAJEMNICE ZAMKU

LUCINDA RILEY

O książce

Jeśli odważysz się sięgnąć w przeszłość, możesz odnaleźć klucz do przyszłości...

Dzisiaj...

Emilie zawsze starała się żyć zupełnie inaczej niż jej arystokratyczni przodkowie. Marzyła, by zostać weterynarzem. W zupełności wystarczało jej paryskie mieszkanie, skromne życie i praca. Aż do śmierci matki, kiedy to stała się jedyną spadkobierczynią zamku na południu Francji. Wspomnienie czasów dzieciństwa, kiedy świat zaczynał się i kończył w starej bibliotece pełnej regałów z książkami, oraz czytającego z nią ojca powstrzymują Emilie przed sprzedażą nieruchomości. Przeglądając stare wolumeny, Emilie natrafiła na wypełniony wierszami notatnik i znajduje nić łączącą ją z przeszłością oraz ślad tajemniczej i pięknej Sophie, której tragiczna historia na zawsze zmieniła losy rodziny Emilie.

...i wczoraj

Rok 1943. Młoda agentka brytyjskiego wywiadu, Constance, po przyjeździe do Francji natychmiast zostaje odcięta od łączników. Przypadkowo trafia do domu francuskich arystokratów, który okazuje się siedliskiem kłamstw i tajemnic. Musi zmierzyć się z intrygami i niebezpieczeństwami oraz stanąć przed wyborami, których konsekwencje wyznaczą losy przyszłych pokoleń...

LUCINDA RILEY

TAJEMNICE
ZAMKU

Z angielskiego przełożyła
ANNA ESDEN-TEMPSKA



Wydanie elektroniczne

Tej autorki

DOM ORCHIDEI
DZIEWCZYNA NA KLIFIE
TAJEMNICE ZAMKU

www.lucindariley.com

Tytuł oryginału:
THE LIGHT BEHIND THE WINDOW

Copyright © Lucinda Riley 2012
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2015

Redakcja: Beata Kaczmarczyk

Zdjęcie na okładce: © Iness Rychlik/Trevillion Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-285-7

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz

przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em](#)

Spis treści

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

[Bibliografia](#)

Dla Olivii

*Jesteś, kim jesteś z przypadku urodzenia,
a ja sam doszedłem do tego, kim jestem.*

Ludwig van Beethoven

Światło za oknem

*Nieprzenikniona noc;
Ciemności to świat, jaki znam.
Ciężki los;
ni śladu promieni za oknem.*

*Już lepiej;
Dłoń wyciągnięta wśród mroku.
Dotyka lekko;
I ciepło wypełnia pokój.*

*Godziny brzasku;
Cienie falują, czuję, jak drżysz.
Tajemna tęsknota;
Serce mięknie, zaczyna znów bić.*

*Bo światło zwycięża;
Choć znałam tylko ciemności
I płonie jasno;
Jak płomień mojej miłości.*

Sophia de la Martinières
lipiec 1943 roku

Gassin, południe Francji, wiosna 1998 roku

Emilie poczuła, jak uścisk palców na jej dłoni się rozluźnia. Spojrzała w dół, na matkę. Miała wrażenie, że wraz z duszą opuszczającą ciało Valérie znika też ból, który zniekształcał jej rysy. Emilie mogła znów dostrzec w tej wymizerowanej twarzy niezwykłą urodę, z jakiej niegdyś słynęła matka.

– Opuściła nas – wyszeptał zupełnie niepotrzebnie Phillipe, lekarz.

– Tak.

Usłyszała, że stojący za nią doktor odmawia cicho modlitwę, ale nie przyszło jej do głowy, by się przyłączyć. Patrzyła ze zdumieniem, jak zahipnotyzowana, na powoli siniejące ciało, jedyną pozostałość z istnienia, które dominowało nad jej życiem przez trzydzieści lat. Miała chęć potrząsnąć matką i obudzić ją, bo – biorąc pod uwagę temperament Valérie de la Martinières – trudno było uwierzyć w to przejście z życia do śmierci.

Nie była pewna, co powinna czuć. Choć w ostatnich tygodniach przerabiała ten moment w myślach wielokrotnie. Odwróciła wzrok od twarzy zmarłej i spojrzała w otwarte okno, na strzępiaste obłoki zawieszzone niczym piankowe bezy na błękitnie nieba. Z oddali dobiegał głos skowronka zwiastującego nadejście wiosny.

Powoli wstała, rozprostowując nogi zeszytywniałe od wielu godzin nocnego czuwania, i podeszła do okna. Widok wczesnego poranka nie miał w sobie nic, co zapowiadałoby ciężar nadchodzących godzin. Natura malowała pełen świeżości obraz, delikatnie rozświetlając nowy dzień prowansalską paletą barw umbry, zieleni i lazuru. Emilie patrzyła na taras, ogród i falujące wzgórza otaczających dom winnic, które zdawały się ciągnąć bez końca, jak okiem sięgnąć. Ten cudowny widok nie zmienił się od wieków. Zamek de la Martinièresów był jej schronieniem w dzieciństwie, miejscem, gdzie czuła się bezpiecznie. Tutejszy spokój zapisał się trwale w każdym zakamarku jej umysłu.

A teraz ten dom należał do niej – choć Emilie nie wiedziała, czy po ekscesach finansowych matki znajdą się jeszcze jakieś środki, by go utrzymać.

– *Mademoiselle* Emilie, zostawię panią samą, by mogła się pani pożegnać – odezwał się doktor, przerywając jej rozmyślenia. – Pójdę na dół wypełnić konieczne dokumenty. Tak mi przykro – dodał, skłaniając się lekko, i wyszedł z pokoju.

Czy mnie jest przykro...?

To pytanie mimowolnie przemknęło przez myśl Emilie. Wróciła na fotel i znów usiadła, starając się wyjaśnić sobie wiele wątpliwości, jakie obudziła w niej śmierć matki. Chciała podsumować sprzeczne emocje, określić, co ostatecznie czuje. To było, rzecz jasna, niemożliwe. Jej stosunek do kobiety, która leżała teraz żałośnie nieruchoma – kompletnie niegroźna, choć niegdyś tak bardzo komplikowała jej życie – już na zawsze miał pozostać boleśnie niejednoznaczny.

Valérie dała swojej córce życie, karmiła ją, ubierała, zapewniła jej dostatek i dach nad głową. Nigdy nie biła jej ani nie maltretowała.

Tyle że po prostu nie zwracała na nią uwagi.

Valérie była – Emilie szukała odpowiedniego słowa – niezainteresowana. Przez co ona, jej córka, stała się niewidzialna.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni matki.

– Nie dostrzegałaś mnie, *maman*... nie dostrzegałaś...

Emilie z przykrością zdawała sobie sprawę, że jej narodziny były wynikiem niechętnego poddania się wymogom, by zapewnić linii de la Martinièresów potomka. Spełnieniem obowiązku, niemającym nic wspólnego z marzeniem o macierzyństwie. A kiedy okazało się, że to raczej „potomkini”, a nie oczekiwany dziedzic, zainteresowanie Valérie jeszcze bardziej osłabło. Na ponowną ciążę było za późno – Emilie przyszła na świat w ostatnim okresie płodności matki, kiedy ta miała czterdzieści trzy lata – Valérie wróciła więc do swojego trybu życia, jako jedna z najbardziej uroczych, gościnnych i pięknych właścicielek salonów w Paryżu. Narodziny Emilie i wynikająca z tego jej późniejsza obecność miały dla matki takie samo znaczenie jak wzięcie sobie kolejnego chihuahua do trójki już posiadanych piesków. Podobnie jak one Emilie była wyprowadzana ze swojego pokoju i rozpieszczana na oczach gości, kiedy mamie to pasowało. Psy przynajmniej miały na pociechę siebie nawzajem, myślała Emilie, a jej większość dzieciństwa upływała w samotności.

Nieszczerólnie pomagało też to, że odziedziczyła urodę raczej de la Martinièresów niż płowowłosych słowiańskich przodków matki o delikatnych drobnych rysach. Była dzieckiem krępej budowy, o oliwkowej cerze i gęstych

czarnych włosach, ścinanych co sześć tygodni na pazia. Z grubą grzywką nad ciemnymi brwiami – genetycznym prezentem od ojca, Édouarda.

– Patrząc na ciebie i czasem aż trudno mi uwierzyć, że to ja cię urodziłam! – powiedziała matka podczas jednej z rzadkich wizyt w pokoju dzieciennym, kiedy zajrzała tam przed wyjściem do opery. – Ale przynajmniej masz moje oczy.

Emilie żałowała czasami, że nie może sobie wyrwać tych gałek o ciemnoniebieskich tęczęwkach i zastąpić ich pięknymi piwnymi oczami taty. Sądziła, że te, którymi obdarzyła ją natura, nie pasują do jej twarzy, a poza tym zawsze gdy patrzyła w lustro, widziała matkę.

Emilie zdawało się, że pozbawiona jest zupełnie talentów, które mogłaby docenić matka. Kiedy jako trzylatkę zaprowadzono ją na lekcje baletu, przekonała się, że jej ciało nie jest zdolne przyjmować wymaganych póz. Inne dziewczynki śmigały po sali jak motyle, a ona miała problemy, by poruszać się z wdziękiem. Małe, szerokie stópki lubiły stać twardo na ziemi i każda próba oderwania ich od niej kończyła się porażką. Lekcje pianina przyniosły podobną klęskę, a jeśli chodzi o śpiew, to Emilie najwyraźniej słoń na ucho nadepnął.

Ciało Emilie nie umiało się też dostosować do noszenia kobiecych kreacji, do czego zmuszała ją matka, gdy urządzała swoje słynne przyjęcia w pełnym róż ogrodzie na tyłach paryskiego domu. Chowając się gdzieś w kącie, Emilie patrzyła z podziwem na elegancką, uroczą, piękną kobietę krążącą z gracją wśród gości. Podczas licznych spotkań towarzyskich w paryskim domu i zamku w Gassin Emilie czuła się niezręcznie, nie potrafiła wykrztusić słowa. Na domiar złego nie odziedziczyła po matce łatwości nawiązywania kontaktów.

A jednak dla kogoś, kto patrzyłby z zewnątrz, miała wszystko. Bajeczne dzieciństwo – mieszkała w pięknym domu w Paryżu, pochodziła z arystokratycznego francuskiego rodu o wielowiekowych tradycjach i majątku, który przetrwał zawieruchy wojenne. O takim losie wiele innych młodych Francuzek mogło sobie co najwyżej pomarzyć.

Ale przynajmniej miała ukochanego tatę. Choć nie poświęcał jej więcej czasu niż *maman* – zaabsorbowany swoją stale rosnącą kolekcją unikatowych książek, które gromadził w zamku – to kiedy już Emilie udało się zwrócić na siebie jego uwagę, okazywał jej miłość i serce, czego tak bardzo pragnęła.

Tata miał sześćdziesiąt lat, kiedy się urodziła, a umarł, gdy skończyła czternaście. Niewiele czasu spędzili razem, lecz Emilie zdawała sobie sprawę, że przejęła dużo jego cech. Édouard był milczący i refleksyjny, wolał swoje książki

i ciszę w zamku od stałego przepływu znajomych, których spraszala mama. Emilie często zastanawiała się, jak dwoje tak biegunowo różnych ludzi mogło się w sobie zakochać. A jednak Édouard zdawał się autentycznie wielbić swoją młodą żonę, nie narzekał na jej rozrzutność, choć sam żył skromniej, i był dumny z jej urody i popularności wśród śmietanki towarzyskiej Paryża.

Często, kiedy kończyło się lato i nadchodził czas powrotu Valérie z Emilie nad Sekwanę, córka błagała ojca, żeby pozwolił jej zostać.

– *Papa*, tak bardzo lubię mieszkać z tobą na wsi. W miasteczku jest szkoła... Mogłabym do niej chodzić i opiekować się tobą, bo przecież musisz czuć się tu, w zamku, bardzo samotny.

Édouard gładził ją czule po policzku, kręcił jednak głową.

– Nie, malutka. Kocham cię, ale musisz wracać do Paryża, bo tylko tam nauczysz się być prawdziwą damą, jak mama.

– Tato, ale ja nie chcę wracać z mamą. Chcę zostać tutaj, z tobą...

A potem, kiedy miała trzynaście lat... Emilie zamruwała, by powstrzymać napływające do oczu łzy. Wciąż nie była w stanie spokojnie myśleć o tym, jak brak uwagi ze strony matki doprowadził do zaniedbania, którego konsekwencje będą ciążyły na całym jej życiu.

– Jak mogłaś nie zorientować się albo nie przejmować tym, co się ze mną dzieje? Mamo! Przecież byłam twoją córką!

Jedna z powiek Valérie lekko drgnęła. Emilie aż podskoczyła, przerażona, że matka jednak żyje i usłyszała wypowiedziane właśnie słowa. Nauczona, jak sprawdzać symptomy, położyła palce na nadgarstku matki, próbując wyczuć puls, lecz na próżno. To, co się przed chwilą stało, było ostatnią oznaką życia, kiedy mięśnie zmarłej ostatecznie się rozluźniły.

– *Maman*, postaram się ci wybaczyć. Zrozumieć. Ale w tej chwili nie wiem, czy jestem zadowolona, czy smutna, że umarłaś.

Emilie poczuła, że zaczyna mieć problemy z nabraniem tchu, tak jakby zadziałał jakiś mechanizm obronny, by oszczędzić jej bólu wypowiedzianego na głos dalszych słów. Mimo to mówiła dalej.

– Tak bardzo cię kochałam, tak bardzo chciałam cię zadowolić, zaskarbić sobie twoją miłość i uwagę... zasłużyć na miano twojej córki. Mój Boże! Robiłam wszystko!

Zacisnęła dłonie w pięści.

– Byłaś moją matką!

Zszokowana własnym krzykiem odbijającym się echem po wielkiej sypialni umilkła. Popatrzyła na herb de la Martinièresów, namalowany dwieście pięćdziesiąt lat temu na zwieńczeniu łoża. Wypłowieła dziś dwa walczące dziki, obowiązkowa lilia, a niżej ledwie czytelne motto: „Zwycięstwo jest wszystkim”.

Nagle dostała dreszczy, choć w pokoju było ciepło. W zamku panowała głucha cisza. Dom niegdyś pełen życia sprawiał teraz wrażenie pustej łupiny, mieszczącej w sobie jedynie przeszłość. Emilie spojrzała na mały palec prawej dłoni, gdzie nosiła sygnet z miniaturą herbu. Była ostatnią z rodu Martinièresów.

Nagle poczuła na swoich barkach ciężar wielowiekowej historii przodków. Jakie to smutne, że wielki szlachetny ród skurczył się do jednej niezamężnej i bezdzietnej trzydziestoletniej kobiety. Rodzina przetrwała setki lat dziejowej zawieruchy, ale w ostatnim okresie, po pierwszej i drugiej wojnie światowej, pozostał tylko jej ojciec.

Przynajmniej nie będzie żadnej typowej szarpaniny o spadek. Zgodnie z anachronicznym prawem napoleońskim bracia i siostry dziedziczą majątek rodziców w równych częściach. Wiele rodzin znalazło się u progu bankructwa, kiedy któreś z dzieci nie zgadzało się na sprzedaż majątku. Smutne, że w tym przypadku dziedziczenie w linii prostej ograniczało się do niej jednej.

Emilie westchnęła. Może będzie musiała podjąć decyzję o sprzedaży, ale pomyśli o tym później. Teraz czas na pożegnanie.

– Spoczywaj w pokoju, *maman*.

Złożyła lekki pocałunek na siniejącym czole i przeżegnała się. Podniosła się ciężko z fotela, po czym wyszła z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Dwa tygodnie później

Emilie wzięła kawę z mlekiem, croissanta i wyszła kuchennymi drzwiami na porośnięte lawendą podwórko za domem. To miejsce było najlepsze, gdy się chciało złapać nieco porannego słońca. Piękny wiosenny dzień wydawał się dość ciepły, by siedzieć na zewnątrz w bawełnianej koszulce.

W dniu pogrzebu matki w Paryżu, czterdzieści osiem godzin wcześniej, deszcz padał nieustannie przez cały czas pochówku. Później, podczas stypy – urządzonej w Ritzu zgodnie z życzeniem matki – Emilie przyjęła kondolencje od paryskiej socjety. Kobiety, przeważnie w podobnym wieku jak jej matka, były ubrane na czarno. Emilie przypominało to zlot podstarzałych wron. Skrywając przeredzone włosy pod niemodnymi kapeluszami o przeróżnych fasonach, krążyły po sali, sącząc szampana. Ich sylwetki zrujnował wiek, a makijaż sprawiał wrażenie maski nałożonej na obwisłą skórę.

W swoich najlepszych latach były uznawane za najpiękniejsze i najbardziej wpływowe w Paryżu. Jednak czas biegł naprzód nieubłaganie i teraz ich miejsce zajęły zastępy młodszych przedsiębiorczych pań. Każda z tych kobiet czeka na śmierć, pomyślała Emilie ze ściśniętym sercem, kiedy wyszła z Ritzu i rozglądała się za taksówką, żeby wrócić do swojego mieszkania. Ze smutku wypila dużo więcej wina niż zwykle i następnego ranka obudziła się z kacem.

Ale przynajmniej najgorsze już za nią, pocieszała się teraz, popijając kawę. Przez ostatnie dwa tygodnie nie było wiele czasu, żeby się skupić na czymkolwiek poza załatwianiem formalności pogrzebowych. Emilie wiedziała, że jest winna matce przynajmniej takie pożegnanie, jakie perfekcyjnie zorganizowałyby sama Valérie. Wahała się bez końca, czy lepiej zamówić do kawy babeczki, czy ptifurki, i czy kremowe pękate róże, które tak bardzo lubiła matka, prezentują się dość majestatycznie jako dekoracja stołu. Tego typu dylematy Valérie rozwiązywała co tydzień i Emilie, chcąc nie chcąc, musiała jeszcze raz przyznać, że radziła sobie z tym z podziwu godną łatwością.

A teraz – Emilie uniosła twarz ku słońcu i poddała się jego kojącemu ciepłu – czas pomyśleć o przyszłości.

Gerard Flavier, notariusz rodziny, odpowiedzialny za kwestie prawne dotyczące nieruchomości de la Martinièresów, był już w drodze z Paryża, aby spotkać się z nią w zamku. Dopóki nie wyjaśni jej sytuacji finansowej posiadłości, snucie jakichkolwiek planów nie ma większego sensu. Emilie wzięła miesięczny urlop w pracy, by uporać się z tym, co – jak wiedziała – będzie złożonym i czasochłonnym procesem. Żałowała, że nie ma rodzeństwa, które dzieliłoby z nią ten ciężar. Sprawy prawne i finansowe nigdy nie były jej mocną stroną. Przerazała ją skala odpowiedzialności, jaka spoczęła na jej barkach.

Poczuła miękkie futerko przy swojej gołej kostce, spojrzała w dół i zobaczyła Frou-Frou, ostatnią z suczek chihuahua matki, popatrującą na nią żałośnie. Podniosła starą psinę i posadziła sobie na kolanie, gładząc jej uszy.

– Wygląda na to, że zostałyśmy same, tylko ty i ja, Frou – wyszeptwała. – Będziemy opiekować się sobą nawzajem, dobrze?

Na widok poważnego wyrazu w pół ślepych oczu Frou-Frou Emilie się uśmiechnęła. Nie miała pojęcia, jak zajmie się psem w przyszłości. Choć marzyła, że kiedyś otoczy się zwierzakami, małe mieszkanie w dzielnicy Marais i długie godziny pracy nie sprzyjały przygarnięciu psa, który dotąd miał luksusowe warunki pod względem emocjonalnym i materialnym.

A jednak zajmowanie się zwierzętami było codziennym zadaniem Emilie. Z poświęceniem leczyła swoich bezbronnych pacjentów, którzy nie umieli powiedzieć jej, jak się czują ani gdzie boli.

– To smutne, że moja córka najwyraźniej woli towarzystwo zwierząt niż ludzi...

Te słowa dobrze podsumowują stosunek Valérie do życia, jakie wybrała Emilie. Kiedy pierwszy raz córka oznajmiła, że idzie na studia i robi dyplom z weterynarii, Valérie wydeła usta z niesmakiem.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz spędzić życie na rozcinaniu brzuchów zwierzaków i zagłądaniu w ich wnętrza.

– Mamo, to tylko się z tym łączy, ale nie dlatego wybieram tę specjalność. Kocham zwierzęta, pragnę im pomagać – odparowała na swoją obronę.

– Jeśli już koniecznie chcesz pracować, czemu nie pomyślisz o modzie? Mam przyjaciółkę dziennikarkę w „Marie Claire”. Na pewno znalazłaby ci jakieś miłe zajęcie. Oczywiście, kiedy wyjdiesz za mąż, zrezygnujesz z etatu. Zostaniesz żoną i to będzie twoje życie.

Choć Emilie nie miała pretensji do matki o to, że dla niej czasu się nie zmieniły, marzyło jej się, żeby bywała dumna z jej osiągnięć. Ukończyła studia jako najlepsza na roku i natychmiast przyjęto ją na staż w znanej paryskiej klinice.

– Może *maman* miała rację, Frou – powiedziała z westchnieniem. – Może wolę zwierzęta od ludzi.

Usłyszała chrzęst żwiru pod kołami, postawiła Frou-Frou na ziemi i poszła na front domu powitać Gerarda.

– Jak się masz, Emilie?

Gerard ucałował ją w oba policzki.

– Dobrze, dziękuję – odparła. – Jak podróż?

– Przyleciałem do Nicei, a tam wynająłem samochód, żeby się tu dostać – wyjaśnił Gerard, kiedy weszli do domu i zatrzymali się w ogromnym holu. Okiennice były zamknięte, wewnątrz tonęło w mroku. – Z przyjemnością uciekłem z Paryża, żeby odwiedzić jedno z moich ulubionych miejsc we Francji. Wiosna w Var jest zawsze taka piękna.

– Też myślałam, że lepiej, żebyśmy spotkali się tu, w zamku – przyznała Emilie. – Dokumenty moich rodziców są w biurku w bibliotece. Pewnie będziesz musiał do nich zajrzeć.

– Tak.

Gerard ruszył po posadzce wyłożonej sfatygowanymi marmurowymi płytami i przyjrzał się plamie wilgoci na suficie.

– Zamek wymaga renowacji, prawda? – Westchnął. – Starzeje się, jak my wszyscy.

– Przejdziemy do kuchni? – zaproponowała Emilie. – Zaparzyłam kawę.

– Dokładnie tego mi trzeba – rzekł z uśmiechem i poszedł za nią korytarzem prowadzącym na tyły domu.

– Siadaj, proszę – powiedziała Emilie, kiedy już znaleźli się w kuchni, wskazując krzesło przy długim dębowym stole i podchodząc do kuchenki, by zagotować trochę wody.

– Luksusów to tu nie ma. – Gerard rozejrzał się po nielicznych sprzętach z gospodarczego wyposażenia domu.

– Rzeczywiście – potwierdziła Emilie. – Ale w końcu kuchnia używana była jedynie przez służbę, która szykowała jedzenie dla naszej rodziny i gości. Wątpię, czy moja matka kiedykolwiek włożyła ręce do zlewu.

– Kto opiekuje się teraz zamkiem? – zapytał Gerard.

– Margaux Duvall, gospodyni, która pracuje tu od piętnastu lat. Przychodzi z miasteczka każdego popołudnia. *Maman* zwolniła resztę służby, gdy umarł ojciec, i nie przyjeżdżała już do Var co lato. Sądzę, że wolała spędzać wakacje na wynajmowanym przez siebie jachcie.

– Twoja matka zdecydowanie lubiła wydawać pieniądze – powiedział Gerard, kiedy Emilie stawiała przed nim filiżankę kawy. – Na to, na czym jej zależało – dodał.

– Czyli nie na ten dom – wpadła mu w słowo, nie owijając w bawełnę.

– Rzeczywiście – zgodził się Gerard. – Z tego, co się zorientowałem, chyba wolała dom mody Chanel.

– *Maman* uwielbiała *haute couture*, wiem. – Emilie usiadła naprzeciw niego ze swoją kawą. – Nawet w zeszłym roku, kiedy tak źle się już czuła, nie opuściła ani jednego pokazu mody.

– Valérie naprawdę była wyjątkowa. Wszyscy ją znali. Jej odejściu poświęcono wiele szpał w naszych gazetach – powiedział. – Nic dziwnego jednak. De la Martinièresowie to jeden z najbardziej szacownych rodów Francji.

– Tak. – Emilie uśmiechnęła się blado. – Też widziałam gazety. Pisano, że odziedziczyć fortunę.

– To prawda, że twoja rodzina była niegdyś bajecznie bogata. Niestety, Emilie, czasy się zmieniły. Sława rodu trwa, ale majątek się rozplynął.

– Tak właśnie myślałam.

Emilie wcale nie była zaskoczona rewelacjami prawnika.

– Pewnie zdawałaś sobie sprawę, że z twojego papy żaden biznesmen – ciągnął Gerard. – Był intelektualistą, naukowcem, który nie interesował się zbytnio pieniędzmi. Choć często rozmawiałem z nim o inwestowaniu, starałem się przekonać, żeby pomyślał o przyszłości, puszczał moje słowa mimo uszu. Dwadzieścia lat temu nie miało to wielkiego znaczenia. Pieniądzy było aż nadto. Ale ten brak uwagi ze strony ojca i zamiłowanie do wystawnego życia matki spowodowały, że z majątku pozostało niewiele.

Gerard westchnął.

– Przykro mi, że jestem posłańcem złej nowiny.

– Spodziewałam się tego i nie ma to dla mnie większego znaczenia – zapewniła Emilie. – Chcę tylko załatwić, co trzeba, i wrócić do swojej pracy w Paryżu.

– Obawiam się, że sytuacja nie jest tak prosta. Jak mówiłem na wstępie, nie miałem jeszcze czasu zapoznać się z wszystkim szczegółowo, ale mogę ci

powiedzieć, że posiadłość jest zadłużona. Wierzycieli jest wielu. I trzeba ich spłacić jak najprędzej – wyjaśnił. – Twoja matka zdołała pożyczyć ponad dwadzieścia milionów franków pod zastaw paryskiego domu. Miała też wiele innych długów, które należy uregulować.

– Dwadzieścia milionów franków? – Emilie spojrzała na niego przerażona. – Jak to się mogło stać?

– Bardzo łatwo. Kiedy fundusze topniały, Valérie nie ograniczyła wydatków. Żyła ponad stan od wielu, wielu lat. Tylko proszę, Emilie, nie panikuj – dodał na widok wyrazu jej oczu. – Te długi łatwo da się spłacić, nie tylko dzięki sprzedaży samego domu w Paryżu, co powinno dać około siedemdziesięciu milionów franków, ale i rzeczy twojej matki. Jak na przykład fantastyczna biżuteria, którą trzymała w skrytce bankowej, czy wiele obrazów i cennych dzieł sztuki w domu. Bieda ci nie grozi, w żadnym wypadku, możesz mi wierzyć. Tyle że trzeba podjąć szybkie działania, by zapobiec pogorszeniu sytuacji. I należy zdecydować, co dalej.

– No, tak – powiedziała wolno Emilie. – Wybacz, Gerardzie. Jestem podobna do ojca. Niespecjalnie interesuję się zarządzaniem finansami. Nie mam w tym doświadczenia.

– Rozumiem to doskonale. Rodzice zostawili cię z ciężkim zadaniem, które spoczywa jedynie na twoich barkach. Chociaż – Gerard uniósł nieco brwi – zdumiewające, jak wielu krewnych nagle zyskałaś.

– Co masz na myśli?

– O, nie przejmuj się, w takich sytuacjach zwykle zlatują się sępy. Dostałem ponad dwadzieścia listów od ludzi, którzy twierdzą, że są w jakiś sposób powiązani z de la Martinièresami. Czworo utrzymuje, że są twoim przyrodnim rodzeństwem, podobno twój ojciec spółdził ich poza związkiem małżeńskim, jest też dwoje kuzynów i wuj. A kobieta, która pracowała w waszym paryskim domu w latach sześćdziesiątych, przysięga, że matka obiecała jej po swojej śmierci Picassa.

Gerard uśmiechnął się.

– Zwyczajne sprawy, ale, niestety, wszystkie takie żądania, zgodnie z francuskim prawem, muszą zostać wzięte pod uwagę.

– Nie sądzisz chyba, że są uzasadnione? – Emilie zrobiła wielkie oczy.

– Ależ nie, oczywiście, że nie. I na pocieszenie dodam, że takie rzeczy towarzyszyły sprawom wszystkich znanych zmarłych, z jakimi miałem do czynienia. – Wzruszył ramionami. – Zostaw to mnie i nie przejmuj się. Wolałbym,

żebyś skoncentrowała się na tym, co chcesz zrobić z zamkiem. Jak mówiłem, długi twojej matki mogą zostać łatwo spłacone po sprzedaży paryskiego domu i tego, co się w nim znajduje. Nadal jednak pozostaje sprawa tej pięknej posiadłości, która, z tego co widzę, jest w złym stanie i wymaga remontu. Cokolwiek postanowisz, nadal będziesz bogata, ale czy chcesz sprzedać zamek, czy nie?

Emilie zapatrzyła się w dal i westchnęła.

– Szczerze mówiąc, Gerardzie, żałuję, że muszę podejmować tę decyzję. Wolałabym, żeby zrobił to za mnie ktoś inny. A co z tutejszą winnicą? Czy przynosi jakieś zyski? – spytała.

– To kolejna rzecz, którą muszę dla ciebie sprawdzić – odparł notariusz. – Jeśli postanowisz sprzedać zamek, może być kłopot z winnicą.

– Sprzedać zamek... – powtórzyła jego słowa. Wypowiedzenie ich na głos uświadomiło jej jeszcze mocniej ogrom odpowiedzialności, jaka na niej spoczywa. – Ten dom był w naszej rodzinie dwieście pięćdziesiąt lat. A teraz ja mam podjąć decyzję. Prawda jest taka – westchnęła – że nie mam pojęcia, co powinnam zrobić.

– Doskonale cię rozumiem. Jak mówiłem, to trudne, że zostałam z tym sama. – Gerard pokiwał głową ze współczuciem. – Cóż mogę powiedzieć? Nie zawsze mamy wybór co do sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Postaram się pomóc ci, na ile tylko potrafię, Emilie, wiem, że tego oczekiwałyby po mnie twój ojciec. Teraz, jeśli pozwolisz, pójdę się odświeżyć, a potem może przejdziemy się do winnicy i porozmawiamy na miejscu z zarządcą?

– Dobrze – odparła Emilie. – Otworzyłam okiennice w sypialni po lewej stronie głównych schodów. Stamtąd jest jeden z najpiękniejszych widoków w domu. Chcesz, żebym cię zaprowadziła?

– Nie, dziękuję. Jak wiesz, zatrzymywałem się tutaj już wiele razy. Na pewno trafię.

Gerard wstał, skłonił się lekko i wyszedł z kuchni, by wejść na piętro do przeznaczonego dla niego pokoju. Zatrzymał się w połowie schodów i zapatrzył w pokryty kurzem, spłowiały portret przodka de la Martinièresów. Tyle wielkich francuskich rodów i historii z nimi związanych odchodziło w przeszłość, pozostawiając po sobie ledwie widoczny ślad na piasku. Zastanawiał się, jak by się czuł wielmożny Giles de la Martinières z portretu – wojskowy, arystokrata i, jak mówiono, kochanek Marii Antoniny – gdyby wiedział, że przyszłość jego rodu

spoczywa na wątlých barkach jednej młodej kobiety. A w dodatku takiej, która zawsze wydawała się Gerardowi dziwna.

Podczas wielu swoich wizyt u de la Martinièresów obserwował dziewczynkę, której rezerwa nie pozwalała odpowiadać na serdeczności z jego strony czy też ze strony innych osób. To dziecko wydawało się strasznie wycofane, zamyślane, niemal nieuprzejme w swoim ignorowaniu przyjacielskich gestów. Jako notariusz Gerard uważał, że jego praca obejmuje nie tylko techniczny proces podliczania liczb, lecz także zdolność odczytywania emocji klientów.

Emilie de la Martinières to była kompletna niewiadoma.

Przyglądał się jej podczas pogrzebu matki. Twarz młodej kobiety nie zdradzała żadnych uczuć. Trzeba przyznać, że jako dorosła stała się o wiele bardziej atrakcyjna, niż była jako dziecko. Jednak nawet teraz, na dole, choć straciła drugie z rodziców i musiała wziąć na siebie odpowiedzialność dramatycznych decyzji, nie wydała się Gerardowi bezbronną, budzącą instynkty opiekuńcze istotą. Życie, jakie prowadziła w Paryżu, było tak różne od tego, jakie wiedli jej przodkowie, jak tylko można to sobie wyobrazić. Nie robiła nic specjalnego. A przecież wszystko, co dotyczyło jej rodziców i historii rodziny, było nadzwyczajne.

Gerard ruszył dalej zirytowany, że nie potrafi odczytać reakcji Emilie. Czegoś tu brakowało... Nie potrafił rozszyfrować jej tajemnicy. I nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać.

...

Kiedy Emilie wstała i wstawiła filiżanki do zlewu, drzwi kuchni się otworzyły i weszła Margaux, gospodyni. Rozpromieniła się na widok Emilie.

– *Mademoiselle* Emilie! – Margaux rzuciła się ją uściskać. – Nie wiedziałam, że się tu panienska wybiera! Trzeba było uprzedzić. Wszystko bym przygotowała.

– Przyjechałam z Paryża późno wieczorem – tłumaczyła się Emilie. – Miło cię widzieć, Margaux.

Kobieta odsunęła się i popatrzyła ze współczuciem na Emilie.

– Jak się panienska czuje?

– Jakoś... daję radę – odparła szczerze Emilie. Na widok gospodyni, która zajmowała się nią, kiedy była dziewczynką i spędzała w zamku lato, ścisnęło ją w gardle.

– Taka panienska chuda. Czy panienska w ogóle coś je? – Margaux taksowała ją uważnym spojrzeniem.

– Pewnie, że jem, Margaux! Poza tym nie ma obawy, nigdy nie będę jak trzcinka. – Emilie uśmiechnęła się blado, przeciągając dłońmi po swojej sylwetce.

– Ma panienska śliczną figurę, niech panienska poczeka, aż będzie taka jak ja! – Margaux zachichotała cicho, mając na myśli, że ona to dopiero jest pulchna.

Emilie popatrzyła na bładniebieskie oczy i poprzątkane teraz siwizną blond włosy. Pamiętała Margaux sprzed piętnastu lat jako piękną kobietę i zrobiło się jej jeszcze smutniej, że bezlitosny czas nie oszczędza na swojej drodze niczego.

Drzwi kuchni znów stanęły otworem. Pojawił się w nich chłopiec. Szczupły, o wielkich niebieskich oczach swojej matki, które dominowały w jego drobnej twarzy. Spojrzał zaskoczony na Emilie, a potem nerwowo zwrócił się do Margaux:

– *Maman*? Może przeszkadzam?

– Czy nie ma panienska nic przeciw temu, żebym zabierała ze sobą Antona, kiedy przychodzę do pracy w zamku? Ma przerwę wielkanocną w szkole, a nie lubię zostawiać go samego w domu. Zwykle siedzi sobie cicho z książką.

– Ależ proszę bardzo, to żaden problem – odparła Emilie i uśmiechnęła się do chłopca, by poczuł się pewniej. Przed ośmioma laty Margaux straciła męża w wypadku samochodowym. Od tej pory sama dzielnie wychowywała syna. – Chyba jest tu dość miejsca dla nas wszystkich, nie sądzisz?

– To prawda, *mademoiselle* Emilie. Dziękuję – powiedział z ulgą chłopiec, podchodząc do matki.

– Gerard Flavier, nasz notariusz, jest na gorze. Zostanie na noc, Margaux – dodała Emilie. – Idziemy do winnicy zobaczyć się z Jeanem i Jacques'em.

– To przygotuję sypialnię, kiedy wyjdziecie. Czy ugotować coś na kolację?

– Nie, dziękuję, pojedziemy potem zjeść coś do miasteczka – odparła Emilie.

– Przysłali jakieś rachunki. Mam je paniencie przekazać? – spytała wyraźnie zakłopotana Margaux.

– Oczywiście. – Emilie westchnęła. – Kto inny miałby je teraz płacić?

– No tak. Przykro mi, *mademoiselle*. Musi być paniencie ciężko samej. Dobrze wiem, jak to jest – powiedziała ze współczuciem Margaux.

– Tak, dziękuję. Do zobaczenia, Margaux. – Emilie skinęła głową matce i synowi i wyszła z kuchni poszukać Gerarda.

Tego popołudnia wybrała się z nim do winnicy. To było niewielkie przedsiębiorstwo – dziesięć hektarów uprawy – produkujące dwanaście tysięcy butelek wina rocznie, różowego, czerwonego i białego, które sprzedawano głównie w lokalnych sklepach, restauracjach i hotelach.

W piwnicy było ciemno i chłodno, powietrze przesycił zapach fermentującego wina z ogromnych rosyjskich beczek dębowych stojących w rzędach pod ścianami.

Jean Benoit, zarządzający piwnicą, wstał zza biurka, kiedy weszli.

– *Mademoiselle* Emilie! Jak miło cię widzieć! – Jean ucałował ją serdecznie w oba policzki. – Tato, zobacz, kto przyszedł!

Jacques Benoit, zreumatyzmowany prawie dziewięćdziesięcioletni staruszek, nadal codziennie siadał przy stole w piwnicy, by pracownicy zawijać każdą butelkę w fioletową bibułkę. Teraz podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– *Mademoiselle* Emilie! Jak się masz?

– W porządku, dziękuję, Jacques. A ty?

– A, już nie dla mnie polowania na dziki, na które zasadzaliśmy się z twoim tatą na wzgórzach. – Zachichotał. – Ale nadal co świt stwierdzam, że jeszcze dycham, kiedy się budzę.

Emilie przyjemnie było, że starzy znajomi witają ją tak ciepło i serdecznie. Jej ojciec bardzo przyjaźnił się z Jacques'em, a Emilie często jeździła rowerem na plażę, niedaleko, do Gigaro, popływać z Jeanem. Była od niego o osiem lat młodsza, więc wydawał jej się bardzo dorosły. Wyobrażała sobie czasem, że to starszy brat. Jean zawsze był wobec niej bardzo opiekuńczy i miły. Wcześniej stracił matkę, Francescę. Jacques sam starał się wychować go jak najlepiej.

Zarówno ojciec, jak i syn, podobnie jak ich przodkowie przed nimi, dorastali w domu przy piwnicach. Teraz winnicą rządził Jean. Przejął obowiązki ojca, kiedy tylko ten upewnił się, że Jean poznał jego specjalne metody mieszania i fermentowania winogron, które dojrzewały na otaczających ich wzgórzach.

Emilie zdała sobie sprawę, że stojący za nią Gerard musi czuć się niezręcznie. Dała spokój wspomnieniom i przedstawiła go.

– Gerard Flavier, nasz rodzinny notariusz.

– Chyba spotkaliśmy się już, *monsieur*, wiele lat temu – powiedział Jacques, wyciągając do niego drżącą dłoń.

– Tak. A kiedy jestem w Paryżu, nadal mogę delektować się subtelnym smakiem wina, jakie tu pan wytwarza – rzucił Gerard z uśmiechem.

– Bardzo pan uprzejmy – powiedział Jacques – ale sądzę, że mój syn zdecydowanie przewyższa mnie artyzmem, jeśli chodzi o produkcję prowansalskiego *rosé*.

– Podejrzewam, panie Flavier, że przyszedł pan tu raczej sprawdzić sytuację finansową i wyniki naszej winnicy, a nie jakość naszego produktu? – Jean był wyraźnie zaniepokojony.

– Na pewno chciałbym zorientować się, na ile interes jest opłacalny. To potrzebne do moich analiz – potwierdził Gerard. – Obawiam się, że *mademoiselle* Emilie musi podjąć jakieś decyzje.

– No cóż – odezwała się Emilie – chyba teraz nic tu po mnie, przejdę się po winnicach.

Skinęła głową trzem mężczyznom i szybko wyszła.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, uświadomiła sobie, że jej sytuacja jest jeszcze bardziej kłopotliwa, niż wcześniej myślała. Decyzje, jakie musi podjąć, mogą zagrozić rodzinie Benoit utratą źródła utrzymania. Ich sposób życia nie zmieniał się od setek lat. Widziała, że Jean szczególnie się niepokoi, bo zdaje sobie sprawę z konsekwencji, w razie gdyby sprzedała zamek. Nowy właściciel może zatrudnić własnego zarządcę, a Jean i Jacques będą zmuszeni opuścić swój dom. Trudno jej było to sobie nawet wyobrazić, bo obaj mężczyźni zdawali się zrośnięci z glebą, na której teraz stała.

Słońce już pomału zniżało się na niebie, gdy Emilie szła po kamienistej ziemi pomiędzy rzędami delikatnych winorośli. W najbliższych tygodniach bujnie się rozrosną, by wydać pękate, słodkie owoce, które zostaną zebrane w końcu lata, żeby wyprodukować kolejny rocznik.

Odwróciła się, spojrzała na zamek, oddalony o trzysta metrów, i westchnęła ze smutkiem. Jego blade, porośnięte bluszczem mury, okiennice pomalowane na tradycyjny jasnoniebieski kolor i obramowanie z wysokich cyprysów rosnących po obu stronach rysowały się miękko w łagodnym świetle nadchodzącego zachodu. Zaprojektowana z prostotą, choć elegancko, by pasować do wiejskiego krajobrazu, budowla była idealnym odbiciem podupadłego, ale szlachetnego rodu, do którego należała.

I teraz poza nią i zamkiem nic z niego nie pozostało...

Emilie ogarnęła nagle czułość dla tego domu. On też został osierocony. I tak jak w jej przypadku ignorowano jego najbardziej podstawowe potrzeby, a mimo to

zachowywał z wdziękiem swoją godność – miała dziwne wrażenie, że są jak dwie bratnie dusze.

– Jak zdołam dać ci, czego potrzebujesz? – szepnęła do zamku. – Co ja z tobą pocznę? Mam życie gdzie indziej, ja...

Westchnęła i usłyszała, że ktoś ją woła.

Szedł do niej Gerard. Zatrzymał się tuż obok i powędrował spojrzeniem za jej wzrokiem, w kierunku zamku.

– Jest piękny, prawda? – powiedział.

– Tak. Ale nie mam pojęcia, co powinnam z nim zrobić.

– Wracajmy. Powiem ci, co o tym myślę – zaproponował. – Może to ci trochę rozjaśni w głowie, a może nie.

– Dziękuję.

...

Dwadzieścia minut później, kiedy słońce ostatecznie zniknęło za wzgórzem, na którym ulokowało się średniowieczne miasteczko Gassin, Emilie siedziała z Gerardem i słuchała, co ma jej do powiedzenia.

– Winnica daje mniej, niżby mogła. Zarówno pod względem produkcji, jak i zysku. Na rynkach światowych w ostatnich kilku latach nastąpił gwałtowny wzrost sprzedaży różowych win. Nie traktuje się już ich jak ubogich krewnych białych i czerwonych sióstr i braci. Jean spodziewa się dobrych zbiorów, jeśli tylko pogoda w najbliższych tygodniach dopisze. Problem w tym, Emilie – tłumaczył Gerard – że winnica była zawsze dla de la Martinièresów czymś w rodzaju hobby.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę – przyznała Emilie.

– Jean, który, nawiasem mówiąc, zrobił na mnie niezwykle pozytywne wrażenie, mówi, że od śmierci twojego ojca szesnaście lat temu w winnicę nic nie inwestowano. Oczywiście, została ona założona, by zapewnić domowe wino dla samego zamku. W czasach świetności, kiedy twoi przodkowie prowadzili tu życie towarzyskie w dawnym wielkim stylu, wypijali większość wina sami ze swoimi gośćmi. Teraz, rzecz jasna, wszystko jest inaczej, ale winnica nadal działa tak, jak sto lat temu.

Gerard popatrzył na Emilie, by odczytać jej reakcję, ale na próżno. Ciągnął więc:

– Winnicy potrzebny jest zastrzyk pieniędzy, by wydobyć jej potencjał. Jean mówi, na przykład, że jest dość ziemi, by podwoić zasięg uprawy. Niezbędne są też pewne nowoczesne urządzenia, aby iść z duchem czasu i osiągnąć, jak wierzy Jean, znaczne zyski. Pytanie – podsumował Gerard – czy chcesz zatrzymać posiadłość. Zamek wymaga renowacji, winnica unowocześnienia, a obu tym projektom musiałabyś poświęcić wiele czasu.

Emilie wsłuchiwała się w ciszę. Ani śladu wiatru. Kojąca atmosfera otuliła ją niczym szal. Po raz pierwszy od śmierci matki poczuła spokój. I właśnie dlatego nie miała ochoty podejmować decyzji.

– Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie do tej pory zrobiłeś, Gerardzie. Ale nie sądzę, bym mogła już teraz dać ci jakąś odpowiedź – powiedziała. – Gdybyś spytał dwa tygodnie temu, stwierdziłabym kategorycznie, że mam zamiar sprzedać. Ale teraz...

– Rozumiem. – Gerard skinął głową. – Nie mogę doradzać ci nic w sferze sentymentów, jedynie finansów. Może pocieszy cię wiadomość, że jeśli sprzedasz dom w Paryżu, jego zawartość i biżuterię matki, to moim zdaniem wystarczy ci nie tylko na odnowienie zamku, ale i na dostatnie życie. No i jest jeszcze tutejsza biblioteka – dodał. – Twój tata może nie wkładał energii w rozbudowę żadnego ze swoich domów, ale pozostawił po sobie dziedzictwo, które tu się mieści. Znacząco wzbogacił wspaniałą kolekcję rzadkich książek swojego ojca. Z jego katalogów wynika, że podwoił zbiory. Druki antykwaryczne to nie moja specjalność, domyślałem się jednak, że te woluminy są niezwykle cenne.

– Nigdy się ich nie pozbędę – odparła zdecydowanie Emilie, sama zaskoczona swoją stanowczością. – To było dzieło życia mojego ojca. Spędziłam z nim w tej bibliotece wiele godzin jako dziecko.

– Oczywiście, i nie masz potrzeby do niczego się zmuszać. Jeśli jednak nie zdecydujesz się zatrzymać zamku, będziesz musiała znaleźć sobie coś większego od twojego paryskiego mieszkanca, by pomieścić kolekcję. – Uśmiechnął się kwaśno. – Teraz muszę coś zjeść. Wybierzesz się ze mną do miasteczka na kolację? Wyjeżdżam jutro, wcześniej rano, a powinienem, jeśli pozwolisz, przejrzeć jeszcze zawartość biurka twojego taty, by zgromadzić wszystkie dokumenty dotyczące finansów.

– Naturalnie – zgodziła się Emilie.

– Najpierw muszę wykonać kilka telefonów – powiedział przeprasząco – ale będę gotów za pół godziny, spotkajmy się na dole.

Emilie patrzyła, jak Gerard wstaje od stołu i wchodzi do domu. Czula się niezręcznie w jego towarzystwie, choć znała go całe życie. Kiedy była dzieckiem, odnosiła się do niego jak do znajomego rodziców, a teraz, po śmierci obojga, musiała rozmawiać z nim bezpośrednio, co stanowiło dla niej nowość i krępowało ją.

Kiedy powędrowała do środka, uświadomiła sobie, że ma wrażenie, jakby Gerard traktował ją protekcyjnie, choć rozumiała, że on tylko stara się pomóc. Jednak chwilami w jego oczach widziała coś, co mogła odczytać jedynie jako urazę. Może Gerard sądzi – i kto by go za to winił – że nie jest na tyle utalentowana, by podołać obowiązkom, jakie spoczywają na ostatniej z wielkiego historycznego rodu de la Martinièresów. Emilie z przykrością zdawała sobie sprawę, że nie ma w niej nic ze świetności przodków. Urodziła się w niezwyklej rodzinie, a marzyła wyłącznie o jednym – żeby wydawać się zwyczajną.

Następnego dnia wczesnym rankiem Emilie usłyszała, jak samochód Gerarda odjeżdża spod zamku. Leżała w wąskim łóżku, w którym sypiała od dziecka. Okna pokoju wychodziły na północny zachód, docierało więc tu niewiele z porannego słońca. Oczywiście, zadumała się, nie było powodu, by nie mogła teraz zająć jednej z okazałych pięknych sypialni od frontu, z ogromnymi oknami wychodzącymi na ogród i winnice.

Frou-Frou, która tak popiskiwała zeszłej nocy, że Emilie się poddała i pozwoliła jej spać ze sobą w łóżku, zaszczeakała przy drzwiach, dając znać, że czas na jej poranną toaletę.

Na dole w kuchni Emilie zrobiła sobie kawę, a potem poszła korytarzem do biblioteki. W wysokim pomieszczeniu, które ojciec zawsze chronił przed światłem, by nie niszczyć książek, unosił się przyjemnie znajomy zapach starych tomów. Emilie postawiła filiżankę na sfatygowanym, pokrytym skórą blacie biurka ojca, podeszła do okna i odsunęła jedną z zasłon. Miliony drobinek kurzu uwolnionych nagle ze swoich kryjówek zawirowały w powietrzu, tańcząc w promieniach słońca.

Emilie usiadła przy oknie i przypatrywała się półkom sięgającym od podłogi do sufitu. Nie miała pojęcia, ile woluminów liczy sobie biblioteka. Jej ojciec spędził większość ostatnich lat życia na katalogowaniu i rozszerzaniu kolekcji. Wstała i obeszła powoli bibliotekę. Półki kończyły się na wysokości, która czterokrotnie przewyższała jej wzrost. Czujne i niewzruszone książki zdawały się jej przypatrywać – swojej nowej pani – jakby zastanawiały się, jaki je czeka los.

Emilie przypomniała sobie, jak siadywała tu z ojcem i grali w alfabet. Polegało to na tym, że mogła wybrać dowolne dwie litery, a wtedy ojciec szukał na półkach książki, której autor miał takie inicjały. Bardzo rzadko nie był w stanie znaleźć nic odpowiedniego. Nawet kiedy starała się chytrze stawiać na X i Z, *papa* zawsze potrafił wyciągnąć jakieś wyblakłe, podniszczone wydanie chińskiej filozofii albo cienki tomik wierszy dawno zapomnianego rosyjskiego poety.

Choć wiele lat patrzyła, jak Édouard zajmuje się książkami, teraz żałowała, że nie zwróciła baczniejszej uwagi na jego eklektyczne metody katalogowania i ustawiania zbiorów. Przeglądając półki, zorientowała się, że nie ma tu zwyczajnego porządku alfabetycznego. Na regale przed nią stały książki od Dickensa do Platona i Guy de Maupassanta.

Wiedziała też, że kolekcja jest ogromnie rozległa i spis, jaki sporządził jej ojciec w rejestrach leżących w stertach na biurku, to tylko czubek góry lodowej. Sam ojciec wiedział, gdzie szukać, żeby znaleźć konkretną książkę niemal natychmiast, ale tę zdolność i jej sekret zabrał ze sobą do grobu.

– Jeśli sprzedam ten dom, co ja z wami pocznę? – szepnęła książkom.

Popatrzyły na nią w milczeniu. Tysiące nieszczęsnych dzieci, które wiedziały, że ich przyszłość spoczywa w jej rękach. Emilie otrząsnęła się z zadumy nad przeszłością. Nie wolno poddawać się emocjom. Jeśli zdecyduje się sprzedać zamek, zbiorom trzeba będzie znaleźć nowy dom. Zamknęła żaluzje, pozwalając książkom znów zapaść w sen, i wyszła z biblioteki.

•••

Resztę ranka spędziła na zaglądaniu w niezliczone zakamarki zamku. Nagle zachwyciła ją uroda dwustuletniego ornamentu zdobiącego plafon wspaniałego salonu, eleganckich, choć teraz mocno podniszczonych francuskich mebli i wielu wiszących na ścianach obrazów.

W porze lunchu poszła do kuchni i nalała sobie szklankę wody. Wypiła ją łapczywie duszkiem, zdając sobie sprawę, że jest zdyszana i radośnie podniecona, jakby zbudziła się ze złego snu. Piękno, które dostrzegła tak wyraźnie po raz pierwszy tego ranka, otaczało ją przez całe życie, jednak nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się nim upajać czy je docenić. A teraz nie czuła już, że dziedzictwo i rodzinna scheda to sznur zaciskający się na jej szyi, od którego chciałaby się uwolnić. Zaczynała się nimi cieszyć.

Ten cudowny dom z mnóstwem wspaniałych przedmiotów należał do niej.

Nagle głodna jak wilk przeszukała lodówkę i szafki, lecz bez powodzenia. Wzięła więc pod pachę Frou-Frou, posadziła ją w aucie obok siebie i ruszyła do Gassin. Kiedy zaparkowała, wspięła się stromymi zabytkowymi schodami miasteczka na bulwar na wzgórzu, gdzie mieściły się bary i restauracje. Usiadła przy stoliku na brzegu tarasu, aby podziwiać niesamowity widok. Zamówiła

mały dzbanek *rosé* i sałatkę domową i wygrzewając się w silnych południowych promieniach słońca, pozwoliła myślom płynąć swobodnie bez ładu i składu.

– Przepraszam, *mademoiselle* Emilie de la Martinières?

Oślaniając oczy w ostrym słońcu, Emilie podniosła wzrok na mężczyznę, który zatrzymał się przy jej stoliku.

– Tak? – Popatrzyła na niego nieufnie.

– W takim razie ogromnie się cieszę. – Mężczyzna wyciągnął rękę. – Nazywam się Sebastian Carruthers.

Emilie bez przekonania podała mu dłoń.

– Czy ja pana znam?

– Nie.

Emilie zauważyła, że choć mężczyzna mówi świetnie po francusku, to z lekkim angielskim akcentem.

– W takim razie pozwolę sobie spytać, skąd pan mnie zna? – powiedziała nerwowo tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– To długa historia i chciałbym ją pani opowiedzieć. Czy pani na kogoś czeka? – dodał, wskazując na krzesło naprzeciw niej.

– Ja... nie. – Emilie pokręciła głową.

– W takim razie czy mogę usiąść i wyjaśnić?

Zanim zdołała zaprotestować, mężczyzna przysunął sobie krzesło. Słońce przestało ją oślepiać i Emilie przyjrzała mu się uważniej. Wydawał się w podobnym wieku co ona, eleganckie, sportowe ubranie dobrze leżało na jego szczupłej sylwetce. Miał odrobinę piegów na nosie, kasztanowe włosy i ładne piwne oczy.

– Słyszałem o śmierci twojej matki, bardzo mi przykro – powiedział ze smutkiem.

– Dziękuję. – Emilie upiła łyk wina i nagle jej dobre wychowanie wzięło górę. – Może kieliszek *rosé*? – zaproponowała.

– Byłoby miło. – Skinął na kelnera. Po chwili pojawił się przed nim kieliszek, a Emilie nalała mu wina z dzbanka.

– Skąd wiesz o śmierci mojej matki? – spytała.

– We Francji to chyba żaden sekret, prawda? – odparł, a w jego oczach błysnęło współczucie. – Była dość znana. Moje kondolencje. Musi ci być ciężko.

– Rzeczywiście – odparła chłodno. – Jesteś Anglikiem?

– Poznałaś! – Przewrócił zabawnie oczami, udając oburzenie. – A tak ciężko pracowałem, żeby pozbyć się akcentu. Owszem, przyznaję się do winy. Ale przez rok studiowałem sztuki piękne w Paryżu. I muszę wyznać, że jestem zagorzałym frankofilem.

– No, tak – mruknęła Emilie. – Ale...

– Naturalnie – zgodził się – to wciąż nie wyjaśnia, skąd wiedziałem, że jesteś Emilie de la Martinières. Prawdę mówiąc – popatrzył tajemniczo w górę – łączy nas coś z odległej przeszłości.

– Jesteśmy spokrewnieni? – Emilie przypomniała sobie nagle o tym, przed czym przestrzegał ją poprzedniego dnia Gerard.

– Nie, zdecydowanie nie – odparł z uśmiechem. – Choć moja babka była w połowie Francuzką. Odkryłem niedawno, że podczas wojny współpracowała blisko z Édouardem de la Martinièresem, czyli, jak sądzę, twoim ojcem.

– Ach, tak?

Emilie nie wiedziała prawie nic o przeszłości ojca. Tylko tyle, że nigdy o niej nie mówił. Nadal niepokoiło ją, czego ten Anglik od niej chce.

– Niewiele wiem o tym okresie życia ojca.

– No cóż, dopóki babcia nie powiedziała mi o tym tuż przed śmiercią, nie miałem pojęcia, że przyjechała tu podczas okupacji. Mówiła, że Édouard był niezwykle odważnym człowiekiem – dodał.

Emilie poczuła, że ściska ją w gardle.

– Nie wiedziałam... Urodziłam się, kiedy mój ojciec miał sześćdziesiąt lat, ponad dwadzieścia lat po zakończeniu wojny.

– Prawda – przyznał Sebastian i skinął głową.

– Poza tym – Emilie wzięła spory łyk wina – nie należał do ludzi, którzy lubią się przechwalać swoimi wyczynami.

– No tak, Constance, moja babka, najwyraźniej ogromnie go szanowała – zaznaczył Sebastian. – Opowiadała mi też o pięknym zamku w Gassin, gdzie mieszkała podczas pobytu we Francji. To bardzo blisko miasteczka, prawda?

– Tak – potwierdziła Emilie.

Właśnie przyniesiono jej zamówioną sałatkę.

– Zjadłbyś coś? – zaproponowała, znów przez grzeczność.

– Jeśli nie przeszkadza ci moje towarzystwo, to chętnie.

– Ależ proszę.

Sebastian złożył zamówienie i kelner wycofał się do kuchni.

– No to, co cię sprowadza do Gassin? – zagadnęła Emilie.

– Dobrze pytanie – odparł. – Po dyplomie ze sztuk pięknych zająłem się tym zawodowo. Mam małą galerię w Londynie, ale spędzam wiele czasu na poszukiwaniu rzadkich obrazów, o których marzą moi klienci. Przyjechałem do Francji, aby namówić kogoś, by sprzedał mi swojego Chagalla. Facet mieszka w Grasse, czyli jak wiesz, niedaleko stąd – wyjaśnił. – Przypadkiem przeczytałem w gazecie o twojej matce i przypomniało mi się, że babcia znała twoją rodzinę. Pomyślałem, że zatrzymam się po drodze, żeby obejrzeć zamek, o którym tyle słyszałem. To naprawdę przepiękne miasteczko.

– Rzeczywiście – powiedziała skrzępowana tą dziwną rozmową.

– Więc mieszkasz w zamku, Emilie?

– Nie – odparła, czując się niezręcznie przez tą obcesową docieklivość. – Teraz mieszkam w Paryżu.

– Mam tam wielu przyjaciół – rzucił z entuzjazmem. – Planuję kiedyś spędzić we Francji więcej czasu, ale na razie wyrabiam sobie pozycję w Wielkiej Brytanii. Niestety, nie udało mi się zdobyć Chagalla dla mojego klienta. To byłaby moja pierwsza tak poważna transakcja.

– Przykro mi.

– Dziękuję. Jakoś to przeboleję. A czy ty przypadkiem nie masz ochoty pozbyć się jakichś bezcennych obrazów ze swojego zamku? – zapytał z żartobliwym błyskiem w oku.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała szczerze. – Ocena dzieł sztuki znajdujących się w nim to jedna z rzeczy, które muszę zrobić.

– Na pewno zwrócisz się z tym do najlepszych paryskich ekspertów. Ale gdybyś potrzebowała kogoś zorientowanego, kto by na szybko coś ci podpowiedział, to z przyjemnością, jestem do dyspozycji.

Kiedy przyniesiono jego grankę z szynką i serem, wyciągnął portfel i dał jej wizytówkę.

– Jestem rzetelny, słowo – zapewnił. – Mogę przedstawić opinie klientów, jeśli trzeba.

– To bardzo miło z twojej strony, ale tym wszystkim zajmuje się nasz rodzinny notariusz.

Emilie zdawała sobie sprawę, że zabrzmiało to wyniośle.

– Oczywiście. – Dolał im obojgu trochę różowego wina i zabierając się do swojej grzanki, szybko zmienił temat: – A co porabiasz w Paryżu?

– Jestem lekarzem weterynarii, mam etat w dużej klinice w dzielnicy Marais. Nie płacę zbyt wiele, ale uwielbiam to.

– Naprawdę? – Uniósł brwi. – Zaskoczyłaś mnie. Myślałem, że pochodząc z takiej rodziny, musisz mieć jakieś fantastyczne zajęcie, jeśli już w ogóle potrzebujesz pracować.

– Rzeczywiście, wszyscy tak sądzą... Przepraszam, ale naprawdę muszę już iść.
– Emilie pospieszenie skinęła na kelnera, by przygotował rachunek.

– Wybacz, Emilie, plotę jakieś banialuki – natychmiast zreflektował się Sebastian. – Chciałem powiedzieć: brawo! Naprawdę nie zamierzałem cię urazić.

Emilie poczuła nagle, że nie znieśie już towarzystwa tego mężczyzny i jego natarczywych pytań ani chwili dłużej. Sięgnęła po torbę, wyjęła z portfela jakieś franki i położyła na stole.

– Miło było poznać – rzuciła, po czym wzięła pod pachę Frou-Frou i żwawo ruszyła przed siebie. Schodziła po stromych stopniach do auta. Była szybciej. To idiotyczne, ale była bliska łez.

– Emilie! Proszę, zaczekaj!

Nie zwracając uwagi na wołanie za sobą, szła w dół zdecydowanym krokiem, póki Sebastian jej nie dogonił.

– Słuchaj – powiedział zdyszany. – Naprawdę przykro mi, jeżeli cię obraziłem. Jestem taki niezręczny... – Szedł obok niej, bo się nie zatrzymała. – Jeśli to jakaś pociecha, ja też dzwigam od urodzenia niezły bagaż. Poczynając od rozpadającego się domu na wrzosowiskach Yorkshire, który powinienem jakoś odnowić i ocalić, choć nie mam ani pensa na sfinansowanie tego.

Doszli do auta i Emilie nie miała wyjścia, musiała przystanąć.

– To czemu go nie sprzedasz? – spytała.

– Bo to część mojego dziedzictwa. – Wzruszył ramionami. – Skomplikowana sytuacja. W każdym razie nie wciskam ci tu łzawej historyjki, ale staram się wyjaśnić, że wiem, jak przeszłość potrafi czasem ciążyć. Dobrze to znam.

Emilie w milczeniu szukała w torebce klucza od auta.

– Nie próbuję z tobą konkurować – ciągnął Sebastian – tylko chciałbym powiedzieć, że doskonale rozumiem.

– Dzięki. – Emilie znalazła wreszcie klucz. – Muszę jechać.

– Czy mi wybaczysz?

Odwróciła się i spojrzała na niego, zrozpaczona swoją słabością, ale niezdolna nad nią zapanować.

– Ja po prostu... – Popatrzyła na zielony krajobraz w dole, starając się znaleźć właściwe słowa. – Chcę być oceniana według tego, kim sama jestem.

– Rozumiem, naprawdę. Słuchaj, nie będę cię już zatrzymywał. Cieszę się, że miałem okazję z tobą porozmawiać. – Sebastian wyciągnął do niej rękę. – Oby wszystko udało ci się jak najlepiej.

– Dziękuję. Do widzenia.

Emilie otworzyła samochód i wypuściła zdenerwowaną Frou-Frou na miejsce obok kierowcy. Wsiadła, włączyła silnik i pomału ruszyła w dół wzgórza, starając się zrozumieć, dlaczego zareagowała tak gwałtownie. Może była przyzwyczajona do nieco większej powściągliwości, jaka obowiązuje we Francji przy pierwszym spotkaniu, i bezpośrednie zachowanie Sebastiana przestraszyło ją. A przecież on tylko chciał być serdeczny, uspokajała samą siebie. To ona ma problem. Sebastian trafił w jej najsłabszy punkt i sprowokował reakcję, jakiej można się było spodziewać. Emilie patrzyła, jak nowo poznany mężczyzna idzie w dół wzgórza kilka metrów przed nią, i ruszyło ją sumienie. Zrobiło się jej wstyd.

Masz trzydzieści lat, upomniała siebie. Posiadłość de la Martinièresów jest teraz twoja i możesz z nią zrobić, co zechcesz. Czy nie czas zacząć zachowywać się jak dorosła osoba, a nie jak porywcze dziecko?

Kiedy samochód zrównał się z Sebastianem, wzięła głęboki oddech i opuściła szybę.

– Skoro wybrałeś się tu z tak daleka, żeby zobaczyć zamek, szkoda, żebyś wyjechał z niczym. Chcesz, żebym cię tam zawiozła?

– Jeśli jesteś pewna... – Mina Sebastiana była odbiciem zaskoczenia, jakie zabrzmiało w jego głosie. – To znaczy, oczywiście, bardzo chciałbym go zobaczyć, zwłaszcza gdyby mógł mnie oprowadzić ktoś, kto go zna tak dobrze.

– No to wsiadaj, proszę.

Emilie nachyliła się i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Dziękuję – powiedział i zatrzasnął je, kiedy znów ruszyli w dół wzgórza. – Okropnie mi przykro, że cię zdenerwowałem. Czy na pewno już się na mnie nie gniewasz?

– Sebastianie – westchnęła – to nie twoja wina, ale moja. Każda uwaga o mojej rodzinie w tym kontekście jest czymś, co psycholog nazwałby pewnie czynnikiem zapalnym. Muszę nauczyć się sobie z tym radzić.

– O, wszyscy się z tym borykamy, zwłaszcza ci, którzy mieli wpływowych, osiągających sukcesy przodków.

– Moja matka była kobietą o silnej osobowości – zgodziła się Emilie. – Wielu ludziom będzie jej teraz bardzo brakowało. Masz rację, to zobowiązuje. A ja zawsze wiedziałam, że poprzeczka jak dla mnie ustawiona jest za wysoko.

Emilie zastanawiała się, czy to te dwa kieliszki wina przy lunchu rozwiązały jej język. Ale nagle nie wstydziła się mu tego mówić. To było podniecające i niepokojące zarazem.

– O swojej mamie, czyli Victorii, jak kazała się nam do siebie zwracać, nie mógłbym raczej tego powiedzieć – stwierdził Sebastian. – Nawet jej nie pamiętam. Urodziła brata i mnie w hipisowskiej komunie w Stanach. Kiedy miałem trzy lata, a brat dwa, przyleciała z nami do Anglii i podrzuciła nas dziadkom w Yorkshire. Kilka tygodni później wyjechała z powrotem bez nas. Od tamtej pory wszelki śluch o niej zaginął.

– Sebastianie! – zdumiała się Emilie. – Nawet nie wiesz, czy twoja matka jeszcze żyje?

– No nie – potwierdził Sebastian – ale nasza babcia wynagrodziła nam wszystko zawiązką. Byliśmy tacy mali, kiedy z nią zostaliśmy, że to Constance była dla nas matką. I szczerze mówiąc, gdyby gdzieś wśród tłumu pojawiła się przede mną moja prawdziwa matka, to bym jej pewnie nie poznał.

– To szczęście, że mieliście taką dobrą babcie, ale to smutna historia. I nawet nie wiesz, kto był twoim ojcem?

– Nie. Ani, tak naprawdę, czy mieliśmy z bratem tego samego ojca. Na pewno bardzo się od siebie różnimy. W każdym razie... – Sebastian zapatrzył się w dal.

– A znałeś swojego dziadka?

– Umarł, kiedy miałem pięć lat. To był wspaniały człowiek, ale w czasie wojny walczył w Afryce Północnej, gdzie został ranny, i już nigdy nie wrócił do pełni sił. Moi dziadkowie bardzo się kochali. Biedna babcia straciła więc nie tylko męża, którego uwielbiała, ale i córkę. Sądzę, że tak naprawdę dzięki wnukom miała motywację, by się nie poddawać – rzekł Sebastian. – Była niesamowita, nawet w wieku siedemdziesięciu pięciu lat stawiała mury z kamieni i nic jej nie dolegało jeszcze tydzień przed tym, nim zachorowała. Nie ma już chyba takich kobiet – zastanowił się ze smutkiem. – Przepraszam – uciął nagle. – Za dużo mówię.

– Nie, nie. Jest mi lżej, kiedy słyszę, że ktoś też dorastał w trudnych warunkach. Czasami myślę – Emilie westchnęła – że zbyt wiele przeszłości jest równie złe, jak nieposiadanie jej wcale.

– Absolutnie się z tobą zgadzam. – Sebastian kiwnął głową i uśmiechnął się. – Rany, gdyby ktoś słyszał naszą rozmowę, pewnie wzięłby nas za dwójkę rozpuszczonych bananowych dzieciaków użalających się nad sobą. Powiedzmy sobie szczerze, żadne z nas nie wylądowało na ulicy, prawda?

– No nie. I oczywiście masz rację. Ludzie mogliby tak pomyśleć. Zwłaszcza o mnie. Dlaczego mieliby sądzić inaczej? Widzą tylko to, co na wierzchu. Popatrz – wskazała – zamek jest tam, w dolinie.

Sebastian skierował wzrok na rysujący się w oddali elegancki różowawy budynek. Gwizdnął z podziwem.

– Jaki piękny, dokładnie taki, jak opisywała mi babcia. To raczej coś zupełnie innego niż nasz dom rodzinny na ponurych wrzosowiskach Yorkshire. Choć surowe otoczenie sprawia, że Blackmoor Hall też jest na swój sposób wyjątkowe – dodał.

Emilie skręciła na długi podjazd prowadzący do zamku i zaparkowała na tyłach zabudowań. Kiedy samochód się zatrzymał, wysiedli.

– Na pewno masz czas, żeby mnie oprowadzić? – Sebastian spojrzał na nią pytająco. – Mógłbym przyjść innego dnia.

– Nie, będzie dobrze – zapewniła go Emilie, kiedy ruszyła z Frou-Frou do zamku. Sebastian podążył za nią do holu, a potem do kuchni.

Oprowadzała go kolejno po pokojach, obserwując, jak co rusz się zatrzymuje, aby przyjrzeć się obrazom, meblom i ogromnej różnorodności dzieł sztuki, które stały zakurzone i zapomniane na komodach, biurkach i stołach. Gdy weszli do pokoju porannego, od razu zainteresował się obrazem.

– To mi przypomina *Przepych, spokój i rozkosz* Matisse’a. Malował ten obraz w tysiąc dziewięćset czwartym roku, kiedy był w Saint-Tropez. Podobny efekt pointylistyczny. – Sebastian przesunął palcami tuż nad powierzchnią farby. – Choć tutaj to czysty pejzaż, skały i morze, bez postaci ludzkich.

– *Przepych, spokój i rozkosz* – powtórzyła Emilie. – Pamiętam, jak tata czytał mi wiersz Baudelaire’a.

– Tak. – Sebastian obejrzał się, wyraźnie ucieszony, że ona go zna. – Matisse zaczerpnął inspirację z *Zaproszenia do podróży* ze zbioru *Kwiaty zła*. Teraz obraz wisi w Muzeum Sztuki Współczesnej w Paryżu.

Znów skupił się na pejzażu przed sobą.

– Z tego, co widzę, płótno nie jest sygnowane, chyba że podpis schował się pod ramą. Ale możliwe, że to była wprawka, zanim powstał planowany obraz.

Szczególnie że Matisse był w Saint-Tropez, kiedy malował właśnie w tym stylu. A przecież to rzut kamieniem stąd, prawda?

– Ojciec poznał Matisse’a w Paryżu – powiedziała Emilie. – Podobno przychodził na spotkania organizowane przez tatę dla kręgów artystycznych. Wiem, że ojciec bardzo lubił Matisse’a, często o nim mówił, ale nie mam pojęcia, czy przyjmował go kiedykolwiek w zamku.

– W każdym razie, jak wielu artystów i pisarzy, Matisse przebywał w czasie drugiej wojny światowej tu, na południu Francji, z dala od niebezpieczeństw. Jego twórczość to moja prawdziwa pasja. – Sebastian aż drżał z emocji. – Czy mógłbym zdjąć płótno ze ściany, żeby zobaczyć, czy z tyłu nie ma jakiejś dedykacji? Malarze często dawali w podarunku obrazy swoim hojnym dobroczyńcom. Może i twojemu ojcu.

– Ależ oczywiście, proszę. – Emilie podeszła i stanęła obok Sebastiana, kiedy ten ostrożnie chwycił ramę i zdjął obraz ze ściany, odsłaniając pod nim ciemniejszy fragment tapety. Odwrócił płótno, by razem z Emilie przyrzeć się odwrotnej stronie, ale nie znaleźli nic ciekawego.

– Nie przejmuj się, to jeszcze nie koniec świata – pocieszył ją Sebastian. – Gdyby Matisse go podpisał, byłoby po prostu dużo łatwiej dowieść, że to jego dzieło.

– Naprawdę myślisz, że on to namalował?

– Biorąc pod uwagę opisane przez ciebie okoliczności i charakterystyczną technikę, z jaką Matisse eksperymentował mniej więcej w tym czasie, gdy malował *Przepych, spokój i rozkosz*, powiedziałbym, że to prawie pewne. Oczywiście, muszą potwierdzić to eksperci.

– A jeśli to Matisse, to ile jest wart?

– Ponieważ brak podpisu, nie mam dość doświadczenia, by to ocenić. Matisse był niesamowicie płodnym artystą i żył bardzo długo. Chciałabyś sprzedać ten obraz?

– To kolejny znak zapytania na mojej liście. – Emilie wzruszyła bezradnie ramionami.

– No cóż – rzucił Sebastian, ostrożnie wieszając obraz z powrotem na miejsce – mam trochę kontaktów i znam ludzi, którzy mogliby ustalić, czy to oryginał, ale jestem pewien, że twój notariusz będzie chciał skorzystać ze swoich ekspertów. Dziękuję ci jednak, że pokazałaś mi obraz, podobnie jak resztę tego cudownego zamku.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedziała Emilie, prowadząc go do wyjścia.

– Wiesz – Sebastian podrapał się w głowę, kiedy stali w holu – pamiętam wyraźnie, że babcia wspominała mi o niesamowitej kolekcji rzadkich książek, które tu kiedyś widziała. To prawda czy coś mi się uroiło?

– Nie. – Emilie uświadomiła sobie, że podczas wycieczki zapomniała o bibliotece. – To tu obok. Pokażę ci.

– Dziękuję, jeśli tylko masz czas.

– Mam.

Biblioteka wywarła na Sebastianie ogromne wrażenie, kiedy tylko weszli.

– Wielkie nieba – jęknął, ruszając wolno wzdłuż półek – to rzeczywiście niesamowita kolekcja. Jeden Bóg wie, ile tu może być książek. Piętnaście, dwadzieścia tysięcy?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

– Są skatalogowane? Według jakichś kategorii? – zapytał.

– O tym, jak są ułożone, decydował mój tata, a przed nim jego ojciec. Zbiory zaczęto gromadzić ponad dwieście lat temu. Nowsze nabytki są skatalogowane, tak. – Emilie wskazała na oprawione w skórę księgi na biurku ojca.

Sebastian otworzył jedną z nich, przejrzał kilka kartek i zobaczył setki pozycji wprowadzonych nienagannym pismem Édouarda.

– Wiem, że to nie mój interes, Emilie, ale to naprawdę niezwykła kolekcja. Widzę, że poza tym, co już tu było, twój ojciec kupił wiele rzadko spotykanych pierwszych wydań. To musi być jedna z najwspanialszych kolekcji białych kruków we Francji. Powinny zostać fachowo skatalogowane.

Emilie usiadła na pokrytym skórą fotelu ojca. Czują się przytłoczona.

– Mój Boże – szepnęła. – Z każdą chwilą okazuje się, że do zrobienia jest więcej, niż sądziłam. Zaczynam sobie uświadamiać, że uporządkowanie spraw po rodzicach to zajęcie na pełen etat.

– Ale warto zachodu, prawda? – pocieszył ją Sebastian.

– Tylko że ja mam swoje życie. Takie, jakie lubię. Spokojne i... – Emilie chciała dodać „bezpieczne”, jednak wiedziała, że to zabrzmiałoby dziwnie – uporządkowane.

Sebastian podszedł i przyklęknął przy niej, opierając się ręką o fotel dla równowagi.

– Rozumiem, Emilie. Jeśli chcesz do niego wrócić, musisz poprosić ludzi, którym ufasz, żeby uporali się z tym za ciebie.

– A komu ja mogę zaufać? – zachnęła się Emilie.

– No, na przykład notariuszowi, o którym wspomniałaś – zasugerował Sebastian. – Może zdasz się we wszystkim na niego?

– Ale... – Emilie łzy napłynęły do oczu. – Przecież jestem to winna swojej rodzinie i jej historii? Nie wolno mi po prostu uciec.

– Emilie – powiedział Sebastian łagodnie – to wszystko dzieje się tak szybko, nic dziwnego, że czujesz się przytłoczona. Twoja matka zmarła zaledwie kilka tygodni temu. Jesteś jeszcze w szoku, w rozpacz. Czemu nie dasz sobie trochę czasu na właściwe decyzje?

Poklepał jej dłoń i wstał.

– Muszę iść, ale masz moją wizytówkę. Naprawdę, w razie potrzeby, z największą chęcią we wszystkim ci pomogę, na ile tylko potrafię. Taki zamek to manna z nieba dla mnie, zwłaszcza jeśli chodzi o obrazy, ma się rozumieć.

Uśmiechnął się.

– W każdym razie prawie na pewno zamierzam zostać w Gassin jeszcze jakiś czas, więc gdybyś chciała, żebym zorganizował ocenę autentyczności potencjalnego Matisse’a, po prostu zadzwoń do mnie pod numer komórkowy podany na wizytówce.

– Dziękuję – powiedziała Emilie i upewniła się, że nadal ma jego wizytówkę w kieszeni džinsów.

– Z przyjemnością też, korzystając ze swoich kontaktów w Paryżu, wyszukam nazwiska najlepszych antykwariuszy, którzy znają się na starych książkach i meblach. Cokolwiek postanowisz w sprawie zamku – zaznaczył – pewnie dobrze byłoby wiedzieć, jaka jest wartość tego, co posiadasz. Przypuszczam, że twoi rodzice mieli jakieś ubezpieczenie?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami. Znając ojca, raczej w to wątpiła, ale zakonotowała sobie, że musi zapytać Gerarda. – Dziękuję za radę – powiedziała z wdzięcznością i wstała. Uśmiechnęła się blado do Sebastiana i poprowadziła go do tylnego wyjścia i auta. – Przykro mi, że... tak się poddaję emocjom. To do mnie niepodobne. Może innym razem porozmawiamy o tym, co babcia opowiadała ci o moim ojcu i jego przeżyciach wojennych.

– Bardzo chętnie. I proszę, nie przepraszaj – dodał, kiedy wsiadali do samochodu. – Jesteś w żałobie, a w dodatku spadło na ciebie potwornie dużo

obowiązków, masz tyle do zrobienia.

– Dam sobie radę. Muszę. – Emilie włączyła silnik i ruszyła.

– Na pewno. Jak mówiłem, jeśli tylko w jakikolwiek sposób mógłbym ci pomóc, wiesz, jak mnie znaleźć.

– Dziękuję.

– Moje lokum jest zaraz za rogiem – wskazał w lewo – więc jeśli wyrzucisz mnie tutaj, zrobię sobie krótki spacer. To takie ładne popołudnie.

– Dobrze. – Zatrzymała samochód. – Jeszcze raz dziękuję.

– Uważaj na siebie, Emilie – powiedział, wysiadając. Pomachał na do widzenia i pomaszerował w swoją stronę.

Emilie zawróciła i pojechała z powrotem do zamku. Wytrącona z równowagi krążyła bez celu po pokojach, czując nagłą pustkę, bo poza nią nie było tu nikogo.

Kiedy zapadła noc i zrobiło się zimniej, poszła do kuchni i zagrzała sobie gęstą zupę, *cassoulet*, którą zostawiła jej Margaux. Jednak zjadła niewiele, jakoś straciła apetyt i Frou-Frou skorzystała na tym z zachwytem.

Po kolacji zaryglowała tylne drzwi i przekręciła klucz w zamku. Weszła na górę i puściła wąski strumyk letniej wody do starej pokrytej kamieniem emaliowanej wanny. Położyła się w niej, myśląc ze smutkiem, jak świetnie pasuje ona do jej wzrostu, niczym idealny prototyp trumny. Po wyjściu z kąpeli wytarła się do sucha, a potem zrobiła coś, co nie było w jej zwyczaju – pozwoliła, by ręcznik zsunął się z jej ciała, gdy stanęła przed wielkim, sięgającym aż do podłogi, lustrem.

Zmusiła się do przyjrzenia się swemu nagiemu ciału. Zawsze uważała, że trafił jej się kiepski los na genetycznej loterii. W dzieciństwie była krępa, a jako nastolatka pulchna. Wbrew apelom matki, by jadła zdrowo i mniej, gdzieś około siedemnastki Emilie dała sobie spokój z ogórkami i melonami, które zalecali dietetycy, a zamiast tego zaczęła ubierać się w luźne, wygodne ubrania kryjące jej kształty i pozwoliła naturze robić swoje.

W tym samym czasie odmówiła udziału w kolejnych przyjęciach mających wprowadzić ją do śmietanki towarzyskiej rówieśników. Matki z paryskiej socjety prześcigały się w staraniach, by ich latorośle nawiązywały właściwe przyjaźnie i poznawały należących do elity potencjalnych partnerów na przyszłość. Większość zabiegających o pozycję nastolatków konkurowała ze sobą, by dostać zaproszenia na elitarne spotkania towarzyskie. Valérie, dzięki nazwisku de la Martinières, mogła przyciągnąć do swojego kręgu, kogo tylko chciała. Wpadła w rozpacz, kiedy Emilie oświadczyła, że już nie będzie brać udziału

w najważniejszych dla całej akcji koktajlach organizowanych w najbardziej eleganckich prywatnych domach.

– Jak możesz odrzucać coś, co ci się należy z urodzenia – oburzała się na córkę.

– Nienawidzę tego, mamó. Jestem kimś więcej niż nazwiskiem i kontem w banku. Przykro mi, ale już nigdy nie pojawię się na żadnej takiej imprezie.

Kiedy Emilie patrzyła teraz w lustro na swoje pełne piersi, krągłe biodra i kształtne nogi, zdała sobie sprawę, że musiała zeszczupłeć przez ostatnie tygodnie. To, co teraz zobaczyła, nawet swoim krytycznym okiem, zaskoczyło ją. Choć nie mogła marzyć o figurze elfa, to w żadnym wypadku nie była gruba.

Zanim poczuła, jak to ona zawsze, wyrzuty sumienia, odeszła od lustra, włożyła koszulę nocną i wdrapała się na łóżko. Zgasiała światło i wsłuchując się w panującą w sypialni idealną ciszę, zastanawiała się, co skłoniło ją, by dokonać tego nietypowego dla niej nagiego odkrycia.

Minęło sześć lat, odkąd miała kogoś, kogo mogłaby nazwać z grubsza swoim chłopakiem. Związek z Olivierem, atrakcyjnym nowym weterynarzem w paryskiej klinice, trwał zaledwie kilka tygodni. Nawet niespecjalnie go lubiła, ale przynajmniej miała ciepłe ciało obok siebie w nocy, kogoś, z kim mogła czasem pogadać przy kolacji i nie czuła się już tak bardzo samotna. Olivier w końcu zniknął. Wiedziała, że to przez brak starań z jej strony.

Emilie nie była pewna, z czego składa się miłość – to jakaś mieszanka pociągu fizycznego, podobnego sposobu myślenia... może fascynacji. Ale miała świadomość, że nigdy nie była zakochana. No i kto by pokochał kogoś takiego jak ona?

Tej nocy przewracała się z boku na bok, przekonana, że głowa jej zaraz pęknie od decyzji, które musi podjąć, i odpowiedzialności, przed którą nie ma ucieczki. Ale poza tym nie mogła przestać myśleć o Sebastianie.

Przez ten krótki czas, który spędzili razem w zamku, poczuła się w jego obecności bezpieczna. Wydawał się zdolny, solidny i... tak, był wyjątkowo atrakcyjny. Kiedy na moment jego ręka dotknęła jej dłoni w bibliotece, nie cofnęła się, jak zwykle, kiedy ktoś za bardzo się do niej zbliżył.

Emilie wymawiała sobie tę słabość. Jakże musi być smutna i samotna, że tak działa na nią ktoś, kogo zna ledwie parę godzin. Poza tym, czy ona mogłaby spodobać się takiemu doświadczonemu, przystojnemu mężczyźnie jak Sebastian? Był dla niej nieosiągalny i najprawdopodobniej nigdy więcej się nie spotkają.

Chyba że, oczywiście, zadzwoni pod numer z jego wizytówki i poprosi o pomoc przy ekspertyzie Matisse'a...

Pokręciła ponuro głową. Wiedziała, że nigdy się na to nie zdobędzie.

To była droga donikąd. Lata temu doszła do wniosku, że najlepiej żyć w pojedynkę. Wtedy nikt jej nie zrani ani znów nie zawiedzie. I z tym silnym postanowieniem wreszcie zapadła w sen.

Przez kłopoty z zaśnięciem Emilie obudziła się następnego ranka dość późno. Przy kawie spisywała niekończącą się listę rzeczy „do załatwienia”. Potem wzięła nową kartkę i zaczęła porządkować pytania, które musi sobie zadać. Wcześniej chciała tylko jak najszybciej sprzedać obie posesje, uporać się z kwestiami dotyczącymi majątku rodziny i wrócić do swojego bezpiecznego życia w Paryżu. Ale teraz...

Potarła nos ołówkiem i rozejrzała się po kuchni, jakby szukała odpowiedzi. Dom w Paryżu sprzeda – nie łączyły ją z nim miłe wspomnienia. Jednak ostatnie dni odmieniły jej podejście do zamku. Nie tylko był kolebką rodu – zbudował go hrabia Louis de la Martinières w 1750 roku – lecz także tchnął atmosferą, którą zawsze uwielbiała. W tym domu potrafiła odnaleźć spokój, wszystko przypominało jej o szczęśliwych dniach, jakie spędziła tu z ojcem.

Czy powinna rozważyć możliwość zatrzymania zamku?

Emilie wstała i krążyła po kuchni, zastanawiając się nad tym głęboko. Czy to nie absurd, i w ogóle nieprzyzwoitość, żeby samotna kobieta miała tak wielki dom?

Najwyraźniej jej matka tak nie myślała, ale ona obracała się w elitarnych kręgach. Emilie zbuntowała się przeciw nim lata temu i wiedziała, jak żyją zwyczajni ludzie. Jednak myśl, że mogłaby tu zamieszkać, wśród tej ciszy i spokoju, coraz bardziej ją pociągała. Zawsze uważała się za wyrzutka rodziny, a teraz, o ironio, po raz pierwszy czuła, że znów jest u siebie w domu. Była zaszokowana tym, jak bardzo chce tutaj zostać.

Ponownie usiadła przy kuchennym stole i dalej spisywała listę pytań, tym razem pod adresem Gerarda. Jeśli zdoła przywrócić zamkowi dawną świetność, to nie tylko dla siebie, bo przecież to część historii Francji, prawda? Emilie przysłuży się więc też ojczyźnie. Pocieszona tą myślą, wzięła telefon i wybrała numer Gerarda.

Po długiej rozmowie z nim popatrzyła na swoje notatki. Gerard powtórzył, że będzie ją stać na odnowienie zamku. Stawiał jednak sprawy jasno,

przypominając, że chwilowo brak jej gotówki – wszystko, co chciałaby zrobić, musi zostać sfinansowane z tego, co sprzeda w najbliższej przyszłości.

Wyraźnie osłupiał, słysząc o jej nagłej zmianie planów.

– Emilie, to bardzo chwalebne, że chcesz zachować rodzinne dziedzictwo, ale odnowienie tak wielkiego domu to poważne przedsięwzięcie. Powiedziałbym nawet, że oznacza całkowite poświęcenie się temu w najbliższych dwóch latach. I to wszystko spadnie na ciebie. Wyłącznie na ciebie.

Emilie prawie spodziewała się, że Gerard zaraz doda „a w dodatku jesteś kobietą”, ale na szczęście się pohamował. Pewnie zastanawiał się, ile pracy będzie musiał wziąć na swoje barki, bo przecież było oczywiste, że sama sobie nie poradzi. Szczęśliwie, że traktuje ją tak protekcyjnie, choć świadoma, że nie zrobiła wiele, by zmienić jego nastawienie, wyciągnęła z torby laptopa i włączyła. Po chwili zachichotała z samej siebie. Jak mogła spodziewać się, że złapie sygnał internetu w domu, w którym pewnie nie wymieniano żadnych przewodów od lat czterdziestych? Zabrała Frou-Frou i pojechała do Gassin. Wdrapała się na strome wzgórze i spytała Damiena, zaprzyjaźnionego właściciela Le Pescadou Brasserie, czy może skorzystać z jego routera.

– Ależ oczywiście, *mademoiselle* de la Martinières – powiedział, prowadząc ją do małego biura na tyłach restauracji. – Przepraszam, że nie było mnie tu wcześniej, aby panią powitać, ale wyjechałem do Paryża. Wszyscy w miasteczku ze smutkiem przyjęli wiadomość o śmierci pani mamy. Moja rodzina, podobnie jak pani przodkowie, jest tu od setek lat. Czy sprzeda pani zamek teraz, gdy pani matka odeszła? – zapytał.

Emilie wiedziała, że Damien bardzo jest tego ciekaw. Jego bar i restauracja były samym centrum miasteczkowych plotek.

– Naprawdę nie wiem – odparła. – Muszę rozważyć wiele spraw.

– Oczywiście. Mam nadzieję, że nie zdecyduje się pani go sprzedać, ale jeśli tak, znam wielu deweloperów, którzy zapłaciliby fortunę, by przerobić pani piękny zamek na hotel. Od lat często nagabywano mnie w tej sprawie.

Damien spojrzął na widoczny za oknem w dolinie zamek z jego poszarzałymi, połyskującymi w słońcu dachówkami.

– Jak mówię, jeszcze się zastanawiam – powtórzyła Emilie.

– W każdym razie, jeśli tylko będzie pani czegoś potrzebować, proszę dać nam znać. Wszyscy tu uwielbialiśmy pani ojca. Był dobrym człowiekiem. Po wojnie ludzie w miasteczku żyli w biedzie – wyjaśnił. – Hrabia pomógł wyrzucić nacisk na

władze, aby zbudować porządne drogi na wzgórzu i zachęcić turystów z Saint-Tropez do odwiedzania nas. Moja rodzina otworzyła tę restaurację w latach pięćdziesiątych, miasteczko się bogaciło. Pani ojciec był też inicjatorem sadzenia winorośli, by produkować winogrona na cudowne wino, które tu teraz wytwarzamy.

Damien wskazał ruchem ręki ciągnące się w dolinie winnice.

– Kiedy byłem dzieckiem, otaczały nas tylko pola i pastwiska dla krów. Teraz nasze prowansalskie *rosé* jest słynne na całym świecie.

– Miło słyszeć, że ojciec pomógł regionowi, który kochał – odparła Emilie.

– Ród de la Martinièresów to częśćka Gassin, *mademoiselle*. Mam nadzieję, że zdecyduje się pani zostać z nami.

Damien dalej ją emablował, przyniósł jej dzbanek wody, chleb i talerz serów. Ale gdy udało jej się podłączyć do sieci, zostawił ją samą. Sprawdziła pocztę, a potem wyjęła wizytówkę Sebastiana i poszukała jego galerii w internecie.

Arté mieściła się na Fulham Road w Londynie i zajmowała się głównie malarstwem współczesnym. Emilie z ulgą stwierdziła, że galeria istnieje. Zdecydowała się i zadzwoniła do Sebastiana. Włączyła się poczta głosowa, Emilie zostawiła więc swój numer i krótką wiadomość, że prosi, aby skontaktował się z nią w sprawie, o której rozmawiali poprzedniego dnia.

Kiedy skończyła, podziękowała Damienowi za to, że pozwolił jej skorzystać z internetu, i za lunch i pojechała z powrotem do zamku. Czuła przyływ energii, miała wrażenie, że jest zmotywowana, jak nie była już od lat. Bez wątplenia, jeśli zdecyduje się odnawiać dom, musi porzucić pracę w klinice w Paryżu i sprowadzić się tutaj, by pilnować przedsięwzięcia. I może właśnie tego potrzebowała – choć, o ironio, kilka dni wcześniej to byłaby ostatnia rzecz, jaką brałaby pod uwagę. Tak czy inaczej, odnalazła nowy sens życia.

Jednak jej euforia nie trwała długo. Podjeżdżając do domu, z niepokojem dostrzegła zaparkowany przed nim radiowóz. Pospiesznie zatrzymała auto, złapała Frou-Frou i wysiadła. Wbiegła do holu, gdzie natknęła się na Margaux, która rozmawiała z żandarmem.

– *Mademoiselle* Emilie. – Gospodyni miała wielkie oczy z przerażenia. – Sądzę, że miałyśmy tu włamanie. Przyszłam jak zawsze o drugiej i zastałam drzwi frontowe otwarte na oścież. Och, tak mi przykro, panienko.

Emilie ścisnęło w dołku, bo zdała sobie sprawę, że w całym ferworze decyzji, że odnowi zamek, nie zamknęła tylnych drzwi, zanim pojechała do miasteczka.

– Margaux, to nie twoja wina. Chyba zostawiłam otwarte tylne drzwi. Czy coś zginęło? – Emilie pomyślała o potencjalnie bardzo wartościowym obrazie.

– Obeszłam uważnie wszystkie pokoje i nie wydaje mi się, by czegoś brakowało. Ale może i panienka to sprawdzi – powiedziała Margaux.

– Często tego typu przestępstwa to sprawa przypadku – zasugerował żandarm.
– Jakimś włóczęgom może się wydać, że dom jest niezamieszkały, włamują się i szukają biżuterii albo gotówki.

– No, nic takiego tu nie znajdą – stwierdziła ponuro Emilie.

– *Mademoiselle* Emilie, czy ma panienka przypadkiem klucz do drzwi frontowych? – spytała Margaux. – Gdzieś przepadł. Myślałam, że może nie chciała panienka, żeby tkwił jak zwykle w zamku, i odłożyła go w bezpieczne miejsce dla pewności.

– Nie, nie ruszałam go. – Emilie przyjrzała się uważnie wielkiej, pustej dziurce od klucza, która wydawała się naga bez swego rdzewiejącego towarzysza w środku. Zamrugnęła, starając się przypomnieć sobie, czy klucz był na miejscu tego ranka. Ale nie był to szczegół, na jaki mogłaby zwrócić uwagę w drodze z holu do kuchni.

– Jeśli klucz się nie znajdzie, musi pani natychmiast wezwać ślusarza, by założył nowy zamek – ostrzegł ją żandarm. – Nie będzie pani mogła zamknąć drzwi, a możliwe też, że złodzieje zabrali klucz i planują pojawić się tu później.

– Tak, oczywiście.

Emilie czuła, jak rozwiewa się wcześniejsza wizja o bezpiecznym raj. Serce jej waliło.

Margaux spojrzała na zegarek.

– Przepraszam, *mademoiselle* Emilie, ale muszę wracać. Anton siedzi w domu sam. Czy jestem już wolna? – spytała żandarma.

– Tak. Gdybym potrzebował dodatkowych informacji, skontaktuję się z panią.

– Dziękuję. – Margaux odwróciła się do Emilie. – *Mademoiselle*, martwię się, że zostaje tu panienka sama. Może lepiej byłoby przeprowadzić się na kilka nocy do hotelu?

– Nie martw się, Margaux. Zadzwońię po ślusarza, no i zawsze mogę jeszcze zamknąć w nocy drzwi swojego pokoju.

– Proszę do mnie telefonować, gdyby tylko coś panienkę zaniepokoiło. I na przyszłość proszę pamiętać o zamykaniu tylnych drzwi.

Margaux pospiesznie skinęła na pożegnanie i pobiegła po swój rower.

– Proszę, niech pani sprawdzi wszystko w zamku, w razie gdybyśmy przeoczyli coś z pani gospodynią.

Żandarm wyciągnął z górnej kieszeni notes i zapisał numer.

– Niech pani zadzwoni do mnie, jeśli coś zostało skradzione, to będziemy działać dalej. W przeciwnym wypadku – westchnął – niewiele więcej możemy zrobić.

– Dziękuję, że pan się tu fatygował – powiedziała Emilie. Miała wyrzuty sumienia, że postąpiła tak lekkomyślnie i nie zamknęła drzwi. – Jak mówiłam, to moja wina.

– Nie ma sprawy, ale sugerowałbym, aby jak najszybciej zadbała pani o lepsze zabezpieczenia, a także, skoro w zamku tak często nikogo nie ma, zainwestowała w system alarmowy.

Żandarm skłonił się jej i ruszył do radiowozu przez otwarte frontowe drzwi.

Kiedy tylko odjechał, Emilie weszła na piętro, żeby posprawdzić, czy nic nie zginęło. W połowie drogi zauważyła, że jakieś auto podejżdża cicho do domu, a potem znika na jego tyłach. Z bijącym sercem szybko zeszła do kuchni, by zamknąć drzwi przed nieznanymi intruzami. Ale za szybą zobaczyła twarz zaglądnącego do środka Sebastiana. Odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

– Cześć. – Sebastian popatrzył na nią pytająco. – Czy na pewno chcesz, żebym wszedł?

– Tak. Przepraszam, właśnie miałam tu włamanie i nie wiedziałam, że to twój samochód.

– O Boże, Emilie, to okropne! – zawołał, przekraczając próg. – Czy coś zostało skradzione?

– Margaux sądzi, że nie, ale właśnie szłam na górę sprawdzić.

– Chcesz, żebym ci pomógł?

– Ja... – Nagle poczuła, że miękną jej kolana, i usiadła szybko na kuchennym krześle.

– Emilie, jesteś strasznie biała – powiedział Sebastian. – Słuchaj, zanim zaczniesz biegać po domu, może zrobiłbym ci angielską wersję leku na wszystko, czyli filiżankę dobrej herbaty? To musiał być szok. Siedź, nie ruszaj się, uspokój się trochę, a ja nastawię wodę.

– Dziękuję – szepnęła skołowana i roztrzęsiona. Frou-Frou popiskiwała, domagając się pieszczot. Wzięła psa na kolana i głaskała. Jej samej przyniosło to ulgę.

– Jak dostali się do środka? – zapytał Sebastian.

– Sądzimy, że tylnymi drzwiami, ale wyszli frontem i zginął klucz. – wyjaśniła Emilie. – Muszę wezwać jak najszybciej ślusarza i wymienić zamek.

– Masz tu książkę telefoniczną? – Sebastian postawił przed nią na stole kubek. – Mógłbym zadzwonić do ślusarza, a ty pij. – Wyciągnął swój telefon komórkowy.

– W tamtej szufladzie. – Emilie wskazała na duży kredens. – Sebastianie, to naprawdę nie twój kłopot. Dam sobie radę...

Ale Sebastian już otworzył szufladę i wyciągnął książkę telefoniczną.

– Dobrze – mruknął po kilku minutach przeglądania numerów. – Jest trzech ślusarzy w Saint-Tropez i jeden w La Croix Valmer. Może zadzwonię do nich teraz i sprawdzę, kto może przyjechać?

Wybrał pierwszy numer.

– Tak, dzwonię z zamku de la Martinières i chciałbym dowiedzieć się...

Emilie nie słuchała, co mówi, po prostu popijała małymi łykami herbatę i z wdzięcznością zdała się na niego. Tak miło było, że ktoś inny wziął sprawy w swoje ręce.

– Niestety – powiedział Sebastian, kiedy się rozłączył – ten ślusarz nie może przyjechać wcześniej niż jutro z samego rana. Ale twierdzi, że ma doświadczenie z wymianianiem starych zamków w okolicy.

Przyjrzał się jej.

– Na szczęście wracają ci kolory. Czy chcesz posprawdzać dom, zanim się ściemni? Powinnaś. Pochodzę z tobą, jeśli chcesz.

– Sebastianie, ty na pewno masz swoje sprawy... – zmytygowała się Emilie. – Nie chcę cię zatrzymywać.

– Nie bądź głuptasem. Angielski dżentelmen nigdy nie opuszcza damy w opalach.

Podał jej dłoń i pomógł wstać z krzesła.

– Chodź, załatwmy to szybko.

– Dziękuję. Martwię się trochę, że oni nadal tu są i gdzieś się chowają. – Emilie zagryzła wargę. – Margaux nie widziała, żeby uciekali.

Wszystkie pokoje wyglądały tak, jak je Emilie zapamiętała, i choć nie można było mieć pewności, że absolutnie nic nie zginęło, bo przecież nie знаła dobrze wszystkich szczegółów wystroju domu, schodziła z Sebastianem z powrotem do holu uspokojona.

– No to mamy cały dom sprawdzony – podsumował Sebastian. – Czy gdzieś jeszcze mogli się schować?

– Może w piwnicach? Ale ja w nich nigdy nie byłam – przyznała Emilie.

– W takim razie chyba powinnaś tam zajrzeć – zasugerował. – Wiesz, jak do nich zejść?

– Sądzę, że drzwi są w korytarzu, zaraz za kuchnią.

– No to chodź, zobaczymy.

– Uważasz, że to naprawdę konieczne? – Emilie wyraźnie nie miała na to ochoty. Mroczne, zamknięte pomieszczenia zawsze ją przerażały.

– Wolisz, żebym poszedł tam sam?

– Nie. Masz rację. Muszę sama zobaczyć piwnice.

– Nie martw się. Będę nad tobą czuwał – powiedział z uśmiechem, kiedy weszli w korytarz. – Te drzwi?

– Tak. Tak myślę.

Sebastian odsunął pordezwiązałe zasuwki i z trudem przekręcił klucz.

– Widać, że nikt tego nie otwierał od lat, więc wątpię, żeby ktoś mógł się tam czaić.

Sebastian poradził sobie jakoś z otwarciem drzwi. Szukał pokrętki, żeby zapalić światło, ale namacał tylko kawałek sznurka nad swoją głową. Kiedy go pociągnął, na dole rozbłysło światło.

– Dobrze. Pójdę pierwszy.

Ostrożnie stąpając za Sebastianem, Emilie weszła do chłodnego wnętrza o niskim sklepieniu. W powietrzu wisiała wilgoć.

– To dopiero! – zawołał Sebastian na widok regałów pełnych omszałych butelek wina. Wyciągnął jedną na chybił trafił, otarł kurz z etykiety i przeczytał:

– Château Lafite Rothschild, rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści dziewięć. Nie jestem ekspertem, ale ten zbiór może być spełnieniem marzeń winiarza. Z drugiej strony – odłożył butelkę i wzruszył ramionami – może nie da się już tego pić.

Oboje chodzili po piwnicy, wyciągali butelki i oglądali je.

– Nie mogę znaleźć żadnego wina młodszego niż z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku, a ty? – zapytał Sebastian. – Wygląda na to, że nikt nie dbał o uzupełnianie zapasów od tamtej pory. Zaczekaj chwilę... – Postawił na podłodze dwie butelki, które trzymał, a potem wyciągnął jeszcze cztery

i kolejne, aż w końcu było ich dwanaście. – Za tymi regałami coś jest. To drzwi. Widzisz?

Emilie zaglądnęła za półki i zobaczyła, co Sebastian ma na myśli.

– Pewnie prowadzą do kolejnej piwnicy, której nikt nie używał – próbowała wyjaśnić. Chciała wyjść stąd jak najprędzej na górę.

– Naturalnie, taki dom jak ten musi mieć wielkie piwnice. Aha! – Sebastian wyjął ostatnią butelkę, złapał przegniły regał i odsunął go od ściany. – Miałem rację: to drzwi.

Otarł pajęczyny i spróbował nacisnąć klamkę. Drzwi stawiały opór. Nie pasowały już do futryny, drewno spaczyło się od wilgoci.

– Zobaczmy, co tam jest?

– Ja... – Emilie bała się iść dalej. – Tam pewnie nic nie ma.

– No to sprawdźmy – powiedział Sebastian, z całych sił ciągnąc drzwi szorujące po posadzce piwnicy, aż wreszcie stanęły otworem.

Sebastian znów szukał włącznika, ale na nic takiego nie trafił.

– Poczekaj tu chwilę – polecił Emilie, kiedy dał krok w ciemność. – Tutaj chyba dochodzi skądś naturalne światło... – Zniknął kompletnie w mroku. – Tak, jest tu małe okno, auć! Przepraszam, rąbnąłem w coś nogą.

Znów pojawił się w drzwiach.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest jakaś latarka?

– Mogę poszukać na górze w kuchni.

Emilie zawróciła w kierunku schodów, korzystając z okazji.

– Jeśli nie znajdziesz latarki, przynieś świeczkę albo dwie! – zawołał za nią.

Latarka, którą wreszcie znalazła, niestety, nie miała baterii. Emilie wzięła więc stare pudełko świec, zapalki i z westchnieniem ruszyła do piwnicy.

– Mam! – krzyknęła w dół.

Sebastian wybrał dwie świece z pudełka i trzymał, gdy Emilie je zapalała. Dał jej jedną i wrócił do ciemnego wnętrza, a ona niechętnie poszła jego śladem.

Znaleźli się w środku małego pokoju, na który niesamowitą poświatę rzucały płomyki świec. Rozglądali się przez chwilę w milczeniu.

– Sprostuj, jeśli to tylko moja chora wyobraźnia, ale mam wrażenie, że ktoś tutaj kiedyś mieszkał – powiedział wreszcie Sebastian. – To łóżko tam, z małym stolikiem obok, fotel pod oknem, ustawiony pewnie tak, by łapać ten wąty promień światła, jaki tu wpada, komoda... – Poruszył świecą w tamtym kierunku. – Jest nawet koc na materacu.

– Tak – potwierdziła Emilie, kiedy jej oczy przywykły do mroku – i dywanik na podłodze. Ale kto by mieszkał w piwnicy?

– Może ktoś ze służby? – podsunął Sebastian.

– Służący mieszkali w pokojach na poddaszu. Moja rodzina nigdy nie byłaby tak okrutna, żeby lokować służbę w czymś takim.

– No pewnie – wycofał się szybko Sebastian. – I patrz, tam są jeszcze jedne małe drzwi.

Podszedł i je otworzył.

– Sądzę, że to było coś w rodzaju łazienki. Na ścianie jest kran, a pod nim na ziemi duża emaliowana miska. I szafka. – Pochylił ostrożnie głowę, wychodząc ze środka. – To musiało być przez kogoś używane, ale przez kogo? – Podszedł do Emilie, z błyszczącymi oczami, zaintrygowany. – Chodźmy na górę, nalejmy sobie po kieliszku wina z jednej z tych butelek z sąsiedniej piwniczki i spróbujmy rozwikłać tę zagadkę.

Na górze w kuchni Emilie nagle dostała dreszczy. Nie wiedziała, czy to skutek chłodu w piwnicy, czy spóźniona reakcja na szok.

– Biegnij na górę i znajdź jakiś sweter, a ja spróbuję rozpalić ogień w kominku. Zrobiło się zimno na wieczór – zauważył Sebastian. – Słyszysz, jaki zerwał się wiatr?

– Tak, to mistral – powiedziała. – Kiedy wieje, zawsze spada temperatura, ale nie wiem, czy mamy czym napalić.

– Co?! Kiedy dokoła tyle drzew? Nie będzie problemu. – Mrugnął do niej. – Za chwilę wracam.

Na piętrze Emilie wzięła sweter, ściągnęła koc z łóżka i przeszła po pokojach, żeby upewnić się, czy wszystkie okiennice są dobrze zamknięte przed nasilającą się wichurą. Wielu okolicznych mieszkańców bało się mistrala pędzącego z nieustępliwą siłą doliną Rodanu, często zrywającego się zniecka i w ciągu kilku minut osiągnąjącego niesamowitą prędkość. Krążyły różne opowieści, jakoby wiatr sprzyjał czarom, wpływał na cykl hormonalny kobiet i zachowania zwierząt. Ale Emilie zawsze podziwiała jego potęgę i to, że kiedy ustawał, powietrze robiło się czyste jak kryształ.

Sebastian pojawił się w kuchni dziesięć minut później z taczką pełną suchych gałęzi zebranych w ogrodzie i kilkoma starymi bierwionami znalezionymi w szopie.

– No dobrze – rzucił – do dzieła. Pokaż mi, gdzie napalić.

Emilie zaprowadziła go do pokoju porannego i wkrótce w palenisku wesoło strzelał ogień.

– Świetny kominek – pochwalił Sebastian, wycierając dłonie w swoje sportowe spodnie. – W tamtych czasach naprawdę umieli je budować.

– Ja nie wiedziałabym nawet od czego zacząć, żeby rozpalić ogień – wyznała Emilie. – W naszych domach paliła służba, a u mnie w mieszkaniu nie ma kominka.

– Moja mała księżniczko – uśmiechnął się – tam, skąd pochodzę, palenie w piecach to codzienność. Teraz pójdę otworzyć jedną z butelek, które przynieśliśmy z piwnicy, i sprawdzę, czy to wino nadaje się do picia. I jeśli można, pomyszkuję trochę po kuchni, żeby zobaczyć, czy uda mi się skołować też coś do jedzenia. Cały dzień nic nie miałem w ustach, a jestem pewien, że tobie też dobrze zrobiłoby coś na ząb.

– Oj, ale... – Emilie wstała, lecz Sebastian popchnął ją z powrotem na kanapę.

– Nie, ty tu zostań i rozgrzej się. Pójdę rozejrzeć się, co się znajduje.

Emilie otuliła się szczerzej kocem i zapatrzyła w tańczące płomienie. Było jej ciepło i dobrze. Od czasów, kiedy była małą dziewczynką pod opieką ukochanej niani, nie pamiętała, żeby ktoś się nią tak zajmował. Zwinęła się w kłębek, położyła głowę na pokrytym starym adamaszkiem oparciu kanapy i zamknęła oczy.

•••

– Emilie!

Poczuła, że ktoś delikatnie nią potrząsa.

– Czas na pobudkę, kochanie.

Otworzyła powieki i zobaczyła nad sobą wpatrzone w nią piwne oczy Sebastiana.

– Dochodzi dziewiąta. Przespałaś dwie godziny. A kolacja podana.

Emilie usiadła, zaspana i zawstydzona.

– Sebastianie. Przepraszam.

– Nie ma za co przeproszać. Najwyraźniej jesteś wyczerpana. Przyniosłem tu kolację, bo w kuchni jest bardzo zimno. Mistral naprawdę wiał jak diabli, kiedy wracałem ze sklepu. Łap za widelec – powiedział, wskazując na talerz parującego spaghetti bolognese stojący przed nią na niskim stoliku. – To wino, które przynieśliśmy z piwnicy, pachnie dobrze, sprawdźmy, czy da się pić.

Podniósł kieliszek do ust, wziął mały łyk i posmakował. Skinął z zadowoleniem głową.

– Fantastyczne. Mam nadzieję, że nie otworzyłem butelki czerwonego wina wartej setki franków do naszego spaghetti bolognese!

– Tam na dole jest tyle butelek, że na pewno możemy jedną wypić. – Emilie sięgnęła po swój kieliszek i spróbowała. – Tak, świetne.

Nabrała do ust sporą porcję spaghetti, nagle uświadamiając sobie, jak bardzo jest głodna.

– To bardzo miło z twojej strony. Wspaniale gotujesz.

– Nie przesadzajmy, ale potrafię coś upichcić z kilku podstawowych składników. Kiedy spałaś, pomyślałem też trochę nad tym, jak zająć się sprawą Matisse’a. Zadzwoiłem do przyjaciela, który pracuje w Sotheby’s w Londynie. Polecił mi swojego znajomego w Paryżu. Mam jego numer telefonu, więc jeśli będziesz chciała i jutro do niego zadzwonisz, to zacznie działać.

– Na pewno się z nim skontaktuję, dzięki.

– To jeden z najlepszych paryskich aukcjonerów. I ma świetne rekomendacje od mojego przyjaciela. Muszę przyznać, że kiedy będzie oglądał obraz, chętnie byłbym muchą na ścianie, żeby dowiedzieć się, czy miałem rację – dodał Sebastian z uśmiechem.

– Oczywiście, możesz w tym uczestniczyć. – Emilie skinęła głową. – Kiedy wracasz do Anglii?

– Pod koniec przyszłego tygodnia, do tego czasu jestem więc do twojej dyspozycji – odparł. – Musisz teraz przemyśleć tyle spraw. Ale w pierwszej kolejności trzeba zadbać o bezpieczeństwo tej posiadłości i siebie. Jeśli chcesz, mogę porozmawiać z facetem, który przyjedzie tu jutro zmienić zamek od frontu, i zapytam, kogo by polecał do założenia alarmu.

– Jeżeli możesz, to tak, to by mi bardzo pomogło – powiedziała z wdzięcznością. – Sama nie wiedziałabym, od czego zacząć.

– Dobrze, a teraz – ciągnął, raz po raz nabierając sobie widelcem spaghetti – przejdźmy do ciekawszych spraw. Skąd wzięło się w piwnicy to coś w rodzaju kryjówki? Masz jakiś pomysł?

– Nie. – Emilie pokręciła przecząco głową. – Obawiam się, że bardzo mało wiem o historii mojej rodziny.

– Przychodzi mi do głowy, że to może być miejsce, w którym ktoś ukrywał się podczas wojny. Boże, po kilku minutach spędzonych tam człowiek mógłby oszaleć – rzucił rozemocjonowany. – A wyobrażasz sobie, co by było, gdyby tak siedzieć w tym zamknięciu wiele dni, tygodni, a nawet miesięcy?

– Nie, to nie do pomyślenia – zgodziła się Emilie. – Szkoda, że ojciec nie żyje i nie mogę go już o nic spytać. Wstyd, że tak mało wiem o przeszłości. Może porządkując tu rzeczy, odkryję więcej.

– Na pewno. – Sebastian wstał i zaczął zbierać naczynia.

– Proszę, zrobiłeś już dość, pozwól, że ja się tym zajmę – zaoponowała Emilie. – Pewnie czas na ciebie.

– Co? – oburzył się Sebastian. – Naprawdę myślisz, że zostawię cię tu samą na noc, kiedy nawet nie da się zamknąć frontowych drzwi? Nie zmrużyłbym oka. Nie, Emilie, zgódź się, żebym został. Mogę spać tu, na dole, na kanapie przed kominkiem, żaden problem.

– Sebastianie, nic mi nie będzie, nie martw się. Piorun rzadko uderza dwa razy w to samo miejsce, prawda? Jak mówiłam żandarmowi, mogę też zamknąć drzwi swojego pokoju. A sądzę, że miałeś już ze mną dość kłopotu. Proszę, jedź spokojnie do domu – błagała.

– No, jeśli moja obecność cię krępuje to, oczywiście, już się zbieram.

– Nie o to chodzi. Po prostu mam wyrzuty sumienia, że zabieram ci czas – pospiesznie zaprzeczyła Emilie. – Przecież ledwo się znamy.

– Proszę, nie czuj się winna. Łóżko w mojej kwaterze jest twarde jak kamień.

– Skoro tak, to zostań, dziękuję – poddała się Emilie. – I oczywiście musisz spać w jednej z sypialni. To śmieszne, żebyś spał tu, na dole.

– Umowa stoi. – Sebastian sięgnął po pogrzebacz. – Wezmę to i będę miał przy łóżku na wszelki wypadek.

Razem pozmywali. Emilie zamknęła tylne drzwi, a potem poprowadziła Sebastiana korytarzem na piętro do sypialni.

– Margaux zawsze ma tu posłane w razie niespodziewanych gości. Mam nadzieję, że będzie ci wygodnie – powiedziała.

– Dam sobie radę. – Sebastian rozejrzał się po wielkim pokoju pełnym pięknych francuskich antyków. – Dziękuję, Emilie. Śpij dobrze.

– Nawzajem. Dobranoc.

Sebastian zrobił krok w jej kierunku. Instynktownie zamknęła drzwi, zanim zdołał się do niej zbliżyć, i pospiesznie ruszyła korytarzem do swojej sypialni, gdzie przekreśliła klucz i padła na łóżko dziwnie zdyszana.

Czemu to zrobiła? Sebastian pewnie chciał tylko cmoknąć ją lekko na dobranoc. Kopnęła w materac z frustracji. Teraz nigdy się tego nie dowie.

•••

Po niespokojnej nocy, wyczulona do bólu na fakt, że Sebastian śpi zaledwie kilka metrów od niej – co wydawało się tak intymne – Emilie zeszła rano na dół,

żeby zrobić sobie kawę. Przymuszczała, że jej gość jeszcze śpi, zdziwiła się więc, kiedy usłyszała podjeżdżające auto, a po chwili w tylnych drzwiach pojawił się Sebastian.

– Dzień dobry – powiedział. – Wybrałem się do piekarni po śniadanie. Nie byłem pewien, co byś chciała. Wziąłem więc bagietki, croissanty i bułeczki z czekoladą. O, i jeszcze trochę mojego ulubionego francuskiego dżemu.

Wyłożył zakupy na kuchenny stół.

– Dziękuję – bąknęła Emilie, uświadamiając sobie, że powtarza mu to raz za razem. – Zaparzyłam kawę.

– Wyprawa po świeże pieczywo wczesnym rankiem to jedna z najprzyjemniejszych rzeczy podczas pobytu we Francji. Ta tradycja w Anglii dawno zaginęła – stwierdził. – A, prawda, dzwonił ślusarz, mówił, że będzie za jakąś godzinę.

– Tak mi głupio. – Emilie westchnęła. – Powinnam była zamknąć te tylne drzwi, kiedy wyjeżdżałam wczoraj.

– Emilie – powiedział łagodnie Sebastian, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Naprawdę miałaś bardzo ciężkie dwa tygodnie. Żal i szok mogą odbijać się na tobie na różne sposoby. – Dotykająca ją ręka zaczęła masować lekko jej ramię. – Nie bądź dla siebie zbyt surowa. Na szczęście nic strasznego się nie stało. Przyjmij, że to tylko ostrzeżenie na przyszłość. A teraz, jakie są twoje preferencje śniadaniowe?

– Bagietka, croissant... Wszystko jedno.

Odeszła od Sebastiana, żeby nalać kawę, a potem usiadła za stołem w milczeniu i jadła śniadanie. Słyszała, że Sebastian dzwoni do różnych firm zakładających alarmy, które polecił ślusarz.

– Dobrze – powiedział, odkładając słuchawkę i zapisując coś na kartce. – Wszyscy twierdzą, że potrafią zamontować odpowiedni dla tego domu system, ale muszą przyjechać i sprawdzić na miejscu, zanim podadzą cenę. Chcesz zamówić ich na jutro?

– Tak, dziękuję. – Emilie na niego popatrzyła nagle. – Dlaczego mi pomagasz?

– Co za pytanie?! – zachnął się Sebastian. – Pewnie dlatego, że cię lubię i widzę, że przechodzisz trudny okres. Poza tym, jestem pewien, że tego spodziewałaby się po mnie babcia Constance. Powiniennem pomóc córce jej przyjaciela Édouarda. A teraz, czy chcesz porozmawiać z facetem, który mógłby wykonać ekspertyzę Matisse'a, czy wolisz, żebym ja to zrobił?

Emilie trochę mdliło po zjedzonym na siłę śniadaniu.

– Może lepiej ty zadzwoń, łatwiej się z nim dogadasz.

– Dobrze. Radziłbym, żeby ocenił też inne obrazy w zamku, kiedy przyjedzie.

Niegłupio jest mieć dwie lub trzy opinie.

– Prawda. Jest jeszcze trochę rzeczy w paryskim domu, które też powinienam wycenić.

– A kiedy wracasz do Paryża? – zapytał Sebastian.

– Niedługo. – Westchnęła. – Ale masz rację, powinienam zrobić jak najwięcej, póki jestem tutaj. Jeśli zdecyduję się zatrzymać zamek, to będzie dopiero początek.

– Myślisz, żeby go zatrzymać?

– Tak. Choć jeśli potrafię zapomnieć o zamknięciu tylnych drzwi, to może głupotą jest porywać się na coś, co dla każdego byłoby sporym wyzwaniem.

– W każdym razie pamiętaj, że z przyjemnością we wszystkim pomogę, na ile tylko potrafię.

– To miło z twojej strony, jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała Emilie. Frou-Frou popiskiwała przy kuchennych drzwiach. Emilie wstała i wypuściła ją. – Jednak na pewno masz sporo własnych spraw, którymi powinieneś się zająć.

– No pewnie, ale skoro tak się składa, że pasjonuję się malarstwem, to nie będzie z mojej strony wielkie poświęcenie. A co z biblioteką? Chciałabyś, żebym znalazł jakiegoś dobrego eksperta od rzadkich książek, który by tu przyjechał i rzucił okiem na zbiory?

– Nie, dziękuję – odparła szybko Emilie. Zaczynało się jej kręcić w głowie. – Nie ma pośpiechu, bo nigdy nie sprzedam tych książek. Muszę zadzwonić do Gerarda, naszego notariusza. Nagrał mi się wczoraj po południu trzy razy, a ja się nie odezwałam.

– W takim razie podskoczę teraz do swojej kwatery, żeby się przebrać i wziąć prysznic. Do zobaczenia wkrótce. I pamiętaj – dorzucił na odchodnym – że lada moment będzie tu ślusarz.

– Dziękuję, Sebastianie.

• • •

Kiedy Emilie zaprowadziła ślusarza do frontowych drzwi i zostawiła go z jego zadaniem, nie bez małej satysfakcji zadzwoniła do Gerarda i poinformowała go, że jak na razie zorganizowała tu wszystko, co trzeba. Umówiła się z nim na

spotkanie w Paryżu w przyszłym tygodniu, w domu rodziców, sprawdziła, jak idzie ślusarzowi, i poszła do biblioteki, żeby odetchnąć nieco w jej spokojnej atmosferze. Wędrując wzdłuż półek, myślała o tym, jak wielkim przedsięwzięciem będzie przeniesienie gdzieś tysięcy tomów, gdyby zdecydowała się sprzedać zamek albo go odnowić.

Zauważyła, że dwie książki wystają spośród innych. Wyciągnęła je i przekonała się, że dotyczą uprawy drzew. Wsunęła je na miejsce i wyrównała szereg, a potem poszła do kuchni, bo usłyszała, jak po żwirze podjeżdża samochód Sebastiana.

Wpadł zdyszany przez tylne drzwi.

– Emilie! Próbowałem się do ciebie dzwonić! – Przeczesał palcami włosy. – Właśnie znalazłem twoją suczkę na poboczu. Jest ciężko ranna. Musimy zawieźć ją natychmiast do weterynarza. Leży na tylnym siedzeniu mojego auta. Chodź, jedźmy.

Przerażona Emilie wybiegła za Sebastianem. Usiadła przy pokrwawionej i z trudem oddychającej Frou-Frou. Sebastian ruszył pełnym gazem w kierunku La Croix Valmer, gdzie, jak powiedziała mu Emilie, przyjmuje weterynarz. To było dziesięć minut jazdy od zamku. Emilie łyzy płynęły po policzkach, kiedy głąskała bezwładną Frou-Frou leżącą jej na kolanach.

– Wypuściłam ją rano – chlipała – a potem przyjechał ślusarz i zapomniałam zawołać ją z powrotem. Ona zwykle nigdzie nie odchodzi, ale może pobiegła za twoim autem... a na drodze... Jest ślepa i nie widziała, że coś jedzie... O Boże! Jak mogłam o niej zapomnieć!

– Emilie, Emilie, przestań, uspokój się. Może lekarz ją uratuje. – Sebastian robił, co w jego mocy, żeby ją pocieszyć.

Ale jedno spojrzenie na twarz weterynarza potwierdziło to, co Emilie ze względu na swoją specjalność zawodową sama dobrze wiedziała.

– Przykro mi, *mademoiselle*, suczka ma ciężkie obrażenia wewnętrzne. Moglibyśmy próbować ją operować, ale jest stara i bardzo słabiotka. Może najlepiej pomóc jej odejść bez bólu? To samo poradziłaby pani swojemu klientowi, prawda? – powiedział łagodnie.

– Tak. – Załamana Emilie skinęła głową. – Na pewno.

Dwadzieścia minut później, po ostatnim pożegnaniu i pocałowaniu w łepkę Frou-Frou, kiedy lekarz robił jej zastrzyk, a małe ciało po raz ostatni drgnęło,

poddając się ostatecznie, zdruzgotana Emilie wychodziła chwiejnym krokiem po schodach z gabinetu wsparta dla równowagi na ramieniu Sebastiana.

– Matka ją uwielbiała, obiecałam się nią opiekować, a...

– Przestań, kochanie, odwieziemy cię do domu – mówił Sebastian, podprowadzając ją do auta.

Ruszył. Emilie siedziała na miejscu pasażera, odrętwiała z poczucia winy i smutku. Kiedy dotarli do zamku i weszli tylnymi drzwiami, od razu opadła na krzesło przy stole i zrozpaczona wsparła głowę na rękach.

– Nie umiem przypilnować nawet jednego małego psa! Jestem beznadziejna, matka miała rację! Nic nie robię porządnie, nic. A jestem ostatnią z tak wielkiego arystokratycznego rodu! Tylu w niej bohaterów, włączając mojego ojca, ale patrzcie na mnie! Jestem do niczego!

Wylał się z niej cały żal, że dla matki była jednym wielkim rozczarowaniem, i Emilie szlochała jak dziecko, ukrywając twarz w dłoniach.

Kiedy wreszcie podniosła wzrok, zobaczyła, że Sebastian siedzi cicho przy stole i patrzy na nią.

– Przepraszam! – zawołała zawstydzona swoim wybuchem. – Wybacz mi, jestem... nie do zniesienia! Jak zawsze – wychlipała.

Sebastian powoli wstał, obszedł stół, schylił się i podał jej chustkę, by wytarła ciekący nos.

– Emilie, ręczę ci, że to, jak siebie widzisz, a co najwyraźniej jest odbiciem punktu widzenia twojej matki, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Nie znam cię długo – powiedział i uśmiechnął się, odgarniając jej lok z twarzy i zakładając go za ucho – ale myślę, że jesteś dzielną, silną i inteligentną kobietą. Nie mówiąc już o tym, że piękną.

– Piękną! – Emilie popatrzyła na niego, jakby zwariował. – Sebastianie, naprawdę, doceniam to, że chcesz mnie pocieszyć, ale takie szyte grubymi nićmi kłamstwa? Nie traktuj mnie jak dziecko. Nie jestem piękną!

– I to pewnie też powiedziała ci mama?

– Tak, ale to prawda – wypaliła z całą mocą.

– No, wybacz mi, że wyrażam własną opinię, ale nasunęła mi się, kiedy tylko po raz pierwszy na ciebie spojrzałem. I nie mów, że jesteś do niczego, nigdy nie słyszałem większej bzdury. Jak dotąd widzę, że świetnie się uporałaś z tym, co innych doprowadziłoby do kompletnej rozpacz. I to zupełnie sama. Emilie, słuchaj – poprosił – jakikolwiek był stosunek matki do ciebie, naprawdę nie wolno

ci patrzeć na siebie jej oczami. Bo ona, kochanie, nie miała racji. Bardzo się myliła. A teraz nie żyje i to twoja kolej. Już nie może cię skrzywdzić, naprawdę. Chodź.

Sebastian wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. Mocno. A ona dalej płakała mu w ramię.

– Obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. I jestem tu, jeśli tylko chcesz.

Spojrzała na niego.

– Ale ty mnie prawie nie znasz! Jak możesz mówić takie rzeczy?

Sebastian zaśmiał się lekko.

– Trzeba przyznać, że to były dwa dość dramatyczne dni. Na pewno gdybym poznał cię w Paryżu i poszedł z tobą parę razy na kolację, nie czułbym się w prawie wydawać sądów. Ale przeciwności losu miewają i swoje pozytywne strony. Bariery, których przekroczenie zajmuje zwykle długie tygodnie, zostają pokonane dużo szybciej. Dlatego myślę, że cię rozumiem. I chciałbym spędzić z tobą o wiele więcej czasu, gdybyś mi pozwoliła.

Ujął ją za ramiona, odsunął lekko od siebie i unióś jej brodę, żeby spojrzała mu w oczy.

– Emilie, wiem, że to dzieje się bardzo szybko, a ty jesteś przerażona. Ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić, to wywierać na ciebie presję. Nie będę, przyrzekam. Ale muszę przyznać, że w tej chwili marzę o tym, żeby cię pocałować.

Emilie popatrzyła na niego i po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Pocałować mnie?

– Tak. Czy to takie szokujące? – zażartował sobie z niej leciutko. – Ale nie martw się, nie rzucę się na ciebie. Chciałem być tylko szczery.

– Dziękuję. – Emilie wpatrywała się w niego i podjęła własną decyzję. Przynuszyła się i nieśmiało dotknęła jego ust swoimi wargami. – Dziękuję, Sebastianie. Za wszystko. Byłeś taki dobry, a ja...

Ujął jej twarz w dłonie i oddał pocałunek, ale potem nagle cofnął się, jakby się opamiętał.

– Słuchaj – powiedział, splatając palce dłoni z jej palcami – proszę, powiedz mi, czy tego chcesz. Byłoby dla mnie okropne, gdybyś myślała, że w jakikolwiek sposób wykorzystuję twoją sytuację. Masz mętlik w głowie, na pewno sama nie wiesz jeszcze, co czujesz, i...

– Sebastianie, w porządku. – Teraz z kolei Emilie próbowała go pocieszyć. – Dobrze wiem, co robię. Jestem już dorosła, jak mówiłeś. Więc, proszę, nie martw

się.

– No to nie będę – odparł cicho.

Kiedy znów przygarnął ją do siebie, Emilie poczuła, jak powoli ból ustępuje miejsca czułości. I poddała się temu.

Paryż, styczeń 1999 roku – dziewięć miesięcy później

Emilie siedziała w tylnym rzędzie na sali, gdzie prowadzono aukcję. Przypatrywała się zbiorowisku wytwornych paryżanek unoszących finezyjnie wymanicurowane dłonie, by podbijać stawkę za przepiękny naszyjnik i kolczyki z kanarkowymi brylantami. Spojrzała na katalog, gdzie na marginesie zapisywała sumy, i zdała sobie sprawę, że jak dotąd osiągnęła ze sprzedaży prawie dwanaście milionów franków.

W ciągu paru następnych tygodni, poza kilkoma obrazami i meblami, które postanowiła zatrzymać i za jakiś czas przetransportować do zamku, cały wystrój paryskiego domu miał również pójść pod młotek. Sama rezydencja została już sprzedana i nowi właściciele mieli ją wkrótce przejąć.

Poczuła lekki dotyk na lewej ręce i zerknęła w bok.

– W porządku? – szepnął Sebastian.

Skinęła głową, wdzięczna, że on rozumie, jak musi się czuć, kiedy cenna kolekcja biżuterii jej matki idzie pod młotek. Uzyskane pieniądze spłacą sporą część długów Valérie, co pozwoli jej przeznaczyć środki ze sprzedaży paryskiego domu na rozpoczęcie renowacji zamku. Autentyczność Matisse'a została potwierdzona, i to dość szybko, dzięki pomocy Sebastiana. Natychmiast znalazł też zainteresowanego nim prywatnego kupca i dumnie wręczył jej czek na pięć milionów franków.

– Jaka szkoda, że Matisse nie podpisał płótna. Byłoby warte przynajmniej trzy razy tyle. – Westchnął.

Emilie spojrzała ukradkiem na Sebastiana, który z rozbawieniem obserwował gorączkowe licytowanie naszyjnika z kolczykami. Często łapała się na tym, że mu się przypatruje i nie może się nadziwić, że tak nagle pojawił się w jej życiu i tak bardzo je zmienił.

Ten mężczyzna ją ocalił. Teraz wszystko było inne. Czuła się trochę tak, jakby obudziła się z długiego, przykrego snu i wreszcie wyszła na słońce. Przez pierwsze

tygodnie nie chciała uwierzyć w jego uczucie do niej, bała się, że Sebastian w każdej chwili może zniknąć i ją zostawić. Jednak on był niezmiennie serdeczny, dobry i wreszcie przełamał jej nieufność. Teraz, po dziewięciu miesiącach, rozkwitała w jego miłości jak uschnięty kwiat, który nagle został podlany. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, nie widziała już tamtej zdesperowanej, budzącej litość kobiety. Dostrzegła blask w oczach, jej cera stała się promienna... Bywały nawet dni, kiedy myślała, że można ją uznać za całkiem ładną.

Poza tym Sebastian fantastycznie sprawdzał się, pomagając jej porządkować sprawy dotyczące ogromnej posiadłości de la Martinièresów. Choć nie byli stale razem, bo musiał krążyć między Francją a swoją firmą w Anglii, dołączał do niej, kiedy tylko mógł, by wspierać ją podczas wyceny, a potem opróżniania paryskiej rezydencji. Pomagał jej też przebrnąć przez skomplikowane procedury z rzeczoznawcami, architektami i ekipami remontowymi, przewijającymi się przez zamek, żeby Emilie wyrobiła sobie zdanie, co konkretnie trzeba odnowić, i zorientowała się w kosztach.

Zdawała sobie sprawę, że coraz bardziej uzależnia się od Sebastiana, nie tylko w sensie emocjonalnym, ale i praktycznym, w całej gmatwaninie finansowej, z jaką musiała się uporać. Nie żeby nie potrafiła rozeznac się w niekończącej się stercie papierów, które przekazywał jej Gerard, czy w jego sugestiach co do zainwestowania pieniędzy, kiedy już będzie je miała. Ale po prostu, podobnie jak jej ojca, Emilie to nie interesowało. Jeśli tylko stać ją było na odnowienie zamku i miała jakieś zabezpieczenie finansowe na przyszłość, to sposób ulokowania pieniędzy kompletnie jej nie obchodził. Była zbyt szczęśliwa, aby zwracać sobie tym głowę.

Kiedy usłyszała, że suma oferowana za naszyjnik i kolczyki przekracza spodziewany milion dwieście tysięcy franków, przysięgła sobie, że jak tylko pozbędzie się paryskiego domu, siądzie i przeanalizuje wszystkie szczegóły finansowe z Sebastianem. Wiedziała, że powinna panować nad sytuacją, ale on był w tym wszystkim o wiele lepszy od niej. I nauczyła się ufać mu bezgranicznie. Jak dotąd nigdy jej nie zawiodł.

Stuknięcie młotka. Sebastian uśmiechnął się do niej.

– Super! Trzysta tysięcy franków więcej, niż się spodziewaliśmy. Gratulacje, kochanie. – Pocałował ją czule w policzek.

– Dziękuję.

I wtedy zobaczyła, jak licytator pokazuje prosty sznur kremowych pereł i dobrane do niego kolczyki. Ścisnęło ją w gardle. Pochyliła głowę. Nie była w stanie patrzeć.

Sebastian natychmiast to zauważył.

– Co się dzieje, Emilie?

– Moja matka nosiła te perły przez prawie całe życie. Ja... wybac.

Wstała i ruszyła do wyjścia, potem rozejrzała się za toaletą. Siadła na zamkniętej klapie klozetu i zakryła twarz dłońmi. Miała zawroty głowy, zbierało jej się na wymioty. Była zaskoczona, że widok tych pereł zrobił na niej takie wrażenie. Do tej pory pozbywanie się rzeczy matki znosiła dość obojętnie. Niespecjalnie ich żałowała. Jeśli już, czuła ulgę, że wreszcie uwalnia się od przeszłości.

Popatrzyła na rzeźbione dębowe drzwi. Czy osądzała mamę zbyt surowo? Przecież Valérie nigdy nie znęcała się nad nią fizycznie. Fakt, że czuła się mało ważna w świecie matki – w najlepszym przypadku jak jakiś nieistotny dodatek, a nie jego centrum – nie oznacza, że *maman* była zła. Po prostu sama dla siebie stanowiła pępek świata i nie było tu miejsca na nikogo innego.

A... kiedy Emilie w wieku trzynastu lat tak ciężko zachorowała i stało się to najgorsze, to nie przez okrucieństwo matki. Jej matka po prostu jeszcze raz nic nie zauważyła.

Wstała, wyszła z kabiny i ochlapała twarz wodą.

– Starala się, jak mogła. Musisz jej wybaczyć – powiedziała do swojego odbicia w lustrze. – Musisz żyć dalej.

Emilie wzięła kilka głębokich wdechów i wyszła z toalety. Na korytarzu czekał na nią Sebastian.

– Nic ci nie jest? – zapytał zaniepokojony i objął ją.

– W porządku. Zrobiło mi się trochę słabo, ale już jest dobrze.

– Kochanie, takie rzeczy dla każdego są przykre – stwierdził, wskazując na salę aukcyjną. – Nic miłego patrzeć, jak te sępy rzucają się na to, co zostało po twojej matce. Może zaproszę cię na lunch? Nie ma powodu, żebyś tu tkwiła i dalej się dołowała.

– Dobrze, chętnie – odparła Emilie z wdzięcznością.

Wiał rześki styczniowy wiatr, gdy Sebastian prowadził ją paryską ulicą do restauracji, którą, jak mówił, znał.

– To prosty lokal, ale ich *bouillabaise* jest fantastyczna, zwłaszcza na taki ziąb jak dziś.

Usiedli przy rustykalnym stole. Emilie przemarzła na kość i cieszyła się ciepłem z rozpalonego obok kominka. Sebastian zamówił zupę rybną, wziął ręce Emilie w swoje i rozcierał je, żeby ją rozgrzać.

– Na szczęście to już prawie koniec i możesz zacząć skupiać się na przyszłości, nie na tym, co za tobą.

– Nie poradziłabym sobie bez ciebie, Sebastianie. Dziękuję, bardzo dziękuję ci za wszystko. – Oczy Emilie zaszkliły się od łez.

– Cała przyjemność po mojej stronie – powiedział zdecydowanie. – I może to najlepszy moment, abyśmy pomówili o naszej przyszłości.

Na te słowa tętno Emilie wyraźnie przyspieszyło. Zajęta porządkowaniem przeszłości żyła po prostu z dnia na dzień, w czasie teraźniejszym. Poza tym prawie nie śmiała wybiegać myślą naprzód, bo nie miała pojęcia, jak ich związek widzi Sebastian, a brakowało jej pewności siebie, by o to pytać. Siedziała cicho i czekała, co teraz powie.

– Wiesz, że mam firmę w Anglii, Emilie. Przez tych kilka miesięcy, które spędziłem tutaj, starałem się, jak mogłem, jej nie zaniedbać, ale przyznaję, że nie poświęcałem Arté dość uwagi.

– O, to moja wina – przerwała mu Emilie pełna wyrzutów sumienia. – Tyle dla mnie zrobiłeś, kosztem swoich interesów.

– Nie ma tragedii – zapewnił ją – jednak na pewno muszę pomyśleć o powrocie, bo w takiej pracy potrzebne jest zaangażowanie.

– Rozumiem...

Głos jej się załamał, kiedy dotarło do niej, co sugeruje Sebastian.

Pomógł jej w bardzo trudnych dla niej chwilach. Czy uważa, że najgorsze już za nią i że ona już go nie potrzebuje? Ścisnęło ją w dołku.

Wszystko, co czuła, musiało malować się w jej oczach, bo Sebastian wziął jej dłoń i ucałował.

– Głuptasku. Wiem, co myślisz. Tak, muszę wrócić do Anglii, przynajmniej teraz, ale nie mam zamiaru cię tu porzucić.

– No to... co sugerujesz?

– Żebyś pojechała ze mną, Emilie.

– Do Anglii?

– Tak, do Anglii. A właśnie, czy mówisz po angielsku? Bo nie wiem, zawsze rozmawialiśmy po francusku. – Uśmiechnął się.

– Oczywiście – przytaknęła. – Matka nalegała, żebym się uczyła, a w Paryżu miałam w klinice również klientów Anglików.

– To dobrze, będzie dużo łatwiej. Jedź ze mną, przynajmniej na trochę. Wynajmij komuś swoje paryskie mieszkanie i wybierz się ze mną poprobać piwa i puddingu z Yorkshire.

– Ale co z zamkiem? Przecież powinnam być na miejscu i doglądać prac? – zaproponowała.

– Na pewno kiedy ruszy remont, dom zmieni się na kilka miesięcy w plac budowy. Trzeba pociągnąć nowe instalacje, wymienić rury, nie mówiąc o położeniu dachu. Zamek po prostu nie będzie nadawał się do mieszkania, zwłaszcza zimą. Mogłabyś siedzieć u siebie w Paryżu i dojeżdżać do Gassin, ale równie szybko doleć do Nicei z brytyjskiego lotniska. A to by znaczyło, że możemy być razem. Jeżeli – popatrzył na nią – tego właśnie chcesz.

– Ja...

– Słuchaj, pomyśl o tym trochę – przerwał jej. – Oczywiście wolałbym mieć cię obok siebie w Anglii, niż stale latać tam i z powrotem. Jednak tak naprawdę to twoja decyzja. I zrozumieć, jeśli postanowisz zostać tu, we Francji.

– Ale... – Emilie nie do końca wiedziała, jak to ująć. Czy on chce, żeby przeprowadziła się do Anglii na stałe? Czy tylko do czasu, kiedy zakończy się remont zamku?

– Emilie. – Sebastian westchnął, obserwując ją. – Czytam w tobie jak w otwartej książce. To, co proponuję, nie jest pragmatyczne, lecz podyktowane emocjami. Kocham cię. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Gdzie i jak to kwestie, które możemy rozwiązać później, na spokojnie. Ale chciałbym zadać ci jeszcze jedno pytanie...

Emilie patrzyła, jak Sebastian sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyciąga pudełko i otwiera je. W środku był mały pierścionek z szafirem.

– Czy zechcesz zostać moją żoną?

– Co?

– Proszę, nie patrz z takim przerażeniem – powiedział Sebastian, wznosząc oczy do nieba. – To miała być romantyczna chwila i powinnaś się trochę wczuć.

– Przepraszam. Jestem po prostu w szoku, to wszystko. Nie spodziewałam się tego. – Czy Emilie wypełniły się nagle łzami. – Czy jesteś pewien? – spytała, wpatrując się w niego intensywnie.

– Jasne! – Sebastian westchnął. – Oczywiście, że jestem pewien! Wiesz, niecodziennie oświadczam się kobietom i daję im pierścionki.

– Ale my ledwie się znamy.

– Emilie, przez ostatnich dziewięć miesięcy poznaliśmy się chyba wystarczająco dobrze. Razem pracowaliśmy, spaliśmy i rozmawialiśmy ze sobą. Chyba że – oczy mu pociemniały – nie jesteś pewna swoich uczuć do mnie, wtedy oczywiście zrozumieć.

– Nie! Nie. – Emilie starała się pozbiierać po pierwszym szoku. – Sebastianie, jesteś cudowny i ja... kocham cię. Jeżeli naprawdę tego chcesz, to... tak.

– Jesteś pewna?

Sebastian nadal trzymał pierścionek w powietrzu.

– Tak – odparła Emilie.

– No to – powiedział, nakładając go jej na palec – jestem bardzo szczęśliwy.

Emilie spojrzała na pierścionek.

– Piękny – wyszeptwała.

– To był zaręczynowy pierścionek mojej babki. Mnie też bardzo się podoba, ale na pewno nie dorównuje wielkim jak kostki cukru brylantom, które lubiła twoja matka. A tak przy okazji, nie czułbym się wcale urażony, gdybyś chciała zachować swoje nazwisko panieńskie – dodał, biorąc mały łyk wina. – Jesteś w końcu ostatnią z rodu de la Martinièresów.

Emilie nigdy się nad czymś takim nie zastanawiała.

– Naprawdę nie wiem – powiedziała. Powoli docierało do niej, że stało się coś bardzo ważnego. I zdumienie ustępowało zachwytowi.

– No pewnie – pocieszył ją Sebastian, kiedy przyniesiono im zupę rybną. – Przepraszam, że tak cię bombarduję, ale planowałem to od dość dawna. Gdzie i kiedy chciałabyś dopełnić formalności?

– Na razie nie mam pomysłu, ale gdzieś we Francji, jeśli nie masz nic przeciw temu – dodała szybko. – I bardzo skromnie.

– Spodziewałem się, że to powiesz. A co z tym „kiedy”?

Emilie wrzuciła ramionami.

– Nie mam preferencji, a ty?

– Dla mnie im szybciej, tym lepiej – oznajmił Sebastian. – Myślałem, jak cudownie byłoby wrócić do Anglii z nowo poślubioną żoną. A skoro już wolisz Francję i bardzo cichy ślub, co sądzisz o tym, żebyśmy zrobili to za parę tygodni, tu, w Paryżu?

Kilka dni później Emilie przyjechała do zamku nadzorować wywóz mebli, które należało usunąć na czas remontu. Po ślubie i przeprowadzce do Yorkshire będzie musiała wrócić jeszcze raz, ponieważ powinna zorganizować spakowanie książek, zanim zaczną się roboty. Sebastian poleciał do Anglii po odpis aktu urodzenia, by skompletować dokumenty potrzebne do ślubu we Francji.

Udało się jej wynająć paryskie mieszkanie na pół roku, a potem zacisnęła zęby i zadzwoniła do Leona, swojego szefa z kliniki dla zwierząt, by powiadomić go, że jednak rezygnuje z pracy.

– Bardzo nam żal, że cię tracimy – powiedział. – Twój pacjent też będą za tobą tęsknić. Gdybyś kiedykolwiek chciała wrócić, daj mi znać. Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia i w Anglii. Cieszę się, że znalazłaś szczęście, zasługujesz na to.

Emilie zdawała sobie sprawę, że ci nieliczni przyjaciele, którym powiedziała o postanowieniu, by wszystko rzucić i podążyć za porywem serca do Anglii, są zaskoczeni.

– Nie spodziewałabym się po tobie tak nagłej decyzji – przyznała Sabrina, przyjaciółka ze studiów. – Mam nadzieję, że będę mogła dojechać na ślub i poznam wreszcie twojego księcia w lśniącym zbroi, który uwozi cię z Francji na swoim białym rumaku.

– Nikogo nie zapraszamy. Będziemy tylko we czworo: Sebastian, ja i nasi świadkowie. Tak wolę.

– Jesteś dziwna, Emilie. – Rozczarowana Sabrina westchnęła. – Nastawiałam się na wielkie weselisko. No nic, odzywaj się, powodzenia.

Kiedy Emilie podchodziła do zamku, Margaux wyszła powitać ją do frontowych drzwi. Najwyraźniej była oszołomiona całą tą krzątaniną tragarzy, którzy mijali ją, wynosząc do wozu przeprowadzkowego zbroje z czasów Ludwika XIV i kruche lustra w złoconych ramach.

– Prosiłam, żeby uważali, ale już obtłukli brzeg cennej komody – narzekała poirytowana gospodyni, stawiając w kuchni przed Emilie filiżankę kawy.

– To nieuniknione. Musimy spodziewać się jakichś szkód. – Emilie wzruszyła ramionami. – Margaux, muszę ci coś powiedzieć.

Z uśmiechem wyciągnęła dłoń, by pokazać pierścionek zaręczynowy.

– Wychodzę za mąż.

– Za męża? – Na twarzy Margaux malowało się zaskoczenie. – Za kogo?

– Za Sebastiana, oczywiście.

– Oczywiście. – Gospodyni skinęła głową. – Ale, *mademoiselle*, to tak szybko.

Zna go panienka dopiero parę miesięcy. Jest panienka pewna?

– Tak. Kocham go, Margaux. I był dla mnie taki dobry.

– Prawda.

Margaux podeszła do Emilie i ucałowała ją w oba policzki.

– W takim razie bardzo się za panienkę cieszę. Dobrze, że będzie panienka mieć kogoś, kto o nią zadba.

– Dziękuję.

– Teraz niech mi panienka wybaczy. Mamy na górze eksplozję kurzu po usunięciu mebli. Zobaczymy się później.

Po lunchu Emilie zdała sobie sprawę, że podczas wynoszenia mebli na niewiele zda się jej pomoc. Wołała też na to nie patrzeć, więc powędrowała do domu Jeana i Jacques'a. Chciała zawiadomić ich o swoim ślubie. Podczas krótkiego marszu postanowiła zapewnić ich też, że kiedy zaczną z dala stąd nowe życie, nie przestanie interesować się winnicą i renowacją zamku.

Jean uparł się, że otworzy szampana, którego dostał od jednego ze swoich przyjaciół winiarzy.

– Potrzebowałem pretekstu, by go otworzyć – rzucił z uśmiechem, kiedy wchodzili do ciepłego pokoju dziennego, gdzie przy kominku drzemał na fotelu Jacques.

– Tato, Emilie ma dobrą wiadomość! Zamierza wyjść za męża.

Jacques otworzył jedno oko i trochę nieprzytomny ze snu popatrzył na Emilie.

– Słyszałeś, tato? Emilie wychodzi za męża – powtórzył Jean. – A na przydechu dodał do Emilie: – Znów ma atak bronchitu. Zawsze go to łapie w zimie.

– Tak? – Jacques otworzył drugie oko. – A za kogo?

– Za tego młodego Anglika, którego poznaliśmy, kiedy go przyprowadziła do winnicy. Ma na imię Sebastian, a dalej? – Jean popatrzył na nią pytająco.

– Carruthers – dokończyła Emilie. – Pochodzi z hrabstwa Yorkshire w Anglii. Przeprowadzę się tam po ślubie. Ale tylko na jakiś czas, póki w zamku trwa remont, i często będę przyjeżdżać – oświadczyła zdecydowanie.

– Mówisz Carruthers? – ożywił się nagle Jacques. – Z Yorkshire?

– Tak, tato – potwierdził Jean.

Jacques potrząsnął głową, jakby chciał oprzytomnieć.

– To na pewno przypadek, ale znałem kogoś o nazwisku Carruthers z Yorkshire wiele, wiele lat temu.

– Naprawdę, tato? Kogo?

– Constance Carruthers mieszkała tu ze mną podczas wojny – powiedział Jacques.

– Tak nazywała się jego babka! A Sebastian mówił mi, że była we Francji w tamtych latach. – Emilie aż przebiegł dreszcz i dodała podekscytowana: – Mam jej pierścionek zaręczynowy.

Wyciągnęła dłoń do Jacques'a, który uważnie mu się przyjrzał.

– Tak, to jej pierścionek. – Jacques popatrzył na Emilie zdumiony, w jego oczach malowało się wzruszenie. – Wychodzisz za wnuka Constance?

– Tak.

– Mój Boże. – Jacques zaczął szukać chustki do nosa w kieszeni spodni. – Wprost trudno uwierzyć. Constance...

– Dobrze ją znalazłeś, tato? – Jean był równie zaskoczony, co Emilie.

– Bardzo dobrze. Mieszkała ze mną w tym domu przez wiele miesięcy. Była... – Jacques z trudem przełknął ślinę – dobrą, dzielną kobietą. Czy ona jeszcze żyje?

W jego załzawionych oczach zapłonęła iskierka nadziei.

– Niestety... Umarła mniej więcej dwa lata temu – powiedziała Emilie. – Jacques, jak to się stało, że Constance Carruthers mieszkała tu z tobą? Możesz mi o tym powiedzieć?

Przez dłuższy czas Jacques patrzył w przestrzeń, a potem zamknął oczy pogrążony w myślach.

– Trochę szampana, tato? – zaproponował Jean, podając kieliszek ojcu.

Jacques wziął go drżącą dłonią i upił mały łyk. Wyraźnie się zastanawiał.

– Jak poznałaś tego mężczyznę, wnuka Constance, Emilie? – zapytał.

– Constance tuż przed śmiercią opowiedziała Sebastianowi o swoim pobycie w okupowanej Francji. Znalazł się w pobliżu zamku naszej rodziny i przyjechał dowiedzieć się więcej – wyjaśniła Emilie. – Ale, podobnie jak ja, nie za bardzo rozumie, dlaczego jego babcia tu przebywała. Oboje bardzo byśmy chcieli poznać więcej szczegółów.

Jacques westchnął.

– To długa historia. I nie sądziłem, że ją kiedykolwiek opowiem.

– Jacques, proszę – błagała Emilie. – Jestem taka ciekawa. Każdego dnia odkrywam, jak mało wiem, szczególnie o swoim ojcu.

– Édouard był wspaniałym człowiekiem. Przyznano mu order za odwagę i służbę dla Francji, ale – Jacques ze smutkiem wzruszył ramionami – nie zgodził się go przyjąć. Uważał, że bardziej należałby się on innym.

– Proszę, Jacques, czy mógłbyś choć zacząć? – naciskała Emilie. – Przecież mam wyjść za wnuka Constance i to chyba ważne, żebym rozumiała, co łączyło nasze rodziny w przeszłości.

– Tak. Masz rację. Powinnaś wiedzieć. To w końcu historia twoich bliskich. Ale od czego zacząć...? – Jacques popatrzył w dal, jakby szukał tam odpowiedzi. – Może – powiedział wreszcie – zacznę od Constance. Wiem o niej prawie wszystko. – Uśmiechnął się. – Podczas długich wieczorów tutaj wiele razy opowiadała mi o swoim życiu w Anglii. I o tym, jak to się stało, że znalazła się we Francji...

Chciałabym widzieć

*Chciałabym widzieć czerwień
róż w pełnym rozkwicie.
Chciałabym widzieć srebrzyste
odbicie słońca w księżycu.*

*Chciałabym widzieć błękit
morza, co się rozlewa szeroko.
Chciałabym widzieć brąz
skrzydeł orła krążącego wysoko.*

*Chciałabym widzieć fiolet
winogron zwisających z pnączy.
Chciałabym widzieć złociste
światło dni, gdy lato się kończy.*

*Chciałabym widzieć rudy
kolor kasztanów, co z drzew spadają.
Chciałabym widzieć twarze
tych, którzy się do mnie uśmiechają.*

Sophia de la Martinières
lat 9, 1927 rok

Londyn, marzec 1943 roku

Constance Carruthers otworzyła brązową kopertę bez nadruków, którą znalazła na biurku po przyjściu do pracy, i przeczytała wiadomość. Po południu miała zgłosić się na rozmowę do pokoju 505a w Ministerstwie Wojny. Kiedy zdejmowała palto, zastanawiała się, czy to nie jakaś pomyłka. Connie bardzo odpowiadało obecne stanowisko – archiwistki w sekcji piątej kontrwywiadu, MI5 – i nie miała ochoty zmieniać etatu. Przeszła przez pełen pracowników pokój i zapukała do drzwi gabinetu szefowej.

– Proszę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani Cavendish, ale dostałam list z wezwaniem na rozmowę w Ministerstwie Wojny, na dziś. Zastanawiałam się, czy może pani wie, o co chodzi.

– Nie ma co pytać dlaczego, po co – warknęła pani Cavendish, rzucając szybkie spojrzenie znad wysokiej sterty dokumentów na swoim biurku. – Jestem pewna, że wyjaśni pani wszystko podczas rozmowy.

– Ale... – Connie zagryzła wargę. – Mam nadzieję, że jest pani zadowolona z mojej pracy tutaj.

– Tak, pani Carruthers, jestem. Sugerowałabym, żeby poczekała pani z pytaniami do dzisiejszego popołudnia.

– Powinnam więc pójść?

– Oczywiście. Czy to już wszystko?

– Tak, dziękuję. – Connie zamknęła za sobą drzwi, wróciła do biurka i usiadła, uświadamiając sobie, że sprawa jest przesądzona.

Parę godzin później, kiedy prowadzono ją labiryntem podziemnych korytarzy w piwnicach Ministerstwa Wojny, gdzie mieściło się serce wojennych operacji brytyjskiego rządu, wiedziała już, że nie czeka ją tu zwyczajna rozmowa. Wskazano jej wreszcie mały pokój, gdzie stało tylko jedno biurko i dwa krzesła.

– Dzień dobry, pani Carruthers. Moje nazwisko Potter.

Krępy mężczyzna w średnim wieku wstał i wyciągnął do niej dłoń na powitanie.

– Proszę uprzejmie spocząć.

– Dziękuję.

– Słyszałem, że mówi pani płynnie po francusku. To prawda?

– Tak, proszę pana.

– W takim razie nie będzie pani przeszkadzało, jeśli dalej poprowadzimy rozmowę po francusku?

– Ja... *non* – zgodziła się Connie i przeszła na ten język.

– Niech mi pani powie, skąd tak dobrze zna pani francuski? – zapytał pan Potter.

– Moja matka jest Francuzką, a jej siostra, moja ciotka, ma dom w Saint-Raphaël, gdzie zawsze spędzałam wakacje.

– Jest więc pani bardzo emocjonalnie związana z Francją?

– Oczywiście. Czuję się w tym samym stopniu Francuzką co Brytyjką, choć urodziłam się w Anglii – wyjaśniła.

Świdrujące spojrzenie pana Pottera oszacowało gęste ciemne włosy Connie, piwne oczy i mocną galijską budowę.

– Tak, zdecydowanie wygląda pani na Francuzkę. Z pani papierów wyczytałem też, że studiowała pani romanistykę na Sorbonie?

– Tak, mieszkałam trzy lata w Paryżu. I bardzo miło wspominałam te czasy – dodała Connie z uśmiechem.

– Dlaczego zdecydowała się pani wrócić do Anglii po dyplomie?

– Przyjechałam, żeby wyjść z męża za swoją sympatię z czasów szkolnych.

– Jasne – mruknął pan Potter. – Obecnie mieszka pani w Yorkshire?

– Tak. Posiadłość rodziny męża leży na wrzosowiskach na północy Yorkshire. Ale chwilowo zatrzymałam się w naszym lokum w Londynie, bo pracuję w dzielnicy Whitehall. Męża nie ma w kraju, jest w Afryce Północnej.

– Kapitan w oddziałach Szkockich Gwardzistów?

– Tak – potwierdziła Connie. – Obecnie uznany za zaginionego podczas działań wojennych.

– Słyszałem. Bardzo współczuję. Dzieci jeszcze pani nie ma? – zapytał pan Potter.

– Nie. Wszystko przez tę wojnę. – Connie westchnęła ponuro. – Ledwie się pobraliśmy i po paru tygodniach Lawrence dostał wezwanie do wojska.

Pomyślałam więc, że zamiast robić na drutach skarpetki w Yorkshire, pojadę na południe i znajdę jakieś pożyteczne zajęcie.

– Jest pani oddaną patriotką, pani Carruthers?

– Oczywiście, panie Potter. – Connie uniosła brwi ze zdziwienia, że zadaje jej tak bezpośrednie pytania.

– Gotową poświęcić życie dla krajów, które pani kocha?

– Gdyby to było konieczne, to tak.

– Słyszałem też, że prawdziwy z pani strzelec wyborowy – ciągnął pan Potter.

Connie popatrzyła na niego zaskoczona.

– No, to może za dużo powiedziane, ale rzeczywiście sporo strzelałam w posiadłości mojego męża od wczesnej młodości.

– Lubi więc pani męskie rozrywki?

– Nigdy o tym nie myślałam – zająknęła się Connie, starając się dawać klarowne odpowiedzi na te dość osobliwe pytania – ale niewątpliwie lubię uganiać się po łąkach i lasach.

– I cieszy się pani dobrym zdrowiem?

– Tak, mam to szczęście.

– Dziękuję, pani Carruthers. – Pan Potter zatrzasnął akta i wstał. – Będziemy w kontakcie. Miłego dnia.

Wyciągnął dłoń, a Connie ją uścisnęła.

– Dziękuję. Do widzenia – odparła zaskoczona tak nagłym zakończeniem rozmowy. Nie miała pojęcia, co sprawiło, że tak szybko ma to już za sobą.

Wynurzyła się z dusznego podziemia na ruchliwą londyńską ulicę. Po drodze do biura spoglądała w górę na złowieszczo unoszące się na niebie nad Londynem balony zaporowe. Zastanawiała się, dlaczego wezwano ją na rozmowę z panem Potterem.

Trzy dni później znów siedziała w nieprzyjemnym sztucznym świetle pokoju 505a. Zaczęło się kolejne przepytывanie: czy cierpi na chorobę lokomocyjną, czy dobrze znosi loty samolotem, ile i jak śpi, czy potrafi korzystać z francuskich kolei, czy zna plan Paryża...?

Choć nic nie mówiono o zadaniu, jakie chcieli jej przydzielić, Connie zaczynała zdawać sobie sprawę, o co chodzi. Wróciła do swojego mieszkania na Sloane Square przekonana, że jeśli pomyślnie przeszła dzisiejsze testy, jej życie może się zmienić raz na zawsze.

– Pani Carruthers, znów się spotykamy. Proszę siadać.

Connie czuła, że tego dnia pan Potter jest wyraźnie mniej spięty. Na początek uśmiechnął się do niej.

– Jestem pewien, że do tej pory wyrobiła sobie pani jakieś pojęcie, dlaczego panią wzywamy.

– Tak – odparła. – Sądzę, że myślicie o jakimś zadaniu dla mnie we Francji.

– Zgadza się. Prawdopodobnie słyszała pani o sekcji F i SOE, Kierownictwie Operacji Specjalnych, pracując w kontrwywiadzie? – zapytał.

– Jakies dokumenty przechodziły przez moje ręce, rzeczywiście – przyznała Connie. – Ale dotyczyły tylko weryfikacji zaangażowanych tam dziewczyn.

– Podobnie sprawdziliśmy panią w ostatnich dniach – oznajmił pan Potter. – I nie pojawiło się nic niepokojącego. Teraz sądzimy, że nadaje się pani, by dołączyć do naszej grupy agentów do zadań specjalnych. Jak dotąd omijaliśmy jednak kwestię nie tylko zaufania, jakim zamierzają obdarzyć panią Wielka Brytania i Francja, ale także realnego zagrożenia życia. – Pan Potter przybrał poważną minę. – Co pani na to?

Connie intuicyjnie wyczuwała już, o co mogą ją poprosić, i od kilku dni nie mogła spać, bo myślała nad tym i zastanawiała się, jak zareagować.

– Panie Potter, całym sercem wierzę w słuszność sprawy, o którą walczą alianci. I zrobię co w mojej mocy, by nigdy was nie zawieść. Jednak wiem, że nie przesłam dotąd wystarczającej próby, by odpowiedzieć w pełni na takie pytanie. Skończyłam dwadzieścia pięć lat, nie mam doświadczenia w takich sprawach i muszę się jeszcze wiele nauczyć zarówno o sobie, jak i o samym życiu.

– Doceniam pani rozsądną ocenę własnej osoby, pani Carruthers, ale chciałbym zapewnić, że brak doświadczenia to nie problem. Większość kobiet, które werbujemy do tych niezwykle delikatnych zadań, nie ma więcej doświadczenia od pani. Ostatnio mieliśmy sprzedawczynię, aktorkę, żonę i matkę, recepcjonistkę hotelową. Na pocieszenie dodam, że zrobimy wszystko, by odpowiednio przygotować panią do wyjazdu. Zostanie pani wysłana na intensywne szkolenie, które pomoże pani, na ile to tylko możliwe, radzić sobie w wielu niebezpiecznych sytuacjach, jakie mogą się zdarzyć. I zapewniam panią, pani Carruthers, że na końcu tego procesu zarówno dla pani, jak i dla szefów SOE będzie wiadome, czy jest pani w stanie sprostać zadaniu, które chcemy pani

powierzyć. Dlatego – pan Potter wrócił do wcześniejszego wątku – muszę jeszcze raz spytać panią, czy jest pani gotowa przyjąć rolę, która w efekcie może prowadzić do pani śmierci?

Connie nie odwróciła wzroku.

– Jestem.

– Świetnie, to załatwione. Jako osoba zatrudniona w MI-Five, podpisała już pani zobowiązanie do zachowywania tajemnicy, więc nie muszę pani więcej kłopotać. Sekcja F skontaktuje się z panią w ciągu kilku najbliższych dni. Gratuluję, pani Carruthers.

Pan Potter wstał i tym razem wyszedł zza biurka, żeby uścisnąć jej dłoń i odprowadzić do drzwi.

– Zarówno Wielka Brytania, jak i Francja są wdzięczne za wszelkie poświęcenia z pani strony.

– Dziękuję, panie Potter. Czy mogę spytać...

– Żadnych pytań, pani Carruthers. Wkrótce dowie się pani wszystkiego, co trzeba. Nie muszę chyba mówić, że nasze spotkania i to, co się teraz wydarzy, są objęte ścisłą tajemnicą.

– Oczywiście.

– Powodzenia, pani Carruthers. – Pan Potter jeszcze raz uścisnął jej dłoń i otworzył drzwi.

– Dziękuję.

Kiedy następnego dnia przyszła do biura, było jasne, że pani Cavendish, szefowa, została poinformowana o jej odejściu.

– Słyszałam, że przechodzi pani na inne pastwiska – powiedziała, a w znużonych oczach przemknęło coś jakby uśmiech, kiedy Connie weszła do jej gabinetu. – Proszę. – Wyciągnęła z szuflady kopertę. – Ma pani zgłosić się pod ten adres jutro rano o dziewiątej. Dziękuję za pani pracę tutaj. Będzie mi pani brakowało.

– Ja też żałuję, że odchodzę.

– Jestem pewna, że da sobie pani radę z wszystkim, cokolwiek panią czeka.

– Postaram się, na ile to w mojej mocy – odparła Connie.

– Świetnie. Niech mi pani nie sprawi zawodu – dodała pani Cavendish, kiedy Connie szła do drzwi. – To ja panią rekomendowałam.

O dziewiątej następnego ranka Connie zjawiała się, jak jej polecono, w eleganckiej kamienicy Orchard Court, tuż przy Baker Street. Podała swoje nazwisko portierowi, który skinął głową i otworzył złocone kraty windy. Towarzyszył jej na drugie piętro, otworzył jedne z drzwi w korytarzu i wpuścił ją do środka.

– Proszę, niech panienka tu zaczeka.

Connie spodziewała się, że portier zaprowadzi ją do jakiegoś biura, tymczasem okazało się, że znalazła się w łazience.

– To nie potrwa długo. – Mężczyzna skinął głową, kiedy zamykał za sobą drzwi.

Connie przycupnęła na czarnej wannie. Wolala tu niż na bidecie z onyksu. Zastanawiała się, co, u licha, będzie dalej. W końcu drzwi się otworzyły.

– Proszę pójść za mną – powiedział portier, prowadząc ją korytarzem z łazienki do pokoju, gdzie na biurku przysiadł wysoki blondyn. Czekał na Connie.

Wyciągnął rękę i uśmiechnął się do niej, a portier się wycofał.

– Pani Carruthers, jestem Maurice Buckmaster, szef sekcji F. Miło mi panią poznać, słyszałem o pani wiele dobrego.

– I nawzajem. – Connie oddała silny uścisk dłoni, starając się ukryć zdenerwowanie. To był człowiek, którego nazwisko wielokrotnie wspomiano w MI5. Podobno Hitler powiedział ostatnio: „Kiedy dotrę do Londynu, nie wiem kogo powieszę pierwszego, Churchilla czy tego Buckmastera”.

– Woli pani rozmawiać po francusku czy angielsku? – zapytał Buckmaster.

– Dla mnie bez różnicy.

– To pani klucz do sukcesu – powiedział z uśmiechem. – Niech więc będzie francuski. Teraz na pewno chciałyby się pani dowiedzieć czegoś więcej na temat sekcji F i tego, co tu robimy. Przekażę panią panie Atkins, która od tej pory będzie się panią opiekować.

Buckmaster poderwał się z biurka i ruszył do drzwi. Pomaszerowali korytarzem. Kiedy Connie szła za nim, udzieliła się jej jego energia. Tak jakby nie miała już wątpliwości i wiedziała, co robić. Weszli do pokoju dusznego od dymu papierosowego.

– Słuchaj, Vero – Buckmaster uśmiechnął się do siedzącej za biurkiem kobiety w średnim wieku – oto Constance Carruthers. Zostawiam ją w twoich fachowych rękach. Constance, przedstawiam ci pannę Atkins, rządzącą całą sekcją F. Do zobaczenia wkrótce. – Skinął obu paniom i wyszedł.

– Proszę, siadaj, moja droga – powiedziała panna Atkins, wpijając przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu w Connie. – Cieszymy się, że dołączasz do nas jako osoba wyznaczona do misji specjalnych. Jestem tu po to, by odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania i wyjaśnić, co jest w planie. Co do tej pory mówiłaś rodzinie?

– Nic, panno Atkins. Mój mąż zagiął podczas działań w Afryce, a do rodziców dzwonię raz w tygodniu, w niedziele. Jest dopiero piątek.

– Twoi rodzice mieszkają w Yorkshire i nie masz rodzeństwa – wyczytała z dokumentów przed sobą panna Atkins. – To ułatwia sytuację. Poinformuj rodziców i przyjaciół, którzy by cię pytali, że zostałaś przeniesiona do FANY, jak wiesz to First Aid Nursing Yeomanry, Korpus Pierwszej Pomocy Pielęgniarskiej. Powiedz, że wysyłają cię do Francji. W żadnym wypadku nie wolno ci zdradzić im prawdy.

– Oczywiście, panno Atkins.

– Wkrótce wyjedziesz na szkolenie w ośrodku pod Londynem. Będziesz tam kilka tygodni, a twoje postępy we wszystkich dziedzinach dotyczących twojego zadania będą uważnie monitorowane, dzień po dniu, przeze mnie.

– Co obejmuje szkolenie? – spytała Connie.

– Nauczysz się wszystkiego, co będzie dla ciebie przydatne. Papierosa? – zaproponowała.

– Dziękuję.

Connie wzięła jednego z podsunętej paczki. Panna Atkins wyciągnęła drugiego dla siebie.

– Mieszkasz w Londynie sama? – zapytała.

– Tak.

– No to nie ma potrzeby zmieniać adresu. Jednak po przedyskutowaniu sprawy twojego nazwiska z pułkownikiem Buckmasterem, zdecydowaliśmy, że powinnaś używać odtąd nazwiska panińskiego twojej matki, które, jak sądzę, brzmi Chapelle. A twoja ciotka ze strony matki, która mieszka w Saint-Raphaël, to baronowa du Montaine?

– Tak – potwierdziła Connie.

– No to we Francji będziesz, zgodnie z prawdą, siostrzenicą swojej ciotki. Uważamy, że dobrze byłoby przyzwyczajać się jak najszybciej do nowego nazwiska – podkreśliła panna Atkins. – Czy Constance Chapelle ci odpowiada?

– Jak najbardziej – zgodziła się Connie. – Ile mam czasu przed wyjazdem do Francji?

– Chcielibyśmy zapewnić swoim agentom przynajmniej osiem tygodni szkolenia, ale ze względu na sytuację we Francji i pilną potrzebę ulokowania tam naszych dziewczyn, może to być nieco krócej. – Panna Atkins westchnęła. – Wszyscy jesteśmy ci bardzo wdzięczni, podobnie jak innym agentom, za gotowość do tak niebezpiecznej pracy. Jakies inne pytania, moja droga?

– Mogę spytać, jakie konkretnie będą moje obowiązki, kiedy już znajdę się we Francji?

– Świetne pytanie – pochwaliła panna Atkins. – Wiele dziewczyn, które tu przychodzą, myśli, że zostały zwerbowane na szpiegów, ale to nie tym zajmuje się sekcja F. Nasi agenci zapewniają nam łączność i zajmują się sabotażem. Naszym zadaniem jest podkopywanie reżimu faszystowskiego we Francji. Działamy ramię w ramię z francuskim ruchem oporu, wspieramy go na wszelkie możliwe sposoby.

– Rozumiem. Sądziłabym jednak, że jest wielu ludzi lepiej nadających się do tego ode mnie. – Connie nachmurzyła się.

– Wątpię, Constance – zapewniła ją panna Atkins. – Twój nienaganny francuski i znajomość zarówno Paryża, jak i południa Francji, połączone z galijską urodą, sprawiają, że jesteś idealna do tej roboty.

– Ale na pewno przy takich zadaniach lepiej sprawdzają się mężczyźni.

– Co ciekawe, wcale nie. Każdy Francuz może być teraz rutynowo wzięty na przesłuchanie na lokalny posterunek lub gestapo. Może też być poddany rewizji osobistej. A kobieta podróżująca po Francji, czy to koleją, autobusem, czy rowerem wydaje się dużo mniej podejrzana. – Panna Atkins uniosła brwi, uśmiechając się smutno. – I jestem pewna, że przy swojej urodzie, Constance, będziesz wiedziała, jak się wymigać w razie kłopotów. No to teraz – spojrzała na zegarek – jeśli nie masz więcej pytań, sugerowałabym, żebyś wróciła do domu, napisała list do rodziców, informując ich o tym, co ustaliłyśmy, a potem spędź miło weekend w cywilu, bo możesz długo nie mieć podobnej okazji.

Panna Atkins przyjrzała jej się bacznie swoimi niebieskimi oczami.

– Myślę, że świetnie sobie poradzisz, Constance. I powinnaś być dumna, że udało ci się do nas dostać. Do sekcji F bierzemy tylko najlepszych.

W poniedziałek rano Connie została podwieziona pod schody Wanborough Manor, dużego domu na przedmieściach Guildford w hrabstwie Surrey. Skierowano ją do pokoju na piętrze. Stały tam cztery pojedyncze łóżka. Zdawało się, że, jak dotąd, tylko jedno jest zajęte. Connie rozpakowała zawartość swojej małej walizki i powiesiła ubrania w ogromnej mahoniowej szafie. Zauważyła, że kimkolwiek jest jej współlokatorka, ma o wiele bardziej fantazyjne podejście do strojów. Wąska suknia wieczorowa wisiała obok jedwabnych smokingowych spodni i długiego, kolorowego szala.

– Ty musisz być Constance – odezwał się niski głos za jej plecami. – Tak się cieszę, że jesteś. Nie pociągała mnie perspektywa, że będę tu jedyną dziewczyną przez kolejnych kilka tygodni. Nazywam się Venetia Burroughs, czy raczej powinnam powiedzieć: Claudette Dessally!

Constance odwróciła się, by się przywitać, i oniemiała. Młoda kobieta miała kruczoczarne błyszczące włosy prawie do pasa, porcelanową cerę i ogromne zielone oczy, podkreślone czarnym ołówkiem, co pasowało do pomalowanych na czerwono ust.

Kontrast pomiędzy szokującą urodą dziewczyny a przepisowym strojem FANY nie mógł być większy. Connie dziwiła się, że taką piękność uznano za odpowiednią kandydatkę. Musiała rzucać się w oczy w każdych warunkach.

– Constance Carruthers albo raczej Chappelle. – Connie uśmiechnęła się i podeszła do Venetii, by uścisnąć jej wyciągniętą dłoń. – Słyszałaś może, czy dołączą do nas jeszcze jakieś kobiety?

– Nie, kiedy pytałam, powiedziano mi, że będziemy tylko my dwie. Trenujemy razem z chłopakami – poinformowała Venetia, padając na łóżko, po czym zapaliła papierosa. – Przynajmniej są jakieś plusy w tej pracy.

Uniosła brwi, zaciągając się dymem.

– Wiesz, my obie jesteśmy chyba kompletnie szalone!

– Być może – zgodziła się Connie, podchodząc do lustra i sprawdzając, czy nie powinna poprawić włosów upiętych starannie w kok.

– A ciebie gdzie sobie wypatrzyli? – spytała Venetia.

– Pracowałam jako archiwistka w kontrwywiadzie. Powiedzieli mi, że się nadam ze względu na mój świetny francuski i znajomość kraju, do którego chcą mnie wysłać.

– Ja z Francji znam tylko picie koktajli na tarasie hotelu na Cap Ferrat. – Venetia zaśmiała się. – Poza tym miałam babkę Niemkę, więc dość dobrze mówię w tym języku. Mój francuski, jak twierdzą, też nie jest najgorszy. Jestem z Bletchley Park... Na pewno coś o tym wiesz, jeśli pracowałaś w MI-Five?

– Oczywiście – potwierdziła Constance. – Słyszeliśmy wiele o kodzie Enigmy.

– Tak, to było spore osiągnięcie. – Venetia podeszła do doniczki stojącej na parapecie i strzepnęła do niej popiół. – Najwyraźniej bardzo potrzebują radiotelegrafistek we Francji. Przez moje umiejętności łamanie szyfrów padło na mnie. Wiesz – dodała, podchodząc z powrotem do łóżka i kładąc się znowu – że średnia przeżycia takich wysłanniczek jak ja to teraz sześć tygodni?

– Niemożliwe!

– Nic dziwnego, prawda? – cedziła słowa Venetia. – Trudno jest schować radiostację w bieliźnie, nie sądzisz?

Connie nie mogła uwierzyć, że Venetia tak obojętnie mówi o prawdopodobieństwie swojej śmierci.

– Nie boisz się?

– Nie mam pojęcia – odparła Venetia. – Wszystko, co wiem, to, że trzeba zatrzymać faszystów. Mój ojciec zdołał zabrać z Berlina babcię tuż przed wybuchem wojny, ale o reszcie jego rodziny w Niemczech wszelki śluch zaginął. Widzisz, oni są Żydami – powiedziała – i podejrzewamy, że zostali wysłani do jednego z tych obozów śmierci, o których słyszeliśmy. Więc – Venetia westchnęła – zrobię wszystko, żeby ich powstrzymać. Moim zdaniem nie warto będzie żyć, jeśli Hitler i jego wesoła kompania nie znajdą się dwa metry pod ziemią. I według mnie, im szybciej to się stanie, tym lepiej. Szlag mnie tylko trafia, że każą mi obciąć włosy – wyznała, siadając i potrząsając swoją błyszczącą czarną grzywą. – To jest dla mnie problem.

– Masz takie piękne włosy – powiedziała Connie i pomyślała, że jeśli ktoś mógłby w pojedynkę wystrychnąć na dudka faszystów, to ta niezwykła kobieta.

– Jak to wszystko się zmienia – mruknęła Venetia, kładąc się z powrotem i opierając głowę na dłoniach. – Zaledwie cztery lata temu uczestniczyłam w balu debiutantek w Londynie. Życie było jednym wielkim przyjęciem. A teraz? –

Odwróciła się do Connie i szepnęła konfidencjonalnie: – Patrz, gdzie wylądowałyśmy.

– Rzeczywiście – zgodziła się Connie. – Masz męża? – spytała.

– A skąd! – Venetia uśmiechnęła się. – Lata temu postanowiłam, że poużywam trochę życia, nim się ustatkuję. Wygląda na to, że poprzestanę na tym pierwszym. A ty?

– Mam. Mój mąż, Lawrence, to kapitan Szkockiej Gwardii. Jest teraz w Afryce. Ale zaginął.

– Przykro mi – powiedziała Venetia ze współczuciem. – Paskudna, przekłeta wojna. Na pewno twój ukochany w końcu się odnajdzie.

– Muszę w to wierzyć – odparła Connie z pozornym przekonaniem.

– Tęsknisz za nim?

– Okropnie. Ale nauczyłam się żyć bez niego. Tak jak wiele innych kobiet, których mężczyźni walczą na froncie.

– Jakieś przygody, romanse? – Venetia uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– O Boże, nie! Nigdy bym... to znaczy... – Connie poczuła, że się czerwieni. – Nie – skwitowała krótko.

– Jasne – powiedziała Venetia. – Wyglądasz na wierną.

Connie nie była pewna, czy to komplement, czy wręcz przeciwnie.

– W każdym razie – ciągnęła Venetia – cieszę się, że nie miałam żadnych zobowiązań przez ostatnie cztery lata. Fantastycznie się bawiłam. A w tych czasach moją dewizą jest: ciesz się chwilą, bo nie wiesz, czy ten dzień nie będzie twoim ostatnim. Przy tym, co ty i ja mamy przed sobą – zgasila papierosa w doniczce – to bardzo prawdopodobny scenariusz.

•••

Później tego samego popołudnia obie zostały poproszone na dół do wielkiego salonu, gdzie podano im herbatę, ciasteczka i przedstawiono innych kursantów.

– Wiesz, co znaczy skrót SOE, kochanie? – szepnęła Venetia do Connie. – Siedziby Odbierane Elicie. – Cichutko zachichotała. – Zastanawiam się, kto mieszkał w tym domu, zanim go zarekwirowali?

– Tak, jest piękny – powiedziała Connie, patrząc na wysokie stropy, ogromny marmurowy kominek i wielkie okna wychodzące na wytworny taras.

– I on też.

Connie podążyła wzrokiem za spojrzeniem Venetii i zobaczyła młodego mężczyznę opierającego się o kominek, zagłębionego w rozmowie z jednym z instruktorów.

– Rzeczywiście, raczej tak – potwierdziła.

– To może pójdziemy się zapoznać? Chodź.

Connie powlokła się za Venetią, która podeszła do mężczyzny i przedstawiła je obie.

– Miło was poznać, dziewczęta. Jestem Henry du Barry – odpowiedział płynnie po francusku.

Connie mogła tylko podziwiać, jak Venetia zręcznie przystąpiła do akcji – uosobienie wdzięku i seksapilu. Kiedy Henry i Venetia wdali się w rozmowę, poczuła się jak piąte koło u wozu i powoli się wycofała.

– Proszę, proszę, Mata Hari naszej grupy – usłyszała kpiący szept za nią. – James Frobisher, pseudo Martin Coste. A ty jesteś...?

Connie odwróciła się i zobaczyła mężczyznę nie wyższego od niej, o przeredzonych włosach. Miał na nosie okulary w rogowych oprawkach.

– Constance Carruthers, to znaczy Chapelle – wyciągnęła dłoń, a on ją uściśnął.

– Jak tam twój francuski? – zapytał przyjaźnie.

– To ojczysty język mojej matki, mówię więc płynnie.

– Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o sobie. – James westchnął. – Robię postępy na kursie intensywnym, ale jak mnie złapie gestapo, to koniec. Myli mi się, kiedy powiedzieć *vous*, a kiedy *tu*!

– Na pewno nie wysyłaliby cię tam, gdyby mieli wątpliwości, czy poradzisz sobie z językiem – pocieszyła go Connie.

– Może i nie, choć we Francji jest taka sytuacja, że na gwałt są im potrzebni nowi agenci. Właśnie była cała fala aresztowań, jak słyszałem.

James mrugnął do niej.

– Nie martw się, jesteśmy podobierani każdy ze względu na inne umiejętności, a ja okazałem się dość dobry w wysadzaniu różnych rzeczy. Z laskami dynamitu niewiele się gada. – Uśmiechnął się kwaśno. – Muszę powiedzieć, że podziwiam kobiety, które zgłaszają się na ochotnika do SOE. To niebezpieczna robota.

– No, to nie całkiem tak, że sama się zgłosiłam. Ale cieszę się, że mogę coś zrobić dla ojczyzny – odparła Connie z przekonaniem.

Podczas kolacji w eleganckiej jadalni Connie poznała lepiej czterech agentów, którzy mieli być szkoleni razem z nią. Zostali wyrwani z różnych ścieżek życia ze względu na swoje szczególne predyspozycje do wykonania wymaganych zadań. Rozmawiała z Francisem Mont-Clare'em i Hugo Sorockim. Obaj, jak ona, byli w połowie Francuzami. Konwersowała też z Jamesem i oczywiście z Henrym, pilotem myśliwca, największym amantem w tej grupie. W miarę jak dolewano im wina, Constance miała wrażenie, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Kiedy patrzyło się na zgromadzonych przy stole, mogłoby to być jakiegokolwiek przyjęcie, jedno z wielu, jakie odbywały się teraz w całej Wielkiej Brytanii.

Po puddingu kapitan Bevan, instruktor opiekujący się grupą, zaklaskał, by uciszyć towarzystwo.

– Panie i panowie, mam nadzieję, że ten wieczór pozwolił wam się ze sobą zaznajomić. Będziecie pracować razem przez kilka najbliższych tygodni. Ale obawiam się, że na tym wieczorze kończy się część rozrywkowa. Jutro śniadanie o szóstej rano, po nim każde z was zostanie poddane testom, by określić ogólny stan zdrowia i sprawność. Potem codziennie będziecie przebiegać siedem i pół kilometra przed śniadaniem.

Wśród zebranych rozległy się jęki protestu.

– Spora część pracy, która was tu czeka, polega na wyrobieniu wytrzymałości fizycznej. Nie muszę chyba nikogo przekonywać, jak ważne jest, aby każde z was jechało do Francji w jak najlepszej kondycji. To może uratować wam życie.

– Jestem pewien, że jak stanie za mną Niemiec z pistoletem, pobiegnę bardzo szybko, panie kapitanie – zażartował James.

Venetia zachichotała, a Bevan uśmiechnął się.

– Część z was ma już za sobą jakieś szkolenie wojskowe, więc przywykła do rygorów ćwiczeń fizycznych. Niektórym, zwłaszcza paniom – rzucił okiem na Venetię i Connie – może być trudniej. Niewykluczone, że następnych kilka tygodni da się wam mocno we znaki. Ale jeśli cenicie sobie swoje życie, poświęćcie opanowaniu umiejętności, których będziemy was uczyć, całą waszą uwagę i energię, jaką jesteście w stanie z siebie wykrzesać. Będę wywieszał plan dnia na tablicy w holu wejściowym co wieczór o szóstej. Podczas spędzonych tu tygodni opanujecie sztukę strzelania, detonowania dynamitu, skoków ze spadochronem, poznacie podstawy alfabetu Morse'a i techniki przeżycia. To przygotowuje was na sytuacje, w jakimi będziecie mieli do czynienia. Każde z was ma świadomość, że

wśród walczących z faszystami we Francji o wolność i poszanowanie praw ludzkich nikt chyba nie naraża się na większe niebezpieczeństwo niż agenci SOE.

W sali panowała teraz cisza, wszyscy nagle otrzeźwieli. Oczy zebranych skierowane były na kapitana.

– Jednak niech mi wolno będzie powiedzieć, że bez tak dzielnych mężczyzn i kobiet jak wy, zdających sobie w pełni sprawę z zagrożenia, a jednak gotowych podjąć ryzyko, nie możemy wygrać tej wojny. Dlatego też w imieniu rządów Wielkiej Brytanii i Francji dziękuję wam wszystkim. A teraz kawa i brandy w salonie, dla tych, którzy mają na to ochotę. Tym, którzy nie mają, życzę dobrej nocy.

Tylko Jamesa i Connie nie skusiła propozycja kawy. Zostali sami w holu, kiedy reszta znikła w salonie.

– Nie idziesz z nimi? – zapytał James.

– Nie. Jestem trochę zmęczona. – Chciała już powiedzieć „przytłoczona tym wszystkim”, ale ugryzła się w język.

– Ja też.

Oboje zrobili kilka kroków w kierunku schodów. James przystanął na pierwszym stopniu i odwrócił się do niej.

– Boisz się? – zapytał.

– Tak naprawdę nie jestem pewna – odparła.

– Ja tak – przyznał James. – Ale przypuszczam, że trzeba robić, co do nas należy. Dobranoc, Constance.

Westchnął i poszedł na górę.

– Dobranoc.

Connie patrzyła, jak James zniknął z jej pola widzenia. Nagle dostała dreszczy, skrzyżowała ręce na piersi, podeszła do jednego z wielkich okien i spojrzała na księżyc w pełni. Czy się boi? Nie wiedziała. Może wojna, która szalała przez cztery lata jej młodego życia, spowodowała emocjonalne odrętwienie? Odkąd Lawrence wyjechał walczyć zaledwie kilka tygodni po ślubie, Connie miała wrażenie, że jej życie stanęło gdzieś na boczniczy, w chwili kiedy powinno się właśnie zaczynać. Z początku tęskniła za mężem tak strasznie, że było to prawie nie do zniesienia. Mieszkając w wielkim, wyiębionym domu męża w Yorkshire, gdzie jedynym towarzystwem, na jakie mogła liczyć, była opryskliwa teściowa i jej dwa starzejące się czarne labradory, miała aż za dużo czasu na rozmyślanie. Matka Lawrence'a nie pochwałała jej decyzji wyjazdu do Londynu i podjęcia pracy w MIS,

którą załatwił ojciec Connie, widząc, jak córka usycha w samotności na ponurych wrzosowiskach.

Wiele dziewczyn, które pracowały z nią w MI5, korzystało z dziwnie zabawowej atmosfery w wojennym Londynie, stale umawiały się na jakieś randki z oficerami na urloпах, dawały się zapraszać na kolacje i do klubu. A część z tych kobiet była już zaręczona albo, co gorsza, zamężna. Ich młodzi ukochani, podobnie jak Lawrence, walczyli gdzieś z dala od kraju, ale te dziewczyny nie miały skrupułów.

Connie widziała to inaczej. Lawrence był zawsze, odkąd go poznała na spotkaniu tenisowym w Yorkshire w wieku sześciu lat, jedynym mężczyzną, którego kochała. I choć była dość zdolna, żeby dostać dobrą pracę po studiach na Sorbonie, i wołała Francję od ponurej północy Yorkshire, bez żalu wybrała rolę przyszłej pani Blackmoor Hall i żony ukochanego Lawrence'a.

To był najszcześliwszy dzień w jej życiu, kiedy weszła do małej katolickiej kaplicy w posiadłości Blackmoor i złożyła przysięgę małżeńską. Ale już kilka tygodni później mężczyzna, którego kochała od czternastu lat, został jej brutalnie odebrany.

Connie westchnęła. Przez cztery lata każdego dnia dręczył ją lęk, że dostanie telegram z informacją o zaginięciu męża podczas działań wojennych. I wreszcie taki nadszedł. Pracując w MI5, wiedziała aż za dobrze, że po dwóch miesiącach braku wiadomości szanse na to, że Lawrence żyje, są coraz bardziej nikłe.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów. Gdy parę tygodni temu otwierała tamten telegram, bała się jak jeszcze nigdy w życiu. Teraz, skoro Lawrence zaginął, niespecjalnie miało dla niej znaczenie to, czy sama nadal żyje, czy musi umrzeć.

Położyła się spać, zostawiając zapaloną lampkę nocną dla Venetii. Już prawie świtało, kiedy koleżanka weszła, potknęła się o coś na podłodze i cichutko zachichotała.

– Śpisz, Con? – spytała szeptem.

– Tak – wymruczała sennie Connie, słysząc, jak łóżko Venetii skrzypnęło.

– O rany, co za fajny wieczór! Henry jest boski, nie sądzisz?

– Bardzo przystojny, rzeczywiście.

Venetia ziewnęła.

– Myślę, że te tygodnie w Wanborough Manor będą o wiele przyjemniejsze, niż się spodziewałam. Branoc, Con.

W przeciwieństwie do tego, co wyobraziła sobie Venetia, zaczęły się dni, kiedy wszyscy kursanci musieli dać z siebie wszystko. Wyciskano z nich siódme poty pod względem fizycznym i mentalnym. Jeśli nie byli w rowach, ucząc się detonować dynamit, wdrapywali się na drzewa i chowali wśród gałęzi. Poznawali jadalne orzechy, jagody, grzyby i liście i bez końca trenowali strzelanie. Poza tym obowiązkowo przebiegali o świcie siedem i pół kilometra. Venetia, zaangażowana zarówno w ekscytujący flirt z Henrym, jak i codzienne ćwiczenia, często kładła się spać po czwartej. Potem jęczała, wlokąc się za resztą grupy.

Connie zaskoczyła samą siebie. Radziła sobie z wymogami treningu dużo lepiej, niż się spodziewała. Zawsze była wysportowana. W końcu dorastała na wrzosowiskach. Teraz czuła, że z każdym dniem robi się silniejsza. Była najlepszym strzelcem w drużynie i nabrała ogromnej zręczności w posługiwaniu się dynamitem, czego nie dało się powiedzieć o Venetii, która omal nie wysadziła ich wszystkich w powietrze, kiedy zdetonowała w okopach granat.

– No, przynajmniej wiadomo, że jestem w stanie to zrobić – powiedziała, wracając po zajęciach do Wanborough Manor.

– Naprawdę myślisz, że nasza Venetia nadaje się do pracy, do której chcą ją wysłać? – spytał pewnego wieczoru James, siedząc z Connie przy kawie i brandy w salonie. – Ona naprawdę niezbyt dba o dyskrecję, co?

Roześmiał się, bo na tarasie widać było właśnie Venetię w namiętym uścisku z Henrym.

– Sądzę, że Venetia na pewno świetnie sobie poradzi – stanęła w obronie koleżanki Connie. – Kieruje się intuicją, a jak nam tu stale przypominają, to, czy nam się tam powiedzie, czy nie, będzie w dziewięćdziesięciu procentach zależało od naszego wyczucia.

– Jest dość atrakcyjna, to na pewno – stwierdził ugodowo James. – I jestem spokojny, że z takim wdziękiem może wyjść obronną ręką z prawie każdej sytuacji. Ja nie mam na co liczyć – dodał ponuro. – To naprawdę cisza przed burzą, co, Con? I tak szczerze mówiąc, myślę o tym wszystkim z przerażeniem, szczególnie o skoku ze spadochronem. Dokuczają mi kolana, niestety.

– Nie martw się – powiedziała Connie, poklepując go po ręce. – Może wylądujesz tam luksusowo w Lizzy – dodała, mając na myśli niewielki samolot Westland Lysander, używany do przetrzucania ludzi przez kanał La Manche.

– Mam nadzieję – mruknął James. – Wyplątywanie się z drzewa, na które ze swoim szczęściem na pewno bym trafił, musiałyby przyciągnąć uwagę wroga.

Spośród kursantów tylko jeden James mówił o swoim strachu przed tym, co go czeka. On i Connie byli najcichszymi, najbardziej refleksyjnymi członkami grupy i po przyjacielsku się wspierali.

– Czy to nie dziwne, dokąd czasem prowadzi nas los? – kontynuował James, popijając brandy. – Gdybym mógł, wybrałbym zupełnie inne życie niż to.

– Myślę, że tak jak większość ludzi w tych czasach – odparła Connie. – Gdyby nie wojna, zostałabym na wrzosowiskach północy Yorkshire i co rok wydawałabym na świat kolejną latorośl.

– Jakież nowiny? – James wiedział o Lawrence'ie.

– Nie, nic. – Westchnęła.

– Nie trać nadziei, Con. – Teraz to on poklepał ją po ręce. – Tam mają taki bałagan. Równie dobrze twój mąż może być cały i zdrowy.

– Staram się w to wierzyć – powiedziała Connie, choć każdy mijający dzień wydawał jej się kolejną łopatą ziemi na grobie Lawrence'a. – Jeśli ta przekłeta wojna kiedyś się skończy – uciekła od łzawego tematu – co będziesz robił?

– Rany! – James się zaśmiał. – Dziwnie o tym nawet pomyśleć. Tak jak ty, po prostu wróciłbym do domu i zajął się sprawami rodzinnymi. Ożeniłbym się, postarał o potomstwo... – Wzruszył ramionami. – No wiesz.

Connie się uśmiechnęła.

– Przynajmniej będziesz mógł nauczyć dzieci francuskiego. Naprawdę zrobiłeś wielkie postępy w ostatnich tygodniach – pochwaliła go.

– Dziękuję za miły komplement, Con. Ale muszę ci powiedzieć, że przypadkiem usłyszałem rozmowę na nasz temat kapitana z pułkownikiem Buckmasterem. Tak, podsłuchiwałem. – Zrobił pocieszoną minę. – Czy nie uczyli nas, że mamy używać uszu do zdobywania informacji? W każdym razie kapitan rozplątywał się z zachwyty nad tobą, mówił, że okazałaś się niespodziewanie gwiazdą w naszej grupie. Jesteś prymuską. Sekcja F pokłada teraz w tobie wielkie nadzieje, kochana – podsumował.

– A, dziękuję za dobre słowo, w szkole zawsze byłam uznawana za kujona. – Connie roześmiała się. – Problem w tym, że nigdy nie miałam okazji sprawdzić się w życiu.

– Bez obaw, Con – odparł James. – Zdaje się, że wkrótce dostaniesz swoją szansę.

Miesiąc później wstępne szkolenie dobiegło końca. Każdy agent został wezwany na długą, wyczerpującą rozmowę z kapitanem, który bez ogródek wskazywał im ich mocne i słabe strony.

– Świetnie się spisałaś, Constance. I jesteśmy bardzo zadowoleni z twoich postępów – zapewnił. – Jedyna krytyczna uwaga twoich instruktorów dotyczy nieco wolnego podejmowania decyzji. W terenie twoje życie może zależeć od szybkości reakcji. Rozumiesz?

– Tak, panie kapitanie.

– Udowodniłaś, że masz dobre wyczucie. Zaufaj intuicji i nie bój się, że sprowadzi cię na manowce. Przed tobą dalszy trening z innymi agentami, którym udało się pozytywnie ukończyć szkolenie. Tym razem w Szkocji – poinformował kapitan. – Przygotuje cię lepiej do przyszłych zadań.

Wstał i podał jej rękę.

– Powodzenia, *madame* Chappelle – powiedział i uśmiechnął się do niej.

Kiedy Connie zamykała za sobą drzwi, dodał:

– I niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Connie, Venetia, James i, ku wielkiej radości Venetii, Henry najwyraźniej przeszli egzamin i zostali wysłani w dzikie okolice Szkocji na kurs bojowy dla zaawansowanych. Na kompletnym odludziu całą czwórkę trenowali wysadzanie mostów, bezpieczne sterowanie niewielkimi łodziami, uczyli się ładować niemiecką, brytyjską i amerykańską broń, a potem wskakiwać na ciężarówkę w kompletnych ciemnościach. Wyjaśniono im szczegółowo znaczenie linii demarkacyjnej, oddzielającej strefę okupowaną Francji od południa kontrolowanego przez rząd Vichy.

Podstawowe umiejętności przeżycia, których uczono ich w Wanborough Manor, zostały sprawdzone praktycznie, kiedy zostawiono ich przez kilka dni na szkockich wrzosowiskach, gdzie sami musieli się zatroszczyć o jedzenie i miejsce do spania. Przyjechał do nich wyszkolony zabójca, żeby nauczyć ich pozbawiać życia napastnika, po cichu i skutecznie.

Po dwóch tygodniach szkolenia w Szkocji nagle wycofano Venetię z kursów.

- Dzięki Bogu – skwitowała Venetia, pospiesznie pakując swoje rzeczy. – Najwyraźniej wysłał mnie do Thame Park, żebym poprawiła swoje umiejętności jako telegrafistka. Nad kanałem jest jakaś panika i wygląda na to, że będą pilnie potrzebować takich jak ja. Och, Con... – objęła mocno przyjaciółkę – miejmy nadzieję, że się tam niedługo spotkamy. Opiekuj się dla mnie moim Henrym, dobrze?

- Oczywiście – zapewniła Connie, patrząc, jak Venetia zamyka walizkę i ściąga ją z łóżka. – Jestem jednak pewna, że szybko znajdziesz sobie zastępstwo.

- No tak. – Venetia odwróciła się, żeby spojrzeć na Connie. – Pewnie masz rację, ale było tak fajnie.

Rozległo się pukanie.

- Panno Burroughs, samochód czeka na dole – odezwał się jakiś głos.

- Czas na mnie. Wszystkiego dobrego, Con – powiedziała Venetia, biorąc walizkę i ruszając do drzwi. – Miło było cię poznać.

- Ciebie też. Proszę, nie trać nadziei – szepnęła Connie. – Musisz wierzyć, że wyjdiesz z tego cało.

- Spróbuję. – Venetia otworzyła drzwi. – Ale ja tam zginę, Con. Po prostu to wiem. – Wzruszyła ramionami. – *À bientôt.*

– Tak więc, Constance, twoje szkolenie skończone. Jesteś gotowa do wyjazdu do Francji. Jak samopoczucie?

Connie znów była w Londynie w siedzibie sekcji F i siedziała naprzeciw Very Atkins.

– Sądzę, że jestem przygotowana, na ile to tylko możliwe – dała automatyczną odpowiedź, bardzo daleką od tego, co myślała i jak się czuła.

Po miesiącu w Szkocji została przeniesiona do Beaulieu w Hampshire, innej zarekwirowanej posiadłości, gdzie przeszła dalsze szkolenie szpiegowskie. Nauczono ją rozróżniać różne rodzaje mundurów: nie tylko niemieckie, ale też francuskiej milicji – zienawidzonych bojówek rządu Vichy – i nauczyła się, na co uważać przy rekrutowaniu obywateli francuskich, by rozszerzać swoją siatkę kontaktów. Wpojono jej także, by nigdy niczego nie zapisywała, wszystko powinna starać się utrwalić w pamięci.

– Chyba wolałabym już być na miejscu – przyznała.

– Świetnie. To właśnie chcieliśmy usłyszeć – odparła radośnie panna Atkins. – Masz lecieć podczas najbliższej pełni. Na pewno ucieszysz się, że nie musisz skakać ze spadochronem. Wylądujesz bezpiecznie na francuskiej ziemi samolotem Lysander.

– Dziękuję – powiedziała z ulgą Connie. Przynajmniej tyle.

– Przez te kilka dni, które ci pozostały, powinnaś odpocząć i odprężyć się. Zamówiłam dla ciebie pokój w Fawley Court, wygodnym pensjonacie FANY, do czasu wyjazdu. Czas też napisać do najbliższych listy, które będę wysyłać im przez następne tygodnie, kiedy będziesz daleko.

– Co mam w nich napisać, panno Atkins? – zapytała Connie.

– Zawsze radzę swoim dziewczynom, żeby pisały krótko i optymistycznie. Że jesteś zdrowa i wszystko w porządku – odparła panna Atkins. – Przyjdę po ciebie po południu w dniu twojego wyjazdu, ale potwierdzę jeszcze konkretny termin. Kiedy przyjedziesz na lotnisko, przekażę ci twój nowy pseudonim, pod jakim będziesz funkcjonować tu, u nas, w sekcji F i wśród innych agentów. Dowiesz się

też, do jakiej grupy dołączysz we Francji. Teraz, Constance, pułkownik Buckmaster chciałby się z tobą zobaczyć, nim wyjdiesz.

Connie poszła za panną Atkins korytarzem do gabinetu Maurice'a Buckmastera.

– Constance, moja droga! – Buckmaster zerwał się zza biurka, podszedł do niej z otwartymi ramionami i uściskał ją na powitanie. – Wszystko gotowe?

– Jeśli chodzi o mnie, to tak – odparła Connie.

– Brawo. Słyszałem, że byłaś najlepszą uczennicą na kursach. Jestem pewien, że sekcja F będzie z ciebie dumna – ciągnął, entuzjastyczny jak zawsze.

– Szczerze mówiąc, najchętniej po prostu już bym tam była.

– Na pewno. Postaraj się nie martwić zanadto, moja droga. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z jedną z agentek SOE, która właśnie wróciła do domu po pierwszej misji, i mówiła, że jak na razie najcięższe było to codzienne pedałowanie. Twierdzi, że po tej podróży ma uda jak słoń!

Oboje się roześmiali.

– Jakieś pytania, Constance? – zapytał.

– Nic mi nie przychodzi do głowy, może tylko, czy ma pan jakieś wiadomości od Venetii? – skorzystała z okazji Connie. – Wiem, że poleciała kilka dni temu.

– Nie – tym razem pogodna twarz Buckmastera na chwilę spochmurniała – jeszcze nie. Ale nie martwiłbym się. Często to trochę trwa, zanim radiotelegrafista zdoła nadać pierwszy meldunek. A ostatnio w jej rejonie było trochę problemów. W każdym razie... – Podszedł z powrotem do swojego biurka, otworzył szufladę i wyciągnął z niej małe pudełko, które jej podał. – To prezent dla ciebie, na szczęście.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– Otwórz – zachęcił. – Daję to wszystkim moim dziewczynom na pożegnanie. Bardzo przydatne i, jak mówię, w razie tarapatów zawsze można to sprzedać.

Connie wydobyła z pudełka małą srebrną puderniczkę.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Jest śliczna – przytaknęła. – Dziękuję.

– Nie chciałbym, żeby moje dziewczyny się zaniedbywały. Nawet podczas działań. No tak, Constance, pozostaje mi teraz tylko podziękować ci za twoje dotychczasowe oddanie sprawie. Na pewno usłyszę o twoich postępach w najbliższych tygodniach. Z Bogiem i *bonne chance*.

– Tak jest, panie pułkowniku. Do zobaczenia.

Connie odwróciła się i wyszła.

•••

Wieczorem siedemnastego czerwca Connie pojechała z Verą Atkins z Londynu na lotnisko Tangmere w Sussex.

W głębi hangaru usiadły przy małym stoliku, a Vera podała Connie kartkę.

– Proszę, poświęć teraz dwadzieścia minut na zapamiętanie wszystkiego, co tu jest napisane. Twój pseudonim to Lawenda, będzie zawsze używany w twoich kontaktach z nami i innymi agentami podczas operacji w terenie, zarówno brytyjskich, jak i francuskich. Dołączysz do grupy Naukowca, która działa głównie w Paryżu i jego okolicach. Kiedy wylądujesz we Francji w Vieux-Briollay, ktoś będzie na ciebie czekał. Zaopiekują się tobą i zapewnią konieczny dalszy transport, a także szczegóły dotyczące kontaktu z osobą, której będziesz podlegać, z radiotelegrafistą i innymi członkami twojej grupy.

– Tak, panno Atkins.

– Muszę cię ostrzec, Constance. Ostatnio mieliśmy kłopot z nawiązaniem kontaktu z siatką na twoim terenie – ciągnęła panna Atkins. – Nasi przyjaciele we Francji pewnie udzielą ci bardziej aktualnych informacji, niż mogą to zrobić teraz. Jednak jestem pewna, że przy swojej inteligencji i wyczuciu na pewno sobie poradzisz. A teraz – panna Atkins położyła na stole małą skórzaną walizkę – tu jest wszystko, co ci będzie potrzebne. Dokumenty na nazwisko Constance Chapelle. Jesteś nauczycielką z Paryża. Masz wielu krewnych na południu Francji, skąd pochodzisz. Tym będziesz się tłumaczyć, gdybyś w jakimś momencie była zmuszona przekroczyć linię demarkacyjną i uciekać ze strefy okupowanej na północy.

Connie patrzyła, jak panna Atkins wyjmuje małą fiolkę z jedną tabletką w środku.

– A to twoja pigułka C. Schowaj ją do obcasa – poleciła.

Connie wiedziała wcześniej o takiej potrzebie. Zdjęła teraz ze stopy specjalnie przygotowany but i otworzyła skrytkę w podeszwie.

Panna Atkins wrzuciła tabletkę do środka.

– Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała tego użyć.

– Oby – zgodziła się Constance, świadoma, że niewinnie wyglądająca tabletką zawiera śmiertelną dawkę cyjanku, w razie aresztowania i groźących jej tortur.

- No to - powiedziała wesoło panna Atkins - wszystko jasne?

- Tak.

- W takim razie chodźmy, odprowadzę cię na pokład Lizzy.

Razem poszły do małego samolotu pomalowanego na czarno, by trudno go było dostrzec na tle nocnego nieba nawet w blasku księżyca. Przy schodkach panna Atkins zatrzymała się chwilę.

- Prawie bym zapomniała - rzuciła, wyciągając kopertę z kieszeni żakietu. - To do ciebie.

Podala kopertę Connie, która otworzyła ją i ze zdumieniem odczytała wiadomość.

- Dobra nowina, co? - zagadnęła panna Atkins.

Dłoń Connie powędrowała do ust, a oczy mimowolnie zaszkliły się łzami.

- Panno Atkins! Lawrence żyje! On żyje!

- Rzeczywiście, kochanie. Okręt, którym przyплыł, przybił bezpiecznie do portu w Portsmouth. Twój mąż był poważnie ranny w pierś i ma złamaną nogę, ale lekarze twierdzą, że jest w dobrym nastroju i szybko wraca do zdrowia w szpitalu

- Mówi pani, że on tu jest? Lawrence jest w Anglii? - powtórzyła z niedowierzaniem.

- Tak, kochanie, jest w kraju, nic mu już nie grozi. Czy to nie wspinała wiadomość?

Connie spojrzała na datę telegramu informującego ją, że jej mąż został odnaleziony i żyje, i że niezwłocznie odsyłają go do kraju statkiem. To był dwudziesty maja. Niemal miesiąc wcześniej.

- Myślałam, że dobrze, abyś to wiedziała przed wyjazdem. To na pewno zmobilizuje cię do bezpiecznego powrotu. Czas wsiadać, kochanie. - Śmigła zaczęły pracować. Panna Atkins wyrwała jej telegram i wyciągnęła do niej dłoń. - Do widzenia, Constance, i wszystkiego dobrego - powiedziała, ściskając jej rękę.

Oszołomiona Connie weszła po schodkach do ciasnego wnętrza samolotu. Zapinając pasy, starała się uporządkować sobie w głowie to, czego przed chwilą się dowiedziała. Jej mąż nie tylko żyje, ale jest już tutaj, bezpieczny, w Anglii. Może zaledwie kilka godzin jazdy od miejsca, gdzie teraz się znajdowała.

A oni jej o tym nie powiedzieli...

Jak mogli nie poinformować jej, że odnaleziono Lawrence'a i że wraca on do kraju? Connie zagryzła usta, żeby powstrzymać łzy, które mogły zalać ciasno

przylegające niewygodne gogle.

Z ciężkim sercem musiała przyznać, że dobrze rozumie, czemu tego nie zrobili. Gdyby powiedzieli jej o powrocie Lawrence'a do Anglii, zrobiłaby szybki zwrot i wycofałaby się z przerażającej misji, jakiej się podjęła.

Ale teraz patrzyła, jak do samolotu wspinają się pozostali pasażerowie, nie do rozpoznania w kombinezonach lotniczych i gogłach. Drzwi się za nimi zamknęły i nie było już odwrotu. Sekcja F rozegrała sytuację osobistą Connie wedle własnego widzimisie. A w ostatniej chwili dali jej bodziec, by zrobiła wszystko, co tylko się da, aby przeżyć i wrócić.

– Jak ja to wytrzymam? – wyszeptała, kiedy samolot zaczął wytaczać się z hangaru w księżycową noc.

– Connie? Czy to ty pod tym kombinezonem?! – zawołał ktoś z fotela obok, starając się przekrzyczeć silniki.

Rozpoznała ten głos.

– James! – krzyknęła w odpowiedzi, czując absurdalną ulgę, że on tu jest.

Nie dało się już rozmawiać, gdy samolot wystartował w nocne niebo. Ale Connie nie protestowała, kiedy poczuła dłoń, która ścisnęła jej rękę i trzymała ją bardzo mocno. Wyglądała przez okno na pogrążone w mroku angielskie pola i wsie na dole.

– Do widzenia, Lawrence, mój kochany, najukochańszy – szepnęła. – Przysięgam, że wrócę do domu najszybciej jak tylko się da i znów będę w twoich ramionach.

Lysander osiadł z gracją na polu, prowadzony małymi latarkami trzymanymi przez niewidoczne z góry ręce. Pilot obrócił się do pasażerów i uniósł kciuk.

– Wydaje się, że wszystko w porządku. Panie, panowie, do widzenia. I wszystkiego dobrego – dodał, kiedy schodzili na trawę.

– *Bienvenue* – powiedział mężczyzna, który szybko przecisnął się obok nich na schodkach. Niósł torbę, którą wrzucił do wnętrza samolotu, a potem zamknął drzwi i zbiegł na dół, by przyrzec się swoim nowym nabytkom.

Lysander już ruszał w drogę powrotną. Connie spojrzała na samolot z zazdrością, żałowała, że nie ma odwagi za nim pobiec, wdrapać się do środka i polecieć, jak jej serce dyktuje, do Anglii.

– Chodźcie za mną – polecił mężczyzna, który wrzucił torbę do samolotu. – I pospieszcie się, widziałem przejeżdżającą tu kilka minut temu szkopską ciężarówkę. Mogli usłyszeć lądujący samolot.

Trójka agentów pobiegła przez pole za swoim przewodnikiem. Była piękna francuska noc, pogodna i ciepła. Connie miała wrażenie, że w tym obcym miejscu jest coś dobrze jej znanego. Francja pachniała jak zawsze. Balsamiczne, suche, nasycone sosną powietrze było tak różne od wilgoci angielskiej wsi. Rozpoznałaby je na końcu świata.

Wreszcie ich przewodnik otworzył drzwi drewnianej chaty w środku gęstego lasu. Wewnątrz znajdowały się prycze przykryte kocami, a w rogu stał piecyk gazowy z jednym palnikiem, który ich gospodarz natychmiast zapalił zapałką.

– Musimy zostać tu do rana, do końca godziny policyjnej. Potem porozszyłamy was, każdego osobno, ze stacji Vieux-Briollay, jakieś dwadzieścia minut rowerem stąd. Proszę, rozgośćcie się, jak wam wygodnie. Złóżcie wasze kombinezony lotnicze w tym kącie. Zostawicie je mnie – poinstruował. – Ja tymczasem zaparzę kawę.

Connie rozebrała się z kombinezonu i patrzyła, jak wyluskują się z nich jej towarzysze podróży. Tego drugiego mężczyzny nigdy wcześniej nie spotkała.

Usiedli na swoich pryczach, a ich przewodnik podał im po emaliowanym kubku kawy.

– Niestety, nie ma mleka. Wiem, że wy Anglicy je lubicie.

Connie smakował ciemny płyn, była przyzwyczajona do mocnej kawy.

– Jestem Stefan – przedstawił się przewodnik – a pani musi być Lawendą, bo jest pani jedyną kobietą.

– Ja jestem Zgroza – powiedział James.

– Pragmatyk – dorzucił nieznajomy.

– Witam was w imieniu Francji. Jeszcze nigdy nie potrzebowaliśmy tu przeszkolonych brytyjskich agentów tak bardzo jak teraz – rzekł Stefan. – Wielu waszych kolegów, zwłaszcza w Paryżu, zostało w ostatnich dniach aresztowanych. Nie jesteśmy pewni, co się z nimi teraz dzieje, ale wygląda na to, że w naszych szeregach musi być zdrajca, który pomaga gestapo działać tak skutecznie. Mogę tylko radzić, abyście nikomu nie ufali – podkreślił. – Teraz spróbujcie się przespać. Będę czuwał i obudzę was w razie potrzeby. Dobranoc.

Stefan wyszedł z chaty i tuż za progiem, zanim zamknął za sobą drzwi, zapalił papierosa. Trójka agentów umościła się jakoś na pryczach.

– Dobranoc – powiedział James. – Śpijcie dobrze.

– Wątpię, czy uda mi się zmrzyć oko – odparł Pragmatyk, ale wkrótce Connie usłyszała ciche pochrapywanie z drugiej strony chaty.

– Connie?

To był James.

– Tak?

– To już dzieje się naprawdę, co?

– Tak – potwierdziła, czując w pustym żołądku pieczenie od kawy i emocji. – To już.

•••

Connie musiała wreszcie zapaść w sen, bo obudził ją James potrząsający jej ramieniem. Za małym okienkiem było już widno.

– Pobudka, pobudka – powiedział James. – Czekają na nas na zewnątrz.

Spała w ubraniu. Teraz musiała tylko wciągnąć pończochy i buty, i była gotowa. Przy chacie stał Stefan i jakaś kobieta.

– Dzień dobry, Lawendo – powitał ją Stefan. – Jesteś gotowa do drogi?

– Tak, ale – Connie rozejrzała się po lesie. – Czy jest tu gdzieś... gdzie mogłabym...?

Czuła, że się czerwieni.

– Nie mamy tu wygod. Znajdź sobie jakieś miejsce w lesie, proszę – poradził i odwrócił się, żeby porozmawiać z Jamesem.

Connie szybko poszukała kryjówki za drzewem. Kiedy wróciła, James, drugi agent i tamta kobieta wsiadali już na rowery.

– Powodzenia – szepnęła Connie do Jamesa. – Mam nadzieję, że się niedługo spotkamy.

– Pewnie – powiedział James wyraźnie spięty. – A tymczasem postaram się porozrywać tych szkopów na drobne kawałki, żebyśmy wszyscy mogli wracać do domu.

– Zuch! – pochwaliła Connie, zdobywając się na szeroki uśmiech, by dodać mu odwagi, kiedy chwiejnie popedałował za tamtymi.

– Zaczekamy trochę, żeby odjechali choć kilka kilometrów – wyjaśnił Stefan. – Zbyt wielu rowerzystów wyjeżdżających naraz z lasu mogłoby wzbudzić podejrzenia, gdyby ktoś to obserwował. Kawy?

– Dziękuję. – Connie siadła na progu chaty, patrząc na słońce, które wznosiło się już ponad drzewami i przeświecało zza liści na ziemię.

– Lawendo, powiem ci teraz, co dalej.

Stefan podał jej kubek kawy, przysiadł obok niej na schodku i zapalił kolejnego papierosa.

– Pewnie mówili ci, że masz przyłączyć się do grupy Naukowca, naszej największej organizacji, która działa zarówno w Paryżu jak i poza nim.

– Tak – potwierdziła Connie.

– Niestety, dowiedzieliśmy się, że wielu członków grupy Naukowca zostało aresztowanych przez gestapo, także Prosper, dowódca.

– Rzeczywiście, uprzedzano mnie. Miałam dostać od was jakieś bliższe informacje – odparła Connie, sącząc kawę.

– Radiotelegrafista Prospera też się nie odzywa, co może oznaczać, że i on trafił do aresztu. – Stefan zgasił niedopałek o podeszwę. – Trzy dni temu otrzymałem wiadomość, że czekają na ciebie i odbiorą cię ze stacji Montparnasse, ale teraz nie mam już pewności, kto tam będzie. – Szybko zapalił następnego papierosa. – Niestety, nie mogę ci towarzyszyć. Za duże ryzyko. Dowództwo ostrzegало, że trzeba się przyznać, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Musisz więc jechać sama.

– No tak. – Connie trzymała mocno kubek, jakby to był talizman, który doda jej pewności siebie.

– Ponieważ twój pseudonim nie pojawił się jeszcze w żadnych aktach, które mogą być w rękach gestapo, mało prawdopodobne, żebyś wzbudziła podejrzenia podczas podróży. Kobiety są zatrzymywane do kontroli dużo rzadziej niż mężczyźni – zapewnił. – Wiem, że to wiele prosić o coś takiego osobę, która dopiero przyjechała, ale musimy wysłać do Paryża kogoś, kogo nie znają szkopy, by zorientować się, co się stało. Zrobiłabyś to?

– Oczywiście.

– Mają na ciebie czekać w hali dworcowej, pod kioskiem. Musisz kupić paczkę gauloisów, a potem upuścić na ziemię, niby przypadkiem. Podnieś je i zapal jednego tym – Stefan wyjął z kieszeni pudełko zapalek i podał Connie. – W tym momencie powinien podejść do ciebie mężczyzna. Zabierze cię do jednego z naszych bezpiecznych mieszkań.

– A jeśli się nie pojawi? – spytała Connie.

– Wtedy będziesz wiedziała, że coś jest nie tak. Dobrze znasz Paryż?

– Tak. Studiowałam na Sorbonie.

– No, to nie będziesz miała trudności ze znalezieniem tego adresu. – Stefan podał jej kawałek papieru.

– Mieszkanie numer siedemnaście, rue de Rennes dwadzieścia jeden – przeczytała nazwę ulicy. – Dobrze znam te okolice.

– Świetnie. Kiedy podejdziesz do budynku, musisz go minąć, dojść do końca ulicy, a potem wrócić drugą stroną. Jeśli zobaczysz w pobliżu gestapo albo stojącą ciężarówkę, będziesz wiedziała, że to miejsce jest już spalone. Rozumiesz?

– Tak. A jeśli nie zobaczę pod nim gestapo? – drążyła Connie.

– To idź na trzecie piętro, gdzie znajduje się mieszkanie. Zapukaj dwa razy, potem trzy, i wtedy ktoś powinien otworzyć. Powiedz, że kurier po ciebie nie przyszedł i że przysłała cię Stefan – pouczył ją.

– Dobrze – powiedziała Connie, zapamiętując adres, a Stefan wziął od niej kartkę i zapalił ją zapalką. – A jeśli nikogo tam nie będzie, to gdzie mam pójść?

– W mieszkaniu numer siedemnaście zawsze ktoś jest, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jeśli nikt ci nie otworzy, będziesz wiedziała, że siatka Naukowca została zdekonspirowana i wszyscy się ukrywają. Wtedy wszelkie próby kontaktu z jej członkami będą zbyt niebezpieczne. – Stefan westchnął, zaciągając się głęboko dymem. – Jako ostatnią deskę ratunku podam ci adres mojego przyjaciela. Nie

należy do naszej grupy ani nie ma powiązań z SOE, ale bez wątplenia jest ogromnie oddany naszej sprawie. Wiem, że ci pomoże. Pójdź więc pod ten adres... – Stefan wyciągnął z kieszeni kolejną kartkę – i pytaj o Bohatera.

Connie przeczytała nowy adres zaskoczona.

– To na rue de Varenne. Moja rodzina miała tam przyjaciół.

– Twoja rodzina musiała więc obracać się w kręgach elity. Jak wiesz, to jeden z najbardziej luksusowych rejonów Paryża – powiedział Stefan, unosząc brwi.

– A gdybym nie zastała Bohatera? – spytała. – Mam się poddać, wsiąść w pociąg i wracać tutaj?

– *Madame* – Stefan gwałtownie zgasił papierosa o ziemię – w takiej sytuacji będziesz musiała zdać się na wyczucie. Zatrzymaj się w jakimś pensjonaciku, obserwuj sytuację i czekaj, aż Bohater wróci. Teraz czas na nas. I pamiętaj, nie wolno ci zostać na ulicy w Paryżu po godzinie policyjnej. To najbardziej niebezpieczna pora.

Zabrał kubki po kawie i wszedł z powrotem do chaty, a Connie przyglądała się starym rowerom, którymi mieli pojechać na stację.

– Kim jest twój przyjaciel Bohater? – spytała, wsiadając na rower, z walizką wetkniętą niezbyt stabilnie między koszyk a kierownicę.

– Zasady są tu takie, że nie zadaje się pytań. Ale on będzie wiedział o wszystkim, co się stało, i zdoła skontaktować cię z bezpieczną odnogą grupy Naukowca. A potem to ty, oczywiście, będziesz odpowiedzialna za jak najszybsze znalezienie sposobu przekazania do Londynu informacji o tym, co dzieje się w Paryżu. Jeśli tylko jest jeszcze w tym mieście jakiś radiotelegrafista, którego nie aresztowano – dodał ponuro.

Podróż rowerem na stację obyla się na szczęście bez przygód. Connie pamiętała te rejony z czasów przedwojennych. Miasto niewiele się zmieniło, tyle że na ratuszu wisiała flaga ze swastyką.

Stefan kupił bilet i podał go Connie. Zauważyła, że nerwowo rozgląda się po peronie.

– Muszę cię tu zostawić. Do widzenia, *madame* – powiedział, całując ją serdecznie w oba policzki, tak jakby była jego bliską krewną. – Liczymy na wieści od ciebie – dodał i zapalając kolejnego papierosa, ruszył niedbale w stronę swojego roweru, zostawiając Connie samą.

Pociąg podjechał punktualnie o jedenastej. Buckmaster żartował kiedyś, że jedyna korzyść z niemieckiej okupacji jest taka, że francuskie koleje nagle

przestały się spóźniać. Connie wsiadła i położyła walizkę na półce nad sobą. Kiedy ruszali, rozejrzała się po wagonie i zobaczyła zwykłą mieszaninę ludzi z różnych środowisk. Burczało jej w brzuchu z głodu. Zamknęła powieki w nadziei, że tak dobrze znane z przeszłości kołysanie i stukot kół o szyny uspokoją jej sterane nerwy. Ale na każdej stacji otwierała szeroko oczy, by sprawdzić, kto wchodzi do pociągu.

W Le Mans miała przesiadkę i zdołała kupić sobie jakąś czerstwą bułkę w kiosku na peronie. Kiedy czekała na ławce na następny pociąg, po raz pierwszy dostrzegła niemieckiego oficera. Stał na peronie i rozmawiał z zawiadowcą.

Wreszcie, koło piątej po południu, pociąg, którym jechała, wtoczył się na stację Montparnasse w Paryżu. Connie dołączyła do reszty pasażerów, którzy wysiadali i szli peronem, szykując się do pierwszej kontroli przy posterunku. Widziała, jak wielu jej towarzyszy podróży zostaje zatrzymanych, a ich walizki lądują otwarte na stole. Serce podeszło jej do gardła, kiedy przechodziła obok, ale żaden z francuskich policjantów nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Na miękkich nogach i w euforii, że udało jej się wyjść bez problemów, Connie rozejrzała się po hali dworcowej w poszukiwaniu kiosku, gdzie miała się spotkać z kurierem. Na stacji roiło się od wracających z pracy do domu, ale w końcu wypatrzyła kiosk w rogu i poszła w jego kierunku. Zgodnie z instrukcją kupiła gauloisy. Biorąc resztę, upuściła paczkę na ziemię.

– *Ah, mince alors!* – mruknęła, podnosząc ją i wyciągając jednego papierosa. Zapaliła go z taką nonszalancją, na jaką tylko mogła się zdobyć, zapalnikami od Stefana. I popatrzyła, czy ktoś nie podchodzi do niej z tłumem.

Wypaliła papierosa do końca, ale nikt się nie pojawił. Gasząc go nogą, spojrzała na zegarek i westchnęła, tak jakby ktoś, na kogo czeka, się spóźnił. Po dziesięciu minutach wyciągnęła kolejnego papierosa i użyła tych samych zapalek. Tego też wypaliła do samego koniuszka.

Po trzecim papierosie wiedziała, że nikt po nią nie przyjdzie.

– No to do planu B – szepnęła sama do siebie i opuściła dworzec, by po raz pierwszy znaleźć się na ulicach okupowanego Paryża. Do rue de Rennes nie było daleko. Tylko drobne szczegóły świadczyły, że coś się zmieniło. Była znów w mieście, które tak dobrze знаła i kochała. Spacer po nim ją uspokoił. W ten ciepły letni wieczór wszędzie panował tłok. Paryżanie zajmowali się tym, co zwykle, prawie można było wyobrazić sobie, że wszystko jest jak dawniej.

Zapadał zmierzch, gdy doszła do rue de Rennes. Po ustaleniu, który dom ma właściwy numer, minęła go przeciwnym chodnikiem, wyczulona na jakiegokolwiek oznaki zagrożenia. Kiedy dotarła do końca ulicy, przecięła jezdnię i zawróciła drugą stroną. Bała się strasznie, że ze swoją walizką musi wyglądać bardzo podejrzanie.

Wreszcie, kiedy znalazła się naprzeciw wejścia do budynku, ruszyła zdecydowanie do frontowych drzwi i nacisnęła klamkę. Puściła bez oporu i Connie przeszła przez marmurowy hol na schody. Jej kroki odbijały się echem po przestronnej klatce schodowej. Zatrzymała się na trzecim piętrze i znalazła numer siedemnaście, zaraz po prawej stronie. Wzięła głęboki wdech i zapukała dwa razy, potem trzy, jak kazano.

Nikt nie otwierał. Niepewna, czy czekać, czy zapukać znowu, czując w uszach, jak wali jej serce, a ciśnienie rośnie, zdecydowała się zrezygnować. Powiedziano jej, że ma spróbować tylko raz, teraz więc powinna się jak najszybciej stąd wycofać. Najwyraźniej obawy Stefana co do losu siatki były uzasadnione. Obróciła się na pięcie i już miała zbiec ze schodów, kiedy drzwi sąsiedniego mieszkania leciutko się uchyliły.

– *Madame* – szepnął ktoś. – Pani przyjaciół już tu nie ma. Zabralo ich wczoraj gestapo. Na pewno obserwują teraz dom. Niech pani nie wychodzi na ulicę. Z tyłu są drzwi na małe podwórko. I brama, z której korzystają śmieciarze, podjeżdżający od innej ulicy. Niech się pani pospieszy!

Drzwi zamknęły się równie szybko, jak się otworzyły, a Connie przypominając sobie wreszcie, czego ją uczono, zdjęła buty, by nie hałasować na schodach, i zbiegła na dół najszybciej jak mogła. Znalazła z drugiej strony holu drzwi, o których mówiła nieznajoma, i wyszła, modląc się, aby nie była to pułapka. Znalazła się na małym podwórku. Włożyła buty, zrobiła kilka kroków, po czym popchnęła bramę i wąską ścieżką dotarła do sąsiedniej ulicy. Skręciła w przeciwnym kierunku niż rue de Rennes. Starła się za wszelką cenę iść wolno, jak gdyby nigdy nic, oddalając się od miejsca, w którym po raz pierwszy zetknęła się z prawdziwym niebezpieczeństwem.

W końcu osłabiona z głodu i przypływu adrenaliny, jakiś dobry kilometr od mieszkania numer siedemnaście zauważyła kawiarnię ze stolikami wystawionymi na zewnątrz. Obawiała się, że nogi dalej jej nie poniosą, jeśli chwilę nie odpocznie. Przysiadła więc przy wolnym stoliku i wepchnęła pod niego

walizkę. Przeglądając skromne, ale zachęcające menu, zamówiła grzanekę z szynką. Pochłaniając ją łapczywie, oddychała głęboko i starała się trzeźwo myśleć.

W tym wielomilionowym mieście czuła się samotna jak jeszcze nigdy dotąd. I choć miała tu wielu znajomych z czasów studiów na Sorbonie i krewnych ze strony matki, wszelkie kontakty były surowo zabronione.

Fakt, że mogłaby się czuć tu jak u siebie w domu i że pomoc jest w zasięgu ręki, ale jednocześnie zupełnie nieosiągalna, sprawiał, że sytuacja wydawała się jeszcze bardziej przykra. Najwyraźniej Stefan miał rację. Członkowie jej siatki musieli się poukrywać, bo gestapo zaczęło aresztowania. Connie dopiła kawę, świadoma, że pozostała jej już tylko ostatnia deska ratunku, o której mówił Stefan. Zapłaciła, wzięła walizkę i ruszyła dalej ulicą.

Martwiąc ze strachu za każdym razem, kiedy z łoskotem zbliżała się do niej jakaś niemiecka ciężarówka, szła na północ i wreszcie dotarła na rue de Varenne – szeroką, wysadzaną drzewami aleję, gdzie stały piękne, eleganckie domy. W wielu z nich było ciemno, żadnych znaków życia, ale już z daleka widziała, że pod wskazanym adresem ktoś musi mieszkać. We wszystkich oknach paliło się światło, a za jednym z nich od frontu widać było nawet jakieś poruszające się sylwetki.

Connie wzięła głęboki wdech, przeszła jezdnię, ruszyła na schody przed wejściem i nacisnęła dzwonek.

Już po kilku sekundach drzwi otworzyła starsza kobieta, służąca. Zlustrowała Connie od stóp do głów i rzuciła ostro:

– W jakiej sprawie?

– Przyszłam zobaczyć się z Bohaterem – szepnęła Connie. – Proszę powiedzieć mu, że pozdrawia go Stefan – dodała.

Stosunek służącej do niej natychmiast się zmienił.

Na jej pomarszczonej twarzy odmalowało się przerażenie.

– Proszę, *madame*, niech pani wejdzie, tylko cichutko. Pójdę go poszukać – powiedziała i szybko wpuściła ją do środka.

– Czy go zastałam? – spytała z ulgą Connie.

– Tak, ale... – Służąca wyraźnie się wahała. – Chwileczkę, *madame*.

Kiedy zniknęła za jednym z kilkorga drzwi w korytarzu, Connie spojrzała z zachwytem na piękne antyczne meble i elegancko zaprojektowane schody w środku holu. Mieszkańcy tego domu musieli należeć do tak dobrze jej znanych zamożnych kręgów, w których czuła się swobodnie.

Prawie natychmiast z pokoju wyszedł wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o zgrabnej sylwetce. Typowy Francuz. Miał na sobie strój wieczorowy.

Ruszył ją powitać z otwartymi ramionami.

– Dobry wieczór, kochanie! – zawołał, obejmując mocno zaskoczoną Connie. – Nie spodziewałem się ciebie – szepnął jej do ucha, kiedy znalazł się blisko. – Mamy tu gości i mogli zauważyć, jak wchodzisz na schody. – Jak tam podróż? – dorzucił już głośno.

– Długa – odparła, zszokowana.

– Jesteś Francuzką? – zapytał szeptem, nadal trzymając ją w ramionach i mówiąc jej prosto do ucha.

– Tak, moja rodzina pochodzi z Saint-Raphaël – odpowiedziała cicho.

– Jak się nazywasz?

– Constance Chappelle. Moja ciotka to baronowa du Montaine.

– Słyszałem o tej rodzinie. – W jego oczach widać było wyraźną ulgę. – No to jesteś moją daleką kuzynką, przyjechałaś z wizytą. Idź na górę z Sarah. Porozmawiamy później.

Puszczając ją, powiedział już normalnie:

– W tych czasach wyprawa z południa jest męcząca, zwłaszcza przez te wszystkie kontrole. Czekamy na ciebie tutaj, kiedy się odświeżysz, moja droga.

Wyraz jego oczu nie dawał jej wyboru. Mężczyzna ruszył z powrotem do salonu i popchnął drzwi.

Kiedy to zrobił, Connie zauważyła za nimi wielu gości w niemieckich mundurach.

Zaprowadzona przez Sarah, służącą, do wspaniałej sypialni na piętrze i pozostawiona samej sobie, gdy Sarah szykowała jej kąpiel, zszokowana Connie usiadła zdyszana na fotelu. Starła się zrozumieć, co właśnie zobaczyła na dole. Wyobrażała sobie wiele scenariuszy i nawet przećwiczyła je podczas kursu. Ale nigdy nie brała pod uwagę, że może spędzić pierwszą noc w okupowanym Paryżu, zabawiając się w towarzystwie wroga.

Sarah pokazała jej drogę do łazienki i Connie skorzystała szybko z luksusu pomoczenia się w gorącej wodzie po dwóch dniach bez możliwości umycia się. Pozwoliła sobie na przelotny uśmiech, kiedy niechętnie wychodziła z wanny, i pospieszyła do przydzielonego jej pokoju.

Sarah siedziała na sofie przy końcu łóżka. Skinęła na Connie.

– Proszę, usiądź.

Connie siadła posłusznie.

– Édouard, którego poznałaś na dole, prosił, żebyśmy porozmawiały, zanim zejdiesz na kolację. Nie mamy dużo czasu, więc, proszę, skup się na tym, co mówię. Po pierwsze, nazywam się Sarah Bonnay i od wielu lat pracuję dla rodziny de la Martinières. Édouard wyjaśnił mi, że przysłał cię jego przyjaciel Stefan, i poprosił, żebym powiedziała ci, co teraz zrobimy.

– Dziękuję – odparła nerwowo Connie.

– Po twoim głosie czuję, że się boisz, Constance, i wszystko rozumiem. Ale wierz mi, masz szczęście, trafiłaś pod chwilowo bezpieczny adres w Paryżu – pocieszyła ją Sarah. – Jednak twoje niespodziewane pojawienie się naraża nas wszystkich. Kto mógł przypuścić, że właśnie dziś wieczór w domu będzie... przyjęcie. Édouard powiedział więc, że musimy zrobić wszystko, żeby ratować sytuację. Constance, swojego pierwszego wieczoru w Paryżu musisz się spisać koncertowo. Édouard zasugerował, że masz być jego kuzynką, przyjechałaś z południa z wizytą. Mówił, że masz tam rodzinę?

– Tak, ciotkę, baronową du Montaine. Ma zamek w Saint-Raphaël.

– Jego znajduje się również w tamtych rejonach, w Gassin – powiedziała Sarah.
– Dobrze. Będzie to brzmiało całkiem prawdopodobnie, że rodziny Montaine i de la Martinières są spokrewnione. Podczas kolacji twoja historia jest taka: przyjechałaś do Paryża odwiedzić swoją ukochaną kuzynkę i kuzyna i przywieźć im smutną wiadomość, że zmarł wasz wuj Albert.

– Rozumiem.

– Constance, pozwól mówić Édouardowi – ciągnęła Sarah. – Sama odzywaj się jak najmniej, jeśli na dole ktoś będzie cię o coś pytał. Skoro jesteś, kim jesteś, nie powinno być ci trudno.

– Postaram się.

Sarah przypatrzyła się jej.

– Sądzę, że masz podobną figurę do świętej pamięci Emilie de la Martinières, matki Édouarda. Musisz wiedzieć, że zmarła cztery lata temu, tuż przed wojną. Może miała szczęście... – Sarah westchnęła. – Przyniosę jedną z jej sukni. Jeśli chcesz, pomogę ci się uczesać. Im piękniejsza, bardziej czarująca i głupiutka się wydasz, tym dla nas wszystkich bezpieczniej. Zrozumiałaś, Constance?

– Tak, rozumiem.

– Teraz szykuj się, powinnaś jak najszybciej dołączyć do gości w salonie. Muszę powiedzieć Édouardowi, co ustaliłyśmy, kiedy przyjdzie po swoją młodszą siostrę, Sophie, żeby ją sprowadzić na dół. Proszę, nie zawieź nas dziś wieczorem. Goście nie mają prawa nabrać żadnych podejrzeń. Bo inaczej – Sarah znów westchnęła i wstała z kanapy – dla de la Martinièresów wszystko będzie stracone.

– Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy – zdołała wyjąkać Connie.

– Pozostaje nam modlić się, żeby ci się udało.

• • •

Dwadzieścia minut później Connie stała przed zamkniętymi drzwiami salonu. Zgodnie z sugestią Sarah pomodliła się, otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Constance! – Édouard natychmiast ruszył ku niej i ucałował ją w oba policzki. – Czy już trochę odsapnęłaś po trudach podróży? Twój wygląd na to wskazuje – dodał z sympatią.

– Tak – odparła Connie, pewna, że przynajmniej prezentuje się lepiej niż kiedykolwiek. Sarah świetnie się spisała przy ułożeniu fryzury, a potem zrobiła

jej makijaż, zanim pomogła włożyć przepiękną wieczorową suknię, zaprojektowaną, jak zauważyła Connie, przez Diora. Pożyczone brylanty w uszach i na szyi dopełniały przebrania.

– Chodź, przedstawię cię swoim przyjaciółom. – Édouard zaoferował Connie ramię, a kiedy podchodziła do gości, zobaczyła przed sobą całą gamę mundurów, które uczyła się rozpoznawać na kursie.

– Hans, pozwól, że przedstawię ci moją drogą kuzynkę Constance Chapelle, która zaszczyliła nas swoją uroczą obecnością podczas krótkiego pobytu w Paryżu. Constance, komendant Hans Leidinger.

Constance poczuła na sobie badawczy wzrok ogromnego mężczyzny w mundurze wysokiego rangą oficera wywiadu Abwehry.

– *Fräulein* Chapelle, miło mi poznać jeszcze jednego uroczego członka rodziny Édouarda.

– Pułkownik Falk von Wehndorf. – Édouard ruszył do następnego mężczyzny, tym razem w mundurze nienawistnego gestapo.

Von Wehndorf był blondynem, Aryjczykiem jak z obrazka.

Otaksował ją bezwstydnie od stóp do głów, nie kryjąc zainteresowania. Zamiast uścisnąć wyciągniętą dłoń Connie, uniósł ją i złożył na niej pocałunek. Przez moment patrzył na nią przenikliwie swoimi bladoniebieskimi oczami. Po czym powiedział nienagannym francuskim:

– *Fräulein* Chapelle, gdzie Édouard panią przed nami ukrywał?

Te rzucone lekko słowa od razu przeraziły Connie.

– Pułkowniku von Wehndorf...

– Proszę, jesteśmy tu wśród przyjaciół, proszę mówić do mnie Falk. Czy mogę zwracać się do pani Constance? – zaproponował.

– Oczywiście. – Connie posłała mu, jak miała nadzieję, swój najpiękniejszy uśmiech. – Nie ukrywał mnie. Po prostu mieszkam na południu i podróże do Paryża mnie męczą.

– Pani rodzina mieszka na południu? A gdzie konkretnie?

Ale Édouard przedstawiał ją już następnemu mężczyźnie. Ten miał na sobie mundur SS.

– Przepraszam. – Connie spuściła oczy, odwróciła się od von Wehndorfa i skupiła uwagę na komendancie Choltitzu.

– *À bientôt, Fräulein* Constance – usłyszała za sobą cichy głos Falka.

Kieliszek szampana został wciśnięty w jej dłoń przez Édouarda po drodze, kiedy przedstawiał jej kolejnych trzech niemieckich oficerów i wysokiego rangą urzędnika francuskiej milicji. Potem została przedstawiona dwóm Francuzom, prawnikowi i profesorowi, którego żona Lilian była jedyną kobietą w towarzystwie. Zdenerwowana do granic wytrzymałości Connie wzięła spory łyk szampana i modliła się, żeby Édouard przezornie posadził ją przy stole przy rodakach.

– *Mesdames et messieurs*, zapraszam do jadalni. Pójdę po swoją siostrę – powiedział Édouard, pokazując gościom drogę do drzwi.

Starając się dyskretnie wcisnąć między francuskiego profesora a jego żonę, Connie przeszła do jadalni. Sarah wskazała jej miejsce przy stole. Usiadła, z ulgą widząc, że z jednej strony ma profesora, a stojący za krzesłem prawnik zamierza zająć miejsce z drugiej. Wtem, kiedy już miał usiąść, podeszła do niego Sarah. Szepnęła mu coś do ucha i prawnik natychmiast przeszedł na drugą stronę stołu. Connie zobaczyła nagle obok siebie Falka von Wehndorfa, gestapowca.

– *Fräulein* Constance, mam nadzieję, że się pani nie obrazi. Poprosiłem, bym mógł dziś siedzieć obok pani przy kolacji – rzucił z uśmiechem. – Nieczęsto mam szansę na towarzystwo tak pięknej kobiety przy stole. A teraz, musimy napić się więcej szampana.

Falk skinął na Sarah, która pospieszyła z butelką, kiedy Édouard wchodził do pokoju.

Na jego ramieniu wspierała się piękna młoda kobieta. Sophia, jak zapamiętała Connie, siostra Édouarda. Drobniutka i śliczna, prawie jak lalka, miała na sobie szafirową suknię wieczorową, co podkreślało kremowy odcień jej idealnej cery i uderzający błękit oczu. Jej blond włosy były upięte w kok, a łabędzią szyję zdobił naszyjnik z szafirów.

Kiedy Édouard przyprowadził ją do stołu, Connie zauważyła, że ręce Sophii sięgają do krzesła, a jej delikatne palce gładzą drewniane oparcie. Siadając, uśmiechnęła się do zebranego towarzystwa.

– Dobry wieczór. Miło mi powitać was wszystkich znów w naszym domu.

Mówiła niskim melodyjnym głosem, jej francuski zdradzał arystokratyczne pochodzenie.

Rozległ się szmer, gdy wielu gości odpowiedziało na jej powitanie.

– Kuzynko Constance... Édouard powiedział mi, że wreszcie bezpiecznie do nas dotarłaś. – Turkusowe oczy Sophie nie zwróciły się w kierunku Constance, kiedy

to mówiła.

– Tak, cieszę się, prześlicznie wyglądasz – odparła zdrętwiała Constance.

Pozbawione wyrazu spojrzenie Sophii powędrowało w stronę jej głosu. Dziewczyna posłała Connie olśniewający uśmiech.

– Mamy sobie tyle do opowiedzenia.

Connie patrzyła, jak sąsiad Sophii wciąga ją w rozmowę. Jednak wzrok dziewczyny nie skupiał się na nim, kiedy się do niego zwracała.

Nagle zdała sobie sprawę, że Sophia de la Martinières jest niewidoma.

Connie zobaczyła, że spojrzenie Édouarda wędruje do niej i do Falka von Wehndorfa. Zauważył zmianę w planach rozsądzenia gości. Sam siedział po przeciwnej stronie stołu, w otoczeniu Niemców.

– Zacznijmy od toastu. To kolacja dla uczczenia trzydziestych piątych urodzin naszego gościa i przyjaciela Falka von Wehndorfa.

Wszyscy unieśli kieliszki.

– Za ciebie, Falk.

– Za Falka – odezwał się chór głosów.

Falk skłonił się lekko.

– I za naszego gospodarza, hrabiego Édouarda de la Martinières, który wydał to przyjęcie. I jak się wydaje – rzucił okiem na Connie – zapewnił mi też niespodziewanie prezent urodzinowy. Za *Fräulein* Constance, która przybyła tu z południa i towarzyszy nam podczas tej kolacji.

Connie starała się trzymać nerwy na wodzy, kiedy wszystkie oczy zwróciły się na nią. Nigdy nie sądziła, że za jej przyjazd do Paryża będą wznosić toast niemieccy oficerowie. Umoczyła usta w szampanie. Wiedziała, że musi być czujna i nie wolno jej więcej pić. Była wdzięczna, gdy Sarah zaczęła podawać pierwsze danie, co odwróciło od niej uwagę gości.

•••

Później, kiedy Connie wspominała swój pierwszy wieczór w okupowanym Paryżu, była przekonana, że ktoś nad nią czuwał. Profesor siedzący po jej lewej stronie był wykładowcą z Sorbony, mogła więc pod stałą obserwacją Falka udowodnić, że naprawdę tam studiowała. Rozmowa uwiarygodniła jej przybraną tożsamość. Widziała, że Édouard patrzy na nią z aprobatą, kiedy zręcznie zbywała pytania Falka i czarowała go uśmiechem i spojrzeniami.

Pod koniec wieczoru, gdy niemieccy oficerowie wychodzili, Falk znów ujął jej dłoń i ucałował.

– *Fräulein*, dziękuję za miłe towarzystwo. Przekonałem się, że jest pani nie tylko piękna, ale i mądra. – Skinął z uznaniem głową. – A ja lubię mądre kobiety. Jak długo zostanie pani w Paryżu?

– Jeszcze nie podjęłam decyzji – odparła zgodnie z prawdą.

– Constance zostanie u nas, ile tylko zechce. – Édouard ruszył na pomoc Connie, odprowadzając gości do drzwi i żegnając się z nimi.

– Wobec tego mam nadzieję, że będę miał przyjemność znów panią zobaczyć. I to wkrótce. *Heil Hitler!*

Jeszcze raz spojrzął na nią przenikliwie swoimi bladoniebieskimi oczami i wyszedł za resztą mężczyzn. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Édouard sam starannie je zarygłował.

Stojąc w holu po tym wszystkim, Connie poczuła, jak opuszczają ją resztki energii. Nogi się pod nią ugięły, aż się zachwiała. Édouard natychmiast objął ją ramieniem i podtrzymał.

– Chodź, Constance – powiedział, prowadząc ją na tyły domu – na pewno jesteś wyczerpana. Napijemy się brandy przed snem.

Skinął na Sarah, która czekała w pogotowiu w korytarzu.

– Proszę, przynieś tacę do bawialni.

Connie usiadła z ulgą na sofie, nieprzytomna ze zmęczenia. Édouard przyglądał się jej chwilę, zanim Sarah przyniosła tacę z brandy. Kiedy sobie nalał, a Sarah wyszła, podniósł kieliszek w kierunku Connie.

– Moje gratulacje, Constance. Fantastycznie sobie dziś poradziłaś.

Zobaczyła, jak Édouard po raz pierwszy szczerze się uśmiecha. Jego przystojna twarz nagle nabrała życia.

– Dziękuję – wykrztusiła, zbierając siły, aby podnieść kieliszek do ust.

– Chyba pozostaje mi tylko powiedzieć – Édouard uśmiechnął się znowu – witaj w rodzinie.

Oboje zachichotali z tej uwagi. I kiedy potworne napięcie zaczęło nareszcie ustępować, uśmiali się do łez z komedii, jaką udało im się odegrać.

– Och, Constance, nie masz pojęcia, jaki to był szok, kiedy stanęłaś na naszym progu. Myślałem już, że to koniec. Dom pełen najwyższych rangą funkcjonariuszy milicji, gestapo i Abwehry, ja ich podejmuję, a tu pojawia się u mnie zagubiona agentka SOE!

– Nie mogłam uwierzyć własnym oczom, kiedy zobaczyłam te mundury w salonie. – Connie aż potrząsnęła głową na wspomnienie swojego przerażenia.

– Jutro porozmawiamy o tym, jak to się stało – powiedział Édouard. – Na razie chciałbym ci tylko jeszcze raz podziękować, że stanęłaś na wysokości zadania i tak się spisałaś. Oczywiście, Bóg nas strzegł. A twoje wychowanie pomogło wszystkim uwierzyć, że jesteś członkiem naszej rodziny.

– Na kursach SOE – Connie zachichotała – stale mnie ostrzegali, że mój francuski zdradza burżujskie pochodzenie. To nie pasowało do roli nauczycielki z Paryża. Zwracali mi uwagę na moje arystokratyczne maniere i robiłam, co mogłam, żeby się ich pozbyć.

– No widzisz, a dziś wieczorem okazały się one dla nas zbawienne. I wygląda na to, że zyskałaś adoratora. – Twarz Édouarda nagle spowaźniała. – Jest jednym z nielicznych znanych mi faszystów pochodzących z arystokratycznych rodzin. Ale nie daj się zwieść, że możesz się czuć przy nim bezpiecznie. Falk von Wehndorf jest jednym z najokrutniejszych morderców rządzących obecnie w Paryżu. Bezlitośnie ściga wszystkich zdrajców Hitlera – dodał. – To głównie on jest odpowiedzialny za aresztowanie wielu członków siatki, do której miałaś dołączyć.

Connie przebiegł dreszcz po plecach.

– Rozumiem – powiedziała zaszępiła. – A wydaje się świetnie wykształcony i zakochany we Francji.

– Docenia historię, kulturę i elegancję naszego kraju, ale chce je zawłaszczyć dla siebie i swojej ojczyzny. To sprawia, że jest jeszcze bardziej niebezpieczny. I jak oboje widzieliśmy dziś wieczorem – Édouard uniósł nieco brwi – ceni też nasze kobiety. A jeśli zapragnął ciebie... no, o przyszłości porozmawiamy jutro.

Édouard odstawił kieliszek, wstał, podszedł do Connie i poklepał ją lekko po ramieniu.

– Na razie niech ci wystarczy, że możesz spać spokojnie. Jesteś z nami w Paryżu i nic ci nie grozi.

Édouard podał jej ramię.

– Udamy się na spoczynek?

– Tak. – Connie pohamowała ziewnięcie i wstała.

Poszli korytarzem i po schodach na piętro.

– Dobranoc, kuzynko Constance. – Édouard uśmiechnął się.

– Dobranoc, Édouardzie.

Po zdjęciu z siebie biżuterii i sukni wślizgnęła się pod kołdrę na dużym, wygodnym łożu. Ogarnęła ją fala wielkiego zmęczenia i Connie zapadła w głęboki, kojący sen.

•••

Rano zerwała się nagle, przerażona. Przez chwilę nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Kiedy sobie przypomniała, opadła z westchnieniem na poduszki. Sprawdziła godzinę na swoim zegarku, zobaczyła, że jest już po dziesiątej. Aż złapała się dłonią za usta ze zdumienia. Nigdy w życiu nie spała do tak późna. Wstała z łóżka, otworzyła walizkę i wyjęła skromną bluzkę i spódnicę, które sekcja F uznała za odpowiedni strój dla nauczycielki. Pospiesznie upięła kok przed lustrem i zeszła na dół poszukać Édouarda lub Sophii.

– Hrabia jest w bibliotece, *madame* – poinformowała ją Sarah, na którą natknęła się w korytarzu. – Powiedział, żeby pani do niego przyszła, kiedy się pani obudzi. Mogę podać tam pani śniadanie na tacy?

– Bardzo dziękuję, ale poproszę tylko o kawę – odparła Connie, bo po wystawnej kolacji z poprzedniego wieczoru nie była głodna.

Kartki reglamentacyjne najwyraźniej nie obowiązywały w tym domu. Poszła za Sarah do drzwi biblioteki, zapukała i weszła.

Édouard siedział w wygodnym skórzanym fotelu. Półki z książkami ciągnęły się od podłogi do sufitu. Édouard uniósł wzrok znad gazety.

– Dzień dobry, Constance, siadaj, proszę. – Wskazał na fotel po drugiej stronie kominka.

– Dziękuję – powiedziała, zajmując miejsce. – Masz tu wspaniałe zbiory. – Popatrzyła z zachwytem na regały.

– Odziedziczyłem je po ojcu, ale to też i moja pasja. Zamierzam w miarę możliwości rozszerzyć kolekcję. Tyle tysięcy książek zostało spalonych w Europie przez faszystów, że ten księgozbiór ma jeszcze większą wartość niż dawniej.

Édouard westchnął głęboko i wstał. Wydawał się wyczerpany i bardziej poważny. Nie widać było żywiołowości z poprzedniego wieczoru. Przypatrując się mu w świetle dnia, patrząc na delikatne zmarszczki, pomyślała, że musi mieć około trzydziestu pięciu lat.

– Constance, chciałbym, żebyś opowiedziała mi ze szczegółami, jak to się stało, że zapukałaś wczoraj do moich drzwi.

Connie zaczęła wyjaśniać, jak to kurier, który miał na nią czekać na stacji Montparnasse, się nie pojawił, a potem poszła pod wskazany przez Stefana adres na rue de Rennes.

– Czy sądzisz, że ktoś cię widział, kiedy wchodziłaś do budynku? – zapytał wyraźnie zaniepokojony Édouard.

– Rozejrzałam się bardzo dokładnie, tak jak mi kazał Stefan, i nie zauważyłam w okolicy nikogo w mundurze. Kiedy miałam wyjść, jakaś kobieta z mieszkania obok ostrzegła mnie, że pod numerem siedemnaście było gestapo i wszystkich aresztowało. Powiedziała, żebyśmy skorzystała z tylnej bramy – dodała Connie.

– Czy widziała twoją twarz?

– Jeśli tak, to zaledwie kilka sekund.

– No to módlmy się, aby okazała się osobą godną zaufania – szepnął Édouard. – Constance, na razie, jak się wydaje, szczęście ci sprzyja. Mieszkanie numer siedemnaście było jedną z głównych kryjówek siatki Naukowca. Jak potwierdzają słowa sąsiadki, gestapo zrobiło tam nocny nalot w przeddzień twojego przyjazdu. Nadal trwają aresztowania. To niemal pewne, że kamienica jest pod obserwacją. Czekają tam, by wyłapać agentów, którzy jeszcze nie wiedzą o wpadce. I – westchnął – możemy mieć tylko nadzieję, że nie zwrócili na ciebie uwagi, bo jesteś nowa, nikt przedtem nie zauważył, żebyś tam bywała. Może uznali, że jesteś znajomą kogoś innego w tym domu.

– Stefan mówił, że poza mną nie ma kogo wysłać do Paryża. Jestem tu nowa i nie mogę być na żadnej liście gestapo – wyjaśniła Connie.

– Racja. To już coś. – Édouard potarł w zadumie brodę, kiedy Sarah wносиła dla nich kawę i ciasteczka. – Masz szczęście, że trafiłaś na Stefana. Jest świetnie wyszkolonym członkiem oddziału, który wspierają w akcjach wasi agenci. Zna mnie, ale nie przez kanały waszej organizacji. Wiedział o kłopotach w Paryżu i podał ci kontakt do mnie tak na wszelki wypadek. Problem w tym...

– Tak? – Connie usilnie starała się zrozumieć, do czego zmierza Édouard.

– Ze względu na moją... – przez chwilę szukał właściwego słowa – pozycję, nie może wyjść na jaw jakiegokolwiek moje powiązanie z SOE czy ruchem oporu. Nie muszę ci tłumaczyć, jakie to ważne. A tu, oczywiście, pojawiłaś się ty, brakujące ogniwo, na jakie Niemcy tylko czekają, brytyjska agentka SOE, z którą siedzę w bibliotece i popijam kawę.

– Naprawdę potwornie mi przykro, że sprawiam taki kłopot, Édouardzie.

– Proszę, Constance. To nie twoja wina. Stefan potrzebował kogoś, kogo mógłby wysłać do Paryża, by dowiedzieć się, na ile sytuacja jest poważna i co się stało. I zapewniam cię, że jest nawet gorzej, niż sądził.

– Stefan prosił, abym jak najszybciej przekazała na ten temat informację do Londynu – dodała Connie.

– To nie będzie konieczne. Nie pracuję dla brytyjskiego rządu, ale znam naczelne dowództwo tamtejszego wywiadu i wymieniamy między sobą informacje. Skontaktowałem się już z Londynem dziś rano, by ich uczulić na to, co się dzieje – wyjaśnił Édouard. – Stefan wkrótce dostanie wiadomość. Zarówno Prosper, szef siatki Naukowca, jak i jego radiotelegrafista zostali aresztowani. Inni, którzy mogli, uciekli z Paryża albo gdzieś się poukrywali w mieście, aż alarm zostanie odwołany. Moja droga Constance – podsumował – w tej chwili nie ma tu po prostu żadnej siatki, do której można by się było przyłączyć.

– No to na pewno skierują mnie z Paryża do pracy wywiadowczej gdzie indziej – powiedziała Connie.

– W normalnych okolicznościach tak by to wyglądało – potwierdził Édouard. – Ale tak się złożyło, że wczoraj poznałaś kilku najpotężniejszych Niemców w Paryżu.

Odstawił kawę i nachylił się do niej.

– Wyobraź to sobie, Constance. Zostajesz przeniesiona do innej siatki, zaczynasz misję, do której byłaś szykowana, i nagle paf! – Zrobił gwałtowny gest. – Aresztują cię i przywożą na przesłuchanie do tutejszej kwatery gestapo. I znów dziełem przypadku przychodzi przesłuchiwać cię jeden z tych mężczyzn, których spotkałaś wczoraj wieczorem. Na przykład taki pułkownik Falk. I kogo widzi przywiązanego do krzesła? Kuzyneczkę swojego bliskiego przyjaciela, hrabiego de la Martinières, Constance, którą poznał parę tygodni temu przy kolacji. Co sobie pomyśli? Czy będzie sądził, że jego przyjaciel Édouard nic nie wie o działalności kuzynki? W najlepszym wypadku zaczniesz bacznie się przypatrywać hrabiemu i Francuzom, którzy u niego bywają, i będzie zadawał sobie pytanie, czy ci ludzie naprawdę są tak lojalnymi zwolennikami rządu Vichy i Niemców, jak twierdzą.

– No tak, rozumiem – zgodziła się Connie. – Ale jakie jest wyjście? Z kim współpracujesz?

– Constance, nie ma potrzeby, żebyś o tym wiedziała – odparł krótko. – Tak będzie lepiej, wierz mi. Ale wszystko, co robię, służy wyzwoleniu mojego kraju od okupanta i marionetkowego rządu Vichy, w którym rozsiedli się słabi duchem

i dla ratowania własnej skóry zgadzają się na wszystko, co każą Niemcy. Przez te cztery lata starałem się zaskarbić sobie ich zaufanie. Dzięki mojemu bogactwu, a ich zachłanności udało się. Choć może robić się od tego niedobrze. Nie zapominaj, ile to mnie kosztuje, Constance. Za każdym razem, kiedy jeden z tych ludzi przekracza mój próg, mam ochotę wyjąć broń i zacząć strzelać.

Connie dostrzegła grymas w twarzy Édouarda. Splótł mocno dłonie, aż zbieleły mu kostki.

– Ale zamiast tego zapraszam ich do domu, częstuję najznakomitszym winem z naszych piwnic, wydaję krocie na czarnym rynku, by zapewnić im najlepsze mięso i sery, i prowadzę z nimi uprzejme rozmowy. Spytasz czemu. Jak mogę coś takiego robić?

Connie nic nie mówiła, wiedziała, że Édouard nie czeka na jej odpowiedź.

– Robię to, bo czasami, gdy wypiją za dużo brandy, usłyszę jakiś strzępek informacji nieostrożnie rzuconej z pijanych niemieckich ust. I czasami ta drobna informacja pozwala mi ostrzec przed niebezpieczeństwem, a może nawet uratować życie moich rodaków. I z tej przyczyny, tak, znoszę towarzystwo okupantów przy moim stole.

Connie siedziała w milczeniu. Teraz rozumiała.

– Widzisz więc – wyjaśnił Édouard – że nie może paść na mnie nawet cień podejrzenia, że mam cokolwiek wspólnego z jakąkolwiek organizacją, którą naziści próbują zdławić. To mogłoby nie tylko pociągnąć za sobą śmierć współpracujących ze mną wielu dzielnych mężczyzn i kobiet, ale także uniemożliwić zdobywanie cennych informacji, które teraz jestem w stanie dostarczać, a ludzie naprawdę ich potrzebują. Martwię się nie tyle o własne życie, Constance, ile, na przykład, o życie Sophii. Mieszka tu ze mną, dlatego musi być włączona w moją grę. I zostanie pociągnięta do odpowiedzialności, gdybym został zdemaskowany. Więc...

Édouard nagle wstał, podszedł do okna i wyrżał na skąpany w słońcu piękny ogród.

– Ze względu na to wszystko obawiam się, że twoja rola jako brytyjskiej agentki jest już skończona.

Te wolno wypowiedziane słowa uzmysłowiły Connie, co się stało. Jak to możliwe, żeby tygodnie szkolenia, mentalnego i emocjonalnego przygotowywania się, poszły na marne, pomyślała.

– Rozumiem. Co ze mną zrobisz? – spytała wreszcie, wiedząc, że jej głos brzmi płacząco.

– To bardzo dobre pytanie, Constance. Poinformowałem już Londyn, że jesteś u mnie. I że muszą natychmiast zatrzeć wszelkie ślady, że zostałaś wysłana do Francji. Ci nieliczni, którzy wiedzą o twoim przyjeździe, dostaną wiadomość i od tej pory nie będzie z nimi żadnych kontaktów. Natychmiast przynieś mi swoje dokumenty. Spalimy je razem w kominku. Dasz mi też swoją walizkę, której pomogę ci się pozbyć. Kiedy tu rozmawiamy, już przygotowują mi nowe papiery dla ciebie. Od tej chwili jesteś po prostu Constance Chappelle, mieszkającą w Saint-Raphaël i znaną tym, którzy już cię spotkali, jako moja kuzynka.

– I co dalej? – spytała. – Zostanę odesłana z powrotem do Anglii?

– Nie tak szybko, to zbyt niebezpieczne. Nie mogę ryzykować, że cię złapią. Constance. – Édouard uśmiechnął się do niej smutno. – Obawiam się, że przez następne tygodnie będziesz musiała kontynuować odgrywanie roli, jaką przyjęłaś wczoraj wieczorem. Zostaniesz tu, w tym domu, jako nasz gość. Może za jakiś czas będziesz mogła pojechać na południe, jakbyś wracała do siebie, do Saint-Raphaël, i zobaczymy, co da się zrobić, żeby przetrzymać cię stamtąd do Anglii. Ale na razie, nie ze swojej winy, utknęłaś tu z nami.

– I Londyn się na to zgadza? – spytała z niedowierzaniem Connie.

– Nie mają wyboru – zbył ją Édouard, jakby te wątpliwości były nieistotne. Jednak po chwili odwrócił się do niej i popatrzył na nią łagodnie. – Rozumiem twoje pragnienie, by włączyć się w walkę na rzecz ojczyzny, i twoje rozczarowanie, że nie jesteś w stanie kontynuować swojej misji. Ale, wierz mi, chodzi o szlachetny i wyższy cel. Poza tym – wzruszył ramionami – może uda ci się pomóc w inny sposób. Jesteś piękną kobietą, która zrobiła bardzo dobre wrażenie na mężczyźnie o wielkiej władzy. Falk jest naszym stałym gościem. Nigdy nie wiadomo, co możesz od niego usłyszeć.

Connie wewnętrznie zjeżyła się na tę myśl, ale rozumiała, co Édouard chce przez to powiedzieć.

– Na razie Sophia wezwwała swoją krawcową. Będzie tu niedługo. Musisz mieć ubrania odpowiednie dla damy z rodu Montaine i de la Martinières. A Sophii milej będzie w towarzystwie drugiej kobiety w domu. Rzadko wychodzi ze względu na... swój stan i czuje się samotna. Bardzo brakuje jej też naszej matki. Może mogłabyś spędzać z nią trochę czasu? – zasugerował Édouard.

– Czy taka się urodziła? – spytała Connie.

– Sophia trochę widziała jako niemowlę. Moi rodzice nie od razu więc zauważyli problem – wyjaśnił. – Jej wzrok pogarszał się powoli, ale kiedy rodzice zorientowali się, co się dzieje, było za późno, by lekarze mogli coś na to poradzić. Sophia dobrze przystosowała się do swoich ograniczeń. Umie pisać, nauczyła się, jeszcze zanim całkowicie straciła wzrok, dzięki Bogu. Tworzy piękne wiersze. Naprawdę piękne.

Connie widziała emocje w oczach Édouarda.

– W jakim wieku ostatecznie przestała widzieć?

– Sophia miała siedem lat, kiedy światło całkowicie dla niej zgasło. Ale to zdumiewające, jak inne zmysły jej to rekompensują. Ma najlepszy słuch ze wszystkich, których znam, i zwykle potrafi poznać, kto wszedł do pokoju, po samych odgłosach kroków. Bardzo lubi czytać. Sprowadziłem dla niej specjalnie sporo książek w brajlu. Szczególnie pasjonuje się angielskimi poetami z okresu romantyzmu, jak Byron czy Keats. I ładnie maluje. Dotyka przedmiotów i umie jakoś przenieść ich kształty i kolor na papier. – Édouard uśmiechnął się lekko. – To artystyczna dusza, mój największy skarb.

– Jest też bardzo piękna – dodała Connie.

– Tak. Czy to nie smutne, że sama nigdy nie zobaczy tego w lustrze? Nie ma o tym pojęcia – stwierdził. – Mężczyźni, którzy widzą ją po raz pierwszy i nie wiedzą o jej niepełnosprawności... Widzę, jakie robi na nich wrażenie. Jest cudowna.

– Rzeczywiście.

– No to teraz – wyraz twarzy Édouarda zmienił się nagle – idź na górę po walizkę i dokumenty. Niepokoi mnie, że one jeszcze tu są u nas w domu.

To nie była prośba, ale żądanie. Connie posłuchała i poszła na górę po walizkę. Dziesięć minut później patrzyła, jak jej tożsamość ulatuje z dymem. Zawartość walizki Édouard przełożył do worka. Potem wskazał na buty.

– One też, Constance. Oboje wiemy, co jest schowane w jednym z obcasów.

– Ale ja nie mam innych butów – zaprotestowała Connie.

– Zaraz dostaniesz nowe – zapewnił.

Connie stała w bibliotece w samych pończochach na stopach. Czuła się strasznie bezbronna. Nie miała już nic na świecie poza ubraniem na sobie.

Édouard wyjął zza podszewki walizki franki, jakby robił to już setki razy. Podał jej pieniądze, widząc, jak bardzo jest spięta.

– To, oczywiście, możesz zatrzymać, z podziękowaniami od brytyjskiego i francuskiego rządu za wszystkie trudy, na jakie cię narazili. Sophia i ja zadbamy o to, żeby niczego ci u nas nie brakowało. I zapewnimy, oczywiście, wszystko, co najlepsze. Sophia czeka na górze, chce przedstawić cię krawcowej. Jeszcze jedno... – Édouard zatrzymał się w drzwiach. – Wątpię, aby ktokolwiek próbował się z tobą skontaktować. Bardzo mało osób z twojej organizacji wie, że tu jesteś. Ale gdyby jakimś cudem odkryli twoje miejsce pobytu, nie wolno ci, i powtórzę raz jeszcze, absolutnie nie wolno ci się do nich odzywać. Rozumiesz?

– Tak.

– W przeciwnym wypadku – Édouard popatrzył jej głęboko w oczy – wszystko to będzie na nic i poważnie narazisz życie wielu osób.

– Rozumiem.

– Świetnie. To teraz biegnij na górę do Sophii.

Minął miesiąc, od czasu kiedy Constance stała się domownikiem u de la Martinièresów. Dostała mnóstwo pięknych strojów, miękkie skórzane buciki – takie, jakich nie widziała od wybuchu wojny – i kilka par jedwabnych pończoch. Gdy wkładała je do szuflady, westchnęła. Co za ironia losu. Mieszka jak księżniczka w domu, gdzie pieniądze najwyraźniej nie stanowią żadnego problemu i gdzie na każde skinienie ma służbę gotową do pomocy. Jednak przepych, w jakim zmuszona była żyć, w najmniejszym stopniu nie łagodził poczucia zniewolenia. Nocami, leżąc w łóżku, nie tylko tęskniła za Lawrence'em tak bardzo, że aż bolało ją serce, ale też zadreżała się myślą, że jej dzielni koledzy z kursu walczą, narażają życie, cierpią niewygody, o jakich jej się nie śniło. Gryzły ją nieustanne wyrzuty sumienia. Uwięziona w tej złotej klatce, pozbawiona kontaktów ze światem zewnętrznym Connie była bliska obłądu.

Jej ratunkiem okazała się Sophia. Connie ogromnie ją polubiła. Wyczulona na wszelkie sygnały przez ślepotę, poznawała od razu, kiedy Connie jest przygnębiona. Wystarczył ton głosu przyjaciółki.

Sophia miała dwadzieścia pięć lat, dokładnie tyle co Connie, i bardzo chciała dowiedzieć się jak najwięcej o życiu w Anglii. Sama, przez swoją niepełnosprawność, nigdy jeszcze nie była za granicą. W upalne lipcowe popołudnia Connie opowiadała jej o ponurych, ale cudownych wrzosowiskach Yorkshire i o Blackmoor Hall, domu rodzinnym Lawrence'a. Przynosiło jej to ulgę, a zarazem rozstrajało, ale przynajmniej ożywiało wspomnienie o mężu.

Ostatnio, kiedy siedziały na tarasie o zachodzie słońca, wdychając przepiękne zapachem lawendy powietrze, Connie zwierzyła się Sophii, jak bardzo tęskni za mężem. Sophia, słodka jak zawsze, wypytywała ją o Lawrence'a i pocieszała, na ile mogła.

Potem Connie się przeraziła. Powiedziała zbyt wiele. Przecież nie mogła mieć pewności, że de la Martinièresowie nie trzymają jej tylko po to, by w pewnym momencie, kiedy przyjdzie im ochota, oddać ją w ręce faszystów. Jednak musiała komuś zaufać.

A później, dwa dni temu, na progu ich domu stanął bez zapowiedzi pułkownik Falk von Wehndorf. Sarah przyszła po Connie, która siedziała z Sophią w bibliotece.

– Ma pani gościa – powiedziała i tylko ostrzegła ją spojrzeniem.

Connie skinęła głową i czując, jak serce zaczyna jej walić, ruszyła do salonu, gdzie wprowadzono Falka.

– *Fräulein* Constance! Proszę, proszę, wygląda pani nawet jeszcze piękniej, niż kiedy widziałem panią ostatnim razem.

Podszedł do niej i ucałował jej dłoń.

– Dziękuję, pułkowniku, ja...

– Proszę pamiętać – wtrącił Falk – że mieliśmy mówić sobie po imieniu. Przejeżdżałem tędy w drodze do biura i pomyślałem sobie, że zajrzę do uroczej kuzynki Édouarda i sprawdzę, czy Paryż jej służy. I najwyraźniej tak.

– To na pewno przyjemna zmiana po wiejskim życiu na południu – odparła szttywno Connie.

– Zastanawiałem się... – na chwilę urwał – czy później, kiedy skończę przesłuchanie, mógłbym podjechać po ciebie i zabrać cię do klubu, żebyśmy coś zjedli i trochę potańczyli?

Connie zrobiło się niedobrze.

– Ja...

I w tej chwili wszedł Édouard. Najwyraźniej Sarah musiała go zaalarmować, że przybył Falk.

– Falk! Co za miła niespodzianka – powitał go i uściskali sobie dłonie.

– Właśnie pytałem twoją uroczą kuzynkę, czy mógłbym mieć przyjemność porwać ją gdzieś dziś wieczorem – powtórzył Falk.

– Niestety, jesteśmy już zaproszeni na kolację niedaleko Wersalu przez naszą wspólną kuzynkę. – Édouard popatrzył ciepło na Connie. – Kochanie, za długo cię nie było w Paryżu. Najwyraźniej jesteś rozchwytywana. Ale może innym razem zechcesz towarzyszyć Falkowi i przyjmiesz jego miłe zaproszenie?

– Oczywiście. Byłabym zaszczycona. – Connie zmusiła się do uśmiechu.

– *Fräulein*, to zaszczyt dla mnie. Tak jak powiedziałaś, Édouardzie, przełożmy to na kiedy indziej.

Falk strzelił obcasami i jakby parodiując gest, który Connie знаła dotąd tylko z kronik filmowych, wyprostował gwałtownie rękę i wrzasnął:

– *Heil Hitler!* Teraz muszę już iść.

- Może spotkamy się w operze w sobotę wieczorem? – zaproponował Édouard.
 - Zamawiasz łóżę? – Oczy Falka spoczęły na Connie.
 - Tak, zechcesz do nas dołączyć?
 - Z największą przyjemnością. Wobec tego do zobaczenia, *Fräulein* Constance.
- Pochylił się i ucałował jej dłoń.

Kiedy wyszedł, Connie usiadła w fotelu. Po chwili wrócił Édouard, który odprowadził niespodziewanego gościa do drzwi.

- Przykro mi, Constance, ale zdaje się, że pułkownik ma słabość do mojej pięknej kuzynki. – Ujął jej dłonie. – Zaproponowałem, żeby dołączył do nas w operze, bo przynajmniej idziemy tam razem i będziemy mogli cię chronić.

- Och, Édouardzie... – Connie westchnęła bezradnie i pokręciła głową.

Poklepał lekko jej rękę, żeby dodać otuchy.

- Wiem, wiem, moja droga. Okropnie trudno tak oszukiwać. Może szkoda, że od razu pierwszego wieczoru nie wymyśliłimy ci jakiegoś narzeczonego na południu. Ale teraz za późno. Musisz jakoś sobie z tym poradzić.

•••

Plac przed operą roił się od wysokich rangą niemieckich oficerów, oficjeli z rządu Vichy i zamożnych mieszkańców Paryża. Wejścia strzegła francuska żandarmeria.

Lipcowy wieczór był potwornie upalny i Connie, w swojej szmaragdowozielonej obcisłej sukni wieczorowej, czuła się jak skrępowany kurczak w nadmiernie nagrzanym piekarniku. W drodze do opery spojrzała na hotel Ritz, gdzie często umawiała się na kawę z ciotką, kiedy ta przyjeżdżała z Saint-Raphaël. Teraz na masztach trójkolorową flagę zastąpiły sztandary ze swastyką. Connie na moment przymknęła oczy, ścisnęło ją w gardle, prawie nie mogła oddychać. Choć tego wieczoru mogło się wydawać, że wszystko jest tu normalnie, wiedziała, że to fałsz – ponura parodia tego, co powinno być. Oczywiście nie było tu jak dawniej... nic nie było jak dawniej.

Édouard zatrzymał się, by witać gości w drodze do łoży, a Connie poprowadziła Sopię po wspaniałych schodach na górę.

- Bardzo cieszę się na ten wieczór – przyznała Sophia, a jej twarz rozjaśnił uśmiech, kiedy Connie pomagała jej wygodnie usiąść w obitym aksamitem fotelu. - Choć wołałabym, żeby nie była to opera Wagnera. – Zmarszczyła nos. – Ale

oczywiście to preferują nasi przyjaciele, którzy rządzą tym krajem. Jeśli o mnie chodzi, to lubię Pucciniego.

Następny w łoży pojawił się Falk.

– *Fräulein* Constance – powiedział, kiedy jak zwykle złożył pocałunek na jej dłoni. Zlustrował ją wzrokiem. – Piękna suknia. Francuzki to rzeczywiście najelegantsze kobiety na świecie. Przydałoby się, aby Niemki nabrały nieco tego francuskiego szyku.

Wziął kieliszek szampana z podanej tacy, a gdy to zrobił, drzwi otworzyły się znowu i stanął w nich Édouard, a za nim... dokładna kopia Falka. Connie patrzyła zdezorientowana.

Falk parsknął śmiechem na widok jej zaskoczenia.

– *Fräulein*, zdaje ci się, że widzisz podwójnie? Zapewniam cię, to nie szampan uderzył ci do głowy. Pozwól przedstawić sobie mojego brata bliźniaka, Frederika.

– *Madame*, czuję się zaszczycony.

Frederik podszedł, by ująć dłoń Connie i uprzejmie ją uściśnąć.

Z bliska zauważyła, że choć mieli tę samą budowę i rysy, to w oczach Frederika było ciepło, kiedy uśmiechał się do niej.

– A to – wtrącił Édouard – moja siostra Sophia.

Frederik odwrócił się, by przywitać się z Sophią. Spojrzał na nią i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Stał jak zahipnotyzowany, patrząc na nią zdumiony.

Po dłuższej chwili Sophia wyciągnęła do niego rękę i odezwała się pierwsza:

– Pułkownik von Wehndorf, bardzo miło mi pana poznać.

Connie widziała, jak ich palce zetknęły się po raz pierwszy. Frederik nadal nic nie mówił, tylko delikatnie trzymał małą dłoń Sophii w swojej – zdecydowanie dłużej, niż wypadało. Wreszcie zdołał wykrztusić:

– Jestem zaszczycony, *mademoiselle*.

I niechętnie wypuścił jej rękę, a Connie zobaczyła, jak Sophia uśmiecha się promiennie, jakby przed chwilą wydarzyło się coś cudownego. Na szczęście uwaga Édouarda skupiona była na dwóch nowo przybyłych gościach, a Falk nie odrywał oczu od Connie.

– To który z was jest starszym z braci? – spytała, by rozładować atmosferę.

– Niestety, ja jestem młodszy – odparł Falk. – Przyszedłem na świat godzinę po moim starszym bracie. Niewiele brakowało, a w ogóle nie dałbym rady się tu pojawić, bo on chyba zagarnął całą energię matki dla siebie! – Falk rzucił

Frederikowi spojrzenie, po którym Connie poznała, że między braćmi nie ma miłości. – Czy nie tak było, Frederiku?

– Przepraszam, nie słyszałem, o czym mówisz. – Frederik z trudem oderwał wzrok od Sophii i spojrzał pytająco na Falka.

– Nieważne. Powiedziałem tylko, że kiedy się rodziliśmy, wyprzedziłeś mnie. Tak jak to robiłeś i wiele razy potem.

Falk zaśmiał się sam ze swoich docinków, ale jego spojrzenie pozostało zimne jak lód.

– I tego mi nigdy nie wybaczysz, prawda? – Frederik uśmiechnął się swobodnie i poklepał brata serdecznie po ramieniu.

– Od dawna jesteś w Paryżu, Frederiku? – spytała Sophia. – Dziwne, że jeszcze nigdy dotąd się nie spotkaliśmy.

– Mój brat ma ważniejsze sprawy na głowie niż zajmowanie się jednym miastem – rzucił Falk. – Pracował bezpośrednio dla Führera w grupie jego najbliższych doradców. Frederik to intelektualista, nie żołnierz, ktoś o wiele wyższy rangą niż my, zwykli śmiertelnicy w gestapo.

– Zostałem wysłany do Paryża jako emisariusz – odparł Frederik. – Führer jest zaniepokojony, że ostatnio tutejszy ruch oporu zorganizował sporo udanych akcji sabotażowych.

– Krótko mówiąc, Frederik przyjechał tu, bo sądzi, że gestapo nie dość dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków.

– Oczywiście, to nie tak – przerwał Frederik zakłopotany. – Chodzi tylko o to, że ci ludzie są przebiegli i dobrze zorganizowani. I zbyt często udaje się im nas przechytrzyć.

– Bracie, właśnie przeprowadziliśmy jedną z najbardziej skutecznych serii aresztowań wśród członków ruchu oporu i agentów SOE – oświadczył Falk. – Siatka Naukowca jest w rozsypce. Na razie nie może już więcej brudzić.

– I tego trzeba ci pogratulować – zgodził się Frederik. – Jestem tu tylko po to, żeby przyrzeć się pracy wywiadu i zastanowić się, jak wyłapać resztę awanturników.

Connie obserwowała napięcie między braćmi, starając się nie dać po sobie poznać, że ich słowa robią na niej jakieś wrażenie. Na szczęście światła przygasły i zebrane towarzystwo usiadło. Frederik pospiesznie zajął miejsce tuż przy Sophii. Connie znalazła się pomiędzy braćmi.

– Lubi pani Wagnera, *Fräulein* Chappelle? – zapytał Falk, kończąc szampana i odstawiając kieliszek na tacę.

– Nie jestem szczególnie osłuchana z muzyką tego kompozytora, ale z przyjemnością poznam go lepiej – odpowiedziała dyplomatycznie Connie.

– Mam nadzieję, że pani, *Fräulein* Sophia i Édouard zjecie potem z nami kolację – dodał Falk. – Skoro brat jest w Paryżu, czuję się w obowiązku pokazać mu to miasto od najlepszej strony.

Connie nie musiała odpowiadać, bo słowa Falka utonęły w dramatycznym śpiewie chóru, który otwierał operę *Walkiria*.

Nigdy nie lubiła Wagnera. Jego muzyka i ilustrowane nią historie wydawały się jej za ciężkie. Teraz po prostu dyskretnie rozglądała się po audytorium. Czuła się strasznie skrępowana, że pokazuje się publicznie z wrogiem, ale co mogła na to poradzić? Jeżeli, jak przekonywał ją Édouard, musi to robić dla wyższych celów, to trzeba przelknąć odrazę, gdy Falk przesuwając dłoń na jej kolano okryte jedwabiem sukni, i jakoś to wytrzymać.

Ukradkiem zerknęła w lewo i zobaczyła zachwyty na twarzy Frederika. Potem dostrzegła, że wcale nie patrzy na scenę w dole, ale na Sophię.

•••

Po nieskończone długim przedstawieniu Édouard przyjął zaproszenie Falka i Frederika do klubu na kolację. Na zewnątrz czekała na nich czarna limuzyna gestapo.

Kiedy Édouard wsiadał za swoimi dziewczętami na tylne siedzenie, coś uderzyło go w kark.

– Zdrajca! Zdrajca! – krzyknął ktoś z tłumu.

Szofer pospiesznie zamykał drzwi, a na samochód poleciał grad zepsutych jaj. Gdy odjeżdżali, Connie usłyszała za sobą strzały. Édouard westchnął, wyjął chustkę i postarał się zetrzeć śmierdzące jajo ze swojego czarnego smokingu.

Sophia wczepiła się w drugie ramię brata. Miała twarz stężoną z przerażenia.

– Świnie! – przeklął Falk z siedzenia przed nimi. – Nie martw się, sprawcy zostaną schwytani. Przesłucham ich jutro osobiście.

– Naprawdę, Falk, nie ma problemu – powiedział pospiesznie Édouard – To tylko kilka jajek, nie broń palna. Jakiś zgorzkniały patriota, którego jeszcze nie oświeciło.

– Im szybciej się opamiętają, tym lepiej dla nas wszystkich – odparł Falk.

W klubie, kiedy Édouard przeprosił na chwilę, by pójść natychmiast do łazienki i doprowadzić się do porządku, Frederik ostrożnie sprowadził Sophie po schodach.

– Twoja biedna rączka drży – powiedział łagodnie.

– Nie lubię wszelkiego rodzaju przemocy – wyznała roztrzęsiona Sophia.

– Podobnie jak wielu z nas – odparł, ściskając mocno jej rękę i prowadząc dziewczynę przez tłum do stolika. Kiedy ją posadził, położył dłonie na jej ramionach i szepnął do ucha: – Nie martw się, *mademoiselle* Sophio. Ze mną zawsze będziesz bezpieczna.

•••

Dłonie Falka wędrowały po plecach Connie, kiedy tańczyli. Za każdym razem, gdy jego palce dotykały jej nagiej skóry od ramion po szyję, ogarniała ją obrzydzenie i panika. Te palce, jak wiedziała od Édouarda, nie wahały się zacisnąć na zimnym metalu cyngla i zastrzelić człowieka z bliskiej odległości. Czula nieświeży, nasycony alkoholem oddech Falka na policzku, kiedy próbował nakierować jej usta na swoje.

– Constance, tak bardzo cię pragnę, proszę, powiedz, że mogę cię mieć – jęknął, wtulając się w jej szyję.

Pełna obrzydzenia Connie z całych sił starała się opanować i nie wyrwać. Zdała sobie sprawę, że wzdrygałaby się przed jego dotykiem bez względu na to, jakiej jest narodowości. Rozejrzała się po innych Francuzkach tańczących w klubie z Niemcami. Żadna z nich nie była ubrana tak wytwornie jak ona. Na oko, niektóre z nich robiły wrażenie zwykłych prostytutek. Ale czy mogła czuć się od nich lepsza...?

Zobaczyła na parkiecie Sophie z Frederikiem. Nie tańczyli – tak naprawdę, ledwie się ruszali. Frederik trzymał ją tylko za ręce. Coś do niej cicho powiedział. Sophia uśmiechnęła się, skinęła głową i zbliżyła się do niego, a on wziął ją w ramiona. Connie zauważyła, jak delikatnie ją przytula, gdy jej głowa w naturalny sposób oparła się na jego piersi. Zastanawiała się, jak to określić. W mowie ich ciała widać było jakąś intymność, jedność, która przeczyła temu, że przecież dopiero co się poznali.

– Może w przyszłym tygodniu wymkniemy się twojemu opiekunczemu kuzynowi – zasugerował Falk, rzucając okiem na Édouarda, który śledził każdy ich ruch od stolika. – I będziemy sami.

– Może – powiedziała Connie, zastanawiając się, jak długo zdoła wymykać się temu człowiekowi, który przywykł wybierać sobie, co chce, i to dostawać. – Przepraszam, ale muszę iść przypudrować nos – rzuciła, słysząc, że orkiestra kończy piosenkę.

Falk z kurtuazją skinął głową i ruszył za nią z parkietu.

Kiedy Connie wróciła do stolika z toalety, usłyszała rozmowę Falka z Édouardem.

– Mój przyjaciel wolałby Renoira, ale jeśli to niemożliwe, uwielbia też Moneta.

– Jak zawsze, Falk, zobaczę, co da się zrobić. O, Constance, widzę, że jesteś zmęczona – uzalił się nad nią Édouard, gdy przy nich siadała.

– Tak, trochę – odparła zgodnie z prawdą.

– Wracamy do domu, kiedy tylko uda się nam ściągnąć z parkietu Sopię i Frederika – obiecał Édouard.

– Tak – Falk uśmiechnął się kwaśno, biorąc kolejny duży łyk brandy – zdaje się, że mężczyźni z mojej rodziny mają słabość do kobiet z twojej.

•••

Gestapowskie auto podwiozło ich pod sam dom na rue de Varenne. Po drodze Connie milczała, podobnie jak Sophia. Pozostawały głuche na próby Édouarda, by nawiązać rozmowę. Kiedy Sarah otworzyła im drzwi, Connie życzyła rodzeństwu dobrej nocy i ruszyła na górę.

– Constance – powiedział Édouard, zatrzymując ją w pół drogi. – Chodź, napij się ze mną brandy w bibliotece.

To nie było zaproszenie, ale rozkaz. Gdy Sarah poprowadziła rozmarzoną Sopię do łóżka, Connie odwróciła się i poszła za Édouardem do biblioteki.

– Mnie nie nalewaj – zastrzegła, kiedy napełniał swój kieliszek.

– Co się dzieje, moja droga? Jesteś najwyraźniej bardzo zdenerwowana. Czy to przez te zepsute jajka, którymi w nas ciskano? Czy przez to, że Falk tak cię emabluje?

Connie zapadła się w fotel i ukryła twarz w dłoniach. Łzy napłynęły jej do oczu i nie mogła już ich pohamować.

– Ja po prostu... – potrząsnęła głową z rozpaczą – nie wytrzymam tego dłużej. Zdradzam wszystko, co mi wpajano i w co wierzę. To jeden wielki fałsz! Grzęznę w kłamstwach.

– Constance, proszę, staraj się nie zadręczać. Doskonale rozumiem, co czujesz. Kомуś z zewnątrz mogłoby się wydawać, że dla nas wojna to sama przyjemność, ale to, co musimy znosić my troje, ty, przez przypadek, ja z wyboru, a Sophia przez powiązanie rodzinne, to prawdziwa męka dla duszy – przyznał Édouard.

– Wybacz mi, Édouardzie, ale ty przynajmniej wiesz, po co to robisz! – wyszlochała. – Podczas gdy ja nie mam żadnego dowodu na to, że mówisz prawdę! Jestem wyszkoloną brytyjską agentką, wysłaną tu, by bronić dwóch bliskich memu sercu krajów, a nie jadać kolacje, tańczyć i zabawiać konwersacją niemieckich oficerów! Édouardzie, dziś wieczór, kiedy usłyszałam tę kobietę krzyzącą „Zdrajca!”, było mi wstyd jak jeszcze nigdy w życiu. – Otarła łzy z policzków. – Ona może przez nas stracić życie!

– Niewykluczone – zgodził się Édouard – ale może nie. A najprawdopodobniej – dodał spokojnie, nie spuszczać z niej swoich piwnych oczu – dzięki temu wieczorowi będę w stanie ostrzec kilkadziesiąt osób, które miały się spotkać jutro wieczorem w bezpiecznym miejscu niedaleko stąd, o czym dowiedzieli się naziści. W ten sposób uratujemy nie tylko ich, ale i setki innych dzielnych ludzi, którzy pracują dla organizacji.

Connie patrzyła na niego zaskoczona.

– Jak to?

– Jej dowódcy są powiązani z Naukowcem i ich nazwiska wydobyto torturami od jednego z agentów ujętych podczas ostatnich aresztowań. Kiedy pudrowałaś nos, Falk sam mi o tym powiedział. Był zachwycony postępami śledztwa. Dobrze go znam, rozwiązuje mu się język, gdy wypije za dużo brandy. Gubi go własna arogancja. Chwali mi się swoimi osiągnięciami. I rzeczywiście – Édouard westchnął smutno – naprawdę jest aż nazbyt skuteczny.

Connie przez chwilę milczała, wpatrując się w niego. Bardzo chciała mu wierzyć.

– Proszę, Édouardzie, błagam, powiedz, dla kogo pracujesz. Będę przynajmniej mogła spać spokojnie, że nie zdradzam ojczyzny.

– Nie. – Édouard pokręcił głową. – Tego nie mogę zrobić. Musisz mi po prostu zaufać. I może, szybciej, niż myślisz, usłyszysz coś, co da ci dowód, od kogoś innego. Przecież nie ostatni raz widzimy się z naszym przyjacielem Falkiem. Jeśli

będzie pysznił się nową falą aresztowań, to tak, jestem zdrajcą, jak mi zarzucasz. Ale jeśli przypadkiem pod bezpiecznym adresem nikogo nie będzie, kiedy zapuka tam gestapo, to może mówię prawdę? Constance – Édouard znowu westchnął – rozumiem, że jest ci ciężko, bo nie wybrałaś sama tej drogi. Mogę cię tylko zapewnić, jak robiłem to już wiele razy, że oboje walczymy po tej samej stronie.

– Gdybyś mi tylko powiedział, dla kogo pracujesz – spróbowała znowu.

– I naraził życie twoje i wielu innych? – Édouard pokręcił głową. – Nie, Constance, nawet Sophia nie zna szczegółów, i tak musi zostać. A teraz zdaje się, że stawka wzrosła. Wiem, kim jest brat Falka, Frederik. To członek partii, należy do elitarnej grupy oficerów SS, wywiadu Rzeszy. Raportuje bezpośrednio do najwyższych władz. Jeśli on też zacznie zaliczać się do stałych bywalców tego domu, będziemy musieli wykazać jeszcze większą ostrożność.

– Wygląda na to, że Sophia kompletnie go zauroczyła – powiedziała Connie. – A co gorsza, on chyba też zrobił na niej wielkie wrażenie.

– Jak już wspominałem, obaj pochodzą z arystokratycznej pruskiej rodziny. Są dobrze wykształceni, obcy, a jednak bardzo się od siebie różnią. Frederik to intelektualista, myślący człowiek. – Édouard urwał na chwilę, zanim na nią spojrział. – Jego nawet mógłbym polubić, gdyby był po właściwej stronie.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, zagłębieni każde w swoich myślach.

– A jeśli chodzi o Sophię – odezwał się wreszcie Édouard – jest bardzo naiwna. Żyła pod kloszem, najpierw chronili ją rodzice, potem ja. Niewiele wie o mężczyznach czy miłości. Miejmy nadzieję, że *Herr* Frederik szybko wróci do Niemiec. Ja też zauważyłem, że jest między nimi jakaś chemia.

– A co ja zrobię z Falkiem? – spytała Connie. – Édouardzie, jestem mężatką!

Édouard trzymał kielich z brandy w obu dłoniach, nie spuszczać z niej oczu.

– Doszliśmy przecież razem do wniosku, że czasem trzeba kłamać. Możesz zadać sobie takie pytanie: gdybym kierował organizacją, do której miałaś pierwotnie dołączyć, i kazałbym ci kontynuować i rozwijać związek z Falkiem, w nadziei, że zdradzi ci przydatne informacje, które pomogą twoim rodakom w walce, to byś mi odmówiła?

Connie unikała wzroku Édouarda. Dobrze rozumiała, co ma na myśli.

– W związku z tym, o czym mówiliśmy, zgodziłabym się, oczywiście – przyznała niechętnie.

– To może w swoich relacjach z Falkiem zdołasz oddzielić kwestie duchowe od fizyczności i za każdym razem, kiedy będziesz chciała wyrwać się z jego objęć,

przypomnisz sobie, że pomagasz sprawie ważniejszej niż twój wstręt do niego. Ja muszę to robić dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Nie przejmujesz się tym, że rodacy uważają cię za zdrajcę?

– Oczywiście, przejmuję się, Constance. Ale przecież nie o to chodzi, prawda? Bardziej zależy mi na obywatelach Francji, którzy gniją zamknięci w celach, są torturowani, dręczeni i mordowani, niż na mojej reputacji. I sądzę, że to, co przypadło mi w udziale, jest stosunkowo łatwe. A teraz – powiedział – muszę cię opuścić. Mam coś do zrobienia.

Wstał, uśmiechnął się do niej i szybko wyszedł.

Connie nie mogła mieć pewności, czy to właśnie Édouard ostrzegł ruch oporu o groźących aresztowaniach, ale zarówno Falk, jak i Frederik wiele mówili o tej sprawie, kiedy przyszli na kolację kilka dni później. Falk był wściekły, może tym bardziej, że brat był świadkiem jego porażki. Wrogość, jaką okazywał Frederikowi, była wyraźna, rywalizacja rodzeństwa w najczystszej postaci. Frederik zaszedł dużo wyżej i był, pod każdym względem, lepszy. Connie zastanawiała się, czy słynna brutalność Falka wobec tych, którzy wpadli mu w ręce, nie ma czegoś wspólnego z frustracją wynikającą z poczucia, że zawsze przypada mu tylko drugie miejsce.

– Partyzanci z każdym dniem sprawiają nam coraz więcej kłopotu – biadał Falk przy zupie. – Wczoraj niemiecki konwój w Le Mans został zaatakowany, zginęli oficerowie, a broń skradziono.

– Rzeczywiście są świetnie zorganizowani – przytaknął Frederik.

– I to jasne, że ktoś z wewnątrz przekazuje im informacje. Podziemie zdaje się wiedzieć dokładnie, gdzie i kiedy uderzyć. Musimy wykryć przeciek, bracie – dodał Falk.

– Jeśli komukolwiek uda się wytropić szpicla, to na pewno tobie – odparł Frederik.

Falk tego wieczoru wyszedł wcześniej. Powiedział, że ma sprawy w centrali gestapo. Fakt, że przeżywając swoją porażkę w zastawieniu pułapki na członków ruchu oporu, mniej zalecał się do Connie, był marną rekompensatą za dwie godziny wysłuchiwanie, jak mimo wszystko dopnie swego. Frederik powiedział, że zostanie nieco dłużej, ale kiedy razem z Édouardem i Sophią ruszyli do salonu, Connie przeprosiła i poszła na górę się położyć. Zamknęła za sobą drzwi, wyczerpana psychicznie tą stałą grą. Choć mieszkała w środku miasta, jednej ze stolic świata, nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna jak teraz. Słuchanie radia było zakazane od wielu miesięcy, bo naziści odkryli, że alianci posługują się nim do komunikowania się ze swoimi ludźmi. Dostępne gazety głosiły propagandę rządu Vichy. Connie odnosiła wrażenie, że jest kompletnie odcięta od wiadomości.

Nie miała pojęcia, jak idzie aliantom ani czy obiecana inwazja, na którą tak bardzo liczone, kiedy wylatywała do Francji, jest nadal w planach.

Édouard nie dawał się wciągać w rozmowy na ten temat. Zresztą często, kiedy Connie przyłączała się do Sophii przy śniadaniu na dole, Édouarda już nie było w domu. Nie wiedziała nic o tym, dokąd chodzi ani z kim się spotyka. Myślała, że jeśli tylko Édouard powiedziałby sekcji F, gdzie ona jest, na pewno tamci próbowaliby się z nią skontaktować. Przecież nie zostawiliby jej tak, prawda? Bezradnej i słabej, żyjącej pod bezużyteczną fasadą napuszonego luksusu, skoro została wytrenowana, by zabijać...

– Och, Lawrence – westchnęła zdesperowana – tak bym chciała, żebyś powiedział mi, co robić.

Leżała pogrążona w smutnych myślach i zastanawiała się po raz setny, czy go jeszcze kiedyś zobaczy.

...

Wreszcie w sierpniu Connie poczuła się lepiej. Zaczęły się naloty aliantów. Aby zapewnić w piwnicy warunki, do jakich przywykli de la Martinièresowie, zniesiono tam wygodne łóżka, kuchenkę do parzenia kawy i przeróżne gry salonowe dla zabicia nudy. Czytając książkę, kiedy dom nad nimi trząsł się w posiadach, Connie myślała, że te okropne odgłosy destrukcji może przynajmniej zwiastują upragnioną inwazję. Czekala na nią niecierpliwie. Tak czy inaczej, wyzwoli ją ona z tego surrealistycznego scenariusza, jaki narzuciło jej życie.

Sierpień jak to zwykle w Paryżu był nieprzyjemnie parny, bez najbliższego powiewu upragnionego wiatorku. Connie przesiadywała popołudniami w ogrodzie z Sophią. Tak jak kiedyś wspomniał Édouard, Sophia miała niezwykły talent artystyczny. Connie wyszukiwała kwiat albo jakiś owoc i dawała je na chwilę Sophii. Drobne dłonie dziewczyny badały kształt przedmiotu, prosiła przyjaciółkę, by go jej opisała. Potem brała węgiel i zaczynała rysować w swoim szkicowniku. Pół godziny później na papierze widać było idealnie odtworzoną cytrynę albo brzoskwinię.

– Jak wyszło? – pytała z zainteresowaniem Sophia. – Czy właściwie uchwyciłam kształt i fakturę?

Connie zawsze odpowiadała twierdząco.

– Tak, Sophio, świetnie je oddałaś.

Pewnego szczególnie parnego popołudnia, kiedy Connie czuła, że chyba oszaleje, jeśli nabrzmiałe ołowiane chmury nad nimi nie zrzucą swojego chłodzącego ładunku, Sophia okazała odrobinę irytacji.

– O co chodzi? – spytała Connie, wachlując się książką.

– Mam wrażenie, że już od wielu tygodni rysuję w kółko to samo. Nie możesz wymyślić czegoś innego? W naszym zamku w Gassin mamy sad pełen przeróżnych drzew, ale nie pamiętam, jakie owoce rodzą.

Connie pomyślała o całej gamie owoców, jakie zna, i skinęła głową.

– Postaram się – obiecała, czując z ulgą tak bardzo wyczekiwany chłód pierwszych kropli deszczu. – Musimy się schować. Nadchodzi burza, dzięki Bogu – dodała.

Zaprowadziła Sophię do domu i przekazała ją Sarah, by przyjaciółka mogła się odświeżyć, a potem poszła do biblioteki. Stała chwilę przy oknie, zasłuchana w niezemski huk grzmotów, dźwięk przyjemnie naturalny, w odróżnieniu od ryku samolotów zwiastującego zniszczenie. Burza była cudowna i kiedy tak grzmiało i błyskało, Connie zaczęła przeglądać bibliotekę Édouarda w poszukiwaniu inspiracji, jakie jeszcze owoce mogłaby szkicować Sophia.

Chwilę później wszedł Édouard. Wydawał się wyjątkowo spięty i wyczerpany.

– Constance – zmusił się do uśmiechu – pomóż ci coś znaleźć?

– Czy jest tu jakaś książka, w której byłyby opisy owoców? Twoją siostrę znudziło rysowanie pomarańczy i cytryn.

– Sądzę, że mam coś takiego... Dostałem to parę tygodni temu.

Jego długie palce sięgnęły do półki, z której wydobyl cienką książkę.

– Proszę.

– Dziękuję – powiedziała Connie, kiedy ją podał. – *Historia francuskich owoców, tom drugi* – przeczytała na głos.

– To powinno podsunąć ci sporo pomysłów. Choć wątpię, byś znalazła wiele z opisanych tu gatunków w wojennym Paryżu – dodał pośpiesznie.

Connie przewracała strony z kolorowymi rycinami, ilustracjami i opisami.

– Przepiękne – podsumowała z zachwytem.

– Tak. To bardzo stara książka. Wydana w osiemnastym wieku. Mój ojciec kupił pierwszy tom do zbiorów w naszym zamku w Gassin – wyjaśnił Édouard. – A mój antykwariusz jakimś cudem trafił na tom drugi w Paryżu kilka tygodni temu. Razem te dwa tomy są niezwykle cenne. Ale to nie dlatego zbieram książki, po prostu uważam, że są piękne.

– Ta rzeczywiście jest cudowna – zgodziła się Connie, przesuując lekko palcami po okładce pokrytej delikatnym zielonym płótnem. – Ma ponad dwieście lat, a jest prawie jak nowa.

– Zabiorę ten tom do naszego zamku, kiedy tam pojedę następnym razem – powiedział Édouard. – *Historia francuskich owoców* będzie idealnym odniesieniem do naszego sadu. Na razie jednak, proszę, korzystaj swobodnie z tej książki. Wiem, że będziesz o nią dbała – dodał i skinął głową. – A teraz wybac, Constance, mam coś do załatwienia.

•••

Minął sierpień, nadszedł wrzesień, a Connie zauważyła, że Sophia staje się roztargniona. Zwykle, kiedy jej czytała, Sophia słuchała uważnie, prosiła, żeby Connie powtórzyła zdanie, jeśli go nie rozumiała, teraz jakby przestało ją to interesować. Podobnie mało serca wkładała w swoje szkicowanie; często, gdy Connie wysilała wyobraźnię, by opisać jej fioletowe pękate śliwki, ołówek Sophii zastygał nad czystą kartką papieru. Wyraźnie błędziła myślami gdzie indziej.

Nabrała natomiast zwyczaju pisanie czegoś w małym zeszycie w skórzanej okładce. Connie patrzyła zafascynowana, jak Sophia wznosi oczy do nieba, wyraźnie szukając inspiracji, a potem dotyka kartki, żeby sprawdzić jej rozmiar, i stara się w odpowiednim miejscu przyłożyć do niej pióro. Ale kiedy spytała, co pisze, i chciała przeczytać, Sophia się nie zgodziła.

Pewnego popołudnia w niezwykle chłodny wrześniowy dzień siedziały razem w bibliotece, gdzie po raz pierwszy w tym sezonie napalono w kominku. Nagle Sophia wystąpiła z prośbą:

– Constance, tak dobrze wszystko opisujesz. Mogłabyś mi opowiedzieć, jak to jest kochać?

Filiżanka herbaty, którą Connie uniosła, zatrzymała się w pół drogi pomiędzy spodeczkiem a ustami, kiedy dziewczyna popatrzyła uważnie na rozmarzony wyraz twarzy Sophii.

– No cóż – szepnęła, a potem upiła mały łyk i odstawiła filiżankę. – To naprawdę bardzo skomplikowane. Sądzę, że każdy czuje to trochę inaczej.

– W takim razie powiedz, jak to jest dla ciebie – nalegała Sophia.

– Mój Boże – westchnęła Connie, szukając właściwych słów. – Gdy byłam z Lawrence'em, czułam się tak, jakby cały świat nabierał blasku. Nawet

najbardziej ponure z pochmurnych dni zdawały się pełne słońca, zwyczajny spacer po wrzosowiskach zamieniał się w magiczny moment, tylko dlatego, że Lawrence był przy mnie.

Connie wyczarowywała z pamięci wspomnienia tych uderzających do głowy dni, kiedy zaczęli się spotykać z Lawrence'em, i ścisnęło ją w gardle.

– Chciałam, żeby mnie dotykał, nigdy się tego nie bałam, to było cudownie podniecające i czułe zarazem. Miałam wrażenie, że z nim... mogę wszystko, jestem wyjątkowa i niesamowicie bezpieczna, tak jakby nie było się czego bać, kiedy on jest przy mnie. Godziny rozłąki wlokły się niczym wieczność. Z kolei czas spędzony razem mijał jak jedna chwila. Przy Lawrence'ie czułam, że żyję, Sophio... Wybacz...

Connie poszukała chusteczki w kieszeni i otarła oczy.

– Och, Constance. – Sophia splótła dłonie, a jej ogromne, niewidzące oczy też się zamglily. – Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście – odparła Connie, starając się opanować.

– Opisałaś to uczucie tak sugestywnie. I teraz wiem na pewno, że to jest miłość, Constance, proszę, muszę się komuś zwierzyć, bo inaczej oszaleję! Ale nie wolno ci pisać ani słowa mojemu bratu. Przysięgasz, że nic nie powiesz?

– Jeśli o to prosisz, masz moje słowo.

Connie czekała ze ściśniętym sercem. Dobrze wiedziała, jaki sekret chce jej powierzyć Sophia.

– Słuchaj... – przyjaciółka wzięła głęboki wdech. – Już od kilku tygodni wiem, że zakochałam się w Frederiku von Wehndorfie. I w dodatku on też mnie kocha! No, proszę. Zdołałam to wykrztusić, dzięki Bogu, udało się.

Sophia zaśmiała się z ulgą. Jej policzki się zaróżowiły.

– Och, Sophio... – Tym razem Connie zabrakło słów.

– Wiem, Constance, co powiesz. Że to niemożliwe, że nasza miłość to mrzonka. Ale chyba rozumiesz? Walczyłam ze sobą, próbowałam się opierać, tłumaczyłam sobie, że nigdy nie będziemy razem. Moje serce jednak nie chciało słuchać. A Frederik... czuje to samo. Ani on, ani ja nic na to nie możemy poradzić. Po prostu nie umiemy bez siebie żyć.

Connie patrzyła na Sophię przerażona. Wreszcie wydukała:

– Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że wasz związek, teraz czy później, jest niemożliwy. Sophio, Frederik jest wysokim rangą nazistowskim oficerem. Jeśli

w przyszłym roku skończy się wojna i zwyciężą alianci, Frederikowi na pewno będzie grozić więzienie, jeśli nie wyrok śmierci.

– A gdyby to oni wygrali?

– Nie wygrają. – Connie nie potrafiła nawet wziąć takiej ewentualności pod uwagę. – Zresztą jakkolwiek będzie wynik tej okrutnej wojny, dwoje ludzi z przeciwnych obozów nie będzie mogło potem żyć razem. Nikt czegoś takiego nie zaakceptuje.

– Oczywiście, jesteśmy tego świadomi – zgodziła się Sophia. – Ale Frederik już ma plany, co robić po wojnie.

– Mówisz poważnie o wspólnej przyszłości? – Zszokowana Connie ledwie była w stanie wycedzić te słowa. – Niby jak? Gdzie?

– Constance, posłuchaj, to, że dyktator narzuca jakiemuś krajowi reżim, nie znaczy, że ci, którzy zmuszeni są mu pomagać, również w niego wierzą.

W tym momencie Connie ukryła twarz w dłoniach i potrząsnęła w rozpacz głową.

– Och, Sophio! Chcesz mi powiedzieć, że Frederik przekonał cię, że nie jest naprawdę nazistą? Ten człowiek jest współodpowiedzialny za śmierć wielu ludzi i zniszczenia w naszych krajach. Słyszałam od twojego brata, że Frederik podlega bezpośrednio Himmlerowi. On...

– Nie! – przerwała jej Sophia. – Tak jak my, Frederik tylko udaje. Jest wykształconym, kulturalnym człowiekiem, gorliwym chrześcijaninem, który nie przyjął zasad etycznych swojego przywódcy. Ale co może zrobić? – Sophia westchnęła. – Gdyby pokazał, co czuje, już by nie żył.

W oczach Connie malowała się rozpacz, kiedy patrzyła na biedną Sophię, która dała się tak omamić. Kobieta nie tylko ślepa fizycznie, ale tak bardzo zakochaną, że uwierzyła we wszystko, co powiedział jej wybranek.

– Sophio, nie mówisz chyba poważnie. I, wielki Boże! Nie powinnaś mu ufać! Nie rozumiesz, co stara się osiągnąć ten człowiek? On cię wykorzystuje, Sophio, może nawet podejrzewa Édouarda i sądzi, że możesz niechcący zdradzić mu prawdę!

– Mylisz się, Constance! – zaprzeczyła gwałtownie Sophia. – Nie znasz Frederika i nie słyszałaś naszych rozmów, które prowadzimy, kiedy jesteśmy sami. To dobry człowiek i ufam mu bezgranicznie! A kiedy wojna się skończy, my po prostu znikniemy.

– Nie, Sophio, proszę, nie będzie gdzie uciekać, Frederik nigdzie się nie ukryje. – Sophia była tak naiwna, że Connie chciało się krzyżeć. – Wytropią go i będzie musiał odpowiedzieć za zbrodnie przeciwko ludzkości.

– Znajdziemy bezpieczne miejsce i będziemy razem. – Sophia wydeła usta.

Przypominała rozkapryszone dziecko, któremu odmówiono upragnionej zabawki.

To, co sugerowała, było tak niedorzeczne, że Connie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Spróbowała z innej strony.

– Sophio – zaczęła łagodnie. – Wiem, że bardzo kochasz Frederika. Jednak, jak sama mówisz, jesteś zakochana po raz pierwszy. Może za kilka tygodni pomyślisz o tym spokojniej. Może to tylko zauroczenie...

– Proszę, nie traktuj mnie z góry, Constance. Może jestem ślepa, ale jestem dorosła i dobrze wiem, co czuję. Frederik musi wkrótce pojechać na kilka tygodni do Niemiec. A potem wróci po mnie, zobaczysz. Proszę, zawołaj Sarah – nakazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jestem zmęczona. Chciałabym odpocząć w swoim pokoju.

Kiedy oszołomiona Connie wychodziła poszukać służącej, zdała sobie po raz pierwszy sprawę, że pod słodką i kruchą powierzchownością Sophii kryje się kobieta, której nigdy w życiu nie odmówiono niczego, czego pragnie.

Przez następne dni Connie biła się z myślami. Czy powinna powiedzieć Édouardowi o zwierzeniu Sophii? Jeśli to zrobi, zdradzi swoją jedyną przyjaciółkę, jedyną osobę, z którą spędza teraz czas. Z drugiej strony, jeżeli będzie milczeć, czy nie narazi na dodatkowe niebezpieczeństwo Édouarda, Sophii i siebie?

Sophia po swoim wyznaniu trzymała się bardziej na dystans, więc Connie po południu chodziła mostem Concorde aż do ogrodu Tuileries. Chciała uciec od poczucia, że jest uwięziona w tym domu, i od skomplikowanych relacji z jego mieszkańcami. Podczas jednego z takich spacerów dostrzegła znajomą twarz. Przystanąła zszokowana, a po zielonych oczach poznała, że też ją rozpoznały, choć rowerzystka pojechała dalej.

Venetia...

Connie z trudem powstrzymała się, żeby się nie obejrzeć i nie starać sprawdzić, czy może to złudzenie. Ktoś mógł je przecież obserwować. Ruszyła dalej do domu de la Martinièresów. Długie włosy Venetii przycięto ładnie na pazia. Była ubrana tak, by nie wyróżniać się z tłumu, a nie jak dawniej, kiedy chciała przyciągać uwagę.

Następnego dnia o podobnej porze Connie znów poszła na spacer mostem do ogrodu Tuileries. Przysiadła na ławce zapatrzona w piękny jesienny dywan żółtych liści. Może Venetia mieszka niedaleko... Serce Connie stęskniło się za spojrzaniem z bliska w te znajome oczy, za czymkolwiek, co należało do teraz tak niedostępnej przeszłości.

Przez tydzień codziennie wychodziła o tej samej porze, ale już więcej nie zobaczyła Venetii.

...

Frederik bywał w tych dniach o wiele częstszym gościem przy rue de Varenne niż Falk. Wpadał niezapowiedziany, choć Sophia nigdy nie wydawała się jego wizytą zaskoczona i z nieukrywaną radością witała go w salonie. Connie mogła

mieć tylko nadzieję, że Édouard sam zauważy, co się święci, ale na ogół nie było go w domu, a kiedy wracał, wydawał się wyczerpany i rozkojarzony. Connie zachowała więc swoje łęki dla siebie, starała się tylko dotrzymać zakochanym towarzystwa w salonie. Za każdym razem niewidzące, lecz wymowne oczy Sophii dawały do zrozumienia, że nie jest mile widziana, więc po kwadransie wymuszonej konwersacji zwykle się wycofywała.

Na szczęście znalazła sojusznika w Sarah, kobiecie, która troszczyła się o Sophię od urodzenia i była jej bardzo oddana. Często, gdy Connie wynurzała się zza drzwi salonu, Sarah podchodziła i zapewniała:

– Proszę, niech mi pani zaufa, przypilnuję, żeby nic nie groziło *mademoiselle* Sophii.

Connie z ulgą schodziła z dyżuru, pewna, że siostrze Édouarda nic się nie stanie. Sarah była dla niej jak matka.

•••

Choć z pozoru nic się nie zmieniło w codziennym rytmie dnia, wewnętrzny puls przyspieszył. Pewnego ranka Connie zorientowała się, że Édouard wrócił do domu dopiero o świcie. Wydawał się zmęczony, kiedy przyłączył się do niej podczas śniadania w jadalni.

– Muszę jechać w interesach na południe – oświadczył, gdy skończyli jeść. Wstał i podszedł do drzwi. Nagle przystanął. – Jeśli ktoś spyta, gdzie jestem, to wybrałem się do naszego zamku w Gassin. Wrócę we czwartek. Gdyby pojawili się jacyś nieoczekiwani goście, Constance, liczę na to, że będziesz chronić moją siostrę – dodał i wyszedł.

Dla Connie zaczynał się kolejny pusty dzień. Sophia jeszcze nie wstała. Connie ruszyła więc do biblioteki i otworzyła powieść Jane Austen. Książki szybko stały się jej jedyną ucieczką. Żyła życiem ich bohaterek. Kiedy wyszła z biblioteki i chciała iść na górę, żeby się nieco odświeżyć przed lunchem, zauważyła list na wycieraczkę. Schyliła się i podniosła go. Zaskoczona zobaczyła, że jest adresowany do niej.

W miarę jak szła na górę, jej krok stawał się coraz szybszy. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi sypialni, rozdarła kopertę.

słyszałam, że przebywasz w Paryżu. Tak się składa, że ja też. Jak wiesz, Twoja ciotka jest starą znajomą mojej rodziny i prosiła, abym podczas mojego pobytu w tym mieście sprawdziła, co u Ciebie słychać. Zatrzymałam się w Ritzu, miło byłoby spotkać się w tamtejszym saloniku na herbatce dziś o trzeciej po południu. I porozmawiać o wieczorach, które spędziłyśmy razem w czasach szkolnych w internacie.

V.

Venetia.

Connie przytuliła list do piersi w bolesnej rozterce. Tak bardzo chciała skontaktować się z przyjaciółką, ale przecież nie wolno jej było złamać przyrzeczenia danego Édouardowi. Co ma wziąć górę?

Zjadła lunch w pogrążonym w ciszy domu. Sophia poprosiła, żeby podać jej posiłek do pokoju. Najwyraźniej bolała ją głowa.

Potem, nadal niezdecydowana, Connie ubrała się do wyjścia i ciężko usiadła na łóżku. Patrzyła na wskazówki zegara, jak zbliżają się do wpół do trzeciej. Wreszcie podjęła decyzję: przypięła szpilką kapelusz i wyszła z domu.

Piętnaście minut później była w hotelu i pewnie ruszyła do salonu d'Été, gdzie wiele razy pijała elegancko podaną herbatę. Sala roiła się od ożywionych, wytwornie ubranych kobiet i na szczęście nie było widać żadnych niemieckich mundurów. Przez dziesięć minut Connie pilnie studiowała kartę, każda kolejna sekunda dłużyła się bardziej od poprzedniej. Może to pułapka, może ją obserwują i powinna już wyjść... może napięcie Édouarda to znak, że dzieje się coś złego i on został już aresztowany, a ona będzie następną...

– Kochanie! Proszę, proszę, jesteś jeszcze piękniejsza niż zwykle!

Connie odwróciła się i zobaczyła Venetię. Wyglądała oszalałająco: w futrze i makijażu zupełnie nie przypominała kobiety, która mijała ją na rowerze trzy tygodnie temu.

Venetia podeszła bliżej i objęła Connie, szepcząc cicho i wyraźnie.

– Mów do mnie Isobel, mieszkam koło ciebie w Saint-Raphaël.

Oderwała się od niej i usiadła obok.

– Jak ci się podoba moja fryzura? – spytała, przyglądając włosy. – Ostatnio się ostrzygłam. Pomyślałam, że czas dorosnąć!

– Sądzę, że bardzo ci w niej ładnie... Isobel – odparła Connie.

– Zamówimy coś? Umieram z głodu po porannych zakupach – powiedziała, przeciągając samogłoski, Venetia. – A może, skoro już tak długo się nie widziałyśmy, weźmiemy też po kieliszku szampana?

– Jak najbardziej – zgodziła się Connie i skinęła na kelnera.

Składając zamówienie, zauważyła, że Venetia opuszcza nisko głowę i szuka w torebce papierosów. Wyciągnęła je, kiedy tylko kelner odszedł.

– Zapalisz? – zaproponowała Connie gauloisa.

– Dziękuję.

– No i jak się bawisz w Paryżu? – zapytała Venetia. Przypaliła Connie papierosa i zaciągnęła się głęboko swoim.

– Wspaniale, dziękuję. A ty?

– To na pewno miła odmiana po wolnym tempie życia na południu, prawda?

Kiedy przyniesiono im na tacy szampana, Connie patrzyła, jak Venetia wypija jednym haustem pół kieliszka, zupełnie nie jak dama. Dostrzegła też, że ręce przyjaciółki drżą, gdy unosi papierosa do ust. A kiedy Venetia zdjęła futro i kapelusz, Connie zauważyła, jak strasznie schudła. Pod bluzką sterczały łopatki, a twarz miała wymizerowaną, oczy podkrążone i żaden makijaż nie był w stanie tego ukryć. Venetia wydawała się dobre dziesięć lat starsza, niż gdy się ostatnio widziały.

Przez następne pół godziny toczyły absurdalną konwersację o ciotce Connie w Saint-Raphaël i wydumanych przyjaciółkach ze szkoły, które obie „pamiętały”. Podano herbatę, a Venetia rzuciła się na smakowite kanapki i ciastka, jakby nie jadła od tygodni. Connie siedziała oparta na krześle w poczuciu winy, patrząc, jak spod grubej grzywki oczy Venetii rozglądają się wokół nerwowo.

– Czy to nie było przepyszne? – pochwaliła Venetia. – Jestem teraz umówiona do krawcowej na rue de Cambon. Przejdiesz się ze mną? Będziemy mogły powspominać dalej stare czasy.

– No pewnie – zgodziła się Connie, wiedząc, że nie może odmówić.

– Spotkajmy się w holu, muszę upudrować nos, tymczasem poproszę o rachunek.

Venetia odeszła, a Connie skinęła na kelnera. Potem – po wykorzystaniu większości franków, jakimi obdarzyła ją sekcja F, na opłacenie szampana i ciastek – poszła do holu i czekała na Venetię. Kiedy ta się pojawiła, wzięła Connie pod ramię, wyszły z Ritza i ruszyły w kierunku rue de Cambon.

– Dzięki, ci panie Boże! – westchnęła Venetia. – Teraz możemy pogadać, nie mogłam tam ryzykować. Nigdy nie wiadomo, kto patrzy i słucha. Ściany

naprawdę mają uszy w tym mieście. Ale fajnie było coś spałaszować – dodała. – Po raz pierwszy od wielu dni się najadłam. To gdzie ty się, u licha, podziewałaś? Słyszałam od Jamesa, że razem polecieście do Francji w Lizzy. A potem po prostu przepadłaś, jak kamień w wodę!

– Widziałaś Jamesa? – spytała Connie, ucieszona na dźwięk znajomego imienia.

– Tak, ale kilka dni temu dotarły do mnie wieści, że już go, biduli, nie ma wśród nas – powiedziała Venetia. – Nie wytrzymał długo, ale taki już nasz los. – Zaśmiała się gorzko.

– Nie żyje? – szepnęła przerażona Connie.

– Tak. Ale powiedz mi, gdzie ty się chowałaś? I co, u licha, robisz w tym wielkim domu na rue de Varenne?

– Venetio... ja... – Connie westchnęła, wciąż nie mogąc ochłonąć z szoku po wiadomości o śmierci Jamesa. – To długa historia i naprawdę nie mogę ci nic powiedzieć. Częściowo i dlatego, że sama nie do końca rozumiem – dodała.

– To bardzo niezadowolająca odpowiedź, ale pewnie muszę ją przyjąć. Nie zmieniałaś przypadkiem frontu, co? – spytała. – Kiedy jeden z moich przyjaciół poszedł za tobą z ogrodu Tuileries, zobaczył, jak niedługo po tobie do tego samego domu wchodzi officer SS.

– Venetio, proszę – jęknęła Connie. – Naprawdę nie mogę nic mówić.

– Ale czy jesteś nadal po naszej stronie? To dość proste pytanie, prawda? – nie dawała za wygraną Venetia.

– Oczywiście, jestem! Słuchaj, tamtego wieczoru, kiedy przyjechałam do Paryża, stało się coś, co doprowadziło do... sytuacji, w jakiej się teraz znajduję. Ty jedna na pewno zrozumiesz, że nie wolno mi powiedzieć nic więcej – podkreśliła Connie. – A gdyby osoba, która mnie wtedy ocaliła, wiedziała o naszym spotkaniu... Na pewno uznałaby, że zdradziłam.

– Daj spokój – mruknęła Venetia. – Skontaktowanie się ze starą przyjaciółką, z którą ma się powiązania rodzinne, to żadna zdrada, jak sądzę. Słuchaj, Con... – Venetia pociągnęła ją przez jezdnię, korzystając z okazji, by zerknąć w lewo i prawo – rzecz w tym, że potrzebuję twojej pomocy. Z pewnością wiesz, że grupa Naukowca została rozbita. W tej chwili jestem tu ostatnią radiotelegrafistką. I muszę stale zmieniać miejsca, z których nadaję wiadomości do Londynu, żeby szkopy nie wytropiły, skąd idzie sygnał. Dwa, trzy dni temu o mało mnie nie złapali: przyszli do mieszkania, gdzie się ukrywałam, a które opuściłam zaledwie

dwadzieścia minut wcześniej. Radiostację mam teraz schowaną gdzie indziej, ale to nie jest bezpieczne lokum. Muszę znaleźć dom, skąd mogłabym nadać pilne wiadomości dla Londynu i innych organizacji tutaj. Planuje się coś wielkiego. Na jutro wieczór. I muszę wysłać te informacje. Con, na pewno znasz jakieś miejsce, z którego mogłabym skorzystać.

– Venetio, przykro mi, ale nie. Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić, lecz jestem w pułapce. Mam rozkaz nie rozmawiać z nikim, kto mógłby wytropić moje powiązanie z osobą, o której mówiłam.

– Wielki Boże, Con! – zawołała Venetia, przystając. – Co ty opowiadasz? Zostałaś tu wysłana jako agentka brytyjskiego wywiadu! Nie obchodzi mnie, kim jest ta „osoba”, którą starasz się chronić, i że najwyraźniej zrobiła ci wodę z mózgu. Ale wiem, tak jak wielu innych zaangażowanych w to, co wydarzy się jutro. Jeśli nam się uda, to tysiące Francuzów nie zostanie osaczonych i wysłanych do niewolniczej pracy w niemieckich fabrykach. Potrzebujemy twojej pomocy! Musisz znać jakieś miejsce, dokąd mogłabym pójść – powiedziała zdesperowana. – Muszę wysłać dziś wieczorem te wiadomości. Koniec kropka.

Venetia trochę obrażona znów wzięła Connie pod ramię i ruszyły dalej w milczeniu.

Connie miała wrażenie, że wplątała się w pajęczą sieć, delikatny labirynt prawd, kłamstw i podwójnej gry, który prowadzi donikąd. Znalazła się w ślepym zaułku, nie wiedziała już, co dobre, a co złe, wobec kogo powinna być lojalna, ani komu ufać. Spotkanie z Venetią sprowadziło ją na ziemię, przypomniało boleśnie, po co została tu przysłana. Bliskość przyjaciółki, wyczerpanej, wygłodzonej i zrozpaczonej, sprawiła, że czuła jeszcze większe wyrzuty sumienia i miała kompletny mętlik w głowie.

– Mogłabyś przyjść na rue de Varenne, ale tam nie jest bezpiecznie – powiedziała. – Jak wiesz, za dużo Niemców odwiedza ten dom.

– To mi nie przeszkadza – odparła Venetia. – Te świnię często nie widzą, co się dzieje tuż pod ich nosem.

– Venetio, to chyba jednak za duże ryzyko? A ja nie znam żadnego innego miejsca – dodała Connie.

Gdzieś w tyle głowy przemknęła jej myśl, że wieczorem nie będzie Édouarda i że do piwnicy można dotrzeć też przez drugie drzwi, od ogrodu. Używała ich w lecie, kiedy odzywały się syreny, a ona siedziała na zewnątrz. A jeśli dziś będzie nalot? Albo jeśli ktoś zauważy, jak Venetia wchodzi do domu lub z niego wychodzi?

Co, jeśli jeden z bliźniaków von Wehndorf wpadnie po drodze z wizytą, kiedy Venetia będzie właśnie nadawała z piwnicy na dole?

– Szczerze mówiąc, Con, mnie już wszystko jedno. – Venetia westchnęła. – Prawie wszystkie bezpieczne adresy w Paryżu są spalone. Oczywiście, znajdą się nowe kryjówki, ale to potrwa. A kto by podejrzewał, że brytyjska agentka może nadawać z piwnicy domu, który słynie z podejmowania wroga? – Spojrzała w oczy Connie. – Jesteś absolutnie pewna, że cię nie przekabacili? – Zaśmiała się nagle. – No, w tym przypadku i tak już po mnie, więc co mi szkodzi?

Venetia żądała od niej dowodu, że nadal jest wierna sprawie. Connie z westchnieniem przyjęła to, co nieuniknione. Powinna być lojalna wobec przyjaciółki i ojczyzny, bez względu na konsekwencje.

– Dobrze. Pomogę ci.

•••

Wróciła do domu, po czym powiedziała Sarah, że podczas ostatniego nalotu zostawiła w piwnicy książkę. Otworzyła drzwi, które prowadziły na schody do ogrodu za domem i wróciła do salonu, by posiedzieć z Sophią. Kiedy delikatne palce uśmiechniętej promiennie dziewczyny wodziły lekko po nowej brajłowskiej wersji wierszy Byrona, Connie nie mogła już dłużej wytrzymać. O wpół do siódmej udała, że boli ją głowa, i powiedziała, że zje kolację u siebie w pokoju.

Potem o ósmej wieczorem zeszła na dół i oznajmiła, że nie spodziewają się dziś gości, więc Sarah może iść odpocząć. Sophia już była u siebie w pokoju. Connie chodziła tam i z powrotem po swojej sypialni, coraz bardziej zdenerwowana, w miarę jak wskazówki zegara przesuwwały się po tarczy. Venetia prawie na pewno weszła już na dół do piwnicy.

Trapiona poczuciem winy ze względu na niewinną Sophię, nieświadomą, że kobieta, którą jej rodzina przygarnęła i otoczyła opieką, naraża ją na wielkie niebezpieczeństwo, Connie czuła, że jej nerwy są napięte do granic wytrzymałości. Czas dłużył się niemiłosiernie.

O dziesiątej wieczorem ukradkiem zeszła na dół. Była z tyłu domu w kuchni i właśnie miała iść do piwnicy sprawdzić, czy Venetii już tam nie ma, gdy usłyszała delikatne pukanie do drzwi frontowych.

Serce jej zamarło. Uchyliła drzwi z kuchni do holu i zobaczyła, że drzwi frontowe otworzyła już Sophia, której jakoś udało się zejść na dół bez asysty.

W progu stał Frederik. Obejmował Sopię. Roztrzęsiona Connie cofnęła się w cień, by zdecydować, co robić. Uświadomiła sobie, że tych dwoje musiało zaplanować tę schadzke. Dziesiąta wieczór to nie była odpowiednia pora na wizyty, a szczególnie na dżentelmeńskie odwiedziny damy bez świadków. Connie zastanawiała się, czy powinna bardziej martwić się o cnotę Sopi, czy o to, że w piwnicy może nadal być brytyjski szpieg – gdy zaledwie kilkadziesiąt centymetrów wyżej gości niemiecki oficer.

W końcu uznała, że najbezpieczniej będzie dać tej parze spokój. Póki Frederik patrzy w oczy Sopi, przynajmniej jest tym zajęty bez reszty. Kiedy zobaczyła, że zakochani wchodzi do salonu, uciekła na górę do swojej sypialni. Usiadła sztywno w głębokim fotelu przy oknie. Każda cząstka jej ciała wołała, żeby wreszcie ta noc się skończyła i nastał świt.

Po chwili się opamiętała. Jak może być tak samolubna? Venetia i inni agenci codziennie narażają życie. Jedna noc psychicznej tortury w porównaniu z tym to nic.

W końcu usłyszała kroki w korytarzu na dole i skrzypienie schodów. Zamknęły się drzwi na piętrze i Connie odetchnęła z ulgą, że Frederik już wyszedł, a Sopia kładzie się spać. Dziwiła się trochę, że nie usłyszała, jak gość wychodzi, ale pewnie starał się zachowywać najciszej, jak to możliwe.

Ziewnęła, czując, jak nagle spływa z niej całe napięcie i ogarnia ją wielkie zmęczenie. Wdrapała się na łóżko i mocno zasnęła. Nic się jej nie śniło. I nie usłyszała cicho zamykanych frontowych drzwi, kiedy nad Paryżem wstawał świt.

Blackmoor Hall, Yorkshire, 1999 rok

Padał gęsty śnieg, gdy Sebastian zapłacił taksówkarzowi i wyjął walizkę Emilie z bagażnika. Emilie odwróciła się, by po raz pierwszy spojrzeć na Blackmoor Hall. Ujrzała ponure gotyckie zabudowania z czerwonej cegły. Kamienny rzygacz górował groźnie nad łukiem frontowych drzwi. Zniszczony przez czas ział bezzębną paszczą. Na jego łbie leżała czapa śniegu.

Nie bardzo można było się zorientować w otoczeniu domu. O tej porze równie dobrze mogłaby to być Syberia, jak angielska wieś na wrzosowiskach północnego Yorkshire. Wszędzie biel, pustka, kompletne odludzie jak sięgnąć wzrokiem. Mimowolnie przebiegł ją dreszcz, wywołany w tym samym stopniu surowym krajobrazem co chłodem.

– Kurczę, ale się nam udało – powiedział Sebastian, który pojawił się obok niej. – Mam nadzieję, że kierowca dotrze bezpiecznie do domu – dodał, kiedy taksówka ruszała z powrotem po coraz głębszym śniegu. – Do jutra droga może tu być kompletnie nieprzejezdna.

– Mówisz, że możemy zostać odcięci od świata? – spytała Emilie, kiedy kierowali się do frontowych drzwi, brnąc w śniegu, teraz po kostki.

– Tak – potwierdził – to zdarza się prawie co roku. Na szczęście mamy do dyspozycji land rovera i sąsiada z traktorem.

– Kiedy pada w francuskich Alpach, jakoś zawsze udaje im się oczyścić drogi, żeby były przejezdne – zauważyła Emilie, gdy Sebastian przekręcał wielką emaliowaną gałkę w drzwiach.

– To Anglia, moja francuska księżniczko, tu kaprysy pogody potrafią sparaliżować cały kraj – rzucił z uśmiechem. – A teraz, Emilie, witaj w moich skromnych progach.

Sebastian popchnął drzwi i weszli do holu, który był kompletną odwrotnością rażącej bieli na zewnątrz. Wszystko było pokryte ciemnym drewnem: ściany, toporne poplamione schody, nawet kominiek pośrodku obwiedziono ciężkim

mahoniowym obramowaniem. Niestety, w palenisku nie płonął jasny ogień i Emilie zdawało się, że jest tu niewiele ciepłej niż na dworze.

– Chodź – powiedział Sebastian, zostawiając walizkę Emilie pod paskudnymi schodami – w salonie na pewno jest napalone. Zostawiłem wiadomość pani Erskine, że przyjeżdżamy.

Pociągnął ją labiryntem korytarzy. Wytapetowane na ciemnozielono ściany zdobiły obrazy olejne przedstawiające sceny myśliwskie z końmi. Sebastian popchnął drzwi i wszedł do dużego salonu z ciemnobordową tapetą projektu Williama Morrisa z końca XIX wieku i kolejnymi byle jak rozwieszonymi obrazami.

– O cholera – zaklął na widok kominka, w którym zostały tylko smętne resztki popiołu. – To do niej niepodobne. Chyba nie rzuciła znowu pracy. – Sebastian westchnął. – Bez obaw, kochanie, w jednej chwili się z tym uporam.

Emilie przysiadła, trzęsąc się z zimna, a Sebastian fachowo i szybko rozpałił ogień. Zęby jej szczykały, nim buchnęły płomienie i mogła z ulgą ogrzać dłonie.

– No dobrze – rzucił – siedź tu i odmarzaj, a ja pójdę zaparzyć herbatę i zorientować się, co się tu, u diabła, działo podczas mojej nieobecności.

– Sebastianie! – zawołała Emilie, kiedy wychodził z salonu.

Chciała spytać, gdzie jest najbliższa toaleta, ale ciężkie drzwi już zatrasnęły się za nim.

W nadziei, że Sebastian niedługo wróci, Emilie siedziała przed kominkiem, patrząc, jak opady zmieniają się w zamieć i śnieg osiada na parapetach na zewnątrz.

Słabo знаła Anglię – kilka razy była z matką u przyjaciół w Londynie – ale jej pojęcie o przytulnych angielskich domkach krytych strzechami i miasteczkach jak z bajki kompletnie nie pasowało do tego surowego, lodowatego pustkowia i domu.

Minęło dwadzieścia minut, a Sebastiana nadal nie było i Emilie zaczęła się niecierpliwić. Wstała i wyszła z salonu na korytarz. Otwierała drzwi po drzwiach i zaglądała w ciemne wnętrza w poszukiwaniu toalety. W końcu znalazła. Ogromna drewniana deska klozetowa przypominała tron. Kiedy wracała korytarzem, dobiegły ją podniesione głosy z głębi domu. Jeden nieznamy, ale ten drugi niewątpliwie należał do Sebastiana. Nie mogła zrozumieć, co mówią, było jednak oczywiste, że jej mąż jest wściekły.

Teraz żałowała, że nie wypytała go dokładniej o jego życie w Yorkshire, zanim wsiadła z nim do samolotu i poleciała do Anglii. Ale te dwa tygodnie, odkąd

poprosił ją o rękę, to był istny młyn. Więcej mówili o fascynującej przeszłości, która ich łączy, niż o wspólnej przyszłości.

Emilie po powrocie do Paryża z zamku opowiedziała Sebastianowi wszystko, czego dowiedziała się od Jacques'a.

– Co za historia. – Sebastian westchnął. – I wydaje się, że to dopiero początek. Kiedy Jacques opowie ci, co było dalej?

– Obiecał, że to zrobi, gdy wrócę oddać bibliotekę na przechowanie. Sądzę, że te wspomnienia musiały być dla niego bardzo wyczerpujące emocjonalnie.

– Na pewno – przygarnął ją do siebie. – Co za miły zbieg okoliczności, że nasze rodziny znów się połączyły.

Palce Emilie powędrowały teraz ku szyi, by dotknąć kremowobiałych pereł – pereł matki – i przypomniała sobie, jak dostała je od Sebastiana rano przed ślubem.

– Odkupiłem je dla ciebie podczas aukcji, kochanie – powiedział, zapinając jej naszyjnik. – Jesteś pewna, że nie przeszkadza ci tak skromna ceremonia? Chyba nie tak powinny wyglądać zaślubiny ostatniej z rodu de la Martinièresów. Przypuszczam, że na weselu twoich rodziców bawiło się pół Paryża. – Uśmiechnął się do niej.

– Tak, i dlatego tak się cieszę, że my pobieramy się po cichu.

Emilie mówiła szczerze, przerażała ją myśl, że mogłaby być w centrum uwagi. Skromny ślub bardzo jej odpowiadał.

Po złożeniu przysięgi małżeńskiej w obecności świadków – Gerarda i przyjaciela Sebastiana, paryskiego marszanda – Gerard uparł się, że zaprosi ich czworo do Ritza na lunch.

– Przynajmniej tyle chcieliby dla ciebie twoi rodzice, Emilie – dodał.

Wzniósł toast za ich zdrowie i pomyślność, a potem spytał o plany. Emilie powiedziała, że zamierza pojechać do Sebastiana do Anglii na czas renowacji zamku. Kiedy wychodzili z Ritza, Gerard zatrzymał ją chwilę i prosił, by się do niego odzywała.

– Jeśli tylko będę mógł cokolwiek dla ciebie zrobić, nie zapominaj, że tu jestem i zawsze ci pomogę.

– Dziękuję Gerardzie, to bardzo miło z twojej strony – powiedziała.

– I, Emilie, proszę, pamiętaj, że chociaż wyszłaś za mąż, to ty jesteś właścicielką zamku, zysków ze sprzedaży paryskiego domu i nazwiska de la

Martinièresów. Chciałbym za jakiś czas porozmawiać bardziej szczegółowo o twoim majątku i finansach z tobą, nie tylko z twoim mężem.

– Sebastian przekazuje mi wszystko, o czym powinnam wiedzieć – odparła Emilie. – Sprawdził się wspaniale, Gerardzie, bez niego nie dałabym sobie z tym wszystkim rady.

– Zgoda, ale w małżeństwie mimo wszystko dobrze jest zachować niezależność. Szczególnie pod względem finansowym – dodał, nim ucałował jej dłoń i wyszedł.

• • •

W końcu, kiedy od dłuższego czasu Emilie nie pozostawało nic, tylko przeglądanie starych numerów „Koni i polowań”, Sebastian wrócił do salonu.

– Przepraszam, kochanie. Musiałem wyjaśnić kilka spraw. Masz chęć na herbatę? Mnie na pewno dobrze zrobi filiżanka – powiedział z westchnieniem, przeczesując palcami włosy.

– Co się stało?

Emilie podeszła do niego i go objęła.

– O, nic specjalnego, w każdym razie jak na tutejsze stosunki – odparł. – Miałem rację. Pani Erskine oznajmiła, że odchodzi, i opuściła nasz dom obrażona, klnąc się, że nigdy więcej jej noga tu nie postanie. Oczywiście wróci. Zawsze wraca.

– Dlaczego odeszła?

– Wyjaśnię ci to, Emilie – obiecał Sebastian – przy czymś ciepłym do picia.

• • •

Kiedy oboje siedzieli już wygodnie na wielkich poduchach przy kominku, ściskając w dłoniach duże kubki gorącej herbaty, Sebastian zaczął tłumaczyć.

– Muszę opowiedzieć ci o moim bracie, Alexie. I z góry uprzedzam, że to dla mnie przykra historia. Tak naprawdę głupio mi, że nie mówiłem ci o tym wcześniej, ale jakoś nigdy się nie składało. W każdym razie, aż do tej chwili.

– No to powiedz mi teraz – zachęciła go Emilie.

– Dobrze.

Sebastian wziął łyk herbaty.

– Słyszałaś już, że nasza matka podrzuciła nas tu babci, kiedy byliśmy bardzo mali, a potem się ulotniła. Alex jest półtora roku młodszy ode mnie. I pewnie, jak

Falk i Frederik, kompletnie się od siebie różniły. Jak wiesz, lubię wszystko organizować, natomiast Alex zawsze... buja w obłokach, wiecznie za czymś goni, nie umie, a nawet nie jest w stanie dostosować się do żadnych zasad. W każdym razie obaj zostaliśmy wysłani do dobrej szkoły z internatem, ale podczas gdy ja ją uwielbiałem i robiłem szybkie postępy, Alex miał wiecznie kłopoty – wyjaśnił. – Wreszcie doprowadził do tego, że go wyrzucili, a on zamknął sobie drogę na studia, bo został przyłapany na prowadzeniu po pijaku. W efekcie jako osiemnastolatek wyjechał za granicę i nie dawał znaku życia przez dobrych kilka lat.

– Dokąd pojechał? – spytała Emilie.

– Naprawdę nie mieliśmy pojęcia, dopóki pewnego dnia babcia nie odebrała telefonu ze szpitala we Francji. Alex najwyraźniej przedawkował heroinę. Był bliski śmierci, gdy ktoś go znalazł, ale jakoś się z tego wygrzebał. – Sebastian westchnął. – Babcia poleciała więc po niego i oddała go do prywatnej kliniki w Anglii leczącej uzależnienia. Trzeba przyznać, że dotrzymał słowa i wrócił do domu czysty. Ale potem jeszcze raz zniknął gdzieś za granicą i nie widziałem go do śmierci babci. Chyba potrzebuję napić się czegoś mocniejszego. A ty?

– Nie, dziękuję – odparła Emilie.

Sebastian wyszedł, a Emilie wstała, by zaciągnąć kotary. Za oknem wirowały płatki śniegu. Kiedy usiadła znowu zapatrzona w czerwone płomienie ognia, ogarnęło ją współczucie dla nowo poślubionego męża. Ten brat musi być okropny.

Sebastian wrócił ze szklaneczką ginu z tonikiem. Oparł się o Emilie, a ona objęła go i głaskała po włosach.

– I co było dalej? – spytała.

– Zaraz po śmierci babci, gdy Alex wrócił wreszcie do domu i znów się tu wprowadził, potwornie się posprzeczałyśmy. Wybiegł do samochodu. Powiedziałem, że go podwiozę, dokąd chce. Wiedziałem, że jest pijany, ale uparł się, że sam będzie prowadził. Jak głupi wsiadłem z nim do auta, a kilka kilometrów dalej Alex ściął szczególnie niebezpieczny zakręt i władował się prosto pod auto jadące z naprzeciwka. Odnosił poważne obrażenia. Mnie się poszczęściło, miałem tylko połamane żebra, złamaną rękę i potłuczenia.

– O Boże – szepnęła Emilie. – Moje ty biedactwo.

– Jak mówiłem, to Alex ucierpiał najbardziej – podkreślił Sebastian.

– Jakże to smutne. – Emilie pokręciła głową i popatrzyła na męża. – Powinieneś był mi o tym powiedzieć wcześniej.

– Tak, i dać ci szansę odwołania ślubu, zanim było za późno. – Sebastian uśmiechnął się gorzko.

– Nie! Nie to miałam na myśli – pospiesznie rzuciła Emilie. – Ale nauczyłam się przy tobie, że dobrze jest dzielić się problemami, nie zatrzymywać ich dla siebie.

– Masz rację – zgodził się Sebastian. – Wiesz, tragedia polega na tym, że Alex był zawsze taki bystry. Dużo zdolniejszy ode mnie. Zdawał egzaminy, choć wcale się nie uczył, a ja musiałem wszystko, co osiągnąłem w życiu, okupić ciężką pracą. Alex mógł zdobyć cokolwiek chciał, gdyby tylko nie był taki pokręcony i nieodpowiedzialny.

– Często myślę, że ludziom zbyt zdolnym jest równie trudno jak tym, którzy muszą wszystko okupić wielkim wysiłkiem – powiedziała Emilie. – Ojciec mawiał, że dobrze być utalentowanym, ale w miarę. Za dużo zdolności czy za mało to zawsze problem.

– Najwyraźniej miałaś bardzo mądrego ojca. Szkoda, że go nie poznałem. – Sebastian pocałował ją w nos i popatrzył na nią. – No i tak to wygląda. Historia mojego brata marnotrawnego. A teraz, pewnie umierasz z głodu. Może chodź ze mną do kuchni, skombinuję coś do jedzenia. Tam przynajmniej jest ciepło, napalone na całego. A potem proponuję, żebyśmy poszli odpocząć do naszej zamrażarko-sypialni. Na pewno znajdziemy sposób, żeby się rozgrzać.

Sebastian pociągnął ją, żeby wstała z podłogi i poszła za nim.

– Zjedźmy coś jak najszybciej i zmykamy na górę.

Kiedy prowadził ją lodowatymi korytarzami do kuchni, Emilie nasunęło się oczywiste pytanie.

– I gdzie teraz jest Alex?

– Przecież chyba mówiłem.

– Nie – skorygowała go.

– Jest tutaj, ma się rozumieć. Alex mieszka w Blackmoor Hall.

Następnego dnia rano Emilie obudziła się dość wcześnie. W nocy spała marnie. Po części dlatego, że było potwornie zimno. Jeszcze nigdy w życiu tak nie zmarzła. Miała wrażenie, że jej zlodowaciałe kości zaraz zaczną trzaskać. Sebastian ogromnie ją przeproszał. Tłumaczył, że wiekowy system grzewczy nie działa, bo ktoś zapomniał napełnić piec olejowy. Obiecywał, że zajmie się tym najszybciej, jak to możliwe.

Emilie ukradkiem zbliżyła ścierpięte z zimna palce stóp do ciepłej kostki Sebastiana. Pokój był pogrążony w kompletnych ciemnościach. Zza wypłowiałych adamaszkowych zasłon nie docierał do środka żaden promień. Zastanawiała się, czy Sebastian miałby coś przeciw temu, by nie zasłaniali na noc okna. Zawsze tak sypiała. Lubiła, kiedy budziło ją łagodne światło wstającego dnia.

Rozmyślała o tym, co opowiedział jej poprzedniego wieczoru o bracie. Po piorunującej wiadomości, że Alex jest na stałe w Blackmoor Hall, Sebastian wyjaśnił, że brat złamał w wypadku kręgosłup i teraz musi poruszać się na wózku. Zajmuje specjalnie przystosowane mieszkanie na parterze we wschodnim skrzydle domu i ma zatrudnioną opiekunkę, która czuwa nad nim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Oczywiście, zapewnienie mu stałej opieki jest bardzo kosztowne, nie wspominając o przebudowach, które były konieczne, by przystosować wszystko dla osoby niepełnosprawnej, ale co mogę poradzić? – Sebastian westchnął. – W każdym razie nie martw się Alexem, proszę. Jest zajęty swoimi sprawami i rzadko zapuszcza się do wspólnej części domu.

– Czy po wypadku udaje mu się trzymać z dala od narkotyków i alkoholu? – spytała z wahaniem Emilie.

– W zasadzie tak. Ale non stop trzeba zmieniać opiekunki. Dwóch trzeba się było pozbyć, bo zostały przyłapane na przemycaniu do domu alkoholu na prośbę brata. Alex potrafi być bardzo uroczy i przekonujący, jeśli chce – dodał.

Pomimo zapewnień męża, że Alex żyje swoim życiem, Emilie przerażała myśl, że ten uzależniony od używek, sparaliżowany człowiek mieszka z nimi pod

jednym dachem, nawet jeśli w specjalnie wydzielonej części domu.

Sebastian napomknął też, że Alex jest nałogowym kłamcą.

– Nie wierz w nic, co ci mówi, Emilie. Mój brat potrafi przekonać każdego, że czarne to białe.

•••

– Kochanie?

Emilie poczuła podkradającą się ku niej ciepłą rękę.

– Tak?

– Chryste! – krzyknął Sebastian, kiedy dotknął jej ramienia, opatulonego wszystkim, co tylko w nocy zdołała na siebie nałożyć. – Jesteś owinięta tak grubo jak szkło do transportu. – Roześmiał się. – Chodź tu bliżej, przytul mnie.

Kiedy Emilie znalazła się w jego cudownie ciepłych ramionach i zaczęła ją całować, wszystkie dręczące ją wczesnoranne łęki jakoś się rozplynęły.

•••

– To chyba nie najlepszy dzień na zwiedzanie – rzekł Sebastian, kiedy stali w kuchni, pijąc kawę i patrząc na zasy pyłkami oknami. – Śnieg musi sięgać po kolana, a niebo zapowiada dalsze opady. Zadzwoń do Jacka, mojego sąsiada farmera, spytam, czy nie przyjechałby tu traktorem, żeby oczyścić podjazd. Kończą się nam zapasy. Będę musiał wybrać się do miasteczka po zakupy, przywieźć najważniejsze rzeczy. Może napalę ci w kominku w salonie, żebyś sobie tam usiadła? W końcu korytarza jest biblioteka, na pewno znajdziesz tam jakąś książkę, która cię zainteresuje.

– Dobrze – zgodziła się Emilie, czując, że nie ma wielkiego wyboru.

– Zobaczę, co się da zrobić w sprawie dostawy oleju, żebyśmy mieli ogrzewanie. O tej porze to cholernie drogie, a i tak większość ciepła ucieka przez zmurszałe ramy okien. – Westchnął. – Wybacz, kochanie. Jak mówiłem, trochę zaniedbałem swoją pracę i dom przez ostatnich kilka miesięcy.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytała Emilie.

– Nie. Ale miło, że proponujesz. Jak będę w miasteczku, wpadnę też do pani Erskine, naszej dawnej gospodyni. Może uda mi się namówić ją, by wróciła. Obiecuję, że pozałatwiam wszystko w ciągu kilku dni – mówił Sebastian, kiedy szli

razem do salonu. – Pewnie myślisz sobie, gdzie ja cię, u licha, przywiozłem – dodał, schylając się, by oczyścić kratę w kominku. – Będzie lepiej, przysięgam. To piękny zakątek świata, zobaczysz.

– Daj, ja to zrobię. – Emilie uklękła obok niego. – A ty jedź i zajmij się tym, co trzeba.

– Na pewno? Przepraszam za brak służby. – Trochę drażnił się z nią. – Wiem, że przywykłaś do innych warunków.

– Sebastianie... – Emilie aż się zaczerwieniła – Mogę się wszystkiego nauczyć.

– No pewnie, tylko żartowałem. Możesz pooglądać sobie cały dom, nie krępuj się, choć prawdopodobnie przerazisz się tym, co zobaczysz. W porównaniu z tym twój stary zamek może wydawać się całkiem nowoczesny! – Uśmiechnął się lekko na odchodnym.

•••

Ubrana w dwa grube swetry Sebastiana Emilie przez godzinę błąkała się po Blackmoor Hall. Najwyraźniej wiele pokoi na górze od lat nie było używanych i w odróżnieniu od zamku, który miał wielkie okna, żeby wpuścić jak najwięcej światła, ten dom miał małe i zbyt marne, aby chronić wnętrze przed chłodem. Ponura kolorystyka i ciężkie mahoniowe meble sprawiały wrażenie dekoracji do jakiejś edwardiańskiej sztuki teatralnej.

Kiedy Emilie schodziła z powrotem na dół, miała pełną świadomość, że ten dom dramatycznie domaga się gospodarskiej ręki. I – tak jak w przypadku zamku – to oznaczało wielki remont. Zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czy Sebastian posiada wystarczające środki. Ale czy to takie ważne? Wiedziała, że sama jest dobrze sytuowana i stać ich na to, by żyć tak, jak sobie zamarzą.

Po powrocie do salonu zastanowiła się, dlaczego nigdy przed ślubem nie przyszło jej do głowy, żeby spytać Sebastiana o stan jego finansów. Oczywiście nie miało to znaczenia dla jej decyzji, ale teraz była jego żoną i powinna wiedzieć. Może poruszy ten temat później, pomyślała, kiedy zobaczyła, jak traktor i Sebastian w land roverze za nim odjeżdżają spod domu, przebijając się przez śnieg i lód.

Blisko pory lunchu Emilie była już głodna. Nudziło się jej. Poszła do kuchni zobaczyć, co da się znaleźć w lodówce. Zrobiła sobie kanapkę z ostatniego kawałka chleba, jaki zdołała wyszperać. Kiedy siadała, żeby zjeść, gdzieś w domu

trzasnęły drzwi i usłyszała podniesiony głos. Tym razem damski. W progu kuchni pojawiła się chuda kobieta w średnim wieku.

– Jest pan Carruthers? Muszę się z nim natychmiast zobaczyć – zakomunikowała.

Emilie widziała, że nieznajoma aż się trzęsie z wściekłości.

– Nie, obawiam się, że się pani z nim minęła. Pojechał do miasteczka.

– A pani to kto? – spytała tamta bezceremonialnie.

– Emilie, żona Sebastiana.

– Coś takiego? No to gratuluję! A skoro jest pani jego żoną, to proszę mu przekazać, że definitywnie rezygnuję z pracy, od teraz. Nie będę dalej znosiła chamstwa jego brata. Ani tych agresywnych zachowań! Właśnie cisnął we mnie filiżanką gorącej kawy. Gdybym się nie uchyliła, mogłabym mieć na rękach oparzenia trzeciego stopnia. Zadzwoiłam do koleżanki, która ma auto z napędem na cztery koła. W ciągu godziny po mnie przyjedzie. Ani minuty dłużej nie zostanę w tym przeklętym domu z tym... wariatem!

– Rozumiem. Bardzo mi przykro – przeprosiła Emilie.

Zauważyła, że kobieta mówi trochę bełkotliwie, pewnie z powodu wzburzenia.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia? Może powinnyśmy porozmawiać, zanim pani wyjdzie, jestem pewna, że Sebastian niedługo wróci.

– Nie ma nic takiego, co pani czy on moglibyście powiedzieć, żebym zmieniła zdanie – przerwała jej kobieta. – On już przekonywał mnie poprzednio i potem tego żałowałam. Mam tylko nadzieję, że mąż nie zrzuci opieki nad bratem na panią. A skoro już to mówię, to dodam, że nie wyobrażam sobie, by zdołali państwo znaleźć kogokolwiek na moje miejsce. Wie pani, że pani Erskine też zrezygnowała z pracy?

– Tak, ale mąż mówi, że ona wróci.

– Może, naiwna istota. Jest miła i nie odchodzi stąd tylko przez lojalność wobec ich babki. Znałam Constance jako młoda dziewczyna. Cudowna kobieta, ale szkoda słów, co musiała przejść przez tych dwóch chłopaków. W każdym razie to już nie moja sprawa. Idę się pakować. Jadł lunch, więc może pobyć sam, zanim wróci pani mąż. Radziłabym, przynajmniej na razie, dać mu spokój. Poczekać, aż się opamięta – dodała. – Zwykle w końcu się uspokaja.

– Słusznie. – Emilie nie wiedziała, co innego powiedzieć.

Kobieta z pewnością dostrzegła lęk w jej oczach, bo nie patrzyła już tak surowo.

– Nie martw się, kochanie. Alex nie jest zły, tylko sfrustrowany, każdy by był na jego miejscu. Ma dobre serce i przez to dostał w kość. Ale jestem za stara, żeby się z tym szarpać. Wolę opiekować się miłym, spokojnym staruszkim, a nie nie zrównoważonym chłopczykiem, który nigdy nie dorósł.

Emilie nie potrafiła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że kobieta wyjedzie, zanim wróci Sebastian. W efekcie zostanie sama w nieznanym sobie, budzącym grozę domu, z którego, z powodu śniegu, nie ma uciezki. I jest tu z pijanym, sparaliżowanym szaleńcem, którego jak dotąd nie widziała na oczy. Jej życie zaczynało przypominać jakiś thriller. Sytuacja była tak bezsensowna, że Emilie o mało nie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

– W każdym razie najlepsze życzenia z okazji ślubu – powiedziała kobieta.

– A dziękuję – odparła z przesadną grzecznością Emilie.

Kobieta ruszyła do drzwi kuchni, ale zatrzymała się nagle i odwróciła.

– Mam nadzieję, że zdawała sobie pani sprawę, w co się pakuje. Do widzenia.

•••

Pół godziny później, kiedy Emilie siedziała znów w salonie, zobaczyła, że ktoś ostrożnie podejżdza pod dom. Kobieta, którą poznała w kuchni, przeszła przez zasy, unosząc wysoko nogi, i wstawiła walizkę do bagażnika. Samochód wykonał zwrot z poślizgiem i niepewnie ruszył w drogę powrotną.

Emilie patrzyła, jak śnieg znów zaczyna padać. Ciężkie płatki wirowały w powietrzu i coraz bardziej odgradzały ją od świata. Serce zaczęło jej walić. Szalony brat musiał być teraz zaledwie metry od niej i zostali tu kompletnie sami. A jeśli z powodu zasypanej drogi Sebastian nie zdoła wrócić? O trzeciej po południu styczniowe niebo ciemniało, za chwilę nadejdzie zmierzch i zrobi się całkiem ciemno... Emilie wstała, przyspieszony rytm serca sygnalizował, że lada moment kompletnie spanikuje. Jako nastolatka miała sporo takich ataków, a kiedy jakoś się z tym uporała, żyła w ciągłym strachu, że coś takiego może się powtórzyć.

– Uspokój się, oddychaj – nakazywała sama sobie, czując, jak porywa ją nieubłagana fala. Traciła oddech, wiedziała, że traci panowanie nad sobą i za późno na racjonalne myślenie.

Osunęła się na kanapę i spuściła głowę między kolana. Zabrakło jej sił. Pod zamkniętymi powiekami migały jaskrawe kolory, walczyła o oddech.

– Proszę, *mon dieu, mon dieu...*

– Mogę ci w czymś pomóc?

Głęboki męski głos dochodził gdzieś z oddali. Kręciło jej się w głowie, ręce i nogi dygotały. Nie mogła unieść głowy, by spojrzeć, musiała złapać wreszcie oddech.

– Pytałem, czy mogę ci pomóc?

Teraz głos był bliżej, tak naprawdę tuż przy niej. Może nawet czuła ciepło oddechu na policzku, rękę chwytającą jej dłoń... ale nie była w stanie odpowiedzieć.

– Domyślam się, że jesteś żoną Seba, Francuzką. Rozumiesz po angielsku?

Emilie zdołała kiwnąć głową.

– Dobrze. Poszukam jakiejś torby, żebyś mogła w nią oddychać. Staraj się tylko nie przestawać wciągać powietrza, kiedy mnie nie będzie. Przynajmniej to będzie znaczyło, że jeszcze żyjesz.

Oszołomiona Emilie nie miała pojęcia, jak długo to trwało, nim ktoś zakrył jej usta i nos papierową torbą i ten sam spokojny głos nakazał jej robić powoli wdech i wydech. Czy to był sen, czy koszmar, nieważne. Ten ktoś zdawał się dobrze wiedzieć, co robić, więc Emilie, jak bezradne dziecko, stosowała się do wskazówek.

– Dzielna dziewczynka, świetnie ci idzie. Po prostu oddychaj: wdech i wydech do torby. Tak, to uspokaja. Zaraz będzie lepiej, obiecuję – zapewniał głos.

Wreszcie rytm serca zaczął wracać do normy, Emilie powoli odzyskiwała władzę nad rękami i nogami i odsunęła torbę od ust. Wyczerpana oparła się plecami o kanapę. Nie otwierała oczu, czuła niesamowitą ulgę, że jej ciało się rozluźniło.

Dopiero po kilku minutach napawania się tym, że przeżyła i że atak minął, zadała sobie w duchu pytanie, kim jest ten, kto przybył jej na ratunek niczym rycerz na białym koniu. Z wysiłkiem uchyliła jedną z ciężkich drżących powiek i zobaczyła Sebastiana, ale to nie był on. Patrzyła na Sebastiana w wersji filmowej. Jego piwne oczy miały więcej blasku, z bursztynowymi ognikami na tęczówkach, włosy połyskiwały ciemnym złotem, nos był idealnie wyrzeźbiony, usta pełniejsze i bardziej różowe, a pod nieskazitelną cerą policzków rysowały się mocno kości policzkowe.

– Jestem Alex – powiedział. – Miło mi cię poznać.

Emilie natychmiast zamknęła uchyloną powiekę i zastygła w bezruchu, nieprzekonana, czy widok szalonego brata siedzącego centymetry od niej nie wywoła kolejnego ataku paniki.

Ciepła dłoń poklepała jej rękę.

– Rozumiem, wolisz nie tracić teraz tchu na mówienie czegokolwiek. Wiem, jak to jest. Miałem takie ataki wiele razy, już nawet nie zliczę. Teraz przydałby ci się kieliszek czegoś mocniejszego.

Mężczyzna, który tak łagodnie do niej przemawiał, kompletnie nie pasował do obrazu, jaki odmalował Sebastian. Dłoń na jej dłoni dodawała otuchy, nie było w tym geście nic strasznego. Odważyła się otworzyć oczy i przyjrzeć się uważniej nieznanemu.

– Witaj. – Pełne usta uśmiechnęły się i Emilie dostrzegła iskierki rozbawienia w jego oczach.

– Witaj – wydukała jeszcze słabym głosem.

– Mamy mówić po angielsku, czy *preferez-vous Français*?

– *Français, merci*. – Była nadal zbyt oszołomiona, by zacząć myśleć w obcym języku.

– *D'accord*.

Emilie widziała, że Alex się jej przypatruje.

– Jesteś bardzo ładna – stwierdził. – Brat to mówił. Ale warto zaznaczyć, że wyglądasz dużo lepiej, kiedy te twoje wielkie niebieskie oczy są otwarte – ciągnął swoim nienagannym francuskim. – A prawda, teraz twoje lekarstwo.

Z boku wózka inwalidzkiego wyciągnął butelkę whisky.

– Megiera, która właśnie odeszła, sądziła, że nie wiem, gdzie trzyma swój trunek. Ale zdołałem uratować go z jej walizki, kiedy była z tobą i uskarżała się, jakim to jestem potworem. Sebastian mi nie wierzył, ale to pijaczka. Obalała dobrą butelkę tego napitku dziennie. Teraz – Alex podjechał zręcznie do szafki i otworzył ją, ukazując zakurzony zestaw edwardiańskich kieliszków i szklanek – napijmy się razem, dobrze? To marny pomysł pić samemu. Nalał dwie spore porcje whisky do szklanek, postawił je sobie zręcznie między udami i podjechał do niej z powrotem.

– Naprawdę sądzę, że nie powinnam – powiedziała Emilie, gdy Alex podał jej szklanę.

– Dlaczego? Możesz stwierdzić całkiem uczciwie, że to tylko dla celów leczniczych. Słuchaj – namawiał – naprawdę, dla odmiany teraz moja kolej

odgrywać rolę pielęgniarza. To ci dobrze zrobi, przysięgam.

– Nie, dziękuję. – Emilie pokręciła głową.

Nie chciała dawać mu pretekstu.

– No dobrze. Skoro ty nie pijesz, to ja też nie.

Alex zdecydowanym ruchem odstawił szklankę na stół.

– Strasznie tu zimno. Skoro nie mogę rozgrzać cię kropelką whisky, to przynajmniej rozpalę na nowo w kominku.

Emilie patrzyła na Alexa rozpalającego ogień jak zahipnotyzowana, ale brakowało jej sił, żeby mu pomóc.

– A gdzie Seb? – zapytał. – Poszedł błagać po raz setny biedną starą panią Erskine, by wróciła?

– Tak, mówił, że odwiedzi ją przy okazji. Pojechał do miasteczka kupić coś do jedzenia – odparła Emilie.

– Wątpię, czy wiele znajdzie w sklepie. Tutejsi mieszkańcy, widząc, że nadciąga śnieżycy, na pewno zaczęli szykować się jak na wojnę i wyczyścili wszystkie półki. To najlepszy czas w roku dla sklepikarzy. Klienci rzucają się nawet na stare puszki fasolki. Trzeba mieć sporo szczęścia, żeby dziś wieczorem dostać choćby i to. Naprawdę się zaciągnęło – dodał Alex, patrząc na stale padający śnieg. – Mnie się nawet podoba. A tobie?

Kiedy poczuła na sobie ciężar jego badawczego spojrzenia, próbowała nie zapominać o tym, co powiedział Sebastian: że Alex potrafi czarować i jest bardzo przekonujący.

– Niespecjalnie. Od przyjazdu stale mi zimno.

– Nie dziwi mnie to. Od wielu tygodni brakuje oleju. Na szczęście mam tajny zapas piecyków elektrycznych, dzięki czemu nie zamarzam. Tylko nic nie mów Sebowi, uprzedzam, bo mi je skonfiskuje. W każdym razie, poza tym, że mieszkamy w angielskiej wersji igloo, lubię śnieg. Ale w końcu – Alex westchnął ciężko – lubię wszystko, co przełamuje nudę i codzienną monotonię. A ta pogoda jest dramatyczna.

– Rzeczywiście – przyznała słabo Emilie.

Alex spojrzął na dwie szklanki whisky na stole.

– Myślę, że oboje powinniśmy to wypić. Szkoda, żeby się zmarnowało.

– Naprawdę nie. – Emilie pokręciła głową.

– O – Alex uniósł brwi – pewnie Seb napomknął coś o moim nieopanowanym alkoholizmie i uzależnieniu do narkotyków?

– Tak, coś mi wspominał – przyznała szczerze.

– To prawda, że miałem problem z narkotykami w dawnych czasach – potwierdził – ale alkoholikiem nigdy nie byłem. Co jednak nie znaczy, że nie lubię się czasem napić. Wszyscy lubimy. Przecież jesteś Francuzką, na pewno piłaś wino od kołyski?

– Oczywiście.

– A teraz powiedz mi, jak to się stało, że wyszłaś za mojego brata?

– Ja... – Emilie speszyła jego obcesowość. – Zakochałam się. Większość ludzi pobiera się z tej przyczyny.

– Powód równie dobry jak każdy inny. – Alex skinął głową. – No to pewnie powinienem powiedzieć: witaj w rodzinie.

Drzwi do salonu się otworzyły. Stał w nich Sebastian. Z jego włosów ściekał topniejący śnieg.

Emilie w poczuciu winy podskoczyła, by go przywitać.

– Och, jesteś już, cieszę się, że bezpiecznie wróciłeś.

– Nie słyszeliśmy, jak podejżdżasz – wtrącił Alex.

Sebastian był wściekły. Wbił wzrok w dwie szklanki whisky na stole.

– Nie, bo musiałem zostawić samochód kawałek dalej i dobrnąć tu przez zasy z dwiema cholernie wielkimi torbami zakupów. Piliście? – zganił Alexa.

– Nie. Choć nie przeczę, że próbowałem przekonać twoją nowo poślubioną żonę, że powinna wychylić jednego, bo marnie się czuła – powiedział ugodowo Alex.

– Cały ty! – zdenerwował się Sebastian. Odwrócił się do Emilie i ze złością, a nie współczuciem zapytał: – Co ci jest?

– Już mi lepiej, dziękuję – odparła wystraszona.

– Mówiłem ci, Alexie, że masz nie wchodzić do tej części domu – warknął Sebastian w stronę brata.

– No wiesz, jak wyjaśniłem to Emilie, moja opiekunka na mnie napadła i chciałem ci o tym powiedzieć.

– Co takiego? Na litość boską, co zrobiłeś tym razem? – wybuchnął Sebastian.

– Rzuciłem filiżanką z kawą o ścianę. Baba była tak pijana, że dosypała mi do niej soli zamiast cukru – wyjaśnił Alex. – Pomyślała, że to w nią celowałem.

– No, naprawdę przegiąłeś, Alex. – Sebastian był wściekły. – Pani Erskine definitywnie odmówiła powrotu i nie mogę mieć o to do niej pretensji. A jeśli chodzi o tę biedną kobiecinę, która właśnie odeszła... Nie dziwię się jej, skoro tak

się zachowujesz. Jak, do licha, znajduję zastępstwo, szczególnie w taką pogodę, naprawdę nie wiem.

– Spokojnie, Seb. Nie jestem kompletnie bezradny, jak wiesz – odparował Alex. – Mogę jeść, ubrać się, umyć się i sam się podetrzeć. Potrafię nawet sam położyć się do łóżka w nocy i z niego się zwlec. Mówiłem ci tyle razy, że nie potrzebuję już stałej opieki. Tylko kogoś, kto pomógłby mi trochę w domu.

– Wiesz, że to nieprawda – uciął ze złością Sebastian.

– Ależ jak najbardziej. Powiedzmy sobie szczerze – Alex uniósł brwi i obrócił się do Emilie – traktuje mnie jak dwulatka. A przecież – wskazał na wózek – w tym nie bardzo mogę wpakować się w jakieś kłopoty, prawda?

Emilie czuła się jak widz walki bokserskiej. Nie odzywała się. Nie chciała wtrącać się do ich kłótni.

– Cholernie dobrze sobie radzisz, rzeczywiście – zakpił Sebastian. – W każdym razie na pewno będziesz mógł się wykazać w najbliższych dniach. Bo nie ma co marzyć, że uda mi się kogoś znaleźć.

– Jeśli o mnie chodzi, to świetnie – oświadczył kategorycznie Alex. – Mówiłem ci, że to strata pieniędzy, ale nie chciałeś mnie słuchać. No to zostawię was samych.

Obrócił wózek, podjechał do drzwi i przytrzymał się ich. Obejrzał się i uśmiechnął do Emilie.

– Miło było cię poznać, witaj w Blackmoor Hall.

Drzwi się za nim zamknęły i w salonie zapanowała cisza. Sebastian sięgnął po jedną ze szklanek whisky i wypił ją jednym haustem.

– Przepraszam bardzo za to wszystko, Emilie. Musisz zastanawiać się, dokąd cię, u licha, przywiozłem. Mój brat to istny koszmar i jestem u kresu wytrzymałości.

– No pewnie – powiedziała. – Ale o mnie się nie martw, proszę. Zrobię wszystko, żeby pomóc.

– To bardzo miło z twojej strony, choć w tej chwili nic takiego nie przychodzi mi do głowy. Chcesz to wypić?

Wskazał na drugą szklankę.

– Nie, dziękuję.

Sebastian wziął ją i osuszył do dna jak poprzednią.

– Myślę, że ty i ja powinniśmy sobie szczerze porozmawiać, Emilie. Bo naprawdę czuję, że poślubiłem cię, wprowadzając w błąd. Tu wszystko jest nie tak

jak trzeba. I jeśli zdecydujesz, że chcesz zerwać i się wycofać, w żadnym razie nie będę ci miał tego za złe.

Siadł ciężko na kanapie obok niej i wziął ją za rękę.

– Tak mi przykro, naprawdę.

– Sebastianie, zaczynam rozumieć, że twoje życie nie jest tak proste, jak sądziłam – przyznała Emilie – ale wyszłam za ciebie z miłości. Teraz jestem twoją żoną i twoje problemy stały się też moimi, jakiegokolwiek one są.

– Jeszcze nie znasz połowy z nich – jęknął Sebastian.

– To mi powiedz.

– Dobrze, raz kozie śmierć. – Westchnął. – Poza tą sytuacją z Alexem prawda jest taka, że jestem splukany do nitki. Niewiele zostało po śmierci babci, ale miałem nadzieję, że kiedy mój biznes okrzepnie, będę mógł pozwolić sobie przynajmniej zacząć remontować dom. Jednak dwa lata temu Alex miał ten wypadek i koszty opieki nad nim pochłonęły moje dochody. Wziąłem pożyczkę pod zastaw domu, ale ledwie daję radę ją spłacać. Bank na pewno nie da mi więcej. Jestem teraz w takiej sytuacji, że tak naprawdę brakuje oleju, bo po prostu nie stać mnie na jego kupno. Wygląda więc na to, że będę musiał sprzedać Blackmoor Hall. Oczywiście, jeśli Alex się zgodzi. Połowa domu, mimo wszystko, należy do niego, a on zdecydował, że się stąd nie ruszy.

– Sebastianie – zaryzykowała Emilie – Rozumiem, jak ciężko jest sprzedawać rodzinny dom, ale z tego, co słyszę, musisz to zrobić, nie masz innego wyjścia. Podobnie Alex.

– Oczywiście, masz rację. Chodzi jednak o to, że tuż przed tym, zanim cię poznałem, mój biznes zaczynał kwitnąć. Podjąłem kilka słuszych decyzji i sprawy szły w dobrym kierunku. W każdym razie – ciągnął Sebastian – chyba to wszystko, co mówię, nie ma sensu. Opowiadam o punkcie B, a jestem teraz w punkcie A. I jak mam przejść od jednego do drugiego? Oto jest pytanie. Zresztą choćbym bardzo chciał – wzruszył ramionami – nie sądzę, że zdołam utrzymać ten dom. Co zrobię ze swoim najbliższym sąsiadem to inna sprawa. Będzie bronił się przed wyprowadzką zębami i pazurami, a dom jest nasz wspólny. I jak sobie na pewno wyobrażasz, możliwości zmiany miejsca zamieszkania w sytuacji Alexa są ograniczone.

– Przecież nie zostawiłbyś go na pastwę losu, prawda? – spytała Emilie.

– A skądże znowu, Emilie! – zachnął się Sebastian. – Za kogo mnie masz? Jak już widziałaś, bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki.

– Naturalnie – zapewniła pospiesznie Emilie. – Nie to miałam na myśli. Zastanawiałam się tylko, gdzie by się podział, gdybyś sprzedał dom.

– Wiesz – zaczął Sebastian – sądzę, że to, co dostałoby za swoją część Blackmoor Hall, wystarczyłoby na opłacenie wielu lat fachowej opieki w odpowiedniej instytucji. Żeby nie wiem jak zaprzeczał, Alex potrzebuje stałego nadzoru i...

– Sebastianie – przerwała mu Emilie – przez cały czas mówisz „ja to, ja tamto”. Pamiętaj proszę, że teraz to już nie „ja”, ale „my”. Jestem twoją żoną, tworzymy parę i razem uporamy się z tymi problemami, podobnie jak ty pomogłeś mi poradzić sobie z moimi we Francji.

– Jesteś kochana, Emilie, choć naprawdę nie sądzę, że w tych okolicznościach mogłabyś jakoś specjalnie pomóc.

– Dlaczego tak mówisz? Po pierwsze, jak wiesz, mam pieniądze. I skoro jestem twoją żoną, cokolwiek posiadam, jest też twoje. Oczywiście, że mogę ci pomóc. Chcę ci pomóc – powtórzyła. – Szczególnie jeśli, jak mówisz, dofinansowanie jest ci tylko potrzebne do czasu, kiedy twój interes zacznie przynosić większe zyski. Jeśli tak ci będzie łatwiej, myśl o mnie jak o inwestorze – zasugerowała.

Sebastian uniósł głowę, którą wcześniej ukrył w dłoniach, i patrzył na nią zdumiony.

– Emilie, mówisz poważnie? Chcesz mi pomóc finansowo?

– Oczywiście – potwierdziła. – Nie widzę problemu. Wspierałeś mnie przez ostatnich kilka miesięcy. Teraz moja kolej.

– Kochanie, jesteś aniołem. – Sebastian objął ją gwałtownie i mocno przytulił. – Mam takie wyrzuty sumienia, że nie powiedziałem ci tego wszystkiego wcześniej, zanim się pobraliśmy. Tak naprawdę, dopiero kiedy przyjechaliśmy tu wczoraj, zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. I przyznaję, że chowałem głowę w piasek. Boże, gdy sprawdziłem dziś rano stan mojego konta, to był wstrząs, kompletna katastrofa.

– Proszę, przynajmniej o pieniądze więcej się nie martw – pocieszyła go Emilie. – Zorientuj się, ile ci potrzeba. Zrobię przelew na twoje konto w Anglii. Osobiście sądzę, że są pilniejsze sprawy niż kłopoty finansowe. I nimi w pierwszej kolejności należy się zająć. Takie jak na przykład napełnienie zbiornika oleju. Jestem pewna, że możemy zapłacić przez telefon z karty kredytowej. Przynajmniej będzie nam ciepło.

– Och, kochana. – Sebastian odwrócił się do niej z twarzą poszarzałą ze zmartwienia. – Jesteś taka dobra. Naprawdę okropnie mi przykro.

– Cicho już, cicho – powiedziała Emilie. – Poza olejem, którego problem łatwo rozwiązać, następną sprawą jest znalezienie kogoś, kto zatroszczy się o twojego brata. Tak?

– Masz rację – zgodził się Sebastian. – Najszybciej byłoby znaleźć kogoś przez firmę wynajmującą pracowników tymczasowych, ale oni naprawdę mogą puścić człowieka z torbami...

– Właśnie uzgodniliśmy, że pieniądze to nie kłopot – podkreśliła Emilie. – Czy Alex kłamie, kiedy mówi, że potrafi sam sobie radzić?

– No, trzeba przyznać, że nigdy nie miałem co do tego pewności – przyznał Sebastian. – Stale zdarzają mu się jakieś wypadki, Emilie. Znając go, boję się, że porazi go prąd, kiedy będzie podgrzewał puszkę fasolki w mikrofalach, albo że zamówi sobie hurtową dostawę alkoholu przez internet.

– Czyli – uściśliła Emilie – tak naprawdę nie potrzebuje wykwalifikowanej pielęgniarki do opieki medycznej?

– Rano przyjmuje jakieś leki na krążenie, ale poza tym chodzi raczej o pomoc w różnych codziennych potrzebach.

– Jeśli nikogo nie znajdziemy, ja mogę się nim zajmować, przynajmniej przez jakiś czas – zaproponowała Emilie. – Mam pewne doświadczenie po opiece nad mamą, która też była na wózku przez ostatnie tygodnie życia. Zresztą jestem lekarzem weterynarii, więc wiem sporo o tym, jak funkcjonuje organizm.

– Ale czy mogę ci zaufać? Nie dasz się zbałamucić Alexowi? – zażartował Sebastian, rzucając okiem na puste szklanki po whisky, i popatrzył na nią prowokacyjnie. – Nie chciałbym, żeby miał na ciebie zły wpływ.

– Możesz być spokojny. – Emilie ugryzła się w język i nie przypomniała mu, że to on wysączył obie szklanki, a nie jego żona czy brat. – Przecież nic dziwnego, że Alex jest sfrustrowany. Czy w ogóle bywa gdzieś poza domem?

– Rzadko. Choć tak naprawdę nie jestem w stanie sobie wyobrazić, by Alex miał chęć jeździć co środę do lokalnego centrum i spotykać się z innymi kalekami na partyjce czarnego Piotrusia przy szklaneczce świeżo wyciskanego soku. Przynajmniej on tak to widzi. Zawsze był samotnikiem. W każdym razie – Sebastian wypuścił Emilie ze swoich ramion i znów oparł się na kanapie – teraz wiesz, jak jest. Masz życie swojego męża jak na talerzu. W całej okazałości i, jak na razie, to kompletna porażka.

– Proszę, nie mów tak – zaproponowała Emilie. – Wiele z tych rzeczy to nie twoja wina. Zrobiłeś, co mogłeś, by pomóc bratu, prowadzić interes i utrzymać ten dom.

Nie możesz mieć do siebie pretensji.

– Dziękuję, kochanie. Naprawdę doceniam twoje wsparcie. Jesteś cudowna. – Sebastian nachylił się do niej i pocałował ją lekko w usta. – No to teraz musimy zadzwonić do firmy olejowej, zanim zamkną. Niech wstawią nas do tej z pewnością długiej kolejki okolicznych mieszkańców zasypanych śniegiem i pozbawionych oleju. Jeśli nie masz nic przeciw temu, żebym użył twojej karty kredytowej, może daj mi ją, to przekażę im telefonicznie dane, dobrze?

– Oczywiście. Jest na górze w mojej torebce. Pójdę ją przynieść.

Emilie pocałowała szybko pełną trosk głowę męża i wyszła z pokoju. Na schodach zdała sobie sprawę, że czuje małą satysfakcję. Teraz ona mogła pomóc mężowi, tak jak on pomagał jej w ostatnich miesiącach. To było przyjemne.

Tydzień później życie w Blackmoor Hall płynęło już dużo spokojniej. Śnieg, który padał nieustannie przez trzy dni i utworzył ogromne zlodowaciałe zaspy, zaczął nareszcie topnieć. Robiło się cieplej. Dowiedziono im olej i Emilie obudziła się rano zdecydowanie mniej ścierpnięta z zimna.

Sebastian wynajął dla Alexa opiekunkę z firmy oferującej pracowników tymczasowych. Emilie nie widziała szwagra od dnia, kiedy miała atak paniki. Nastawiając wodę, żeby zaparzyć kawę i zabrać ją na górę do łóżka, pomyślała, że naprawdę odzyskuje równowagę. Sebastian powiedział jej, ile pieniędzy potrzebuje, by przetrwać kolejnych kilka miesięcy, a ona natychmiast dokonała przelewu na jego konto. Od tamtej pory wyraźnie się zrelaksował.

– Skoro jesteśmy uwięzieni przez śnieg, myślę, że powinniśmy wykorzystać ten czas na mały miesiąc miodowy – oświadczył. – W piwnicy jest wino, w lodówce jedzenie, mamy ogień w kominku i siebie nawzajem. Spróbujmy się tym nacieszyć, dobrze?

Spędzali więc kolejne leniwe poranki, długo nie wychodząc spod kołdry, potem ubierali się w ciepłe kurtki i kalosze, by dziarsko pomaszerować do miasteczka i posilić się jakąś brytyjską specjalnością w lokalnym pubie. W drodze powrotnej wdawali się w szaleńcze walki na śnieżki i docierali do domu w doskonałych nastrojach, kiedy się już nawdychali świeżego, lodowatego powietrza. Wieczorami tulili się do siebie przy kominku, popijając wino, które Sebastian przyniósł z piwnicy. Rozmawiali, kochali się.

– Jesteś taka piękna – mówił Sebastian, całując jej nagie ciało w świetle płomieni z kominka. – Tak się cieszę, że się z tobą ożeniłem.

Poprzedniego ranka, kiedy lód zaczął puszczać, Sebastian zabrał Emilie do pobliskiego miasta, Moulton, by uzupełnić szybko topniejące zapasy jedzenia. Upierał się, żeby to ona prowadziła land rovera, kiedy wracali, co dla kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do jazdy po lodzie, nie mówiąc już o przestawieniu się na ruch lewostronny, było sporym przeżyciem.

– To ważne, żebyś sobie z tym radziła – podkreślił Sebastian, gdy wiozła ich do domu w ślimaczym tempie. – Musisz umieć się tu swobodnie poruszać, kiedy będę w Londynie.

Po zaparzeniu kawy Emilie rozejrzała się z przyjemnością po kuchni. Prosta rzecz, upranie brudnych zasłon, które smętnie wisiały przy oknach, i postawienie wazonu z kwiatami na wyszorowanym sosnowym stole bardzo rozweseliły wnętrze. Powyciągała trochę ładnej niebiesko-białej porcelany z tego, co znalazła w jednym z kredensów, i ustawiła ją na gzymsie nad kominkiem. Kiedy z kubkami kawy wchodziła na schody, widziała, że tego dnia świeci słońce, a lód się rozpląwa i znika. Może nawet przekona Sebastiana, żeby pozwolił jej przemałować kuchnię. Jasny wiosenny kolor byłby piękną odmianą.

Wróciła do łóżka, umościła się obok męża i sączyła gorącą kawę.

– Jak ci się spało? – zapytał Sebastian i usiadł, by sięgnąć po swój kubek.

– Świetnie. Doszłam do wniosku, że jednak całkiem lubię ten dom – wyznała Emilie. – Jest jak wiekowa, niekochana ciotka, która po prostu potrzebuje trochę czułości i troski.

– I mnóstwa pieniędzy – dodał Sebastian – A skoro już o tym mówimy, śnieg stopniał, a ty się tu jako tako zadomowiłaś, powinienem więc wybrać się na kilka dni do Londynu. Dasz sobie radę beze mnie? Alex jest chyba zadowolony z nowej opiekunki i na pewno nie będzie cię niepokoił. Mogłabyś pojechać ze mną, ale zamierzam pracować do upadłego i nie będę miał czasu ani głowy, żeby się tobą zająć. Zanudziłabyś się na śmierć.

– Gdzie się zatrzymasz w Londynie? – spytała Emilie.

– O, jak zwykle zakotwiczę się u przyjaciela. To nie całkiem Ritz, ale nie spędzam tam wiele czasu, więc nic więcej mi nie potrzeba – wyjaśnił.

– Jak długo cię nie będzie?

– Myślałem, że gdybym wyjechał jutro rano, to chyba najwyżej trzy dni. Wrócę wieczorem w piątek – obiecał. – Zostawię ci land rovera, oczywiście, na wypadek gdyby pogoda znów się pogorszyła. Mam starego grata, którym dojeżdżam do dworca. Może następnym razem zaplanujemy, żebyś mogła wybrać się do Londynu ze mną.

– Dobrze – odpowiedziała Emilie, starając się nie martwić myślą, że Sebastian zostawi ją tu samą z niezrównoważonym bratem i autem, które bardzo bała się prowadzić.

– Zastanawiałam się, że może pomaluję kuchnię. Masz coś przeciwko temu?

– Ależ skąd. I tak muszę skoczyć do miasta do banku. Moglibyśmy wybrać farbę w sklepie z materiałami budowlanymi w drodze powrotnej. – Popatrzył na nią i pogłaskał ją po policzku. – Jesteś prawdziwym cudem, Emilie, naprawdę.

•••

Wyjechał do Londynu następnego dnia wcześniej rano. Z głową pełną planów na ten dzień, w tym by zacząć malowanie kuchni, Emilie zeszła na dół i zaparzyła kawę, nucąc pod nosem. Potem zabrała się do pracy.

Do lunchu zdążyła pomalować wszystko nad kominkiem i wyrzucała sobie, że nie poprosiła Sebastiana, by pomógł jej odsunąć wielki kredens, który zasłaniał prawie całą sąsiednią ścianę. Kiedy siedziała i jadła kanapkę, usłyszała, jak jakiś samochód podjeżdża pod dom i po chwili odjeżdża. Pomyślała, że to pewnie listonosz, i nie zwróciła na to większej uwagi. Po lunchu przygotowywała do malowania ścianę nad zlewem.

– Witaj znowu – odezwał się ktoś po francusku.

Emilie serce zamarło, kiedy odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Alexa na wózku inwalidzkim.

– Co ty tu robisz? – spytała nerwowo, przez co zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzała.

– To przecież mój dom – wyjaśnił uprzejmie – i pomyślałem, że powinienem cię poinformować, że moja nowa opiekunka zrejterowała.

– Och, Alex! Znowu narozrabiałeś?

Emilie zaczęła niepewnie schodzić z drabiny.

– Proszę! – zawołał z udanym przerażeniem. – Nie zaczynaj i ty traktować mnie jak dziecko.

– A czego się spodziewasz?! Jestem tu dopiero tydzień i przez ten czas odeszły dwie opiekunki – rzuciła.

– Mój brat cię skołował – powiedział smutno Alex.

– Nie, wcale nie – odparła Emilie po angielsku, by podkreślić, jak bardzo Alex się myli.

– Uwielbiam, jak mówisz „wcale nie” z tym swoim pięknym francuskim akcentem. – Uśmiechnął się lekko.

– Nie zmieniaj tematu. – Emilie znów przeszła na francuski.

– Przepraszam. W każdym razie opiekunka odeszła. Zostaliśmy sami, tylko ty i ja.

– W takim razie muszę natychmiast zadzwonić do agencji i znaleźć zastępstwo – odparowała.

– Emilie, błagam nie rób tego. Wstrzymaj się choć kilka dni. Chciałbym udowodnić tobie i Sebastianowi, że naprawdę jestem w stanie sam sobie radzić. Jeśli solennie przyrzeknę, że będę grzeczny, żadnego alkoholu, narkotyków, hulanków w miejscowym pubie i tak dalej... – Alex popatrzył na nią z rozpaczą – odroczyś egzekucję? Przy pierwszym wykroczeniu możesz wezwać posiłki. – Pokręcił głową. – I nie masz nawet pojęcia, jak bardzo tego nie chcę.

Emilie zawahała się, była w rozterce. Może powinna zadzwonić do męża i naradzić się z nim? Z drugiej strony wiedziała, że jeśli to zrobi, Sebastian prawie na pewno natychmiast przygna do domu. A przecież, jak mówił, musi się teraz skupić na pracy, i cała ta sytuacja to ostatnie, co mu potrzebne do szczęścia.

Powzięła decyzję. Jest żoną Sebastiana i poradzi sobie z jego bratem.

– Dobrze – zgodziła się. – Czy mogę ci w czymś pomóc?

Postawiła stopę na szczeblu drabiny, by wrócić do malowania trudnego górnego rogu.

– Na razie nie, dziękuję.

– Gdybyś tylko czegoś potrzebował, daj znać.

Emilie odwróciła się i weszła na drabinę. Zamoczyła pędzel w farbie i znów zabrała się do pracy.

Na dole zapadła cisza. Emilie skoncentrowała się na pociągnięciach pędzla.

– Ładny kolor. Trafny wybór – skomentował wreszcie Alex.

– Dziękuję. Podoba mi się.

– Mnie też. I, skoro w zasadzie ta kuchnia jest w połowie moja, to myślę, że to chyba dobrze, nie sądzisz?

– Na pewno.

Znów cisza. A potem...

– Może pomóc?

Emilie powstrzymała się przed kąśliwą uwagą.

– Dziękuję, nie trzeba.

– Tak się składa, że wałkiem posługuję się równie dobrze jak inni – zapewnił Alex, jakby czytał w jej myślach.

– Dobrze. Jest jeden obok zlewu. Nalej sobie trochę farby do tacki.

Emilie obserwowała kątem oka, jak Alex podjeżdża do zlewu, podnosi puszkę farby i fachowo nalewa do tacki.

– Mam zaczynać stąd? – Wskazał na fragment po lewej stronie kredensu.

– Jeśli chcesz – zgodziła się Emilie. – Strasznie szkoda, że nie jestem w stanie przesunąć tego mebla.

– Na pewno mógłbym ci w tym pomóc. Górna część mojego ciała jest silniejsza niż u większości ludzi o sprawnych nogach – rzekł Alex. – Możemy go razem odsunąć, żaden problem.

– Fajnie. – Emilie zeszła z drabiny i zaczęła opróżniać wyższe półki, a Alex wyjmował wszystko z dołu. Potem we dwoje odsunęli kredens od ściany.

– A teraz opowiedz mi o sobie – zaproponował Alex, żeby nawiązać rozmowę, kiedy z powrotem weszła na drabinę, a on zaczął malować ścianę wałkiem.

– A co chciałbyś wiedzieć?

– O, chodzi o podstawowe informacje, wiek, stopień wojskowy, numer ewidencyjny... takie tam rzeczy – rzucił z uśmiechem.

– Mam trzydzieści lat, urodziłam się w Paryżu. Mój ojciec był dużo starszy od matki, umarł, kiedy byłam dzieckiem. – Emilie postanowiła powiedzieć jak najmniej, w sam raz, żeby nie wydać się nieuprzejmą. – Zostałam weterynarzem, mieszkalam w dzielnicy Marais, a potem spotkałam twojego brata. To było zaraz po tym, jak umarła matka. I to właściwie tyle.

– Sądzę, że jesteś zbyt skromna – skomentował Alex. – Przede wszystkim pochodzisz z jednego z najstarszych arystokratycznych rodów we Francji. O śmierci twojej matki pisano nawet w „Timesie”.

– Wiesz to od brata?

– Nie, zrobiłem własny wywiad – przyznał. – Poszukałem, co jest o tobie w internecie.

– Skoro wiesz o mnie wszystko, czemu zadajesz mi te pytania? – skontrolowała Emilie.

– Byłem ciekaw, co sama masz do powiedzenia. Mimo wszystko teraz stanowimy rodzinę – powiedział Alex. – I, prawdę mówiąc, jesteś inna, niż się spodziewałem. Zaskoczyło mnie, że przy swoim pochodzeniu nie przypominasz archetypu zepsutej francuskiej księżniczki, która czerpie pewność siebie ze swojego nazwiska. Większość młodych kobiet z twoich kręgów nie poszłaby na weterynarię, prawda? Znalazłyby sobie odpowiednio zamożnego męża i spędzały

czas a to na Karaibach, a to w Alpach, a to w Saint-Tropez, w zależności od pory roku.

– Trafieś w sedno, jeśli chodzi o opis życia mojej matki. – Emilie pozwoliła sobie na uśmiech.

– No właśnie. – Alex triumfalnie machnął walcikiem. – A ty postanowiłaś robić wszystko odwrotnie niż mama. Pytanie brzmi – potarł brodę, jakby się zastanawiał – dlaczego? Może, Emilie, twoja piękna, towarzyska matka była tak bardzo zajęta, że nie miała dla ciebie czasu. I nie znosiłaś tego blichtru i przepychu jej światowego życia, bo zawsze byłaś na drugim miejscu. Ona, uosobienie szyku i francuskiej elegancji. A ty pewnie miałaś wrażenie, że nigdy nie zdołasz spełnić jej oczekiwań. Czułaś się przez nią niekochana i ignorowana. Dlatego dorastałaś w przekonaniu, że jesteś niewiele warta. Odrzuciłaś więc to, co przynależne ci z urodzenia, podobnie jak, w twoim pojęciu, matka odrzuciła ciebie, i postanowiłaś prowadzić zupełnie inny tryb życia.

Emilie musiała przytrzymać się szczytu drabiny, żeby nie stracić równowagi.

– I, oczywiście – ciągnął swoją przenikliwą analizę Alex, jakby nie był już w stanie się powstrzymać – kiedy miałaś wybrać sobie zawód, zdecydowałaś, że będziesz kimś, kto się troszczy o innych, na przykład weterynarzem, bo twoja matka nigdy nie przyjęła takiej roli. A jeśli chodzi o mężczyzn... wątpię, że miałaś wielu chłopaków. I nagle pojawia się mój brat, niczym rycerz na białym koniu, a ty zakochujesz się w nim bez pamięci. Trafiony, zatopiony...

– Dość tego! Przestań! Jak możesz opowiadać takie rzeczy, skoro wcale mnie nie znasz! – Emilie cała się trzęsła, aż drabina pod nią zaczęła się chybotać. Dla własnego bezpieczeństwa zeszła z niej i zbliżyła się do Alexa. – Jak śmiesz zakładać, że wolno ci mówić mi takie rzeczy? Nic o mnie nie wiesz! Nic!

– Ojej – Alex się skrzywił – widzę, że udało mi się jednak obudzić wyniosłą księżniczkę, która gdzieś tam drzemie na dnie twojej duszy, żebyś nie wiem jak starała się to ukryć.

– Powiedziałaś już, dość tego!

Zanim się opamiętała, jej ręka instynktownie wymierzyła mu policzek. Kląśnięcie rozeszło się echem po kuchni. Stała jak wryta, sama zaszokowana tym, co się przed chwilą stało. Po raz pierwszy w życiu kogoś uderzyła.

– Auć. – Alex sięgnął dłonią policzka i pomasaował go.

– Przepraszam. Nie powinnam była tego robić – powiedziała szybko, przerażona własnym zachowaniem.

– Nie szkodzi, należało mi się – przyznał Alex. – Trochę się zagalopowałem. Jak zwykle. Wybacz mi, proszę.

Nic nie odpowiedziała, tylko odwróciła się i wyszła z kuchni. W korytarzu ruszyła pędem. Biegła na górę, wskakując po dwa stopnie naraz. Zdyszana zatrzasnęła za sobą drzwi, zamknęła je na klucz i padła na łóżko.

Szlochała głośno w materac. Czuła się obnażona, bezbronna... Jak on ma czelność sądzić, że ją przejrzał? Jak śmie tak z nią pogrywać, wykorzystywać jej skryte emocje, żeby ją upokorzyć?

Co z niego za potwór?

Emilie zakryła głowę poduszką, zastanawiając się, czy powinna zadzwonić do Sebastiana i powiedzieć mu, że nie zostanie tu ani chwili dłużej i jedzie do Londynu. Dotrze na stację land roverem, wsiądzie do pociągu i po kilku godzinach będzie już bezpieczna w ramionach męża.

O nie, powiedziała sobie jednak. Przecież Sebastian ją ostrzegął, że Alex jest mistrzem manipulacji. Nie wolno jej dać się mu skołować, nie może uciekać jak bezradne dziecko do męża, który ma teraz tyle problemów na głowie. Musi sama jakoś się z tym uporać... Alex to tylko znudzony chłopiec, który lubi prowokować. I jeśli ma być stałym elementem jej przyszłości z Sebastianem, to powinna opanować sytuację.

Uspokojona tymi myślami, ale potwornie zmęczona po całych tych nerwach i złości, Emilie zasnęła.

Ale dopiero gdy sama przed sobą przyznała, że wszystko, co powiedział Alex, to szczerą prawdą.

•••

Było już ciemno, kiedy się obudziła. Zdezorientowana i wyczerpana. Sięgnęła po zegarek i zobaczyła, że jest dopiero po szóstej. Zeszła cicho na dół, zapalając po drodze światła. Miała nadzieję, że Alex wrócił już do siebie. Pełna obaw otwierała kuchnię, ale z ulgą stwierdziła, że nikogo w niej nie ma. Nastawiła wodę. Zauważyła, że pędzle zostały dokładnie umyte i suszą się na ociekaczu. O miskę z owocami na kuchennym stole była oparta karteczka.

Droga Emilie,

naprawdę bardzo mi przykro, że poczułaś się urażona. Jak zwykle przesadziłem. Możemy zacząć od nowa? A tak na marginesie zaznaczę, że w ramach przeprosin przygotowałem kolację. Proszę, wpadnij i dołącz do mnie po sąsiedzku, kiedy tylko będziesz gotowa.

Pozdrawiam

Alex

Emilie westchnęła i usiadła ciężko przy stole, zastanawiając się, jak zareagować. List najwyraźniej był próbą zawieszenia broni. Pomimo antypatii, jaką czuła do Alexa, skoro mieli mieszkać pod jednym dachem, musieli dojść do porozumienia. Poza tym, myślała, robiąc sobie filiżankę herbaty, właściwie Alex nie powiedział o niej nic złego. Po prostu za bardzo się spoufalił. Prawie jej nie zna, a jednak zna aż za dobrze... i to właśnie tak bardzo wytrąciło ją z równowagi.

Jest jeszcze strona praktyczna. Emilie zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czy Alex jest w stanie fizycznie o siebie zadbać. Jutro, pomyślała, popijając herbatę, skontaktuje się z agencją i poprosi o znalezienie innej opiekunki. Sebastian zostawił jej ich numer przy telefonie na wszelki wypadek. Ale na razie musi przynajmniej pójść sprawdzić, jak to wygląda. Na kolacji, którą niby przygotował, zostawać nie musi. To zresztą pewnie i tak tylko fasolka na grzankach.

Zadzwonił telefon. Emilie wstała, żeby odebrać.

– Cześć, kochanie, to ja.

– Cześć moje ty „ja”. – Emilie uśmiechnęła się na dźwięk głosu męża. – Jak się masz? I jak tam w Londynie?

– Mnóstwo pracy. Nadal próbuję przekopać się przez zaległą papierkową robotę, która leżała odłogiem na biurku od miesiący. Chciałem tylko upewnić się, czy wszystko w porządku w domu?

Po krótkiej chwili przerwy Emilie powiedziała ostrożnie:

– Tak, wszystko w porządku.

– Alex nie sprawia ci kłopotów?

– Nie.

– Nie czujesz się zbyt osamotniona?

– Tęsknię za tobą, ale daję sobie radę. Zaczęłam malować kuchnię.

– Świetnie. No to, dobranoc. Masz numer mojej komórki, gdybyś potrzebowała się ze mną skontaktować. Zadzwonię jutro.

- Dobrze. Tylko się nie przemocząj – poprosiła.
- Niestety, muszę, ale w dobrej sprawie. Kocham cię.
- Ja ciebie też.

Emilie odłożyła słuchawkę na widełki i zebrała się w sobie, żeby pójść do Alexa. Kierując się do wschodniego skrzydła, zastanawiała się, co tam zastanie. Drzwi prowadzące do mieszkania były uchylone. Emilie wzięła głęboki wdech i zapukała niepewnie.

- Wejdz! Jestem w kuchni.

Popchnęła drzwi i znalazła się w małym holu. Potem, kierując się głosem Alexa, skręciła w prawo i trafiła do pokoju dziennego. Spodziewała się potwornego bałaganu, a nie mogła się bardziej pomylić. Wnętrze utrzymane było w delikatnych szarościach, okna zdobiły lniane zasłony o barwie biszkoptów. W kominku pomiędzy dwiema półkami pełnymi starannie poukładanych książek trząsał wesoło ogień. Przy jednej ze ścian stała wygodna nowoczesna kanapa. Nad nią wisiały ładnie oprawione czarno-białe litografie. Dwa wiktoriańskie fotele z nowymi obiciami ustawiono po bokach kominka. Powyżej było duże lustro w złoconej ramie, a na błyszczącym politurą stoliku królował wazon ze świeżymi kwiatami.

Porządek, czystość i dbałość o szczegóły w tym pokoju wydawały się czymś tak zaskakującym – szczególnie w porównaniu z żalonym stanem reszty domu, że Emilie o mało znów się nie rozkleiła. Spokojną atmosferę scenerii dopełniały ciche dźwięki klasycznej muzyki płynące z niewidocznych głośników.

- Witaj w moich skromnych progach.

W drzwiach po drugiej stronie pokoju pojawił się Alex.

- Jak tu... pięknie – nie mogła się powstrzymać Emilie.

Nic by w tym pokoju nie zmieniła, nic.

- Dziękuję. Doszedłem do wniosku, że jeśli ma się spędzić całe życie w więzieniu, to trzeba się w nim przyjemnie urządzić, na ile to możliwe. Nie sądzisz?

Zdążyła tylko skinąć głową, nim dodał:

- Emilie, naprawdę bardzo przepraszam za dzisiejsze popołudnie. To niewybaczalne. Przysięgam, że taka sytuacja się już nigdy nie powtórzy. Nie zasłużyłaś na podobne potraktowanie. Proszę, czy moglibyśmy puścić to w niepamięć i zacząć od nowa?

- Dobrze. Ja też przepraszam. Za to, że cię uderzyłam.

– O, to całkiem zrozumiałe. Jestem mistrzem w zrażaniu do siebie ludzi. I przynajm, że czasem robię to celowo. Pewnie z nudów. – Alex westchnął.

– Chcesz powiedzieć, że lubisz wystawiać innych na próbę? – spytała zaczepnie Emilie. – Doprowadzać ich do ostateczności? Używać techniki szokowej, mówiąc im głośno to, czego inni nie odważyliby się przy nich nawet pomyśleć? Żeby ich speszyć, wytrącić z równowagi, zyskać nad nimi przewagę?

– *Touché, madame.* – Alex spojrział na nią z szacunkiem. – No to teraz, po tej kłującej ripoście i policzku wymierzonym mi po południu, uznamy, że jesteśmy kwita?

Wyciągnął do niej rękę.

Emilie podeszła do niego i uścisnęła mu dłoń.

– Zgoda.

– Widzisz? Obudziłem w tobie ducha walki. Sprostaaś wyzwaniu. Nie dałaś się złamać.

– Alex...

– Dobrze – zgodził się natychmiast – dość tej wojny na słowa. A teraz, mam butelkę bardzo przyzwoitego raspail-ay, którą trzymałem na specjalną okazję. Mogę nalać ci kieliszek?

Jedwabisty smak reńskiego wina, które wielokrotnie gościło na stole rodziców, był wielką pokusą.

– Dziękuję, ale tylko trochę – zgodziła się.

– Dobrze. Jeśli to cię uspokoi, to ja mogę nie pić. Choć zapewniam cię, że całkowicie panuję nad swoją skłonnością do alkoholu. Życie może być o wiele przyjemniejsze, gdy pije się z umiarem. I tak naprawdę, jak popatrzysz na historię, to nasi przodkowie od dawien dawna umilali nim sobie codzienność.

Alex odwrócił się, żeby podjechać znów do kuchni.

– Nawet Jezus był wychwalany za to, że zamienił wodę w wino. A od średniowiecza do czasów wiktoriańskich wszyscy cucili się z rana winogronowym alkoholowym napitkiem zamiast naszej porcji kofeiny. Gdyby pili wodę, to umarliby na tyfus, dżumę albo zżarłyby im wnętrzości jakieś paskudne pasożyty. No to popijali ten alkohol przez cały dzień i wieczorem byli już całkiem ululani. – Zachichotał.

– Tak, pewnie masz rację. – Emilie uśmiechnęła się na tę myśl.

– I co w tym złego, żeby nieco złagodzić brutalną rzeczywistość? – zapytał Alex.

– W zasadzie życie to cholernie długi i wyczerpujący marsz ku śmierci. Dlaczego

nie postarać się go sobie jakoś uprzyjemnić?

Emilie poszła za Alexem do małej, ale nowoczesnej wyposażonej i ergonomicznej kuchni. Szkło, stal nierdzewna i laminowane białe szafki lśniły czystością. Na specjalnie obniżonym blacie pośrodku stała butelka wina, otwarta, ale nietknięta.

– Tylko wszystko z umiarem, dobrze? – poprosiła, patrząc na niego.

– Tak. Czasami mi się nie udawało – przyznał Alex. – Ale jest już inaczej. Jak widzisz, stałem się trochę zwariowany na punkcie porządku. I to dotyczy wszystkiego, włącznie z tym, że i ja mam taki być.

– Ale taki to znaczy jaki?

– Dobre pytanie. – Alex zaczął nalewać wino do dwóch kieliszków.

Jeden podał Emilie.

– „Taki” to mizerne słówko, ale niesie w sobie mnóstwo możliwości. Dla mnie, po tym jak spędziłem, a może powinienem powiedzieć: zmarnowałem, młodość, nigdy nie dając rady zaśpiewać czysto gamy, a nawet „do” ani „re”, z wielu przyczyn, o których porozmawiamy innym razem, „taki” oznacza kontrolę nad tym, nad czym jestem w stanie zapanować. Jedną z takich rzeczy to moje otoczenie.

Alex upił łyk z kieliszka.

– A przy okazji, gdyby pojawiły się u mnie jakieś oznaki alkoholowego upojenia, zawsze możesz wyrwać się z moich szponów, uciec do swojego edwardiańskiego muzeum i będziesz miała ze mną spokój. Nie masz się więc czego bać.

– Nie boję się ciebie, Alexie – powiedziała stanowczo Emilie.

– To dobrze. – Alex popatrzył na nią, jakby wiedział lepiej, po czym uniósł kieliszek i stuknął o jej. – Za twoje małżeństwo.

– Dziękuję.

– I za nowy początek ze mną. A teraz, postawiłem na to, że jako Francuzka raczej zmieniłabyś obywatelstwo na brytyjskie, niż stwierdziła, że jesteś wegetarianką. Przygotowałem więc dla nas steki.

– Dziękuję.

Emilie patrzyła, jak Alex otwiera lodówkę i kładzie na środku blatu dwa kawałki polędwicy wołowej w marynacie. Podjechał i zajrzał do piecyka, gdzie coś się piekło.

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję. Pij sobie spokojnie wino. Przygotowałem już sałatę. Nie przeszkadza ci, jeśli zjemy tutaj? W jadalni dla nas dwojga nie byłoby zbyt przytulnie.

– Masz jadalnię?

– Oczywiście. – Alex skrzywił się lekko na jej pytanie.

– Zostańmy tutaj, świetnie. Jak zdobyłeś takie pyszności? – spytała.

– Słyszałaś kiedyś o zamówieniach do domu? – Uśmiechnął się. – Dzwonię do lokalnego sklepu, mówię, czego potrzebuję, a oni mi to tutaj podrzucają.

– Dobrze wiedzieć o takiej możliwości – powiedziała Emilie, jeszcze bardziej stropiona niespodziewaną zaradnością Alexa. – Czego ty tak naprawdę nie potrafisz?

– Praktycznie mogę robić niemal wszystko i dlatego złoścuję się, kiedy opiekunki chcą mną dyrygować. Zgoda, z początku byłem dość nieporadny i na okrągło potrzebowałem pomocy, którą znalazł mi Seb. Ale w ostatnich dwóch latach przywykłem do sytuacji i bardzo wzmocniłem górną część ciała, dzięki czemu mogę się dźwignąć, sięść na fotelu i z niego zejść – wyjaśnił. – Rzeczywiście bywało, że przeceniłem swoje siły i wylądowałem na tyłku na podłodze, ale na szczęście zdarza się to już coraz rzadziej.

Alex zamieszał sałatę i postawił na stole.

– Jedną z najbardziej irytujących rzeczy jest to, że zrobienie czegokolwiek zajmuje mi tyle czasu. Jeśli zapomnę książki, którą czytałem w pokoju dziennym, muszę znowu wwindować się na wózek, podjechać po nią, wrócić i znów władować się do łóżka. Podobnie z takimi sprawami jak prysznic czy ubieranie się. Każda zwyczajna czynność musi być planowana niczym operacja wojskowa. Ale gatunek ludzki ma ogromną zdolność przystosowywania się, mój mózg przyjął więc do wiadomości specyficzne wymogi ciała i na co dzień działa to wszystko całkiem dobrze.

– Sądzisz, że dałbyś sobie radę bez opiekunki? – spytała.

– Popatrz na mnie, Emilie. – Alex wykonał niecierpliwy gest ręką. – Siedzę w swoim dobrze zorganizowanym mieszkaniu, przygotowuję ci kolację. Sam. Próbowalem to tłumaczyć Sebastianowi, teraz i przedtem, ale on nie chce słuchać.

– Może martwi się o ciebie i nie chce, żeby ci się przytrafiło coś złego.

Alex westchnął.

– Myślę, że powinniśmy obiecać sobie, że nie będziemy mówić o moim bracie i jego motywach. Lepiej dla nas wszystkich, aby pozostało to poza dyskusją.

– Na pewno nie masz powodu się skarżyć – zauważyła Emilie. – Najwyraźniej wydał mnóstwo pieniędzy na to, żeby było ci tu wygodnie, podczas gdy sam mieszka w części domu, która dramatycznie domaga się remontu.

Alex parsknął śmiechem.

– No cóż, tak jak mówiłem, lepiej omijajmy temat mojego brata. A teraz, może siądziesz, a ja podam jedzenie?

• • •

Była dwudziesta trzecia trzydzieści, gdy Emilie życzyła Alexowi dobrej nocy i otworzyła drzwi, którymi miała wrócić na swoją zimną, ponurą stronę domu, co tym bardziej rzucało się w oczy po jasnym, nowoczesnym mieszkaniu Alexa. Kiedy wchodziła po schodach do sypialni, naprawdę czuła się jak Alicja po drugiej stronie lustra.

Ogrzewanie głównego domu padło kilka godzin wcześniej i w sypialni było lodowato. Emilie rozebrała się najszybciej jak mogła i wskoczyła pod koce. Wcale nie była śpiąca, tylko podekscytowana zetknięciem z kimś tak niesamowicie inteligentnym.

Wspaniałe reńskie wino uspokoiło ją i zrelaksowało. Rozmawiali o Paryżu, gdzie Alex spędził dwa lata, i o ulubionych francuskich pisarzach. Potem przeszli do muzyki i nauk ścisłych i Emilie słuchała Alexa z podziwem dla jego ogromnej, różnorodnej wiedzy.

Kiedy go pochwaliła, nonszalancko wzruszył ramionami.

– Jedną z zalet bycia kompletnie bez grosza w stolicach świata, co mi się często zdarzało, jest to, że najlepszymi miejscami, gdzie można się zagrzać i przebidować dzień, są muzea, galerie sztuki i biblioteki. Poza tym mam tę denerwującą fotograficzną pamięć.

Uśmiechnął się, kiedy zdumiała się, że wszystko tak dobrze pamięta.

– Jestem jak słoń. Niczego nie zapominam. I to ostrzeżenie dla ciebie na przyszłość, Emilie – dodał.

Myślała też o tym, jak siedziała przy kuchennym stole naprzeciw Alexa, kiedy jedli, a potem, jak zwinnie przesiadł się na kanapę z wózka inwalidzkiego i wyglądał jak każdy normalny mężczyzna, poza tym, że jego nogi opadały od kolan pod dziwnym kątem. Zdała sobie wtedy sprawę, że jest bardzo wysoki, i kiedy to powiedziała, Alex potwierdził – ma metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu,

co, jak dodał, stanowi wielki plus w jego niepełnosprawności, bo dodatkowe centymetry pozwalają mu na „szerszy zasięg”.

Emilie musiała przyznać, że Alex to bardzo atrakcyjny mężczyzna. I w zasadzie dużo przystojniejszy od brata. Przy swoim wyglądzie, niezaprzeczalnym uroku i inteligencji... Emilie wolała nie myśleć, ile kobiecych serc złamał przed wypadkiem. Był bardzo męski i sparaliżowane nogi nie miały tu nic do rzeczy. Nie był typem ofiary, to pewne.

Starła się dopasować druzgocącą charakterystykę, jaką przedstawił Sebastian, do tego elokwentnego, dojrzałego mężczyzny, z którym spędziła wieczór. A potem przypomniała sobie ich pierwsze spotkanie, kiedy spokojnie i fachowo pomógł jej opanować atak paniki.

Więc... jaki jest prawdziwy Alex Carruthers?

Gdy ogarniała ją senność, przemknęło jej jeszcze przez myśl, jak to musiało być dla jej męża, dorastać z młodszym bratem, który, jak Frederik w historii Jacques'a, przewyższał go pod każdym względem.

Emilie zdziwiła się, kiedy przyszła następnego ranka do kuchni nastawić wodę i zastała tam Alexa. Pomalował już wałkiem dolną część ściany za kredensem.

– Dzień dobry, śpiochu – rzucił wesoło.

Emilie zarumieniła się speszona, że się nie ubrała, tylko zeszła w koszuli nocnej, na którą narzuciła sweter Sebastiana, i w grubych skarpetach. Ale w końcu nie spodziewała się towarzystwa.

– Dopiero wpół do dziewiątej – powiedziała na swoją obronę, kiedy włączała czajnik.

– Wiem, żartowałem. Tak się składa, że te dwa bezwładne patyki, które kiedyś były moimi nogami, dostają w nocy drgawek, przez co nie mogę za długo spać. Zacząłem też doznawać czegoś w rodzaju mrowienia, co może oznaczać, że wraca czucie. Lekarze twierdzą, że to dobry znak.

– To cudowna wiadomość. – Emilie oparła się o zlew i obserwowała go. – A początkowo, jakie były prognozy?

– A, takie tam – rzucił niedbale Alex – że mam uszkodzenie rdzenia kręgowego, że nie potrafią powiedzieć, czy kiedykolwiek odzyskam czucie w nogach, ale sądzą, że najprawdopodobniej nie. I tak dalej, i tak dalej.

– Mówili więc, że może będziesz jeszcze kiedyś chodzić?

– Co to, to nie, mój Boże, tak daleko by się nie posunęli. Za dawanie złudnych nadziei lekarzy można dziś zaskarżyć, moja droga. – Alex się uśmiechnął. – Jednak tym razem nie zachowywałem się jak zakuty łeb, który nikogo nie słucha, tylko zgodnie z zaleceniami ciężko pracowałem na fizjoterapii w szpitalu, a potem kontynuowałem ćwiczenia w domu.

– Jest więc szansa, że możesz znów być sprawny? – drążyła Emilie.

– Wątpię, ale gdzie życie, tam nadzieja, jak to się mówi... A na razie, skoro pracowałem tu jak niewolnik od świtu, chyba zasłużyłem na filiżankę kawy, nie sądzisz?

– Oczywiście. – Emilie zalała kawę wrzątkiem i wyjęła z szafki dwa kubki.

– Jak widzisz, zostawiłem ci do pomalowania górę ściany. Gdybym wdrapywał się na drabinę, byłoby to niezłe widowisko. – Alex się zaśmiał. – Jak ci się spało?

– Dziękuję, dobrze. Alex? – zagadnęła po chwili, czekając, aż kawa się zaparzy.

– Tak, Em? – odparł. – Mogę tak cię nazywać? To do ciebie pasuje. Jest jakies bardziej delikatne.

– Proszę bardzo, jeśli chcesz. Myślałam właśnie o tym, że wczoraj wieczorem byłeś zupełnie inny, niż mogłabym sobie wyobrazić na podstawie tego, co opowiada o tobie Sebastian.

– Po prostu daję bratu, czego chce. – Alex wzruszył ramionami.

– Co ty, na Boga, sugerujesz? Jak Sebastian mógłby chcieć, żebyś zachowywał się tak okropnie? – spytała.

– Twój mąż, jak wiesz, to temat, którego bardzo nie lubię poruszać. – Alex pogroził jej palcem. – Szczególnie jak jestem wymazany bladożółtą farbą od samego rana.

– No, ale na przykład, dlaczego tak dokuczasz swoim opiekunkom, że wszystkie uciekają? – nie dawała za wygraną Emilie.

– Em... – Alex westchnął – umówiliśmy się, że nie będziemy o tym mówić. Powiem tylko, że skoro ich nie chcę, a poza tym nie ode mnie zależy, kto jest zatrudniany, to muszę się tych kobiet jakoś pozbyć, prawda? Chodzi mi o to, że fizycznie nie jestem w stanie zabronić Sebastianowi sprowadzać ich do mojego domu. Ale jak wspominałem wczoraj wieczorem, potrafię już sam sobie radzić.

– Jesteś całkiem pewien, że nie potrzebujesz pomocy?

– Nie zaczynaj, proszę. – Alex przewrócił oczami. – Traktowanie mnie z góry jako paralytyka to coś, na co sobie nie zasłużyłem po wczorajszym pokazie wzorowego zachowania.

– Tak, ale jestem teraz odpowiedzialna...

– Em – przerwał jej Alex – nikt, a szczególnie ty, nie powinien brać na siebie odpowiedzialności za mnie. Może mojemu bratu pasuje przekonanie, że to należy do niego, ale jak mogłaś się zorientować po tym krótkim czasie tu spędzonym, mam paskudny zwyczaj rujnowania tej iluzji.

– Staram się tylko powiedzieć – ciągnęła Emilie – że jeśli nie znajdę ci nowej opiekunki na stałe zgodnie z tym, czego oczekuje po mnie mąż, i coś ci się stanie, to on może nigdy mi tego nie wybaczyć.

– Daję ci słowo, Em – powiedział wreszcie z powagą Alex – nic mi się nie stanie. A teraz, na Boga, przestań mnożyć problemy i zrób coś pożytecznego, na przykład nalej mi wreszcie tej kawy.

•••

Godzinę później Alex powiedział, że ma coś do zrobienia, i wycofał się do swojego mieszkania. Emilie skończyła górną część ściany i ostrożnymi dotknięciami pędzla zamalowała miejsca, które przedtem przeoczyła. Stojąc przy zlewie i zmywając farbę z dłoni, popatrzyła za okno i dostrzegła bladą zielen trawy wyglądającą spod szybko topniejącego lodu. Pomyślała, że może po tylu dniach uwięzienia w tym domu przejdzie się i zapozna z otaczającym go krajobrazem.

Kiedy wychodziła tylnymi drzwiami, świeciło słońce. Przeszła przez coś, co, jak sądziła, jest w lecie bardzo ładnym ogrodem, a potem minęła bramę i znalazła się w sadzie. Stare drzewa o nagich gałęziach wydawały się martwe, ale zamrożone pod nimi niezebrane resztki opadłych owoców mówiły co innego.

Stojąc na brzegu zaniedbanego od lat trawiastego kortu tenisowego, Emilie zdała sobie sprawę, że dom jest ładnie położony wśród łagodnych wzgórz. W oddali widziała zamglone zarysy wyższych szczytów i urwisk. Idąc dalej, zobaczyła, że wokół są łąki, na których muszą pasać się owce, co poznała po zmarzniętych bobkach pod stopami. Stojąc na wzniesieniu, Emilie uznała, że na szczęście to jest naprawdę piękny, choć dość surowy, zakątek świata.

Później tego popołudnia wykonała kilka telefonów do Francji. Uzgodniła z architektem i ekipą remontową, że w ciągu paru tygodni przyleci się z nimi spotkać. Przede wszystkim zależało jej, by nadzorować przeniesienie biblioteki ojca do przechowalni, zanim remont zacznie się na dobre.

Siedząc w kuchni nad filiżanką herbaty, Emilie zastanawiała się, czy powinna zrewanżować się zaproszeniem Alexa na kolację tego wieczoru. Musiała rozwikłać zagadkę jego relacji z jej mężem i animozji pomiędzy braćmi. A skoro Sebastiana nie było, to chyba najlepsza okazja, żeby spróbować się czegoś dowiedzieć?

Zapukała do drzwi mieszkania Alexa i znalazła go piszącego coś na komputerze w idealnie zorganizowanym gabinecie.

– Wybacz, że ci przeszkadzam, ale może chciałbyś zjeść dziś kolację u mnie? Pomógłbyś mi też przesunąć kredens na miejsce.

– Z miłą chęcią. – Alex skinął głową. – Do zobaczenia – dodał i pomachał jej, najwyraźniej zaabsorbowany tym, co robi.

•••

– Pięknie dziś wyglądasz – powiedział z podziwem Alex, kiedy wjeżdżał po jakimś czasie do kuchni. – Ten turkusowy sweter pasuje do twojej karnacji.

– Dziękuję – zbyła komplement Emilie. – Pierwsza rzecz to może przesuniemy kredens? Wtedy będę mogła posprzątać na stole, żebyśmy mogli przy nim jeść.

– Zostaw to mnie.

Emilie patrzyła, jak Alex niemal bez wysiłku dosuwa kredens do ściany. Potem poukładał z powrotem porcelanę w dolnej części, podczas gdy ona zajęła się górnymi półkami.

– Gotowe! – Emilie z przyjemnością rozejrzała się po kuchni. – Prawda, że zrobiło się ładniej?

– Rewelacja. Prawie miałbym ochotę tu bywać. – Alex uśmiechnął się. – Jesteś idealną panią domu, co, Em?

– Po prostu nie znoszę, jak jest szaro i smutno, lubię ciepło i jasne kolory – przyznała.

– Nic dziwnego, skoro tyle czasu spędzałaś na południu Francji. A teraz, przyniosłem kolejną butelkę niezłego wina, bo wiem przypadkiem, że w tutejszej piwniczce zostały już nędzne resztki. O, i mam jeszcze coś dla ciebie do przestudiowania.

Alex wyciągnął z boku wózka notes i podał go jej.

– Sądzę, że to pisał ktoś z twojej rodziny, i pomyślałem, że pewnie chciałabyś to przeczytać. Według mnie to dość urocze, nawet jeśli naiwne.

Kiedy Alex otwierał wino, Emilie przyjrzała się staremu, oprawionemu w skórę zeszytowi. Przewróciła pierwszą poźółkłą stronicę. Tekst był po francusku, spróbowała go odczytać.

– Wiersze – rzucił Alex, stwierdzając fakt oczywisty. – Fatalny charakter pisma, prawda? Ślęczałem godzinami, żeby to odcyfrować. Przepisałem je na komputerze, masz tu wydruk. – Alex podał Emilie kilka kartek. – Wyglądają tak, jakby pisała je pięciolatka i rzeczywiście niektóre z nich powstały, kiedy poetka

była dzieckiem. Ale jakość, w miarę jak dorastała, świadczy o prawdziwym talencie. Znasz imię, które pojawia się pod wierszami?

– Sophia de la Martinières! – odczytała Emilie i popatrzyła zmieszana na Alexa. – Skąd masz ten notes?

– Seb kilka tygodni temu wyciągnął z biblioteki francuską książkę, o owocach, jeśli dobrze pamiętam. Powiedział, że znalazł z nią ten notes i dał mi go do odcyfrowania. Wiesz, kim była Sophia de la Martinières?

– Tak, to moja ciotka, siostra mojego ojca. Nie wspominał o niej zbyt często, ale poznałam część jej historii podczas swojego ostatniego pobytu w Prowansji. Była niewidoma.

– Ach tak? – Alex uniósł brwi. – To wyjaśnia, dlaczego miała taki okropny charakter pisma.

– Mówisz, że Sebastian znalazł to przy książce o francuskich owocach?

– Tak powiedział.

– Jacques, który opowiadał mi historię twojej babki i Sophii z czasów wojny, mówił mi, że Constance posługiwała się tą książką, by opisywać Sophii kształty i fakturę różnych owoców, żeby ona mogła je szkicować. I że Sophia pisała wiersze. Może Constance zabrała i książkę, i zeszyt do Anglii, kiedy wracała tu po wojnie.

– Wzruszająca historia – stwierdził Alex.

– Tak. Czy wiesz, gdzie jest ta książka o drzewach owocowych? Bardzo bym ją chciała zobaczyć.

– Nie widziałem jej, odkąd Seb przyniósł ją na dół z biblioteki – powiedział nagle usztywniony Alex. – No, ale pamiętaj, że nie mogę zajrzeć na wyższe półki, więc może tam leży.

– Poszukam, a jeśli jej nie znajdę, spytam Sebastiana, kiedy wróci.

Emilie znów skupiła się na wierszach.

– Jakie piękne. Sophia zanotowała swój wiek tu, na dole. – Wskazała na podpis. – Miała tylko dziewięć lat. Napisała, co chciałyby widzieć, gdyby mogła... Ja... – Potrząsnęła głową, bliska łez. – To takie smutne.

– Mnie szczególnie podoba się ten.

Alex przerzucał kartki, aż znalazł to, czego szukał.

– *Światło za oknem*. Ma w sobie elegancję i prostotę i podoba mi się jego budowa rytmiczna. Em, opowiedziałabyś mi, co wiesz o pobycie mojej babki we Francji? Jestem bardzo ciekawy.

Gotując risotto, Emilie zrelacjonowała mu, co usłyszała o Constance od Jacques'a. Alex słuchał uważnie, zadając pytania, kiedy coś mu umknęło.

– I na razie wiem tylko tyle – podsumowała, podając risotto. – Co za traf, że nasze rodziny znów się połączyły po tylu latach.

– Tak – zgodził się Alex, biorąc widelec. – To naprawdę zdumiewające.

Emilie zmierzyła go wzrokiem, wyczuwając w jego głosie ironię.

– Co masz na myśli? Jeśli sądzisz, że Sebastian miał powody, żeby jechać szukać mojej rodziny, to nie masz racji. To czysty przypadek, że spotkaliśmy się w Gassin, kiedy był w Var w interesach. Rozpoznał mnie, bo widział zdjęcia w gazetach. I podczas pierwszego spotkania opowiedział mi o związku naszych rodzin.

– Dobrze. W takim razie nie ma problemu, prawda?

– Nie, nie ma żadnego problemu – oświadczyła stanowczo Emilie.

– No to dajmy już temu spokój, zgoda? – zaproponował Alex.

Po tej wymianie zdań atmosfera była daleka od zrelaksowanego nastroju poprzedniego wieczoru. Coś wisiało w powietrzu. Po jedzeniu Alex wycofał się do siebie. A Emilie zrobiła sobie kubek kakao i zabrała na górę.

Nie powinna wątpić w szczerą intencję męża, pomyślała, siadając na łóżku i opierając się o poduszki. Zresztą niezależnie od tego, jak doszło do ich pierwszego spotkania, to przecież potem zakochali się w sobie i pobrali.

Sięgnęła po wiersze Sophii. Śliczne i szczerze. Zastanawiała się, dlaczego ojciec nigdy nie mówił o swojej młodszej siostrze. Pierwszy raz dowiedziała się o istnieniu ciotki przypadkiem, kiedy jako dziecko zauważyła na ścianie gabinetu ojca pewien obraz. Przedstawiał piękną młodą kobietę, ze złocistymi włosami opadającymi za ramiona. Turkusowe oczy uśmiechały się, gdy głaskała perskiego kota na swoich kolanach.

– Kto to jest, tato? – spytała.

Przez dłuższą chwilę milczał.

– To była moja siostra, twoja ciocia Sophia – odpowiedział wreszcie.

– Jaka piękna.

– Tak, była bardzo piękna.

– Nie żyje?

– Nie.

– Dlaczego umarła, tato?

– Nie chcę o tym mówić, Emilie.

I z jego twarzy wyczytała, że to już koniec rozmowy.

Teraz, kiedy o tym po latach myślała, miała wrażenie, że dostrzegła wtedy łyzy w jego oczach.

•••

Następnego ranka zebrała się na odwagę i zaryzykowała jazdę do Moulton, żeby zrobić zapas prowiantu na zbliżający się weekend. Sebastian miał dojechać do Yorku pociągiem o dziewiątej wieczorem. Mówił, że będzie w domu przed dziesiątą. Kiedy dotarł na miejsce, uściskał Emilie, a ona cieszyła się bardzo z jego powrotu.

– Co tam u ciebie? – zapytał

– Wszystko dobrze – odparła i pociągnęła go do kuchni. – Jak ci się podoba?

Sebastian rozejrzył się po świeżo odmalowanej kuchni.

– Tak, co za różnica – powiedział z zachwytem. – Jak, do licha, udało ci się samej przesunąć ten kredens?

– Alex mi pomógł.

– Alex? – Twarz Sebastiana pociemniała. – Co robił w tej części domu? Nie sprawiał ci kłopotów, mam nadzieję?

– Nie. Sprawował się wzorowo. Mam ci mnóstwo do opowiedzenia, ale to może poczekać do jutra. Jesteś głodny? Ugotowałam trochę zupy i kupiłam chleb.

– Cudownie – pochwalił Sebastian, siadając. – Poproszę też kieliszek wina, jeśli coś mamy.

– Owszem. – Emilie wyciągnęła butelkę, którą poprzedniego wieczoru przyniósł Alex. Została z niej jeszcze połowa. Nalała mężowi.

– Bardzo dobre – zauważył Sebastian. – Chyba nie kupiłeś tego w lokalnym markecie?

– Nie. Alex je przyniósł. A jak tam było w Londynie? – Emilie spróbowała szybko zmienić temat, żeby nie rozmawiali przez cały wieczór o jego bracie.

– Tak jak ci mówiłem przez telefon, sprawy są strasznie zabałaganione, ale powoli z tego wychodzę. Dziś większość czasu spędziłem na odnawianiu kontaktów z klientami. Wygląda na to, że może będę musiał wybrać się do Francji w przyszłym tygodniu. Klient, przez którego się tam znalazłem, kiedy cię pierwszy raz spotkałem, jest nadal zainteresowany współpracą i sądzę, że będę w stanie zdobyć dla niego Picassa w zamku blisko Mentonu.

– To niedaleko Gassin – ucieszyła się Emilie. – Może mogłabym pojechać z tobą?

– Dobry pomysł, ale nie warto. Będę tam tylko chwilę. Poza tym myślałem, że sama musisz lecieć do Francji za tydzień czy coś w tym rodzaju?

– Rzeczywiście – przyznała Emilie. – Ale trochę mi tęskno. – Westchnęła.

– Na pewno, rozumiem. – Sebastian sięgnął do jej dłoni. – Początek twojego pobytu w Anglii nie był zbyt zachęcający. Zapewniam cię jednak, kochanie, że wiosną cała ta okolica rozkwita. I muszę powiedzieć, że cudownie jest wracać do domu i mieć tu ciebie. Przepyszna zupa. W ten weekend ma nie padać, pomyślałem więc, że moglibyśmy się jutro gdzieś wybrać, pokazałbym ci kilka pięknych miejsc.

– Chętnie. – Emilie uśmiechnęła się. – Dziwnie jest być tu bez ciebie.

– Wiem. Przeprowadzka do Anglii to dla ciebie prawdziwa rewolucja. Ale jak mówiłem parę dni temu, to tylko na kilka miesięcy, najwyżej na rok, nim zdecydujemy, gdzie ostatecznie zamieszkamy. I sądziłem, że po tamtych kilku tygodniach może ci być przyjemnie zrobić sobie dla odmiany urlop i poopiekować się swoim nowo poślubionym mężem.

– Gdyby tylko był w domu...

– Emilie. – Sebastian westchnął z nutką irytacji w głosie. – Obiecywałem, że się postaram, ale obawiam się, że oboje musimy spuścić nieco z tonu, dopóki nie podreperuję swojego biznesu.

Emilie zrobiło się wstyd, że jest tak samolubna.

– No pewnie. Może po moim sukcesie w kuchni mogłabym pomyśleć o odmalowaniu niektórych innych pokoi, żeby je rozjaśnić? Na przykład sypialnię, jak sądzisz?

– Daję ci wolną rękę. Jeśli tylko można w jakikolwiek sposób rozweselić ten stary dom, mnie to pasuje. Ale ostrzegam: jak zaczniesz, nie będzie końca. Miło, że chcesz zadać sobie tyle trudu. Jestem zmęczony. Idziemy spać?

– Może pójdziesz na górę wziąć kąpiel, a ja tymczasem tu posprzątam – zaproponowała Emilie.

– Dzięki – powiedział Sebastian, wstając. – To były naprawdę ciężkie dni.

Emilie słyszała, jak Sebastian idzie po schodach, a potem świsty i bulgot w wiekowych rurach, kiedy odkręcał kurki. Natychmiast wyszła z kuchni i pobiegła korytarzem do mieszkania Alexa. Czowała wyrzuty sumienia, bo nie

powiedziała mężowi, że Alex jest sam, bez opiekunki, ale jeszcze nie potrafiła się na to zdobyć. Zapukała.

– Kto tam? – padło pytanie.

– Emilie. Mogę wejść?

– Drzwi są otwarte.

Alex siedział w fotelu przed kominkiem. Czytał. Uśmiechnął się do niej, kiedy weszła.

– Witaj.

– Cześć. Wpadłam tylko upewnić się, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Nie. Jak widzisz upiłem się do nieprzytomności i zaraz zadławię się własnymi wymiocinami – zażartował. – Na pewno doniosłaś już Sebowi, że jestem bez niańki?

– Nie. Jeszcze nie. Jest bardzo zmęczony. Nie chciałam go stresować. Zasugeruję mu jutro, że nie wymagasz całodobowej opieki. Jeśli będzie się upierał, że musisz mieć kogoś, kto się o ciebie zatroszczy, powiem, że jesteś dość sprawny i wystarczy ci jakaś osoba na parę godzin do pomocy w prowadzeniu domu. Przecież w ten sposób Sebastian zaoszczędzi trochę pieniędzy.

– Em, ja... – Alex wznosił oczy do nieba na ten komentarz i pokręcił głową. – Zresztą, nie, nic. Dziękuję, że trzymasz moją stronę. To dla mnie wielka sprawa.

– Tak, ale to głównie do ciebie będzie należało udowodnienie Sebastianowi, że potrzebujesz tylko kogoś do prac gospodarskich – podkreśliła.

– Ma się rozumieć i przyznam, że rzeczywiście nie za bardzo nadają się do szorowania podłóg czy ścielenia łóżek. Zwykle sam łąduję w poszewce. – Uśmiechnął się. – Ale obiecuję być grzeczny. W każdym razie doceniam twoją pomoc. Dobranoc.

– Dobranoc.

•••

Emilie poruszyła temat Alexa, kiedy następnego dnia siedzieli z Sebastianem w przytulnym pubie na wrzosowych wzgórzach. Sebastian spochmurniał, gdy powiedziała mu o odejściu ostatniej opiekunki, ale szybko dodała, że jej zdaniem, Alex jest w stanie robić dużo więcej, niż sądzili, i że powinni dać mu szansę.

– Emilie – Sebastian westchnął – już o tym mówiliśmy. To bardzo miło z twojej strony, że próbujesz pomóc, ale myślę, że nie pojmujesz, jak bardzo

niezrównoważony jest Alex. Co będzie, jeśli znów zaczniesz balować? Albo upadnie, dźwigając się z wózka?

– Zagrozimy, że w takim przypadku znowu załatwimy mu stałą opiekunkę. Może jeśli pozwoli się mu na więcej swobody, nie będzie aż tak sfrustrowany – argumentowała Emilie. – Moglibyśmy zainstalować dzwonek alarmowy w domu, żeby w razie czego reagować.

– Czyli, tak naprawdę, chcesz przez to powiedzieć, że jesteś gotowa wziąć na siebie odpowiedzialność za niego? Bo – Sebastian upił łyk z kufła piwa – ja po prostu w następnych miesiącach nie będę miał czasu spełniać wszystkich zachcianek mojego brata. A z doświadczenia wiem i uprzedzam, że może być tego sporo.

– Jak dotąd Alex o nic mnie nie prosił. Sam pomógł mi pomalować kuchnię i ugotował mi kolację.

– Naprawdę? No, najwyraźniej zaplanował wielką ofensywę, żeby cię oczarować. Przykro mi, Emilie. – Sebastian pokręcił głową. – Widziałem to już setki razy. Ostrzegałem, że to wielki manipulator. I najwyraźniej kompletnie cię omamił. Może chce, żebyś to ty się nim zajęła? Zawsze lubił mi wszystko podkradać – powiedział, wydymając usta jak nadąsany chłopczyk.

– Ależ Sebastianie! – Emilie była zaszokowana dziecinną reakcją męża. – Czasami myślę, że obaj jesteście siebie warci. Przecież to nieprawda. Wiem, że nie powinnam się wtrącać, ale czy mogę zaproponować, żebyśmy spróbowali przez jakiś czas organizować to tak, jak woli Alex? Pragnie niezależności i może łatwiej będzie się z nim dogadać, kiedy ją dostanie. Czy nie powinniśmy przynajmniej dać mu szansy się wykazać?

Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Dobrze – odezwał się wreszcie Sebastian. – Poddaję się. Jeśli tego chcesz, to zgoda. Ale nie widzisz? On już cię przekabacił i wydałbym się strasznym marudą, gdybym odmówił.

– Dziękuję.

Położyła dłoń na jego ręce i uściśniła ją lekko, żeby go uspokoić.

– Po prostu chciałabym, żeby w domu zapanowała bardziej pokojowa atmosfera, niż kiedy tu przyjechałam. Szczególnie ze względu na ciebie, bo cię kocham. A teraz, czy mamy jeszcze czas, żeby podjechać do Haworth? Tak bardzo chciałabym zobaczyć plebanię, gdzie mieszkały siostry Brontë.

Tego wieczoru, kiedy Sebastian ślezczał nad komputerem w swoim gabinecie, Emilie zeszła do Alexa, który właśnie jadł kolację u siebie w kuchni.

– Sebastian zgodził się na moją propozycję.

Na twarzy Alexa widać było ulgę.

– No to umiesz dokonywać cudów, gratuluję. Dziękuję, Em, bardzo dziękuję.

– Postaram się znaleźć ci kogoś do pomocy w domu. Pewnie potrwa to kilka dni. Ale na razie, gdybyś czegoś potrzebował, musisz mi tylko powiedzieć, dobrze?

– Usiądź i dotrzyмай mi towarzystwa przez pół godziny – zaproponował.

– Nie mogę. Gotuję kolację dla siebie i Sebastiana.

– Oczywiście. No to – Alex wrócił znów do jedzenia – miłego wieczoru.

– Dziękuję. Nawzajem.

Sebastian był już w kuchni, kiedy weszła.

– Gdzie byłaś? Wołałem cię.

– Poszłam sprawdzić, co u Alexa. Wszystko w porządku – odpowiedziała Emilie.

– To świetnie.

Podczas kolacji był niezwykle cichy.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Emilie, sprzątając ze stołu. – Mam wrażenie, że jesteś... zdenerwowany. Czy coś się stało?

– Nie, nic. No, szczerze mówiąc, tak. Chodź, usiądź tu.

Sebastian poklepał się po kolanie.

Emilie zrobiła, jak prosił, i pocałowała go lekko w policzek.

– Powiedz mi.

– Dobrze... to pewnie zabrzmia gburowato i dziecinnie, ale prawda jest taka, że nie chcę się tobą dzielić.

– To znaczy?

– No, popatrz, co się stało. Alex przekonał cię, że nie potrzebuje żadnej opieki. Jest teraz sam, więc będziesz czuła się w obowiązku zaglądać do niego, jak dziś wieczór. Już cię wabi, przyciąga twoją uwagę, pewnie skarży się na swojego okrutnego starszego brata i opowiada ci o mnie niestworzone rzeczy.

– Sebastianie, to przecież nieprawda. Alex nigdy nic mi nie mówi o tobie – zaprzeczyła stanowczo Emilie.

– Zrozum, ta sytuacja jest dla mnie mało komfortowa, Emilie. Nie zawsze tu będę i wyobrażam sobie, na jak wiele słodkich sam na sam Alex cię skusi. Wiem, sądzisz, że przesadzam, ale nie masz pojęcia, co z niego za ziółko. I jak powiedziałem wcześniej, może próbować mi cię ukraść.

– Nic takiego się nie stanie. – Emilie pogładziła Sebastiana po włosach. – To ciebie kocham. Po prostu staram się pomóc.

– Wiem, kochanie – zgodził się Sebastian. – I wiem też, jak głupio to brzmi, ale mój brat tak dobrze umie manipulować ludźmi. Nie chcę, żeby zepsuł to, co nas łączy, a co jest takie piękne.

– Nie zepsuje, słowo – zapewniła.

– Może to nie był dobry pomysł, by sprowadzać cię tutaj. – Sebastian westchnął. – Ale na razie nie widzę dla nas innego wyjścia.

– Wiesz, ja... my możemy sobie pozwolić na mieszkanie w Londynie. Moglibyśmy być tam razem i...

– Emilie, powiedziałaś „ja”. – Twarz Sebastiana stężała. – Jestem w pełni świadomy, że moja bogata żona mogłaby kupić i sprzedać mały kraj bez naruszania swojej fortuny, ale nie odbieraj godności swojemu mężowi. Muszę dać sobie radę sam, choć to dla nas ciężkie.

Uniósł jej brodę, by na niego spojrzała.

– Rozumiesz?

– Tak.

– W każdym razie przepraszam, że jestem trudny, nie chcę jednak, by ktokolwiek myślał, że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy.

– Wiem, że nie.

– To dobrze. Do łóżka?

•••

W poniedziałek rano Sebastian wyjechał do Londynu, a potem do Francji. Dzień był pogodny, Emilie znalazła w szopie stary rower i postanowiła pojechać do miasteczka na zakupy. Oparła rower o ścianę na zewnątrz, a sama stanęła w kolejce, by porozmawiać ze sprzedawczynią.

– Czy mogę zawiesić to na państwa tablicy ogłoszeń? – Emilie podała kartkę z ofertą pracy dla sprzątaczk.

Kobieta wzięła papier, przeczytała i przyjrzała się Emilie z wyraźnym zainteresowaniem.

– Tak. To kosztuje funt tygodniowo. Więc to pani jest tą nową żoną pana Carruthersa, którą przywiózł sobie z Francji.

Tutejszy akcent był mocny i Emilie z trudem przychodziło rozumienie jej słów. Wiadomości najwyraźniej rozchodziły się tu lotem błyskawicy, a Emilie zdawała sobie sprawę, że zdradza ją wyraźna francuska wymowa.

– Tak, to ja. Zapłacę za dwa tygodnie – powiedziała, wyławiając bilon z torebki.

– Dobszee. – Kobieta kiwnęła głową i wzięła od niej kartkę. – Ale wątpię, by miała pani sporo kandydatek. Na pani miejscu spróbowałabym dać anons w lokalnej gazecie.

– Tak zrobię, *merci*, to znaczy dziękuję.

Emilie wyszła ze sklepu i szła po rower, kiedy wybiegła za nią jakaś kobieta.

– Pani Carruthers?

Nieprzyzwyczajona, by zwracano się do niej po nazwisku męża, Emilie nie od razu skojarzyła, że to o nią chodzi.

– Tak?

– Jestem Norma Erskine. Przez wiele lat byłam gospodynią w Blackmoor Hall. Zwolniłam się tuż przed pani przyjazdem.

– Tak. Sebastian mówił mi o tym – wybąkała Emilie.

– Przyjechał potem do mnie. Prosił, żebym wróciła, ale powiedziałam, że mam już tego dość, i nie zdołał mnie przekonać.

Emilie przyjrzała się kobiecie – pulchna, niska, o żywych, ciepłych oczach.

– Bardzo mi przykro, że Alex pani dokuczył – przeprosiła.

– Hm – mruknęła tamta. – Niewiele pani wie o tym, co działo się w Blackmoor Hall, a ja nie powinnam za dużo pani opowiadać. Jedno, co pewne, to, że ich babka musi przewracać się w grobie. Zostałam tam tak długo, jak tylko byłam w stanie, tak jak jej obiecałam, ale już naprawdę nie mogłam wytrzymać. W każdym razie miło panią poznać. Mam tylko nadzieję, że wychodząc za niego, wiedziała pani, w co się pakuje. Ale to nie mój interes, prawda, kochanie?

– Zorientowałam się już, że sytuacja jest trudna – broniła się Emilie.

– To ledwie czubek góry lodowej, zapewniam – stwierdziła Norma, wznosząc oczy do nieba. – Zadomowiłaś się tam jako tako?

– Przyzwyczajam się pomału, dziękuję – odparła uprzejmie Emilie.

– No, jeśli kiedykolwiek miałabyś ochotę na filiżankę herbaty, mój domek jest ostatni po lewej stronie przy wyjeździe z miasteczka. Wpadnij kiedyś mnie odwiedzić, moja droga, daj znać, jak sobie radzisz.

– Dziękuję za zaproszenie. Miło z pani strony.

– No, to dobrze. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wsiadając na rower, Emilie nie zauważyła współczucia, jakie pojawiło się w oczach Normy Erskine.

• • •

W następnych dniach Emilie pomalowała wspólną sypialnię, jej i Sebastiana, na bładoróżowy pastelowy kolor. Pojechała do Moulton i kupiła grubą kołdrę i prześcieradła, bo stare koce na ich łóżku gryzły i były potwornie ciężkie. Zdjęła wiekowe adamaszkowe zasłony i kupiła na metry tiul na firanki, by w środku było więcej światła. Potem rozejrzała się po domu w poszukiwaniu mniej ponurych obrazów, które mogłaby powiesić na ścianach.

Później, wieczorem, sprawdziła, co u Alexa, i podała mu numer swojego telefonu komórkowego, żeby dzwonił, gdyby tylko czegoś potrzebował. Niepokoje Sebastiana, wyrażone podczas weekendu, sprawiły, że zdecydowała się jak najmniej angażować w relacje z jego bratem. Po ostatnich poprawkach malowania w sypialni, zeszła na dół, żeby zrobić sobie coś do jedzenia. Zadzwoił domowy telefon. Odebrała.

– Halo?

– Dzień dobry, to pani Erskine? – zapytał kobiecy głos.

– Nie. Niestety, jej nie ma.

– Ach tak, a zastałam Sebastiana?

– Nie. Wyjechał do Francji.

– Naprawdę? W takim razie zadzwonię do niego na komórkę. Dziękuję.

W słuchawce zapadła cisza. Emilie wzruszyła ramionami i wróciła do jedzenia kolacji.

• • •

– Znalazłam bardzo miłą dziewczynę, która mogłaby u ciebie sprzątać – oznajmiła Emilie pod koniec tygodnia.

Alex siedział przy komputerze.

– Wspaniale. – Uniósł wzrok znad ekranu i uśmiechnął się do niej. – Kto to taki?

– Nazywa się Jo i mieszka w miasteczku z rodzicami. Bierze sobie rok wolnego przed wyjazdem na studia i chce zarobić trochę pieniędzy.

– No, przynajmniej to jakaś odmiana, że jest poniżej sześćdziesiątki – zauważył Alex.

– Przyjdzie jutro po południu, żeby ci się przedstawić. Proszę, bądź dla niej miły, dobrze? – powiedziała błagalnie.

– Oczywiście, Em – obiecał Alex.

Emilie widziała, że po ekranie komputera Alexa przesuwały się różne tabele.

– Co robisz?

– Handluję.

– Handlujesz? Masz na myśli giełdę?

– Tak. Ale ani się waż mówić mojemu bratu. Nie pochwalałby tego. Prawdopodobnie oskarżyłby mnie o hazard i skonfiskował mi komputer.

Alex rozprostował ręce, wyciągnął je w górę i splótł dłonie za głową.

– Może filiżankę herbaty?

W poczuciu winy, że unikała go w ostatnich dniach, Emilie przystała na propozycję.

– Ja zaparzę – dodała, zmierzając do kuchni, w której, co stwierdziła z zadowoleniem, panował porządek i było czysto. – Słodzisz?

– Jedną łyżeczkę, proszę.

Kiedy czekała, aż woda się zagotuje, ukradkiem zajrzała do lodówki, by upewnić się, czy Alex ma, co potrzeba. I miał. Jak na razie, wszystko w porządku... Alex dotrzymywał słowa i nie sprawiał kłopotów. Emilie odetchnęła z ulgą i postawiła na tacy dwa kubki, czajnik, cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem.

– Zanieś do pokoju dziennego! – zawołał Alex. – Przyda mi się oderwać na chwilę od komputera.

Tak też zrobiła, a Alex dojechał na wózku.

– Jak nauczyłeś się dokonywać tych transakcji? – spytała, nalewając herbatę, i podała mu filiżankę.

– Metodą prób i błędów. Jestem kompletnym samoukiem – wyjaśnił Alex. – To idealny sposób, by zarabiać na życie, kiedy się niewiele wychodzi z domu. Dobry dla cierpiących na bezsenność. O każdej porze w nocy gdzieś zawsze otwiera się jakiś rynek.

– Dobrze ci z tym idzie?

– Coraz lepiej, tak. Robię to od prawie półtora roku i już nie dotyczy mnie to, co nazywają szczęściem nowicjuszy. Z początku popełniłem parę błędów, ale teraz radzę sobie całkiem nieźle.

– Kompletnie się na tym nie znam – przyznała Emilie.

– Dla mnie to rozrywka umysłowa, w dodatku zaczynająca przynosić nieźle zyski. No a co u ciebie? – zapytał Alex.

– Wszystko dobrze, dziękuję.

– Nie nudzisz się za bardzo sama w tym mauzoleum?

– Zająłam się malowaniem ścian.

– To dobrze. – Alex skinął głową. – Myślałem, że moglibyśmy się czasem spotykać.

– Po prostu byłem zajęta.

– No to może zostaniesz na kolacji? Właśnie dostałem trochę cudownego *foie gras* z wiejskiego sklepiku.

– Mam tyle do zrobienia...

– Czyli jednak kazał ci trzymać się ode mnie z daleka? – zażartował Alex.

– Nie, to nie to.

– Dobrze. – Westchnął, unosząc ręce, jakby się poddawał.

– Przepraszam.

– Emilie, na litość boską – wybuchnął – to kompletna bzdura, że we dwójkę tkwimy gdzieś na końcu świata i jadamy osobno, w oddzielnych częściach domu.

– To prawda – przyznała w końcu.

– Dobrze. Do zobaczenia u mnie około siódmej trzydzieści. Nie wydam cię, jeśli i ty nic nie powiesz – dodał i mrugnął okiem, kiedy wstała i ruszyła do drzwi.

• • •

Zanim poszła później do Alexa, próbowała dodzwonić się do Sebastiana na komórkę. Włączyła się poczta głosowa, więc Emilie zostawiła mu wiadomość;

czuła wyrzuty sumienia, że nie mówi mu o dzisiejszej kolacji z jego bratem. Nie odzywał się do niej, odkąd wyjechał z domu w poniedziałek rano.

– Wchodź, wchodź! – Alex dokładał do ognia w salonie. – Przed chwilą dostałem wspaniałą wiadomość! Jedna z raczkujących firm zajmujących się ropą naftową, w którą zainwestowałem wieki temu, właśnie poszła w górę w Quebecu.

– Cieszę się razem z tobą – powiedziała Emilie.

– Dziękuję! – Alex był w euforii. – Białe czy czerwone? – Wskazał na dwie butelki na stoliku.

– Czerwone, poproszę – zdecydowała.

– A tak przy okazji, gdzie Sebastian? – zapytał, kiedy podawał jej kieliszek.

– We Francji.

– Naprawdę, jesteś trochę jak słomiana wdowa, co? Może powinnaś zaproponować, że z nim pojedziesz?

– Próbowалам – powiedziała Emilie, siadając na kanapie – ale mówił, że będzie zbyt zajęty, a ja nie chciałabym przeszkadzać mu w pracy. Może następnym razem.

– A zastanawiałaś się – zaczął Alex – co mogłabyś robić tu, w Yorkshire, kiedy tak czekasz uziemiona na powrót ukochanego?

– Niespecjalnie. Do tej pory miałam sporo zajęć, a poza tym to tymczasowa sytuacja.

– Tak, na pewno – odparł Alex. – Na zdrowie – dodał, biorąc łyk wina.

– A ty? Zostaniesz tu na zawsze, jak myślisz? – spytała Emilie.

– Mam nadzieję, że tak. Uwielbiam ten dom, zawsze go kochałem.

– To dlaczego stale stąd uciekałeś, kiedy byłeś młodszy?

– O, to długa historia. – Alex popatrzył na nią uważnie. – I biorąc pod uwagę okoliczności, lepiej, żebyśmy zostawili ją w spokoju.

– Proszę, powiedz mi przynajmniej, dlaczego skoro tyle między wami... animozji, nadal jesteś gotów mieszkać tu razem z Sebastianem? A co, jeśli on nie będzie w stanie dalej utrzymywać domu? Blackmoor Hall wymaga wielu prac remontowych i...

– Emilie, nie naciskaj, proszę. Proponuję, żebyśmy przeszli do bardziej neutralnych tematów – zasugerował Alex. – Zawarliśmy umowę, pamiętasz?

– Racja. Przepraszam. Ale nie wiem tylu rzeczy i trudno mi zrozumieć sytuację.

– Ja cię w nią nie wprowadzę. – Alex uśmiechnął się smutno. – A teraz, zjemy coś?

Po cudownym pasztecie z gęszej wątróbki, który przywołał w Emilie mocne wspomnienia o domu – bo *foie gras* to był jeden z ulubionych przysmaków jej ojca – zaparzyła kawę i wrócili do ciepła kominka w salonie.

– Nie czujesz się tu samotny? – zapytała.

– Czasami, zawsze jednak byłem raczej typem samotnika, więc brak towarzystwa nie doskwiera mi tak bardzo jak innym ludziom. A ponieważ nie znoszę też idiotów, rzadko z kim miałbym ochotę zjeść kolację. Obecne towarzystwo, oczywiście, bardzo mi odpowiada – dodał. – Ale przynajmniej ty wolisz się trzymać na uboczu?

– Rzeczywiście – zgodziła się. – Nigdy nie miałam wielu przyjaciół, ale może dlatego, że nie czułam się dobrze w żadnym środowisku. Dziewczyny w prywatnej szkole, do której chodziłam w Paryżu, wydawały mi się zepsute i głupie. A na uniwersytecie, ze względu na moje nazwisko, większość czuła się przy mnie dziwnie skrępowana.

– Nie pamiętam, kto to powiedział, że zanim nauczymy się kochać innych, musimy pokochać siebie. Wydaje się, że oboje mieliśmy z tym spory problem. W każdym razie ja – wyznał Alex.

– No, jak już raz trafnie zauważyłeś, czułam, że jestem dla swojej matki rozczarowaniem. Trudno mi było „kochać”, jak to ujmujesz, siebie – powiedziała Emilie.

– Ja przede wszystkim nie miałem rodziców, nie mogę więc zrzucić na nich za cokolwiek winy. – Alex wzruszył ramionami.

– No, tak. Sebastian mi mówił. Na pewno brak rodziców miał spore znaczenie. Czy matka kiedykolwiek odezwała się do was? – zapytała Emilie.

– Nie, nigdy.

– Czy ją w ogóle pamiętasz?

– Czasem mam jakieś przebłyski. To łączy się głównie z zapachami. Na przykład skręt zawsze mi o niej przypomina. Może masz rację, może dlatego tak mocno wpadłem w narkotyki. – Alex skrzywił się. – Mam to w genach.

– Nie potrafię zrozumieć, jak ktoś może chcieć tracić panowanie nad sobą. – Emilie pokręciła głową. – Ja tego nie znoszę.

– Emilie, każdy z nas uzależnionych ucieka przed samym sobą. I przed rzeczywistością. Cokolwiek, co tylko łagodzi ból istnienia, pomaga – wyjaśnił Alex. – To smutne, ale niektórzy najciekawszy ludzie, jakich znałem, to byli nałogowcy. Im się jest bystrzejszym, tym więcej się myśli, a im więcej się myśli,

tym bardziej człowiek zdaje sobie sprawę, jak beznadziejne jest życie, i tym bardziej chce się uciec od jego bezsensu. Na szczęście mam to już za sobą. Przestałem obwiniać innych o swoje problemy. To droga donikąd. Przestałem widzieć w sobie ofiarę i zacząłem brać za siebie odpowiedzialność. Kiedy kilka lat temu to zrobiłem, wiele spraw się poukładało.

– To bardzo smutne, że ty i Sebastian dorastaliście bez matki czy ojca. Chociaż – Emilie westchnęła – jako mała dziewczynka wyobrażałam sobie czasami, że jestem adoptowana. Mogłam wtedy fantazjować, że moja prawdziwa matka by mnie kochała albo przynajmniej trochę lubiła. Byłam potwornie samotna w tych pięknych domach, gdzie pozornie nie brakowało mi gwiazdki z nieba.

– Większość ludzi pragnie tego, czego mieć nie może – wtrącił trzeźwo Alex. – W dniu, w którym obudzisz się i zdasz sobie sprawę, że to bez sensu, i skupisz się na tym, co masz, wchodzisz na ścieżkę prowadzącą do względnego zadowolenia. Życie to loteria. Kości zostają rzucone i wszyscy musimy najlepiej wykorzystać to, co nam się trafi.

– Byłeś na terapii? – spytała Emilie.

– Oczywiście. – Alex uśmiechnął się szeroko. – Kto tego nie przechodził?

– Ja. – Zaśmiała się.

– Brawo – pochwalił Alex. – Powiem ci, w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że i od tego się uzależniam, więc przerwałem. Wiele z tego wcale nie pomaga. Dowiadujesz się, dlaczego tak ci się wszystko pogmatwało, a zwykle to oznacza, że wina leży po stronie kogoś innego. Co, oczywiście, daje ci pretekst, żeby zachowywać się tak źle, jak ci się zechce. Jeden terapeuta powiedział mi wprost, że mam absolutne prawo się złościć. No to przez cały rok sobie folgowałem – westchnął – dopóki nie zdałem sobie sprawy, że robię przykrość i zrażam do siebie każdego, na kim mi zależy.

– Ja nie umiem się złościć. – Emilie zamyśliła się.

– Całkiem nieźle ci poszło, kiedy niedawno dałaś mi w twarz w kuchni – przypomniał jej Alex z uśmiechkiem.

Emilie spiekła raka.

– Masz rację.

– Przepraszam, to było nie fair, ale chciałem przez to powiedzieć, że zdrowo jest się czasem wkurzyć. Jednak to nie powinien być stan permanentny, jak to było w pewnym okresie ze mną. My, ludzie... – Alex pokręcił głową. – Co za skomplikowany, pokręcony z nas gatunek, nie sądzisz, Emilie?

– Wydaje się, że tak dobrze znasz siebie – zauważyła Emilie z niekłamanym podziwem.

– Pewnie, że znam, i mam świadomość, że nigdy nie przestanę sam siebie zaskakiwać. Z gniewnego narkomana zmieniłem się w chorobliwie pedantycznego porządnickiego, który nie znosi, kiedy łamie się jego rutynę. Ale w końcu – zastanowił się – może tylko tak jestem w stanie funkcjonować. Jedyne, co mogę kontrolować, to samego siebie. I nie chcę znów znaleźć się na równi pochyłej uzależnienia.

– Naprawdę podziwiam twoją dyscyplinę – powiedziała z przekonaniem Emilie. – Alex, czy nie będziesz miał mi za złe, jeśli spytam, czy miałeś kiedyś kogoś bliskiego?

– Chodzi ci o kobietę?

– Tak.

– Oczywiście było mnóstwo kobiet, z którymi byłem blisko fizycznie, ale żadna relacja nie utrzymała się długo. Szczerze mówiąc, Em, dawniej nie byłem jeszcze gotów na trwałe związki.

– A teraz, kiedy się ustatkowałeś, czy sądzisz, że chciałbyś się zaangażować w coś takiego?

Alex patrzył na nią chwilę.

– Z właściwą osobą, tak. Myślę, że bardzo bym chciał.

– No to może pewnego dnia trafisz na taką kobietę.

– Może.

Alex spojrział na zegarek.

– Teraz będę bardzo brutalny i wyproszę cię stąd, bo muszę sprawdzić swoje udziały w ropie naftowej. Jest po północy i na Dalekim Wschodzie zaczynają działać giełdy.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. – Emilie wstała. – Dziękuję za towarzystwo i *foie gras*.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Em.

– Przyprawdzą ci Jo, sprzątaczkę, kiedy dotrze tu jutro. – Emilie zatrzymała się w drzwiach. – Wiesz, Alex, chciałabym bardzo, żeby Sebastian też cię takiego zobaczył.

– Mój brat widzi mnie tak, jak chce. A ja odpowiednio na to reaguję. Dobranoc, Em.

– Dobranoc.

Leżąc w łóżku dwadzieścia minut później i ciesząc się zmianami, jakie wprowadziła w pokoju, Emilie myślała o tym wieczorze z Alexem.

Czuła się w jego towarzystwie bardzo swobodnie. Może dlatego, że ich relacja nie dopuszczała żadnych skomplikowanych konfiguracji. Lubiła to, jak zachowywał się w jej obecności. Jednak fakt, że tak dobrze się dogadują, nie ucieszyłby Sebastiana – choć powinien – więc musi uważać.

Emilie westchnęła. Gdyby tylko bracia umieli wybaczać i zapominać o przeszłości, cokolwiek się wtedy zdarzyło, życie w Blackmoor Hall byłoby o wiele spokojniejsze.

Sebastian przyjechał do domu pod koniec tygodnia. Był wyczerpany. Kiedy Emilie próbowała zagadywać go podczas kolacji, robił wrażenie błądzącego myślami gdzieś daleko. Gdy położyli się do łóżka, spytała raz jeszcze, czy ma jakiś problem.

– Przykro mi, jak na razie sprawy się komplikują, to wszystko.

– Masz na myśli interesy? – drążyła dalej.

– Tak. Właśnie odkryłem, że ten cholerny bank nie realizował moich poleceń zapłaty. A facet z Francji, który obiecał zdobyć dla mnie Picassa, okazał się lepszym cwaniakiem. Powiedział mi, że ma już propozycję kupna za ponad siedem milionów, i dał mi tylko kilka marnych fotografii obrazu. Rzeczywiście, nie jestem w najlepszym nastroju – burknął.

– Wiesz, że zawsze pomogę ci finansowo, jeśli trzeba. Wystarczy, żebyś poprosił.

Emilie pomasaowała mu ramiona, kiedy tak leżał odwrócony do niej plecami.

– Dziękuję, Emilie, ale rozumiesz, jak się czuję, gdy z wszystkimi problemami muszę lecieć do ciebie.

– Przestań, ty sam tak bardzo mi pomogłeś, kiedy tego potrzebowałam. Jeśli się kogoś kocha, to normalne, że trzeba się wspierać.

– Może dla kobiet to co innego. – Sebastian wzruszył ramionami. – W każdym razie muszę się trochę przespać.

•••

Przez resztę weekendu Sebastian zamykał się w gabinecie ze swoim komputerem. Wieczorami, podczas kolacji, ledwie się do niej odzywał, a w nocy nie przygarniał jej do siebie w łóżku. W niedzielę wieczorem, kiedy weszła na górę do sypialni, zastała go pakującego neseser.

– Gdzieś się wybierasz? – spytała.

– Tak, jutro jadę do Londynu.

- Pojadę z tobą.
- Wątpię, by spodobała ci się nora, w jakiej się zatrzymuję.
- To nie ma dla mnie znaczenia – stwierdziła stanowczo.
- Ale może dla mnie ma.
- Mogę zapłacić za pokój w hotelu.

- Ostatni raz mówię, że nie potrzeba mi twoich cholernych pieniędzy!

Zszokowana Emilie cofnęła się, jakby Sebastian trzepnął ją po twarzy. Potem leżała w łóżku obok niego i nie mogła zasnąć. Zastanawiała się, co powiedzieć lub zrobić. Żałowała, że nie ma z kim porozmawiać.

Sebastian wyruszył rano do Londynu. Pożegnał ją szybkim cmoknięciem w policzek i powiedział, że wróci w piątek.

Dzień był paskudny, mokry, deszczowy – idealnie oddawał nastrój Emilie. Dom pachniał wilgocią i dziękowała Bogu, że w środku tygodnia jedzie do Francji, gdzie jest więcej słońca.

Weszła do biblioteki, bo przypomniała jej się książka o drzewach owocowych, o której wspomniał Alex. Przeszukała półki bez rezultatu. Za to znalazła jakąś powieść F. Scotta Fitzgeralda i usiadła z nią skulona przy kominku w salonie.

Zadzwoniła jej komórka. Zobaczyła, że wyświetlił się na niej numer Alexa.

- Halo?

- Cześć – powiedział. – Wszystko w porządku?

- Tak, a u ciebie?

- Jak najbardziej – odparł Alex. – Jo, dziewczyna, którą mi przysłałaś, jest bardzo miła. Nie pęta się za bardzo, tylko bierze się za to, co trzeba. Lubię ją. Chciałem ci podziękować.

- Cieszę się.

Na chwilę zapadła cisza.

- Na pewno nic ci nie jest, Emilie?

- Tak.

- No to dobrze. Miłego dnia – powiedział Alex.

- Dziękuję.

Emilie wcisnęła przycisk, by skończyć rozmowę, dumna, że nie zdradziła swoich obaw. Choć bardzo chciała dowiedzieć się, co stoi za dziwną i nagłą zmianą w zachowaniu męża, Alex dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie o takich rzeczach rozmawiać.

Jednak dwadzieścia minut później rozległo się pukanie do drzwi pokoju.

– Witaj, Alex. – Westchnęła.

– Cześć, Em. Jeśli przeszkadzam, powiedz, proszę, żebym spadał. Ale po prostu po twoim głosie poznaję, że coś jest nie tak. Chciałem sprawdzić, tak po sąsiedzku, czy nic ci nie jest.

– Dziękuję. Rzeczywiście, jestem trochę zdołowana – przyznała.

– Tak myślałem. Chcesz o tym porozmawiać?

– No... nie wiem. – Czuła, że łzy podchodzą jej do oczu.

– Czasem dobrze jest pogadać, a ja chętnie posłużę ci jako pierwszy terapeuta, jeśli chcesz. I zachowam, ma się rozumieć, neutralny, nie emocjonalny ton. To będzie dla mnie odmiana.

Uśmiechną się. Emilie widziała, że chce ją pocieszyć.

– Podejrzewam, że to mój brat cię zmartwił. Mówię to tylko dlatego, że wszedł do mnie wczoraj bez pukania, co jest dość denerwujące, i strasznie mnie zrugął, że zwracam ci głowę.

– Ojej, przecież na nic mu się nie skarżyłam, Alex. Możesz mi wierzyć – zapewniła Emilie.

– Wiem dobrze, że nie, ale po prostu chciał mnie za coś skrzyknąć – rzekł ugodowo Alex.

– Tak. W ten weekend był taki spięty. Naprawdę nie wiem, co się z nim dzieje – wyznała.

– Em – Alex westchnął głęboko – to dość trudne. Oczywiście mógłbym ci zanalizować charakter mojego brata i pomóc zrozumieć, kogo poślubiłaś, ale ustaliliśmy, że nie powinienem tego robić. Powiem tylko, że Sebastian zawsze miał skłonność do wpadania w mroczne nastroje. I przez wzgląd na ciebie, mam nadzieję, że tym razem szybko mu to minie.

– Ja też. – Emilie strasznie chciała wypytać Alexa o więcej, uznała jednak, że nie powinna go naciskać, a poza tym miała wrażenie, że byłoby to nie w porządku wobec Sebastiana. – Tutejsza pogoda też nie pomaga. Cieszę się bardzo, że w środę lecę do Francji.

– Szczęściara. Na pewno doładujesz akumulatory. Może będziesz też mogła dowiedzieć się czegoś więcej o Sophii i jej wierszach.

– Zamierzam poprosić Jacques'a, żeby opowiedział mi dalszą część historii.

– Szkoda, że nie mogę zobaczyć biblioteki, o której mówiłaś. – Alex uśmiechną się. – Książki to moja pasja, szczególnie stare.

– Muszę dopilnować, żeby je ostrożnie spakowali i przewieźli do przechowalni, zanim zaczniesz remont. Boję się tego – przyznała. – Ale to dla ich dobra.

– Ojciec byłby z ciebie dumny, Em. To smutne, że nazwisko o takich tradycjach jak de la Martinières zaginie, a właściwie już zaginęło, odkąd wyszłaś za mojego brata.

– O, nie. Zamierzam zachować swoje nazwisko. Rozmawialiśmy o tym z Sebastianem i doszliśmy do wniosku, że powinnam tak zrobić.

– Ale jeśli będziecie mieli dziecko, będzie ono nosiło nazwisko Carruthers, prawda?

– To jeszcze bardzo odległe sprawy, jak sądzę – ucięła Emilie i zmieniła temat. – Czy chcesz, żeby Jo nocowała w domu, kiedy wyjadę? Mówiła, że chętnie to zrobi od czasu do czasu, gdy się z nią umawiałam.

– Nie. To naprawdę nie jest konieczne. Dała mi już numer swojego telefonu, w razie jakiejś katastrofy. Zaufaj mi, Em, wiesz, że możesz – powiedział stanowczo Alex. – Naprawdę jestem samowystarczalny.

– To smutne, że nigdy nie bywasz gdzieś poza domem. Brakuje ci tego?

– Czasami dostaję klaustrofobii, prawda – przyznał. – Przy lepszej pogodzie przynajmniej mogę objechać to, co zostało z naszych niegdyś pięknych ogrodów. I nie mów nic Sebastianowi, ale rozglądam się za jakimś przystosowanym autem.

– Świetny pomysł – pochwaliła. – Kiedy wrócę z Francji, może załadujemy twój wózek do bagażnika land rovera i dokądś się wybierzemy. Zgoda?

– Z wielką przyjemnością. – Alex uśmiechnął się szeroko. – Och, wypić sobie prawdziwy kufel piwa w pubie.

– Umowa stoi – przypieczętowała decyzję Emilie, zastanawiając się, dlaczego Sebastian nie wpadł na coś takiego do tej pory. Ale biorąc pod uwagę ich napięte stosunki, pewnie ostatnie, co mu się marzyło, to siąść przy stoliku naprzeciw brata w jakimś lokalu.

– Zbieram się do siebie – powiedział Alex, odblokowując koła. – Muszę zająć się swoimi stale zwiększającymi akcjami firmy nafiarskiej, są dla mnie jak dzieci. Miłego pobytu we Francji, Em. Opowiedz mi wszystko, czego tylko dowiesz się o mojej babci. *Adieu i bon voyage.*

Uniósł dłoń na pożegnanie i wyjechał z pokoju.

Emilie wezwała taksówkę z firmy, którą polecał Sebastian, i pojechała na lotnisko Leeds Bradford, mile podekscytowana perspektywą podróży. Kiedy samolot wystartował i poleciał nad szarym, przemysłowym centrum północnej Anglii, kierując się na południe, ku Francji, Emilie żałowała jedynie, że przed wyjazdem nie udało jej się dodzwonić do Sebastiana. W jego komórce stałe włączała się poczta głosowa i jak dotąd nie odpowiedział na pozostawione przez nią wiadomości.

Mogła się tylko pocieszać tym, co o jego nastrojach mówił Alex. Jednak mimo to do świtu nie mogła zasnąć i przewracała się z boku na bok. Aż ścisnęło ją w dołku, czuła, że coś jest nie tak. Trudno było pogodzić się z taką nagłą zmianą. Troskliwy mąż przeistoczył się w kogoś, kto nawet nie odbiera jej telefonów.

Kiedy lądowali w Nicei, świeciło blade marcowe słońce. Emilie wsiadła w zamówiony samochód z wypożyczalni i ruszyła w kierunku miejsca, które szybko zaczęła uznawać za najbardziej własne. To było terytorium dobrze znane, gdzie czuła się pewnie i dobrze.

W zamku wrzało od przygotowań. Na zewnątrz stała w pogotowiu wielka bagażówka.

Zarumieniona z emocji Margaux powitała Emilie na schodach.

– *Madame*, tak miło znów panią widzieć.

– I nawzajem – odparła Emilie, kiedy się uściskały.

– Starałam się im wytłumaczyć co i jak, ale nie wszystko wiem – wysapała strapiona Margaux. – Zaczęli od biblioteki.

– Co takiego?! Mieli nie ruszać jej beze mnie! – zawołała Emilie.

– To moja wina, *madame*. Przyjechali trzy godziny temu i nie chciałam, żeby czekali beczynn timer.

– Nie szkodzi – powiedziała szybko Emilie, hamując irytację. – Już jestem.

– Czy mogę zaproponować pani coś do picia po tak długiej podróży? – spytała Margaux.

– Tak, poproszę herbatę. Mogłabyś mi ją przynieść do biblioteki?

– Oczywiście, *madame*.

Emilie przeszła korytarzem i zobaczyła, że w bibliotece półki są już w połowie opróżnione. W powietrzu unosił się kurz, jaki zbierał się tu od wieków.

– Dzień dobry – powiedziała do czterech pracowników pilnie ładujących książki do wodoodpornych skrzynek. – Jestem Emilie de la Martinières.

– Bardzo nam miło. – Krępy mężczyzna wstał i podał jej szorstką dłoń na powitanie. – Jak pani widzi, dobrze nam idzie. Ma tu pani spore zbiory. Niektóre książki są bardzo stare.

Giles, jak się przedstawił, wyjaśniał dalej, że numerują kontenery według półek, które również zostały ponumerowane.

– W ten sposób będzie można potem z powrotem powstawić książki na miejsce – dodał.

– Dobrze – skwitowała jego słowa Emilie, nieco uspokojona, że ci ludzie wydają się przynajmniej zorganizowani i kompetentni i obchodzą się z książkami delikatnie. Zaczęła przyglądać się tej rujnacji i dostrzegła syna Margaux, Antona, siedzącego na podłodze i zaczytanego w jakiejś książce, mimo tego całego chaosu panującego dokoła. – Cześć, Anton – powiedziała i dotknęła go lekko.

Chłopiec podniósł na nią wzrok, zaskoczony. W jego oczach błysnął lęk.

– *Madame de la Martinières*, przepraszam, mama przysłała mnie tu, żebym pomógł, ale ja trafiłem na to, otworzyłem i...

Emilie rzuciła okiem na książkę. Było to stare wydanie *Nędzników* Victora Hugo, które sama czytała w tej bibliotece jako dziewczynka. Anton wstał. Uśmiechnęła się do niego. Bardzo przypominał jej Gavroche'a z tej powieści.

– Czytaj dalej, nie krępuj się. – Położyła dłoń na jego ramieniu i lekko popchnęła go, żeby usiadł z powrotem. – Lubisz czytać?

– O tak, bardzo. Tu jest tak fajnie. – Pokazał na bibliotekę. – Kiedy mama zabiera mnie ze sobą do pracy, idę tutaj i patrzę na książki. Ale jeszcze żadnej z nich nie ruszyłem, *madame*, przysięgam – dodał spiesznie.

– No, myślę, że tę powinienes zatrzymać i skończyć w domu – zaproponowała Emilie. – Jestem pewna, że będziesz o nią dbał.

– Naprawdę? – Anton aż się rozpromienił. – Bardzo bym chciał. Dziękuję, *madame*.

– Proszę, mów mi po imieniu.

– Anton! Czy ty tu nie przeszkadzasz, co?

Margaux przyniosła Emilie herbatę do biblioteki i wyraźnie się zaniepokoiła.

– Nie, wcale nie przeszkadza. – Emilie wzięła herbatę od Margaux. – Jest taki jak ja i tata. To mól książkowy. I najwyraźniej bardzo mądry chłopiec – dorzuciła z uśmiechem. – Wybrał sobie *Nędzników*, lektura nie najłżejsza dla wielu dorosłych, a już o dzieciach nie wspomnę.

– To prawda! – Oczy Margaux zabłysły z dumy. – Jest pierwszym uczniem w klasie i chce studiować literaturę na jakimś świetnym uniwersytecie. Jak długo pani zostanie? W domu są już tylko meble w sypialni, gdzie zwykle pani nocuje. Jak pani wie, Jean i Jacques serdecznie panią do siebie zapraszają.

– Tak, ale dziś będę spała tutaj. Łóżko i szafa z mojego pokoju nie są cenne. Można dorzucić je do kontenera później. Do domu przy winnicy przeniosę się jutro. Świetnie się spisałaś, Margaux, dziękuję – powiedziała Emilie, kiedy wychodziły z biblioteki i szły do opustoszałej kuchni.

– Zostawiłam pani kilka talerzy, noże, widelce i, oczywiście, czajnik – wyjaśniła Margaux. – I nie zabrali lodówki. Jest bardzo stara i może i tak będzie pani chciała kupić nową?

Do Emilie zaczynało docierać, na co się porwała. Do tej pory, gdy czuła się bezpieczna pod opieką Sebastiana, wydawało się jej, że da radę.

– Na pewno ją zmienimy – potwierdziła. – Jutro rano spotykam się tu z architektem. I z kierownikiem budowy, który będzie nadzorował remont.

– Jak pani sądzi, ile to potrwa?

Emilie zauważyła, że Margaux robi tego dnia wrażenie wyczerpanej.

– Nie mam pojęcia. Może rok? Półtora?

– Ach tak... No to... przepraszam, ale pewnie będę musiała poszukać jakiejś innej pracy, *madame*? Bo przecież tu nie będzie co robić.

– Margaux – powiedziała Emilie i zdała sobie sprawę, że powinna była porozmawiać z nią już kilka tygodni temu – pracowałaś dla naszej rodziny ponad piętnaście lat i oczywiście podczas remontu zamku będę ci płacić jak zwykle. Mogłabyś mieć oko na ekipę i dom, kiedy ja jestem w Anglii, i dawać mi znać w razie jakichś problemów.

– To bardzo uprzejmie z pani strony – odparła Margaux z wyraźną ulgą. – Gdybym mogła, nie brałabym za to pieniędzy, ale pani wie, nie jestem bogata. I oszczędzam wszystko na przyszłą edukację Antona. – W jej oczach pojawiła się nagle rozpacz. – Czasami martwię się, co by się z nim stało, gdyby mnie zabrakło.

– Ale przecież na nic takiego się nie zanosz, Margaux – pocieszyła ją z uśmiechem Emilie. – I nie miej wyrzutów sumienia, proszę. Jestem pewna, że zawiązką odpracujesz ten wolny czas po remoncie, kiedy trzeba będzie po nim posprzątać.

– Myślę, że to piękne, co pani robi. Rodzice byliby z pani bardzo dumni – stwierdziła Margaux, a jej oczy nagle się zaszkliły. – Ten zamek przetrwa dla

Francji i przyszych pokoleń, począwszy od tego, które przyjdzie na świat z pani związku z mężem. No, ale na razie zostawiłam pani kolację, a sama muszę wracać z Antonem do domu i przyszykować coś i dla nas.

– Oczywiście. Spotkamy się przed moim wyjazdem. Zapłacę ci wtedy za te miesiące. Jeszcze raz za wszystko dziękuję.

Margaux wyszła z kuchni. Emilie stała przez chwilę sama w tym ogromnym, dudniącym echem wnętrzu, a potem ruszyła z powrotem do biblioteki, żeby pomóc pakować zbiory.

•••

Kiedy wokół zamku zapadał zmierzch, książki już były na ciężarówce, gotowe do jazdy.

– *Madame* de le Martinières, muszę poprosić panią o podpisanie tych dokumentów. To potwierdzenie, że pani sprawdziła załadunek i że mamy tu dwadzieścia cztery tysiące trzysta siedem książek. Pani mąż sugerował ubezpieczenie na dwadzieścia jeden milionów franków, kiedy rozmawiał ze mną w zeszłym tygodniu – poinformował Giles.

– Tak? – zdziwiła się Emilie. – Czy to nie przesada?

– To imponujące zbiory, *madame*. Na pani miejscu, kiedy tu wrócę, wezwałbym specjalistę od starych książek i poprosił o wycenę. W naszych czasach stare książki potrafią być warte fortunę.

– Racja – zgodziła się Emilie.

Sebastian radził to samo, ale ona nigdy nie myślała o tych zbiorach pod kątem finansowym. Dla niej stanowiły wartość sentymentalną.

– Dziękuję za pomoc i podpowiedź.

Emilie patrzyła, jak bagażówka odjeżdża i znika w ciemności, a potem wróciła do kuchni zjeść gęstą zupę ogonową, którą zostawiła dla niej Margaux. Przed nią leżały dwa czarne worki na śmieci, do których wrzuciła to, co szybko zebrała z biurka ojca, zanim zabrano je do magazynu kilka tygodni temu. Jedząc, sięgnęła do jednej z toreb i wyjęła na chybił trafił garść papierów. Było tam sporo listów, prywatna i oficjalna korespondencja z lat sześćdziesiątych, a także trochę zdjęć rodziców z Paryża i tutejszego ogrodu, głównie z jakichś spotkań towarzyskich.

Poza tym wiele fotografii Emilie, kiedy była niemowlęciem, dziewczynką, a potem niezgrabną zbyt pulchną nastolatką o gęstej grzywce. Tracąc poczucie

czasu, zaczęła przeglądać to wszystko. Dotykanie intymnych pamiątek po ojcu przynosiło jej ulgę. Miała wrażenie, że on znów jest blisko. Czytając niektóre z listów miłosnych matki do niego, płakała.

Świadczyły o tym, że Valérie naprawdę kochała męża, i przynajmniej za to Emilie była jej wdzięczna. Wytarła nos wierzchem dłoni, wzruszona, a zarazem, o ironio, uszczęśliwiona, że częśćka jej bólu została z niej zdjeta. Teraz lepiej rozumiała przeszłość.

Zdała też sobie sprawę, że całe to wcześniejsze odcinanie się od rodziny i jej historii, stanowi dla niej utrudnienie w obecnym życiu i patrzeniu w przyszłość. Oczywiście, były rzeczy, których nigdy nie da się wybaczyć... ale, przynajmniej, skoro rozumie, dlaczego coś było tak, a nie inaczej, może wreszcie zdoła poczuć się wolna.

Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że jest po północy. Włączyła pocztę głosową, by sprawdzić, czy Sebastian do niej dzwonił. Nagrała się mu wcześniej, że jest już we Francji.

Automatyczna sekretarka powiedziała, że nie ma nowych wiadomości. Emilie westchnęła i poszła z przyjemnie nagrzaną kuchnią do zimnej sypialni, zadowolona, że nie zapomniała zabrać ze sobą swojego wiernego termofora.

Leżąc w łóżku, znów poczuła ten dławiący niepokój na myśl, jak chłodny był dla niej Sebastian w ten weekend i że tak długo nie może się z nim skontaktować, ale postanowiła nie poddawać się nastrojom. Jeśli, z jakiegoś powodu, Sebastian już jej nie kocha, ona jakoś da sobie radę. W końcu w dzieciństwie nauczyła się być sama.

Ranek był ciężki. Pojawili się architekt i kierownik budowy. Po przejściu razem po domu i omówieniu szczegółów remontu, Emilie oniemiała na widok wyceny, ale architekt zapewnił ją, że ta robota warta jest wszystkich tych pieniędzy, biorąc pod uwagę ogromny wzrost wartości zamku po renowacji.

– Na pewno będziemy się ze sobą często kontaktować w najbliższych miesiącach – powiedział Adrien, kierownik budowy. – Niech się pani jednak przygotuje na to, że zamek będzie wyglądał okropnie, kiedy go pani zobaczy następnym razem. To potrwa, zanim pani piękny dom wróci do pełnej krasy.

Gdy wszyscy wreszcie wyszli, Emilie zamknęła drzwi frontowe i wolno pospacerowała po domu. Wiedziała, że to głupie i sentymentalne, ale zapewniała wszystkie pokoje, że zmiany, jakie je czekają, to dla ich dobra.

Wcześniej zadzwoniła do Jeana. Proponował jej kolację u nich w domu, a także nocleg. Emilie weszła do komórki za kuchnią, gdzie schowała swoją walizkę i dwie czarne plastikowe torby. Wyciągnęła ostatnią nieprzejrzaną jeszcze stertę papierów i fotografii. Wzięła jakąś pożąłkłą kopertę i zajrzała do środka. Było tam zdjęcie Édouarda z czasów młodości. Musiał mieć wtedy jakieś dwadzieścia parę lat, stał na plaży, obejmując opiekuńczo śliczną dziewczynę o jasnych włosach. Emilie poznała, że to ta sama, co na portrecie z jego paryskiego gabinetu. Jego siostra Sophia. W kopercie była też kartka wyrwana z notesu... Emilie rozłożyła ją i zobaczyła znane, nierówne dziecinne pismo.

Mon frère...

Mój brat, szepnęła do siebie Emilie, a potem próbowała rozszyfrować słowa. To był pean na cześć Édouarda, podpisany, jak inne wiersze, które czytała: „Sophia de la Martinières, lat 14”.

Uświadamiając sobie, że palce zdrętwiały jej z zimna panującego w pustym domu, Emilie wróciła na fotel przy kominku i usiadła. Ten wiersz był najlepszym dowodem, jak bardzo wielbiła brata młodziotka Sophia. Dlaczego więc Édouard nigdy o niej nie mówił? Co wydarzyło się między nimi, że pozostał w nim tak

wielki smutek i wybrał milczenie? Zdjęcie dowodziło wyraźnie, jak bardzo się kochali, więc Emilie była pewna, że musiał istnieć jakiś ważny powód.

Schowała wiersz i zdjęcie do torebki, zabrała worki i walizkę i zamknęła za sobą drzwi zamku po raz ostatni. Kiedy jechała wysypaną żwirem drogą do domu przy winnicy, nagle zadzwoniła jej komórka. Widząc, że to Sebastian, Emilie ostro zahamowała i odebrała telefon.

– Gdzie ty się podziewałeś? Tak się martwiłam! – prawie krzyknęła w słuchawkę zdenerwowana.

– Kochanie, tak mi przykro. Zostawiłem ładowarkę w Yorkshire, a we wtorek rano padła mi bateria.

– Sebastianie, to żadne usprawiedliwienie! Przecież są na świecie inne telefony, z których mogłeś się do mnie odezwać. – Emilie nie była w stanie się opanować.

– Próbowałem! Dzwoniłem do Blackmoor Hall we wtorek wieczorem, ale nikt nie odbierał, a potem wyjechałaś do Francji.

– To dlaczego nie zostawiłeś mi wiadomości na komórce? – zaatakowała.

– Emilie, proszę! Daj mi wyjaśnić. To naprawdę bardzo proste. Miałem twój numer komórki wbity do swojej, a pamiętaj, że padła mi bateria. Nie miałem więc twojego numeru, póki nie dojechałem do Yorkshire dziś popołudniu i nie naładowałem komórki.

– Nie mogłeś zadzwonić do Gerarda? On ma mój numer. – Emilie nadal aż się trzęsła ze złości.

– Jego numer też miałem w swojej bezużytecznej komórce. Proszę, Emilie. – Sebastian zdawał się znużony. – Naprawdę przepraszam. I zanim zapytasz, tak, szukałem jakiejś pasującej ładowarki w Londynie, ale mam taki stary model telefonu, że w tamtejszych sklepach nie udało mi się nic znaleźć. I naprawdę nie miałem czasu dalej latać po mieście. Jak to się mówi: nieszczęśliwy zbieg okoliczności. I mogę tylko powiedzieć, że teraz wiem już, jak cenną rzeczą jest staromodny notes z adresami i telefonami. Poza tym – dodał – z jakiego innego powodu miałbym się z tobą nie kontaktować?

Te słowa ucięły dalszy wybuch pretensji i lęków Emilie. Jak powiedział Sebastian, jaki mógłby być inny powód?

– Nie masz pojęcia, jak się martwiłam. Zwłaszcza że w poprzedni weekend byłeś taki... dziwny – przyznała Emilie. – Zaczynałam się nawet zastanawiać, czy mnie nie rzuciłeś.

Gniew mijał, Emilie była bliska łez.

Na te słowa Sebastian lekko zachichotał.

– Rzuciłem cię? Emilie, przecież ożeniłem się z tobą zaledwie kilka tygodni temu. Za kogo ty mnie masz, u licha? Tak, rzeczywiście, w ostatni weekend miałem fatalny humor. Ale to każdemu się czasem zdarza, prawda?

– Tak sędzę, pewnie. – Emilie przygryzła wargę, zmieszana, w poczuciu winy, że wyciągnęła takie wnioski.

– Czy przypadkiem ten mój braciszek nie namieszał ci w głowie? Nie zasugerował ci czegoś przypadkiem? Jasne. – Emilie miała wrażenie, że widzi, jak Sebastian sam sobie kiwa głową. – Założę się, że o to chodzi.

– Nie, Sebastianie. Alex nigdy nie mówi nic złego o tobie, przysięgam.

– Nie kłam, Emilie, wiem, jaki on jest. – Głos Sebastiana zabrzmiał nagle surowo.

– Nic mi nie powiedział – podkreśliła Emilie. Nie chciała dać się wciągnąć w kłótnię podczas pierwszej od czterech dni rozmowy z mężem. – Jesteś w domu w Yorkshire?

– Tak, wróciłem. Co u ciebie?

– Książki już pojechały i teraz zamek czeka na lifting wizerunku.

– Przepraszam, że nie mogłem tam być i ci pomóc. Mam tu niewiarygodnie dużo spraw.

– To chyba dobrze, co? – powiedziała cicho Emilie.

– No, może nie tak dobrze, jak mogłoby być, ale... Kiedy wracasz do domu?

– Jutro – odparła.

– Zrobię ci coś pysznego na kolację powitalną, żeby jakoś wynagrodzić ci to całe nieporozumienie z moją komórką – powiedział Sebastian. – Przykro mi, Emilie, ale to naprawdę nie była moja wina, słowo. I naprawdę próbowałem się dodzwonić we wtorek wieczorem.

– Najlepiej zapomnijmy już o całej tej sprawie, dobrze? – zasugerowała.

– Tak. Jeśli mogę ci stąd jakoś pomóc, daj mi tylko znać.

– Dziękuję, na razie wszystko jest pod kontrolą.

– Dobrze, kochanie, odzywaj się, proszę – powiedział Sebastian.

– Ty też! – Emilie zdobyła się na słaby uśmiech. – Do zobaczenia jutro.

Przez chwilę siedziała, patrząc w przestrzeń. Zastanawiała się, czy mu wierzyć. Jej ojciec zwykł mawiać, że najprostsze okoliczności mogą składać się na najbardziej niesamowity scenariusz. Miała nadzieję, że też może przyjąć ten punkt widzenia. Ale cztery dni bez kontaktu zasiały ziarno wątpliwości.

I chociaż Alex nie mówił nic negatywnego, nie podburzał jej przeciw bratu, celowo unikał rozmów na jego temat. Mówiąc wprost, Emilie czuła, że o jej mężu dałoby się powiedzieć o wiele więcej, niż godził się wyjawić Alex. Włączyła znów silnik, dojechała ostatecznie sto metrów do winnicy i zaparkowała pod domem.

Zostawiła swoje rzeczy w bagażniku i spróbowała najpierw, czy drzwi piwnicy są otwarte. Wiedziała, że Jean często pracuje do późna. I, rzeczywiście, był tam, siedział przy stole, otoczony swoimi księgami rachunkowymi.

Jego ciepłe, piwne oczy zmrużyły się w uśmiechu na jej widok.

– Emilie! Witaj. – Wstał, obszedł stół i ucałował ją w oba policzki. – Jak miło cię tu gościć. Pokój czeka i przygotowaliśmy dla ciebie kolację. Na pewno jesteś bardzo zmęczona.

– Dziękuję za zaproszenie, Jean. Gdzie Jacques?

Emilie rozejrzała się po mrocznej piwnicy. Zerknęła ku ławie w głębi, gdzie zwykle przesiadywał i pakował butelki.

– Wysłałem tatę do domu, żeby rozpalił ogień w kominkach. Dziś wieczór jest zimno, szczególnie tutaj. Nie chcę, żeby się zaziębił. Wiesz, że tej zimy trochę chorował. Bardzo się postarzał, co robić. – Jean westchnął, a Emilie poznała po jego oczach, że się martwi. – I jak, w zamku wszystko gotowe?

– Tak, to będzie nowy początek – powiedziała Emilie i kiwnęła głową.

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo cieszymy się z tatą, że zamek zostanie w rękach de la Martinièresów. Uratowałaś nie tylko nasze źródło utrzymania, ale i dom, który obaj tak bardzo kochamy. Naprawdę myślę, że tata nie przeżyłby tego, gdyby musiał się stąd wyprowadzić – wyznał Jean. – A teraz chodźmy, usiądziemy przy kominku i wypijemy sobie po kieliszku wina. W tym roku *rosé* jest wyjątkowo udane. Pogoda dopisała. Tak naprawdę niedługo dowiem się, czy dostaliśmy nagrodę za nasze *rosé* w konkursie winiarskim. To byłby pierwszy taki laur dla tej winnicy i wiąże z tym wielkie nadzieje.

Emilie pomogła Jeanowi pogasić światła w piwnicy i poszli do domu. W kuchni unosił się smakowity zapach.

– Chodźmy do salonu. Ojciec na pewno otworzył już dla nas wino – powiedział Jean.

Jacques znów drzemał w fotelu przy kominku. Nawet Emilie, która od dziecka miała wrażenie, że to wiekowy pan, zauważyła, jak bardzo się postarzał.

– Może wróćmy do kuchni, żeby go nie budzić? – zaproponowała szeptem Jeanowi.

– Nie ma potrzeby. – Uśmiechnął się. – Stał się głuchy jak pień. Siadaj, Emilie.

Jean wskazał na krzesło i podniósł ze stołu otwartą butelkę.

– Spróbuj tego.

Emilie wzięła podany jej kieliszek, pokręciła nim, żeby bladoróżowy płyn osiadł na szkłe, i rozkoszowała się bogatym, cierpkim aromatem.

– Pachnie cudownie, Jean.

– Dodałem trochę więcej niż zwykle winogron syrah i sądzę, że to dobra mieszanka.

Emilie wzięła maleńki łyk i uśmiechnęła się zadowolona.

– Cudowne.

– Oczywiście, mamy tu sporą konkurencję, która wiele inwestuje w nowe technologie. Ale robię wszystko, by dotrzymać im kroku – oświadczył Jean. – A teraz, dość rozmów o interesach, to może poczekać. Jak tam Anglia? I jak ci się żyje po ślubie?

Jeszcze nigdy dziwna, napięta atmosfera i chłód Blackmoor Hall nie wydawały się jej tak obce, jak teraz, kiedy siedziała wygodnie z Jeanem w tym dobrze sobie znanym przytulnym domu.

– Jest świetnie, choć potrzebuję trochę czasu, żeby przywyknąć do Anglii.

A Sebastiana często nie ma w związku z pracą – odpowiedziała szczerze.

– Wiem, że sporo podróżuje. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu zauważyłem, że do zamku podjeżdża jakiś nieznany mi samochód. W związku z moimi nieformalnymi obowiązkami stróża pod nieobecność Margaux poszedłem sprawdzić, co się dzieje, bo nie widziałem, by auto zawróciło – wyjaśniał Jean. – I to był twój mąż.

– Naprawdę? Sebastian wpadł tutaj w zeszłym tygodniu?

Emilie starała się, jak mogła, ukryć zaskoczenie i nie dać nic po sobie poznać.

– Tak. Nie wiedziałaś? – Jean popatrzył na nią badawczo.

– Wiem, że był we Francji, może miał po drodze i zdecydował, że sprawdzi, co słychać w zamku – wyjaśniła szybko.

– Tak. Na pewno. Obawiam się, że wystraszyłem go, kiedy wszedłem. Był w bibliotece, wśród stert książek.

– A! Najwyraźniej chciał mi pomóc i zaczął je pakować – rzuciła Emilie z ulgą.

– Został tu dwa dni, choć po tym pierwszym razie już go nie widziałem, bo nie chciałem mu przeszkadzać. To przecież twój mąż i ma prawo być w zamku, kiedy zechce.

– Tak.

Jednak w głębi duszy Emilie dziwiła się bardzo, dlaczego, na Boga, Sebastian nie wspomniał jej nic o tym, że spędził dwa dni w zamku. Znów zaczynało ją ścisnąć w dołku z niepokoju.

– To miło z jego strony, że znalazł trochę czasu, by pomóc w bibliotece – wydukała bez przekonania.

– Wiem, jak bardzo wspierał cię w trudnych chwilach.

– To prawda. A teraz... – Emilie rozpaczliwie szukała pretekstu, by zmienić temat – chciałam pokazać ci coś, co znalazłam w domu w Yorkshire. – Wyciągnęła kopertę z wierszami, którą dał jej Alex. – To napisała moja ciotka, Sophia de la Martinières. Jacques wspominał, że tworzyła wiersze, kiedy opowiadał nam ostatnio o dawnych czasach. – Podała plik Jeanowi i zobaczyła, że Jacques uchyla jedno oko.

– Są piękne... – szepnął Jean, czytając. – Chciałbyś zobaczyć, tato?

– Tak.

Oczy Jacques'a już były szeroko otwarte i Emilie pomyślała, że z tą jego głuchotą to chyba gruba przesada. Może udaje, bo tak mu wygodnie? Jean włożył kartki w jego drżące dłonie. Siedzieli w milczeniu, kiedy staruszek czytał. Gdy podniósł wzrok, miał łzy w oczach.

– Była taka piękna... tragedia, ten koniec... Ja... – Jacques potrząsnął głową, nie mógł opanować emocji.

– Jacques, powiesz mi, jak umarła? – poprosiła łagodnie Emilie. – I dlaczego mój ojciec nigdy o niej nie mówił? I jak to się stało, że te wiersze znalazły się w domu Constance w Yorkshire?

– Emilie. – Jean położył dłoń na jej ręce. – Zwolnij trochę. Widzę, że tata bardzo się wzruszył tymi wierszami. Może najpierw zjedzmy. Dajmy tacie trochę czasu na zebranie myśli.

– Oczywiście – zgodziła się Emilie nieco zawstydzona. – Przepraszam, Jacques. Moi rodzice nie żyją, a ty tyle wiesz o ich przeszłości. Jestem taka ciekawa.

– Najpierw zjemy – oświadczył poważnie Jacques, kiedy Jean podał mu laskę i pomagał wstać.

Podczas kolacji Jacques mało się odzywał. Jean celowo zmienił temat rozmowy. Wrócił do spraw winnicy i swoich planów modernizacji i powiększenia produkcji.

– Jestem pewien, że przy odpowiednim doinwestowaniu w ciągu pięciu lat winnica zacznie przynosić pokaźne zyski. Byłoby pięknie, gdyby stała się atutem dla posiadłości, a nie obciążeniem – mówił z zapałem.

Emilie słuchała, jak Jean opowiada z entuzjazmem o swojej pasji, i myślała, że nadal jest bardzo przystojny. Miał gładką skórę, smagłą nawet po długiej zimie, wijące się falami kasztanowe włosy. Nie wyglądał na swoje trzydzieści dziewięć lat. Kiedy była nastolatką i sporo czasu spędzali razem, trochę się w nim podkochiwała.

Teraz, gdy razem z nim zaczęła sprzątać ze stołu, Jacques ziewnął.

– Tato, mam ci pomóc się położyć?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Jacques. – Nie chcę spać. Ziewam z emocji. Jean, poszukaj no armaniaku. Postaram się opowiedzieć Emilie trochę więcej z tego, co wiem. I niestety – wysapał – to już będzie wszystko. Kiedy wyjechałaś, Emilie, zastanawiałem się, czy może powinienem zabrać resztę tej całej historii ze sobą do grobu, ale – wzruszył ramionami – jak można zrozumieć terażniejszość, jeśli się nie zna przeszłości?

– Jacques, ja też dochodzę do tego wniosku – powiedziała cicho Emilie. – Jak pamiętasz, opowiedziałeś mi już, że Constance dotarła do Paryża. Spotkała Venetię i zgodziła się jej pomóc...

Mój Brat

*Wysoki, góruje nade mną,
Otacza troskliwym ramieniem.
Prowadzi uważnie, z miłością,
Widzisz mnie, widzisz mnie?*

*Tajemniczy, silny, spokojny
Pochyla się do mnie.
Z książką utrzymaną w dłoni,
Widzisz mnie, widzisz mnie?*

*Z ciebie wypływa światło,
na zawsze w twym cieniu chcę być.
I jestem, i dorastam,
Widzisz mnie, widzisz mnie?*

*I opuścisz mnie dnia pewnego,
gdy odkryję za sanktuarium świat.
Nie wiedząc, jak cię kochałam,
Widziałeś mnie, widziałeś mnie?*

Sophia de la Martinières
lat 14, 1932 rok

Paryż, 1943 rok

Dwa dni później Édouard wrócił do domu. Zdawał się przemęczony i od razu ruszył do siebie na górę. Tylko na chwilę przystanął na schodach i zapowiedział Connie, że wieczorem będą mieli gości. Ma zejść do salonu o szóstej trzydzieści.

Zastanawiała się, kogo tym razem będą przyjmować, i modliła się, żeby to nie był żaden z braci von Wehndorf. Pomału odzyskiwała równowagę po emocjach sprzed dwóch dni, gdy Venetia nadawała z dołu, a dom niespodziewanie odwiedził Frederik.

Kiedy Sarah wyszła na zakupy następnego ranka, Connie od razu pobiegła do piwnicy, sprawdzić, czy wszystko w porządku, i zamknąć ją z powrotem. Ale nie znalazła klucza. Szukała go po obu stronach drzwi, jednak nie było po nim śladu. Na szczęście nic nie zdradzało też działań Venetii. W powietrzu nie wyczuwało się dymu z gauloisów i, na ile Connie mogła się zorientować, nie wyglądało na to, że ktoś coś tu ruszał. Poza tym, jak na razie, nie było żadnej akcji odwetowej, co, jak wiedziała, następuje zwykle bardzo szybko. Gdyby Niemcy wyłapali, że sygnał wychodzi z tej okolicy, natychmiast przeszukaliby dom po domu. Wiedzieli, że telegrafista w ciągu paru godzin zabiera radiostację i znika.

O szóstej trzydzieści wieczorem, jak proszono, elegancko ubrana Connie zeszła do salonu. Rozmarzona Sophia prowadzona przez Sarah wyglądała olśniewająco w nowej liliowej sukni koktajlowej.

Kiedy Sophia siadała, Connie przyjrzała się jej i zauważyła, że przyjaciółkę otacza specyficzna aura, odróżniająca tęskniących od tych, którzy wiedzą. Była taka promienna – kobieta w pełni rozkwitu.

Édouard pojawił się na dole wypoczęty i odświeżony, znów był beztruskim dawnym sobą. Pocałował siostrę, pochwalił, jak pięknie wygląda, i przedstawił listę gości. Jak zwykle byli to różni zamożni Francuzi, przedstawiciele rządu Vichy i Niemcy.

Do siódmej trzydzieści wszyscy zaproszeni już się zebraли, poza Falkiem. Frederik przeprosił w imieniu brata za spóźnienie. Falk obiecywał, że dołączy później.

– Wczoraj wieczorem było włamanie do biura STO na rue des Francs-Bourgeois – wyjaśnił Frederik. – Ruch oporu wykradł sześćdziesiąt pięć tysięcy teczek z dokumentami. Sprawcy uciekli. Nic dziwnego, że brat nie jest zachwycony.

O programie STO, Service du Travail Obligatoire, Connie słyszała podczas szkolenia. W tym systemie zarejestrowano niemal sto pięćdziesiąt tysięcy nazwisk młodych Francuzów. Byli masowo wywożeni do Niemiec, by pracować w fabrykach broni i przy taśmie. Deportacje tysięcy młodych ludzi spotykały się z coraz większym potępieniem ze strony opinii publicznej i bardzo zraziły Francuzów do rządów Vichy. Program STO sprawił, że wielu przestrzegających dotąd prawa obywateli zaczęło wspierać ruch oporu. Zatrokana mina Connie słuchającej relacji Frederika nie zdradzała rozpierającej ją radości z udanej misji. I z oczywistego wkładu w nią Venetii.

– Oczywiście nie puścimy tego płazem, nastąpią represje – dodał wysoki rangą urzędnik Vichy. – Będziemy jeszcze bardziej czujni, by eliminować buntowników, którzy niszczą nasz kraj.

•••

Kiedy podano kawę i brandy w salonie, rozległ się dzwonek do frontowych drzwi. Kilka sekund później do pokoju wmaszerował Falk.

– Ogromnie przepraszam, Édouardzie. Z powodu tutejszych awanturników, którzy nie uznają naszych rządów, nie byłem w stanie dołączyć do was przy stole.

Édouard zaproponował mu brandy, a Connie, obserwująca ich bacznie, dostrzegła błysk w oczach Falka i pogardę w jego twarzy. Zaciśnęła zęby, gdy do niej podszedł.

– *Fräulein* Constance, jak się mamy dziś wieczór?

– Dziękuję, świetnie. A co u ciebie, Falk?

– Słyszałaś, mieliśmy trochę kłopotów z dywersantami, ale nic się nie bój, dajemy sobie z tym radę. Nie wywiną się nam po tym swoim wyczynie. W każdym razie, dość już o pracy. Potrzebuję trochę rozrywki. Jego palce powędrowały do policzka Connie.

Miała wrażenie, że to lodowata woda kapie jej na twarz.

– *Fräulein*, mogłabyś...

– Musiałeś borykać się dziś z poważnymi problemami. – Édouard w gnieniu oka pojawił się przy nich, by ratować sytuację.

– Rzeczywiście, ale winni zostaną ujęci i przykładownie ukarani. Mamy już pewne przecieki od Francuzów, którzy nie popierają tych awanturników i chcą nam wydać zdrajców. Sądzymy, że działają niedaleko stąd. Ktoś z naszego nasłuchu namierzył dwa dni temu silny sygnał wychodzący gdzieś z tej ulicy. Natychmiast przeprowadzono rewizję we wszystkich domach w sąsiedztwie, ale nic nie wykryto. Oczywiście zapowiedziałem swoim ludziom, żeby nie ważyli się niepokoić cię najściem – oświadczył Falk.

Connie krew zmroziło w żyłach, a Édouard wydawał się szczerze zdziwiony.

– Skąd by tu mogli nadawać? – zastanowił się głośno. – Wiem dobrze, że wszyscy moi sąsiedzi to lojalni i przestrzegający prawa obywatele.

– Braciszku – wtrącił się nagle Frederik – jeśli to było dwa dni temu, to wpadłem tu z krótką wizytą do *mademoiselle* Sophii. Mówiła, że tak by chciała posłuchać muzyki. Gramofon nie działał, a wspomniała, że w domu jest radio. Oczywiście ona go nie używa, bo rozumie, że to nielegalne – dodał spieszenie – ale wtedy, chcąc zrobić jej przyjemność, włączyłem je i nastawiłem stację nadającą muzykę klasyczną, żeby Sophia mogła sobie posłuchać. Więc, Falk – westchnął ze skruchą – to pewnie moja wina. Przepraszam, że dodałem ci roboty, ale zapewniam, że tamtego wieczoru nad tym domem czuwało SS i poza kotem, który tu się zakradł, a potem czmychnął, nikt więcej nie wchodził.

To osobliwe zwierzenie Frederika najwyraźniej wytrąciło z równowagi nawet okazującego tak nienaganne opanowanie Édouarda. Falk też zrobił się podejrzliwy.

– Rzeczywiście nie bardzo mogę aresztować swojego zwierzchnika za nielegalne działania mające na celu sprawienie przyjemności damie – odparł z wyraźną irytacją. – Oczywiście, puścimy to w niepamięć, ale sugeruję, abyś natychmiast oddał odbiornik radiowy, Édouardzie, żeby uniknąć nieporozumień.

– Oczywiście, Falk – powiedział Édouard. – Nie byłem w domu tamtego wieczoru. Sophio, nie powinnaś prowokować takich sytuacji.

– Ale to była taka piękna muzyka. – Sophia, siedząca za nimi, uśmiechnęła się. – *Requiem* Mozarta. Chyba warto było zaryzykować? – zapytała i jej niewinny wdzięk rozładował atmosferę.

Connie zauważyła, że Frederik raz po raz czule popatruje na Sopię. Spojrzenie jego sobowtóra naprzeciw niej – zimne jak lód – było zupełnie inne. Jeśli oczy są oknami duszy, to wiedziała, że Frederik i Falk, choć zewnątrz tak podobni, wewnątrz nie mają ze sobą nic wspólnego.

• • •

Następnego ranka Édouard przyszedł do Connie do biblioteki.

– Czy Frederik był tu podczas mojej nieobecności? – zapytał.

– Tak, ale nie ja go zapraszałam, tylko twoja siostra. Nic o tym nie wiedziałam.

– Ach tak. – Édouard skrzyżował ręce na piersi i westchnął. – Zauważyłem wczoraj wieczorem, że coś ich łączy. Najwyraźniej są w sobie bardzo zakochani. Czy Sophia ci o tym mówiła?

– Tak – odparła szczerze Connie – i próbowałam ją ostrzec, że związek z Frederikiem prowadzi donikąd. Ale nie dała się przekonać.

– Możemy mieć tylko nadzieję, że Frederik szybko wróci do Niemiec. Tak byłoby najlepiej dla Sophii. – Eduard popatrzył na nią. – Byłaś z nimi tamtego wieczoru, gdy ją odwiedził?

– Nie. Frederik przyszedł, kiedy już się kładłam spać.

– Mój Boże! – Édouard złapał się za głowę z przerażenia. – Sophia naprawdę oszalała! Przyjmowanie mężczyzny sam na sam jest niedopuszczalne, a żeby jeszcze w tajemnicy, późno w nocy, to po prostu nie do pomyslenia!

– Édouardzie, proszę wybaczyć mi, naprawdę nie wiedziałam, co robić – tłumaczyła się Connie. – Nawet gdybym powiedziała Sophii, że nie wypada spotykać się z Frederikiem sam na sam o tej porze, to w końcu jestem tu tylko gościem. Nie mam prawa mówić, co jej wolno, a czego nie. A szczególnie jeśli jest w towarzystwie niemieckiego oficera tak wysokiego rangą – dodała. – Okropnie mi przykro.

Édouard opadł na fotel. Był zdruzgotany.

– Nie dość, że gwałcą i niszczą nasz piękny kraj, że kradną jego skarby? Czy muszą też ukraść mi siostrę? Ja już czasem...

– Co takiego Édouardzie?

Przez chwilę patrzył w przestrzeń.

– Wybac, Constance – powiedział wreszcie. – Jestem zmęczony i zszokowany zachowaniem siostry. Mam wrażenie, że strasznie długo prowadzę tę wojnę. No,

zobaczymy, może Frederik wkrótce wyjedzie do Niemiec. Jeśli nie, trzeba będzie podjąć bardziej drastyczne kroki.

– Przynajmniej dowiedzieliśmy się, że ruchowi oporu udało się przejąć dokumenty STO. To świetna wiadomość, prawda? – spytała.

– Tak. – Odwrócił się do niej z dziwnym wyrazem twarzy. – I to nie koniec, zapewniam cię, że na tym nie koniec.

Édouard wyszedł z biblioteki, a Connie została z książką na kolanach, teraz już pewna, że Édouard de la Martinières miał swój udział we włamaniu do STO poprzedniego wieczoru. I ta myśl przyniosła jej ulgę. Ale to nie zmieniało faktu, że tkwiła uwięziona w sytuacji, której sobie nie wybrała, zmuszona do pasywnej roli, choć trenowano ją, by mogła działać... Powoli zaczynała już od tego wariować...

I dlaczego Frederik chciał kryć ten dom, wspominając o radiu? Czy to możliwe, że Sophia ma rację i Frederik naprawdę nie wierzy w idee nazistów? A może wie już, że to z tego domu nadawano, i zamierza sam wszystko sprawdzić?

Connie ukryła twarz w dłoniach i rozpląkała się. Sprawa, dla której miała walczyć, zaczynała rozplýwać się wśród tego chaosu. Wszyscy inni zdawali się wiedzieć, w co grają i jaka jest ich rola. A ona czuła się jak jakieś szczątki rozbitego statku miotane to tu, to tam wedle widzimisię innych, którzy mają swoje ukryte cele.

– Lawrence – szepnęła. – Pomóż mi.

Rozejrzała się po bibliotece, miała wrażenie, że książki spoglądają na nią z półek surowo, chłodno, bezdusznie. Ich okładki wydawały się bardzo podobne jedna do drugiej. Nie zdradzały, co mają w środku. Idealna metafora życia, jakie teraz przypało jej w udziale.

•••

Podczas lunchu, Sophia, którą Connie rzadko widywała w ostatnich dniach, wydawała się przemęczona i dziwnie błada. Connie patrzyła, jak przyjaciółka zmusza się do jedzenia, a potem wstaje, przeprasza i odchodzi od stołu.

Dwie godziny później, kiedy Sophia nadal nie wychodziła ze swojego pokoju, Connie zapukała do jej drzwi. Sophia leżała na łóżku, poszarzała na twarzy, z zimnym okładem na czole.

– Źle się czujesz? – Connie przysiadła obok niej i wzięła ją za rękę. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie. Nie jestem chora. Przynajmniej nie fizycznie... – Sophia westchnęła i uśmiechnęła się słabo. – Dziękuję, że przyszedłeś, Constance. Chyba ostatnio mało czasu spędzałyśmy razem. Brakowało mi ciebie.

– Ale już jestem – zapewniła Connie.

– Och, Constance. – Sophia zagryzła wargę. – Frederik powiedział mi, że za kilka tygodni musi wracać do Niemiec. Jak ja to przeżyję? – Jej niewidome oczy zaszkliły się łzami.

– Będziesz musiała dać sobie radę. – Connie ścisnęła jej rękę. – Tak jak ja bez Lawrence’a.

– Na pewno – przyznała Sophia. – Wiem, myślisz, że jestem naiwna i nie pojmuję, co znaczy miłość. Że przeboleję rozstanie z Frederikiem, bo nie ma dla nas przyszłości. Ale ja jestem dorosła i wiem, co mówi mi serce.

– Próbuję cię tylko chronić, Sophio – powiedziała Connie. – Rozumiem, jakie to dla ciebie trudne.

– Constance, ja wiem, że ja i Frederik będziemy razem. Czuję to tu – Sophia położyła rękę na sercu – we mnie. Frederik obiecuje, że znajdzie sposób, i ja mu wierzę.

Connie westchnęła. Na tle potworności ostatnich czterech lat, kiedy miliony ludzi straciły życie albo swoich ukochanych na wojnie, romans Sophii mógł się wydawać banalny. Ale dla Sophii to było wszystko, bo było jej własne.

– Jeśli Frederik mówi, że znajdzie sposób, to dotrzyma słowa – pocieszyła dziewczynę, zdając sobie sprawę, że nie może powiedzieć wiele więcej. Skoro Frederik wkrótce odjeżdża, to mogła mieć jedynie nadzieję, że sprawa rozwiąże się sama.

...

Następne tygodnie były pełne zarwanych nocy, bo co rusz rozlegały się syreny i mieszkańcy Paryża musieli uciekać do piwnic, by się tam chronić. Connie słyszała o atakach RAF na fabryki Peugeot’a i Michelin’a w centrum przemysłu pod Paryżem. Gdyby była w Anglii, cieszyłaby się, czytając o tym w „Timesie”, ale tu gazety podawały, ilu przy okazji zginęło pracujących tam niewinnych francuskich cywilów.

Gdy szła na swój zwyczajowy spacer do ogrodu Tuileries, miała wrażenie, że czuje, jak zamiera puls miasta, a ludzie pomału tracą nadzieję, że wojna kiedyś się skończy. Obiecana inwazja aliantów jakoś nadal się nie materializowała i Connie zastanawiała się, czy w ogóle nastąpi.

Siedząc na swojej ulubionej ławce, kiedy zapadała coraz gęstsza mgła, jakby ten ponury dzień też czym prędzej chciał minąć, Connie dostrzegła idącą ku niej Venetię.

Przeszły przez zwyczajową wymianę uprzejmości, a potem Venetia usiadła obok. Choć miała na sobie swoje „bogate” przebranie, wyraźnie nie zadała sobie trudu, żeby nałożyć maskę z makijażu. Jej wychudzona twarz była przeraźliwie blada.

– Dziękuję, że wpuściłaś mnie wtedy do piwnicy. Bardzo mi pomogłaś. – Venetia wyciągnęła gauloisa. – Zapalisz?

– Nie, dziękuję.

– Jadę na tym świństwie, zabija głód – rzuciła Venetia, zaciągając się.

– Potrzebujesz pieniędzy, żeby kupić sobie coś do jedzenia? – zapytała Connie, bo przynajmniej to mogła zaproponować przyjaciółce.

– Nie, dziękuję. Problem w tym, że stale muszę skakać z miejsca na miejsce, nie wolno mi nadawać dwa razy z tej samej lokalizacji, żeby mnie szkopy nie namierzyły. Stale się gdzieś przemieszczam na moim rozklekotanym rowerze, trudno znaleźć czas, żeby usiąść i zjeść.

– Jak się mają sprawy? – spytała Connie.

– Och, wiesz, Con – odparła Venetia, zaciągając się mocno – jeden krok naprzód, dwa w tył. Przynajmniej jesteśmy nieco lepiej zorganizowani niż w lecie, kiedy tu przyjechałam. Ale przydałaby się dodatkowa para rąk. I pomyślałam sobie, że może to nie ma znaczenia, że oficjalnie nie jesteś już agentem. Nie ma powodu, żebyś nie mogła się włączyć jak każdy zwyczajny francuski obywatel. A może, kiedy poznasz ludzi, z którymi pracuję, pomogą ci wyjechać z Francji.

– Naprawdę? – Connie od razu dostała skrzydeł. – Och, Venetio, wiem, że moje życie w Paryżu to piknik w porównaniu z twoim, ale zrobiłabym wszystko, wszystko na świecie, żeby spróbować wrócić do kraju i wyrwać się z tego domu.

– Powiedziałam już ludziom z mojej grupy, że mi pomogłaś, i jestem pewna, że mogliby ułatwić ci wydostanie się z Francji. Proponuję, żebyś przyszła na nasze następne spotkanie. Nie mogę ci nic obiecać. I musisz brać pod uwagę, że zawsze może się zdarzyć zdrajca, który powie Niemcom, gdzie się zbieramy. Ale

przysługa za przysługę. Poza tym – dodała – jesteś moją przyjaciółką. I żał mi ciebie, że tkwisz w tym domu, zabawiając te świnię.

Venetia uśmiechnęła się do Connie ciepło i znów przez moment, mimo całego zmęczenia, było widać, jak bardzo jest piękna.

– A tak przy okazji, mam wrażenie, że gość, u którego mieszkasz, to jakaś szycha w ruchu oporu. Słyszałam o jakimś bardzo bogatym człowieku w Paryżu, który ustępuje rangą tylko Moulinowi, naszemu nieodżałowanemu, bohaterskiemu dowódcy. Jeśli to ten facet, kochana, to jasne, dlaczego Londyn musiał poświęcić twoją błyskotliwą karierę agentki, kiedy pojawiłaś się na jego progu na oczach gestapo. No nic, muszę lecieć. – Venetia wstała. – W czwartek podam ci szczegóły, gdzie i kiedy będzie spotkanie. Na razie, do zobaczenia.

Zgodnie z umową Connie była w ogrodzie Tuileries w czwartek, ale Venetia się nie pojawiła. Wreszcie, po wysiadaniu na ławce o wyznaczonej porze przez kolejne cztery dni, Connie dostrzegła przyjaciółkę. Jechała na rowerze. Nie przywitała się jednak, tylko przystanąła na chwilę i patrząc naprzód, powiedziała cicho:

– Café de la Paix w Dziewiątej Dzielnicy, dziś o dziewiątej wieczorem.

I już jej nie było.

Connie przez kilka następnych godzin zastanawiała się, jak wymknąć się z domu tak, żeby nikt tego nie zauważył. Édouard z pewnością nie pozwoliłby jej wyjść samej tak późno wieczorem. Postanowiła oznajmić, że boli ją głowa, i schować się w swoim pokoju zaraz po kolacji. Édouard zwykle zamykał się wtedy w swoim gabinecie. A kiedy upewni się, że już tam poszedł, zejdzie do kuchni i wymknie się od strony piwnicy, która nadal nie była zamykana w związku z brakiem klucza.

Tego wieczoru po kolacji, kiedy Édouard wstał od stołu, a ona zaczęła realizować plan, rozległ się dzwonek do drzwi. Sarah poszła otworzyć. Wróciła do jadalni i oznajmiła:

– Pułkownik Falk von Wehndorf do pani, *madame* Constance. Czeka w salonie.

Bliska płaczu przez ten zbieg okoliczności Connie ruszyła na korytarz i zmusiła się do szerokiego uśmiechu, nim weszła do salonu.

– Witam, *Herr* Falk. Co słyhać?

– Wszystko dobrze, dziękuję, ale nie widziałem *Fräulein* od kilku dni i stęskniłem się za jej urodą. Chciałem zapytać, czy zrobisz mi tę przyjemność i dasz się zaprosić na tańce później wieczorem?

Connie zaczynała szukać wymówek, ale Falk pokręcił głową i położył jej palec na ustach.

– Nie, *Fräulein*, zbyt wiele razy mi odmawiałaś. Dziś nie dam sobie tego wyperswadować. Przyjdę po ciebie o dziesiątej.

Już wychodził, ale nagle przystanął, jakby sobie coś przypomniał.

– Mam nadzieję, że będę w świetnym humorze. Moi ludzie mają ważne spotkanie w Café de la Paix dziś wieczorem. – Uśmiechnął się do niej. – Do zobaczenia, *Fräulein*.

Przerażona Connie patrzyła, jak wychodzi, serce jej waliło. Przecież właśnie do tej kawiarni miała zamiar pójść. Musi ostrzec Venetię, że gestapo wie o spotkaniu. Pobieгла na górę, przypięła szpilką kapelusz i pognała z powrotem na dół. Kiedy otwierała drzwi i już miała przekroczyć próg, poczuła, że ktoś chwyta ją za rękę.

– Constance, a tobie dokąd tak spieszo o tej porze?

Odwrociła się do Édouarda. Wiedziała, że jej twarz zdradza, jak bardzo jest przerażona.

– Muszę iść! To sprawa życia i śmierci! Proszę, nic nie rozumiesz!

– Chodź, porozmawiamy w bibliotece. Powiesz mi, co cię tak zdenerwowało.

Édouard pociągnął ją mocno z powrotem, gestem nieznoszącym sprzeciwu. Kiedy byli w bibliotece, zamknął za sobą drzwi.

– Proszę – błagała Connie – Nie jestem twoim więźniem! Nie możesz mnie tu trzymać wbrew mojej woli. Muszę teraz wyjść, inaczej będzie za późno!

– Constance, nie jesteś moim więźniem, ale nie mogę też ryzykować i cię puścić, skoro nie wiem, dokąd idziesz. Albo mi powiesz, albo naprawdę będę cię musiał zamknąć w twoim pokoju. Nie myśl, że twoje działania, jak spotkanie z „przyjaciółką” w Ritzu, przeszły niezauważone – zaznaczył surowo. – A powtarzałem ci wiele razy, że nie możemy pozwolić, żeby ten dom był podejrzany o jakieś związki z ruchem oporu.

– Tak – przyznała Connie, przerażona, że on o wszystkim wie. – Kobieta, z którą spotkałam się w Ritzu, przechodziła ze mną szkolenie w Anglii. Prosiła mnie o pomoc. Jest moją przyjaciółką. Nie mogłam jej odmówić.

– No to teraz powiedz mi, dokąd się wybierasz – powtórzył pytanie Édouard.

– Przyjaciółka mówiła mi dziś po południu, że jej grupa ma spotkanie o dziewiętej w Café de la Paix. Falk właśnie dał mi do zrozumienia, że o tym wie. Gestapo zrobi tam zasadzkę. Muszę ich ostrzec, Édouardzie. Proszę – błagała – daj mi iść!

– Nie, Constance! Wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić. Wiemy, jakie będą konsekwencje dla wszystkich w tym domu, jeśli cię złapią i aresztują.

– Ale przecież nie mogę siedzieć z założonymi rękami, kiedy ona pakuje się prosto w śmiertelną pułapkę! Przykro mi, Édouardzie, cokolwiek powiesz, idę. – Connie zdecydowanie ruszyła do drzwi.

– NIE!

Édouard złapał ją za ramiona. Szarpała się, płacząc ze złości, bo zdała sobie sprawę, że nie ma dość siły, by wygrać tę walkę.

– Constance, uspokój się proszę, bo będę musiał trzepnąć cię w twarz. Nie pójdziesz ich ostrzec. – Édouard popatrzył na nią i głęboko westchnął. – Ja pójdę.

– Ty?

– Tak, mam o wiele więcej doświadczenia w takich sprawach, niż ty będziesz go mieć kiedykolwiek.

Spojrzał na zegarek.

– O której ma być to spotkanie?

– O dziewiątej. Za godzinę.

– Może zdążę skontaktować się z kimś, kto prześle wiadomość. – Édouard zmusił się do lekkiego uśmiechu. – Jeśli nie, pójdę tam sam. Musisz zdać się na mnie. Zrobię, co w mojej mocy, obiecuję.

– O Boże, Édouardzie. – Skruszona Connie ukryła twarz w dłoniach. – Wybacz, że zawiodłam twoje zaufanie.

– Porozmawiamy później. Muszę iść, jeśli mam zdążyć na czas. Gdyby ktoś tu wpadł, jestem w łóżku, mam migrenę.

– Édouardzie! – przypomniała sobie nagle Connie. – Falk chce mnie zabrać o dziesiątej na tańce.

– W takim razie muszę się postarać wrócić do tej pory do domu.

Kiedy Édouard wyszedł z biblioteki, Connie padła na fotel. Kilka minut później usłyszała trzaśnięcie zamykanych frontowych drzwi.

– Proszę – spłotła błagalnie dłonie – niech Édouard zdąży ich ostrzec.

•••

Connie czuwała w salonie przy oknie, patrzyła, czy Édouard wraca. Noc nie była zimna, ale ze strachu dostała dreszczy. Zegar na kominku odliczał miarowo mijające sekundy, a kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, Connie aż podskoczyła. Przypomniała sobie, że jest umówiona z Falkiem.

Ale przecież ledwie minęła dziewiąta.

Connie wyszła do holu. Patrzyła, jak Sarah otwiera drzwi. W progu stał Falk.

– Nie za wcześnie, *Herr* Falk? Nie jestem jeszcze gotowa – powiedziała.

– Myli się pani, *Fräulein* Constance. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej serdecznie. – To ja, Frederik. Zastanawiałem się, czy jest może *mademoiselle* Sophia? Pewnie mówiła pani, że jutro wyjeżdżam. Chciałbym się pożegnać.

– Tak, oczywiście – odparła Connie – jest w bibliotece.

Wskazała na drzwi.

– I przepraszam, że wzięłam pana za Falka. Spodziewam się go nieco później.

– Proszę nie przepraszać – uspokoił ją Frederik. – To mi się zdarza nie po raz pierwszy i na pewno nie ostatni.

Skinął głową, mijając ją i idąc do biblioteki. Zamknął za sobą drzwi.

Kiedy Connie szła na górę, żeby przygotować się na nieuchronne męki, zastanawiała się, czy może być jeszcze gorzej. Wyszykowana wróciła na dół do czuwania w salonie. Chciała czym prędzej ostrzec Édouarda, że w domu jest Frederik.

Wskazówki zegara wskazywały za kwadrans dziesiątą, gdy Connie usłyszała kroki na ganku. Pobiegła od razu do drzwi, otworzyła, a Édouard wpadł przez nie prosto w jej ramiona. Zdyszany, z trudem trzymał się na nogach. Jęknęła na widok krwi przesiąkającej przez marynarkę na prawym ramieniu.

– O Boże, jesteś ranny! Co się stało?

– Nie zdążyłem. Kiedy schodziłem po schodach, to miejsce już było otoczone przez gestapo. W kawiarni panika, obie strony otworzyły ogień. Nie wiem, kto mnie postrzelił. Nie martw się, Constance, to tylko powierzchowna rana, nic mi nie będzie. Niestety, co do twojej przyjaciółki, to nie mam pewności – powiedział słabym głosem.

– Édouardzie – uprzedziła szybko – mamy gościa, nie może cię zobaczyć...

Było za późno. Oczy Édouarda nie patrzyły już na Connie, ale na Frederika i Sophię stojących po drugiej stronie holu. Frederik przyglądał się Édouardowi zaskoczony.

– Édouardzie, jesteś ranny? – zapytał.

– To drobiazg – szybko zbagatelizował sprawę Édouard. – Wychodziłem z restauracji i trafiłem na strzelaninę na ulicy.

– Co się dzieje, Frederiku? – przeraziła się Sophia, która nie mogła widzieć rany brata. – Coś ci się stało, braciszku? Mamy cię zawieźć do szpitala?

– Nie ma potrzeby – zdołał zapewnić Édouard, półprzytomny z bólu. – Pójdę na górę i doprowadzę się do porządku.

– Pomogę ci – powiedziała Connie.

– Nie, przyślij Sarah, żeby przygotowała mi kąpiel. – Édouard skrzywił się w uśmiechu i ruszył na schody. – Jestem pewien, że rano będę jak nowy. Dobranoc.

Cała trójka stała jak porażona, kiedy wchodził chwiejnie na stopnie. Gdy zniknął w korytarzu, odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– To pewnie twój brat – rzuciła Connie, łapiąc szybko palto z wieszaka. – Proszę sobie nie przeszkadzać, *Herr* Frederik, do zobaczenia, Sophio.

Otworzyła Falkowi.

– Jestem gotowa! Idziemy? – powiedziała z promiennym uśmiechem.

Zaskoczony i ucieszony tak ciepłym powitaniem Falk podał jej ramię i zeszedł po schodach do czekającego auta. Szofer otworzył Connie drzwi, a Falk usiadł z tyłu obok niej. Czują jego cierpki oddech, jak zwykle zmieszany z nutą alkoholu. Swastyka na jego ramieniu ocierała się jej o skórę, a dłoń mocno ścisnęła kolano.

– Niech to szlag, dobrze się trochę oderwać. To był pracowity dzień – rzucił Falk.

– Ale udany? – spytała Connie tak spokojnie, jak tylko mogła.

– Wyjątkowo. Złapaliśmy dwudziestu, szkoda tylko, że wyjęli broń i straciliśmy jednego z naszych ludzi. Przyjaźniłem się z nim. Niektórzy, oczywiście, uciekli... ale ci w areszcie kwiczą i sypią nazwiskami swoich kompanów, kiedy tylko ich trochę przycisnąć. Bądź pewna, że wyłapiemy i tych, którzy wyszli z siebie obławie. Ale – poklepał ją po kolanie – to może poczekać do jutra. Dziś większość jest już bezpiecznie za kratami i chcę się zrelaksować.

Connie czuła, że Falk cieszy się swoim triumfem. Gdy weszli do klubu, przeprosiła go na chwilę, poszła do toalety i zamknęła się w jednej z kabin. Usiadła na klapie i opuściła głowę między kolana. Czuła się tak, jakby miała zaraz zemdleć, brakowało jej tchu. Na pewno wszystko się wyda. Kiedy Frederik powie bratu o tym, że Édouard wrócił do domu z wyraźną raną po postrzale, Falk nabierze podejrzeń. Może nawet Frederik już wyszedł i zaalarmował gestapo.

I to wszystko przez nią. Zawiodła zaufanie Édouarda, a starając się ostrzec Venetię, zniszczyła jego ciężko zdobytą i zaciekle chronioną przykrywkę i naraziła go na nieuchronne niebezpieczeństwo.

O Boże, Boże, co ja narobiłam...?

A Venetia, czy należy do tych nielicznych szczęśliwców, którym jak Édouardowi udało się uciec? Czy siedzi zamknięta w siedzibie gestapo, czekając na tortury, jakim poddawano tam agentów SOE i członków ruchu oporu, zanim

trafiali do obozów koncentracyjnych albo, jeśli mieli dość szczęścia, byli rozstrzelani na miejscu?

Connie wyszła z kabiny i ochlapała twarz wodą nad umywalką. Na nowo pomalowała usta i wygłosiła do siebie przemowę przed lustrem. Wiedziała, że tego wieczoru musi dać Édouardowi, jeśli jeszcze nie jest aresztowany, tyle czasu, ile się tylko da, żeby się pozbierał.

Za wszelką cenę...

•••

Édouard leżał na łóżku i zaciskał zęby z bólu, jakim pulsowało ramię. Po kąpeli, Sarah oczyściła mu ranę, zdezynfekowała ją i opatrzyła.

– *Monsieur Édouard* – powiedziała zrozpaczona. – Wie pan, że powinno się jechać do szpitala, gdzie zajęliby się tym, jak należy. Kości nie są uszkodzone, prawda, ale rana jest głęboka i może zostały w niej jeszcze jakieś odłamki.

– Sarah, wiesz, że nie mogę. – Skrzywił się, kiedy środek dezynfekujący zapiekł jak użądlenia tysiąca pszczoł. – Musimy zrobić, co się da, tutaj. Czy Frederik już wyszedł?

– Nie. Jest jeszcze w bibliotece z *mademoiselle* Sophią.

Édouard sięgnął do jej dłoni.

– Wiesz, że dla mnie to już prawie na pewno koniec? W kawiarni widziało mnie co najmniej dwóch gestapowców. Wszyscy w tym domu będą podejrzeni. Ja... – Édouard próbował usiąść, ale z bólu znów opadł na poduszki. – Sarah, tak jak zawsze planowaliśmy na wypadek takiej sytuacji, musisz jak najszybciej wyjechać i zabrać *mademoiselle* Sophię i Connie na południe, do zamku. W każdej chwili może tu wpaść po nas gestapo.

– *Monsieur* – Sarah pokręciła głową – pan wie, że tego nie zrobię. Pracowałam dla pana rodziny trzydzieści pięć lat i podziwiam pana odwagę i bohaterstwo. Dwa lata temu te świnię zastrzeliły mi męża. Nie opuszczę pana teraz.

– Musisz, Sarah, dla dobra Sophii – nalegał Édouard. – Proszę, szykuj się, uciekajcie jak najszybciej. W biurku w bibliotece są pieniądze i dokumenty, które dla was wyrobiłem. Dzięki nim, jeśli szczęście dopisze, wydostaniecie się z Paryża, ale potem musisz załatwić nowe papiery. Dam znać, komu trzeba, że przyjeżdżacie. Pomogą wam, ja...

Do drzwi sypialni ktoś zapukał.

– Otwórz, a potem rób, co powiedziałem.

Sarah podeszła do drzwi i otworzyła. W progu stał Frederik, Sophia trzymała go pod ramię.

– Siostra chciała cię widzieć, Édouardzie – wyjaśnił Frederik. – Bardzo martwi się o twoje zdrowie, ja też. Możemy wejść?

– Oczywiście.

Édouard patrzył, jak Frederik, troskliwy niczym ojciec, podprowadza Sophię do łóżka i sadza ją.

– Och, braciszku, co się stało?

Sophia z twarzą stężalą z niepokoju poszukała jego dłoni i chwyciła ją.

– Jesteś ciężko ranny?

– Nie, najdroższa. Jak mówiłem, to tylko draśnięcie. Była strzelanina i przypadkiem znalazłem się na linii ognia. – Édouard wiedział, że każde jego słowo może być wyrokiem śmierci, zarówno dla niego, jak i siostry.

Jednak spojrzenie Frederika nie skupiało się na nim ani na leżących na talerzyku na szafce nocnej odłamkach szrapnela, które Sarah troskliwie wyjęła z rany. Ztroskany koncentrował się tylko na Sophii.

– Tak, słyszałem, że dziś wieczorem była seria aresztowań na mieście.

W tej chwili wzrok Frederika powędrował ku Édouardowi i dwaj mężczyźni popatrzyli sobie głęboko w oczy.

– Teraz muszę iść. Proszę, Édouardzie, jeśli tylko czegoś byś potrzebował, dzwoni do mnie bezpośrednio, przez linię prywatną do siedziby gestapo. Dam ci numer.

Frederik wyciągnął ołówek i kartkę z wewnętrznej kieszeni i zapisał numer telefonu.

– Dobranoc, Sophio – powiedział. – Zaopiekuj się bratem.

Delikatnie pocałował jej dłoń, skinął głową Édouardowi i opuścił pokój.

•••

Connie zdołała wrócić do Falka ze sztucznym uśmiechem na karminowych wargach. Falk jadł łąpczywie, a ona grzebała w talerzu. Chciał dowiedzieć się więcej o jej życiu przed wojną, w domu w Saint-Raphaël, i planach na przyszłość.

– Myślę, że wszystkim nam trudno coś planować, zanim ta wojna naprawdę się skończy – powiedziała, kiedy Falk dolewał jej wina.

– Ale wynik jest wiadomy, prawda? – zauważył, wpijając w nią wzrok.

– Oczywiście – odparła szybko. – Póki jednak Francuzi nie rozumieją, co dla nich najlepsze, czasy są niebezpieczne.

– Rzeczywiście – uspokoił się Falk. – A co z twoim kuzynem Édouardem? To ciekawy człowiek, prawda?

– Tak, interesujący – zgodziła się zdawkowo.

– Przedstawiciel francuskiej burżuazji, historia jego rodziny sięga setek lat. Drzewo genealogiczne pełne wspaniałych postaci, które ryzykowały życie dla ojczyzny.

– To prawda, w jego rodzinie było wielu bohaterów – potwierdziła.

– A jednak Édouard potrafił przejść na stronę Niemców i ich rosnącego imperium. Często zastanawiałem się, jak to się stało i dlaczego taki człowiek angażuje się w coś takiego? – ciągnął z zadumą Falk, nie spuszczając oczu z Connie.

– Może dlatego, że widzi przyszłość, podobnie jak ty – podsunęła gorliwie. – Wie, że stara Francja nie przetrwa w dawnej postaci, i uwierzył w idee Führera.

– Przyznam, że nasze prawicowe sentymenty są korzystne dla bogatych ludzi jak on. A mimo to – Falk westchnął – bywało, że niektórzy mieli wątpliwości, czy Édouard rzeczywiście tak bardzo wspiera naszą sprawę, jak się wydaje. Jego nazwisko łączono z pewną tajną organizacją intelektualistów, a ostatnio z ruchem oporu. Oczywiście puszczałem to mimo uszu i potraktowałem jako zwykłe plotki.

– I miałaś rację, Falk. Chyba nikt w Paryżu nie uniknie od czasu do czasu podejrzeń. Pewnie nawet i ja! – Connie zaśmiała się.

– Nie, *Fräulein*. Zapewniam, że pani konto jest czyste. Czy Édouard jest w domu dziś wieczorem? – zapytał Falk. – Może po naszym spotkaniu mógłbym z nim pomówić, ostrzec go, że jego nazwisko padło podczas ostatnich działań przeciwko ruchowi oporu. W końcu tak powinien zachować się przyjaciel. Édouard tyle razy serdecznie przyjmował mnie i mojego brata.

– Oczywiście, zastaniesz go w domu, ale jest tak późno, że pewnie już leży w łóżku. A poza tym – Connie zacisnęła zęby i położyła dłoń na jego ręce. – Myślałam, że dziś chcesz się zrelaksować?

Przechyliła nieśmiało głowę i uśmiechnęła się do niego zalotnie.

Oczy Falkowi zabłyśły, uderzył pięścią w stół.

– Tak! Masz rację. Ten wieczór ma być dla przyjemności. Chodź, zatańczymy.

Connie przywarła do niego mocno, kiedy kołysali się w takt muzyki. Przyjmowała jego pieszczoty, jakby na nie czekała. Czowała jego podniecenie na

swoim udzie, kiedy całował ją mocno, wodząc swoim jaszczurczym językiem po jej ustach.

– Chodźmy gdzieś, gdzie możemy być sami – szepnęła mu do ucha Connie, żeby odwieść go od zamiaru odwiedzenia Édouarda.

– Natychmiast.

Falk wezwał szofera i wsiedli do auta. Ostro rzucił swój adres. Nie tracił czasu, brutalnie dobierając się do wszystkich części ciała Connie, jakie miał w zasięgu rąk. Zatrzymali się przy ponurym gmachu parę minut jazdy od siedziby gestapo na Avenue Foch. Falk zwolnił szofera. Pociągnął Connie do windy i nacisnął przycisk drugiego piętra. Kiedy weszli do mieszkania, poprowadził ją pospiesznie do ciemnej sypialni.

– *Mein Gott!* Czekałem na to, odkąd cię zobaczyłem.

Zdzierając z niej ubranie i przerywając tylko, by zrzucić z siebie marynarkę, popchnął Connie na łóżko i odpiął rozporek. Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy, kiedy się w nią wbił, ugniatając boleśnie jej piersi. Poruszała biodrami ku niemu, by udać, że jest jej dobrze, i żeby to się jak najszybciej skończyło.

Słyszała, jak pojękuje coś po niemiecku z rozkoszy, czuła obrzydliwy oddech na twarzy. Jej suche wnętrze krzyczało z bólu, gdy rytmicznie rozdierał jej delikatne ciało. Kiedy już myślała, że zemdleje, wydał z siebie ryk i bezwładnie opadł na nią.

Po jakimś czasie jego oddech się wyrównał. Falk uniósł się na łokciu i przypatrzył się jej.

– Francuska arystokratka, a pieprzysz się jak prostytutka.

Sturłał się z niej i zamknął oczy.

Uspokojona trochę Connie, dziękowała Bogu, że przynajmniej trwało to stosunkowo krótko.

Ale dziesięć minut później Falk się obudził. Popatrzył na nią i zaczął się pieścić. Ściągnął Connie brutalnie za ramiona na podłogę. Stał nad nią okrakiem i unieruchomił między nogami.

– *Herr Falk!* Proszę, ja... – Nie mogła już nic powiedzieć, bo wepchnął jej członek w usta.

– Wy, francuscy burżuje, macie się za lepszych od nas. – Stalowym chwytem przytrzymał jej głowę, wbijając się jej w gardło. – Ale nie wy, kobiety, jesteście wszystkie takie same: dziwki, prostytutki!

Nim nadszedł świt, Connie została zmuszona do wielu upokarzających i nienaturalnych gier seksualnych. I cały czas Falk nie przestawał wyzywać kobiet. Płakała, prosiła, ale pozostawał głuchy na jej błagania i bawił się nią okrutnie dalej. W pewnym momencie, kiedy przewrócił ją na brzuch i wtargnął do dziewiczych, nieprzeznaczonych do tego, intymnych wnętrz, ból był tak wielki, że Connie straciła przytomność.

Ocknęła się w słabym świetle docierającym zza okna i odkryła, że Falka nie ma w pokoju. Zalana łzami, potykając się i chwając na nogach, zebrała ubrania i nałożyła na swoje posiniaczone, krwawiące ciało. Sprawdziła godzinę na zegarku i zobaczyła, że jest dopiero po szóstej. Z trudem wstała. Każdy krok wywoływał koszmarny ból skatowanych mięśni. Otworzyła drzwi sypialni. Rozpaczliwie szukając wyjścia, znalazła się w salonie.

Zobaczyła zdjęcie. Jediną dekorację urządzonego surowo pokoju. Przedstawiało kobietę. Dorodna, pulchna mamusia z dwójką cherubinków – małych kopii Falka.

Connie cofnęła się i pokuśtykała do łazienki, gdzie zwymiotowała. Otarła twarz i przepłukała usta wodą. Potem wyszła z mieszkania.

Kiedy dowlokła się do domu de la Martinièresów, w progu powitała ją Sarah.

– Czekaliśmy na panią, *madame*. Gdzie pani była? Co się pani stało? – spytała przerażona na widok roztrzęsionej Connie.

Connie nic nie odpowiedziała, tylko śmignęła obok niej i pobiegła na górę. W łazience odkręciła kurki i weszła do wanny. Szorowała każdy kawałek ciała, do żywego, aż do czerwoności.

Na dole znów rozległ się dzwonek do drzwi. Tym razem to był Frederik.

– Muszę zobaczyć się z hrabią, *madame* – powiedział do Sarah.

– Jeszcze śpi.

I znów Sarah została zlekceważona, a Frederik pognał na górę, biorąc po dwa stopnie naraz, i wszedł do sypialni Édouarda.

Édouard z oczami błyszczącymi od gorączki, bo rana szybko się zaogniła, patrzył na niego z lękiem, niezdolny unieść głowy z poduszki. Nie od razu zorientował się, z którym bratem ma do czynienia.

– *Monsieur le comte*, Édouardzie, przepraszam, że tak tu wpadam – powiedział pospiesznie Frederik – ale muszę cię ostrzec, że ty i twoja rodzina jesteście w wielkim niebezpieczeństwie. Mój brat od dawna podejrzewał cię o związki z ruchem oporu. Przyszedł do mojego biura dziś rano i powiedział mi, że jeden z jego oficerów rozpoznał cię podczas aresztowania siatki Psychologa w Café de la Paix wczoraj wieczorem. Falk może tu być lada moment, żeby aresztować ciebie, twoją kuzynkę i Sophię. Proszę, musicie natychmiast uciekać – błagał. – Nie ma chwili do stracenia.

Zszokowany Édouard wpatrywał się w Frederika oniemiały.

– Ale... dlaczego mi to mówisz? I dlaczego miałbym ci zaufać?

– Bo nie masz wyboru i ponieważ kocham twoją siostrę. Słuchaj – powiedział Frederik, podchodząc do łóżka i patrząc na Édouarda z góry – twoja nienawiść do nas, Niemców, jest uzasadniona, ale wielu z nas nie miało wyboru, musieliśmy brać udział w czymś, w co już nie wierzymy. Jest nas coraz więcej. Édouardzie, tak jak ty korzystałem ze swojej pozycji, aby, na ile mogę, zmniejszyć liczbę ofiar. Ja

też mam związki z ludźmi twojego pokroju, którzy walczą o to, by nie dopuścić do wyniszczenia naszych pięknych krajów i nie dać podeptać ich historii nazistowskimi buciorami. Ale nie czas o tym rozprawiać. Musisz wstać i natychmiast opuścić dom.

Édouard potrząsnął głową.

– Nie mogę, Frederiku. Popatrz na mnie, jestem chory. To panie muszą stąd uciekać. Ja za bardzo zwracałbym uwagę i uniemożliwiłbym ich ucieczkę.

– Frederiku! – W drzwiach stała Sophia. – Co się dzieje?

Frederik podszedł szybko do niej i przytulił ją do siebie.

– Nie martw się, moja Sophio, postaram się, żebyście byli bezpieczni. Powiedziałem twojemu bratu, że jesteście podejrzani i że lada moment wpadnie tu gestapo. Musicie natychmiast uciekać, *mein Liebling*.

– Sarah już mnie spakowała. Brat kazał jej to zrobić wczoraj wieczorem. Jesteśmy gotowi, Édouardzie, wstawaj, ubieraj się! – krzyknęła Sophia.

– Na dole mam zaparkowane auto. Mogę was zawieźć w Paryżu, dokąd chcecie – dodał Frederik. – Ale musimy się już zbierać.

– Frederiku, na pewno strasznie się narażasz – powiedział Édouard, starając się usiąść, ale tylko znów opadł na poduszki.

– Musimy robić, co trzeba, dla tych, których kochamy – odparł Frederik, wciąż tuląc do siebie Sophię.

Sophia wyrwała się mu i podeszła w stronę łóżka, namacała rękę Édouarda, a potem dotknęła jego czoła.

– Masz gorączkę, ale musisz wstawać! Dobry Boże, Frederik mówi, że będą tu lada chwila!

– Sophio, wiesz dobrze, że nie dam rady nigdzie jechać – oznajmił Édouard tak spokojnie, jak tylko mógł się na to zdobyć. – Ale wierz mi, znajdę sposób, by do was dołączyć. Sarah i Constance będą towarzyszyć ci w podróży, a ja dojadę najszybciej, jak to możliwe. Teraz idźcie już!

– Przecież nie mogę cię zostawić...

– Raz zrób, co ci się każe, Sophio! Niech cię Bóg prowadzi, ukochana sestro, modlę się, żebyśmy się szybko spotkali.

Édouard uniósł się i ucałował siostrę w oba policzki, a potem skinął na Frederika, by zabrał Sophię z sypialni. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, zaczął układać w rozpalonej gorączką głowie plan.

Na dole czekały już Sarah i Connie. Frederik zaprowadził je do samochodu i wsiedli.

Édouard, przewyciężając ból, podniósł się nieco i patrzył przez okno, jak Frederik rusza i odjeżdżają.

• • •

– Dokąd was zawieźć? – zapytał Frederik, wyglądający dziwnie w czapce szofera.

– Gare de Montparnasse. Pojedziemy najpierw do domu mojej siostry, gdzie dostaniemy nowe papiery – powiedziała Sarah, ona jedna z nich trzech była w stanie udzielić odpowiedzi.

– A potem dokąd pojedziecie? – zapytał.

Connie rzuciła Sarah takie spojrzenie, że ta natychmiast zamknęła buzię. Sophia, która nie mogła tego zobaczyć, powiedziała:

– Na południe, do naszego zamku w Gassin.

Frederik zauważył przerażone spojrzenie Connie w lusterku wstecznym.

– Constance, wiem, że nie potrafisz zaufać Niemcowi. Ale wierz mi, ja też wiele ryzykuję przez to, co do tej pory zrobiłem. Łatwo mógłbym aresztować waszą trójkę i zabrać was wprost do siedziby gestapo. Zapewniam cię, że moje dzisiejsze działania nie przejdą niezauważone. To może być dla mnie wyrok śmierci.

– No, tak – przyznała Connie, jej nerwy nadal były w strzępach po tym, co się stało w ostatnich godzinach. – Przepraszam cię, Frederiku, i doceniam twoją pomoc.

– Choć w naszych żyłach płynie taka sama krew, bardzo różnię się od brata – powiedział Frederik. – Bez wątpienia będzie podejrzewał, że pomogłem wam uciec, i zrobi wszystko, by przekonać innych o mojej winie.

Przy dworcu Montparnasse trzy kobiety wysiadły. Frederik wyjął im walizki z bagażnika.

– Życzę wam wszystkim szczęścia – szepnęła cicho.

Sophia zrobiła taki ruch, jakby chciała go dotknąć, ale powstrzymała ją.

– Nie. Jestem szoferem, pamiętasz? Ale, *mein Liebling*, przysięgam ci, że niedługo przyjadę i cię odnajdę. A teraz uciekajcie z Paryża jak najszybciej.

– Kocham cię, Frederiku – powiedziała Sophia szybko, zanim wmieszały się w tłum na dworcu.

– Ja też cię kocham, Sophio. Całym sercem – wyszeptał, wsiadając z powrotem do samochodu.

• • •

Falk przybył do domu de la Martinièresów godzinę po wyjściu kobiet. Nikt nie odpowiadał na jego walenie do drzwi, więc kazał swojej grupie szturmowej je wyłamać. Przeszukali dom od dołu do góry, ale nikogo nie znaleźli.

Klnąc pod nosem, Falk wrócił do siedziby gestapo.

Kiedy wszedł do biura Frederika, zobaczył, że brat pakuje teczkę na wyjazd do Niemiec.

– Właśnie byłem u de la Martinièresów, żeby ich aresztować. Ale rozplynęli się w powietrzu. Zupełnie jakby ktoś ich uprzedził. Jak to się mogło stać? – zapytał Falk z wściekłą miną. – Jedyna osoba, której powiedziałem o swoich podejrzeniach, to ty, braciszku.

Frederik zatrzasnął teczkę.

– Naprawdę? Coś takiego! Ale jak zawsze powtarzasz: w Paryżu ściany mają uszy.

Falk nachylił się do niego.

– Wiem, że to ty. Myślisz, że jestem głupi?! Robisz ze mnie durnia, a to ty zdradziłeś. I wiem, że nie po raz pierwszy. Uważaj, starszy bracie – uśmiechnął się szyderczo – pomimo wszystkich twoich mądrych słów i pomysłów, którymi mamisz innych, żeby przekonać ich o swojej lojalności, ja wiem, kim naprawdę jesteś.

Frederik nie spuścił wzroku. Siedząc za biurkiem, patrzył niewinnie na brata.

– No to, braciszku, powinieneś o tym donieść, komu trzeba. A teraz pozwól, że się pożegnám. Na pewno niedługo znów się spotkamy.

– Szlag!

Jak zwykle wyniosły spokój Frederika kompletnie wyprowadził Falka z równowagi.

– Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy, z tymi swoimi stopniami, doktoratami i planami, jakie wyrysowałeś, żeby zrobić wrażenie na Führerze? Ale to ja tyram, dzień po dniu, dla sprawy.

Frederik wziął teczkę z biurka i skierował się do drzwi. Zatrzymał się jednak i obrócił, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– To nie ja mam się za lepszego, bracie, to ty sądzisz, że jesteś gorszy.
– Znajdę ich! – zawołał Falk za nim, kiedy Frederik oddał się korytarzem. –
I tę dziwkę, która tak cię urzekła!
– Do widzenia, Falk – rzucił z westchnieniem Frederik, kiedy winda ruszała.
Falk z całej siły rąbnął pięścią w drzwi gabinetu.

• • •

Édouard zbudził się z niespokojnego snu. Panowała nieprzenikniona ciemność. Namacał zapałki, które ze sobą zabrał. Zapalił jedną, żeby spojrzeć na zegarek, i zobaczył, że jest po trzeciej. Minęło pięć godzin, odkąd usłyszał, jak grupa szturmowa wtargnęła do jego domu nad nim. Poruszył zeszywniałymi nogami i rękami, żeby się rozprostować, a jego stopy dotknęły ściany po drugiej stronie ciasnej kryjówki. Ta mała, wyłożona ceglami dziupla, do której można się było dostać przez zamaskowaną klapę w piwnicy, została wykopana dawno temu, by chronić jego przodków podczas rewolucji. Mieściło się w niej najwyżej dwoje ludzi. Choć legenda głosiła, że pewnej nocy, kiedy na górze płonął Paryż, a arystokratów dziesiątkami zapędzano na wozy i wożono pod gilotynę, ukrył się tu Arnaud de la Martinières z żoną i dwójką dzieci.

Édouard ukląkł i zapalił kolejną zapałkę. Wypatrzył krawędź klapy nad sobą i otworzył ją resztkami sił.

Podciągnął się i znalazł na wilgotnej kamiennej posadzce piwnicy. Leżał chwilę, zdyszany z bólu. Doczołgał się do szafy, gdzie trzymano dzbany wody na te noce, kiedy trzeba było uciekać do piwnicy przed nalotami. Wziął kilka dużych łyków. Trząsł się z zimna i pocił na przemian. Spojrzał w dół i zauważył, że z rany na ramieniu coś się sączy i przesiąka koszulę – płyn miał żółtawy kolor. Potrzebował pilnie pomocy medycznej. W innym przypadku infekcja pomału ogarnie cały organizm. Ale nie miał szans dostać się do szpitala. Wiedział, że dom jest pod obserwacją. Śledzą, czy ktoś tu wróci. Znalazł się w pułapce.

Pomyślał o siostrze i tylko modlił się, żeby ona, Sarah i Connie były już w drodze do bezpiecznego schronienia. Popatrzył w górę na surowy, spękany sufit piwnicy, ale obraz falował mu w oczach. Zamknął je więc i z ulgą zapadł w sen.

• • •

Connie cieszyła się, że Sarah przejęła dowodzenie. Kiedy zajęły miejsca w przedziale pierwszej klasy, zamknęła oczy, by nie widzieć twarzy dwóch niemieckich oficerów siedzących naprzeciwko. Sarah nawiązała z nimi uprzejmą rozmowę i Connie była wdzięczna za obecność tej wprowadzającej spokój starszej kobiety. Sophia milczała, patrząc niewidzącymi oczami za okno, kiedy mijali przemysłowe przedmieścia Paryża, a pociąg zmierzał na południe. Connie pomyślała, że właściwie nie ma już znaczenia, czy żyje, czy nie. Zeszłej nocy zgwałcono jej duszę, została potraktowana jak zwierzę, jak nic niewarty worek mięsa i kości, upokorzona ponad wszelką miarę.

Jak będzie kiedykolwiek mogła spojrzeć w oczy Lawrence'owi? I na co to wszystko? Walczyła, by chronić Édouarda, żeby dać mu tę noc na zaplanowanie ucieczki. A on został w Paryżu, samotny i ranny. Może teraz jest już w szponach Falka w siedzibie gestapo.

– Próbowałam, Édouardzie – jęknęła bezgłośnie.

Wyczerpana drzemała, gdy pociąg wiozł pasażerów przez równinne rolnicze tereny Francji. Na każdej stacji czuła, jak siedząca obok Sarah sztywnieje i patrzy uważnie, czy nie pojawi się gestapo, które mogło dowiedzieć się o ich ucieczce na południe. Oficerowie z przeciwka wysiedli w Le Mans i kiedy zostały w zamkniętym przedziale same, Sarah odezwała się szeptem do swoich dwóch podopiecznych.

– Wysiądziemy w Amiens i zatrzymamy niedaleko, u mojej siostry, gdzie będziemy mogły kupić fałszywe dokumenty. Édouard poprosił wczoraj wieczorem swojego przyjaciela, żeby przerzucił nas potem stamtąd przez granicę. To zbyt ryzykowne przekraczać ją w oficjalnym miejscu kontrolnym. Na pewno pułkownik Falk zaalarmował już władze i szukają nas.

Przerażone niewidzące oczy Sarah skierowały się ku Sarah.

– Myślałam, że jedziemy do naszego zamku?

– Tak. – Sarah poklepała jej dłoń. – Nie martw się, kochanie. Wszystko jest w porządku.

Kilka godzin później, gdy zapadała noc, wysiadły. Sarah ruszyła pewnie wąskimi uliczkami miasteczka, podeszła do drzwi skromnego domku i zapukała.

Otworzyła kobieta bardzo do niej podobna. Popatrzyła na nie wyraźnie zaskoczona i uradowana.

– Florence! – powiedziała Sarah. – Jesteś w domu, dzięki Bogu!

– Co ty tu robisz? Szybko, wchodź, proszę.

Gospodyni rzuciła okiem na towarzyszące siostrze młode kobiety.

– Zapraszam i panie.

Kiedy drzwi się zamknęły, Florence poprowadziła je do stołu w małej kuchni i kazała siadać. Krzątała się, żeby je ugościć, potem znikła na chwilę, by przynieść dzbanek wina, chleb i ser.

– Kim jest Florence? – spytała Sophia.

– To moja siostra, Sophio – wyjaśniła Sarah. W jej oczach widać było, jak bardzo cieszy się ze spotkania. – Jesteśmy w moim rodzinnym miasteczku.

Connie siedziała przy stole, sączyła wino i słuchała rozmowy siostr. Jej ciało nadal było całe obolałe po tym, jak brutalnie zostało potraktowane zeszłej nocy. Zmusiła się, by przełknąć trochę chleba z serem, i starała się wyprzeć z pamięci ohydne obrazy, które ciągle stawały jej przed oczami.

Florence opowiadała, jak ostatnio gestapo zgoniło grupę młodych mężczyzn z miasteczka i wysłało ich do obozów pracy w Niemczech, w odwecie za to, że partyzanci wysadzili gdzieś w pobliżu most. Sarah z kolei mówiła o Paryżu i swoim pracodawcy, Édouardzie, którego obecny los był nieznany.

– Ale przynajmniej wy jesteście bezpieczne u mnie dziś w nocy – zapewniła Florence, poklepując dłoń siostry. – Twoim przyjaciółkom jednak na wszelki wypadek pościelimy na strychu.

Spojrzała na Sophię, która siedziała za stołem i nawet nie tknęła chleba ani sera.

– Musi mi panienka wybaczyć, jeśli warunki nie będą takie, do jakich panienka przywykła.

– *Madame*, jestem bardzo wdzięczna, że przygarnęła nas pani pod swój dach na tę noc, pomimo ryzyka. Jestem pewna, że mój brat wynagrodzi to pani, jeśli... – Oczy Sophii zaszyły łzami. Sarah położyła rękę na jej ramieniu i objęła ją.

– Moja Sophio, znam Édouarda, od kiedy zakiełkował w łonie waszej matki. On znajdzie jakiś sposób, czuję to tutaj. – Sarah uderzyła się w pierś.

Później Sophię i Connie zaprowadzono na górę na strych. Sarah pomogła Sophii wejść na strome schody, rozebrać się, po czym utuliła ją w łóżku, tak jakby Sophia nadal była dzieckiem.

– Śpij dobrze, kochanie. – Pocałowała ją. – Dobranoc, *madame* Constance.

Kiedy Sarah wyszła, Connie rozebrała się. Nie miała odwagi popatrzeć w dół, gdzie musiało być mnóstwo czarnych sińców, tylko szybko wsunęła przez głowę koszulę nocną. Położyła się w wąskim łóżku, z ulgą, że jej obolałe ciało może

trochę odpocząć, i szczerze opatulila się pozszywaną z różnokolorowych kawałków materiału kołdrą, bo grudniowa noc była chłodna.

– Śpij dobrze, Sophio – powiedziała.

– Spróbuję – padła odpowiedź – ale tak mi zimno i stale myślę o bracie. Och, Constance, jak ja to wytrzymam? Jednego dnia straciłam i Édouarda, i Frederika.

Żałosny płacz zmusił Connie, by wstać. Podeszła do Sophii.

– Posuń się, połóż się obok, to będzie ci cieplej.

Sophia posłuchała i wtuliła się w Connie.

– Musimy wierzyć, że Édouard jest bezpieczny i że znajdzie sposób, by do nas dołączyć – powiedziała Connie z przekonaniem, którego sama nie miała.

W końcu obie zapadły w niespokojny sen, ciasno objęte, szukając w sobie nawzajem ciepła i pocieszenia.

•••

Édouard zobaczył stojącą nad nim matkę. Miał siedem lat, a ona zmuszała go, żeby napił się trochę wody, bo gorączkował.

– *Maman*, jesteś tu – wymruczał, uśmiechając się z zachwytem i ulgą na jej widok.

Ale zaraz jej twarz się zmieniła i to był Falk, w hitlerowskim mundurze. Mierzył mu z pistoletu prosto w serce...

Édouard zbudził się gwałtownie, jakby chciał rzucić się do ucieczki. Z jękiem rozpoznał nad sobą sufit piwnicy. Czuł nieznośne pragnienie, musiał się napić. Ale kiedy kazał ciału doczołgać się do półek, gdzie stały dzbany wody, nie posłuchało go.

Naprzemian to odzyskiwał, to tracił przytomność i pogodził się już z myślą, że wkrótce nadejdzie śmierć. A on powita ją z ulgą. Chciałby tylko wiedzieć, nim umrze, że jego ukochana siostra jest bezpieczna.

– Dobry Boże – wyszeptał – zabierz mnie, ale jej pozwól żyć... niech ona żyje.

Znów wiedział, że ma halucynacje. Jego dusza przygotowywała się do opuszczenia ciała, a nad nim pojawił się anioł o kruczoczarnych włosach, przykładając mu do rozpalonego czoła rozkosznie chłodny kompres i podawał do spierzchniętych ust krople wody. Édouard poczuł, jak z łyżeczki spływa mu do gardła coś o nieprzyjemnym smaku. Zakrztusił się, ale połknął i znowu zasnął. Ten sam sen powtarzał się bez końca. Anioł stale przy nim czuwał. W pewnej

chwili Édouard poczuł, że wciąga go na łóżko. Zaczął się uspokajać, nie był już tak rozpalony, zrobiło mu się wygodniej.

A po jakimś czasie obudził się i linie na splekanym suficie nad nim już tak nie falowały. Obraz nabrał ostrości. Po raz pierwszy wydawał się rzeczywisty. Więc jednak jeszcze nie umarłem, tylko tkwię uwięziony w beznadziei życia, pomyślał z żalem.

– No nie, naprawdę się obudziłeś? – powiedział damski głos obok niego.

Odwrocił się i zobaczył piękne zielone oczy. Błada twarz ich właścicielki była okolona kruczoczną aureolą loków. To był ten anioł ze snu. Ale tak naprawdę okazał się kobietą z krwi i kości, która jakimś cudem trafiła do jego piwnicy.

– Kim – Édouard odchrząknął, by odzyskać dawno nieużywany głos – jesteś?

– A jakie imię ci się podoba? – W zielonych oczach zabłyśły żartobliwe iskierki.

– Mam kilka, które mogę ci dać do wyboru. Oficjalnie nazywam się tu Claudette Dessally, ale możesz mówić do mnie Venetia.

– Venetia... – To imię wydało się wyczerpanemu Édouardowi skądś znajome.

– A pan to zapewne Édouard, hrabia de la Martinières? Właściciel, a obecnie jedyny mieszkaniec tego domu?

– Tak. Ale skąd ty się tu wzięłaś? Ja...

– To długa historia. – Venetia szybko zbyła jego pytanie. – Możemy porozmawiać o tym później, kiedy będziesz nieco mocniejszy. Jedyne, co powinieneś teraz wiedzieć, to, że kiedy cię znalazłam, byłeś bliski śmierci. Jakimś cudem, choć nie uznają mnie za świetną pielęgniarzkę, udało mi się ocalić ci życie. Jestem z tego dość dumna.

Uśmiechnęła się i wstała. Wzięła dzban wody i postawiła obok niego.

– Musisz jak najwięcej pić. Spróbuję zagrzać trochę zupy na tym palniku. Choć, ostrzegam z góry, jestem jeszcze gorszą kucharką niż sanitariuszką.

Édouard próbował skupić wzrok na szczupłej sylwetce młodej kobiety, która przykłęła nad kuchenką, ale jego oczy znów się zamknęły.

Kiedy obudził się znowu, Venetia nadal była w piwnicy. Siedziała obok na krześle i czytała książkę.

– Witaj... – Uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe, że zajrzałam na górę i odkryłam bibliotekę. Przez te ostatnie dni było tu dość nudno.

Édouard natychmiast oprzytomniał. Próbował usiąść, ale ona go powstrzymała, kręcąc głową.

– Proszę, zrelaksuj się. Przysięgam, że nikt mnie nie widział, choć nadal obserwują dom. Na pociechę powiem ci, że szkolono mnie specjalnie na takie sytuacje. Jestem w tym jedną z najlepszych – oświadczyła dumnie.

– Proszę, powiedz, kim jesteś? I jak mnie znalazłaś? – błagał.

– Powiedziałam ci, że mam na imię Venetia. Wyjaśnię wszystko, jeśli obiecasz zjeść ładnie zupę. Twój organizm zwalczył infekcję, ale jesteś nadal bardzo słaby. Musisz się wzmocnić.

Venetia wstała, wzięła blaszaną miseczkę, a potem przysiadła na łóżku i zaczęła go karmić łyżką.

– Wiem – mruknęła na widok skrzywionej z obrzydzenia miny Édouarda. – Trochę za zimna. Podgrzałam ci ją wcześniej, ale zasnąłeś, nim zdążyłeś spróbować.

Po kilku łyżkach Édouard nie chciał jeść już więcej. Jego żołądek buntował się przeciwko nagłemu napełnieniu i groził protestem.

– W porządku. – Venetia postawiła miskę na podłodze. – Nie jestem najlepsza w ratowaniu wymiotujących, więc lepiej odłóżmy to na potem.

– A teraz, powiesz mi, jak mnie znalazłaś? – Édouard bardzo chciał się dowiedzieć, jak to się stało, że ta kobieta uratowała mu życie.

– Jestem pewna, że wściekniesz się, kiedy ci to powiem, ale z drugiej strony, gdybym się tu nie zakradła, to teraz byś nie rozmawiał. Ani ze mną, ani w ogóle z nikim, jeśli mam być szczerą – oznajmiła. – Jestem radiotelegrafistką SOE. Kiedy większość ludzi z mojej organizacji została aresztowana, wytropiłam Connie. Byłyśmy razem na szkoleniu w Anglii. Błagałam ją, żeby pozwoliła mi nadać pilne wiadomości do Londynu z tej piwnicy. I powinieneś się bardzo cieszyć z tego, że to zrobiłam, bo działo się to wieczorem w przeddzień włamania do biura STO, a wiem przypadkiem, że byłeś mocno zaangażowany w zorganizowanie tej akcji. – Venetia popatrzyła na niego znacząco. – Kiedy tu nadawałam, wyjęłam klucz z zamka. Na wypadek gdybym znów potrzebowała kryjówki. A po wieczorze w Café de la Paix, kiedy jak wiesz, wielu członków organizacji wpadło w kocioł, przybiegłam tu się schować. Oczywiście zorientowałam się, że w tym domu było gestapo. Nie spieszyłam się więc, odczekałam, aż patrol zerwie się na kolację, wskoczyłam przez ogród, otworzyłam drzwi do piwnicy i znalazłam cię półżywego na podłodze.

Édouard słuchał bez zdziwienia.

– Rozumiem.

– Nie miej pretensji do Connie, proszę – dodała Venetia. – Ona tylko starała się wypełnić misję, z którą została tu przysłana. I summa summarum, biorąc pod uwagę naszą obecną sytuację, to, że mi pomogła, okazało się zbawienne.

Édouard był zbyt wyczerpany, by pytać o dalsze szczegóły. Bolało go ramię i zmienił pozycję, żeby wygodniej się ułożyć.

– Dziękuję, że uratowałaś mi życie – powiedział.

– Niech Bóg błogosławi jodynę. – Venetia uśmiechnęła się. – I fakt, że w domu nad nami mamy spore zapasy. Twoja rana chyba dobrze się goi. Musisz być silnej konstrukcji. Może to sprawa tego pysznego jedzenia, jakim się żywisz, ty i twoi przyjaciele z rządu Vichy i szkopy. Mam nadzieję, że nie będziesz miał żalu, że wczoraj wieczorem pograsowałam w spiźarni i uraczyłam się wspaniałą kanapką z pasztetem z gęsich wątróbek.

– Venetio, na pewno rozumiesz, że wrogowie, których tu gościłem, nie są moimi przyjaciółmi – zastrzegł się Édouard.

– No pewnie. Tak tylko się drażnię. – Venetia wykrzywiła usta w uśmiechu.

– Wiesz – Édouard westchnął – tamtego wieczoru przyszedłem do kawiarni, bo twoja przyjaciółka, Constance, dowiedziała się od oficera gestapo o planowanym kotle. Upierała się, że musi tam iść i postarać się was ostrzec. Wybrałem się zamiast niej. Niestety, spóźniłem się. I miałem pecha, bo zostałem postrzelony.

– No, to mamy. Ty próbowałeś ratować moje życie, a ja uratowałam twoje. Jesteśmy kwita – powiedziała Venetia i skinęła głową. – Przeszkadza ci, jeśli zapalę?

– Nie – odparł i Venetia zapaliła gauloisa. – Czy nadal obserwują dom?

– Nie. Odeszli kilka godzin temu i nie wrócili. Mają za dużo problemów na głowie, żeby tracić czas na czatowanie na ptaszki, które, jak sądzą, wyleciały już z gniazdka. A tak przy okazji, gdzie jest Constance? – spytała Venetia.

– Wyjechała z moją siostrą i jej służącą rano, po tamtej wpadce – wyjaśnił Édouard. – Wysłałem je na południe, ale, oczywiście, nie mam pojęcia, gdzie są teraz.

– A dokąd jechały?

Édouard zmierzył ją wzrokiem.

– Wolałbym nic nie mówić.

– Oj, przestań! – Venetia była wyraźnie urażona. – To chyba dość oczywiste, że jesteśmy po tej samej stronie. A teraz wiem już dokładnie, kim jesteś. W ruchu oporu mówi o tobie z wielkim szacunkiem. To ogromna strata dla sprawy, że

jesteś spalony. I przepraszam za swój współdział w tym, co się stało. Ale i tak chwala ci, że tak długo zdołałeś prowadzić swoją grę. Myślę, Bohaterze – powiedziała Venetia z naciskiem na jego pseudonim – że musisz jak najszybciej wydostać się z kraju. To prawie pewne, że jesteś na liście osób pilnie poszukiwanych przez gestapo.

– Nie mogę. Moja siostra jest niewidoma i przez to strasznie bezbronna. Jeśli aresztowałoby ją gestapo i starało się dotrzeć przez nią do mnie... – Édouard aż się wzdrygnął. – Nawet nie potrafię o tym myśleć.

– Przypuszczam, że wysłałeś je tam, gdzie mogą się ukryć?

– Nie było wiele czasu na narady. – Édouard westchnął. – Ale wiedzą, dokąd się jechać.

– W każdym razie twoja siostra jest w bardzo dobrych rękach. Constance była prymuską na szkoleniu SOE – pocieszyła go Venetia.

– Tak, to wyjątkowa kobieta – przyznał Édouard. – A ty, Venetio? Dokąd się stąd wybierzesz?

– Niestety, kiedy uciekałam z kryjówki, musiałam zostawić radiostację. W Londynie wiedzą i organizują mi teraz nową. Kazali mi na jakiś czas się przyciąć. Trafiłam tutaj i staram się na coś przydać, odgrywając przy tobie rolę siostry miłosierdzia. – Uśmiechnęła się.

Édouard popatrzył na nią z podziwem. Mimo niebezpieczeństw, jakie jej groziły, nie traciła ducha.

– Jesteś bardzo dzielna, to szczęście, że mamy cię po naszej stronie – odezwał się słabym głosem.

– Dziękuję za łaskawe słowa. – Venetia zamrugała zalotnie. – Ja tylko robię, co do mnie należy. I można jedynie się śmiać. Świat kompletnie oszalał. Staram się więc żyć każdego dnia, jakby to miał być mój ostatni. Bo to może być prawda – dodała. – Staram się traktować to wszystko jak jedną wielką przygodę.

Uśmiechnęła się promiennie, ale Édouard dostrzegł cierpienie w jej oczach.

– Wydaje mi się, że za kilka dni możesz być już na siłach myśleć o planach ucieczki – zasugerowała. – Jeśli zechcesz, spróbuję wykorzystać swoje kanały, by wydostać cię z Francji. Ale na razie, skoro tu tkwimy, pójdę pomyszkować na górze, poszukam nowej książki i skorzystam z łazienki. Co jakiś czas dobrze jest się wykąpać – powiedziała, marszcząc nos. – Mam już dość tego mycia gąbką. Chcesz czegoś, Édouardzie?

– Nie, dziękuję, Venetio. Uważaj tam na górze! – zawołał za nią, kiedy szła po schodach.

– Nie martw się, będę ostrożna – odparła wesoło.

Édouard położył się wyczerpany. Dziękował Bogu, że przez szereg szczęśliwych zbiegów okoliczności w jego życiu pojawiła się ta niezwykła kobieta i go ocaliła.

Następnego ranka Sarah zdecydowała, że na razie muszą zostać, gdzie są.

– Musimy poczekać na najbliższą przeprawę przez rzekę – wyjaśniła Connie przy śniadaniu. – *Madame* Constance, sugerowałabym, żeby w nowych dokumentach była pani gospodynią z Prowansji. Jest jakieś imię i nazwisko, które by pani sobie najchętniej wybrała?

– Hélène Latour? – zaproponowała Connie, myśląc o córce sąsiadki swojej ciotki, dziewczynce, z którą bawiła się na plaży dawno temu w Saint-Raphaël.

– Sophia mogłaby być twoją siostrą Claudine. Oczywiście – Sarah zniżyła głos do szeptu – kiedy dotrzemy na miejsce, Sophia musi się ukryć, bo ludzie z okolicy od razu by ją rozpoznali.

– Pewnie szkopy będą nas tam szukać – zauważyła zmartwiona Connie. – Falk wie o zamku.

– Édouard powiedział mi o miejscu, gdzie możemy ukryć bezpiecznie Sopię. Oczywiście najlepiej byłoby natychmiast wyjechać z Francji, ale przy niepełnosprawności Sophii ucieczka jest za trudna. W zamku przynajmniej będziemy zależne tylko od siebie. Inne kryjówki nie byłyby już tak pewne. Gestapo płaci krocie za informacje, że w sąsiedztwie ktoś ma takich podejrzanych gości jak my. Więc na wszelki wypadek zmieńmy wygląd przed zrobieniem zdjęć do dokumentów.

Sarah pokiwała do niej buteleczką wody utlenionej.

– Boisz się? – Zaśmiała się na widok miny Connie. – Ja ufarbuję się na rudo! I musimy coś zrobić z ubraniami *mademoiselle* Sophii. Są zbyt eleganckie i zwracałyby na nią uwagę.

Connie popatrzyła na nią zdumiona.

– Z ciebie to prawdziwa profesjonalistka – skomentowała z podziwem. – Skąd wiesz, co robić?

– Mój mąż działał w ruchu oporu dwa lata, póki go nie złapali i nie zabili na gestapo. Poza tym, oczywiście, pomagałam hrabiemu w wielu niebezpiecznych akcjach. To kwestia życia i śmierci. Jak trzeba, człowiek szybko się uczy. A teraz –

Sarah wskazała latrynę za domem, gdzie była też mała umywalka – idź, zmocz włosy, zanim rozprowadzisz wodę utlenioną.

Connie karnie ruszyła do toalety z buteleczką w dłoni. Czowała się upokorzona. Mimo całego przeszkolenia, to Sarah, prosta służąca, była o wiele lepiej przygotowana, by radzić sobie w tej sytuacji, niż ona.

•••

Dwa dni później, kiedy Connie zauważyła już trzeci patrol niemiecki przejeżdżający ich małą uliczką w ciągu kilku godzin, Sarah podeszła do niej i powiedziała, że wieczorem się zbierają.

– Nie mogę dłużej narażać siostry – dodała. – Mamy nowe papiery, więc ruszamy dalej. Wszystko gotowe.

Connie pokiwała głową i spojrzała na Sophię, która siedziała przy kuchennym stole. Zdawała się pogrążona w swoim świecie. Wydelikacanej arystokratce ciężko było znosić nową sytuację. Connie wyciągnęła do niej rękę i uścisnęła jej dłoń.

– Dziś wieczorem wyjeżdżamy, kochanie. Niedługo będziemy w domu, o którym tak wiele mówiłaś – pocieszyła ją.

Sophia zareagowała skinieniem głowy. Wyglądała mizernie, ubrana jak wieśniaczka. Gruby beżowy sweter podkreślał jej bladość. Connie prawie nie widziała, żeby coś jadła, od czasu kiedy tu przyjechały, za to dobrych kilka razy chodziła z nią do toalety zbudowanej na zewnątrz i stała przy niej, kiedy Sophia wymiotowała. Nawet po bezpiecznym przekroczeniu linii Vichy będą miały przed sobą jeszcze setki kilometrów do miejsca schronienia. Wiedząc o tym, Connie modliła się, żeby Sophia to przeżyła. Najwyraźniej działo się z nią coś bardzo złego.

•••

O dziesiątej tego wieczoru Connie, Sarah i Sophia przyłączyły się do małej grupki na brzegu Saony. Załadowano ich na łódź o płaskim dnie. Connie weszła pierwsza, a Sarah ostrożnie przekazała jej Sophię. Kiedy łódź odbiła od brzegu w kompletnych ciemnościach, by przebyć niedługi odcinek na drugą stronę, wszyscy milczeli. Po dotarciu na miejsce pasażerowie wysiedli wśród ciszy

i natychmiast rozpięzchli się na zlodowaciałym polu, po czym zniknęli wśród nocy.

– Weź Sophię za rękę z jednej strony, a ja z drugiej – poleciła Sarah. – Sophio, musisz teraz biec z nami. Nie mogą nas tu zauważyć.

– Ale dokąd? – szepnęła Sophia, gdy obie towarzyszki ciągnęły ją jak najszybciej naprzód. – Tak zimno, stopy całkiem mi zdrętwiały.

Zdyszana Sarah, której pulchne ciało nie nawykło do wysiłku fizycznego, nie traciła czasu na odpowiedź.

Wreszcie Connie dostrzegła światelko w oddali.

Sarah zwolniła tempo, kiedy w zasięgu wzroku pojawił się zarys budynku. Światelko, które z daleka widziała Connie, okazało się lampą naftową, wiszącą na gwoździu z boku stodoły.

– Schronimy się tu na noc i poczekamy do świtu.

Sarah popchnęła drzwi stodoły i zdjęła z gwoźdźcia lampę, by zabrać ją do środka. W słabym świetle Connie zobaczyła wokół siebie bele siana.

– No dobrze. – Służąca poprowadziła Sophię do jednej z nich w głębi stodoły i posadziła ją tam, nadal zdyszana po biegu. – Tu przynajmniej jest sucho i bezpiecznie.

– Mamy spać w stodole? – spytała przerażona Sophia. – Całą noc?

Connie omal się nie zaśmiała na to pytanie. To była kobieta, która sypiała na najlepszych materacach z końskiego włosia i puchowych poduszkach przez niemal wszystkie noce w życiu.

– Tak i musimy postarać się jak najlepiej wypocząć – potwierdziła Sarah. – Połóż się teraz, zrobię ci ciepłą pierzynkę z siana.

Kiedy już umościła Sophię, ułożyła się obok niej.

– Pani też musi się przespać, *madame* Constance! – zawołała. – Mamy przed sobą długą, ciężką drogę. I, zanim zapomnę, na wypadek gdyby coś mi się stało, proszę to wziąć. – Podała Connie skrawek papieru. – To adres zamku de la Martinièresów. Kiedy tam dotrzecie, idźcie od razu do winnicy na terenie posiadłości. Jacques Benoit, jak powiedział Édouard, będzie was oczekiwał. Dobranoc.

Connie przeczytała adres, wryła go sobie w pamięci, a potem zapaliła zapałkę i spaliła papier. Miło było przez chwilę poczuć ulotne ciepło na opuszkach palców. Zakopała się w sianie i oplotła rękami ramiona. Modliła się, żeby szybko nadszedł ranek.

Kiedy się zbudziła, zauważyła, że miejsce w sianie po Sarah jest już puste. Sophia jeszcze mocno spała. Connie wyszła zrobić siusiu za stodołę. Wracając, zobaczyła nadchodzącą Sarah. Za nią człapał koń ciągnący furmankę. Służąca wskazała na woźnicę.

– To Pierre, sąsiad ze wsi. Dał się namówić, zawiezie nas na stację w Limoges. To zbyt niebezpieczne wsiadać do pociągu bliżej – dodała.

Pomogły Sophii wstać. A potem posadziły ją na beli siana w tyle wozu. Woźnica, milczący Francuz o twarzy wysmaganej wiatrem, zaciął konia. Ruszyli.

– Ci ludzie robią się coraz bardziej chciwi podczas wojny – gderała Sarah. – Choć tłumaczyłam mu, że młoda dama, którą się opiekuję, jest niewidoma, to policzył za ten kurs fortunę. Ale przynajmniej jestem pewna, że można mu ufać.

Koń, stukając kopytami, ciągnął wóz przez zmarznięte pola Burgundii, a Connie myślała, jak przyjemnie byłoby tak jechać latem, kiedy wszystko się zazieleni. Tłukli się wśród zimna przez cztery godziny, aż wreszcie dotarli na obrzeża Limoges. Woźnica zatrzymał wóz i odwrócił się do nich.

– Muszę was tu zostawić, boję się jechać dalej.

– Dziękuję, *monsieur* – powiedziała zrezygnowana Sarah.

Wysiadły i ruszyły piechotą do centrum miasta.

– Jestem taka zmęczona... słabo mi – pojękiwała Sophia, kiedy ją prowadziły, podtrzymując mocno pod ramiona z obu stron.

– Jeszcze kawałek, kochanie, i wsiądziemy do pociągu, który zawiezie nas do Marsylii – pocieszała Sarah.

Na dworcu kupiła bilety, a potem poszły do kawiarni przy wejściu. Connie z przyjemnością popijała małymi łydkami ciepłą kawę i gryzła bagietkę, choć bułka była czerstwa. Sophia podniosła kawę do ust, ale odbiło się jej i zaraz ją odstawiła. Na peronie Sarah posadziła Sophię na ławce i odsunęła się trochę, żeby zamienić parę słów z Connie na osobności.

– Jej coś dolega, Sarah, prawda? – spytała z niepokojem Connie. – To już trwa kilka tygodni, więc to nie może być tylko szok i trudy podróży.

– Masz rację. Nie w tym problem – odparła ponuro Sarah. – Niestety, to coś o wiele poważniejszego. Spójrz na nią. Jest taka blada, często wymiotuje... Widziałas, jak odsunęła kawę, bo drażnił ją zapach? *Madame*, na co wskazują takie objawy?

Chwilę trwało, nim do Connie dotarło, co służąca ma na myśli.

– Sugerujesz, że...?

– Nie sugeruję – powiedziała Sarah. – Ja to wiem. Pamiętaj, że muszę pomagać *mademoiselle* Sophii w wielu sprawach. Nie krwawiła od kilku tygodni.

– Jest w ciąży? – szepnęła przerażona Connie.

– Tak, ale nie mam pojęcia, jak to się mogło stać. – Sarah westchnęła. – Nie przypominam sobie, żeby tych dwoje spędziło bez opieki dość czasu na to, by... – Sarah skrzywiła się z obrzydzeniem. – Ale bez wątplenia to prawda. Są wszelkie objawy. Jest brzemienna.

Z bólem serca Connie zdała sobie sprawę, że wie, kiedy nadarzyła się ta okazja, i że to ona powinna była wtedy czuwać nad Sophią. Ale ani przez chwilę nie pomyślała, że Sophia, przy swoim wychowaniu, może posunąć się do czegoś takiego. Była tak niewinna... jak dziecko...

Nie, poprawiła się Connie. Sophia to kobieta, pełna takich samych marzeń i zmysłowych pragnień jak każda inna – przecież jest w tym samym wieku co ona. To wszyscy w domu de la Martinièresów, jej nie wyłączając, traktowali Sophię jak dziecko. Teraz aż ścisnęło ją w dołku na myśl o konsekwencjach wiadomości, jaką przekazała jej Sarah – wiedziała, że ojcem dziecka jest wysokiej rangi oficer SS.

– Sarah – zwróciła się do niej – chyba trudno pomyśleć o bardziej nieszczęśliwym splocie okoliczności.

– Rzeczywiście – zgodziła się kobieta. – Nie dość, że zaszła w ciążę bez ślubu, to jeśli ktoś się zorientuje, kim jest ojciec... – Głos jej się załamał, była zbyt zmartwiona, by dalej mówić.

– Przynajmniej nikt inny o tym nie wie – pocieszyła ją Connie, kiedy na peron podjeżdżał pociąg, a one ruszyły w kierunku Sophii.

– *Madame*, przekona się pani, że zawsze znajdzie się ktoś, kto się domyśli. – Służąca westchnęła. – I o tym rozpowie. Na razie musimy postarać się dowieźć Sophię w bezpieczne miejsce, a potem zdecydujemy, co najlepiej zrobić.

Zamiast korzystać z luksusów pierwszej klasy, wsiadły do trzeciej, odpowiedniej dla ich niskiego statusu. Zatłoczony wagon był brudny i śmierdział potem. W końcu pociąg ruszył, Connie odetchnęła z ulgą. Z każdym etapem podróży były bliżej schronienia.

Na kolejnych stacjach denerwowała się coraz bardziej. Niemcy masowo przemieszczali się w okolice Marsylii, bo obawiano się inwazji z południa. Perony roily się od żołnierzy. Wagon był nieogrzewany i niewygodny, mimo to, jak

zauważyła, Sarah i Sophia zdołały zasnąć. Ją gnębił strach, że zostaną rozpoznane. Poza tym, kiedy tylko zamykała oczy, wracał jak żywy koszmar sprzed trzech dni.

Na stacji przed Marsylią przez wagon przeszedł konduktor. Uprzedzał, że do pociągu wsiadli Niemcy i sprawdzają dokumenty pasażerów. Czując, jak wali jej serce, obudziła swoje towarzyszkę, by je ostrzec. Wszyscy w wagonie byli spięci, strach wisiał w powietrzu. Patrząc na ludzi dokoła, Connie zastanawiała się, jak wielu spośród nich też podróżuje nielegalnie.

Wszedł niemiecki oficer i kazał im kolejno pokazywać dokumenty. Wszystkie oczy skupiły się na nim, kiedy sprawdzał rząd po rządzie. Sarah, Sophia i Connie siedziały na ostatniej ławce. Czekanie, aż do nich dojdzie, wydawało się niekończącą się torturą.

– Papiery! – wrzasnął na Sarah, która siedziała najgłębiej.

– Oczywiście, *monsieur*. – Sarah uśmiechnęła się serdecznie i podała mu dokumenty.

Studiował je chwilę, po czym spojrzał na nią.

– Gdzie wystawiono te papiery?

– W merostwie, w moim rodzinnym mieście Chalon.

Przyjrzał się im raz jeszcze i pokręcił głową.

– To fałszywe dokumenty. Stempel jest podrobiony. Wstać!

Sarah wstała, trzęsąc się ze strachu, a Niemiec wyciągnął z kabury pistolet i przyłożył jej do brzucha.

– *Monsieur*, jestem niewinną obywatelką, nic złego nie robię, proszę... ja...

– *Raus!* Wysiadać!

Kiedy Sarah wyprowadzono z pociągu pod bronią, nie obejrzała się i nie spojrzała na Sophię i Connie. Gdyby cokolwiek wskazywało, że podróżowały razem, one też zostałyby aresztowane. Kilka sekund później rozległ się gwizdek i pociąg ruszył.

Wszyscy w wagonie patrzyli na puste miejsce, gdzie przed chwilą siedziała Sarah. Connie mocno ścisnęła dłoń Sophii, w ten sposób ostrzegając ją, by się nie odzywała. A na pytające spojrzenia reszty pasażerów wzruszyła tylko ramionami. Tamta kobieta po prostu siedziała obok nich, nic więcej.

W Marsylii obie wysiadły, by czekać na połączenie do Tulonu. Connie posadziła Sophię na ławce na peronie.

– Mój Boże! Constance – szepnęła zrozpaczona Sophia – gdzie oni zabrali Sarah? Co się z nią stanie?

– Nie wiem, Sophio – odparła Connie, starając się zachować spokój – ale nie mogliśmy nic zrobić. Przynajmniej wierzę, że Sarah nie piśnie ani słowa o nas i o tym, dla kogo pracowała w Paryżu. Bardzo kocha ciebie i twoją rodzinę.

– Och, Constance, Sarah była przy mnie, odkąd się urodziłam. – Sophia rozplakała się. – Jak ja dam sobie bez niej radę?

– Masz mnie – powiedziała Connie, poklepując jej dłoń. – I obiecuję, że we wszystkim ci pomogę.

Kiedy nadjechał pociąg do Tulonu, Connie wsiadała z wielką obawą. Jeśli po dokumentach Sarah można było poznać, że są podrobione, to pewnie ich też są marne. A to tylko przypadek, że najpierw sprawdzono Sarah, a potem już nikt nie spojrział na ich papiery. Gdy pociąg mknął z łomotem przez Prowansję na wschód w kierunku Lazurowego Wybrzeża, Connie musiała zaakceptować, że nie mogą już liczyć na opiekę Sarah. Bezpieczeństwo Sophii i jej własne zależało teraz jedynie od niej.

• • •

– Jak się dziś mamy? – spytała Venetia, kiedy przyniosła Édouardowi kawę i postawiła mu filiżankę przy łóżku. – Skończyło nam się mleko. Obawiam się, że zużyłam już wszystkie puszki, jakie znalazłam w kredensie na górze.

– Czuję się lepiej, dziękuję, Venetio – powiedział Édouard i skinął głową.

Przez ostatnie dwa dni robił niewiele więcej poza tym, że spał i jadł wszystko, co podawała mu Venetia, by mógł odzyskać siły. Ale tego dnia myślał jasno i rzeczywiście czuł, że wraca do zdrowia.

– Świetnie – rzuciła Venetia. – W takim razie myślę, że pora na kąpiel. Porządne mycie sprawia, że człowiek zaraz czuje się jak nowo narodzony i cieszy tych, którzy z nim mieszkają.

Zmarszczyła nos, by podkreślić, o co jej chodzi.

– Sądzisz, że można bezpiecznie wejść na górę? – zapytał Édouard.

– Jak najbardziej. Poza tym łazienka jest z tyłu domu i ma żaluzje. Ja pławiłam się przy świecach każdej nocy. Było bosko! – Venetia przeciągnęła się z uśmiechem. – Teraz wypij kawę, a ja pójde i napuszczę ci wodę.

Godzinę później, po długiej kąpeli, Édouard naprawdę czuł się jak nowy. Venetia przyniosła mu trochę ubrań z jego sypialni i założyła świeży opatrunek na gojącą się ranę.

– Rety, Édouardzie! Jaki ty jesteś wysoki na stojąco – zauważyła, kiedy schodził po schodach do piwnicy. – Słuchaj, myślę, że teraz będę musiała zaryzykować wyjście, bo w kuchni zostało nam już tylko kocie żarcie. A nawet dla mnie są jakieś granice. – Uśmiechnęła się.

– Nie, pozwól, że ja pójdę – nalegał.

– Nie bądź głupi, Édouardzie. Ja mam wprawę we wtapianiu się w tłum, a ty, *monsieur le comte*, niestety, rzucasz się oczy. Zostaw to mnie. Migiem wrócę.

Nim zdołał ją zatrzymać, Venetia wyszła przez drzwi piwnicy, a po dwudziestu minutach wróciła z dwiema świeżymi bagietkami. Po raz pierwszy jadł z apetytem i pomyślał, że to dobry znak.

– Kontaktowałam się ze swoją organizacją. Przygotowują plan, żeby jak najszybciej wyekspediować cię z Francji – poinformowała Venetia. – Co byś powiedział na wizytę w Londynie? Moi ludzie nawiązali łączność z grupą Wolnej Francji de Gaulle'a. Bardzo miło byłoby im cię gościć, są ciekawi twojego sprawozdania. Jeśli zdołamy przerzucić cię w jednym kawałku, ma się rozumieć. Szkoda, że jesteś taki wysoki – dodała Venetia. – Przy twoim wzroście o wiele trudniej się schować.

– A co z moją siostrą, Sophią? I twoją przyjaciółką, Constance? – Édouard pokręcił głową. – Nie, nie mogę po prostu uciec i ich zostawić!

– Mówiąc brutalnie, Édouardzie, to pewnie byłoby najlepsze, co mógłbyś zrobić dla swojej siostry – stwierdziła Venetia. – Jak wspomniałam, jesteś obecnie wysoko na liście „pilnie poszukiwanych” przez szkopów. A wszyscy mamy nadzieję, że twój pobyt w Anglii nie potrwa długo. Planowana inwazja aliancka jest coraz bliżej.

– Z obecnej perspektywy, żałuję, że nie zatrzymałem Sophii ze sobą w Paryżu – wyznał Édouard.

– Teraz już się tego nie odwróci – zauważyła trzeźwo Venetia. – Udało mi się wysłać wiadomość na południe do naszych przyjaciół, że twoja siostra się tam wybiera. Będą się jej spodziewać i pomogą jej we wszystkim, na ile to możliwe.

– Dziękuję, Venetio – powiedział z wdzięcznością Édouard. – Wysłałem je tam w dobrej wierze, przypuszczałem, że zdołam do nich dołączyć.

– Ale nie możesz i jest, jak jest – ucięła dziarsko Venetia. – Kiedy wyszłam, widziałam twoje zdjęcie na liście gończym porozlepianym na słupach i murach. Jesteś znany w Paryżu, Édouardzie. Musisz jak najszybciej wyjechać z Francji.

– Bierzesz na siebie wielkie ryzyko, pomagając mi.

– Nie jest większe niż zwykle. – Venetia wzniosła oczy do nieba i uśmiechnęła się. – Ale czas ruszyć się stąd, nim opuści nas szczęście. Jutro wyjeżdżamy.

Édouard niechętnie skinął głową.

– Nie muszę mówić, jak bardzo doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłaś i robisz.

– No, Bohaterze – odpowiedziała zuchowato Venetia, żeby ukryć wzruszenie – z tego, co słyszałam, w ostatnich czterech latach uratowałeś mnóstwo ludzi, więc to dla mnie zaszczyt.

•••

Connie wyciągnęła wyczerpaną Sophię z pociągu na stacji w Tulonie. Lał deszcz i było już całkiem ciemno, kiedy wyszły z peronu. Connie ruszyła do kasy i zagadnęła przez okienko.

– Przepraszam, *monsieur*, kiedy jest najbliższy pociąg do Gassin?

– Jutro rano o dziesiątej – rzucił kasjer.

– Ach, tak. A zna pan jakiś hotel, w którym mogłybyśmy przenocować?

– Proszę iść w lewo. To będzie na rogu tej ulicy – powiedział urzędnik, przypatrując się wymęczonej, potarganej Connie i zatraskując okienko.

Connie wzięła Sophię pod rękę i podreptały ulicą, aż przemoczone do suchej nitki dotarły do hotelu, który zarekomendował im kasjer.

W środku było obskurnie, ale przynajmniej ciepło. Connie zaferowano pokój za cenę, za jaką zwykle można zatrzymać się w Ritzu. Objęła wyczerpaną i ociekającą wodą Sophię i pomogła jej wspiąć się po schodach na górę. Godzinę później, kiedy umyły się i osuszyły, na ile to było możliwe w tak skromnych warunkach, Connie zaprowadziła przyjaciółkę do małej restauracyjki i posadziła.

– Prawie jesteśmy w domu – powiedziała pocieszająco. – Proszę, Sophio, postaraj się coś zjeść.

Obie z trudem były w stanie cokolwiek przełknąć. Connie myślała o Sarah, Édouardzie i Venetii. Starła się mówić sobie, że ona i Sophia mają wiele szczęścia, bo przynajmniej są wolne, a tę noc spędzą w ciepłe. Przecież na takie

sytuacje ją szkolono. Wreszcie musi dowieść, że potrafi stanąć na wysokości zadania.

Jakiś głos przerwał jej myśli.

– Pani z daleka, *madame*?

Obejrzała się i zobaczyła młodego człowieka przy stoliku obok. Przyglądał się im z zainteresowaniem.

– Wracamy do domu – powiedziała ostrożnie. – Mieszkamy dalej na wybrzeżu.

– Ach, Lazurowe Wybrzeże. Myślę, że nie ma piękniejszego miejsca na ziemi.

– Ma pan rację.

– Były panie w odwiedzinach u krewnych? – zapytał mężczyzna.

– Owszem – potwierdziła Connie, powstrzymując ziewnięcie. – To była daleka droga.

– W tych czasach ciężko podróżować. Jestem inżynierem rolnictwa, więc sporo jeżdżę i wiele widziałem. Panie podróżują bez opieki? – zdziwił się mężczyzna.

– Tak, ale już prawie jesteśmy na miejscu – odparła Connie, zdenerwowana tym mnóstwem pytań.

– To spora odwaga w tych trudnych czasach. Szczególnie, że jak zauważyłem, pani towarzyszka... – Mężczyzna zamknął oczy, żeby zrozumiała, o co chodzi.

Connie się przeraziła. Co ona robi, siedząc sobie tak w restauracji z niewidomą dziewczyną, która jest siostrą poszukiwanego przez gestapo?

– Nie, siostra nie jest niewidoma, tylko zmęczona. Chodź, Claudine, czas iść spać. Dobranoc, *monsieur* – powiedziała, pozwoliła Sophii wstać bez pomocy i dopiero w ostatniej chwili wzięła ją za łokieć i wyprowadziła.

– Kto to był? – szepnęła wystraszona Sophia.

– Nie wiem, ale nie jestem pewna, czy powinniśmy tu zostać, bo...

Kiedy jej stopa dotknęła pierwszego stopnia schodów, ktoś złapał ją za ramię. Aż podskoczyła z przerażenia. To był mężczyzna z restauracji.

– *Madame*, wiem, kim jesteście – powiedział cicho. – Proszę się nie obawiać, nie wydam waszego sekretu. Ktoś z przyjaciół uprzedził mnie, że taka młoda dama – skinął w kierunku Sophii – będzie tędy przejeżdżać. Proszono mnie, żebym ją wypatrył i pomógł jej i jej towarzyszkom podróży. Przedstawiłbym się wcześniej, ale zobaczyłem, co się stało z waszą przyjaciółką w pociągu. Mam pilnować, żebyście bezpiecznie dotarły do miejsca przeznaczenia. Brat *mademoiselle* Sophii jest mi dobrze znany – wyjaśnił.

Connie stała w milczeniu. Biła się z myślami.

– To Bohater, *madame* – dodał mężczyzna i popatrzył na nią uważnie. Słyszając pseudonim Édouarda, Connie skinęła głową.
– Dziękuję, *monsieur*, jesteście panu wdzięczne.
– Jutro pojedę z wami aż do domu *mademoiselle*. Mam na imię Armand i jestem do usług. Dobranoc.

– Czy możemy mu zaufać? – spytała Sophia, kiedy po chwili kładły się do łóżek.

Connie sądziła, że jeśli do rana nie wpadnie tu gestapo, to tak. Ale tego Sophii nie powiedziała.

– Tak – odparła pewnie. – Twój brat ma wiele kontaktów w ruchu oporu, musiał dać im znać.

– Zastanawiam się, kiedy do nas dołączy? – Sophia westchnęła. – Och, Constance, nie mogę przestać myśleć o biednej Sarah. Co tu robić?

– Miejmy nadzieję, że przesłuchają ją i wypuszczą i że niedługo będzie z nami. A teraz śpij, myśl o tym, że już jutro dotrzemy do miejsca, gdzie jest bezpiecznie.

• • •

Następnego ranka po śniadaniu ze świeżym pieczywem, bo nawet croissant był jeszcze ciepły z pieca, Connie poczuła się trochę pewniej. Armand skinął jej głową z drugiego końca restauracji, gdzie wypił kawę, a potem wstał i popatrzył na zegarek.

– Miło było panie poznać, *madame*. Muszę już iść na stację, żeby zdążyć na pociąg, który jedzie wzdłuż wybrzeża.

Uśmiechnął się do nich i wyszedł.

Kilka minut potem Connie poprowadziła Sophię na stację. Armand uniósł kapelusz na ich widok. Po kupieniu dwóch biletów i posadzeniu Sophii na ławce na peronie Connie obserwowała Armanda przeglądającego od niechcienia gazetę. Nadjechał pociąg i wszyscy zaczęli się przepychać w bardzo niebrytyjski sposób. Connie wprowadziła Sophie do środka i wybrała dla niej miejsce przy oknie. Rozejrzała się za Armandem, ale ten najwyraźniej zniknął w następnym wagonie.

Podróż do Gassin trwała nieco ponad dwie godziny. Connie patrzyła na szereg pięknych nadmorskich miasteczek, z których w lecie musiał roztaczać się cudowny widok na lazurowe morze. Teraz, na początku grudnia, w dole kłębiły się

gniewne szare fale. Connie drżała z zimna. Miała tylko nadzieję, że po przyjeździe wreszcie się ogrzeją. Przemarżała do szpiku kości.

Na stacji w Gassin znów padał ulewny deszcz. Gdy pociąg z turkotem odjechał, a garstka tych, którzy też tu wysiedli, się rozeszła, zostały tylko one i jakiś zaprzężony w osiołka wózek. Czekwały cierpliwie na dalsze instrukcje. Kilka minut później pojawił się jak spod ziemi Armand. Przyprowadził dwa rowery. Connie popatrzyła na niego przerażona.

– *Monsieur*, chyba rozumie pan, że Sophia nie umie jeździć na rowerze. Może lepiej wziąć ten wózek zaprzężony w osła? – zasugerowała.

– To Charlotte, dowozi ludzi na wzgórze miasteczka Gassin. – Armand popatrzył ciepło na zwierzę. – Ale gdyby znikła, mieszkańcy na pewno by się zaniepokoiłi i mogłoby to zwrócić uwagę na przyjazd Sophii.

– No, ale przecież oślica nic nie powie?

– To prawda, Charlotte jest jak najbardziej godna zaufania – przyznał z błyskiem rozbawienia w oczach na tę absurdalną uwagę. – Ale już za listonosza, jej pana, nie ręcę. Zamek jest blisko, pięć minut jazdy rowerem stąd. Sophia będzie się mnie mocno trzymać i już.

– Nie! – Sophia była przerażona. – Nie umiem.

– Nie ma wyjścia, *mademoiselle*. A teraz – popatrzył na Connie – proszę.

Podał jej mały neseser Sophii, który włożyła do koszyka przy kierownicy.

– I niech mi pani pomoże wziąć *mademoiselle* na pokład.

– Błagam, nie zmuszajcie mnie! – jęknęła przerażona Sophia.

Przemoczona do suchej nitki Connie straciła cierpliwość.

– Sophio, na litość boską, wsiadaj, zanim wszyscy umrzemy na zapalenie płuc!

Na ostry ton Connie Sophia przestała protestować i pomogli jej usiąść na siodełku.

– Niech mnie panienka obejmie w pasie i mocno się trzyma – poinstruował Armand, stając okrakiem nad ramą przed Sophią. – Świetnie. Jedziemy!

Connie patrzyła, jak Armand chwiejnie rusza wyboistą drogą, a Sophia trzyma się go z całych sił. Connie popedałowała za nimi. Kilka minut później, kiedy utlenione na platynowy blond włosy Connie zwisały w strąkach kompletnie mokre, Armand skręcił w wąską boczną dróżkę. Parę metrów dalej zatrzymał się, żeby Connie ich dogoniła.

– No i proszę, *mademoiselle*, ma pani za sobą pierwszą jazdę rowerem!

Pomógł zsiąść roztrzęsionej Sophie z roweru i położył go, dając znak Connie, by zrobiła to samo.

– Dalej musimy pójść. Nie da się już jechać, za dużo wybojów. Jesteśmy na tyłach zamku. Przez winnice dostaniemy się prosto do piwnic. Na szczęście po drodze od stacji nie spotkaliśmy żywego ducha – powiedział, ostrożnie prowadząc Sopię po pełnym kałuż bezdrożu. – Deszcz nam sprzyjał.

– Jesteśmy na miejscu? – spytała Sophia.

– Tak, za parę minut będziemy w winnicy – zapewnił Armand.

– Dzięki Bogu – jęknęła Sophia, zasapana ze strachu i wysiłku.

– Jacques czeka na was – powiedział Armand.

Na dźwięk tego imienia kroki Sophii nabrały szybszego tempa. Zobaczyli duże zabudowania gospodarcze. Armand otworzył wysokie drewniane drzwi. Connie myślała, że się rozpłacze z ulgi, kiedy wreszcie zeszli z deszczu pod dach.

Mroczne przepastne wnętrza pachniało fermentującymi winogronami. Po bokach stały ogromne dębowe beczki. Między dwiema z nich w bocznych drzwiach zamajaczyła jakaś postać.

– Sophio, czy to ty? – wyszeptał głos z ciemności.

– Jacques!

Sophia wyciągnęła swoje chude, drobne jak u dziecka ręce, a wysoki, mocno zbudowany mężczyzna po trzydziestce o poranej, spalonej na brąz przez bezlitosne słońce twarzy podszedł do niej.

– Moja Sophia, dzięki Bogu dotarłaś bezpiecznie! – powiedział, przyciskając ją do swojej szerokiej, silnej piersi, a Sophia załkała wtulona mu w ramię. Głaskał jej mokre włosy i szeptał do niej czule: – Nie martw się, Jacques jest przy tobie. Zaopiekuję się tobą.

Connie i Armand patrzyli w milczeniu na te czułości. Po chwili Jacques spojrzał na nich.

– Dziękuję, że przyprowadziliście ją do domu – powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem. – Tak się bałem, że ona nie da rady. Czy ktoś was zauważył, kiedy tu szliście?

– Jacques, w tym deszczu nie było nic widać dalej jak na dwa centymetry. – Armand się zaśmiał. – Nie mogło być lepiej.

– To dobrze. A teraz, moje panie, mamy napalone w moim domku. Obie musicie się przebrać w suche rzeczy.

Jacques wypuścił z ramion Sopię i podszedł do Armanda.

– Dziękuję, przyjacielu. Jestem pewien, że hrabia nigdy ci nie zapomni, co dla niego zrobiłeś.

– Zrobiłem bardzo niewiele, to tej damie trzeba dziękować. – Armand wskazał na Connie.

– A gdzie Sarah, służąca Sophii? – spytał Jacques, patrząc na Connie.

– *Monsieur*, ja...

– Sarah aresztowano tuż pod Marsylią – wtrącił Armand.

– To kim jest ona?

Jacques ze zmrużonymi oczami przypatrywał się Connie.

– Zaufaną przyjaciółką hrabiego i jedną z nas. Ale niewątpliwie Constance sama to wyjaśni we właściwym czasie – powiedział Armand.

– Racja. – Jacques najwyraźniej się uspokoił. – Chodź, Sophio, musisz się rozgrzać. Bez wątplenia niedługo znów będziemy się kontaktować. – Kiwnął głową w stronę Armanda.

– Oczywiście. Do widzenia, *madame* Constance. Na pewno jeszcze nie raz się spotkamy.

Armand uśmiechnął się miło do Connie.

– W imieniu nas obu bardzo dziękuję za pomoc – powiedziała ciepło. – Czeka cię daleka droga?

– W tych czasach nie zadaje się takich pytań. Mam wiele domów.

Mrugnął do niej i podciągając mokry kołnierz kurtki do góry, co nie miało sensu, bo i tak nie chroniło przed deszczem, wyszedł.

– Proszę za mną – odezwał się Jacques i skinął na Connie, kiedy poprowadził Sophię między beczkami na korytarz i dalej do innych drzwi. Otworzył je. Minęli schludną kuchnię. Gdy weszli do małego saloniku, gdzie w kominku płonęły bierwiona, Connie ogarnęło cudowne ciepło.

– Pójdę na górę i znajdę wam obu jakieś grubsze ubrania. To, co jest w torbie, musi być równie mokre, jak to, co macie na sobie – powiedział Jacques, wskazując na skórzany neseser, z którego wyciekała kałuża na kamienną posadzkę.

– Och, Constance! – zawołała Sophia, zdejmując i podając jej palto. – Jeszcze nigdy w życiu nie cieszyłam się tak bardzo, że dotarłam na miejsce!

– Tak, to była okropna podróż – przyznała Connie. – Ale już tu jesteśmy, Sophio, i wreszcie możesz odpocząć.

Jacques zszedł z góry, niosąc dwie flanelowe koszule i wełniane swetry dla nich obu.

– Na razie to wystarczy – burknął, kiedy podawał im ręczniki, żeby wytarły ociekające wodą włosy. – Zaparzę kawę i przygotuję coś do jedzenia, a wy się przebierzcie – dodał, wychodząc, i zamknął za sobą drzwi.

– Zastanawiam się, dlaczego Jacques nie prowadzi nas od razu do zamku? – powiedziała Sophia, kiedy Connie pomagała jej wypłatać się z mokrych ubrań. – Mam tam garderobę pełną czystych rzeczy.

Connie nie miała pojęcia, czy zamek jest daleko od winnicy i, prawdę mówiąc, nie wiedziała też, jaki jest plan, wrzuciła więc tylko ramionami.

– Pewnie uznał za najważniejsze, żebyś się zagrzała i osuszyła.

– Masz rację, tak się cieszę, że tu jestem. Zamek to moje ulubione miejsce na Ziemi – oświadczyła Sophia, starając się pozapinać guziki koszuli Jacques’a, która sięgała jej za kolana.

– Teraz siądź przy ogniu i wysusz włosy – poradziła Connie, kiedy zdejmowała z siebie ubranie i zbierała przemoczone rzeczy, żeby je wyżąć nad zlewem, nim powiesiła wszystko przed kominkiem.

Jacques wynurzył się z kuchni. Przyniósł na tacy filiżanki z kawą i postawił na stole przed nimi.

Connie piła małymi łykami w milczeniu, słuchając, jak Sophia zagaduje Jacques’a i pyta o pracowników winnicy.

– Niestety, Sophio, zostałem tylko ja sam. Reszta mężczyzn albo poszła walczyć, albo została wysłana do Niemiec do pracy w szkopskich fabrykach. Pozwalają mi zostać w winnicy, bo sznaps, który produkuję, dodaje siły ich torpedom. Setki ich powstaje w zakładach niedaleko stąd. Ostatnim razem, kiedy tu przyszli, powiedziałem, że nie mogę im dać tego, czego chcą. Że wypili już za dużo i moje zapasy się wyczerpały. – W jego oczach błysnęła iskierka. – Oczywiście, kłamałem.

– Myślałam, że na południu jest mało Niemców. – W głosie Sophii zabrzmiało zdziwienie. – Sądziłam, że tu jest bezpiecznie.

– Niestety, wiele się zmieniło od czasu, kiedy ostatnio byłaś w Gassin. – Jacques westchnął. – Wszyscy żyją w strachu, tak jak w Paryżu. Parę tygodni temu na torze wyścigowym La Foux pod Saint-Tropez odbyła się publiczna egzekucja. Szkopy rozstrzelały czwórkę partyzantów z oddziału, do którego należy nasz dzielny przyjaciel Armand. To niespokojne czasy i wszyscy musimy bardzo uważać – ostrzegł.

– A co z zamkiem? Naszą gospodynią? Służącymi? – pytała Sophia.

– Wszyscy odeszli – odparł Jacques. – Zamek jest zamknięty, już od dwóch lat.

– To kto się nami zajmie, kiedy tam zamieszkamy?

Jacques dotknął jej dłoni.

– *Mademoiselle* Sophio, nie będziesz mieszkać w zamku. To byłoby zbyt niebezpieczne. Jeśli Édouard zdoła uciec, będzie to pierwsze miejsce, które sprawdzą. A jeśli znajdą tam ciebie, to na pewno cię aresztują i przesłuchają. W końcu mieszkałaś pod jednym dachem z bratem, kiedy prowadził dzielnie tę podwójną grę.

– Ale ja nic nie wiem. – Sophia załamała ręce. – Czego mogliby ode mnie chcieć?! Poza tym, nawet nie wiem, czy mój biedny brat jeszcze żyje.

Connie uświadomiła sobie, jak bardzo do tej pory Édouard chronił Sophię. W sensie fizycznym dla Sophii w ostatnich czterech latach nic się nie zmieniło. Nadal żyła wygodnie, jak przed wojną. Była pod kloszem dzięki troskliwemu bratu i temu, że pochodzi z bogatej rodziny. Chroniono ją przed wszelkimi niebezpieczeństwami, na jakie mogła być narażona.

– Sophio, kochanie, musisz zrozumieć, że nikt nie może cię tu zobaczyć. Czy brat ci tego nie wyjaśnił? Nie wysłał cię na południe, żebyś nie kryjąc się, zamieszkała w zamku. Gdyby szkopy dowiedziały się, że tu jesteś, od razu by cię aresztowano – tłumaczył raz jeszcze Jacques. – Nie, on przysłał cię do mnie, bo wie, tak samo jak ja, że jest tutaj bezpieczna kryjówka, gdzie możesz się schować, póki nie skończy się wojna. A to już, jak mogę ci obiecać, nie potrwa długo.

– A gdzie jest ta kryjówka? – spytała trwożnie Sophia.

– Pokażę ci później, kiedy zjemy. A jeśli chodzi o panią, *madame* Constance, zamieszka pani ze mną. Będziemy mówić, że jest pani moją siostrzenicą, gdyby ktoś był ciekawy.

– Jest pan pewien? Nie byłoby lepiej, żeby poszła sobie stąd w swoją stronę? – zaproponowała Connie. – Może Armand pomógłby mi skontaktować się z miejscową organizacją i z czasem wrócić do Anglii? Ja...

– A kto zatroszczy się o potrzeby *mademoiselle* Sophii? – Jacques zdawał się przerażony pomysłem Connie. – Jako mężczyzna mogę tylko tyle, ile mogę. – Wyraźnie był skrzepowany. – Jej obecność nie ma prawa wyjść na jaw, nie mogę więc poszukać nikogo do pomocy w miasteczku. Nikomu nie ufam.

– Constance! Nie zostawiaj mnie! – krzyknęła Sophia. – Nie dam sobie rady sama. Wiesz przecież. Proszę, musisz zostać ze mną – błagała, próbując znaleźć dłoń Connie.

I znowu nadzieja, że uwolni się wreszcie od rodziny de la Martinièresów, rozplynęła się w powietrzu. Connie wzięła Sophię za rękę i zrezygnowana skinęła głową.

– Oczywiście, nie zostawię cię, Sophio.

– Dziękuję – powiedziała tamta z ulgą, a Connie zauważyła, że kiedy to mówi, odruchowo kładzie dłoń na brzuchu. Po chwili Sophia znów zwróciła się do Jacques’a: – Czy ta kryjówka jest u ciebie w domu?

– Nie, to nie byłoby możliwe. Szkopy wpadają tu, gdy chcą nałłopać się wina i naładować torpedy sznapsem, jaki produkuje winnica. – Jacques westchnął głęboko. – Jak mówiłem, pokażę ci to miejsce, kiedy skończymy jeść.

•••

Connie cieszyła się, widząc, że Sophia je z apetytem pożywną, gęstą zupę fasolową, którą ugotował Jacques.

– Nagle zrobiłam się głodna – powiedziała z uśmiechem Sophia. – To pewnie prowansalskie powietrze.

Connie zaprowadziła przyjaciółkę z powrotem na fotel przy kominku i posadziła. Sophia ziewnęła.

– Jestem taka śpiąca, Constance, oczy mi się kleją.

– To je zamknij – zasugerowała Connie.

Kiedy była pewna, że Sophia zasnęła, przeszła do małej kuchni i pomogła Jacques’owi pozmywać po kolacji. Miał poważną minę, wstawiając talerze z powrotem do niewielkiej szafki.

– Miejsce, w którym musi się ukryć Sophia, na pewno jej się nie spodoba, choć próbowałem urządzić je dla niej jak najwygodniej. Ale znajduje się pod ziemią i jest w nim zimno, prawie nie ma tam naturalnego światła. Może to szczęście w nieszczęściu, że Sophia i tak nic nie widzi. – Jacques westchnął. – Myślę, że dla każdej widzącej istoty to byłby los gorszy od śmierci. Miejmy nadzieję, że niedługo wygramy tę wojnę i Sophia będzie wolna.

– I my wszyscy też – szepnęła sama do siebie po angielsku Connie.

– Ona musi tam zejść jak najszybciej. Nie mówiłem tego przy niej, ale nie dalej niż wczoraj było tu gestapo i przeszukiwało zamek i winnicę. Musieli dowiedzieć się z Paryża, że Édouard zniknął. Ale – dodał na pocieszenie – nigdy nie znajdą tej

kryjówki. A co z panią, *madame*? Jak to się stało, że skończyła pani jako służąca Sophii?

– Ja...

Jacques dostrzegł obawę w jej oczach.

– *Madame*, moja rodzina prowadzi winnicę de la Martinièresów od dwóch wieków. Dorastaliśmy z Édouardem razem jako chłopcy. Był dla mnie bratem, którego zawsze chciałem mieć. Dzielimy te same marzenia co do przyszłości naszej ojczyzny. Skoro w najbliższym czasie ma pani mieszkać pod moim dachem, to chyba musi mi pani zaufać.

– Tak. – Connie wzięła głęboki wdech i opowiedziała swoją historię. Jacques słuchał bez słowa, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

– A więc – podsumował – należy pani do elity, jest wyszkoloną agentką, której talent jak na razie się marnuje. Rzeczywiście, szkoda – przyznał. – Ale przynajmniej, jeśli znów wpadnie tu gestapo i panią ze mną zastanie, nie muszę się obawiać, że jest pani amatorką. Czy to możliwe, że mogą mieć gdzieś w aktach pani zdjęcie?

– Nie – zapewniła Connie. – Poza tym teraz wyglądam zupełnie inaczej. Utleniłam włosy.

– Dobrze. Jutro postaram się o nowe dokumenty. Będzie pani moją siostrzenicą z Grimaud. Przyjechała pani pomagać przy butelkowaniu wina i prowadzić dom wujowi. Czy to pani pasuje? – zapytał.

Connie zastanawiała się, w ile postaci jeszcze będzie musiała się wcielić, zanim opuści Francję.

– Oczywiście, Jacques. Niech pan robi, jak uważa, że jest najlepiej.

– I na pani szczęście może pani spać w małym pokoiku na górze obok mojego – ciągnął Jacques. – To okropne, że nie da się zapewnić podobnego luksusu Sophii, ale, *madame* Constance, gdyby gestapo wpadło tu w środku nocy, nie zdołalibyśmy dość szybko ukryć tej dziewczyny ze względu na jej ślepotę. A przysięgłem Édouardowi, że ją bezpiecznie przechowam. I ona, i my musimy zrobić wszystko, żeby to się udało.

– Oczywiście. Obawiam się jednak, że jest jeszcze coś, z czego musi pan zdawać sobie sprawę... – Connie zdecydowała, że powinien znać całą prawdę. – Ona jest w ciąży.

Na twarzy Jacques'a odmalowała się cała gama emocji, a w końcu przerażenie.

– Jak to? Z kim? Czy Édouard o tym wie? – zapytał wreszcie.

– Nie, i tak naprawdę, Sophia jeszcze sama o tym ze mną nie rozmawiała. To Sarah, jej służąca, mi to uzmysłowiła. Ona zna Sophię w sposób najbardziej intymny. Co gorsza – Connie wzięła głęboki oddech – ojcem dziecka jest wysokiej rangi niemiecki oficer SS.

Ta ostatnia informacja wprawiała Jacques’a w kompletne osłupienie.

– Tak mi przykro, że to panu mówię – dodała Connie, odgadując jego reakcję.

– Moja mała Sophia... Po prostu nie mogę w to uwierzyć. – Jacques pokręcił głową. – A myślałem, że grozi jej niebezpieczeństwo tylko ze strony szkopów. Ale jeśli ludzie dowiedzą się, że ojcem jej dziecka jest esesman, będzie też miała przeciwko sobie również całą Francję. Kilka tygodni temu jakaś kobieta, o której mówiono, że sypia z Niemcami, znikła w nocy z domu. Jej zwłoki wyłowiono z wody niedaleko stąd. Zatłukli ją na śmierć, a ciało wrzucili do morza. – Jacques westchnął głęboko. – Już gorzej być nie może.

– Wiem – odparła ze smutkiem Connie. – Ale co na to poradzić?

– Jest pani pewna, że nikt więcej nie wie o związku Sophii z tamtym oficerem? Lub o tym, co się w efekcie stało?

– Tak. Jestem pewna.

– Dzięki Bogu – szepnęła Jacques. – I tak musi zostać.

– Mogę dodać chyba tylko jedno: Édouard powiedział mi kiedyś, że lubi tego człowieka. Że gdyby było inaczej, mogliby zostać przyjaciółmi. Frederik pomógł nam uciec z Paryża – podkreśliła Connie. – Wierzę, że to dobry człowiek.

– O nie! – Jacques potrząsnął gwałtownie głową. – To Niemiec, oni gwałcą nasz kraj i nasze kobiety!

– Zgadzam się, ale czasem etykieta, jaką musimy nosić, nie oddaje, kim naprawdę jesteśmy. Ani czemu jesteśmy wierni. – Connie westchnęła. – W każdym razie jest, jak jest.

– W tej sytuacji Sophia tym bardziej nie może się pokazywać. Choć nie umiem przewidzieć, jakie będą dla niej konsekwencje tego wszystkiego, kiedy wojna się skończy – powiedział Jacques poważnie. – Musi pani rozumieć, że kocham ją jak własne dziecko, od czasu kiedy była niemowlęciem. To dla mnie nie do pomyślenia, że... – Wzruszył ramionami i znowu pokręcił głową. – Wojna kpi sobie z nas wszystkich na różne sposoby. A teraz zrujnowała życie bezbronnej i pięknej młodej kobiecie. Nie mnie podejmować jakiegokolwiek decyzje co do jej przyszłości, ale jako niezamężną matkę czeka ją ciężki los. Miejmy nadzieję, że

Édouard przeżyje polowanie na niego i będzie w stanie od nowa pokierować jej życiem. A na razie pani i ja musimy robić, co w naszej mocy, by ją chronić.

•••

Później tego wieczoru Jacques poprowadził Sopię z powrotem do piwnic, gdzie stały ogromne dębowe beczki z winem. Miały po sześć metrów wysokości, Connie czuła się przy nich mała.

Jacques przystanął przy beczce w tylnej części piwnicy. Potem wspiął się na małą drabinę, zdjął front beczki i wszedł do środka. Sophia i Connie czekały na zewnątrz. Słyszały coś jakby przesuwanie desek. Po chwili Jacques wyjrzał ze środka.

– Może być ci trudno tu się wspiąć, *mademoiselle* Sopi, ale nie martw się, pomogę. *Madame* Constance, czy zdoła pani podprowadzić ją do mnie, a potem wejść za nią?

– Wchodzimy do beczki na wino? – spytała zbita z tropu Sophia. – Ale chyba nie będę musiała się tam ukrywać całymi tygodniami, prawda?

– Weź Jacques'a za rękę. Wciągnie cię do środka – ponagliła Connie, asekurując Sopię na drabinie i podsadzając ją wyżej do Jacques'a. Sophia zniknęła w ciemnym wnętrzu. Connie słyszała, jak Jacques coś jej łagodnie tłumaczy.

– Teraz pani, *madame* Constance – powiedział, a jego głos odbił się echem od drewnianych ścian.

Connie wdrapała się na górę. Zobaczyła, że trzy deski z dna beczki zostały usunięte. Sophia i Jacques trzymający lampę naftową stali teraz w ciemnościach na dole. Connie opuściła się do nich.

– Idźcie za mną – polecił Jacques, łapiąc Sopię jedną ręką, a w drugiej niosąc lampę.

Connie musiała się zgarbić, żeby posuwać się naprzód wąskim korytarzem. Dziękowała Bogu, że Sophia nic nie widzi i przywykła do ciemności. Tunel zdawał się nie mieć końca. Connie nie cierpiała na klaustrofobię, ale nawet ona była cała rozedrgana, zanim Jacques dotarł do niskich drzwi i je otworzył. Weszli do kwadratowego pomieszczenia, które, jak zauważyła Connie, miało tylko małe okratowane okienko usytuowane wysoko w ścianie z gołych cegieł. Kiedy oczy Connie przywykły do mroku, zobaczyła łóżko, fotel i komodę. Na surowej kamiennej posadzce leżał dywanik.

– Gdzie my jesteśmy, Jacques? – spytała Sophia, czepiając się jego ramienia, kiedy sadzał ją w fotelu. – Strasznie tu zimno i pachnie wilgocią!

– Jesteśmy w piwnicy pod zamkiem – wyjaśnił Jacques. – Obok jest piwniczka z winem. Będziesz tutaj bezpieczna, Sophio.

– To znaczy, że mam tu zostać? W tym zimnie i wilgoci? I przechodzić przez ten długi tunel za każdym razem, kiedy będę chciała stąd wyjść? – W twarzy Sophii widać było panikę. – Nie możecie mnie tu zostawić, Jacques, proszę!

– *Mademoiselle* Sophio, póki nikt nie zauważy cię wchodzącej do zamku frontowym wejściem, nie widzę powodu, abyś przy zamkniętych okiennicach nie mogła czasami pójść sobie na górę i może nawet przejść się po otoczonym murem ogrodzie, gdzie nikt cię nie wypatrzy. Ale dla twojego własnego bezpieczeństwa, przynajmniej na razie, musisz tu zostać.

– A co z myciem? – Głos Sophii był bliski hysterii. – I wszystkimi innymi potrzebami kobiety?

Jacques popchnął jakieś drzwi i poświecił do środka.

– Tu jest wszystko, co trzeba.

Connie zajrzała do małego pomieszczenia i zobaczyła miskę postawioną pod kranem i szafkę. Lampa naftowa, którą trzymał Jacques, nagle zgasła i wszyscy troje stali teraz w całkowitej ciemności.

To świat Sophii, ta ciemność, pomyślała Connie, kiedy Jacques próbował znów zapalić lampę. I w tej chwili, w tym nieoświetlonym pokoju, który miał stać się więzieniem Sophii, Connie naprawdę cieszyła się, że przyjaciółka jest niewidoma.

– Nie zostanę tu sama – jęknęła Sophia, załamując ręce. – Nie mogę!

– Nie masz wyboru – powiedział Jacques, przybierając nagle szorstki ton. – W dzień, jak mówiłem, będziesz mogła wychodzić, ale nocować musisz tutaj, nie możemy ryzykować.

– Connie! – Sophia wyciągnęła rękę i próbowała znaleźć przyjaciółkę. – Proszę, nie zostawiaj mnie tu. Błagam! – szlochała zrozpaczona.

Jacques zignorował jej prośby i mówił dalej:

– Pokażę i pani, *madame* Constance, jak dostać się stąd do zamku. Projektant tej kryjówki był bardzo sprytny. Ma ona dwa wyjścia.

Podszedł do przeciwległej ściany i przekręcił klucz w malutkich drzwiach. Popchnął je, a kiedy się otworzyły, Connie zobaczyła za nimi ogromną piwnicę z butelkami wina. Jacques przeprowadził ją przez nią aż do schodów.

– Tędy wchodzi się prosto na tyły zamku. Jeśli nie będziecie otwierać okiennic, może pani podgrzać na kuchni wodę albo ugotować coś dla Sophii. Nigdy, przenigdy niech pani nie rozpala ognia. Jesteśmy w dolinie. Dym byłby widoczny w miasteczku na wzgórzu.

– Oczywiście – obiecała Connie, nieco pocieszona, że z podziemia można się wydostać jeszcze innym, bardziej znośnym sposobem.

– Zostawię panią z *mademoiselle* Sophią, żeby pomogła jej pani ułożyć się spać. Jutro może ją pani zabrać na górę do zamku, żeby się wykąpała i wzięła trochę ubrań. Powtarzam raz jeszcze, że za oknami zamku nie ma prawa palić się żadne światło w nocy. Byłoby widoczne na wiele kilometrów i od razu by się wydało, że ona tu jest.

– Rozumiem – powiedziała Connie.

– Da pani radę trafić z powrotem? Zostawię pani lampę – powiedział Jacques, kiedy wrócili do kryjówki, gdzie Sophia płakała cicho z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Tak.

Gdy Jacques je zostawił, Connie usiadła na łóżku przy Sophii i wzięła ją za rękę.

– Najdroższa moja, proszę, bądź dzielna. Musisz się ukrywać tylko w nocy. Myślę, że to niezbyt wielka cena za bezpieczeństwo.

– Ale w tej piwnicy jest tak strasznie! Ten zapach... – Sophia westchnęła i położyła głowę na ramieniu Connie. – Zostaniesz przy mnie, aż zasnę?

– Tak, oczywiście, zostanę.

Siedząc z Sophią w ramionach i kołysząc ją jak dziecko, zastanawiała się, jak to się stało, że ona, wysłana do Francji agentka SOE, musi odgrywać rolę opiekunki i niańki rozpieszczonej arystokratki.

•••

Édouard zatrzymał się z Venetią na brzegu gęstego lasu, za którym rozciągało się wielkie, płaskie pole. Byli gdzieś na zachód od Tours, choć przez to, że korzystali z przeróżnych i potwornie niewygodnych środków lokomocji, trochę stracił orientację. Jednak dotarli tu, a kiedy usłyszeli z oddali warkot silnika zbliżającego się samolotu, mężczyzna, który przykucnął obok Venetii, wystrzelił racę. Potem dał sygnał trzy razy latarką, na znak, że wszystko w porządku.

– Wygląda na to, że wydostaniesz się stąd, Édouardzie. Pozdrów ode mnie serdecznie Anglię, dobrze? – powiedziała Venetia wesoło.

– Oczywiście. Chciałabyś polecić ze mną? – Édouard odwrócił się i spojrzał na nią.

Przez chwilę widział wahanie w zuchowatych zielonych oczach.

– W idealnym świecie, na pewno. – Skinęła głową. – Nie widziałam mamy i taty już ponad rok. Ale świat nie jest idealny, prawda? I mam tu jeszcze coś do załatwienia.

– Jak zdołam ci kiedykolwiek podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś? – powiedział Édouard. Oczy mu się zamgliły na myśl, że zostawia ją, narażoną na dalsze niebezpieczeństwa.

Podczas całej jego choroby, uwięzienia w piwnicy czy ryzykownej podróży Venetii nigdy nie opuszczało poczucie humoru. Była taka dzielna. Jej hart ducha zdumiewał go i zachwycał.

– Będę za tobą tęsknił.

– Ja za tobą też. – Uśmiechnęła się do niego szybko.

– Gdybyśmy, jakimś cudem, oboje przetrwali tę wojnę, bardzo chciałbym cię znowu spotkać, Venetio.

– Ja ciebie też.

Spuściła oczy, nagle zażenowana.

– Venetio, ja...

Pod wpływem impulsu objął ją i pocałował mocno, namiętnie w usta.

Kiedy samolot wylądował, wyrwała się Édouardowi. Zobaczył, że ona też ma łzy w oczach. Uniósł jej brodę, by na niego spojrzała.

– Trzymaj się, mój aniele. I uważaj na siebie, dla mnie.

– Po takim pocałunku, to na pewno – powiedziała. – Chodź, nie ma czasu do stracenia.

Pobiegli razem przez pole w kierunku lysandera, który miał bezpiecznie przerzucić Édouarda z jego ojczyzny aż do jej kraju.

W ostatniej chwili Édouard podał Venetii niewielką paczkę.

– Proszę, jeśli ty czy ktoś inny z twojej organizacji moglibyście skontaktować się z moją siostrą w zamku, to będzie dla niej dowód, że jestem bezpieczny.

– Dotrę do niej, znajdę sposób – obiecała Venetia, chowając paczkę do torby.

Édouard wspiął się po stopniach do samolotu i jeszcze raz się obejrzał.

– Powodzenia, mój aniele, modlę się, żebyśmy jak najszybciej znów się spotkali.

Wszedł do środka, a małe drzwi zamknęły się za nim. Venetia obserwowała, jak samolot rusza, nabiera prędkości i odlatuje w kierunku kanału i jej kraju.

– Chodź, Claudette, musimy iść – powiedział Tony, jej kompan. Złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem do lasu. Venetia patrzyła tęsknie w nocne niebo. Świecący księżyc w pełni zmieniał zmarznięte pole w baśniową krainę połyskującą bielą. Czuła, że wreszcie znalazła mężczyznę, którego mogłaby pokochać na całe życie.

•••

Następnego dnia przekazała paczkę od Édouarda kurierowi wybierającemu się na południe, a sama wsiadła do pociągu, by wrócić do Paryża. Kiedy dotarła pod nowy bezpieczny adres, rzuciła torbę z westchnieniem ulgi i poszła do kuchni, zagotować wodę i napić się czegoś ciepłego.

– Dobry wieczór, *Fräulein*. Jak miło, że wreszcie się spotykamy.

Venetia obejrzała się i zamarła, rozpoznając lodowate spojrzenie bładoniebieskich oczu pułkownika Falka von Wehndorfa.

•••

Po tygodniu przesłuchań gestapo i brutalnych tortur, bo nie chciała udzielić żądanych informacji, Venetia została wyprowadzona na podwórze.

Oficer, który ją przywiązywał do słupka, patrzył na nią z pogardą.

– Dałbyś dziewczynie ostatniego papierosa – poprosiła, zająkując się lekko i spróbowała się uśmiechnąć.

Zapalił jednego i wetknął jej do ust. Zaciągnęła się kilka razy i w duchu przesłała pozdrowienia swoim najbliższym po drugiej stronie kanału La Manche.

Kiedy gestapowiec przeszedł do rzeczy i wymierzył z broni prosto w jej serce, ostatnie, o czym myślała Venetia, zamykając oczy, był pocałunek Édouarda de la Martinièresa.

Gassin, południowa Francja, 1999 rok

Jacques był tak wyczerpany, aż poszarzał na twarzy.

– Dość, tato. Musisz odpocząć – zarządził Jean, widząc zmęczenie ojca. – Zaprowadzę cię na górę.

– Ale muszę dokończyć tę historię... To jeszcze nie wszystko... ja...

– Na razie wystarczy, tato – powiedział Jean. Pomógł mu wstać z fotela i poprowadził go do drzwi. – Jest mnóstwo czasu. Może jutro opowiesz resztę.

Kiedy wyszli z pokoju, Emilie zapatrzyła się w ogień. Nie potrafiła przestać myśleć o Wenetii, która kilka dni przed śmiercią odnalazła prawdziwą miłość, pokochała jej ojca. Czowała się taka mała wobec sił i odwagi Angielki. Podziwiała ją.

Jean wrócił z góry i przysiadł na zydłu naprzeciw Emilie.

– Niezła historia, co? – mruknął.

– Rzeczywiście. Teraz myślę, że przedwczesna śmierć mojej ciotki ma coś wspólnego z jej romanssem z Frederikiem. – Westchnęła.

– Oboje wiemy, co się działo po wojnie z Francuzkami, które zadawały się z wrogiem. Smarowano je smołą i obsypywano pierzem albo ginęły zastrzelone przez sąsiadów – przyznał Jean.

Emilie zadrżała.

– Że też Sophia ze wszystkich mężczyzn musiała wybrać sobie właśnie jego...

– Chyba dla nikogo miłość nie jest sprawą racjonalnego wyboru, nie sądzisz, Emilie? – powiedział cicho.

– A dziecko Sophii? Czy ono też umarło? – zastanawiała się głośno Emilie.

– Kto wie? Musimy poczekać, aż tata opowie nam resztę tej historii – rzekł Jean. – Ale ja nie mam już wątpliwości, że Frederik był dobrym człowiekiem. A opowieść taty dowodzi tylko, jak bardzo przypadkowe jest to, gdzie i kiedy przychodzimy na świat. Czy jakkolwiek człowiek naprawdę chce walczyć i zabijać? – spytał. – W tamtych czasach po prostu nie miało się wyjścia, niezależnie od tego, po której się było stronie.

– Te wszystkie cierpienia i straty, jakie musiało ponieść tamto pokolenie... – Emilie pokręciła głową. – To każe spojrzeć na nasze życie z zupełnie innej perspektywy.

– Rzeczywiście. Dzięki Bogu, po dwóch wojnach światowych, ludzie na Zachodzie zmądrzeli. Przynajmniej na jakiś czas – stwierdził ponuro Jean. – Ale wojny będą zawsze. Taka jest już natura człowieka. Pragnie się zmian i nie umie utrzymać pokoju. Smutne, ale prawdziwe. Z drugiej strony dramatyczne sytuacje, do jakich wtedy dochodzi, potrafią wydobywać z ludzi to, co w nich najlepsze. Twój ojciec prawie na pewno uratował życie Constance, kiedy zamiast niej poszedł do kawiarni, by ostrzec Venetię. Z kolei, by chronić Édouarda, Constance zniosła najgorsze, czego może doświadczyć kobieta. Oczywiście – westchnął – wojna potrafi wydobyć też z ludzi to, co najgorsze, jak w przypadku Falka. Nieograniczona władza często deprawuje.

– W takim razie cieszę się, że nie mam żadnej. – Emilie uśmiechnęła się.

– Mylisz się, Emilie. – Jean popatrzył na nią zdziwiony. – Nie doceniasz tego, kim jesteś. Taka inteligentna i piękna kobieta. Samo to często wystarcza, ale ty w dodatku miałaś szczęście urodzić się w szanowanej, wpływowej rodzinie. Zostałaś szczerze obdarzona przez los. No, ale późno już, a ja muszę jak zwykle wstać o świcie.

– Jasne. I masz rację, Jean. Wiele dostałam od losu. Może dopiero teraz zacznym to doceniać – powiedziała cicho.

Jean wstał.

– Do zobaczenia rano.

– Śpij dobrze, Jean.

Dwadzieścia minut później leżała w starym łóżku w małym pokoju, w którym pewnie podczas swojego pobytu tutaj mieszkała Constance. Słyszała, jak Jean myje się we wspólnej łazience, a potem zamyka drzwi swojej sypialni.

Zdała sobie sprawę, że Jean i jego ojciec są dla niej kimś w rodzaju rodziny. Jeszcze oni jej zostali. Ta myśl przyniosła jej ukojenie i Emilie zasnęła.

• • •

Następnego dnia, kiedy weszła do kuchni, zastała tam Jeana. Miał zatroskaną minę.

– Tata ma kłopoty z oddychaniem, wezwałem lekarza. Kawy? – zaproponował.

– Tak, dziękuję. Czy mogę w czymś pomóc?

Jean zauważył rozczarowanie w jej oczach i objął ją ramieniem.

– Nie, on po prostu jest bardzo stary i słaby. Przykro mi, Emilie, ale tata nie może ci dziś opowiedzieć nic więcej o przeszłości.

– To oczywiste. Jestem takim samolubem – dodała przeprasząco. – Najważniejsze, żeby poczuł się lepiej.

– Po prostu musisz szybko znów tu przyjechać, jeśli chcesz usłyszeć więcej – rzucił z uśmiechem. – Wiesz, że zawsze możesz liczyć na nocleg, póki w zamku trwa remont.

– Może następnym razem przyjadę z mężem – zasugerowała Emilie. – W końcu to też historia jego babci.

– Racja. Zrobisz sobie sama śniadanie? Muszę popracować i coś skończyć, zanim przyjedzie lekarz. Mam tylko nadzieję, że tata nie wyląduje znów w szpitalu. Ostatnim razem był okropnie niezadowolony. W każdym razie jeszcze się zobaczymy przed twoim wyjazdem. – Skinął jej głową i wyszedł z kuchni.

Po śniadaniu Emilie poszła na górę się spakować. Nie miała wiele rzeczy. Słyszała, jak Jacques kaszle w pokoju obok. Zapukała nieśmiało do jego drzwi, a potem uchyliła je i zajrzała do środka.

– Mogę wejść?

Jacques uniósł dłoń na znak, że się zgadza.

Oczy miał otwarte, a kiedy do niego podchodziła, widok jego bladej, wymizerowanej postaci w wielkim łóżu przywołał wspomnienie Valérie tuż przed śmiercią. Przysiadła na brzegu łóżka i uśmiechnęła się do Jacques'a.

– Chciałam ci tylko podziękować, że opowiedziałeś mi, co się działo z moją rodziną podczas wojny. Mam nadzieję, że jak się lepiej poczujesz, usłyszę od ciebie dalszy ciąg.

Jacques otworzył usta i wydał z siebie chrapliwy dźwięk.

– Proszę, nie próbuj nic mówić – dodała Emilie, żeby go uspokoić.

Jacques chwycił ją za rękę swoją szponiastą dłonią, zadziwiająco mocno, jak na kogoś tak słabego. Starał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko nieco upiorny grymas. Skinął głową.

– Do widzenia. Proszę, kuruj się szybko. – Emilie nachyliła się do papierowobladej twarzy i pocałowała go lekko w czoło.

Jean był na górze z ojcem i lekarzem, kiedy Emilie musiała ruszać na lotnisko. Żeby mu nie przeszkadzać, zostawiła na kuchennym stole kartkę z podziękowaniami dla nich obu, wsiadła do auta i pojechała w kierunku Nicei. Czowała się winna. Myślała, że to przez opowiadanie tamtej historii stan Jacques'a tak bardzo się pogorszył. Najwyraźniej wysiłek i emocje, jakie się w nim obudziły, zrobiły swoje.

•••

Kiedy samolot startował z Nicei, Emilie modliła się, aby Jacques wyzdrowiał, ale pogodziła się z myślą, że być może nigdy nie pozna zakończenia tej historii. A gdzieś nad północną Francją wróciła myślami do domu – albo miejsca, w którym obecnie mieszkała.

Powrót do Blackmoor Hall po dwóch dniach spędzonych w tym tak bardzo bliskim jej sercu miejscu nie był specjalnie pociągającą perspektywą. Musiała się przemóc, żeby znów zaakceptować zimne, szare angielskie niebo i przygnębiającą, napiętą atmosferę tego domu. Przypomniała sobie, że ma spytać męża, dlaczego nic jej nie powiedział o swojej dwudniowej wizycie w zamku...

Kiedy zniżając się pomiędzy gęstymi, deszczowymi chmurami, samolot lądował na pogrążonej w ciemnościach ziemi, Emilie postarała się zmobilizować. Takiego mężczyznę i takie życie wybrała, bez względu na to, jak teraz jest trudno. Wyszła z lotniska, wsiadła do land rovera i opamiętała się trochę. Okropny, zimny dom i dwóch wojujących ze sobą braci to nic w porównaniu z potwornością cierpień, o jakich mówił poprzedniego wieczoru Jacques.

Gdy dotarła na miejsce, pod domem nie wypatrzyła śladu gruchota, którym Sebastian jeździł na stację. Weszła do domu, gdzie przywitały ją głucha cisza i lodowaty chłód. Rzuciła neser, po czym poszła do pomieszczenia z bojlerem, żeby włączyć ogrzewanie. Zorientowała się, że Sebastian nie był tu od dobrych kilku dni. Dziwne, bo kiedy wczoraj rozmawiali, mówił, że dzwoni z domu...

Może, wzruszyła ramionami, gotowa mu wybaczyć, Sebastian tak się przyzwyczaił do braku ogrzewania, że nie pomyślał, by je włączyć z powrotem. Weszła po schodach do sypialni, gdzie zastała wszystko dokładnie tak samo, jak zostawiła. Gdy wróciła do kuchni, by zrobić sobie herbatę, zauważyła, że w lodówce jest pół butelki mleka, jak w dniu jej wyjazdu. Nikt go nie tknął.

Prześnię! – zganiała się w myśli. Pewnie Sebastian wpadł tylko na noc, a z samego rana pojechał do Londynu. Jakkolwiek było, musiała wybrać się na zakupy, żeby mieli co jeść wieczorem.

Kiedy już miała otworzyć drzwi frontowe i znowu wsiąść do land rovera, na podjazd wtoczył się gruchot Sebastiana. Emilie zatrzymała się niepewnie w progu, patrząc, jak mąż wysiada.

– Kochanie! – Podbiegł do niej z otwartymi ramionami i mocno ją objął. – Jak dobrze, że wróciłaś.

Pochylił się i pocałował ją.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja za tobą też. Tak się martwiłam, bo...

– Cicho, cicho, Emilie. – Sebastian położył jej palec na ustach. – Już jesteśmy razem.

• • •

Na szczęście Sebastian znów był bardziej dawnym sobą i spędzili miły weekend, odnajdując dawną więź. Kochali się, wstawali późno, szykowali coś do jedzenia, kiedy zgłodnieli, a w niedzielę po południu poszli na długi spacer po posiadłości. W ogrodach, choć były bardzo zapuszczone, widać już było pierwsze oznaki wiosny.

– Tyle tu trzeba uporządkować, że nawet nie wiem, od czego zacząć – rzucił Sebastian z westchnieniem, kiedy wracali przez główny trawnik do domu.

– Lubię prace w ogródku – powiedziała Emilie. – Może zobaczę, co mi się uda zrobić. Przynajmniej będę miała jakieś zajęcie podczas twoich wyjazdów.

– Świetnie – zgodził się Sebastian, gdy wchodzili do kuchni. – Herbaty?

– Tak, proszę.

– Posiadłość nie wygląda zbyt pięknie, co? – zauważył. – A obawiam się, że w najbliższych miesiącach często mnie tu nie będzie.

– To może naprawdę powinnam pomyśleć o przeprowadzeniu się do ciebie do Londynu – oznajmiła zdecydowanie, kiedy podawał jej kubek herbaty. – Taka rozłąka nie jest dobra, zwłaszcza że dopiero co się pobraliśmy. I to bez sensu, że nie pozwalasz żonie użyć jej własnych pieniędzy dla dobra związku – dodała, sama zaskoczona tym nagłym przyływem odwagi.

– Masz rację. Może pomyślimy o tym za kilka tygodni? – zaproponował, całując ją w nos. – Moglibyśmy rozejrzeć się za jakimś małym mieszkankiem. Na pewno nie chciałbym cię narażać na wprowadzanie się do mojej paskudnej klitki, moja ty pięciogwiazdkowa panienko – dorzucił z uśmiechem.

Emilie miała ochotę powiedzieć, że dla niej naprawdę nieważne jest, gdzie mieszkają, ale pochłonięta myślą, że przeprowadzi się do niego do Londynu, postanowiła dać spokój dalszym dyskusjom.

Tego wieczoru jednak poruszyła sprawę jego pojawienia się w zamku we Francji.

Leżeli w łóżku i Sebastian popatrzył na nią dziwnie.

– Nie pamiętasz, że ci o tym mówiłem?

Po chwili zachichotał.

– Nie mów, że dostajesz sklerozy, co? Dlaczego, na Boga, miałbym to przed tobą ukrywać?

– Sebastianie, jestem pewna, że nic mi nie mówiłeś – nie ustępowała Emilie.

– Ale jakie to ma w sumie znaczenie? Przecież ty nie musisz mnie pytać o zgodę, kiedy chcesz przyjechać tutaj. Moja wizyta w zamku nie była planowana. Zostało mi trochę wolnego czasu i pomyślałem, że może w czymś pomogę przed pakowaniem biblioteki. Chyba nie miałabyś nic przeciwko temu, co?

– Pewnie, że nie.

– Fajnie. No, to dobranoc, kochanie, muszę wstać bardzo wcześnie, żeby zdążyć na pociąg. Spróbuję się trochę przespać.

Kiedy Sebastian zgasił światło, Emilie leżała, zastanawiając się, jak to jej mąż potrafi odwrócić kota ogonem i w efekcie jej pretensje wydają się kompletnie nieuzasadnione i głupie.

A może ona naprawdę nie ma racji...

Westchnęła cicho i zamknęła oczy, mówiąc sobie, że nad małżeństwem trzeba pracować i że trzeba nauczyć się iść na kompromis.

•••

Sebastian wyjechał do Londynu o szóstej rano następnego dnia, a Emilie za wszelką cenę starała się jeszcze pospać. W końcu poddała się, wstała i zeszła na dół, by zrobić sobie kawę. Po raz pierwszy od powrotu do Yorkshire włączyła komórkę i odsłuchiwała wiadomości. Jedna była od Jeana. Mówił, że Jacques został

przyjęty do szpitala w Nicei, ale dobrze reaguje na antybiotyki i czuje się lepiej. Obiecywał dać jej znać, kiedy tylko ojciec wróci do domu i będzie w stanie kontynuować swoją opowieść.

Dzień był słoneczny, Emilie zdecydowała się jeszcze raz przejść po ogrodzie. Chciała się zastanowić, od czego mogłaby zacząć. Trzeba zająć się czymś pożytecznym, póki tu jest. Spacerując, uzmysłowiła sobie, że potrzeby przerastają jej fizyczne możliwości. Ogromne rabaty trzeba było wyplewić z chwastów i ponawozić, a krzewy poprzycinać. Dopiero wiosną będzie mogła zorientować się, co jest do uratowania po latach zaniedbań, myślała, ruszając do sadu i rozglądając się po tamtejszym rozgardiaszu.

Podłamana ogromem prac, które ją czekają, wróciła do domu zaparzyć sobie kawę i zdecydowała, że przynajmniej postara się coś zrobić z pięknym tarasem przy kuchni, gdzie rano zagłada słońce. Spékania kamiennej posadzki porosły mchem, tworząc labirynt zielonych linii. Spisała sobie, co musi kupić w centrum ogrodniczym, które zauważyła przy drodze kilka kilometrów od domu. Była pewna, że jak się nieco przyłoży, posadzi trochę krzewów i kwiatów, uda się jej stworzyć miejsce, gdzie będzie miło posiedzieć na powietrzu.

•••

Po powrocie z centrum ogrodniczego i supermarketu wiedziała, że powinna sprawdzić, co u Alexa. Miała wobec niego mieszane uczucia. Bardzo go lubiła, ale za każdym razem, kiedy się spotykali, choć nie krytykował Sebastiana, czuła jakieś niedopowiedzenia i to ją niepokoiło. Dopiero co odzyskała jaką taką równowagę w swoim związku i nie chciała jej burzyć.

O siódmej wieczorem zapukała do drzwi Alexa.

– Proszę.

Alex był w kuchni, jadł kolację. Uniósł głowę i uśmiechnął się.

– Cześć, nieznamo.

– Cześć. – Emilie poczuła się dziwnie skrzepowana. – Wpadłam, żeby upewnić się, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Jak najbardziej, dziękuję. A u ciebie?

– Tak.

– To dobrze. Może się przyłączysz? – Alex wskazał na zapiekankę stojącą na gorącej płycie. – Zawsze robię trochę za dużo.

– Nie, dziękuję. Już przygotowałam sobie kolację u siebie. Czegoś ci potrzeba?

– Nie, dzięki.

– No to fajnie. Nie będę ci przeszkadzać, jedz. W razie jakichkolwiek problemów, dzwoń na komórkę.

– Tak jest.

– Dobranoc, Alex.

Uśmiechnęła się do niego z przymusem i obróciła się, aby wyjść.

– Dobranoc, Emilie – powiedział ze smutkiem Alex.

• • •

Przez następnych kilka dni Emilie zajmowała się pilnie oczyszczaniem małego tarasu i pokrytych mchem donic, do których przywarły martwe szczątki dawno zwiędłych kwiatów. Na razie posadziła w nich zimowe bratki, ale za parę tygodni będzie mogła dodać petunie i niecierpki i posiać w skrzynkach intensywnie pachnącą bazylię.

Dzwonił Jean, żeby powiedzieć, że Jacques jest już z powrotem w domu i chętnie opowie dalszy ciąg historii, więc Emilie zarezerwowała bilet do Francji na następny tydzień. Dopadła też Jo, dziewczynę, którą zatrudniła do sprzątanego dla Alexa, i wypytała, jak jej się pracuje.

– Och, cudownie, proszę pani – powiedziała Jo, kiedy szły razem w kierunku jej roweru. – Alex to taki miły człowiek. I mądry. Mam uczyć się rosyjskiego na studiach w przyszłym roku i on mi pomaga.

– Zna rosyjski? – zdziwiła się Emilie.

– Tak. I japoński. Mówi też trochę po chińsku i hiszpańsku. Oczywiście francuski też zna. – Jo westchnęła. – Jaka szkoda, że tkwi w tym fotelu i nie jest w stanie się stąd ruszyć. Ale nigdy nie narzeka, proszę pani. Ja na jego miejscu strasznie bym marudziła.

– Masz rację – przyznała Emilie.

Pomachała odjeżdżającej spod domu Jo i poczuła się jeszcze bardziej wredna, że tak unika szwagra.

• • •

Emilie cieszyła się, kiedy wreszcie nadszedł piątek. Sebastian od wyjazdu dzwonił tylko raz, ale zaczynała już godzić się z tym, że zajęty pracą nie ma czasu częściej się z nią kontaktować. Przyjechał do domu w dobrym nastroju. Mówił, że udało mu się sprzedać obraz jednego z nowych podopiecznych i dostał niezły procent. Emilie zaproponowała, żeby pojechał z nią do Francji w następnym tygodniu. Mogliby razem posłuchać reszty historii Jacques'a, ale powiedział, że ma za dużo spraw do załatwienia. Co do Alexa, to Emilie zapewniła go, że wszystko u niego w porządku i prawie go nie widuje.

– Naprawdę jest samowystarczalny, Sebastianie.

– No, zdaje się, że na twoje wyszło – podsumował szorstko.

– Nie to miałam na myśli – zaprotestowała.

Siedzieli na świeżo zaaranżowanym tarasie za domem. Dostała dreszczy, kiedy słabe tutejsze słońce całkiem skryło się za chmurami. Podniosła się z fotela.

– Pójdę przygotować kolację.

– À propos podróży, może będę musiał polecieć na kilka dni do Szwajcarii, a konkretnie do Genewy, i na przyszły weekend nie zdołam dotrzeć z powrotem do domu – powiedział Sebastian.

Emilie skinęła głową zamyślona.

– To może dołączę do ciebie z Francji? Mogłabym wypożyczyć auto i dojechać do Genewy. To niedaleko.

– Byłoby cudownie, ale ja naprawdę nie podróżuję dla rozrywki. Cały czas będę miał spotkania.

– Dobrze. – Westchnęła. Nie chciała się kłócić. Poszła do domu szykować kolację.

•••

W poniedziałek rano Sebastian znów wyjechał, a Emilie leżała w łóżku w fatalnym nastroju. Bardzo starała się nie narzekać i wspierać Sebastiana w jego wysiłkach, by postawić firmę na nogi. Nie chciała domagać się, by poświęcał jej więcej czasu, ale naprawdę coraz rzadziej się widywali. Co miała ze sobą począć rzucona na pastwę losu w Yorkshire? Malowanie całymi dniami zrujnowanego domu, który może zostać sprzedany i nawet nie należy do niej, nagle wydało się jej kompletnym bezsensem.

Jej decyzja, aby unikać Alexa, oznaczała, że prawie cały czas spędzała samotnie. Z westchnieniem wstała i ubrała się. Mogłaby się nie trudzić i od rana do wieczora snuć się w koszuli nocnej, bo i tak nikt by nie zauważył. Przygnębiająca refleksja.

Z tą myślą wsiadła na rower i wybrała się do miasteczka po mleko i bułki – albo to, co uznaje się za pieczywo w Anglii – a potem pojechała dalej, aż dotarła do ostatniego domu po lewej stronie. Oparła rower o surową ścianę z kamieni, podeszła do drzwi i zapukała. Jeśli nie zastanie pani Erskine, to po prostu odjedzie. Ale przecież zapraszała ją, by wpadła. Czas zdobyć nieco więcej informacji o braciach i ich relacjach.

Po drugim pukaniu drzwi stanęły otworem, a Emilie od razu poczuła się mile widziana i uznała, że nie przeszkadza, bo Norma Erskine uśmiechnęła się serdecznie na jej widok.

– Witaj, kochanie, zastanawiałam się, kiedy wreszcie do mnie zajrzysz – powiedziała, prowadząc Emilie wąskim korytarzem. – Właśnie nastawiałam czajnik. Usiądź przy stole.

– Dziękuję.

Emilie zajęła wskazane miejsce. Zauważyła, że kuchnia jest staromodna, ale bardzo zadbana. Szafki z żółtego laminatu, kuchenka i lodówka Electrolux o charakterystycznych opływowych kształtach pamiętały lata sześćdziesiąte.

– No i jak tam cię traktują, kochanie, ci moi okropni bliźniacy? – zagadnęła wesoło pani Erskine.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała grzecznie Emilie.

– Miło słyszeć. To już nie walczą ze sobą tak jak zwykle? Może masz na nich dobry wpływ.

Norma postawiła filiżankę kawy przed Emilie i usiadła naprzeciw niej przy małym stole.

– Choć bardzo bym się zdziwiła, że ktoś potrafi ich spacyfikować.

– Nie całkiem rozumiem, co pani ma na myśli – odparła Emilie jakby nigdy nic.

– No, na pewno musiałaś zauważyć to napięcie pomiędzy nimi. Można by sądzić, że z wiekiem z tego wyrosli. Ale jestem przekonana, że to się nigdy nie zmieni.

– Rzeczywiście, nie utrzymują zbyt bliskich kontaktów.

– O, to chyba mało powiedziane. – Norma westchnęła, a potem wyciągnęła rękę i poklepała dłoń Emilie. – Dobrze rozumiem, jesteś żoną jednego z nich, nie chcesz być nielojalna.

– No tak – przyznała Emilie. – Ale ma pani rację, w domu panuje napięta atmosfera. Nie znam przyczyn, nie wiem, co się stało, więc trudno mi to pojąć. Przyjechałam, bo mam nadzieję usłyszeć od pani, na czym to polega. Gdybym wiedziała, co ich poróżniło, może łatwiej byłoby mi sobie z tym poradzić.

Norma przez chwilę przypatrywała się jej w milczeniu.

– Problem w tym, że musiałabym powiedzieć ci dość nieprzyjemne rzeczy o człowieku, za którego właśnie wysłaś. I nie jestem pewna, czy chcesz to usłyszeć. Bo kiedy zacznę, będę musiała zdradzić całą prawdę. Nie mogłabym ci kłamać, pani Carruthers. Jesteś pewna, że chcesz wszystko wiedzieć?

– Nie, oczywiście nie – odparła szczerze Emilie. – Ale to będzie może lepsze niż domyślanie się, o co chodzi.

– Podejrzewam, że pan Alex nic ci nie powiedział.

– Nic. Nie zgadza się na żadne rozmowy o bracie czy przeszłości.

– Jest lojalny. To muszę mu przyznać. No, dobrze... – Norma klepnęła się po swoich masywnych udach. – Mogę mieć tylko nadzieję, że dobrze robię, mówiąc ci to. Ale pamiętaj, sama mnie prosiłaś.

– Będę pamiętać – obiecała Emilie.

– Jak przypuszczam, wiesz, że chłopcy zostali tu przywiezieni przez mamę z Ameryki z komuny hipisowskiej, w której tam żyła?

– Tak. – Emilie skupiła się mocno, by rozumieć twardą wymowę typową dla Yorkshire.

– Byli podobni jak dwie krople wody. Pomiędzy nimi było tylko półtora roku różnicy. Najśladźsze maluchy pod słońcem. Oczywiście, choć pan Sebastian jest starszy, od początku było widać, że to ten mniejszy jest wyjątkowy. Pan Alex czytał i pisał, zanim skończył cztery lata. Jako dziecko był czarusem, zawsze potrafił wycygnąć ode mnie z kuchni kawałek tortu biszkoptowego, nawet przed kolacją! – Norma zachichotała. – Wyglądał jak aniołek, z tymi swoimi wielkimi piwnymi oczami. Nie zrozum mnie źle, twój mąż też był uroczym chłopczykiem, ale z całym szacunkiem muszę dodać, że nie został pobłogosławiony takimi talentami, jakich młodszy brat miał aż nadto. Sebastian był dość bystry i niebrydki, ale dało się poznać, że nigdy nie dorówna Alexowi. Oczywiście stale rywalizował z bratem, chciał być lepszy, ale Alex zawsze bez trudu wygrywał,

choćby nie kiwnął palcem. – Westchnęła i pokręciła głową. – I niespecjalnie pomogło też to, że mały był oczkiem w głowie babki.

– Rozumiem. Sebastianowi musiało być ciężko.

– Och, jeszcze jak, kochanie, a z upływem lat wcale nie było lepiej. Tak naprawdę o wiele gorzej. Kiedy tylko Sebastian mógł wpakować Alexa w kłopoty, to z tego korzystał. W końcu musiał czasami „zwyciężyć”, prawda? Oczywiście Sebastian mówił: „Alex zaczyna, ale zawsze mu się upieczę”.

– Rozumiem – powtórzyła zszokowana Emilie. W końcu zaczynało docierać do niej, w czym rzecz. – Czy Alex próbował się odegrać?

– Nie. – Norma skrzywiła się lekko. – Ani razu. Widzisz, on ubóstwiał starszego brata, chciał mu się przypodobać i kiedy Sebastian zrzucał winę na niego, akceptował to bez szemrania. Twój mąż zawsze umiał odwrócić kota ogonem. – Pokręciła głową. – Na jakiś czas zrobiło się spokojniej. Sebastian pojechał do szkoły z internatem i mógł przechwalać się, jakie to tam odnosi sukcesy. Ale potem Alex za wyniki w nauce zdobył stypendium naukowe i też został tam wysłany, prawda? Wyjeżdżał stąd w glorii chwały. Wszyscy wiązaliśmy z nim wielkie nadzieje. I nagle Constance, to znaczy ówczesna pani Carruthers, zaczęła dostawać ze szkoły listy, że Alex stale sprawia problemy. Nikt z nas nie rozumiał, o co chodzi, nie znałam grzeczniejszego, miłszego chłopca. Bardziej interesowały go książki niż walki na pięści. W każdym razie rok później został wydalony ze szkoły i odesłany do domu jak niepyszny. Podobno próbował podpalić nowo wybudowaną salę gimnastyczną.

– A próbował?

– Władze szkolne twierdziły, że tak, a Alex nigdy nie pisał na ten temat ani słowa, choć i ja, i jego babcia starałyśmy się wydobyć z niego, co się stało. Ja na przykład mam swoją teorię.

Pani Erskine wniosła brwi i Emilie wiedziała, co sugeruje.

– W rezultacie Alex chodził do miejscowej szkoły średniej. Do której, muszę przyznać, sama niechętnie posłałabym swoje dzieci. Jest byle jaka. Alex pasował tam jak kwiatek do kożucha. Nienawidził tej szkoły, ale zawsze miał świetne stopnie z egzaminów, pomimo marnego poziomu nauczania, i dostał się na Cambridge. Babcia była zachwycona, że jej ukochany wnuczek wyszedł na prostą. Sebastian natomiast, który odebrał najlepsze nauki, jakie można kupić za pieniądze, ale był leniwy, ledwie zdołał załapać się na historię sztuki w Sheffield.

Norma przerwała swoją opowieść, żeby pociągnąć łyk kawy. Emilie siedziała w milczeniu, czekając na dalszy ciąg.

– No i – kontynuowała Norma – to lato, kiedy Alex miał jechać do Cambridge zaczęło się dobrze. Obaj chłopcy cieszyli się smakiem dorosłości. Alex zbierał pieniądze na samochód i wozili się nim do tutejszego pubu. Był dumny jak paw z tego swojego starego mini. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie. – I oto pewnej nocy to nie Alex przyjechał do domu, ale policja. Alex miał wypadek, zderzył się z innym wozem. Podobno upił się do nieprzytomności i policja zatrzymała go w areszcie, póki nie wytrzeźwieje. Dzięki Bogu nikt nie był poważnie ranny, ale oba auta poszły do kasacji. Alex został oskarżony o prowadzenie po pijaku i uniwersytet odmówił przyjęcia go ze względu na to, że jest notowany.

– To okropne! Ale – zastanowiła się głośno Emilie – Sebastian mówił mi, że Alex miał problemy z alkoholem. Może wtedy to się zaczęło.

– Oj, kochana – Norma pokręciła głową – przed tym zdarzeniem, jeśli Alex prowadził, to nie widziałam, żeby wypił nawet kropelkę alkoholu. Taki był dumny ze swojego auta. Nie zrobiłby nic ryzykownego. Po dziś dzień upiera się, że tamtego wieczoru pił tylko sok pomarańczowy, ale jakimś cudem ten alkohol dostał się do jego organizmu, prawda? – powiedziała. – W każdym razie, kiedy stracił miejsce na uniwersytecie, jesienią zebrał wszystkie pieniądze, które zaoszczędził, pracując w tutejszym sklepie, w miasteczku, i wyjechał za granicę. I na pięć lat wszelki ślad po nim zaginął.

– Tak, Sebastian mówił mi, że przepadł jak kamień w wodę.

– Nie mieliśmy pojęcia, gdzie jest. Jego babcia odchodziła od zmysłów ze zmartwienia. Zastanawiała się, czy on w ogóle żyje, bo nawet się do niej nie odezwał. A potem odebraliśmy telefon ze szpitala we Francji i dowiedzieliśmy się, że tam jest, bliski śmierci. Nie znam się na narkotykach, kochanie, ale dość powiedzieć, że najwyraźniej próbował prawie wszystkiego. Constance wsiadła natychmiast w samolot i poleciała zrobić z nim porządek.

– Oddała go do prywatnego ośrodka dla uzależnionych, prawda? – spytała Emilie.

– Tak i wrócił czysty, jak to mówią, ale niedługo znów zniknął i nie widzieliśmy go przez kolejne cztery lata. Nie zdążył na pogrzeb babci.

Łzy napłynęły do oczu Normy. Wyjęła chusteczkę z rękawa i wytarła nos.

– Przepraszam, kochanie, ale Constance stale pytała o niego przed śmiercią. A my nie wiedzieliśmy, gdzie on jest. Nie dane jej więc było pożegnać się

z wnukiem. I sędzę, że Alex też nigdy sobie nie wybaczył, że nie dotarł na czas. Czegokolwiek szukał w tych swoich podróżach, to nadal ubóstwiał babcię.

– Na pewno.

– Powtarzał, że przecież pisał do domu listy z adresem zwrotnym, ale my nigdy ich nie dostaliśmy, kochanie, naprawdę. – Westchnęła. – W każdym razie, może przez szok po utracie Constance, Alex zamieszkał tutaj i przestał szaleć. Mówił, że chce skończyć studia, zostanie nauczycielem. Był zupełnie jak odmieniony. A może powinnam powiedzieć – Norma uśmiechnęła się przez łzy – znów stał się taki jak w dzieciństwie. Sebastian wyjechał do Londynu i cieszyłam się, że Alex tu jest, by wszystko uporządkować, bo ja nie miałabym pojęcia, co robić. Potem, w pewien weekend, niedługo po śmierci Constance, przyjechał z Londynu twój mąż. O coś się strasznie pokłócili. Zobaczyłam, że Alex wsiada do auta i włącza silnik. Zanim odjechał, do samochodu wskoczył za nim Sebastian. Ruszyli pełnym gazem, a potem pamiętam tylko telefon z kolejnego szpitala. Tym razem znaleźli się tam obaj chłopcy. Tak jak na pewno wiesz, twój mąż miał tylko drobne obrażenia, ale Alex był poważnie ranny.

– Alex znów wypił, prawda?

– Nie, kochanie. – Norma pokręciła głową. – Wszystko mylisz. To było przy pierwszym wypadku. Tym razem pijany był ten drugi kierowca, z którego wozem się zderzyli. Sprawa trafiła do sądu. Wypis ze szpitala wskazywał, że we krwi Alexa nie było śladu alkoholu. Był niewinny, mógł iść wolno. Tylko że, oczywiście, nie mógł, bo został sparaliżowany na całe życie – wyjaśniła. – Czasami zastanawiam się, dlaczego ten chłopak tak przyciąga tragedie. W każdym razie, kiedy Alex wreszcie wrócił ze szpitala, twój mąż powiedział mi jasno, że teraz to on zajmie się bratem. Mówiłam mu, co chcę tu podkreślić, że bardzo chętnie zaopiekuję się Alexem, ale Sebastian zdecydował, że i tak mam dość do roboty, i nie ustąpił.

– To dlaczego w końcu postanowiłaś odejść? – spytała Emilie.

– Jeśli mam być szczerą, to wiem, że twój mąż próbował zrobić dla brata co najlepsze, ale zatrudniał opiekunki, z którymi wolałabym nie mieć nic do czynienia.

Norma zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

– I najpewniej pan Alex też nie był zachwycony. Tak jakby twój mąż wybierał najgorsze kandydatki, jakie się trafiały. A jeśli zdarzyła się jakaś dobra, którą Alex lubił i zaczynał nabierać do niej zaufania, Sebastian zaraz miał jej coś do

zarzucenia i odprowadzał ją z hukiem. Rozumiem, że z początku Alex wymagał całodobowej opieki, ale teraz jest o wiele mocniejszy i bardziej sprawny. Przypadkiem wiem, że twój mąż dostaje pełną sumę na opiekę nad Alexem. Może uznał, że musi ją wydawać albo coś w tym rodzaju.

Emilie siedziała w milczeniu, starając się zrozumieć sytuację. Czyli Sebastian pobiera pieniądze na potrzeby Alexa.

– Jak powiedziałam, muszę wierzyć – Norma popatrzyła na Emilie ze skrucłą – muszę wierzyć, że twojemu mężowi leży na sercu dobro brata. Przecież często wyjeżdża do Londynu. Ale poza tym, że ja zawsze byłam tam w domu, wszystkie te zmiany opiekunek nie służyły nikomu, a już mnie na pewno. A ta ostatnia... – Wzniosła oczy do nieba. – Gdyby pan Alex nie rzucił w nią filiżanką kawy, to chyba sama bym to zrobiła. Często chodziła pijana w sztok. Próbowałam uzmysłwić to twojemu mężowi, ale nie chciał słuchać. I wtedy zdecydowałam, że naprawdę mam już dość.

– Rozumiem.

– A teraz – Norma westchnęła – ty musisz radzić sobie z tym wszystkim. Współczuję ci, kochanie. Naprawdę.

Emilie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dziękuję za pani szczerość – odezwała się wreszcie.

– No, mam nadzieję, że nie palnęłam nic niestosownego na temat twojego męża. Po prostu mówię, jak było. W głębi serca obaj są dobrzy – dodała bez przekonania.

Zapadło milczenie. Emilie miała świadomość, że Norma starała się przedstawić wszystko w sposób jak najbardziej dyplomatyczny.

Ta jakby czytała w jej myślach.

– Widziałam, jak dorastali, wiesz. I kocham ich obu – zapewniła – bez względu na to, jak się zachowywali.

– Tak. Dziękuję za kawę. – Emilie wstała od stołu, czując nagle potworne zmęczenie. – Muszę już jechać do domu.

– Oczywiście.

Norma odprowadziła ją do drzwi i położyła swoją dużą szorstką dłoń na jej ramieniu.

– Mam nadzieję, że nie wpuściłam lisa do kurnika – odezwała się, a kiedy Emilie spojrzała na nią pytająco, dodała: – Nie chciałam powiedzieć ci rzeczy, których lepiej, żebyś nie wiedziała.

Obie zdawały sobie sprawę, co ma na myśli.

– Mogę być tylko wdzięczna za to, co mi pani wyjaśniła. Powinnam rozumieć sytuację i teraz wiem, o co chodzi.

– To dobrze. I pamiętaj, kochanie, że tu zawsze czeka na ciebie dobra kawa.

– Dziękuję – powiedziała Emilie, wychodząc za próg i zabierając rower, który stał oparty o mur.

– Uważaj na Alexa, dobrze? On jest taki bezbronny.

Norma spojrzała błagalnie na Emilie i jej oczy powiedziały wszystko.

Emilie skinęła głową, wsiadła na rower i ruszyła z powrotem do Blackmoor Hall.

Emilie nie odwiedziła Alexa tego wieczoru. Usiadła przy kominku w salonie i dla pamięci spisała sobie wszystko, czego dowiedziała się od pani Erskine.

Trudno było wątpić w ocenę gospodyni, bo ona też widziała to podobnie. Sama przecież kiedyś pomyślała, że Sebastian umie odwracać kota ogonem. Naginanie faktów, by nadać im inną wymowę, to, jak wiedziała z doświadczenia, jego specjalność.

Czy jej mąż, jak sugeruje pani Erskine, jest kłamcą, łotrem i tyranem, który nie cofnie się przed niczym, by zniszczyć brata? A jeśli naprawdę Sebastian ma żal do Alexa, czy to oznacza, że w ogóle jest złym człowiekiem?

Przypomniała sobie tamtą sprawę z komórką, gdy Sebastian zdołał przekonać ją, że jest śmieszna, mając takie pretensje o brak kontaktu. I choć zapewniał, że mówił jej o wizycie w zamku przed pakowaniem biblioteki, wiedziała, że o tym nie wspominał.

I dlaczego nie chce, żeby jeździła z nim do Londynu czy w inne podróże, i zostawia ją – swoją żonę od niespełna miesiąca – samą w Yorkshire?

Nie! Musi odpuścić, nie wolno jej dać się ponieść szalonej wyobraźni. Ojciec mówił o czymś takim „przedświtis-szurnitis”, kiedy w środku nocy siły vitalne organizmu są w największym dołku, traci się zdolność logicznego myślenia i popada w paranoję.

Na górze Emilie poszperała w kosmetyczce, znalazła tabletki nasenne, które przepisał jej lekarz po śmierci matki, i połknęła jedną z nich. Przede wszystkim musi się wyspać. A następnego dnia podejmie dalsze kroki, by odkryć prawdę.

...

Zapukała do drzwi Alexa o szóstej następnego wieczoru. Przez cały dzień starała się poukładać sobie w głowie poznane fakty. Uzbrojona w butelkę czerwonego wina, usłyszała głos szwagra, zapraszający ją do środka.

– Jestem przy komputerze! – zawołał. – Niektóre z moich dzieci poniosły dziś dotkliwe straty, przez fatalne zbiory trzciny cukrowej na Fidżi. Chodź tutaj.

– Cześć, Alex. – Emilie stanęła w progu jego gabinetu zafascynowana migającymi na czerwono i zielono tabelami, które przepływały przez monitor.

– Cześć – odpowiedział, nadal wpatrzony w ekran. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Przyniosłam to. – Emilie pokazała butelkę.

Alex obejrzał się, zobaczył wino i wykazał należne zaskoczenie.

– Jesteś pewna?

– Tak, jak najbardziej.

– Co za miła niespodzianka – powiedział, odjeżdżając od komputera i obracając się do niej. – Mam na myśli ciebie, nie wino.

Uśmiechnął się do niej.

– Przepraszam, że nie wpadłam wcześniej – wybąkała.

– Nic nie szkodzi. Przywykłem do losu pariasa. Mimo to, bardzo miło mi cię widzieć, Em. Mam jechać po kieliszki czy sama weźmiesz?

– Zaraz przyniosę.

– Dziękuję.

Emilie znalazła korkociąg i dwa kieliszki w kredensie w kuchni, a potem poszła za Alexem do salonu i patrzyła, jak pochyla się, by dołożyć do kominka. Otworzyła butelkę, nalała wino i podała mu kieliszek. Widziała, że jego inteligentne oczy przypatrują się jej badawczo.

– *Santé* – powiedziała, biorąc mały łyk.

– No – Alex nie spuszczał z niej wzroku – wyrzuć to z siebie.

– O co ci chodzi?

– Masz mi coś do powiedzenia albo chcesz o coś zapytać. Zamieniam się w słuch.

– No tak. – Emilie odstawiła kieliszek na stół i usiadła na jednym z foteli przy kominku blisko niego. – Alex, czy ty kłamiesz?

– Co takiego?! – Prawie parsknął śmiechem. – Wiadomo, że zaprzeczę. Szczerze mówiąc, pewnie i kłamałem, kiedy brałem twarde narkotyki w latach uzależnienia, ale wtedy to normalne.

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że powinnam o to spytać, biorąc pod uwagę, że muszę cię prosić, a właściwie błagać, żebyś powiedział mi prawdę.

– Tak, wysoki sędzie, będę mówił prawdę i tylko prawdę. Co się dzieje, Em?

– Wczoraj pojechałam odwiedzić Normę Erskine.

– Ach tak. – Alex westchnął i wziął łyk wina. – I co ci miała do przekazania?

– Mówiła tylko dlatego, że ją prosiłam – dodała szybko Emilie – o waszym dzieciństwie tutaj.

– No i? – zagadnął ostrożnie Alex.

– Starala się być delikatna, ale jest kilka pytań, które chciałabym ci zadać w związku z tamtą rozmową, żeby jakoś poukładać sobie to wszystko w głowie.

– No, dobrze... Myślę, że wiem, dokąd zmierzamy. Do tematu, którego celowo starałem się unikać – zauważył posępnie Alex. – Jesteś pewna, że tego chcesz? Mogę ci wyjawić prawdę. Ale jak to bywa, prawdę z mojej własnej perspektywy, która może być spaczona – dodał.

– To sądzę, że będzie prościej, jeśli zadam ci najpierw kilka krótkich pytań. Chyba da się na nie odpowiedzieć po prostu tak lub nie.

– Emilie, myślałaś kiedyś, żeby zostać prawnikiem? Wydaje mi się, że byłabyś świetna – rzucił z uśmiechem, starając się rozładować atmosferę.

– Alex, to poważna sprawa.

– Wysoki sędzie, w życiu nic nie jest aż tak poważne, póki człowiek żyje i fika.

– Błagam, Alex.

– Przepraszam. Odpowiem „tak” albo „nie”. I nie będę zagłębiał się w wyjaśnienia, chyba że mnie poprosisz. Strzelaj.

Emilie spojrzała na swoją listę.

– Pierwsze pytanie: czy w dzieciństwie brat ci dokuczał? I czy stale kłamał, zrzucając winę na ciebie, kiedy dochodziło do kłótni albo bójek?

– Tak.

– Kiedy w nagrodę za dobre wyniki przyznano ci stypendium i pojechałeś do tej samej szkoły co brat, czy on dalej próbował obwiniać cię o różne tamtejsze afery? Na przykład, czy to on spowodował pożar, przez który wyrzucono cię ze szkoły?

Alex zawahał się lekko.

– Tak mi się wydaje, tak – odparł wreszcie. – Ja na pewno tego nie zrobiłem, choć czterech kolegów i jeden z nauczycieli przysięgali, że widzieli kogoś, kto był mną, uciekającego z sali gimnastycznej po podłożeniu ognia. A z pewnej odległości rzeczywiście łatwo pomylić mnie z Sebastianem.

– Dlaczego się nie broniłeś? – spytała.

– Myślałem, że chcesz odpowiedzi na „tak” i „nie” – zdziwił się Alex. – Miałbym skarżyć na brata, co? Poza tym nikt by mi nie uwierzył. W jakiś sposób Sebastianowi udało się uzyskać opinię nieskazitelnego ucznia. Zawsze zachowywał się jak kot Makawity z wiersza T.S. Eliota. Jakby co, to jego tam nie było. Ale nie ma dowodu, że to on stoi za tym podpaleniem, nie można więc wydawać sądów.

– Rozumiem. Dobrze, następne pytanie: czy piłeś alkohol tego wieczoru, kiedy pojechaliście razem i skończyło się na tym, że zostałeś oskarżony o prowadzenie po pijanemu? Miałeś wtedy osiemnaście lat.

– Nie, nie przypominam sobie, żebym świadomie cokolwiek wypił. Zamówiłem sobie w pubie sok pomarańczowy, jak zawsze – zapewnił Alex.

– Czy sądzisz, że brat dolał ci czegoś mocniejszego?

– Tak. – Tym razem się nie wahał.

– Czy kiedykolwiek go to oskarżyłeś?

– Nie. Jak mógłbym tego dowieść?

– Myślisz, że zrobił to, żebyś nie studiował w Cambridge?

– Tak.

– Wyjechałeś z Yorkshire za granicę, bo chciałeś uciec od brata, który, jak się zorientował, tak bardzo jest o ciebie zazdrosny, że nie cofnie się przed niczym, by zniszczyć wszystko, co osiągniesz?

– Tak.

– Kiedy pojechaliście autem w wieczór twojego wypadku, strasznie się przedtem pokłóciliście. Czy to dlatego, że on chciał sprzedać Blackmoor Hall, a ty nie?

– Tak.

– Czy winisz Sebastiana za tamten wypadek?

– Nie – zaprzeczył zdecydowanie. – Wypadek to wypadek i nie ma z nim nic wspólnego.

– Jesteś pewien?

Alex zrobił krótką przerwę i ciężko westchnął.

– No, można to ująć następująco. Byłem na niego wściekły i kłóciliśmy się dalej, bo nie chciał wysiąść z mojego samochodu. Zatrzymałem się na poboczu wiejskiej drogi, żeby zawrócić do domu, kiedy zza zakrętu wypadł jakiś wariat i władował się prosto na nas. Więc – wzruszył ramionami – możesz patrzeć na to, jak chcesz. Normalnie nie tkwiłbym na poboczu, gdyby nie ta awantura z bratem. Ale tak

można tłumaczyć wszystko. A to zwykły pech i nie mogą obwiniać o to twojego męża. Kontynuuj, proszę – zachęcił.

– Czy, twoim zdaniem, Sebastian od wypadku robi wszystko, co w jego mocy, żeby jak najbardziej uprzykrzyć ci życie? Na przykład, zatrudniając opiekunki, których, jak wie, wcale już nie potrzebujesz i których na pewno nie polubisz? A zwalnając te, które ci się spodobały?

– Tak.

– Czy, twoim zdaniem, on to robi po prostu dlatego, że może, czy z jakiejś innej przyczyny? Czy stara się zatruć ci tu życie, żebyś zgodził się sprzedać dom?

Kolejna przerwa. Alex wziął łyżeczek wina i popatrzył na nią zamyślony.

– Niewykluczone. Dom jest zapisany na nas obu i Seb musi mieć moją zgodę, żeby go sprzedać. Z wielu różnych powodów ja tego nie chcę. Czy to już wszystko?

Emilie spojrzała na listę przed sobą. Były też na niej spisane pytania innego rodzaju. Brutalne, dotyczące bezpośrednio jej związku z Sebastianem. Ale była za bardzo wstrząśnięta tym, co usłyszała, żeby przejść do nich. Skinęła głową.

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę – dorzucił Alex – że jeśli zadasz te same pytania mojemu bratu, to dostaniesz dokładnie odwrotne odpowiedzi, prawda?

– Tak – przyznała. – Ale pamiętaj, proszę, że mam oczy i uszy... i głowę na karku.

– Biedna Em – powiedział nagle Alex. – Wciągnięta w zabawę w kotka i myszkę, nie wie, komu i w co wierzyć.

– Nie traktuj mnie z góry, Alex – ucięła rozdrażniona Emilie. – Próbuję tylko poznać fakty. Wiem już, że żaden z was nie jest dokładnie taki, jak się wydaje.

– To na pewno – zgodził się. – Przepraszam, jeśli moje słowa zabrzmiały nieco protekcyjnie. Naprawdę bardzo mi Ciebie żal. Więcej wina?

Emilie pozwoliła, żeby napełnił jej kieliszek. Siedział, a ona obserwowała go w milczeniu. Wreszcie na nowo podjęła watek:

– Dlaczego tu zostałeś? Mówisz, że masz pieniądze. Na pewno byłoby zdrowiej i bezpieczniej dla was obu, gdybyś zgodził się sprzedać dom i poszlibyście każdy w swoją stronę.

– Tak, to byłoby logiczne rozwiązanie, gdyby nie brać pod uwagę względów sentymentalnych. Największym marzeniem mojej babci było, żebyśmy się pogodzili. Myślała naiwnie, że zapisanie nam obu Blackmoor Hall może się do tego przyczynić – wyjaśnił Alex. – Próbowałem, naprawdę. Ale to niemożliwe. I,

szczerze mówiąc, pomału tracę już siły. Sebastian w końcu zwycięży, pogodzę się z tym.

– Dlaczego mój mąż tak bardzo chce sprzedać dom? – spytała Emilie. – Cały czas powtarza, że go kocha i że chce zarobić na jego remont.

– Em, więcej nie mogę powiedzieć – zastrzegł się Alex. – I naprawdę sędzę, że to jemu powinnaś zadać to pytanie. Ale, rzeczywiście, byłem gotów na wszystko, byle tylko się pogodzić, bo tego pragnęła babcia. Tak bardzo ją przedtem zawiodłem. – Westchnął. – Uwielbiałem Constance, a przysporzyłem jej tylu zmartwień, kiedy uciekłem i znalazłem się na równi pochyłej.

– Musiała wiedzieć, dlaczego wyjechałeś.

– Może. Ale nie chcę być niesprawiedliwy, Emilie. Choć miałem brata, któremu udawało się mnie wrabiać w różne afery, kiedy dorastaliśmy, nie mogę zrzucić na niego winy za to, że potem wpadłem w uzależnienie. To był mój własny wybór. Chciałem stłumić ból po stracie wszystkiego, co mogłem mieć. Doszedłem do momentu, kiedy uznałem, że w moim życiu nigdy już nie będzie dobrze. Że bez względu na to, co osiągnę, jak ciężko będę pracował, to na nic i wszystko źle się skończy. Rozumiesz?

– Tak. – Emilie skinęła głową.

– Jednak przez to wyrządziłem krzywdę babci i tego nigdy sobie nie wybaczę. To, że tu zostałem i próbowałem pogodzić się z Sebastianem, dawało mi przynajmniej poczucie, że staram się to jakoś zrekompenzować.

– Rozumiem – powiedziała.

– Słuchaj, Em – odezwał się Alex po chwili. – Martwię się teraz o ciebie. Pamiętaj, mój brat ma problem ze mną, ale to nie znaczy, że nie może nawiązywać dobrych relacji z innymi ludźmi. Czułbym się okropnie, gdyby to, co stało się pomiędzy nami, braćmi, w przeszłości, miało przesądzić o twoim stosunku do niego. Chciałbym, żebyście byli ze sobą szczęśliwi.

– Ale dlaczego tak ci na nim zależy po tym wszystkim, co zrobił? – spytała Emilie.

– Pojąłem, jak trudno dorastać w poczuciu, że jest się zawsze na drugim miejscu, niezależnie od tego, czy to prawda, czy wymysł. Wiem, jak musiał się czuć Seb. I pewnie nadal się czuje. Ty najlepiej powinnaś to rozumieć. – Popatrzył na nią uważnie, a ona się zarumieniła.

– Tak – szepnęła. – Wszyscy mamy swoje sekrety, swoje wady.

– I mocne strony też. Seb może nie ma głowy do nauki, ale jest niesamowicie bystry. Przez większość życia kierował się intuicją. Proszę, daj mu szansę, Em. Nie skreślaj go jeszcze – błagał Alex.

– Dobrze – obiecała Emilie.

– A teraz, co powiesz na kolację? – zasugerował Alex. – Miałem przed południem dostawę ze sklepu z ekologiczną żywnością. I może opowiesz mi, czego jeszcze dowiedziałaś się o przeszłości mojej babci podczas pobytu we Francji?

Przy kolacji Emilie zdała mu, najdokładniej jak mogła, relację z tego, co mówił Jacques.

– To wszystko nie jest dla mnie zaskoczeniem – podsumował Alex, gdy skończyła. – Constance była wspaniałą kobietą, Em. Żałuję, że jej nie poznałaś.

Emilie widziała miłość w jego oczach.

– Co mogę powiedzieć? Przykro mi bardzo.

– Dziękuję, Em. – Alex uśmiechnął się do niej błado. – Nigdy tego nie przeboleję, ale może tak powinno być. Szok po jej stracie pomógł mi się opamiętać. Stałem się lepszym człowiekiem.

Emilie zauważyła, że jest już po północy.

– Muszę iść. Lecę jutro do Francji, by wysłuchać reszty historii. Zobaczymy się po moim powrocie. Dziękuję ci bardzo za szczerość i za to, że starasz się być fair wobec Sebastiana. Dobranoc. – Pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

– Branoc, Em.

Alex z westchnieniem popatrzył, jak Emilie wychodzi. Może powinien był powiedzieć jej dużo więcej, ale czuł się jak w potrzasku. To od niej zależy, czy odkryje prawdę o człowieku, za którego wyszła. Alex nie mógł już zrobić nic więcej.

•••

W sąsiednim mieszkaniu Emilie położyła się do łóżka pełna sprzecznych uczuć, ale i z ulgą, że poznała prawdę na temat relacji pomiędzy braćmi. Miała nadzieję, że świadomość faktów pomoże jej lepiej radzić sobie z całą tą sytuacją. Sebastian nie jest jakimś psychopatą, tylko bezradnym małym chłopcem, który zawsze był bardzo zazdrosny o młodszego, wyprzedzającego go we wszystkim, brata.

Czy to znaczy, że jej mąż jest złym człowiekiem?

Nie, nie...

Teraz, kiedy rozumie Sebastiana, na pewno będzie w stanie pomóc mu uporać się z jego problemami. On po prostu chce czuć się kochany, doceniany, bezpieczny.

Przecież nie musi być tak jak w przypadku Frederika i Falka, że jeden jest samym złem, a drugi dobrem? W życiu ani w ludzkich charakterach nie ma zwykle tak ostrych, czarno-białych podziałów.

Ale co będzie – Emilie westchnęła, gasząc światło przed snem – jeśli tylko usprawiedliwia zachowania męża, bo nie jest w stanie znieść prawdy?

I zwyczajnie popełniła fatalny błąd...?

...

Kiedy następnego dnia po południu Emilie przyjechała do zamku, widok był żałosny, niemal nie do zniesienia. Pozabijane deskami okna i drzwi, rusztowania. Przez dwie godziny omawiała z architektem, co do tej pory wykonano, a potem pojechała do Jeana. Jak zwykle siedział w piwnicy przy biurku nad papierkową robotą.

– Emilie, jak miło znów cię widzieć. – Uśmiechnął się, wstał i pocałował ją na powitanie.

– Jak się czuje tata?

– Im bliżej wiosny, tym bardziej nabiera życia. W tej chwili odpoczywa, jest gotów wieczorem wrócić do swojej historii. Powiedział, żebym cię uprzedził – Jean westchnął – że nie było szczęśliwego zakończenia.

Po tygodniu rozterek i bicia się z ponurymi myślami Emilie tak bardzo cieszyła się z powrotu do słonecznej, pełnej balsamicznego powietrza prowansalskiej wiosny, że czuła się na siłach zmierzyć się ze wszystkim.

– Jean, to moja przeszłość, nie czas terażniejszy czy przyszły. Dam sobie z tym radę, obiecuję.

Popatrzył na nią uważnie i po chwili powiedział:

– Emilie, kochanie, jesteś jakaś inna. Mam wrażenie, jakbyś była bardziej dojrzała. Wybacz tę uwagę.

– Nie szkodzi, Jean. Myślę, że masz rację – przyznała.

– Jak to się mówi, śmierć starszej generacji oznacza, że naprawdę stajemy się dorośli. Może to ma wynagradzać nam stratę.

– Może – zgodziła się Emilie.

– A teraz, póki tata odpoczywa, moglibyśmy porozmawiać o winnicy, Emilie? Chciałbym wyjaśnić ci mój plan rozwoju produkcji.

Emilie jak mogła starała się skupić na danych i liczbach, które przedstawił jej Jean, ale czuła, że temat ją przerasta. Nie miała pojęcia o biznesie winiarskim i była zażenowana, że Jean prosi ją o zgodę na rozwój przedsiębiorstwa, a ona nie wie, co mu poradzić ani jak pomóc.

– Mam do ciebie pełne zaufanie, Jean, wiem, że zrobisz wszystko, aby winnica przynosiła większe zyski – powiedziała, kiedy układał papiery.

– Dziękuję, Emilie, ale oczywiście muszę omawiać z tobą moje pomysły. Ty jesteś właścicielką ziemi i tego biznesu.

– To może nie powinnam być. – Przyszło jej do głowy, ni stąd ni zowąd. – Może to ty powinieneś stać się właścicielem.

Jean spojrzał na nią zaskoczony.

– Słuchaj, chodźmy, nalejmy sobie po kieliszku *rosé* i porozmawiajmy spokojnie.

Siedli na tarasie na tyłach domu i przedyskutowali, jak można byłoby zrealizować pomysł Emilie.

– Może mógłbym wykupić firmę, ale nadal dzierżawiłbym winnicę, co oznaczałoby, że nikt, kto kiedyś przejąłby po mnie biznes, nie byłby w stanie oddzielić tych ziem od posiadłości – zasugerował Jean. – Nie mogę zaoferować wiele, bo będę musiał wziąć kredyt w banku i trochę potrwa, zanim zdołam go spłacić. Ale w zamian mogę ci zaproponować procent od zysków.

– Moim zdaniem to rozsądne rozwiązanie – zgodziła się Emilie. – Muszę zapytać Gerarda, co o tym myśli, i sprawdzić, czy poprzednie pokolenia nie zrobiły jakichś obwarowań, które by tego zabraniały. Ale jestem pewna, że nawet jeśli coś takiego jest, mogę to unieważnić, bo nagle mogę wszystko. – Uśmiechnęła się.

– I to ci pasuje – dodał Jean ze śmiechem.

– Chyba tak. – Emilie pociągnęła łyk wina w zamyśleniu. – Wiesz, zaraz po śmierci mamy byłam przerażona, że spadnie na mnie zarządzanie posiadłością i te wszystkie sprawy. W pierwszym odruchu chciałam wszystko sprzedać. Przez ten rok wiele się nauczyłam. Może jestem zdolniejsza, niż sądzę. Wybacz, nie chciałam się przechwalać – zmytygowała się zaraz.

– Emilie, część twojego problemu zawsze polegała na braku wiary w siebie – zauważył Jean. – W każdym razie, jeżeli masz chęć sprawdzić, jak można

zrealizować ten pomysł, chętnie zawarłbym umowę. A teraz na pewno jesteś już głodna. Wejdźmy coś zjeść, żeby potem nie zrobiło się za późno dla taty na opowiadanie historii.

Jacques wydał się Emilie w dużo lepszej formie, niż kiedy go ostatnio widziała.

– Wiosenne powietrze rozgrzewa mi kości. – Zachichotał przy kolacji, na którą jedli świeżą doradę kupioną na targu.

– A teraz, jesteś już gotowa, Emilie? – zapytał, gdy siadali w salonie. – Ostrzegam, to... skomplikowana historia.

– Jestem gotowa.

– Jeśli dobrze pamiętam, zakończyliśmy na tym, że Constance i Sophia przyjechały do zamku, a Édouard zdołał uciec do Anglii...

Raj

*Brzask, świt, jak słodka, dojrzała brzoskwinia,
Błękitne fale bijące o brzeg.
Powiew wiosny, rosa na róży
I ten zapach, który w nozdrza wszedł.
Pięknie, tak pięknie dokoła.
Uczta zmysłów wabi mnie i woła.*

*Ciemna cela, obawa przed nocą.
Mistral wieje z całych swoich sił.
Chłód zimnem spowił obnażoną ziemię,
A mróz przenika dłonie, jakby je bił.
Piękno zamknęło już za sobą drzwi,
Odplynęło daleko i tylko się śni.*

*Dotyk policzka, długi pocałunek,
po którym wkrótce zostanie tęsknota.
Czułe objęcia, jestem w nich szczęśliwa,
Bo to do serca przystani są wrota.
I w głębi rozpaczy gwiazda jasna się tli,
Bo raj jest tam, gdzie jesteś ty.*

Sophia de la Martinières
kwiecień 1944 roku

Gassin, południe Francji, 1944 rok

– Ktoś się zbliża! – zawołał Jacques. – Gdzie Sophia?

– W piwnicy, śpi – odparła Connie, natychmiast czujna.

– Idź, ostrzeż ją, nie może nas wołać... – Jacques patrzył w napięciu w dziurkę od klucza w drzwiach piwnicy. – Czekaj, to Armand!

Odwrócił się do Connie z westchnieniem ulgi i otworzył drzwi. Connie obserwowała, jak Armand opiera rower o ścianę i wchodzi. Po miesiącu widywania jedynie Jacques'a i Sophii z wielką radością patrzyła na tę wesołą twarz.

Mężczyźni uściskali się na powitanie w ten szczególny, serdeczny, francuski sposób. A potem Jacques poprowadził Armanda przejściem do domu.

– Siadaj, przyjacielu, mów, co nowego. Jesteśmy tu złaknieni wiadomości. Constance, mogłabyś zrobić kawę?

Connie niechętnie skinęła głową. Nie chciała uronić ani słowa z relacji Armanda. Z każdym dniem coraz bardziej ciążyła jej rola pocieszycielki i służącej Sophii, która nie chciała wstawać z łóżka, żeby wyjść na powietrze w otoczonym murem ogrodzie, odmawiała jedzenia i nie pomagały błagania Connie, żeby się nie załamywała.

Szybko ustawiła na tacy trzy filiżanki, naleła kawę i zaniósła do pokoju.

– Dziękuję, Constance. Szczęśliwego Nowego Roku! – powiedział Armand, biorąc filiżankę i pijąc ze smakiem kawę.

– I módlmy się wszyscy, żeby rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty przyniósł wreszcie odrodzenie naszego kraju – dodał żarliwie Jacques.

– Tak. – Armand skinął głową, wyciągając z torby paczkę. – To dla *mademoiselle* Sophii, ale jestem pewien, że nie będzie miała pretensji, jeśli pani to otworzy. Zawiera dobre wiadomości.

Connie wzięła od niego przesyłkę i rozwinęła papier. Popatrzyła na spłowiałą lnianą okładkę, na tytuł i uśmiechnęła się.

– Drugi tom *Historii francuskich owoców*. – Popatrzyła na Jacques'a błyszczącymi oczami. – Moja ulubiona książka z biblioteki Édouarda w jego paryskim domu. To oznacza, że on jest bezpieczny, prawda?

– Tak, *madame* – potwierdził Armand. – I nawet z miejsca, gdzie się ukrywa, nadal pomaga w naszej walce. Wiadomość, że jej brat żyje i ma się dobrze, na pewno podniesie na duchu *mademoiselle* Sopię. I kto wie? Może on tu wróci wcześniej, niż byśmy sądzili? Ale na razie jest daleko, głównie dlatego, żeby chronić siostrę.

– Wiesz, jak zdołał się wymknąć? Był w ciężkim stanie, kiedy wyjeżdżałyśmy. – Connie tuliła do siebie książkę niczym talizman.

– Nie znam szczegółów, *madame*. Ale niestety słyszałem, że brytyjska agentka, która go uratowała, została niedawno rozstrzelana przez gestapo. To ryzykowne czasy, *madame*. Cieszymy się, że przynajmniej Bohater jest bezpieczny.

– Jakieś wiadomości o Sarah?

– Obawiam się, że nie. – Armand pokręcił głową ze smutkiem. – Jak tylu innych, po prostu znikła. A jak tam z Sopią?

Jacques i Connie wymienili spojrzenia.

– W miarę – odburknął Jacques. – Ussycha z tęsknoty za bratem i brakuje jej swobody. Ale co można zrobić, dopóki wojna trwa?

– Powiedzcie jej, że nie wolno tracić nadziei. Wkrótce to się skończy i wtedy każdy będzie mógł chodzić, dokąd zechce. Zbliża się inwazja aliantów i my tu wszyscy robimy, co w naszej mocy, by ją wspomóc.

Armand uśmiechnął się do Connie. Wiara i nadzieja w jego oczach podniosły ją na duchu.

– A teraz muszę już iść.

Patrzyli, jak odjeżdża, oboje wdzięczni za to urozmaicenie w samotnym życiu, jakie teraz wiedli. Sophia mogła czuć się uwięziona na dole, ale tu, na powierzchni, jej strażnicy czuli się równie ograniczeni koniecznością chronienia jej.

– Jak ona się dziś czuje? – zapytał Jacques, kiedy Connie zbierała filiżanki.

– Tak samo, tak jakby się kompletnie poddała.

– Może wiadomość, że brat jest cały i zdrowy, coś zmieni.

– Zejdę i jej powiem – obiecała Connie.

Jacques w milczeniu skinął głową, a Connie poszła do kuchni. Wzięła ze spiżarni słoik mleka, włożyła do płóciennej torby, w której nosiła prowiant do piwnicy, i przewiesiła torbę przez ramię.

– Spróbuj zachęcić ją, żeby wyszła na trochę na górę – dodał Jacques.

– Spróbuję.

Connie wdrapała się do dębowej beczki, odsunęła deski, zapaliła lampę naftową i ruszyła tunelem. Przeprowa, która tak ją przeraziła za pierwszym razem, była teraz czymś powszednim. Dotarła do drzwi, otworzyła i w wątlym, szarym świetle z małego okienka zobaczyła, że Sophia jeszcze śpi. A było już południe.

– Sophio. – Connie potrząsnęła nią lekko. – Obudź się, mam dobre wieści.

Sophia obróciła się i przeciągnęła. Na jej białej koszuli nocnej odznaczał się już powiększony brzuszec.

– Jakie? – spytała.

– Kurier właśnie przyniósł cudowną wiadomość. Twój brat jest bezpieczny!

Na to Sophia od razu usiadła.

– Przyjeżdża tu? Zabierze mnie stąd?

– Może niedługo – skłamała Connie. – Ale czy to nie fantastyczne? Ocalał! Przesłał nam tę książkę o drzewach owocowych. Pamiętasz, jak robiłaś z niej szkice w Paryżu?

– Tak!

Sophia podciągnęła kolana i objęła je rękami.

– To były piękne dni.

– I one wrócą, Sophio, obiecuję ci.

– Édouard niedługo przyjedzie – Sophia patrzyła w przestrzeń – i zabierze mnie z tego piekła. A może Frederik... Nagle złapała Connie za rękę. – Nie masz pojęcia, jak za nim tęsknię.

– Wiem. Mnie też kogoś bardzo brak.

– Tak, twojego męża.

Nagle Sophia położyła się znowu, jakby opuściły ją resztki sił.

– Ale nie umiem uwierzyć, że ta wojna kiedykolwiek się skończy. I myślę, że umrę tu, w tym okropnym miejscu.

Te słowa Connie słyszała stale od kilku tygodni. Z doświadczenia wiedziała, że niewiele może powiedzieć czy zrobić, by przelamać to czarnowidztwo.

– Już niedługo wiosna, Sophio. Wszystko się zmieni. Musisz w to wierzyć – przekonywała.

– Chciałabym, naprawdę, ale kiedy tu jestem na dole, sama w nocy, po prostu nie potrafię.

– Wiem, jak ci ciężko, ale nie wolno tracić nadziei.

Obie umilkły, tkwiąc tak razem w mroku. Connie zastanawiała się, dlaczego Sophia nigdy jeszcze nie wspomniała, że jest w ciąży. Przecież musi wiedzieć, na pewno czuje, że jej ciało się zmienia? Tyle razy już chciała ją o to zagadnąć. Może dziewczyna tak bardzo chroniona przez Édouarda i Sarah, nie ma pojęcia, co się z nią dzieje? Według obliczeń Connie dziecko urodzi się za niecałe sześć miesięcy. Tego dnia uznała, że to może jedyna rzecz, jaka jest w stanie wyrwać Sophię z dna rozpacz. I trzeba poruszyć ten temat.

– Sophio – zaczęła łagodnie – wiesz, że niedługo będziesz miała dziecko?

Te słowa wisiały w wilgotnym, cuchnącym powietrzu tak długo, że Connie zastanawiała się, czy przyjaciółka przypadkiem znów nie zasnęła.

Wreszcie Sophia się odezwała:

– Tak.

– To dziecko Frederika?

– Oczywiście! – obruszyła się.

– A wiesz, że kobiety w ciąży muszą dbać o dzidziusia noszonego w łonie? Chodzi nie tylko o jedzenie, ale świeże powietrze i pogodny nastrój.

Znów zapadła cisza.

– Od jak dawna wiesz? – spytała wreszcie Sophia.

– Sarah poznała od razu. I mi powiedziała – odparła Connie.

– Tak, musiała się zorientować. – Sophia westchnęła i ułożyła się wygodniej. – Strasznie za nią tęsknię.

– Wiem. Staram się, jak mogę, ale rozumiem, że nie jestem Sarah. – Connie sama słyszała, że w jej głosie zabrzmiała odrobina frustracji.

– Wybacz mi, Constance. – Sophia musiała poczuć nagłe ochłodzenie i tak lodowatej atmosfery. – Tak się mną opiekujesz, jestem naprawdę wdzięczna. A jeśli chodzi o dziecko... Za bardzo mi było wstyd, żeby ci się zwierzyć. Zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłam. – Załamała ręce. – Może lepiej, jak umrę. Co powie mój brat, gdy to do niego dotrze? Mój Boże, co on powie?

– Zrozumie, że jesteś tylko człowiekiem i że wszystko to z miłości – skłamała Connie. – A owocem tej miłości jest nowe życie. Sophio, nie wolno ci się poddawać. Musisz walczyć jak jeszcze nigdy dotąd, dla dobra swojego dziecka.

– Ale... Édouard nigdy mi nie wybaczy, nigdy. A ty, Constance, jak mogłam ci wyznać, że tej nocy, kiedy mój brat wyjechał z Paryża, oszukałam cię, zaprosiłam Frederika i mu się oddałam? Na pewno mnie nienawidzisz! – Sophia potrząsnęła

głową zrozpaczona. – Jednak opiekujesz się mną, bo jesteś dobra i nie masz wyboru. Ale nie masz pojęcia, Constance, jak to jest być dla wszystkich dokoła ciężarem. Od wczesnego dzieciństwa nie mogłam nigdy zostać sama, bo jeszcze bym upadła. Każdego dnia mojego życia nie jestem w stanie wykonać prostych czynności, które dla innych są banalnie łatwe. Muszę polegać na tym, że wszyscy mi pomagają, prosić, jeśli chcę wejść na schody albo do łazienki, albo zwyczajnie ubrać się w coś nowego, czego nie znam. Nie mogę nigdy, tak jak ty, wyjść z domu na ulicę.

Sophia ukryła twarz w drobnych dłoniach.

– Wybacz mi, Constance, że tak się nad sobą użalam.

– Rozumiem. – Connie położyła dłoń na ramieniu Sophii, żeby ją pocieszyć. – To musi być straszne.

– I nagle – ciągnęła Sophia – poznaję mężczyznę, dla którego nie jestem przede wszystkim ślepa, który nie traktuje mnie jak moi bliscy niczym bezradne dziecko. Nie, Frederik widzi we mnie kobietę, nie zwraca uwagi na moją niepełnosprawność, słucha, co mówię, i nie przyjmuje protekcyjnego tonu, kocha mnie za to, jaka jestem w środku i jak chciałabym być postrzegana. Ale na moje nieszczęście on jest po złej stronie, jest wrogiem. I choćby dlatego nie wolno mi, nie powinnam, kochać go, bo inaczej zdradzę rodzinę, ojczyznę i sprawię kolejny kłopot. A teraz nie ma go, a ja noszę jego dziecko, jeszcze jeden ciężar dla tych, którzy się mną opiekują. I ty pytasz, dlaczego leżę tu i chcę umrzeć? Wiem, że beze mnie wszystkim będzie dużo źle!

Connie siedziała zszokowana siłą wybuchu Sophii. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak głęboko Sophia przeżywa swoją sytuację i jak bardzo czuje się winna, że musi korzystać z pomocy innych.

– Gdyby nie ja – kontynuowała Sophia – Sarah nie znalazłaby się w tym pociągu i nie została aresztowana. Pewnie już nie żyje albo została odesłana do jednego z tych strasznych obozów, gdzie i tak umrze.

Connie szukała właściwych słów.

– Sophio, jesteś tak wielkim skarbem dla rodziny, że opieka nad tobą nie jest żadnym ciężarem. Wszyscy cię kochają.

– I jak odpłaciłam za tę miłość? Przynosząc im hańbę. – Sophia potrząsnęła głową, łzy spływały jej po policzkach. – Mów, co chcesz, ale Édouard nigdy mi tego nie wybaczy. Jak ja mu zdołam o tym powiedzieć?

– Mamy czas, żeby się tym martwić, Sophio – ucięła Connie. – Na razie najważniejsze jest zdrowie twoje i tego maleństwa. Musisz zrobić wszystko, żeby pomóc swojemu dziecku przyjść na świat. Sophio, chcesz tego dziecka?

Sophia przez dłuższy czas milczała.

– Czasami myślę, że najlepiej, gdybyśmy oboje tu umarli – odparła wreszcie. – Ale potem dociera do mnie, że wszyscy, których kochałam, odeszli i to życie we mnie to jedyne, co mi pozostało. I to jest częśćka jego, Frederika... Och, Constance, sama nie wiem, co czuję. Nie znienawidziłaś mnie przez to, co zrobiłam?

– Nie, Sophio. – Connie westchnęła. – Nie nienawidzę cię, oczywiście, że nie. Powinnaś zdać sobie sprawę, że nie ty jedna znalazłaś się w takiej sytuacji. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Zgoda, okoliczności nie mogły być bardziej skomplikowane, ale pamiętaj, że małe, niewinne życie, które w tobie rośnie, nic nie wie o tym wszystkim. I niezależnie od pochodzenia czy tego, co się potem stanie, powinnaś mu dać szansę, tyle jesteś mu winna, prawda? Wokół było tyle śmierci, tyle zniszczeń. A nowe życie to nowa nadzieja, bez względu na to, jak zostało poczęte. Dziecko to dar od Boga, Sophio.

Urwała i zastanowiła się, czy to katolickie wychowanie podpowiedziało jej tę pełną pasji tyradę. Ale była pewna, że mówiła z całkowitym przekonaniem.

– Myślę, że na razie powinnaś się cieszyć tym, co w tobie rośnie – dodała cicho.

– Tak, masz rację – zgodziła się Sophia. – Jesteś taka dobra i mądra, Constance, brak mi słów, by podziękować ci za to, co dla mnie zrobiłaś. Ale mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę sposób, by ci się odwdziżyć.

– No to może przede wszystkim wstań i przestań marzyć o śmierci – zasugerowała Sophia. – Proszę, Sophio, pomóż mi pomóc sobie i swojemu dziecku.

– Dobrze. – Sophia westchnęła. – Byłam strasznie samolubna, przecież wielu cierpi dużo bardziej niż ja. Postaram się od tej pory nie tracić nadziei. A może kiedy przyjedzie Frederik, spróbujemy ułożyć jakiś plan.

Connie patrzyła zdumiona na Sophię, nie mogła uwierzyć, że ona nadal uważa to za możliwe.

– Sądzisz, że przyjedzie?

– Wiem, że przyjedzie – odpowiedziała Sophia z pewnością, jaką daje miłość. – Obiecał, że mnie odnajdzie, a serce mówi mi, że mnie nie zawiedzie.

– No to ty też nie możesz go zawieść – podkreśliła Connie.

W następnych dniach Sophia wyrwała się z odrętwienia. Zaczęła normalnie jeść, chodzić schodami do zamku i na zewnątrz, do otoczonego murem ogrodu, gdzie spacerowała z Connie, żeby się trochę poruszać.

Pewnego ranka wciągnęła mocno w płuca powietrze.

– Zbliża się wiosna. Czuję to. Zrobi się o wiele przyjemniej.

Nadszedł marzec, mimozy kwitły jak szalone w otoczonym murem ogrodzie. Nikt nie odwiedzał zamku, a Jacques nie pozwolił Connie opuszczać posiadłości i jeździć rowerem po zakupy. Upierał się, że sam będzie wszystko załatwiać. Żyli w stałym pogotowiu, bo w każdej chwili mogło wpaść gestapo, ale zainteresował się nimi jedynie niemiecki zaopatrzeniowiec, który przybył, aby zażądać stu butelek wina i dwóch beczek sznapsa dla fabryki torped.

– Nasze samotne życie to życie bezpieczne – powiedział Jacques pewnego wieczoru. – Nikomu nie wolno ufać i skoro Sophia jest pod moją opieką, nie możemy sobie folgować. Musimy znosić samotność i monotonię naszego wzajemnego towarzystwa, póki to się nie skończy. – Uniósł brwi i uśmiechnął się do niej.

Connie mogła tylko przyznać mu rację. Skazana na tego obcego człowieka, z czasem ogromnie go polubiła. Jego wysmagana wiatrem, spalona słońcem skóra i prosty sposób bycia mogły kogoś zwieść, ale to był wyjątkowo inteligentny, refleksyjny człowiek. Sophia spała na dole w piwnicy, a oni wiele wieczorów spędzali, głowiąc się nad szachownicą. Connie nauczyła się też od Jacques'a wiele na temat skomplikowanego procesu produkcji wina. I zawsze wzruszało ją, jak bezgranicznie jest oddany swojemu drogiemu przyjacielowi i pracodawcy Édouardowi. Ona z kolei opowiadała mu o swoim życiu w Anglii i ukochanym Lawrensie, który nie miał pojęcia, gdzie jest żona.

Connie miała wrażenie, że egzystuje w wiecznym mroku. Na dole w piwnicy z Sophią albo w pokojach zamku o osłoniętych żaluzjami oknach. Od czasu do czasu zabierała Sophię na górę do cudownej biblioteki stworzonej przez Édouarda i jego ojca. Brała jakąś książkę z półki i czytała ją Sophii w migoczącym świetle lampy naftowej. Na jednym z regałów znalazła pierwszy tom *Historii francuskich owoców* i zabrała go do domku przy winnicy, żeby pokazać Jacques'owi.

– To piękne książki – przyznał, obracając delikatne strony z wybornymi ilustracjami. – Édouard pokazywał mi ten pierwszy tom, który jego ojciec kupił jakiś czas temu. Przynajmniej one spotkały się znowu po setkach lat rozłąki.

Kiedy nadeszła wiosna, ciało Sophii rozkwitło jak wszystko wokół. Teraz w zaawansowanej ciąży jej policzki nabrały kolorów od popołudni spędzanych pod kasztanem w otoczonym murem ogrodzie. Gdy starała się zaczerpnąć trochę powietrza, Jacques trzymał wargę, na wypadek gdyby pojawili się nieproszeni goście. Chronił ją jak najlepszy ojciec.

Pewnego wieczoru, kiedy Connie pomogła już Sophii położyć się do łóżka w piwnicy, Jacques wziął dzban wina i nalał po kieliszku sobie i Connie.

– Jak sądzisz, kiedy ma się urodzić to dziecko? – zapytał.

– Według moich obliczeń jakoś w czerwcu – odparła.

– I co my wtedy zrobimy? – Jacques westchnął. – Czy niemowlę może spędzić pierwsze tygodnie życia w zimnej, ciemnej piwnicy? A poza tym, co, jeśli będzie płakać i ktoś to usłyszy? I jak Sophia może opiekować się dzieckiem, skoro nie widzi?

– Gdyby było normalnie, to miałyby nianię do pomocy. Ale warunki nie są normalne – powiedziała Connie.

– No nie.

– W takim razie – westchnęła – to ja będę nianią, choć nie mam pojęcia, jak zajmować się dziećmi.

– Zastanawiałem się, Constance, że może najlepiej byłoby od razu oddać je do sierocińca. Wtedy nikt poza tobą, mną i *mademoiselle* Sophią nie wiedziałby o jego istnieniu. Jaka czeka je przyszłość? – Jacques potrząsnął głową w rozpacz. – Nie chcę nawet myśleć, co zrobi Édouard, kiedy odkryje prawdę.

– To na pewno jakiś pomysł, tak – przyznała z wahaniem. – Jednak nie powinno się tego w tej chwili mówić Sophii. Tak dobrze sobie radzi.

– Oczywiście. – Jacques skinął głową. – Ale znam przyklasztorny sierociniec w Draguignan, który pomaga w takich przypadkach.

– Kto wie?

Connie uznała, że nie powinna wspominać, jak bardzo drogie stało się ostatnio Sophii to nienarodzone dziecko jako częśćka Frederika i symbol ich miłości. Nie chciała też zdradzić, że sama sprowokowała to podejście, by wyrwać Sophię z depresji. Jacques to mężczyzna. Nie zrozumiałby tego. Powiedziała więc tylko:

– Zobaczymy.

Na początku maja przyjechał do nich na rowerze Armand. Usiadł z Jacques'em i Connie w ogródku i popijał nalewane z beczki młode wino. Zmęczony i wymizerowany opowiadał, jak jego oddział partyzancki stacjonujący w gęstych lasach na wzgórzu La Garde-Freinet przygotowuje się do inwazji aliantów z południa.

– Szkopy myślą, że atak nadejdzie od strony Marsylii i Tuluzy, ale alianci planują przybić do tutejszych plaż w okolicy Cavalaire i Ramatuelle. A my robimy wszystko, żeby zmylić szkopów i utrudnić im życie – dodał z uśmiechem. – Przecinamy linie telefoniczne, wysadzamy mosty i napadamy na ich konwoje z transportem broni. Jest nas już tysiące. Walczymy o jedną sprawę. Brytyjczycy zrzucają nam tyle broni, ile mogą, jesteśmy dobrze zorganizowani. Słyszałem, że Amerykanie zaczną atak z południa od strony morza. Constance, wiem, że masz przeszkolenie w takiej robocie. Mogłabyś nam pomóc? Potrzebujemy kuriera do...

– Nie, Armandzie, do tej pory Constance nie opuszczała tego domu – zaproponował stanowczo Jacques – i mieliśmy tu spokój. Jeśli ktoś zauważyłby ją wyjeżdżającą stąd na rowerze, to byłoby zbyt niebezpieczne dla *mademoiselle* Sophii.

Connie strasznie się zmartwiła.

– A nie mogłabym jakoś wymknąć się tyłem? Jacques, chciałabym pomóc.

– Wiem, Constance, i może za jakiś czas będziesz mogła. Ale na razie to ważne, żebyś była blisko *mademoiselle* Sophii.

Jacques rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– To może pomożecie nam w inny sposób, Jacques – nalegał Armand. – Często mamy tu brytyjskich lotników, których przerzucamy z Francji przez Korsykę, i czasem musimy ich gdzieś bezpiecznie przechować, zanim po nich przypłyną. Czy byłbyś gotów ich przyjąć?

Jacques westchnął. Wyraźnie miał opory.

– Nie chcę w żaden sposób zwracać na nas uwagi.

– Jacques, przecież mogliśmy postarać się ich ukryć? – namawiała Connie. – Sophia jest w podziemiach daleko od winnicy. Powinniśmy zrobić, co w naszej mocy, dla sprawy. Tak zawsze postępował Édouard, nawet jeśli oznaczało to narażanie na niebezpieczeństwo własnej rodziny – podkreśliła, zdeterminowana, żeby pomóc.

– Tak, Constance, masz rację – przyznał wreszcie Jacques. – Jak mógłbym odmówić? Ukryjemy lotników na strychu.

– Dziękuję. – Armand z wdzięcznością skinął głową.
– Jestem pewien, że zajmiesz się nimi, Constance – powiedział Jacques, wstając.
– Oczywiście. – Connie nie umiała zapanować nad samolubną myślą, jak dobrze byłoby odpłynąć stąd razem z lotnikami na Korsykę.
– Ja albo ktoś z moich ludzi skontaktujemy się z wami w razie potrzeby – powiedział Armand. – A teraz czas na mnie.

•••

Pierwsi dwaj brytyjscy lotnicy pojawili się o trzeciej rano tydzień później. Ich brytyjski akcent sprawił, że Connie miała oczy pełne łez, kiedy krzątała się wokół nich, podając jedzenie i wino. Mieli zatrzymać się u nich dwadzieścia cztery godziny, zanim popłyną łodzią na Korsykę. Obaj mężczyźni, choć wymizerowani i wycieńczeni ukrywaniem się przez ostatnich kilka tygodni, byli w dobrych nastrojach, cieszyli się na powrót do kraju.

– Nic się nie martw, dziewczyno – powiedział jeden z nich, kiedy prowadziła ich na strych. – Francja wymyka się faszystom z rąk. Hitler traci panowanie nad sytuacją, ostatnio nawet jacyś jego wysoko postawieni ludzie planowali na niego zamach. W każdym razie to raczej kwestia tygodni, a nie miesięcy, kiedy to wszystko się skończy.

Gdy wyjeżdżali następnego dnia przed świtem, Connie podała jednemu z angielskich pilotów kopertę.

– Czy mogę cię prosić, żebyś to wysłał, jak będziesz w kraju?
– Oczywiście. To niewielka cena za pierwszy uczciwy posiłek, jaki jadłem od wielu tygodni – odparł z uśmiechem.

Connie wróciła do łóżka z nową nadzieją w sercu. Jeśli lotnik zdoła dotrzeć do Anglii, to przynajmniej Lawrence może dowie się, że ona jest cała i zdrowa.

•••

Kiedy czas Sophii się zbliżał, coraz trudniej jej było wspinać się z brzuchem po stromych schodach z piwnicy. Jednak emanował z niej spokój, wyglądała zdrowo.

Connie udało się znaleźć trochę wełny i druty w rzeczach dawnej gospodyni w zamku. Przesiadując z Sophią w otoczonym murem ogrodzie, robiła teraz małe kaftaniki, czapeczki i buciki dla dzidziusia. Czasami patrzyła na Sophię

z zazdrością, przecież sama marzyła z Lawrence'em o rodzinie. Teraz towarzyszyła w podróży do macierzyństwa innej kobiecie i przeżywała to razem z nią.

Ciepłe wieczory często spędzała z Jacques'em przy stole w przydomowym ogrodzie w otoczeniu delikatnej młodej winorośli kryjącej maleńkie zielone kuleczki, które wkrótce miały zamienić się w pękate, dojrzałe winogrona.

– Niedługo winobranie, czas zbiorów, ale nie wiem, czy uda mi się znaleźć ludzi do pomocy, żeby temu podołać. – Jacques westchnął. – Wszyscy mają na głowie ważniejsze sprawy niż produkcja wina.

– Pomogę ci, na ile jestem w stanie – zaoferowała Connie, wiedząc, że to na nic.

Jacques zatrudniał zwykle kilkunastu ludzi, mężczyzn i kobiety, którzy pracowali od świtu do nocy.

– Miło, że proponujesz, Constance, ale myślę, że twoja pomoc może być potrzebna gdzie indziej. Masz jakieś pojęcie o przyjmowaniu dzieci? – zapytał.

– Nie. Jakoś nie uczyli tego na kursach, zanim mnie tu wysłali – odparła z ironią w głosie. – W książkach, które czytałam, wszyscy biegają gorączkowo, nosząc gorącą wodę i ręczniki. Nie jestem pewna po co, ale mam nadzieję, że kiedy nadejdzie pora, to sobie poradzę.

– Martwię się, że gdyby coś poszło nie tak, Sophia może wymagać interwencji lekarskiej. Co wtedy? Nie wolno nam ryzykować i wieźć jej do szpitala – dodał przygnębiony Jacques.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Tak, moja najmilsza – westchnął – to wszystko, co nam obojgu pozostaje.

•••

Przez dom Jacques'a przewijały się teraz regularnie grupki lotników. Korzystali ze schronienia na strychu, nim przyplływały po nich łodzie, które zabierały ich na Korsykę. Connie wyciągnęła z nich informację, że planowana inwazja na Normandię jest już blisko. Ofensywa z południa miała się zacząć kilka tygodni później. Za każdym razem, kiedy lotnicy wyjeżdżali, Emilie dawała im kopertę z listem do Lawrence'a.

Treść zawsze była ta sama:

Mój Kochany, nie martw się o mnie. Jestem bezpieczna, zdrowa i mam nadzieję, że niedługo wrócę do domu.

Pisząc to po raz piąty, by przekazać list lotnikowi, który miał wyjechać przed świtem, myślała, że przecież przynajmniej jedna z tych przesyłek musi dotrzeć bezpiecznie do Lawrence'a.

Nagle do pokoju wszedł Jacques. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Constance, ktoś krąży wokół domu. Idź na górę, powiedz lotnikom, żeby siedzieli cicho, a ja sprawdzę, kto to.

Wziął strzelbę myśliwską, którą trzymał przy drzwiach, i wyszedł na zewnątrz.

Po ostrzeżeniu Anglików Connie wróciła na dół, gdzie zastała Jacques'a w pokoju dziennym mierzącego z broni do wysokiego, potwornie wychudzonego blondyna, który podniósł rękę.

– Cofnij się! To Niemiec! – Jacques przytknął lufę do piersi mężczyzny. – Siada! Tam.

Wskazał fotel przy kominku, gdzie mężczyzna byłby wciśnięty w kąt i unieruchomiony.

Kiedy intruz siadał, Connie popatrzyła na jego ogromne w wymizerowanej twarzy oczy, na zmatowiałe, brudne blond włosy, podartą koszulę i spodnie wiszące jak na strachu na wróble. Serce zaczęło jej walić. Myślała, że chyba zemdleje, tak bardzo była zszokowana.

– Constance, to ja, Frederik – powiedział ochryłym głosem. – Pewnie nie poznałaś mnie bez munduru?

Connie zmusiła się, by jeszcze raz spojrzeć na jego twarz. Tylko po wyrazie oczu mogła poznać, którego z bliźniaków ma przed sobą. Napotkała łagodne spojrzenie, wyczuła w nim lęk i odetchnęła z ulgą, bo była już pewna, że on nie kłamie.

– Znasz tego mężczyznę? – zwrócił się Jacques do Connie. W jego twarzy malowało się niedowierzanie.

– Tak – potwierdziła. – To Frederik von Wehndorf, pułkownik SS. Sophia też go zna.

Connie rzuciła okiem na Jacques'a w nadziei, że zrozumie bez słów.

– Ach tak. – Jacques skinął głową na znak, że pojął, ale nie opuszczał broni.

– I co pan tu robi? – zapytał Frederika.

– Przyszedłem zobaczyć się z Sophią, tak jak jej obiecałem. Czy ona tu jest?

Ani Connie, ani Jacques mu nie odpowiedzieli.

– Jak widzisz – Frederik wskazał na swoje ubranie – nie jestem już niemieckim oficerem. Tak naprawdę jestem poszukiwany. Jeśli mnie znajdą, zabiorą mnie z powrotem do Niemiec, gdzie zostaną natychmiast rozstrzelany jako zdrajca.

Jacques prychnął szorstkim śmiechem.

– Naprawdę sądzisz, że uwierzymy w te bajki? Skąd mamy wiedzieć, że to nie jakieś sztuczki? Wy, szkopy, wiecznie kłamiacie, żeby ratować własną skórę.

– Ma pan rację – zgodził się spokojnie Frederik. – Nie mogę panu nic dowieść. Mogę tylko powiedzieć, co jest prawdą dla mnie.

Odwrócił się do Connie.

– Po tym jak zawiozłem ciebie, Sophię i jej służącą na Gare de Montparnasse, nie wróciłem do Niemiec. Wiedziałem, że mój brat, Falk, nie spocznie, póki nie zostanie ukarany za pomoc w waszej ucieczce. Nie po raz pierwszy zwątpił w moje oddanie sprawie. Chyba mam wielu wrogów i ani jednego przyjaciela.

W jego oczach widać było wyraźnie rozpacz i potworne zmęczenie. Bez munduru wydawał się bezbronny.

– Dokąd się wybierasz, Frederiku? – spytała Connie.

– Constance, myślałem tylko o tym, by dotrzeć tu i spotkać się z Sophią, jak jej obiecałem – odparł Frederik. – Po wyjeździe z Paryża musiałem się ukrywać. Uciekłem w Pireneje i dzięki przekupstwowi i dobrym ludziom przeżyłem. Starałem się nie zwracać na siebie uwagi, nawet doilem kozy i karmiłem kury. Przeczekałem, aż poczułem, że mogę zaryzykować dalszą podróż przez Francję, by odnaleźć Sophię. Wyruszyłem wiele tygodni temu, aby tu się znaleźć – tłumaczył zrozpaczony.

– Niezłe sobie poradziłeś, skoro doszedłeś aż tutaj i nie zostałeś złapany przez żadną ze stron – powiedział nadal nieprzekonany Jacques.

– Myśl, że zobaczę Sophię, dodawała mi sił. Ale na pewno wkrótce szczęście przestanie mi sprzyjać. Zwłaszcza że jest jedna osoba, która mogła domyślić się, dokąd w końcu wyruszę i która nie cofnie się przed niczym, żeby mnie upolować.

Frederik westchnął i pokręcił głową.

– Nieważne, wiem, że nie uniknę śmierci, czy to z rąk francuskich, czy niemieckich. Ale po prostu chciałem zobaczyć raz jeszcze Sophię. Proszę, Constance, powiedz mi przynajmniej, czy jest bezpieczna i zdrowa? Czy żyje?

Connie widziała, że oczy Frederika są pełne łez. Kiedy tak siedział trzymany pod bronią, trudno było rozpoznać w nim człowieka, jakim był przedtem. Wzruszył Connie. Postanowił zaryzykować życie, by zobaczyć kobietę, którą kocha, zamiast uciekać i ratować siebie. Niezależnie od narodowości, przekonani politycznych, a nawet tego, co być może robił przez ostatnich kilka lat, był teraz kimś, kto zasługiwał na współczucie.

– Tak, jest bezpieczna i czuje się dobrze – zapewniła.

Jacques posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale Connie je zignorowała.

– Jesteś głodny? Chyba niewiele jadłeś w ostatnich tygodniach.

– Constance, cokolwiek możesz mi dać, to chętnie, ale powiedz, czy Sophia tu jest? Mógłbym ją zobaczyć? – błagał.

– Przyniosę ci coś do jedzenia i wtedy porozmawiamy. Jacques, opuść strzelbę. Frederik nic nam nie zrobi. Masz na to moje słowo. Może pójdziesz na górę i powiesz naszym przyjaciołom na strychu, że nie ma powodu do paniki. To tylko gość, ktoś z rodziny, ale i tak powinni zostać na miejscu i się nie pokazywać.

– Skoro wierzysz, że możemy mu zaufać – wycedził Jacques i z wahaniem opuścił broń – to tak zrobię.

– Wierzę. – Connie skinęła głową.

Wspaniale było czuć, że wreszcie, dla odmiany, to ona przejmuje kontrolę nad sytuacją.

– Frederiku, chodź ze mną do kuchni, to porozmawiamy, kiedy będę ci szykować coś do jedzenia.

Frederik z wysiłkiem wstał. Connie zauważyła, jaką trudność sprawia mu każdy krok. Dotarł do końca swojej podróży, adrenalina opadła i doszły do głosu wyczerpanie, głód i rozpacz. Connie zamknęła dokładnie drzwi i skinęła, żeby Frederik usiadł na drewnianym krześle przy małym stole.

– Constance, proszę – zwrócił się do niej znowu – czy ona tu jest?

– Tak, Frederiku. Sophia tu jest – potwierdziła Connie.

– O Boże, Boże. – Frederik ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się. – Czasami, po drodze, kiedy sypiałem w rowach i szukałem po śmieciach czegoś do zjedzenia, myślałem sobie, że może ona już nie żyje. Tak często to sobie wyobrażałem, że... – Frederik wytarł nos rękawem i potrząsnął głową. – Wybacz mi, Constance, rozumiem, że trudno litować się nade mną, ale nie masz pojęcia, przez jakie piekło przeszedłem, żeby ją odnaleźć.

– Proszę, napij się. – Connie postawiła przed nim kieliszek wina i poklepała Frederika łagodnie po ramieniu. – Jestem zdumiona, że zdołałeś tu dotrzeć i nie zginąłeś po drodze.

– Pomogło mi to, że zarówno Francuzi, jak i moi rodacy czują, że coś nadciąga. We Francji zapanował chaos, partyzanci są coraz silniejsi. My... oni... – poprawił się natychmiast – starają się trzymać ich w szachu. I być może Francja to ostatnie miejsce, gdzie by mnie ktokolwiek szukał. Z wyjątkiem jednej osoby...

– Masz, jedz. – Connie podała mu grubo ukrojoną kromkę chleba i trochę sera.

– Czy byli już tutaj, żeby przeszukać zamek? – zapytał Frederik, łapczywie wpychając sobie chleb i ser do ust i połykając bez żucia.

– Tak, szukali, ale nic nie znaleźli. Jacques i ja bardzo uważamy na to, aby zamek był zamknięty i żeby nikt nie wyszedł z Sophii. Na razie nie podejrzewają, że ona tu jest.

– A Édouard? On też tu jest? – zapytał Frederik.

– Nie. Wiedział, że jego obecność naraziłaby siostrę na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

– No tak, ja też nie powinienem zatrzymywać się tutaj na dłużej. Zdaję sobie sprawę, że każda sekunda, kiedy tu jestem, oznacza dla was śmiertelne ryzyko. Więc – Frederik popił chleb i ser dużymi łykami wina – chcę zobaczyć się z Sophią i zaraz potem odejść. Zaprowadzisz mnie do niej? Błagam, proszę cię, Constance.

– Dobrze. Chodź za mną.

Zabrała Frederika do winnicy, weszli do dębowej beczki i ruszyli tunelem.

– Moja biedna, biedna Sophia – powtarzał zrozpaczony, kiedy z trudem przy swoim wroście posuwał się naprzód. – Jak ona jest w stanie to znieść? Czy kiedykolwiek czuje ciepło słonecznych promieni na policzkach?

– Nie ma wyboru. Musi to wytrzymać dla własnego bezpieczeństwa.

Connie dotarła do drzwi.

– Sophia jest w środku. Możliwe, że śpi. Wejść pierwsza, żeby jej nie przestraszyć. A ty, Frederiku – obróciła się do niego – też się przygotuj na niespodziankę.

Zapukała do drzwi trzy razy i delikatnie je otworzyła. Sophia siedziała w fotelu pod mizernym okienkiem, na brzuchu oparła książkę w brajlu.

– Constance? – Uniosła głowę.

– Tak, to ja.

Connie podeszła do Sophii i łagodnie położyła jej dłoń na ramieniu.

– Nie bój się, ale masz gościa. Myślę, że będziesz bardzo szczęśliwa, kiedy przekonasz się, kto to.

– Sophio, Sophio, kochanie, to ja, Frederik – szepnął głos zza Connie. – Jestem tu, *mein Liebling*.

Na chwilę Sophia zaniemówiła.

– Czy ja śnię? Frederik? – szepnęła. – To naprawdę ty?

– O tak, moja kochana, to ja.

Sophia wyciągnęła ramiona, książka upadła na podłogę.

Connie cofnęła się, patrząc od drzwi, jak Frederik podchodzi do Sophii i ją obejmuje. Oczy zasły jej łzami. Cicho opuściła pokój, zamykając za sobą drzwi.

Całą tę noc Connie przesiedziała w pokoju dziennym. Czuwała. Kiedy o drugiej dom opuścili lotnicy, dołączył do niej Jacques.

– Przynajmniej jeden kłopot z głowy – powiedział, ziewając. – A co z tym? – Wskazał na dół, na podłogę. – Czy on nadal tam z nią jest?

– Tak.

– Schodziłaś sprawdzić, co się dzieje?

– Raz. Słyszałam, że rozmawiają.

– Wybacz, Constance. Ale czy naprawdę można mu ufać? A jeżeli to jakieś sztuczki, żeby nas zmylić, wykorzystać zakochaną dziewczynę?

– Zapewniam cię, to nie to. Wystarczy na niego spojrzeć, widać, że mówi prawdę i od wielu tygodni się ukrywa. Nie byłobyśmy tu, gdyby nie pomógł nam w ucieczce z Paryża. Poza tym kocha Sopię każdą cząsteczką swojego ciała.

– A jeśli go śledzą?

– No tak, to bardzo możliwe...

– Constance! Z tego, co słyszałem od ciebie o jego bracie, to pewne! – krzyknął Jacques.

– Ale dopóki oboje są w kryjówce na dole, to przecież nic im nie grozi? A Frederik wie, że musi stąd odejść jak najszybciej. To mogą być ich ostatnie godziny razem. Okrutnie byłoby im tego odmówić. Proszę, Jacques, daj im trochę czasu – prosiła Connie. – Myślę, że mają sporo do omówienia, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Niech on się stąd wynosi – obruszył się Jacques. – Jeśli ktoś się dowie, że ukrywaliśmy nazistę, to już po mnie.

– Proszę, Jacques, on jutro pójdzie dalej – przekonywała Connie.

•••

Sophia leżała na wąskim łóżku, które było niemal zbyt ciasne dla niej samej, a co dopiero dla niej i mężczyzny, który trzymał ją teraz w ramionach. Stale

gładziła jego twarz, szyję, włosy, żeby upewnić się, że Frederik naprawdę tu jest. Był tak wyczerpany, że od czasu do czasu zapadał w sen, ale zaraz budził się z drgnieniem i znów mocniej ją obejmował.

– Powiedz, kochany, co mamy robić? – pytała. – Przecież musi być jakieś miejsce na świecie, dokąd moglibyśmy uciec.

Frederik łagodnym gestem przesunął dłonią po delikatnej, białej skórze jej brzucha, pod którą wyczuwał zarys ciała swojego dziecka.

– Musisz tu zostać, aż się urodzi. Nie ma wyjścia. Ja jutro odejdę i, Bóg da, przeczekał gdzieś bezpiecznie do końca wojny. Obiecuję, to już nie potrwa długo.

– Słyszę to od lat, a nic się nie zmienia. – Sophia westchnęła.

– Wojna się skończy, Sophio, przysięgam, musisz w to wierzyć – powiedział Frederik. – I kiedy się skończy, a ja znajdę dla nas miejsce, przyjadę po ciebie i nasze dziecko.

– Proszę, nie zostawiaj mnie! Nie wytrzymam tu bez ciebie, proszę...

Nawet ona wiedziała, że to daremne słowa, kiedy szeptała je, wtulając twarz w jego ciepłą pierś.

– To jeszcze tylko kilka miesięcy. Musisz wytrwać. Bądź dzielna dla dziecka. A pewnego dnia siądziemy sobie razem i opowiemy mu, jakim bohaterstwem musiała wykazać się jego matka, by przyszło na świat. Sophio – Frederik pocałował ją czule w czoło, nos i usta – obiecałem, że cię znajdę i jestem. W przyszłości też cię nie zawiodę. Wierz mi.

– Wierzę. Porozmawiajmy o czymś weselszym. Opowiedz mi, jak byłeś mały – zaproponowała Sophia. Nagle poczuła, że chce dowiedzieć się jak najwięcej o człowieku, którego kocha: ojcu swojego dziecka.

– Dorastałem w Prusach Wschodnich, na wsi, w Charlottenruhe. – Frederik zamknął oczy i uśmiechnął się na wspomnienie tego miejsca. – Mieliliśmy szczęście, bo nasza rodzina mieszkała w pięknym zamku otoczonym hektarami urodzajnych ziem, które do niej należały i których uprawą się zajmowała. Prusy Wschodnie słynęły jako zagłębienie zbożowe, żyzne pola ciągnęły się kilometrami. I dlatego my, którzy tam mieszkaliśmy, staliśmy się zamożni. Miałem piękne dzieciństwo, niczego mi nie brakowało, czułem się kochany przez oboje rodziców i otrzymałem doskonale wykształcenie. Może jedynym problemem był mój brat, który od początku mnie nienawidził.

– Dwaj bracia, urodzeni w odstępach jednej godziny, wychowywani w tej samej rodzinie, a jesteście tak bardzo od siebie różni – zastanowiła się na głos Sophia.

Poklepała swój brzusek. – Mogę tylko mieć nadzieję, że nasze małeństwo będzie podobne do taty, nie wujka. A co robiliście po skończeniu szkoły?

– Falk od razu poszedł do wojska, a ja na uniwersytet w Dreźnie. Studiowałem nauki polityczne i filozofię. To były ciekawe czasy. Führer właśnie doszedł do władzy – wyjaśnił Frederik. – Po latach biedy gnębiącej tak wielu Niemców po pierwszej wojnie światowej Hitler zaczął wprowadzać reformy, by poprawić życie obywateli naszego kraju. Jak inni młodzi radykałowie, w dodatku szczególnie zainteresowany polityką ze względu na moje studia, dałem się porwać euforii. – Frederik westchnął. – Nie będziesz chciała tego słuchać, Sophio, ale Hitler w pierwszych latach jako kanclerz wiele zmienił na lepsze, a jego idee, aby budować potęgę ekonomiczną i przemysłową Niemiec, przemawiały do wyobraźni. Pojechałem na jeden z wieców do Norymbergi, atmosfera była niesamowita. Führer robił ogromne wrażenie. Miał charyzmę, której nie umiał się oprzeć upokorzony naród. Kiedy przemawiał, wierzyliśmy w każde jego słowo. Dawał nam nadzieję na przyszłość i ubóstwialiśmy go. Tak jak reszta moich przyjaciół szybko zapisałem się do partii.

– Ach tak – powiedziała Sophia. – I kiedy to się zmieniło?

Frederik zastanawiał się chwilę, szukał słów. Wyczerpany starał się zebrać myśli, żeby spróbować jej to tłumaczyć.

– Tobie i mnie trudno wyobrazić sobie jak to jest, kiedy miliony ludzi spijają każde twoje słowo i wielbią cię bezkrytycznie. Na pewno człowiek czuje się wtedy wszechwładny, jak sam Pan Bóg.

– Rozumiem, tak – zamruczała Sophia w jego ramię.

– Jeszcze zanim się zaczęła wojna, byłem przerażony tym, co dzieje się z Żydami w Niemczech. Hitler łamał wszelkie przykazania. Jestem chrześcijaninem, jak wiesz. Musiałem to zataić, żeby się nie narażać. Ale w tamtym czasie zostałem już oddelegowany do wywiadu. Nie miałem wyboru, Sophio. Rozstrzelaliby mnie, gdybym odmówił.

– Mój Frederiku, ile ty musiałeś przejść – powiedziała ze łzami w oczach Sophia.

– To nic w porównaniu z tym, co przeżywają trzynastoletni chłopcy, którym wciska się broń do rąk i każe zabijać dla sprawy, której nie są w stanie zrozumieć! – Frederik też się rozplakał. – A ja, przez swoje działania, świadomie posyłałem ludzi na śmierć. Nie wiesz, jak straszne rzeczy robiłem... Boże,

przebacz. A ty, Sophio – Frederik spojrział na nią z udręką w twarzy – czy ty zdołasz mi przebaczyć? Jak ja sam sobie wybaczę?

– Frederiku, proszę...

– Tak, masz rację, dość tego teraz – wyszeptał, pieszcząc jej włosy ustami. – Tu, na dole, z tobą, wreszcie czuję się bezpieczny i spokojny. Gdybym teraz umarł, umarłbym szczęśliwy.

Frederik ułożył się znów koło Sophii i popatrzył na cienie rzucane przez lampę naftową na ciemne sklepienie.

– Myślę, że zapamiętam tę noc na zawsze. Wiem już, że raj to nie piękne miejsce przypominające ogród opisany w Biblii czy pełne bogactw zapewniających władzę i pozycję. To wszystko tylko zewnętrzne piękno. Bez znaczenia. Bo jestem tutaj, w wilgotnej, ciemnej piwnicy, skazany na śmierć, a jednak trzymając cię w ramionach, czuję tak wielki spokój – powiedział łamiącym się głosem. – Moja dusza jest w raju, bo jestem z tobą.

– Frederiku – błagała Sophia – proszę, przytul mnie tak, jakbym na zawsze już miała pozostać w twoich objęciach.

...

Mieszkańcy zamku obudzili się, kiedy świtał pogodny prowansalski poranek. Zajmujący górną kondygnację chodzili nerwowo. Ci kryjący się pod ziemią też nie byli w stanie spać – gdyby mogli, zatrzymaliby słońce wstające na niebie.

...

W Londynie, kiedy tylko pojawiły się pierwsze promienie poranka, Édouard usłyszał niepokojący niski dźwięk, który narastał, aż zmienił się w ogłuszający ryk. Podeszedł do okna i zobaczył samoloty sunące nad stolicą w bojowym niekończącym się szyku. Był szósty czerwca 1944 roku, nadszedł dzień inwazji.

...

O siódmej Connie usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi kuchni. Otworzyła i zobaczyła Frederika. W jego oczach widać było jeszcze płomień miłości.

– Muszę zaraz iść, Constance. Czy nie zrobię ci zbyt wielkiego kłopotu, jeśli poproszę o trochę kawy i chleba na śniadanie? To może być ostatni posiłek przed długim okresem czekającej mnie głodówki.

– Chodź, zaraz coś ci przygotuję – powiedziała Connie. – I na pewno moglibyśmy dać ci jakieś czyste ubrania. Jesteś podobnego wzrostu co Jacques.

Nawet z pewnej odległości czuć było od Frederika stęchliznę.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, Constance. Sophia prosiła, żebyś do niej przyszła. Mówi, że jest tu ogród, gdzie może bezpiecznie posiedzieć. Wolałaby się tam ze mną pożegnać.

– Oczywiście. – Connie wskazała na nastawiony czajnik, w którym woda lada chwila miała się zagotować, i na resztki chleba z poprzedniego dnia. – Tuż za drzwiami kuchni można się trochę umyć. Przyniosę ci z góry coś do ubrania.

Jacques pojechał rowerem do miasteczka po świeże pieczywo, więc Connie poszukała w jego szafie i zniosła na dół stertę rzeczy, które wydały się jej odpowiednie.

– Weź, co ci pasuje – zaproponowała. – Pomogę Sophii przejść do ogrodu i wróć. Zobaczę też, czy jesteśmy w stanie dać ci trochę franków na drogę.

– Constance, jesteś aniołem miłosierdzia. Nigdy nie zapomnę, co zrobiłaś dla Sophii i dla mnie. Dziękuję.

•••

Connie zapukała do drzwi pokoju w piwnicy piętnaście minut później. Sophia siedziała na łóżku, jej twarz była pełna spokoju. Wyglądała pięknie.

– Frederik mówi, że chciałabyś pożegnać się z nim w ogrodzie.

– Tak. Może upłynie dużo czasu, nim znów się zobaczymy. I chciałabym zapamiętać tę ostatnią chwilę razem, jakbyśmy byli wolni i mogli pójść, dokąd tylko chcemy.

– Rozumiem, ale musisz być przygotowana na to, że w razie gdyby ktoś się pojawił, szybko się schowasz.

– Oczywiście. A teraz, Constance, mogłabyś sprawdzić, czy nie mam brudnej twarzy i czy jestem porządnie uczesana? – poprosiła.

Kiedy Connie robiła, co mogła w wątłym świetle padającym z okienka, myślała, że rozpromieniona miłością Sophia wyglądałaby przepięknie i bez

żadnych specjalnych zabiegów. Potem zaprowadziła ją do otoczonego murem ogrodu i posadziła przy stole pod kasztanem.

– Pójdę po Frederika – powiedziała.

– Dziękuję. Jaki piękny ranek – szepnęła Sophia.

– Rzeczywiście – przyznała Connie.

Wyszła z ogrodu i Sophia została sama, ciesząc się ciepłym słońcem na twarzy. Wdychała aromatyczne powietrze, wyczuwając w nim nutę lawendy kwitnącej bujnie w ogrodzie.

– Sophio.

– Tak szybko przyszedłeś. – Uśmiechnęła się, wyciągając do niego ramiona. –

Czy Constance zostawiła nas samych?

Nastąpiła chwila ciszy, zanim usłyszała:

– Tak.

– Chodź, przytul mnie, Frederiku. Mamy tak mało czasu.

Zrobił, o co prosiła. A Sophia wdychała jego zapach, tak inny od tego sprzed godziny. Wyczuła palcami znajome rysy twarzy, a potem szorstki materiał obcej kurtki.

– Chyba się umyłeś, a Constance dała ci nowe ubrania – powiedziała.

– Tak, jest taka dobra.

– Musisz od razu iść? Może moglibyśmy posiedzieć tu chwilę dłużej?

Poklepała fotel obok siebie i poszukała jego dłoni, kiedy usiadł. Ich uścisk wydawał się nieco silniejszy niż zwykle, a skóra mniej zrogowaciała, pewnie dlatego, że porządnie umył je mydłem.

– Skąd będę wiedziała, jak cię potem odnaleźć? – spytała.

– Skontaktuję się z tobą. Może, jeśli powiesz mi, gdzie ukrywa się twój brat, to i jemu dam znać.

– Frederiku, mówiłam ci wczoraj w nocy: nie mam pojęcia, gdzie jest. Gdzieś daleko, żeby mnie nie narażać.

– Naprawdę nie wiesz?

– Nie! – Pokręciła głową sfrustrowana. – Dlaczego o tym mówimy, kiedy za kilka minut musisz iść? Frederiku, proszę, tak niewiele czasu nam zostało, porozmawiajmy lepiej o naszych planach na przyszłość. Może powinniśmy wybrać imię dla dziecka, w zależności od tego, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka.

– A może nazwiemy je Falk, po wujku?

To był ten sam głos, ale dochodził z oddali. Sophia nie rozumiała, co się stało. Wyciągnęła ręce, starając się odszukać ukochanego, ale błędziły na próżno w powietrzu.

– Gdzie jesteś? Frederiku? Co się dzieje?

Frederik patrzył na brata, który wstał z fotela przy Sophii, i mierzył do niego z pistoletu.

– Więc przyjechałeś tu, Falk – powiedział.

– Oczywiście.

– I masz ze sobą zastęp swoich przyjaciół z gestapo? Czekają przy wyjściu z zamku, żeby mnie zabrać do Niemiec? – zapytał ze smutkiem.

– Nie – zaprzeczył Falk. – Pomyślałem, że sobie zostawię tę przyjemność. Mimo wszystko jesteś moim bratem. Uznałem, że przynajmniej tyle mogę zrobić.

– To bardzo miło z twojej strony. – Frederik pokiwał głową. – Jak mnie znalazłeś?

– Tylko idiota nie zorientowałby się, dokąd pójdziesz. Byłeś śledzony od kilku tygodni – poinformował go Falk. – Wiedziałem, że w końcu doprowadzisz mnie do innych, których chciałbym przesłuchać. Na przykład do tej młodej damy, która siedzi naprzeciw nas. Niestety, nie chce zdradzić miejsca pobytu swojego brata. Choć, oczywiście, wie, gdzie jest.

– *Monsieur*, ja nic nie wiem! On nam nie mówi, żeby nas nie narażać! – krzyknęła Sophia.

– Ależ *Fräulein*, nawet taka zdzira jak ty – Falk wskazał na jej brzuch – która ma rozum nie tam gdzie trzeba, nie sądzi chyba, że w to uwierzę.

Zwrócił się znów do Frederika.

– Wiesz, że mam w kieszeni nakaz aresztowania cię. Byłoby szkoda, gdybym musiał zastrzelić cię na miejscu, żeby rozwiązać język twojej pani.

– Może czekałeś na taką chwilę, od kiedy byliśmy dziećmi. – Frederik popatrzył na brata bliźniaka z wielkim smutkiem. – I chętnie zginąłbym z twojej ręki, gdyby nie kobieta, którą kocham. Jeśli poddam ci się bez oporu i pojedę z tobą do Niemiec, gdzie będziesz mógł zebrać laury za to, jak sprytnie mnie wytropiłeś, czy zostawisz ją w spokoju? Przysięgam ci na życie naszej matki, Sophia nic nie wie o miejscu pobytu Édouarda de la Martinières. Zawrzemy umowę? – spytał błagalnie Frederik. – Pójdę z tobą z własnej woli i pozwolę ci cieszyć się glorią zwycięstwa, o jakim zawsze marzyłeś, jeśli oszczędzisz kobietę, którą kocham, i nasze dziecko.

Falk popatrzył na brata i parsknął śmiechem. Rechotał tak strasznie, że aż zgiął się wpół, a pistolet zachybotał mu w dłoni.

– Braciszku! Co z ciebie za idealista! Te wierszyki, które czytałeś w dzieciństwie, romantyczne bzdury! Ta twoja wiara w Boga, słynny intelekt i skłonność do filozofowania, kiedy nie masz pojęcia o prawdziwym życiu. Życie jest zimne, twarde, okrutne. Nie mamy duszy, o której zawsze tyle rozprawiałeś. Nie jesteśmy lepsi od mrówek, które krążą ślepo po ziemi. Nigdy nie rozumiałeś rzeczywistości. To świat, gdzie silniejszy pożera słabszego, bracie. Każdy sobie. Myślisz, że twoje marne życie ma jakieś znaczenie? Albo jej życie? Naprawdę sądzisz, że miłość – to słowo wymówił z pogardliwą emfazą – może zwyciężyć wszystko? Jesteś w błędzie, Frederiku, jak zawsze. A teraz czas, żebym nauczył cię, o co tu naprawdę chodzi.

Pistolet Falka powędrował od brata i zatrzymał się wycelowany w Sophię.

– Popatrz!

Frederik rzucił się, by osłonić ukochaną, gdy wśród ciszy świtu rozległ się wystrzał.

A potem następny.

Frederik podniósł się, był cały i zdrowy. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem Sophia nie została trafiona. Ale to Falk padł na ziemię. Dygotał lekko, śmiertelnie ranny. Pistolet wysunął mu się z palców. Frederik podbiegł do brata i ukląkł. Patrzył mu w oczy, które uciekały do tyłu.

Falk otworzył usta. Przez moment zdołał skupić wzrok na bliźniaku.

– Wygrałeś – wyjąkał.

I z lekkim uśmiechem, jakby się poddawał, wyzionął ducha.

W ogrodzie zapanowało milczenie. Słychać było tylko świergot ptaków witających nowy dzień. Minęła chwila, nim Frederik zamknął bratu powieki, pocałował go w czoło i podniósł się z kłęczek.

Zobaczył za sobą Connie, ze strzelbą myśliwską Jacques'a wycelowaną jeszcze w miejsce, gdzie teraz stał.

– Dziękuję – wyszeptał Frederik ze łzami w oczach.

– Zasłużył na to – powiedziała. – I pomyślałam, że czas skorzystać z mojego kosztownego szkolenia – dodała cicho, a przez jej usta przemknęło coś niby uśmiech. – Zrobiłam, co trzeba?

Jej oczy błagały, żeby odpowiedział twierdząco.

Frederik spojrział na leżącego u jego stóp martwego brata i odwrócił się do Sophii, która aż poszarzała na twarzy z przerażenia.

– Tak – odparł. – Zrobiłaś, co trzeba. Dziękuję.

Obok Connie pojawił się Jacques.

– Oddaj mi broń, Constance.

Wyjął jej delikatnie strzelbę z dłoni. Kiedy to zrobił, Connie zaczęła się trząść. Jacques objął ją mocno ramieniem i doprowadził do fotela obok Sophii.

– Nie żyje? – zapytał Jacques Frederika, patrząc na ciało na trawie.

– Tak.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki dobry strzelec, Constance – zauważył Jacques, pochylając się nad Falkiem. Zobaczył krew przesiąkającą przez mundur.

– Trenowali mnie, jak zabijać – odparła Connie.

– To był twój brat? – zapytał Frederika Jacques.

– Tak. Mój bliźniak.

– Domyślałem się, że sporo osób wie, gdzie go szukać?

– Wątpię. Chciał mnie aresztować sam. Nie zamierzał dzielić się z nikim sukcesem.

– Jednak nie możemy zakładać, że nikomu nie powiedział. Nie ryzykujemy – rzekł Jacques. – Frederiku, musisz natychmiast uciekać. W najlepszym przypadku ktoś w okolicy mógł słyszeć strzały. *Mademoiselle* Sophio, powinnaś jak najszybciej zejść do piwnicy i na razie tam zostać, a my naradzimy się, co dalej. Constance cię zaprowadzi – dodał.

– Dziękuję – powiedziała Sophia, kiedy Connie pomagała jej wstać, i podtrzymując się nawzajem, ruszyły do schodów.

Frederik odszedł od brata bliźniaka i zbliżył się pomału do Connie.

– Nie pozwolę, żebyś wzięła to na siebie. Falk przyjechał po mnie i to ja powinienem go powstrzymać. Jeśli odkryją jego śmierć, chcę, żebyś powiedziała, że ja go zastrzeliłem.

– Nie, Frederiku. Nie zabiłam go tylko dla ratowania Sophii i ciebie. – Connie zapatrzyła się w dal. – Miałam i swoje powody. Teraz przynajmniej wiem, że żadna inna kobieta nie doświadczy tego, co mi zrobił.

Spojrziała na niego.

– Od wielu miesięcy życzyłam mu śmierci.

– Musimy natychmiast pozbyć się ciała, Frederiku – powiedział Jacques. – Będę potrzebował twojej pomocy, żeby wykopać grób.

– Oczywiście – zgodził się Frederik.

– Tu, w otoczonym murem ogrodzie byłoby najbezpieczniej, bez ryzyka, że ktoś zobaczy, jak go niesiemy. Pójdę po łopaty. Może uda ci się zdjąć z niego ubranie, spalę je – zasugerował Jacques. – Constance, sprowadź Sopię do piwnicy. W kuchni jest brandy. Napij się, to dobrze robi. Nie jesteś tu potrzebna.

Kiedy zaprowadziła zszokowaną Sopię na dół i zapewniła, że Frederik przyjdzie się z nią pożegnać, zrobiła, co radził Jacques. Brandy pomogła, choć mimo ciepłego czerwcowego dnia Connie nadal się trzęsła.

Pół godziny później Jacques wrócił do domu.

– Pochowaliśmy Falka. Ubranie spalone. Frederik zszedł pożegnać się z Sopią, potem odejdzie.

– Dziękuję, Jacques.

– Nie, Constance, to my powinniśmy ci podziękować. – Jacques popatrzył na nią z szacunkiem. – Teraz przygotuję jakiś prowiant, żeby dać na drogę Frederikowi, a kiedy wyruszy, naradzimy się, co dalej.

• • •

– Do widzenia, ukochana. – Frederik przytulił Sopię. – Wyślę ci wiadomość, przysięgam, ale na razie musisz przede wszystkim zadbać o bezpieczeństwo swoje i dziecka. Radź się Jacques’a i Constance, to dobrzy ludzie, wiem, że będą cię chronić.

– Dobrze.

Lzy płynęły z jej niewidzących oczu po twarzy. Sięgnęła po sygnet, który nosiła na piątym palcu prawej dłoni, i ściągnęła przez spuchnięty staw.

– Proszę, weź go. Jest na nim wygrawerowany herb de la Martinièresów. Chcę, żebyś go miał.

– To ty weź mój. Jest na nim rodowy znak. Włożę ci go.

Sophia wyciągnęła dłoń, a Frederik wsunął jej pierścień na palec serdeczny.

Uśmiechnął się.

– Wymieniamy się pierścionkami tu, w tym okropnym miejscu, w ten straszny dzień. Wolałbym, żeby było inaczej, ale to lepsze niż nic. Noś ten pierścień, Sophio, i nie zapomnij nigdy, jak bardzo cię kocham. Będiesz w moim sercu, zawsze.

– A ty w moim.

– Muszę iść.

– Tak.

Frederik z ociąganiem wypuścił ją z ramion, pocałował w usta ostatni raz i ruszył do drzwi.

– Cokolwiek się stanie, proszę, powiedz mojemu dziecku, że jego ojciec bardzo kochał jego mamę. Do widzenia, Sophio.

– Do widzenia – szepnęła. – I niech Bóg cię prowadzi.

• • •

Później, kiedy Frederik wreszcie powędrował dalej, Connie zeszła do piwnicy, by pocieszyć pogrążoną w rozpacz, jak się spodziewała, Sophię. Tymczasem zastała ją sapiącą, skuloną przy łóżku.

– Mój Boże! – zawołała. – Myślałam, że to już nigdy się nie zacznie. Dziecko...

Sophia krzyknęła, kiedy kolejny skurcz przeszył bólem jej ciało.

– Pomóż mi, Constance, pomóż!

U progu wyzwolenia, kiedy alianci szturmowali plażę Normandii, a zaciekle walki trwały wiele dni, w mrocznej piwnicy echem odbijał się płacz noworodka.

Trzy miesiące później

W pogodny wieczór pod koniec września Édouard de la Martinières wszedł do otoczonego murem ogrodu zamku. Słońce właśnie zachodziło. Zobaczył kobietę siedzącą pod dębem. Trzymała na rękach dziecko. Spuściła głowę wpatrzona w maleństwo, starała się je uspokoić.

Ruszył w jej kierunku, przez chwilę nie rozumiał.

– Witaj – powiedział z pytaniem w głosie, na co od razu dostał odpowiedź, kiedy jasnobrązowe oczy spojrzały na niego zaskoczone.

– Édouard!

Podszedł bliżej, a ona wstała, tuląc do siebie niemowlę.

– Wybacz, Constance, kolor twoich włosów... Wyglądasz zupełnie inaczej. Przez chwilę myślałem, że to Sophia. – Uśmiechnął się.

– Nie...

Connie spochmurniała.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że tu jesteś! Powinieneś dać nam znać, Édouardzie – powiedziała po chwili.

– Nie chciałem ryzykować i zapowiadać swojego przyjazdu – wyjaśnił. – Chociaż Paryż jest już wolny i de Gaulle panuje nad sytuacją, dopóki cała Francja nie zostanie wyzwolona, zawsze jest ryzyko.

– Po inwazji aliantów od strony wybrzeża Niemcy uciekali jak szarańcza, a partyzanci deptali im po piętach. Czy Jacques wie, że tu jesteś?

– Nie, nie było go w winnicy ani w domu, ale zobaczyłem, że okiennice w zamku są otwarte. Przyszedłem więc tutaj, przywitać się z Sophią i Sarah.

– To cudowne, że wreszcie można się nie ukrywać – przyznała Connie.

– Czy Sophia jest w środku? – zapytał Édouard.

– Nie, Édouardzie. Proszę... – Connie westchnęła. – Siadaj. Mam ci tyle do opowiedzenia.

– Na to wygląda. – Édouard skinął w kierunku dziecka.

Nieprzygotowana na jego przyjazd Connie nie wiedziała, od czego zacząć.

– Édouardzie, to... nie tak, jak myślisz.

– W takim razie – odparł – przyniosę dzbanek *rosé* z winnicy. Zaraz wrócę.

Connie patrzyła, jak znika za drzwiami otoczonego murem ogrodu. Od wielu tygodni marzyła o tej chwili, a jednocześnie tak bardzo się jej bała. I teraz stało się. Zastanawiała się, jak znaleźć słowa, by powiedzieć mu to, co musi. Choć jego dawno oczekiwana obecność oznaczała dla niej upragnione wyzwolenie, z ciężkim sercem patrzyła, jak Édouard wraca z dzbanem wina i dwoma kieliszkami.

– Ale przede wszystkim, zanim porozmawiamy, wypijmy za koniec tamtego piekła. Francja jest już prawie wolna i wkrótce przyjdzie też kolej na inne kraje. – Édouard stuknął kieliszkiem o jej kieliszek.

– Za nowy początek – szepnęła Connie. – Trudno mi uwierzyć, że to już prawie koniec.

– Tak, za nowy początek. – Édouard wziął mały łyk *rosé*. – Powiedz, gdzie jest Sarah?

Connie wyjaśniła mu, jak ją aresztowano w drodze na południe.

– Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć w ostatnich tygodniach. Najprawdopodobniej została wysłana do niemieckiego obozu pracy. Musimy po prostu czekać na dalsze wiadomości. – Connie westchnęła.

– Módlmy się, aby nadeszły jak najprędzej – powiedział z uczuciem Édouard. – Od inwazji z północy i południa w ludzi we Francji wstąpił nowy duch. Musimy mieć nadzieję, że Niemcy wkrótce oficjalnie się poddadzą. Ale kraj jest zrujnowany, pogrążony w żałobie po setkach tysięcy tych, którzy zginęli na wojnie. Potrzeba wielu lat, żeby się po tym podnieść. A teraz, Constance, powiedz mi o... tym. – Édouard wskazał na dziecko. – Nie mogę udawać, że nie jestem zaszokowany. Jak...? Kto...?

Connie wzięła głęboki wdech.

– To nie moje dziecko. Ja tylko się nim opiekuję.

– Nie twoje, to czyje?

– Édouardzie, to twoja siostrzenica. Dziecko Sophii.

Patrzył na Connie, jakby oszalała.

– Nie, nie! To niemożliwe! Przecież Sophia nie mogłaby... – Édouard potrząsał głową. – Nie – powtarzał. – To nie do pomyślenia!

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, podobnie jak mnie, kiedy Sarah mi powiedziała. Ale, Édouardzie, pomogłam temu dziecku przyjść na świat. Sophia

zaczęła rodzić w dniu inwazji, uznaliśmy więc, że dziewczynka powinna dostać imię Victoria.

Édouard nadal trzymał się za głowę, starając się pojąć znaczenie słów Connie.

– Rozumiem, że jesteś zaszokowany, Édouardzie – ciągnęła. – I przykro mi, że to ja muszę ci to mówić. Pamiętaj, że wszyscy traktowaliśmy Sopię jak dziecko. Ale tak naprawdę ona była w moim wieku, była dojrzałą kobietą. Kobietą, która się zakochała – dodała.

Édouard nagle popatrzył na nią uważnie.

– Dlaczego stale mówisz o niej w czasie przeszłym, jakby jej tu już nie było? Gdzie ona jest? Powiedz, Constance, gdzie ona jest? – domagał się odpowiedzi.

– Sophia nie żyje, Édouardzie – oznajmiła z ociąganiem Connie. – Umarła kilka dni po urodzeniu Victorii. Poród był długi i ciężki, a potem mimo wszelkich starań nie zdołaliśmy powstrzymać krwawienia. A, oczywiście, nie mogliśmy zawieźć jej do szpitala. Jacques wezwał lekarza, który zrobił, co się dało na miejscu, ale nic nie mogło jej uratować. – Głos Connie się załamał. – Och, Édouardzie, wybac mi. Bałam się tej rozmowy z tobą, odkąd to się stało.

Édouard milczał. Potem z głębi piersi wyrwał mu się krzyk, który rozerwał na strzępy spokój wieczornego powietrza.

– Nie! Nie! To nie może być prawda!

Wstał i rzucił się na Constance. Złapał ją za ramiona i zaczął nią potrząsać.

– Powiedz, że kłamiesz. Powiedz, że to mi się śni, że moja ukochana siostra nie jest martwa, kiedy ja nadal żyję! To niemożliwe, niemożliwe!

– Tak mi przykro. Ale to prawda, taka jest prawda!

Connie była przerażona tym, co zobaczyła w jego oczach. Szarpał ją, a ona tylko starała się nie upuścić dziecka.

– Édouardzie! Przestań! Nie możesz mieć pretensji do Constance, powinieneś jej raczej dziękować!

Przez ogród nadbiegł do nich Jacques i odciągał Édouarda od wystraszonej Connie.

– Édouardzie, słuchaj, ta kobieta, którą atakujesz, ratowała twoją siostrę! Chroniła ją, ryzykując własne życie, nawet zabiła dla niej! Nie pozwolę, żebyś ją tak traktował, bez względu na to, jaki to dla ciebie szok i ból.

– Jacques... – Édouard zatoczył się do tyłu. Odwrócił się i popatrzył na starego przyjaciela, jakby ledwie go poznawał. – Proszę, powiedz mi, że ona nie mówi prawdy – błagał go zrozpaczony.

– Niestety, Édouardzie. Sophia zmarła trzy miesiące temu – potwierdził Jacques. – Próbowaliśmy przesłać ci wiadomość, ale od inwazji aliantów panował wielki chaos. Nic dziwnego, że to do ciebie nie dotarło.

– O Boże, o Boże! Sophia... moja Sophia!

Édouard zaczął łkać. Jacques objął szlochającego przyjaciela.

– Ja tego nie zniosę, nie zniosę. I ta świadomość, że to wszystko przeze mnie! Gdybym nie próbował ratować Francji, nie stawiał ojczyzny na pierwszym miejscu, Sophia na pewno by żyła. To nie jej życie powinno zostać poświęcone, ale moje, moje!

– Tak, to okropne, że ona nie przeżyła – przyznał cicho Jacques – ale nie możesz winić siebie. Sophia cię uwielbiała, Édouardzie, i była bardzo dumna z tego, co robiłeś dla wyzwolenia ojczyzny.

– Ale Jacques – szlochał Édouard – siedziałem tam bezpiecznie w Londynie przez wiele miesięcy, kiedy ona tu cierpiała w samotności. Uwierzyłem, że powinienem trzymać się od niej z dala, że moja obecność tylko narazi ją na niebezpieczeństwo. A teraz ona nie żyje!

– Pamiętaj, proszę, przyjacielu – powiedział łagodnie Jacques – że nie zginęła z rąk gestapo, umarła w połogu. Czy byłbyś tu, czy nie, wątpliwe, abyś mógł ją uratować.

Édouard nagle przestał zawodzić i spojrzał na Jacques'a.

– Powiedz mi, kto był ojcem?

Jacques popatrzył na Connie, szukając pomocy. Wstała i niepewnie zrobiła krok w ich stronę.

– To Frederik von Wehndorf. Przykro mi, Édouardzie.

W ogrodzie zapanowała martwa cisza, gdy Édouard starał się przyswoić tę wiadomość. W westchnieniu zrobił kilka chwiejnych kroków i padł na fotel, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

Kiedy tak siedział, milcząc w odrętwieniu, Connie powiedziała cicho:

– Sam mówiłeś, że Frederik to dobry człowiek, Édouardzie. Pomógł nam uciec z Paryża i pomagał też innym, takim jak ty, za co zapłacił straszliwą cenę. I bez względu na to, jaki mundur nosił, naprawdę bardzo kochał twoją siostrę.

– Ja też widziałem tę miłość – dodał Jacques.

– Poznałeś go? – zdumiony Édouard popatrzył na niego dzikim wzrokiem.

– Tak. Dotarł tu w poszukiwaniu Sophii – wyjaśnił Jacques. – Przynajmniej zdążyła przeżyć kilka godzin szczęścia na pociechę, zanim umarła. Co więcej,

Falk...

– Nie, dosyć! – Édouard otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je, tak jakby żadne słowa nie były w stanie wyrazić tego, co czuje. – Przepraszam.

Wstał i jak pijany, zataczając się, ruszył do drzwi ogrodu.

– Chcę zostać sam.

...

Tego wieczoru, kiedy Connie nakarmiła z butelki Victorię na noc i układała ją do snu w dobrze przewietrzonym pokoju dzieciennym, który urządziła w jednej z zamkowych sypialni, usłyszała, jak ktoś wchodzi na górę. W drzwiach stanął Édouard. Poszarzały na twarzy, wyczerpany, z oczami czerwonymi od płaczu.

– Constance, przyszedłem, żeby przeprosić cię za swoje zachowanie. To było niewybaczalne.

– Wszystko rozumiem – powiedziała Connie, ucieszona, że Édouard jest przynajmniej trochę spokojniejszy. – Chcesz zobaczyć swoją siostrzenicę? – zaproponowała. – To śliczna dziewczynka, wykapana Sophia.

– Nie... nie! Nie mogę.

Odwrócił się na pięcie w progu i wyszedł.

...

Przez następnych kilka dni, Connie rzadko widywała Édouarda. Zamieszkał w głównej sypialni zamku, po drugiej stronie korytarza. Connie słyszała, jak chodzi po domu w nocy, ale rano już go nie było. Czasem mignął jej z daleka, kiedy wyglądała z okien zamku, karmiąc o świcie Victorię – odległa sylwetka niknąca wśród winorośli. Mowa ciała świadczyła o tym, jak bardzo jest zdruzgotany. Często nie było go całymi dniami, wracał po zmroku i siedł prosto do swojej sypialni.

– On cierpi, Constance. Zostaw go. Potrzebuje czasu – radził Jacques.

Connie rozumiała, ale mijały dni, a Édouard wyraźnie nie podnosił się z dna rozpacz i zaczęła tracić cierpliwość. Marzyła o powrocie do Anglii. Teraz, kiedy Paryż był wolny, mogła już swobodnie podróżować. Chciała wreszcie zobaczyć męża. I, po raz pierwszy od czterech lat, znów móc kierować własnym życiem.

Ale póki Édouard nie wychodził z depresji i nie był w stanie wziąć odpowiedzialności za siostrzenicę, nie mogła opuścić Victorii. To ona pierwsza trzymała ją w ramionach. A ponieważ Sophia od początku była zbyt słaba, by zająć się dzieckiem, to Connie czuwała nad tym, by małej niczego nie brakowało.

Patrzyła na śliczną buzię Victorii, miniaturę twarzy matki. Martwiła się, czy ślepotą Sophii nie okaże się dziedziczna, ale na razie piękne niebieskie oczy Victorii z zainteresowaniem wodziły za kolorowymi przedmiotami, które jej pokazywała. Ostatnio Victoria zaczęła się uśmiechać. I kiedy Connie przychodziła wziąć małą z łóżeczka, witała ją promiennym uśmiechem. Connie trudno było nawet pomyśleć o rozstaniu z tym dzieckiem. Stała się jego matką. Tak bardzo je pokochała, że to ją aż przerażało.

Modliła się, że nadejdzie taki czas, już niedługo, kiedy będzie miała własne dzieci z Lawrence'em.

...

Minął tydzień, a pogrążony w żałobie Édouard nadal wszystkich unikał. Connie zdecydowała się więc porozmawiać z nim o swoich rozterkach. Tego dnia obudziły się z Victorią wcześniej i usłyszała kroki Édouarda na półpiętrze. Złapała go schodzącego na dół.

– Édouardzie, obawiam się, że musimy porozmawiać.

Powoli zawrócił i przyjrzał się jej.

– O czym?

– Wojna właściwie skończona. Mam męża i swoje życie. Muszę wracać do Anglii.

– To jedź.

Wzruszył ramionami i szedł dalej na dół.

– Édouardzie, zaczekaj! A co z Victorią? Musisz załatwić dla niej opiekę, kiedy wyjadę. Może pomyślisz o wynajęciu niani? Mogłabym ci pomóc znaleźć kogoś odpowiedniego.

Na to Édouard odwrócił się znowu.

– Constance, chciałbym ci wyjaśnić raz na zawsze, że mnie to dziecko nie interesuje – wycedził. – To przez nie i tego drania, jego ojca, Sophii już nie ma wśród nas.

Connie przeraził jego chłód.

– Édouardzie, przecież na pewno rozumiesz, że to nie wina dziecka? To bezbronna istotka, która sama się na świat nie prosiła. Ja... to twój obowiązek jako jej wuja zająć się nią!

– Nie! Powiedziałem, nie! Może sama byś to jakoś zorganizowała? Na pewno jest tu jakiś sierociniec, który ją przyjmie. – Westchnął. – Z tego, co mówisz, wynika, że chciałabyś, aby to się stało jak najprędzej. Im szybciej to dziecko stąd zniknie, tym lepiej. Proszę, rób, co uważasz. A ja, oczywiście, pokryję wszelkie koszty.

Édouard odwrócił się i poszedł dalej na dół, zostawiając Connie w kompletnym szoku.

•••

– Jak on może mówić coś takiego. To straszne! – Connie załamywała ręce, kiedy godzinę później opowiadała o tym słuchającemu jej z ponurą miną Jacques'owi.

– Jest w rozpacz, mówiłem ci. Nie tylko po utracie Sophii, ale wszystkiego, co odebrała mu wojna. Nie potrafi uznać tego dziecka, bo ono przypomina mu o jego własnej winie. Oczywiście wie, że dziecko nie ponosi odpowiedzialności. To uczciwy, szlachetny człowiek, który nigdy w życiu nie wymigiwał się od wypełniania tego, co do niego należy – podkreślił Jacques. – On się opamięta, Constance. Wiem to na pewno.

– Ale Jacques, ja nie mam już czasu – powiedziała z rozpaczą Connie. – Wybacz, mam bliskich, których kocham i których tak bardzo chcę zobaczyć. A świadomość, że gdyby nie Victoria, to w każdej chwili mogłabym już jechać do Anglii, jest nie do zniesienia. Jednak kocham Victorię i nie mogę jej porzucić. Jak Édouard śmiał nawet wspomnieć o sierocińcu?

Łzy płynęły strumieniem po policzkach Connie, kiedy patrzyła na dziewczynkę, leżącą na kocyku rozłożonym na trawie i gaworzącą wesoło.

– Może to też nie pomaga, że mała tak bardzo przypomina matkę – zauważył Jacques z westchnieniem. – Constance, ręczę ci, że Édouard w końcu odkryje, że to dziecko to zapewne jedyne, co może dać mu radość i nadzieję na przyszłość. Ale pogubił się w swoim smutku i nic do niego nie dociera.

– To co ja mam robić, Jacques? Proszę, powiedz mi – błagała. – Muszę wracać do domu! Nie mogę czekać wiele dłużej.

– Daj mi porozmawiać z Édouardem. Zobaczę, czy uda mi się przemówić mu do rozsądku, żeby przestał użalać się nad sobą – zaproponował.

– Cieszę się, że użyłeś tych słów – przyznała Connie. – Obawiam się, że ja też zaczynam to tak odbierać. Tyle było cierpień. To dotyczy nas wszystkich – dodała.

– Jak mówiłem, Édouard nigdy nie był egocentrykiem. – Jacques skinął głową.
– Porozmawiam z nim.

•••

Tego wieczoru, siedząc jak na szpilkach w domku przy winnicy, Connie patrzyła, jak Jacques wychodzi naprzeciw wracającemu do zamku Édouardowi. Modliła się w myślach. Jeśli Édouard kogokolwiek posłucha, to Jacques’a. On był jej jedyną nadzieją.

Usypiając Victorię w wiklinowym łóżeczku, które trzymała tu, żeby mieć gdzie położyć małą podczas odwiedzin u Jacques’a, Connie z duszą na ramieniu czekała na to, z czym wróci. Kiedy się pojawił, od razu po wyrazie jego twarzy poznała, że nie ma dobrych wieści.

– Nie, Constance – westchnął – jest niewzruszony. Ma w sobie tyle żółci i nienawiści... to teraz zupełnie inny człowiek. Nie wiem, co ci poradzić. Nadal wierzę, że z czasem, jak mówiłem, Édouard się z tego podniesie. Ale ty nie masz tyle czasu, by czekać. Rozumiem. I jeśli ktoś miałby mieć wyrzuty sumienia, że chce wracać do tych, których kocha, to już na pewno nie ty. Dałaś tej rodzinie tak wiele. No, to może ten sierociniec, o którym wspomniałem...

– Nie! – powiedziała stanowczo Connie, kręcąc głową. – Nigdy nie porzucę Victorii! Nie umiałabym żyć po czymś takim.

– Constance, nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale w tym przyklasztornym sierocińcu, o którym mówię, jest czysto, a siostry są bardzo miłe. Prawdopodobnie tak piękne dziecko jak Victoria natychmiast znajdzie odpowiednią rodzinę – zapewnił z o wiele większym przekonaniem, niż w to wierzył. – I proszę, pamiętaj, że opieka nad Victorią to nie twój obowiązek. Musisz teraz pomyśleć o sobie.

Connie popatrzyła w milczeniu na Victorię.

– No to czym ona jest obowiązkem?

– Posłuchaj mnie. – Jacques położył delikatnie dłoń na jej ręce. – Wojna to okrutny czas, jest wiele ofiar. Zaliczają się do nich nie tylko dzielni żołnierze,

k którzy walczyli za ojczyznę, ale i Sophia, i jej córka. Édouard też. Może on nigdy już nie będzie taki sam, bo choć rzuca się na innych z taką złością, obwiniając ich o śmierć Sophii, tak naprawdę sam czuje się za to odpowiedzialny. Zrobiłaś coś, kochanie. Więcej nie możesz. Jako ktoś, kto nabrał wobec ciebie podziwu i szacunku, myślę, że teraz powinnaś odejść.

– A co z ojcem Victorii? – zapytała Connie Jacques’a. – Na pewno, gdyby wiedział, że Sophia nie żyje, a Édouard nie chce uznać dziecka, chciałby je zabrać?

– Tak, jestem pewien, że by je zabrał, ale jak zamierzasz go szukać? Może być wszędzie albo nie żyje, jak Sophia. – Jacques pokręcił głową. – Constance, na całym świecie zapanował chaos, ludzie błąkają się gdzieś daleko od swoich domów. To byłoby niemożliwe, nawet nie warto próbować.

– Masz rację. To... beznadziejne – przyznała ze smutkiem. – Nie ma wyjścia.

– Jutro odwiedzę klasztor w Draguignan i porozmawiam z siostrami, czy mogą przyjąć Victorię – powiedział łagodnie. – Wierz mi, mnie też na niej zależy. I nie proponowałbym, by zostawić ją w miejscu, gdzie nie będą się o nią troszczyć. Ale czas, żeby ktoś cię odciążył. I skoro na razie Édouard nie jest w stanie tego zrobić, to ja ci pomogę.

•••

Tej nocy Connie nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, nie wiedziała już, co jest dobre, a co złe. Zdawało się, że wojna przewróciła do góry nogami cały porządek moralny, a ona kurczowo stara się trzymać swoich zasad.

Nagle usiadła na łóżku. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. A gdyby zabrała Victorię ze sobą do Anglii...?

Wygramoliła się z pościeli i zaczęła chodzić po pokoju, żeby to przemyśleć.

Nie, to szaleństwo... poza tym, jeśli przyjedzie do domu z dzieckiem, po latach nieobecności, czy Lawrence uwierzy w tę całą historię? Czy też, jak wszyscy inni, dojdzie do wniosku, że ona kłamie i to jej dziecko?

Cokolwiek sobie pomyśli, to powrót z dzieckiem po czterech latach rozłąki na pewno nie pomoże w ich związku. To po prostu nie byłoby w porządku wobec Lawrence’a.

Rozżalona Connie wdrapała się znów na łóżko i przypomniała sobie słowa Jacques’a. Wiedziała, że nie tylko dla swojego dobra, ale i ze względu na

Lawrence'a nie ma wyboru. Musi zaakceptować to, co nieuniknione. Jacques ma rację. Wojna wymaga poświęceń. A ona i jej mąż wycierpieli już dość za całe życie.

•••

Jacques wrócił następnego wieczoru z wyprawy do sierocińca.

– Przyjmą ją, Constance – powiedział, kiedy znalazł ją w ogrodzie za murem. – Mają komplet, ale zaoferowałem im spory datek i zgodzili się. Oczywiście zapłaci Édouard.

Połykając łzy, Connie skinęła głową.

– Kiedy ją zabierasz?

– Myślę, że dla nas wszystkich im szybciej, tym lepiej. Poproszę Édouarda o pieniądze jeszcze dzisiaj i dam mu ostatnią szansę na zmianę decyzji. – Jacques skrzywił się. – A jeśli jej nie zmieni, odwiozę Victorię rano.

– Pojadę z tobą – uparła się Connie.

– Czy to dobry pomysł? – zapytał, marszcząc brwi.

– To w ogóle nie jest dobry pomysł, ale przynajmniej zobaczą, gdzie trafi Victoria, i może poczuje się lepiej – odparła zrozpaczona.

– Jak chcesz. – Skinął głową. – Jeśli Édouard okaże się nieprzejednany, wyjedziemy przed południem.

Tego wieczoru Connie położyła Victorię do łóżeczka i usiadła przy niej, żeby po raz ostatni popatrzeć, jak dziecko zasypia.

– Moje kochane małeństwo, mój skarbie – szepnęła – tak strasznie mi przykro.

•••

– Édouard nie zmieni zdania – oznajmił Jacques ze smutkiem następnego ranka. – Poprosiłem o pieniądze. Dał mi je bez słowa. Proszę, przygotuj siebie i małeństwo, żebyśmy mogli jak najszybciej wyruszyć.

Connie spakowała już rzeczy dziecka. Robiła, co mogła, by zabić czas dłużących się bezsennych godzin do świtu. Teraz poszła po samą Victorię. Kiedy schodziła na dół z pokoju dziecinnego, modliła się, żeby w ostatniej chwili stało się coś, co odwoła wyrok. Marzyła, że na widok, jak zabierają Victorię, z głębi domu lub ogrodu wyjdzie Édouard. Ale on się nie pojawił.

Przed domkiem przy winnicy stał zaparkowany stary Citroën.

– Oszczędziłem trochę benzyny, na wypadek gdyby naprawdę była potrzebna – powiedział Jacques. – Powinna akurat wystarczyć, żeby dojechać tam i z powrotem.

Kiedy małe auto drgnęło i ruszyło spod zamku, Connie z Victorią na rękę siedziała obok Jacques’a. Zwykle spokojne dziecko płakało bez przerwy, całą drogę do Draguignan.

Dotarli do klasztoru. Jacques wziął małą walizeczkę, którą Connie spakowała dla Victorii, i podszedł do wejścia. Siostra wpuściła ich do środka i skierowała do cichej poczekalni, ale dziecko nie przestawało płakać w ramionach Connie.

– Ciii, ciii, Victorio! – Connie spojrzała żałośnie na Jacques’a. – Sądzisz, że ona wie?

– Nie, Constance, myślę, że nie polubiła jazdy samochodem. – Jacques uśmiechnął się błado, żeby ją uspokoić.

Wreszcie do salki weszła zakonnica w wykrochmalonym białym habicie.

– Witam, *monsieur*.

Skinęła głową Jacques’owi, a potem przyjrzała się Connie i Victorii.

– A to dziecko i jego matka?

– Nie – zaprzeczyła Connie. – Nie jestem matką Victorii.

Siostra szybko skinęła głową. Wyraźnie nie uwierzyła. Wyciągnęła ręce.

– Proszę, niech mi pani da dziecko.

Biorąc głęboki wdech, Connie podała jej Victorię. Mała krzyczała coraz głośniej.

– Zawsze tak płacze? – Siostra zmarszczyła brwi.

– Zwykle w ogóle nie płacze – zapewniła Connie.

– No to teraz zaopiekujemy się tu Victorią. *Monsieur*?

Oczy zakonnicy popatrzyły pytająco na Jacques’a, który pospiesznie wyciągnął kopertę.

– Dziękuję – skwitowała zakonnica i wsunęła pieniądze do pojemnej kieszeni.

– Miejmy nadzieję, że szybko uda się nam znaleźć dziewczynce odpowiednią rodzinę. To trudne w tych burzliwych czasach, kiedy ludzie nie mają za co wykarmić dodatkowej gęby – stwierdziła. – Ale to ładne dziecko, nawet kiedy tak ryczy. Proszę wybaczyć. Jesteśmy bardzo zajęte. Muszę wracać do dzieci. Na pewno traficie sami do wyjścia.

Zakonnica obróciła się na pięcie i ruszyła z Victorią do drzwi. Connie już wstała, żeby iść za nią, ale mocna dłoń Jacques’a jej na to nie pozwoliła. Objął ją

i wyprowadził, zdruzgotaną, zalewającą się łzami, z klasztoru, po czym pomógł usiąść na przednim fotelu w aucie.

Tak jak Victoria, Connie płakała przez całą drogę do domu.

Kiedy Jacques zatrzymał samochód przed domkiem przy winnicy, położył dłoń na kolanie Connie i poklepał je.

– Ja też ją kochałem, Constance. Ale lepiej, że już ją oddaliśmy. Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, dzieci niespecjalnie pamiętają, kto zajmował się nimi w pierwszych miesiącach życia. Proszę, przestań się zadrećcać. Victoria jest już gdzie indziej i wreszcie będziesz mogła jechać do domu. Musisz myśleć o swojej przyszłości, powrocie do kraju i mężczyzny, którego kochasz.

•••

Dwa dni później Jacques był gotów zużyć resztkę zaoszczędzonej benzyny, by odwieźć Constance ten mały kawałek do stacji w Gassin. Po spakowaniu swoich drobiażgów Connie zeszła na dół. Popchnęła drzwi do biblioteki. Chciała odłożyć na półkę drugi tom *Historii francuskich owoców*. Miała też zeszyt z wierszami Sophii, który zamierzała zostawić na biurku Édouarda, w nadziei, że on je przeczyta i zrozumie, jak głęboką miłością darzyła Frederika jego siostra. I że jej płynące z serca słowa przyniosą mu ulgę i go ułagodzą.

Pokój tonął w mroku, bo okiennice były szczelnie pozamykane. Podeszła do okna. Chciała odsunąć story, żeby widzieć, gdzie odstawić książkę.

– Witaj, Constance.

Aż podskoczyła, słysząc niespodziewanie ten głos. W skórzanym fotelu siedział Édouard.

– Wybacz, że cię wystraszyłem – powiedział.

– A ja przepraszam za to najście. Chciałam zwrócić tę książkę, zanim wyjadę – wyjaśniła. – I notatnik z wierszami Sophii. Pomyślałam, że może zechcesz je przeczytać. Są piękne.

Podala mu zeszyt. Miała do Édouarda tak wielki żal, że chciała jak najprędzej wyjść.

– Nie. Zabierz sobie i książkę, i zeszyt do Anglii, na pamiątkę tego wszystkiego, co się tu stało – zdecydował Édouard.

Connie nie miała siły się z nim spierać.

– Wyjeżdżam. Dziękuję za to, że mi pomogłeś, kiedy przybyłam do Francji – wyjąkała i ruszyła w stronę drzwi.

– Constance?

Zawahała się chwilę, po czym się obejrzała.

– Tak?

– Jacques mówił mi, jak uratowałaś życie Sophii, kiedy pojawił się tu Falk von Wehndorf, by odnaleźć swojego brata. Jestem ci wdzięczny.

– Zrobiłam, co trzeba, Édouardzie – powiedziała krótko.

– Z kolei twoja dzielna przyjaciółka Venetia uratowała moje życie. I przez to, że była taka dzielna, sama straciła swoje – dodał ze smutkiem. – Słyszałem, że została rozstrzelana przez gestapo, kiedy byłem w Londynie.

– Venetia nie żyje? O Boże, nie!

Ze łzami napływającymi do oczu Connie zastanawiała się, kiedy ten koszmar wojenny się skończy.

– To była wspaniała kobieta – powiedział Édouard, a w jego głosie zabrzmiała czułość. – Nigdy jej nie zapomnę. Wiesz, ostatnio myślałem, że lepiej by było, gdybym umarł z tymi, których kochałem i których straciłem.

– Widocznie nie było ci to pisane, podobnie jak mnie, Édouardzie – oświadczyła twardo. – I to do nas, jako tych, którzy przetrwali, należy budowanie przyszłości, przez pamięć dla nich.

– Tak. Jednak niektórych rzeczy – Édouard potrząsnął głową – nie potrafię wybaczyć ani zapomnieć. Przepraszam, Constance. Za wszystko.

Zawahała się chwilę, próbując znaleźć odpowiedź. Ale nie było takich słów, więc otworzyła drzwi, wyszła i starannie zamknęła je za sobą. Zostawiając Édouarda de la Martinièresa z jego przeszłością, a sama stawiając pierwsze kroki prowadzące ku przyszłości.

• • •

Trzy dni później na stację w Yorku wtoczył się przeładowany pociąg pełen strudzonych wracających żołnierzy. Connie wysłała telegram do Blackmoor Hall, żeby uprzedzić o swoim przyjeździe, ale nie miała pojęcia, czy wiadomość dotarła, ani, tak naprawdę, czy Lawrence jest już w domu. Wskoczyła z pociągu i drżąc z radosnego podniecenia w jesiennym angielskim powietrzu, ruszyła peronem, rozglądając się dokoła.

Czy wyszedł jej na spotkanie? Wypatrywała go w tłumie witających swoich ukochanych. Zatrzymała się w hali dworcowej, szukając znajomej twarzy. Po piętnastu minutach, kiedy miała już się poddać i stanąć w kolejce do autobusu, który zawiózłby ją na wrzosowiska, dostrzegła nagle samotną sylwetkę kogoś stojącego na końcu opustoszałego już peronu. Jego włosy posiwiały przedwcześnie. Wspierał się na lasce, którą trzymał w prawej dłoni.

– Lawrence! – zawołała.

Odwrócił się, słysząc znajomy głos. Patrzył na nią przez chwilę zaskoczony, zanim ją rozpoznał. Pobiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona. Jego zapach, który kojarzył jej się ze wszystkim, co bezpieczne, cudowne i dobre, sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Kochanie! Tak mi przykro, że cię nie poznałem! Twoje włosy... – wyszeptał, patrząc na nią zdziwiony.

– Rzeczywiście. – Connie dobrze go rozumiała. Oboje się zmienili. – Od tak dawna jestem blondynką, że sama już się przyzwyczaiłam.

– Tak naprawdę – przypatrzył się jej z uśmiechem – myślę, że ci z tym ładnie. Wyglądasz jak gwiazda filmowa.

– O, daleko mi do tego. – Connie westchnęła, rzucając okiem na swoje wygniecione ubranie, w którym przejechała całą drogę z południa Francji.

– Jak się czujesz? – spyтали jednocześnie i zaśmiali się z tego.

– Jestem bardzo zmęczona – powiedziała Connie. – Ale, och, jak dobrze być znowu w domu. Mam ci tyle do opowiedzenia, po prostu nie wiem, od czego zacząć.

– Nic dziwnego – odparł. – To może spróbujesz, jak wsiądziemy do auta? Wykorzystałem wszystkie kupony benzynowe, żeby móc cię zawieźć do domu.

– Do domu... – szepnęła Connie; to proste słowo zawierało wszystko, za czym tak bardzo tęskniła od półtora roku.

Lawrence jeszcze raz uścisnął ją mocno, tak jakby czytał w jej myślach. Potem wziął torbę Connie i wsunął sobie jej rękę pod ramię.

– Tak, moja ukochana. – Przytulił ją. – Zabieram cię do domu.

•••

Trzy miesiące później Connie dostała list z sekcji F. Wzywano ją do Londynu na spotkanie z pułkownikiem Maurice'em Buckmasterem.

Kiedy dotarła do jego biura na Baker Street, powitał ją z radością i serdecznie uściskał jej dłoń.

– Constance Chapelle, niedoszła agentka. Siadaj, moja droga, siadaj.

Connie zrobiła, jak kazał, a on, jak zwykle, przysiadł na brzegu biurka.

– I jak tam, Constance, dobrze być z powrotem w kraju?

– Tak, panie pułkowniku, cudownie – odpowiedziała z przekonaniem.

– No, skoro już tu jesteś, to informuję cię oficjalnie, że zostajesz zdemobilizowana.

– Tak jest.

– Przepraszam, że musieliśmy cię porzucić jak gorący kartofel, kiedy dotarłaś do Francji. Niestety, przypadkiem zapukałaś do drzwi jednego z najcenniejszych i najbardziej wpływowych członków francuskiego ruchu oporu pod dowództwem de Gaulle’a. Rozkazy szły z samej góry. Nie mogli ryzykować, że Bohater będzie spalony. Niestety. Nic nie dało się zrobić, biorąc pod uwagę okoliczności. W każdym razie cieszę się, że wróciłaś bezpiecznie do kraju.

– Dziękuję.

– Z czterdziestu dziewcząt, które tam pojechały, czternaście, niestety, nie wróciło. Jedną z nich była twoja przyjaciółka Venetia. – Buckmaster westchnął.

– Wiem – powiedziała ze smutkiem Connie.

– Ale tak naprawdę trzeba wam wszystkim pogratulować, że aż tyle z was przetrwało. Spodziewałem się większych strat – dodał. – Strasznie mi żal Venetii. Kiedy wyjeżdżała do Francji, wszyscy martwiliśmy się, jak sobie da radę z tym swoim nonszalanckim podejściem. A okazała się jedną z naszych najlepszych i najdzielniejszych agentek. W tej chwili trwa proces o przyznanie jej pośmiertnie odznaczenia za bohaterstwo.

– Cieszę się, panie pułkowniku. Nikt bardziej sobie na nie nie zasłużył niż ona.

– Na szczęście Francja jest już wreszcie wolna. A SOE odegrało istotną rolę w zwycięstwie. Szkoda, że nie miałaś możliwości bardziej się w to zaangażować, Connie. Pod skrzydłami de la Martinièresów pewnie jadałaś lepiej ode mnie. – Uśmiechnął się. – Słyszałem, że na koniec mieszkałaś w ich pięknym zamku na południu Francji.

– Tak, ale...

Connie urwała. W pociągu z Yorku zastanawiała się, czy powinna opowiedzieć mu, jak naprawdę wyglądało jej życie we Francji. I co musiała poświęcić. Ale

Venetia, Sophia i wielu innych zginęło, a ona przetrwała, żeby żyć dalej, bez względu na blizny, jakie nosi.

– Tak, Constance?

– Nic, nic, panie pułkowniku.

– W takim razie pozostaje mi tylko pogratulować ci bezpiecznego powrotu do domu. I dziękuję w imieniu brytyjskiego rządu za gotowość narażania życia dla dobra ojczyzny.

Buckmaster wstał z biurka i uścisnął jej dłoń.

– Chyba miałaś szczęście, dla ciebie ta wojna była cicha.

– Tak, panie pułkowniku – odparła Connie, wstając i ruszając do drzwi. – To była dla mnie cicha wojna.

Gassin, południowa Francja, 1999 rok

Jean wstał i poszedł do kuchni po butelkę armaniaku i trzy kieliszki. Emilie patrzyła na Jacques'a. Wydmuchał nos i otarł łzy. Wiele ich wylał, opowiadając tę historię. Starła się zebrać myśli... nasuwało się tyle pytań. Ale tylko na jedno potrzebowała natychmiastowej odpowiedzi.

– Wszystko w porządku, Emilie? – zapytał Jean, podając kieliszek i kładąc jej łagodnie dłoń na ramieniu.

– Tak.

– Tato, trochę armaniaku? – zapytał.

Jacques skinął, że owszem.

Emilie wzięła spory łyk dla odwagi, by zadać najbardziej palące pytanie.

– Jacques, to co się stało z dzieckiem Sophii i Frederika?

Jacques milczał, wpatrzony w przestrzeń gdzieś za Emilie.

– Rozumiesz, że gdybym mogła odnaleźć Victorię, to już nie byłabym jedynym żyjącym członkiem rodziny de la Martinièresów? – dodała.

Jacques nadal nic nie mówił.

– Emilie, wątpliwe, by udało się odkryć, kto adoptował dziewczynkę – powiedział wreszcie Jean. – Po wojnie było tyle sierot. Panował chaos. Victoria nie miała metryki urodzenia, by dowieść, kim jest, kiedy oddano ją do sierocińca. Prawda, tato?

– Tak.

– Zresztą, chociaż matka dziecka pochodziła z rodu de la Martinièresów – myślał głośno Jean – Victoria nie była dzieckiem z prawego łóża i nie miałyby praw do posiadłości.

– To dla mnie bez znaczenia – powiedziała Emilie. – Wszystko, co się teraz dla mnie liczy, to, że może być jeszcze ktoś, kto jest moim krewnym, w czyich żyłach płynie krew de la Martinièresów. Przecież Victoria mogła później mieć dzieci... Jest tyle znaków zapytania.

Emilie westchnęła.

– Jacques, proszę, powiedz mi jedno: czy Frederik dotrzymał słowa i wrócił tu odnaleźć Sophię?

– Tak. – Jacques wreszcie odzyskał głos. – Rok po ostatecznym zakończeniu wojny pojawił się w domku przy winnicy. To ja musiałem powiadomić go o śmierci Sophii.

– A powiedziałeś mu, że ma córkę? – zapytała Emilie.

Jacques pokręcił głową i przyłożył drżącą dłoń do czoła.

– Nie wiedziałem, co mówić. Skłamałem więc – głos mu się załamał – że dziecko też umarło. Wydawało mi się – ciągnął, z trudem łapiąc oddech z emocji – że tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Jestem pewien, że postąpiłeś słusznie, tato – próbował pocieszyć go Jean. – Jeśli Frederik kochał Sophię, jak mówisz, nie cofnąłby się przed niczym, żeby odszukać dziecko. A jeśli ono zadomowiło się już w nowej rodzinie, która nie miała pojęcia o jego nazistowskich korzeniach, na pewno lepiej, że to nie wyszło na jaw.

– Widzicie, musiałem chronić Victorię. – Jacques przeżegnał się. – Boże, wybac mi tamto straszliwe kłamstwo. Frederik był zdruzgotany. Szalał z rozpaczy.

– Mogę sobie wyobrazić. – Jean aż się wzdrygnął.

– Jacques, gdzie pochowaliście Sophię? – spytała Emilie.

– Na cmentarzu w Gassin – odparł. – Nie miała nagrobka aż do końca wojny. Nie mogliśmy wzbudzać podejrzeń. Nawet po śmierci trzeba ją było ukrywać.

– A wiesz, gdzie jest Frederik, tato? – zapytał Jean. – Może już nie żyje. Musiałby być przynajmniej po osiemdziesiątce?

– Mieszka w Szwajcarii pod przybranym nazwiskiem. Kiedy wreszcie wrócił do Niemiec, okazało się, że rodowa posiadłość znalazła się po zmianie granic w obrębie Polski. Jego rodziców zastrzelili Rosjanie. Jak wielu innych po wojnie musiał zaczynać wszystko od nowa. Ale z czasem dowiadywałem się coraz więcej o tym, że pomagał, komu tylko mógł, uniknąć obozów śmierci, jeszcze przed wojną. I sporo ludzi chciało mu się zrewanżować za to, co dla nich zrobił. Pomogli mu zacząć nowy rozdział. – Jacques zachichotał. – Dalibyście wiarę? Został zegarmistrzem w Bazylei! I świeckim kaznodzieją w czasie wolnym. Nauczył mnie wiele o wybaczeniu, kiedy korespondowaliśmy ze sobą, i jestem dumny, że mogę go nazwać swoim przyjacielem. Często powtarzałem Édouardowi, że powinien skontaktować się z Frederikiem. Nie byli całkiem od siebie różni, obaj robili, co

w ich mocy w tamtych strasznych czasach. Myślałem, że może byliby dla siebie nawzajem pociechą po utracie kobiety, którą obaj kochali. Ale – westchnął – to się nie udało.

– Nadal się do ciebie odzywa? – zapytał Jean.

– Czasami do mnie pisze, ale już ponad rok nie dostałem żadnej wiadomości, więc może jest chory. Jak ja... – Jacques wzruszył ramionami. – Nigdy się nie ożenił. Miłością jego życia była Sophia. I żadna inna nie mogła mu jej zastąpić.

– A mój ojciec... – Dla Emilie to była najbardziej bolesna część tej historii. – Tak trudno mi uwierzyć, że porzucił dziecko swojej siostry. Był taki dobry, kochający... Jak mógł umyć ręce i ją zostawić?

– Emilie, twój ojciec był taki, jak mówisz – powiedział wolno Jacques – ale ubóstwiał i chronił swoją siostrę całe jej życie. Myśl, że jej czystość i niewinność skalał jakiś mężczyzna, a w dodatku niemiecki oficer, to było dla niego zbyt wiele. Jak mógł patrzeć na owoc romansu siostry, stawać twarzą w twarz z żywym dowodem na to, czego się dopuściła? I przypominać sobie, że zawiódł, nie zdołał jej ochronić? Nie wolno ci go obwiniać, Emilie. Nie rozumiesz, jak to było...

– Tato – przerwał mu Jean, widząc, jak bardzo Jacques jest zmęczony – dajmy już temu spokój na dzisiaj. Emilie może wypytać cię o resztę jutro rano. Chodź.

Podał ramię staruszkowi.

Jacques wstał, ale zaraz obrócił się do Emilie, jakby coś mu się przypomniało.

– Édouard poświęcił dla swojego kraju wszystko. Był prawdziwym Francuzem i naprawdę możesz być z niego dumna. Ale wojna zmieniła nas wszystkich, Emilie, zmieniła nas wszystkich.

Emilie siedziała zamyślona, zapatrzona w ogień, kiedy Jean poprowadził ojca na górę.

– Jak tam, w porządku? – zapytał Jean, gdy wrócił na dół.

– Jestem szokowana potwornością tej historii. Muszę to sobie jakoś poukładać w głowie.

– Rzeczywiście. I wszystko to działo się zaledwie pięćdziesiąt lat temu. – Westchnął. – Nie do wiary.

– Twój ojciec wie, gdzie jest dziecko Sophii i Frederika, Jean, jestem tego pewna – dodała Emilie.

– Możliwe – zgodził się Jean. – Ale jeśli wie, to pewnie ma swoje powody, żeby ci o tym nie mówić. I jeśli będzie chciał dochować tajemnicy, musisz to uszanować.

– Wiem. Co było, to było i miejmy nadzieję, że wszyscy wyciągnęliśmy z tego naukę. Świat poszedł na przód.

– Zgoda, choć dla mojego ojca, jak dla wielu innych ludzi w jego wieku, którzy przeżyli tamte straszne czasy, to nie takie proste. My należymy do następnego pokolenia i możemy patrzeć na to logicznie, jak na historię, jednak tym, którzy cierpieli, trudno spojrzeć na to na zimno, z perspektywy lat. A teraz – Jean poklepał jej dłoń – myślę, że pora, żebyśmy jak tata poszli na górę spać.

•••

O dziwo, Emilie usnęła natychmiast, kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki, ale następnego ranka obudziła się wcześniej. Ubrała się i poszła drogą do zamku, żeby pobyć tam chwilę sama, zanim zaczną się prace zaplanowane na ten dzień. Pchnęła drzwi otoczonego murem ogrodu, przeszła trawnikiem i zatrzymała się przy małym drewnianym krzyżu, który, jak powiedział jej Jacques, postawił dla Falka Frederik, kiedy pojawił się tu po wojnie. Zawsze sądziła, że to musi być grób jakiegoś domowego zwierzątka rodziny. Na myśl, że przed nią pod ziemią spoczywają szczątki Falka, przebiegła ją dreszcz. Trudno było wyobrazić sobie, że ten piękny zakątek był świadkiem tak wielkiej nienawiści i tragedii.

Emilie żałowała, że nie ma z nią Sebastiana i Alexa. Szkoda, że nie wysłuchali razem historii swojej odważnej babci, która nie zebrała pochwał za to, co zrobiła, i nie zdecydowała się opowiedzieć o tym wszystkim nawet najbliższemu. Była wyjątkową kobietą, niedocenioną tak jak wiele innych w tamtych czasach. A ci jej dwaj wnukowie, z których jednego zżera zazdrość o drugiego...

Paradoksalna sytuacja w nowo odkrytej przeszłości rodziny powtarzała się w jej obecnym życiu. I Constance też to przeżywała.

Emilie była jedynaczką. Nigdy nie zetknęła się z rywalizacją rodzeństwa. Jednak po wysłuchaniu tego, co opowiadał poprzedniego wieczoru Jacques, zrozumiała, jak potężna to siła.

Potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała, żeby jakoś się w niej przejaśniło, nie była w stanie dać sobie rady z kilkoma tak skomplikowanymi scenariuszami naraz. Ruszyła więc po trawie z powrotem. Myślała o okropnej piwnicy, którą odkryła z Sebastianem tamtego pierwszego popołudnia, gdzie Sophia była praktycznie więźniem, gdzie rodziła, a potem umierała. Jak bardzo musiała

cierpieć jej ciotka, fizycznie i emocjonalnie. Emilie łzy napłynęły do oczu, ale jednocześnie uzmysłowiła sobie, ile szczęścia ma ona sama. Kiedy wyszła z zamku i ruszyła żwirową drogą, podjechał do niej na rowerze Anton, syn Margaux. Zatrzymał się i uśmiechnął nieśmiało.

– Jak się masz, Antonie? – zagadnęła.

– Dziękuję, dobrze, *madame*. *Maman* mówiła, że mam to pani odwieźć. – Anton sięgnął do koszyka i podał jej książkę, którą mu pożyczyła. – Dziękuję, że zgodziła się pani, abym ją sobie przeczytał. Bardzo mi się podobała.

– Jestem pod wrażeniem, że tak szybko ją skończyłeś. Mnie zajęło to kilka miesięcy – przyznała.

– Czytam bardzo prędko, czasem do późnej nocy. Kocham książki – wzruszył ramionami – choć teraz przeczytałem już chyba prawie wszystko, co mają ciekawego w tutejszej bibliotece.

– No to, kiedy książki z zamku wrócą na miejsce, musisz przyjść i znów sobie coś wybrać. Wątpię, żebyś kiedykolwiek mógł wyczerpać tutejsze zbiory – powiedziała z uśmiechem.

– Dziękuję, *madame* – odpowiedział ucieszony.

– Jak się ma mama? – spytała Emilie.

– Przesyła pozdrowienia. Prosi, żeby pani do niej zadzwoniła, jeśli tylko czegoś pani potrzeba. Myślę, że będzie spokojniejsza, kiedy wszystko znów wróci do normy.

– Wszyscy będziemy spokojniejsi. Do widzenia, Antonie.

– Do widzenia, *madame* Emilie.

Emilie wróciła do domu przy winnicy i zaparzyła sobie kawę. Błąkając się, zeszła do piwnic i zobaczyła, że Jacques siedzi na swoim stałym miejscu. Pakował butelki. Jean pracował nieco dalej, przy biurku. Żeby im nie przeszkadzać, poszła z kawą do ogrodu. Nie chciała zbyt mocno naciskać Jacques'a, by powiedział jej, czy orientuje się, gdzie trafiło adoptowane dziecko, ale strasznie chciała to wiedzieć. A Frederik, ojciec dziecka i źródło natchnienia pięknych wierszy miłosnych Sophii... Jacques mówił, że prawdopodobnie jeszcze żyje...

Wpadła na pomysł, który wyjawiała Jeanowi i Jacquesowi podczas lunchu.

– Czemu nie? – zgodził się Jean. – A co ty, tato, myślisz o tym, żeby Emilie pojechała do Szwajcarii spotkać się z Frederikiem?

– No nie wiem. – Jacques wydawał się zakłopotany.

– Przecież to nie zaszkodzi, co, tato? – zapytał Jean. – Jeśli Emilie przekaże Frederikowi wiersze, to przynajmniej będzie miał pamiątkę, dowód, jak bardzo kochała go Sophia. Może to będzie dla niego jakieś pocieszenie.

– Dałbyś mi jego adres, Jacques? – poprosiła.

– Zobaczę, czy uda się mi go znaleźć, Emilie. – Jacques nadal nie był przekonany. – Frederik, oczywiście, może już nie żyć.

– Wiem, ale przynajmniej mogłabym do niego napisać i sprawdzić.

– Powiesz mu, że skłamałem, mówiąc mu o śmierci jego córki tyle lat temu?

– zapytał z wahaniem Jacques.

Emilie spojrzała niepewnie na Jeana, szukając podpowiedzi.

– Tato, jeżeli Frederik jest taki, jak mówiłeś, to zrozumie, dlaczego nie chciałeś zdradzić mu, że jego córka żyje. Chroniłeś dziecko.

– I zaakceptuje, że odmówiłem mu prawa poznania córki przez całe jego życie?

– mruknął Jacques.

– Tak – powiedział Jean. – Skoro tego wymagało dobro dziecka. Tato, jeśli wiesz, kim ona teraz jest i gdzie, to chyba nadszedł czas to wyjawić. Emilie ma prawo wiedzieć. To w końcu jej rodzina.

– Nie! – Jacques potrząsnął głową. – Jean, ty nie rozumiesz... Nie rozumiesz...

Ja...

– Jacques – Emilie położyła dłoń na jego rękę – proszę, nie zadręczaj się. Skoro czujesz, że w żadnym wypadku nie możesz, to na pewno masz ważne powody. Powiedz mi tylko jedno: czy wiesz, gdzie ona jest.

Jacques zawahał się, na jego twarzy malowała się bolesna rozterka.

– Tak! Wiem! – przyznał w końcu. – No już! Powiedziałem ci. Złamałem przysięgę daną sobie przed laty.

Znowu potrząsnął głową w rozpacz.

– Tato, to było dawno temu – zauważył Jean. – Nikt teraz nie będzie osądzał córki Sophii. Nie narazisz jej na żadne niebezpieczeństwo.

– Przestań! Dość tego! – Jacques uderzył pięścią w stół, a potem wstał i złapał swoją łaskę. – Nic nie rozumiecie, muszę pomyśleć, muszę się zastanowić.

Jean i Emilie patrzyli, jak chwiejnym krokiem pospiesznie wychodzi z domu.

– Nie powinniśmy byli go naciskać, Jean – powiedziała Emilie z poczuciem winy. – Jest bardzo zdenerwowany.

– A może gdyby wyjawił sekret, byłoby mu lżej? Nosił go sam jeden wystarczająco długo – zauważył Jean. – Ale teraz muszę wracać do pracy.

Znajdziesz sobie coś ciekawego do roboty po południu?

– Oczywiście – zapewniła. – Wracaj do piwnic, a ja tu trochę ogarnę.

Kiedy Jean wyszedł, pozbierała ze stołu i umyła naczynia, a potem wzięła swój telefon komórkowy. Zobaczyła, że ma kilka nieodebranych połączeń od Sebastiana, ale teraz jej kolej, żeby dać mu trochę poczekać na odpowiedź. Wczorajsza historia wywarła na niej silne wrażenie i jej niesmak dla agresywnego zachowania Sebastiana wobec brata przybierał na sile, a nie malał.

Chciała się trochę przewietrzyć, poszła więc na spacer wśród winnic. W głowie się jej kręciło od tego wszystkiego. Nagle uderzyła ją pewna myśl i Emilie stanęła jak wryta, starając się to przeanalizować...

Jacques mówił, jak bardzo Constance była załamana, że musi wyrzec się dziecka, którym opiekowała się od jego urodzenia. Emilie dobrze rozumiała, dlaczego nie wzięła Victorii ze sobą do Anglii. W czasach, kiedy nie było testów genetycznych, jej mąż zawsze miałby cień wątpliwości, bez względu na to, ile razy Constance zapewniałaby go, że Victoria to nie jej dziecko.

Victoria...

Emilie siadła nagle na ziemi między rzędami winorośli. A co jeśli Constance po powrocie do Yorkshire opowiedziała mężowi o dziecku w sierocińcu? I co jeśli Lawrence, widząc jej rozpacz, zgodził się, żeby pojechali do Francji i sami ją adoptowali?

Była pewna, że Sebastian raz wspomniał imię matki... Starła się je sobie przypomnieć, ale nie mogła. Wyjęła więc z kieszeni dzinsów komórkę i zastanowiła się chwilę, do którego z braci zatelefonować, by to sprawdzić.

Najpierw próbowała dzwonić do męża, jednak od razu włączyła się poczta głosowa. Wobec tego wystukała numer Alexa. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Alex? – rzuciła. – Tu Emilie.

– Emilie! Miło cię słyszeć, jak się masz? – zapytał.

– Dziękuję. – Emilie chciała od razu przejść do rzeczy. – Alex, jak miała na imię twoja matka?

– Victoria. A bo co?

Zszokowana Emilie zakryła dłonią usta.

– To... długa historia, Alex. Obiecuję ci to wyjaśnić, kiedy się zobaczymy. Dziękuję ci bardzo, do widzenia.

Przerwała połączenie. Siedziała wśród krzewów i starała się przetrwać nową informację.

Victoria to matka Sebastiana i Alexa.

Z czego wynika, że Emilie jest obecnie żoną swojego najbliższego kuzyna, którego matka została wykluczona z rodziny...

– Nie!!! – krzyknęła z rozpaczą w powietrze, w którym nie było najbliższego powiewu wiatru. Położyła się, opierając głowę o twardą, kamienistą ziemię, i starała się myśleć racjonalnie.

A jeśli Constance, tuż przed śmiercią, powiedziała Sebastianowi, że jego matka, Victoria, była adoptowana? I że tak naprawdę należy do rodziny de la Martinièresów? Wspominała mu też o książce o francuskich owocach i wierszach pisanych przez Sopię – najprawdopodobniej jego babkę. Czy zrobiła to, żeby bliźniacy mieli w ręku dowód, który pomoże im domagać się spadku?

Sebastian mógł zrobić rozeznanie na temat rodziny de la Martinièresów. A kiedy przeczytał o śmierci jej matki, uznał, że powinien coś odziedziczyć.

Ale jak zauważył Jacques, wyegzekwowanie tego wymagałoby długiej i wyczerpującej walki po sądach, bo nie jest potomkiem z prawego łóża. Czy nie o wiele prościej było ożenić się z prawowitą spadkobierczynią? I w pewnym momencie namówić ją do przepisania zamku i konta bankowego na nich oboje?

Przebiegł ją dreszcz, była przerażona nie tyle nawet dwulicowością Sebastiana, ile własnym chłodnym praktycznym podejściem do tej sprawy. Wszystko pasowało, nie miała jednak dowodu, że jej domysły są prawdziwe. Poza tym, czy Sebastian poślubiłby świadomie kuzynkę?

Emilie leżała tak, zastanawiając się nad własną naiwnością. Nawet jeżeli istnieje inne wyjaśnienie, a ona uroiła sobie jakiś makiaweliczny scenariusz, który nie przyszedł do głowy Sebastianowi, to co ją, na Boga, opętało, że za niego wyszła, tak niewiele o nim wiedząc?

Może, westchnęła, to proste – okazał jej uczucie i wsparcie, kiedy tak bardzo tego potrzebowała. A Sebastian, którego znała we Francji, był tak kochający, czuły i pomocny jak nikt. Czy to wszystko tylko po to, żeby ją uwieść?

Emilie usiadła.

– O Boże, o Boże... – Potrząsała głową w rozpacz.

Nawet jeśli myli się co do intencji Sebastiana, to jest potwornie nieszczęśliwa. Już ani trochę nie ufała mężowi.

Skrajnie wyczerpana i wstrząśnięta podniosła się z ziemi i ruszyła z powrotem do domu. Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Musi ubłagać Jacques'a, by powiedział jej, czy ma rację.

– Gdzie ty się podziewałaś, Emilie? Już prawie ciemno.

Jean był w kuchni, szykował kolację.

– Musiałam się przejść i pomyśleć – odparła.

– Jesteś strasznie błada, Emilie – zauważył z niepokojem w głosie.

– Muszę jak najszybciej porozmawiać z twoim ojcem – powiedziała.

– Masz, napij się. – Jean podał jej kieliszek wina. – Obawiam się, że ojciec zamknął się u siebie w pokoju. Prosił, żeby mu nie przeszkadzać. Nie chce się dziś wieczór z tobą widzieć, Emilie. Proszę, zrozum, jakie to dla niego trudne. Nalegasz, by zdradził coś, co trzyma w tajemnicy od ponad pięćdziesięciu lat. Potrzebuje czasu do namysłu. Bądź cierpliwa.

– Ale ty nie pojmujesz... Ja muszę wiedzieć, zanim wrócę do domu. Muszę!

Jean czuł, jak bardzo jest spięta i zrozpaczona.

– Dlaczego, Emilie? Dlaczego to, co tata może mieć ci do powiedzenia, jest teraz dla ciebie tak ważne?

– Bo... bo jest... Och, Jean, proszę, zapytaj go, czy mogłabym do niego zajrzeć? – błagała.

– Emilie, spróbuj się uspokoić. Znamy się tyle lat. Może zaufasz mi i powiesz, co cię trapi? Chodź, siądźmy. – Jean poprowadził ją do pokoju i popchnął lekko na fotel.

– Och, Jean. – Emilie ukryła twarz w dłoniach. – Ja chyba naprawdę wariuję.

– Wątpię. – Uśmiechnął się. – Zawsze byłaś najbardziej trzeźwo myślącą kobietą, jaką znałem. No to zamieniam się w słuch – zachęcił.

Emilie wzięła głęboki wdech i zaczęła od pierwszej chwili, kiedy spotkała Sebastiana w Gassin. Opowiedziała wszystko o czasach ich narzeczeństwa i o niezrozumiałym ostatnio zachowaniu wobec męża. A potem o jego relacjach z bratem i dziwnej atmosferze w Yorkshire. I wreszcie, kiedy postawił przed nią pyszną potrawkę z królika, a ona pochłonęła ją, nie przestając mówić, zdradziła Jeanowi podejrzenie, że Victoria jest matką Alexa i Sebastiana.

– A jeśli Sebastian ożenił się ze mną, bo uznał, że to najprostsza droga do tego, co jak sądzi, i tak mu się należy? – spytała.

– Emilie, nie wyciągaj zaraz pochopnych wniosków – poradził Jean. – Nie mamy żadnych dowodów, poza imieniem, żeby uznać to za prawdę.

– Czyli oszalałam, że myślę tak o swoim mężu? – spytała ze smutkiem.

– No, wiemy już, że pewnie Sebastian nie pojawił się tu przypadkiem, choć mówił ci, że był w okolicy w interesach – zgodził się Jean. – Przecież od razu

wspominał o związkach swojej babci z twoją rodziną. I, tak, przyznam, imię jego matki „Victoria” nasuwa przypuszczenie, że twoje podejrzenia są uzasadnione. A jednak – ciągnął – czy są tu jakieś więzy krwi, czy nie... Mogę być z tobą zupełnie szczerzy?

– No, pewnie. Koniecznie – zachęciła go Emilie.

– Mówiąc wprost, nie o to w tym wszystkim chodzi. Bez względu na to, czy zeniąc się z tobą, Sebastian miał jakiś ukryty cel, czy nie, jesteś nieszczęśliwa. A twój mąż nie wydaje się osobą – Jean wzruszył ramionami – na której można polegać.

– Ale może, jak twierdzi Alex, Sebastian tylko wobec niego zachowuje się tak okropnie – zaoponowała Emilie.

– Według mnie jest zbyt łagodny. Nie chce psuć twoich relacji z mężem. Z tego, co mówisz, ten Alex to bardzo rozsądny człowiek. Może wybrałaś nie tego brata, co trzeba? – zapytał z figlarnym błyskiem w oku.

– Alex jest wyjątkowo inteligentny, to prawda – przyznała zażenowana.

– Emilie, rozumiem. – Skinął głową znów poważny. – Wyszłaś za niego, dokonałaś wyboru i chcesz, żeby to jakoś funkcjonowało. Oczywiście teraz, kiedy wrócisz do domu, musisz porozmawiać z nim o wszystkich swoich obawach.

– Ale on będzie kłamał! Z wszystkiego się wytłumaczy.

– W takim razie – podsumował ze smutkiem Jean – czy nie odpowiedziałaś sobie sama na swoje pytanie? Emilie, jeśli czujesz, że nigdy nie wydobędziesz prawdy ze swojego męża, jak możesz mieć nadzieję na udany związek?

Emilie siedziała w milczeniu. Wiedziała, że Jean ma rację.

– Jesteśmy tak krótko po ślubie, Jean. Przecież powinnam spróbować dać nam szansę? Nie mogę tak po prostu tego skreślić.

– No tak, zgoda. Zwykle kierujesz się głową, nie sercem. Po raz pierwszy w życiu dałaś się ponieść uczuciom, ale nie wolno ci siebie za to karać. Może wszystko się ułoży. Jeżeli to od niego dowiesz się, jak było naprawdę.

– Czułabym się lepiej, gdybym najpierw porozmawiała z twoim ojcem. – Westchnęła – Skoro tak bardzo nie chce nam nic powiedzieć, to pewnie prawda mogłaby przewrócić komuś życie do góry nogami.

– Obiecuję, że jutro wstawię się za tobą u taty – powiedział Jean. – Jeśli spróbujesz się trochę uspokoić.

– Jesteś tak bardzo żyty z ojcem – zauważyła z nostalgią. – To takie rzadkie i piękne.

– Co niezwyklego w tym, że człowiek opiekuje się kimś, kto go wychował, stawiał jego dobro na pierwszym miejscu, a teraz sam wymaga pomocy? Tak jak ty, jestem późnym dzieckiem swojego ojca, a matka umarła, kiedy byłem mały – wyjaśnił Jean. – Wychowywali mnie starsi rodzice i chyba zaszczepili mi wartości poprzedniego pokolenia. Bardziej niż mojego, które, jak mi się zdaje, trochę się pogubiło.

– To dziwne, że obaj nasi ojcowie zdecydowali się ożenić tak późno – zadumała się Emilie. – Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z ich doświadczeniami z czasów wojny?

– Być może – przyznał Jean. – Obaj dobrze poznali ciemniejszą stronę ludzkiej natury. Jestem pewien, że potrzebowali wielu lat, by odbudować w sobie wiarę w miłość. A teraz – ziewnął – późno już, pora spać.

– Tak.

Wstali i pocałowali się na dobranoc.

– Dziękuję, Jean. Nie masz pojęcia, jak bardzo cenię sobie twoje rady. I przepraszam, że tak cię zanudzam swoimi problemami – dodała.

– Emilie, wcale mnie nie nudzasz. Jesteśmy prawie rodziną – powiedział łagodnie Jean.

– Tak, Jean, to prawda – zgodziła się Emilie.

• • •

Następnego dnia wstała wcześniej rano. Wiedziała, że ma zaledwie kilka godzin przed wyjazdem do Yorkshire.

Wreszcie doczekała się Jacques'a, który przyszedł do kuchni na śniadanie. Skinął głową Emilie, kiedy podała mu kawę.

– Jak ci się spało? – spytała.

– Wcale nie spałem – powiedział, unosząc filiżankę do ust.

– Widziałeś się rano z Jeanem?

– Tak. Był u mnie. Powiedział, że domyśliłaś się, dlaczego nie chcę ci powiedzieć, kim jest twoja siostra cioteczna.

– Jacques, proszę, błagam cię. Muszę wiedzieć, czy mam rację – naciskała Emilie. – Rozumiesz, dlaczego, prawda?

– Tak. – Popatrzył na nią i nagle zachichotał. – Bystra z ciebie dziewczyna, Emilie. Niezła historia. I rzeczywiście – skinął głową – Constance nadała imię

swojej jedynaczce po dziewczynce, którą musiała tu zostawić.

– Ale... – Emilie patrzyła na niego pytająco, chciała się upewnić – to nie była córka Sophii?

– Nie, Emilie, to nie Constance adoptowała Victorię – powiedział Jacques. – I choć twój mąż, z tego co zdołałem zauważyć po krótkiej znajomości, nie budzi mojego zaufania, mogę ci zaręczyć, że nie ożenił się z tobą, bo sądzi, że jest dziedzicem fortuny de la Martinièresów.

– O dzięk ci, Panie Boże! – Emilie była bliska łez. – Dziękuję, Jacques.

– Cieszę się, że przynajmniej co do tego mogłem cię uspokoić – mruknął, sącząc kawę.

Emilie natychmiast poczuła ulgę, że jej podejrzenia się rozwiały, ale jednocześnie potworne wyrzuty sumienia, że uznała Sebastiana za zdolnego do uknucia takiej intrygi.

– No to powiedz, Jacques, kim jest Victoria?

Jacques zawahał się, wziął kolejny łyk kawy i spojrzał na nią.

– Rozumiem, że bardzo chcesz wiedzieć. Ale, Emilie, to nie twoje życie zostanie przez to postawione na głowie. Tylko jej i jej rodziny. Jeżeli zdecyduję się mówić, to jej pierwszej to powiem, nie tobie. Rozumiesz?

Emilie poczuła, że Jacques zarzuca jej egoizm. Zawstydzona, spuściła oczy i skinęła głową.

– Tak. Przepraszam.

– Nie ma za co, Emilie. Zdaję sobie sprawę, dlaczego chcesz wiedzieć.

Jean wszedł do kuchni i wyczuł napięcie wiszące w powietrzu.

– Ojciec powiedział ci, że twoje podejrzenia są niesłuszne?

– Tak.

– To chyba kamień spadł ci z serca.

– Oczywiście.

Wstała, zażenowana, zawstydzona, że obaj ci mężczyźni widzieli, jak łatwo doszła do wniosku dyskredytującego jej męża.

– Muszę jechać – powiedziała.

Czuła, że powinna pobyć trochę sama. Mogła posiedzieć parę godzin na lotnisku w Nicei i nad wszystkim się zastanowić.

– Wybaczcie mi.

Obaj patrzyli na nią ze współczuciem w oczach, kiedy wychodziła z kuchni, żeby zabrać neseser z sypialni.

– Popeliła błąd, wychodząc za tego człowieka, i wie o tym – szepnęła Jacques. – Może nie jest z de la Martinièresów, jednak miał tu jakiś interes.

– Racja, ale ona wtedy dopiero co straciła matkę, ostatnią osobę ze swojej rodziny. Nic dziwnego, że rzuciła się w jego ramiona – powiedział Jean. – Była taka bezbronna.

– Na szczęście przez ten ostatni rok bardzo dojrzała i jest już mocniejsza. Wiele się nauczyła.

– Tak – przyznał Jean. – Rzeczywiście, jest teraz nawet bardziej wyjątkowa niż przedtem.

Jacques dostrzegł ból w oczach syna.

– Wiem, jak bardzo się o nią martwisz. Ale to mądra dziewczyna, jak ojciec, ma intuicję. Podejmie właściwe decyzje i wróci tu, gdzie jej miejsce.

– Chciałbym mieć tę pewność. – Jean westchnął.

– Ja mam – stwierdził Jacques.

W kuchni pojawiła się Emilie z neseserem. Spięta i blada.

– Jeszcze raz dziękuję za waszą gościnność. Na pewno niedługo znów się zobaczymy.

– Jak wiesz, zawsze znajdzie się u nas dla ciebie miejsce – powiedział Jean.

Wyczuwał jej udrękę i chciał ją podtrzymać na duchu.

– Dziękuję. – Emilie odstawiła neseser. – Jacques, tak mi przykro, że cię tak naciskałam i chciałam wydobyć z ciebie, kim jest dziecko Sophii i Frederika. To przecież twoja decyzja. Przyrzekam, że więcej nie spytam.

Nachyliła się, by ucałować go w oba policzki, a Jacques chwycił ją za rękę, zanim się cofnęła.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Uwierz w siebie, Emilie. I niech cię Bóg prowadzi. Do zobaczenia.

– Przyjadę niedługo znowu, żeby sprawdzić, jak postępują prace w zamku. Do widzenia, Jacques.

Wyszła z kuchni z Jeanem, który zaniósł jej neseser do auta.

– Odzywaj się, Emilie – powiedział, zatraskując bagażnik. – Wiesz, że zawsze tu jesteśmy, gdybyś nas potrzebowała.

– Wiem. – Skinęła głową. – I dziękuję za wszystko.

Jadąc na lotnisko w Nicei, Emilie podjęła decyzję. Nie była w stanie wrócić do Yorkshire i czekać tam samotnie, aż Sebastian pojawi się w domu. Poleciała prosto do Londynu i pójdzie do jego galerii, żeby się z nim spotkać. I poprosi, żeby powiedział jej prawdę.

Stojąc przy kasie i płacąc za bilet do Heathrow, Emilie zastanawiała się, czy powinna uprzedzić Sebastiana o przyjeździe. Ale może lepiej zrobić mu niespodziankę. Wylądować w Londynie wpool do trzeciej, będzie miała mnóstwo czasu, by dotrzeć do galerii przed zamknięciem. Powie Sebastianowi, że się za nim stęskniła i chciała od razu się z nim zobaczyć.

Kiedy wsiadała do samolotu, nadal niepokoiła się zachowaniem męża, ale czuła się lepiej. Przynajmniej przejęła inicjatywę, robi coś, żeby znów stali się sobie bliscy. Musi porozmawiać z nim o jego relacjach z Alexem i odkryć prawdziwą przyczynę, dla której nie chciał mieć przy sobie żony w Londynie.

...

Po wylądowaniu na Heathrow, wsiadła do taksówki i podała kierowcy adres galerii na Fulham Road. Nagle wystraszyła się jednak, że przyjeżdża bez uprzedzenia, wyjęła więc komórkę i próbowała połączyć się z Sebastianem. Usłyszała automatyczną wiadomość, że telefon jest wyłączony.

Dwadzieścia minut później znalazła się przed Arté. Zapłaciła, wylądowała z taksówki багаż i zaglądnęła przez wystawę. Sztuka nowoczesna, jak opisywał Sebastian, bardzo elegancka galeria. Emilie popchnęła drzwi, zadźwięczał dzwoneczek, podeszła do niej jakaś atrakcyjna, smukła blondynka.

– Witam, chce się pani najpierw tylko trochę rozejrzeć?

– Zastałam właściciela? – zapytała Emilie nerwowo.

– Tak. Jest w biurze na zapleczu. Czym mogę służyć?

– Dziękuję. Proszę, niech mu pani powie, że przyszła Emilie de la Martinières i chce się z nim zobaczyć.

– Oczywiście, proszę pani.

Dziewczyna wyszła tylnymi drzwiami, a Emilie przyglądała się wystawionym płótnom. Po paru minutach z zaplecza wynurzył się elegancki pan w średnim wieku.

– Pani de la Martinières, miło mi panią poznać. Słyszałem o sprzedaży Matisse’a w zeszłym roku. Czym mogę służyć?

– Ja... – wyjąkała zdumiona Emilie. – Pan jest właścicielem?

– Tak. Nazywam się Jonathan Maxwell.

Wyciągnął rękę, a ona uściśniła ją słabo. Przypatrywał się jej z zainteresowaniem.

– Widzę, że jest pani zaskoczona. Jakiś problem?

– Może trafiłam pod zły adres – wydukała. – Myślałam, że właścicielem galerii jest Sebastian Carruthers?

– Sebastian? Nie. – Jonathan zaśmiał się. – Co on pani naopowiadał? Sebastian jest marszandem kilku malarzy, których prace od czasu do czasu wystawiam. Ale nie było go u mnie już od paru miesięcy. Chyba skoncentrował się bardziej na zdobywaniu dzieł francuskich artystów dla klientów. Czy to nie on odkrył u pani niesygnowanego Matisse’a?

– Tak. – Emilie poczuła się nieco lepiej, że przynajmniej coś, co mówił Sebastian, okazało się prawdą.

– Co za traf – dodał Jonathan. – Przypuszczam, że chciała się pani skontaktować z Sebastianem?

– Tak.

– Pójdę i przyniosę pani jego numer telefonu – zaproponował. – Mam go w notesie.

– Dziękuję. A nie zna pan też przypadkiem adresu jego biura?

– Biura? To chyba zbyt wiele powiedziane. Pracuje w mieszkaniu, które wynajmuje ze swoją dziewczyną, Bellą. To malarka, jedna z jego podopiecznych. – Jonathan wskazał na wielkie płótno z jaskrawymi makami. – Mam adres. Wysłałam tam czeki Belli, kiedy sprzedam jej obraz. Ale pewnie lepiej byłoby najpierw zadzwonić i się umówić.

Emilie czuła, że nogi się pod nią uginają, teraz jednak nie mogła już się wycofać.

– Jeśli zna pan adres, to na wszelki wypadek poproszę – powiedziała lekko. – Bardzo... podoba mi się obraz Belli. Może ma jeszcze inne. Mogłabym obejrzeć.

– Pracuje w mieszkaniu. To w jednym z tych nabrzeżnych zabudowań przy Tower Bridge. Nie przypomina jakiegś tam facjatyki w Paryżu. Szczęściara... – Jonathan popatrzył na Emilie porozumiewawczo. – Zaraz podam pani adres.

Czując, że chyba za chwilę dostanie ataku paniki, Emilie wzięła wolno kilka głębokich wdechów i czekała na powrót właściciela galerii.

– Proszę – powiedział Jonathan, podając jej kopertę, na której wypisał zamasyście adres i numer telefonu. – Jak mówię, lepiej najpierw zadzwonić, żeby upewnić się, czy są w domu.

– Oczywiście. Dziękuję za pomoc.

– Żaden problem. Proszę, to moja wizytówka. – Jonathan wyciągnął jedną z kieszeni koszuli. – Gdybym w przyszłości mógł się na cokolwiek przydać, to z wielką chęcią. Do widzenia, *madame* de la Martinières.

– Do widzenia. – Emilie odwróciła się, żeby wyjść.

– O, a jeśli zobaczy pani młodego Sebastiana, proszę mu powiedzieć, że wyjaśnię sobie z nim, dlaczego wprowadził panią w błąd – dorzucił Jonathan, unosząc brwi z uśmiechem. – To miły chłopak, ale lubi koloryzować.

– Dobrze. Dziękuję.

Emilie wyszła z galerii i trzęsącymi się rękoma uniosła kopertę, aby odczytać adres, który zapisał jej Jonathan. Zanim pomyślała, co robi, skinęła na taksówkę, podała adres kierowcy i wsiadła. Taksówka ruszyła, a ona czuła, że traci oddech na myśl o tym, dokąd jedzie. Wyjęła papierową torebkę z kieszeni neseseru. Był w niej niedojedzony croissant z lotniska w Nicei. Zaczęła dyskretnie wypuszczać w nią powietrze.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zainteresował się kierowca.

– *Oui*, tak, dziękuję.

– Mój syn miewał ataki paniki – powiedział, popatrując na nią w lusterku. – Oddychaj głęboko, słoneczko, zaraz będzie ci lepiej.

– Dziękuję.

Uprzejmość obcego człowieka sprawiła, że oczy jej się zaszkliły.

– Czymś się zdenerwowałaś, co?

– Tak – powiedziała Emilie. Zszokowana, zrozpaczona nie powstrzymywała już piekących łez, które płynęły jej po policzkach.

– Proszę. – Kierowca podał jej przez okienko opakowanie chusteczek. – Nie martw się, na pewno wszystko się jakoś ułoży, cokolwiek się stało. Taka śliczna dziewczyna jak ty... życie nie jest przecież takie złe, co?

Po czterdziestu strasznych minutach kierowca skręcił w wąską brukowaną uliczkę pomiędzy dwoma wysokimi budynkami.

– Dawniej były tu składy herbaty przywożonej z Indii. Kto by pomyślał, że przerobią je kiedyś na modne mieszkania. Teraz warte są miliony. Obawiam się, że wyszło nam trzydzieści sześć funtów, moja droga – dodał.

Emilie zapłaciła, wzięła bagaż i chwiejnie wysiadła z taksówki. Serce nadal jej waliło. Podeszła do wejścia i zobaczyła, że jest tam domofon z przyciskiem do każdego z mieszkań. Sprawdziła ponownie adres, zmobilizowała resztki sił i zadzwoniła pod numer dziewięć.

– Tak?

– Dzień dobry, czy zastałam Bellę Roseman-Boyd?

– A o co chodzi?

– Byłam w galerii Arté na Fulham Road. Przysłał mnie tu Jonathan, bo chciałam zobaczyć więcej pani prac – kłamała jak z nut.

– Ach tak? – odezwał się głos. – Ciekawe, czemu nie zadzwonił, żeby mnie uprzedzić. Nie spodziewałam się gości.

– Mówiłam mu, że wybiorę się tu od razu, bo... jutro wracam do Francji i chciałam zobaczyć pani prace przed wyjazdem. Proszę, niech się pani z nim skontaktuje, jeśli pani chce. Powie pani, czy to prawda.

Nastąpiła cisza, a Emilie mogła mieć tylko nadzieję, że te wyjaśnienia wystarczą.

– No to niech pani wejdzie.

Zadźwięczał brzęczyk, drzwi się otworzyły. Emilie wsiadła do dużej okratowanej windy i wjechała na trzecie piętro. W korytarzu zobaczyła, że drzwi mieszkania numer dziewięć są już uchylone. Zebrała się na odwagę i zapukała.

– Proszę, próbuję się tylko powycierać z farby! – zawołał kobiecy głos.

Emilie weszła. Znalazła się w wielkim lofcie. Ogromne okna dawały panoramiczny widok na Tamizę. W jednym końcu mieściło się najwyraźniej studio Belli. Resztę zajmowały kanapy i kuchnia.

– Dzień dobry.

W drzwiach stanęła szokująco piękna dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Ślady farby na jej obcisłych jak skóra spłowiałych dzinsach i T-shircie nie przeszkadzały w najmniejszym stopniu docenić jej zgrabnej sylwetki.

– Przepraszam, jak się pani nazywa?

– Emilie. Jest pani sama czy może przeszkadzam? – zapytała, żeby od razu dowiedzieć się, czy jest tu Sebastian.

– Nie, nie, jestem sama – potwierdziła Bella. – Emilie, to bardzo miło, że pofatygowałaś się aż tutaj, żeby zobaczyć moje prace. Zaproponowałabym ci herbatę, ale jestem raczej pewna, że skończyło się nam mleko. I szczerze mówiąc, niewiele też jest do pokazania. Ostatnio miałam sporo prywatnych zamówień.

Uśmiechnęła się, pokazując idealnie białe zęby.

– Kto jest twoim marszandem? – spytała uprzejmie Emilie.

– Sebastian Carruthers, ale wątpię, żeby to nazwisko obilo ci się o uszy. W każdym razie chodź, pooglądaj sobie, co mam.

– Czy mogłabym najpierw skorzystać z łazienki? – zapytała Emilie.

– Oczywiście, drzwi po prawej stronie w korytarzu – powiedziała Bella.

– Dziękuję.

Emilie wyszła i ruszyła korytarzem wedle wskazówek. Było tam troje drzwi. Wszystkie uchylone. Za pierwszymi zobaczyła duże, nieposłane podwójne łóżko. Aż jęknęła na widok stojącego na krześle neseseru Sebastiana i jego ulubionej różowej koszuli na podłodze w stercie ubrań przemieszanych z rzuconą byle jak damską bielizną.

Idąc dalej, zobaczyła, że następny pokój używany jest jako składzik, były tam książki, obrazy i odkurzacz. Resztę niewielkiej przestrzeni zajmowały ubrania wiszące na stojaku. W tej „klitce” na pewno nie ma miejsca na łóżko, pomyślała z goryczą. Zataczając się lekko, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę. Na półce pod lustrem stała kosmetyczka Sebastiana, zawierająca jego przybory do golenia i wodę kolońską. Jego niebieska szczotka do zębów leżała na umywalce.

Emilie usiadła na zamkniętej desce toalety, starała się opanować emocje i pomyśleć logicznie, co teraz robić. Choć instynktownie miała chęć natychmiast opuścić to mieszkanie i uciekać, wiedziała, że musi wykorzystać tę chwilę, aby zebrać jak najwięcej informacji u samego źródła. Jeśli odłoży to do rozmowy z Sebastianem, to może się spodziewać wyłącznie steku kłamstw i uników. Wstała i wcisnęła spłuczkę dla zachowania pozorów, po czym wróciła z łazienki do głównego pokoju.

– Słuchaj! – zawołała Bella. – Minęło południe, zabrakło mleka do herbaty, a w gardle mi zaschło. Napijesz się ze mną wina?

– Pewnie, dziękuję – zgodziła się Emilie.

– Proszę, pochodź sobie po pracowni i oglądaj, co chcesz – powiedziała Bella, idąc w kierunku kuchni.

Emilie posłuchała i na przekór sobie stwierdziła, że Bella jest niezwykle zdolną malarką. Z jej obrazów tchnęła siła, tego nie można się wyuczyć. Była najwyraźniej bardzo utalentowaną młodą kobietą.

– Chodź, posiedź sobie chwilę. – Bella poklepała wygodną skórzaną kanapę. – Maluję od samego rana, miło jest dać trochę nogom odpocząć. Co o tym myślisz?

Wskazała płótno stojące na sztalugach, dynamiczne kłębowisko ogromnych fioletowych irysów.

– Oczywiście, jako autorka jestem strasznie krytyczna i pełna wątpliwości, ale sądzę, że wychodzi nie najgorzej.

– Świetne, bardzo mi się podoba – powiedziała szczerze Emilie, siadając.

– Obawiam się, że tego obrazu nie możesz dostać, bo zamówił go jakiś facet z City, którego poznał Sebastian. Ale na pewno mogę namalować ci coś podobnego, gdybyś chciała. Choć nie wcześniej niż za trzy miesiące, bo, niestety, jestem zavalona robotą.

– Oczywiście, byłabym zainteresowana taką ofertą – zgodziła się Emilie. – Ile sobie liczysz za coś takiego?

– O, tym zajmuje się Sebastian, musisz z nim porozmawiać – zbyła pytanie Bella. – Sądzę, że to zwykle coś między pięcioma a dwudziestoma tysiącami, w zależności od wielkości płótna.

– Szkoda, że musisz komuś płacić za pośrednictwo, skoro siedzę tu teraz i mogłybyśmy dogadać się co do ceny – powiedziała Emilie.

– Pewnie. – Bella skinęła głową. – Marszandzi są jak sępy, żerują na naszym talencie, ale w tym przypadku przynajmniej wszystko „zostaje w rodzinie”. Tak jest lepiej.

– Przepraszam, to przez ten mój kiepski angielski. – Emilie zmusiła się do uśmiechu. – Chcesz powiedzieć, że Sebastian to twój krewny?

– Nie krewny, ale więcej, to dla mnie, jak to mówicie po francusku, *mon amour* – wyjaśniła Bella.

– A, rzeczywiście. – Emilie udała, że sobie przypomina. – Chyba *monsieur* Jonathan wspominał, że to twój chłopak.

– No, to może za dużo powiedziane – Bella zaśmiała się – ale jesteśmy z Sebem od lat. Poznaliśmy się wieki temu, kiedy przyszedł zobaczyć moją wystawę

dypłomową w Saint Martins. Zatrzymuje się u mnie, kiedy jest w Londynie. To luźny związek – dodała. – Może jeszcze trochę wina?

– Czemu nie?

Emilie patrzyła, jak Bella dolewa jej do kieliszka i potem napełnia swój.

– Tak między nami – Bella zniżyła głos – on się ostatnio ożenił i sądziłam, że nasz wygodny układ zostanie zerwany. Jednak najwyraźniej nie. Ale to tak na marginesie – skwitowała, biorąc kolejny łyk wina.

– Nie przeszkadza ci, że jest żonaty? – zapytała Emilie, udając zwykłe zainteresowanie.

– Szczerze mówiąc, moje motto to: życie jest za krótkie, żeby przykuwać jedną osobę do drugiej łańcuchem. Seb i ja tworzymy związek, który świetnie się sprawdza. To nam obojgu pasuje. On zdaje sobie sprawę, że ja też mam innych kochanków. – Wzruszyła ramionami. – Naprawdę nie jestem typem zazdrośnicy. Właściwie dziwię się tylko, że się ożenił. Nie wypytywałam go o szczegóły, to nie w naszym stylu. Nie wiem nawet, jak nazywa się jego żona. Ale domyślałam się, że jest dość bogata. Pojawił się tu kilka tygodni po ślubie i podarował mi piękny wisiorek od Cartiera.

Dłoń Belli instynktownie powędrowała do niesamowitego brylantu na jej łabędziej szyi.

– Odkrył też Matisse'a w domu żony i dobrze zarobił na jego sprzedaży. Kupił sobie nowe porsche. Uwielbia krążyć nim po Londynie. Ma szczęście. – Westchnęła. – Od kiedy go znam, tkwił po uszy w długach. Jest beznadziejny, jeśli chodzi o pieniądze. Cokolwiek ma, wydaje, ale zawsze jakoś spada na cztery łapy.

– Więc nie jesteś zależna od niego finansowo?

– O Boże, nie. – Bella przewróciła oczami. – To dopiero byłaby katastrofa! Jeśli już, to jest wręcz odwrotnie. Na szczęście mam rodziców, których stać na wspieranie mnie i moich ambicji, żeby zostać uznaną malarką. Co, jak na pewno wiesz, jest cholernie trudne. A jednak w ostatnich kilku miesiącach mogłam powiedzieć matce i ojcu, że zarabiam obrazami dosyć, by nie potrzebować ich comiesięcznego czeku. To była chwila prawdziwego triumfu, jak możesz sobie wyobrazić. – Uśmiechnęła się.

– Ach tak.

Emilie czuła, że jest już u kresu wytrzymałości i więcej nie zniesie. Musiała jakoś zakończyć to intymne tête-à-tête.

– Może i ja przyczynię się do twojej niezależności. Bardzo chciałabym coś u ciebie zamówić, Bello. Musisz mnie skontaktować z Sebastianem, żebyśmy uzgodnili cenę. Zobaczysz się z nim niedługo?

– Ma spotkanie z jakimś potencjalnym klientem dziś późnym popołudniem, ale potem wraca do domu. Jeśli zapiszesz mi swój numer, powiem, żeby do ciebie zadzwonił. Wiem, że jutro wieczorem jedzie z powrotem do tej koszmarnej rudery, którą odziedziczył w Yorkshire. I żony. – Bella przewróciła znacząco oczami. – W każdym razie mnie to pasuje, mam weekendy tylko dla siebie. Znajdę jakąś kartkę, żebyś zapisała mi swój numer.

– Dobrze.

– Czy by ci to przeszkadzało, gdybyśmy nie wciągali w to Jonathana Maxwella i galerii? Technicznie rzecz biorąc, skoro nas skontaktował, mógłby też oczekiwać jakiegoś procentu – wyjaśniła Bella. – Nie wspomnę, że tu wpadłaś, jeśli ty też nic nie powiesz, i będziemy mogli zaproponować ci lepszą cenę.

– Pewnie. – Emilie skinęła głową, a Bella poszła do kuchni i zaczęła przetrząsać szuflady w poszukiwaniu kawałka papieru.

– Proszę. – Podała Emilie kartkę.

Emilie zawahała się chwilę, po czym starannie wykaligrafowała swoje imię, nazwisko, numer telefonu i adres we Francji. Położyła kartkę na stole i wstała.

– To było... bardzo interesujące spotkanie. Cieszę się, że mogłam cię poznać, Bello. Wszystkiego dobrego. Jestem pewna, że odniesiesz sukces. Masz talent.

– Dziękuję – powiedziała Bella, odprowadzając Emilie do drzwi. – Mnie też miło było cię poznać. Mam nadzieję, że niedługo znów się spotkamy.

– Tak.

Nagle, pod wpływem jakiegoś impulsu, Emilie położyła dłoń na rękę Belli.

– Myślę, że jesteś dobrym człowiekiem, Bello. Uważaj na siebie.

I z tymi słowami odwróciła się i wyszła.

Była już prawie północ, kiedy dotarła do Blackmoor Hall. Wzięła taksówkę ze stacji w Yorku. Land rover został na parkingu przy lotnisku. Sebastian może pojechać i go sobie odebrać, jeśli zechce. To już nie jej sprawa.

Ucieszyła się, kiedy na rogu domu, w oknie Alexa, zobaczyła zapalone światło. Zamierzała wyjechać z samego rana, a chciała się z nim pożegnać.

Przeszła przez dom i zapukała do drzwi jego mieszkania.

– Wejź, Em! – zawołał. – Późno wracasz. Spóźniłaś się na samolot?

Alex siedział na kanapie. Czytał jakąś książkę.

– Nie. Byłam w Londynie.

Alex przyjrzał się podkrążonym oczom Emilie i wymizerowanej twarzy.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Przyszłam powiedzieć ci, że jutro wyjeżdżam do Francji. Sebastian i ja rozwiziemy się, kiedy tylko zdołam załatwić formalności.

– No tak – szepnęła z westchnieniem. – Z jakiejś szczególnej przyczyny?

– Odwiedziłam dziś w Londynie jego stałą kochankę. I zobaczyłam na własne oczy miejsce, gdzie obecnie sypia mój mąż.

– Rozumiem. Mam przynieść brandy? – zapytał Alex.

– Nie, ja przyniosę.

Emilie pomaszerowała do kuchni i wróciła z butelką i dwoma kieliszkami.

– Wiedziałeś o niej? – spytała, nalewając i podając mu kieliszek.

– Tak.

– I miałeś świadomość, że on kontynuuje ten związek po ślubie ze mną?

– Coś podejrzewałem, kiedy zaczął tak często znikać w Londynie i nie zabierał cię ze sobą, ale nie byłem pewny.

– I nie pomyślałaś, że powinieneś mi powiedzieć, Alexie? Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi! – krzyknęła.

– Emilie, proszę, to nie w porządku! – bronił się zaskoczony atakiem. – Sebastian przedstawiał mnie jako kulę u nogi, kłamcę, który oszukuje i robi

wszystko, żeby go oczernić. Naprawdę sądzisz, że byś mi uwierzyła, gdybym ci powiedział?

– Nie. – Emilie wzięła spory łyk brandy. – Masz rację. Nie dałabym się przekonać. Przepraszam.

Przycisnęła palce do skroni.

– To był stresujący dzień.

– Jesteś mistrzynią w powściągliwym określaniu istoty rzeczy. – Alex uśmiechnęła się cierpko. – Czy Sebastian wie, że złożyłaś wizytę jego dziewczynie?

– Nie włączyłam komórki od wyjazdu z Londynu, więc nie mam pojęcia. – Emilie wzruszyła ramionami.

– Powiedziałaś Belli, kim jesteś?

Popatrzyła na Alexa. Znał to imię. Bella najwyraźniej odgrywała ważną rolę w życiu Sebastiana. Opanowanie, które Emilie narzuciła sobie z takim trudem, mogło lada chwila prysnąć niczym bańka mydlana.

– Nie, mówiłam, że chcę u niej coś zamówić, poprosiła więc, żebym zapisała swoje imię, nazwisko, adres i numer telefonu. Tak zrobiłam. Obiecała, że da te namiary Sebastianowi, kiedy on wróci do... domu.

Mogła się spodziewać różnych reakcji, ale na pewno nie tego, że Alex odrzuci głowę do tyłu i zacznie ryczeć ze śmiechu.

– Och! Fantastycznie, Em! Ale wymyśliłaś! Przepraszam – otarł łzy z oczu – za to niestosowne zachowanie. Mój Boże, to majstersztyk. Cała ty, po cichu, subtelnie, elegancko... coś pięknego. Po prostu pięknie – dodał z podziwem. – Możesz sobie wyobrazić minę Seba, kiedy Bella poda mu tę kartkę z twoim nazwiskiem i numerem telefonu?

– Alex. – Emilie westchnęła. – Nie obchodzi mnie, co on sobie pomyśli. Chcę tylko jak najszybciej opuścić ten dom i wracać do siebie.

Wyraz twarzy Alexa od razu się zmienił.

– Tak, na pewno – powiedział poważnie. – Słuchaj, czy rozumiesz, że od czasu twojego przyjazdu byłem między młotem a kowadłem? Miałem wielką nadzieję, że Seb nareszcie znalazł kogoś, kogo kocha.

– No, jeśli potrafi kogoś kochać poza sobą, to Bellę. Jest piękna i bardzo utalentowana. Gdyby nie to, że jest kochanką mojego męża, naprawdę zastanawiałabym się, czy czegoś u niej nie zamówić.

Emilie zdobyła się na pierwszy niby-uśmiech tego dnia.

– Poznałeś ją?

– Tak. Zanim za niego wyszłaś, przyjeżdżała tu czasem na weekendy.

Alex przyjrzał się jej.

– Mój Boże, Em, jesteś niesamowita. Jak ty potrafisz podchodzić do tego z takim spokojem?

– To bardzo proste. – Wzruszyła ramionami. – Sebastian nie jest już tym mężczyzną, w którym się zakochałam. Uczucie, jakie żywiłam do niego we Francji, umarło.

– To uchylam przed tobą kapelusza, choć może nie do końca ci wierzę. Jesteś... niebywała. I chętnie udusiłbym Seba własnymi rękami za to, że cię tak głupio stracił.

– Dziękuję – wybąkała, unikając jego wzroku. – Mam jedno pytanie, które chciałabym ci zadać, zanim wyjadę.

– To znaczy?

– Po co twój brat się ze mną ożenił? Czego ode mnie chciał? Czego nie mógł dostać od Belli, która mówiła mi, że też pochodzi z bogatej rodziny?

Emilie pokręciła głową.

– Po prostu nie rozumiem.

– Ach, Em... – Alex westchnął. – Rozwiązanie zagadki, jak to bywa w przypadku takich wątpliwości, masz tuż pod nosem.

– Naprawdę?

– Tak, ale pewnie jeszcze się nie zorientowałaś, że o to chodzi.

– Na razie – Emilie zrobiła zęza – widzę swój nos, ale pod nim nic, tylko moje kolana.

– Rzeczywiście – zgodził się. – Pytanie, czy naprawdę chcesz, żebym ci powiedział?

– No pewnie! Jutro wylatuję do Francji. Moje małżeństwo skończone.

– Dobrze. – Pokiwał wolno głową. – Ale od tej chwili nic już nie będzie delikatnie, w białych rękawiczkach.

– W porządku, to mi pasuje – zgodziła się Emilie.

– Dobrze. Chodź, pokażę ci.

•••

– No to zaczynamy. – Alex zapalił światło w małym pokoju, gdzie pracował Sebastian, kiedy był w domu. Podjechał do półki z książkami, poszukał chwilę

i wyjął spod jednej klucz. Przekreślił się na fotelu i otworzył szufladę biurka, na którym stał komputer Sebastiana. Wyciągnął jakąś teczkę i podał Emilie.

– Ekspонат A. Nie zaglądamy do środka, zanim zbiorę wszystkie dowody.

Zatrzymał się przed komputerem brata i włączył go. Wklepał hasło, które zostało zaakceptowane.

– Skąd znasz jego hasło? – spytała.

– Jeśli ktoś stara się maksymalnie utrudnić ci życie, to człowiek szybko uczy się odkrywać takie rzeczy. Zwłaszcza kiedy ma się tak mało rozrywek jak ja – dodał, pisząc coś na klawiaturze. – Poza tym brat jest dla mnie jak otwarta książka. Żeby go rozpracować, nie trzeba być geniuszem.

– Czy to przypadkiem nie „Matisse”? – próbowała zgadnąć Emilie.

– Pudło, Sherlocku. – Uśmiechnęła się do niej. – Problem w tym, że Seb nie stara się zbyt wiele zacierać śladów. Całkowicie polega na swoich talentach kłamcy, wierzy, że zawsze się wyłga. A teraz – sięgnął po kilka kartek z drukarki i podał jej – ekspонат B. I jeszcze jedno – wskazał na portret olejny swojej babki, który wisiał na ścianie – mogłabyś to dla mnie zdjąć?

Emilie zrobiła, jak kazał. Pod spodem był mały sejf.

– Dobrze, jeśli nie zmienił kombinacji, w co wątpię, to jest to data urodzin babci.

Alex sięgnął do pokręteła z cyframi i starannie je nastawił.

– Mam tylko nadzieję, że Seb jeszcze nie zabrał stąd tego, co chcę ci pokazać – powiedział, wkładając rękę do środka.

Szukał czegoś chwilę, po czym z westchnieniem ulgi wyciągnął grubą miękką kopertę i drugą zwyczajną małą białą.

– Eksponaty C i D – oznajmił, zamknął sejf i skinął na Emilie, by powiesiła obraz.

– Sugeruję, żebyśmy wrócili do moich apartamentów, na wypadek gdyby facet gnał autostradą z Londynu, jak to się mówi: ratować swoje małżeństwo lub, raczej, siebie. Poza tym u mnie jest zdecydowanie cieplej.

Alex wyłączył komputer i drukarkę i ruszyli do jego mieszkania. Kiedy tam dotarli, poprosił Emilie, żeby ułożyła cztery eksponaty, które jej dał, na stole, jeden po drugim.

– Dobrze, Em.

Popatrzył na nią uważnie, ze współczuciem.

– Obawiam się, że to może być przykre.

– Przykrości to ja już mam za sobą, Alexie. Chcę tylko wiedzieć, czemu.

– W takim razie, dobrze. Przejrzyj zawartość teczek, nasz pierwszy eksponat.

Emilie otworzyła teczkę i trafiła na swoją twarz i twarz matki patrzące z fotokopii artykułów, jakie ukazały się w różnych francuskich czasopismach donoszących o śmierci Valérie. I obwieszczających, że Emilie jest jedyną spadkobierczynią.

– A teraz otwórz kopertę, która wyjęliśmy z sejfów, i zobacz, co jest w środku. Ostrożnie, to bardzo stare.

Emilie wsunęła dłoń do koperty i wydobyla z niej książkę. Popatrzyła na nią zdumiona.

– To *Historia francuskich owoców*. Słyszałam wczoraj od Jacques'a, że ojciec dał ją Constance na pamiątkę, kiedy wyjeżdżała z zamku i wracała tutaj. To książka, której, jak mówiłeś, nie mogłeś znaleźć w bibliotece.

– Tak – potwierdził Alex. – A teraz bardzo ostrożnie otwórz okładkę i przeczytaj, co jest napisane na pierwszej stronie.

– „Édouard de la Martinières” – przeczytała. – „Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci”. I co?

– Zaczekaj moment – powiedział Alex – muszę wziąć coś jeszcze, żeby ci pokazać.

Wyjechał z pokoju i zaraz wrócił, podając jej kopertę.

– W środku znajdziesz list napisany do mnie przez babcię. Zostawiła go u prawnika tuż przed śmiercią. Najwyraźniej nie wierzyła, że Seb by mi go przekazał. Nic nowego. – Westchnął.

Emilie zaczęła czytać:

Blackmoor Hall, 20 marca 1996 roku

Kochany Alexie,

piszę te słowa w nadziei, że wrócisz kiedyś do Blackmoor Hall, choć pogodziłam się już z myślą, że może nie stanie się to za mojego życia. Mój najdroższy Wnuku, chcę, abyś wiedział, że zrozumiałam już, dlaczego uznałeś swoją ucieczkę stąd za konieczność. I przede wszystkim muszę Cię przeprosić z całego serca za to, że nie zauważyłam i nie reagowałam silniej na to, co się z Tobą działo. Boję się, że Cię zawiodłam i nie obroniłam, kiedy mnie potrzebowałeś. Ale trudno było uwierzyć, że Twój brat, którego też bardzo kocham, może tak metodycznie Cię niszczyć.

Mam nadzieję, Drogi Chłopcze, że potrafisz wybaczyć mi, że kiedykolwiek w Ciebie zwątpiłam. Tyle razy dałam się zwiść Twojemu bratu, którego inteligencja objawia się w zupełnie innych sferach niż Twoja, ale który jest niesamowicie bystry i potrafi tak oszukiwać, że jego talenty można uznać za równe Twoim. Może też jako babka, a potem odgrywająca rolę Waszej matki, czułam się winna, że od pierwszej chwili, kiedy na Ciebie spojrzałam, kochałam Cię bardziej od niego. Byłeś taki uroczy, jak aniołek, serdeczny, a Twój biedny brat pod żadnym względem nie budził takiego zachwyty jak Ty.

Czytałam kiedyś wiersz Larkina, który mówi o tym, że chce, aby jego nowo narodzony chrześniak był „zwyczajny” – obdarzony wystarczająco różnymi zdolnościami, ale w miarę: nie za bardzo i nie za mało. Teraz rozumiem dokładnie, co miał na myśli. Bo Twoje talenty Cię zgubiły. Odbiegam od tematu, wybacz.

Alexie, bardzo się modliłam, żebyś wrócił tu, nim umrę. Bo muszę zdecydować, co robić ze swoim ukochanym Blackmoor Hall. Jak wiesz, należał do rodziny Twojego dziadka od stu pięćdziesięciu lat. Nie mam pojęcia, gdzie jesteś ani ile pieniędzy kosztowałoby odremontowanie domu, więc nie jestem pewna, co począć. I dlatego, Mój Najdroższy Wnuczku, zdecydowałam, że muszę zostawić go Wam obu, w nadziei, że jako współwłaściciele znów zbliżycie się do siebie. Pewnie to pobożne życzenie umierającej starej optymistki i być może skutek okaże się wręcz odwrotny. Mogę tylko modlić się, aby nie było to ciężarem dla żadnego z Was. Jeśli okaże się, że jest inaczej, proszę, sprzedajcie dom, z moim błogosławieństwem.

Zostawiam Ci też książkę. Wiem, jak cenisz stare wydania. Dla mnie ma ona wartość bardziej sentymentalną niż materialną. Dostałam ją dawno temu od przyjaciela, w czasach wojny we Francji. W tej samej kopercie jest zeszyt z wierszami jego siostry, Sophii, która była mi bardzo bliska. Nazwisko dawnego właściciela jest na pierwszej stronie książki, to wystarczy, żebyś – jeśli zechcesz – dowiedział się więcej o tym, co działo się z Twoją babką we Francji podczas wojny. Uznałam, że będę trzymała to w tajemnicy przez całe życie, ale to ciekawa historia i może pozwoli Ci pomyśleć cieplej o kobiecie, która starała się Tobą opiekować, jak mogła, ale która popełniła kilka fatalnych błędów. Książka i wiersze są tam, gdzie zawsze, na trzeciej półce z lewej strony w bibliotece. Możesz je sobie wziąć, jeśli chcesz.

Poza tym zostawiam Ci połowę tego, co mi zostało, w sumie pięćdziesiąt tysięcy. Mogę tylko modlić się, że pewnego dnia, Drogi Alexie, wrócisz do domu i będziesz umiał mi wybaczyć. Bez względu na jego wady, musiałam kochać też Sebastiana. Rozumiesz?

Całuję,

Twoja kochająca babka

Constance

Emilie otarła oczy, stres długiego, traumatycznego dnia wreszcie dał o sobie znać.

– To piękny list.

– Rzeczywiście – powiedział Alex. – Wiesz, Em, napisałem co najmniej trzy, cztery listy do domu z zagranicy i podałem babci swój adres we Włoszech. Mogę tylko przypuszczać, że Sebastian złapał listonosza pierwszy. Rozpoznał mój charakter pisma i zachachmęcił te listy, przez co babcia myślała, że nie chciało mi się nawet dać jej znać, gdzie jestem. Innymi słowy – westchnął – że ona mnie nie obchodzi, że jej nie kocham.

– Już mnie to wcale nie dziwi. To mistrz manipulacji – przyznała Emilie. – Dziękuję, że dałeś mi przeczytać ten list. Ale jaki ma on związek z innymi rzeczami, które mi pokazałeś?

– Proszę, przejrzyj wydruki.

Emilie zaczęła czytać i oczy zrobiły się jej okrągłe ze zdziwienia. Popatrzyła na Alexa, jakby chciała upewnić się, czy dobrze rozumie.

– Jak widzisz, babcia była w wielkim błędzie co do jednego: książka, którą mi zostawiła, ma nie tylko wartość sentymentalną – skomentował, kiedy czytała dalej.

– No, tak. – Skinęła głową.

– Oczywiście, kiedy po powrocie ze szpitala po wypadku dostałem wreszcie jej list i chciałem wziąć książkę z biblioteki, popełniłem straszny błąd. Powiedziałem Sebowi, czego szukam i gdzie to znaleźć. Nie mogłem tam sięgnąć, choć to była tylko trzecia półka – powiedział ze wzruszeniem ramion. – Kiedy Seb mi ją przyniósł, chętnie mu ją pokazałem. W tamtym czasie bardzo chciałem spróbować poprawić nasze relacje, więc gdy spytał, czy może ją sobie pożyczyć na kilka dni do poczytania, zgodziłem się. Potem, za każdym razem, kiedy go o nią prosiłem, mówił, że mi ją zwróci, ale, oczywiście, nie zwracał. A znając Seba,

nabrałem podejrzeń. Znalazłem informacje o tej książce w internecie, co najwyraźniej zrobił i on, i wiedziałem, że jeśli jeszcze jej nie sprzedał, to na pewno schował ją sobie w swoim sejfie. I rzeczywiście była tam.

Alex pokręcił ze smutkiem głową.

– Ale dlaczego jeszcze jej nie sprzedał? – spytała Emilie. – I skoro wiedziałeś, że jest tak cenna, czemu nie kazałeś mu jej sobie oddać?

– Em, może nie popatrzyłaś dokładnie na to, co ci wydrukowałem. Byłem przekonany, że Seb jej nie sprzeda – wyjaśnił Alex. – O swoim bracie wiem na pewno jedno: jest bardzo zachłanny. Nigdy nie poprzestałby na tym, co ma, gdyby wiedział, że może zgarnąć więcej. Przeczytaj mi to na głos. Od początku.

Emilie była ledwie przytomna ze zmęczenia, ale starała się skupić na słowach.

ARCHIWUM RZADKICH KSIĄŻEK

Historia francuskich owoców

Christophe Pierre Beaumont, rok 1756, dwa tomy, prawdopodobnie najświetniejsze i najrzadziej spotykane opracowanie dotyczące gatunków drzew owocowych. Praca została zainspirowana wcześniejszym wydaniem Duchamela *Anatomie de la Poire* z 1730 roku. Ilustracje Guillaume'a Jeana Gardiniera i François Josepha Fortiera. Intencją Beaumonta było promowanie zalet i wartości drzew owocowych. Opisano tu piętnaście rodzajów owoców i wiele gatunków – migdały, morele, berberys, czereśnie, wiśnie, pigwy, figi, truskawki, agrest, jabłka, morwy, gruszki, brzoskwinie, śliwki, winogrona i maliny. Każda kolorowa plansza ilustruje nasiona, liście, kwiaty, owoce i czasami przekrój roślin.

Źródło: Oba tomy najprawdopodobniej znajdują się w kolekcji prywatnej w Gassin, Francja.

Wartość: Około pięciu milionów funtów.

Emilie skończyła czytać i popatrzyła na Alexa.

– Nadal nie rozumiem.

– No, dobrze, powiem ci to wprost. Skontaktowałem się z antykwariuszem rzadkich wydań poleconym przez znajomego w Londynie, tak jak pewnie zrobił to wcześniej Sebastian. Dowiedziałem się, że osobno oba tomy mogą być warte około miliona funtów każdy. Ale razem pięć razy tyle. Rozumiesz teraz, Emilie?

Wreszcie załapała.

– Sebastian szukał pierwszego tomu w bibliotece mojego ojca – stwierdziła sucho.

– Tak.

Na chwilę umilkła. Starala się przetrwać te informacje.

– Teraz przynajmniej wszystko układa się w logiczną całość. To dlatego Sebastian był we Francji kilka tygodni temu. Mój przyjaciel, Jean, który prowadzi winnicę w posiadłości, zastał go w bibliotece przeszukującego półki. Nic dziwnego, że wrócił do Yorkshire w tak złym humorze w tamten weekend. Najwyraźniej nie znalazł pierwszego tomu.

– To przynajmniej coś – powiedział Alex.

– Nareszcie wszystko rozumiem – podsumowała Emilie. – Jedno jest dla mnie zagadką. Dlaczego posunął się aż do tego, żeby się ze mną ożenić.

– Może, skoro nie zdołał znaleźć pierwszego tomu do czasu renowacji zamku i pakowania biblioteki, uznał, że musi zagwarantować sobie dostęp do „całego terenu” – zastanowił się głośno Alex. – Jako twój mąż mógł swobodnie pojawiać się wszędzie i kontynuować poszukiwania. Nikt nie miał prawa kwestionować jego obecności. Małżeństwo z tobą dawało mu wolną rękę.

– Tak. Racja – przyznała Emilie. – A ja bezgranicznie mu ufałam.

– Em, jesteś gotowa otworzyć ostatnią kopertę? – Alex skinął w kierunku stolika. – Przypuszczam, że to może być dla ciebie bardzo przykre.

– Tak, dam radę – odparła spokojnie Emilie, biorąc małą kopertę i rozdzierając ją.

Wewnątrz był nowy klucz do drzwi frontowych zamku. Sebastian poprosił ją kiedyś o zapasowy egzemplarz, a ona dała go mu i nie myślała o tym więcej. Ale w kopercie znajdował się też stary, zardzewiały klucz, ten, który zaginął.

– O Boże – wyszeptała wreszcie i nie była już w stanie opanować łez. – To on włamał się do zamku tamtego dnia! I miał czelność zaraz wrócić... i jeszcze mnie pocieszał! Jak on mógł, Alex, jak on mógł!?

– Mówiłem ci, potrzebowałem dostępu do zamku – odparł Alex. – Boże, Em, tak mi przykro, przepraszam. Ale trzeba też przyznać, że od początku był w tobie bardzo zakochany – dodał szybko, widząc jej ból i za wszelką cenę starając się ją pocieszyć. – Wygłaszał mi peany na twój temat po powrocie z Francji, kiedy cię poznał. Może nie miał tylko złych zamiarów. Może myślał, że to małżeństwo

będzie udane. Ale potem znów dał się złapać na lep Belli, nie zdołał się oprzeć. Przez ostatnie dziesięć lat nigdy nie był w stanie do końca się od niej uwolnić.

– Nie tłumacz go, proszę – ucięła Emilie. – Nie zasługuje na twoje współczucie pod żadnym względem. Pomijając już, co mi zrobił, to moje zasady są takie, że jeśli się kogoś kocha, to w takim związku nie ma miejsca na inne romanse – oświadczyła dobitnie, ocierając oczy wierzchem dłoni.

Nie będzie płakać. Szkoda jej łez.

– Mogę cię zapewnić, że w pełni się z tobą zgadzam – powiedział Alex. – No więc to tak. Boże, Em. Okropnie mi przykro, że to ja musiałem ci to wszystko powiedzieć. Serce mi pęka, że tak cię zmartwiłem. Proszę, nie znenawidź i mnie, dobrze? Jestem wściekły na brata za to, co ci zrobił. Naprawdę.

– Oczywiście, nie znenawidzę cię – odparła, kompletnie wyczerpana. – Sama cię prosiłam, żebyś mi powiedział.

– Naprawdę chciałbym wierzyć, że nie masz do mnie żalu – powiedział zaniepokojony. – A tak przy okazji, sądzę, że powinnaś zatrzymać tę książkę.

Wskazał tom leżący niewinnie na stoliku.

– Zabierz ją ze sobą do zamku, tam, gdzie jej miejsce.

– Ale przecież mój ojciec dał książkę twojej babce, a potem ona zostawiła ją dla ciebie. Jest twoja.

– Masz rację. Normalnie tak by było – zgodził się Alex. – Ale może lepiej niech jedzie z tobą do Francji, żeby nic się z nią nie stało – zasugerował. – A tak z ciekawości, czy wiesz, gdzie jest pierwszy tom? Najwyraźniej nie ma go w bibliotece twojego ojca.

– Nie widziałeś tej biblioteki – powiedziała Emilie. – Jest ogromna. To ponad dwadzieścia tysięcy książek. Sądzę, że Sebastian potrzebowałby więcej niż paru dni, by sprawdzić, czy go tam nie ma.

– Przykro mi, Emilie – stwierdził ze smutkiem Alex – ale on miał chyba o wiele więcej czasu niż parę dni, prawda? Jego ostatnia wyprawa do Francji była tylko kolejną próbą przed wywiezieniem biblioteki do przechowalni. Chciał jeszcze raz sprawdzić, czy nie przeoczył książki. Przedtem spędził z tobą w zamku kilka tygodni.

– No, tak – przyznała.

Wróciła myślami do okresu, kiedy poznała Sebastiana. I przypomniała sobie, jak zobaczyła na półkach wystające nieco książki na temat drzew owocowych po domniemanym włamaniu. On od początku szukał tamtego tomu.

– W każdym razie – pokiwała głową, nie mogąc nadziwić się, że Sebastian okazał się tak dwulicowy, a ona tak naiwna – na szczęście, o ile nam wiadomo, nie znalazł tej książki. Poszukam jej, kiedy księgozbiór wróci na miejsce po renowacji zamku. I przynajmniej nareszcie znam prawdę. Teraz muszę iść.

– Emilie, jesteś niezwykłą kobietą – powiedział Alex z autentycznym podziwem.

– Nie. – Westchnienie Emilie przerodziło się w ziewnięcie. – Nic z tych rzeczy. Jestem tylko pragmatykiem, który dał się zwieść fałszywej miłości. Po raz pierwszy w życiu skoczyłam na głęboką wodę i komuś bezgranicznie zaufałam. Poniosłam klęskę. Poza tym... są rzeczy, których Sebastian o mnie nie wie.

Alex patrzył na nią w milczeniu, niepewny, czy zechce powiedzieć coś więcej.

– Na przykład – odezwała się wreszcie – nie mówiłam mu przed ślubem, że nie możemy mieć dzieci. Albo przynajmniej ja nie mogę.

– No tak – odparł cicho Alex. – Czy Seb kiedykolwiek cię o to pytał?

– Nie. Ale to nie znaczy, że nie powinnam go uprzedzić. Tak byłoby uczciwiej, prawda? Wiedziałam, że trzeba to zrobić, jednak zagłębianie się w sprawy sprzed lat... – próbowała wyjaśnić Emilie. – Nie byłam w stanie.

– Rozumiem. Czy mogę zapytać, skąd ta pewność? I słuchaj, jeśli to zbyt bolesne, by o tym rozmawiać, to dajmy już temu spokój.

Emilie dołała sobie brandy dla odwagi. Czuła, że chce to z siebie wyrzucić.

– Kiedy miałam trzynaście lat – zaczęła z bijącym sercem – ciężko zachorowałam. Ojciec był w zamku, a ja w domu w Paryżu z mamą. Była mocno zajęta życiem towarzyskim. Jedna ze służących powiedziała jej, że jestem w bardzo złym stanie i powinna wezwać lekarza. Rzuciła na mnie okiem, przyłożyła mi dłoń do czoła i stwierdziła, że według niej do rana będę zdrowa. Potem wyszła na kolację. W każdym razie – Emilie wzięła kolejny łyk brandy – w ciągu następnych kilku dni bardzo mi się pogorszyło. Wreszcie matka wezwała lekarza, swojego starego przyjaciela, który stwierdził zatrucie pokarmowe. Dał mi jakieś tabletki i poszedł. Dzień później straciłam przytomność. Mamy nie było, więc to tamta służąca wezwała karetkę. Zabrali mnie do szpitala. Stwierdzono stan zapalny narządów miednicy mniejszej. Trzeba przyznać, że bardzo rzadko coś takiego zdarza się w tak młodym wieku, nie dziwię się więc, że doktor się na tym nie poznał. Niestety, o ile łatwo to leczyć we wczesnym stadium, to jak się tego zaniedba, konsekwencje są bardzo poważne. I w efekcie – westchnęła – powiedziano mi, że nigdy nie będę mogła mieć dzieci.

– Och, Em, to musiało być dla ciebie straszne. – Popatrzył na nią ze współczuciem.

– Alex – spojrzała na niego zszokowana, że nagle zdobyła się na taką szczerość – jesteś jedyną osobą, której się z tego zwierzyłam. Nigdy nie byłam w stanie wypowiedzieć tego na głos. Ja...

Ramiona zaczęły jej drżeć, ukryła twarz w dłoniach i się rozszlochała.

– Em, Emilie... Kochanie... Tak mi przykro, tak mi przykro...

Poczuła, jak obejmuje ją ramieniem i przyciąga do siebie. Wtuliła się w ciepło jego piersi i dalej płakała. Nic nie mówił. Tylko głaskał ją delikatnie po włosach, kiedy szloch cichł, a z nosa jej ciekło.

– Bez względu na to, co mi było, jak moja matka mogła zignorować, że jestem taka chora? Dlaczego nic nie widziała?!

– Nie wiem, Em. Naprawdę nie wiem. Tak mi przykro.

Bez słowa wcisnęła jej w dłoń chusteczkę.

– Przepraszam – zachlipała. – To do mnie niepodobne.

– Oczywiście, podobne – powiedział łagodnie. – Ból jest częścią ciebie i wolno ci o tym mówić, naprawdę. Podzielenie się tym pomaga.

– Kiedy usłyszałam, że nie będę miała dzieci, próbowałam myśleć, że to nie ma wielkiego znaczenia. Ale ma! – Zapłakała. – I coraz bardziej, z upływem każdego roku, uświadamiam sobie, że nie mogę spełnić tej jedynej rzeczy, która, jak sądzę, nadaje sens naszemu życiu!

– Masz absolutną pewność, że tak jest? – zapytał łagodnie.

– Jeśli pytasz, czy cuda dostępne dziś nieplodnym kobietom mogą i mnie pomóc, to odpowiedź brzmi „nie” – ucięła zdecydowanie. – Nie jajczkuję i nie mam na tyle zdrowej macicy, by donosić wszczepiony zarodek.

– Zawsze możesz adoptować dziecko – zasugerował Alex.

– Tak. – Emilie wydmuchała nos. – Masz rację.

– Wspominam o tym, bo sam się nad czymś takim zastanawiałem. Tak się składa, że ja też jestem bezpłodny. Nie chcę wchodzić w szczegóły – dodał Alex z bladym uśmiechem – ale choć „ekwipunek” działa jak należy, to ze względu na tamten wypadek broń nie wypali. Też bardzo bym chciał mieć dzieci. Szczerze mówiąc – zaśmiał się ironicznie – dobrana z nas para, co?

– Rzeczywiście.

Emilie umilkła, ale nadal leżała wtulona w jego ramiona. Było jej tak dobrze, nie miała ochoty się ruszyć. Jednak po chwili usiadła i zwróciła się do niego.

– Zanim wyjadę, a to już zaraz, chciałabym przeprosić cię za to, że czasem ci nie wierzyłam. Jesteś najlepszym i najdzielniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– Najdroższa Em, proszę – zaproponował Alex – chyba to ta brandy uderzyła ci do głowy. Nie zasługuję na takie pochwały.

– Zasługujesz, jak najbardziej. – Popatrzyła mu nagle w oczy. – Jedyne, czego będę żałować, opuszczając Anglię, to ty.

– Boże! Przestań. Zaraz się zarumienię. – Alex uśmiechnął się do niej i pogłaskał ją po policzku. – Jeśli już mamy prawić sobie komplementy i skoro pewnie już się nie zobaczymy, to powiem ci, że gdyby życie inaczej się potoczyło, to... – Westchnął głęboko. – Będę za tobą tęsknił, Em. Naprawdę. A teraz lepiej idź. Już prawie trzecia w nocy. Nie zapomnij książki i daj mi znać, proszę, czy znalazłaś pierwszy tom. Zapiszę ci swój adres e-mailowy. Chciałbym, żebyśmy byli w kontakcie.

– A co powiesz Sebastianowi? – zapytała Emilie, zaniepokojona nagle o los Alexa.

– Jeśli wspomni, że książka, moja książka, gdzieś mu się zapodziała, to będzie tylko coś, co powtarzał mi już od dwóch lat. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. – Co może powiedzieć? Jego własne kłamstwo stało się prawdą. Książka rzeczywiście zniknie.

– A jeśli pomyśli, że to ty ją wzięłaś? I postara się jeszcze bardziej zatruć ci życie?

– Och, Em, nie martw się o mnie. Jak na razie sama masz dość na głowie. Dam sobie radę, słowo.

Alex uśmiechnął się do niej.

– A teraz już cię tu nie ma.

Wstała, zabrała ze stolika książkę, teczkę i wydrukowane strony.

– Nigdy nie zdołam ci się za to wszystko odplacić, Alexie. Uważaj na siebie, proszę.

Pochyliła się, żeby ucałować go w oba policzki. Pod wpływem impulsu objęła go i mocno uściskała.

– *Bonsoir, mon ami.*

– *Adieu, mon amour* – wyszeptał, kiedy patrzył, jak odchodzi.

Emilie poszła do swojej sypialni, ale nawet nie próbowała kłaść się spać. Leżałaby tylko, pewna, że lada chwila wpadnie Sebastian. Zamówiła więc taksówkę o świcie i byle jak powrzucała rzeczy do walizki, a potem siadła na brzegu łóżka, zastanawiając się, czy zostawić mężowi jakiś list. Zdecydowała, że nie. Za to napisała do Alexa, podając mu swój adres e-mailowy, i wsunęła wiadomość pod drzwi.

Kiedy ostatecznie opuszczała ten dom, żałowała jedynie Alexa. Martwiła się o niego. Bardzo możliwe, że Sebastian znowu wyładuje złość na bracie. Ale co mogła poradzić?

Później tego ranka, kiedy samolot gładko wzbijał się w powietrze, zabierając ją daleko od tej strasznej pomyłki, jaką popełniła, Emilie zamknęła oczy i przestała o czymkolwiek myśleć. Gdy wylądowała w Nicei, wynajęła pokój w hotelu blisko lotniska, położyła się do łóżka i zasnęła.

Obudziła się, kiedy zapadał zmrok. Czowała się okropnie – słaba, roztrzęsiona, z głową pulsującą bólem od nadmiaru wypitej poprzedniego wieczoru brandy. Zamówiła hamburgera do pokoju, zdając sobie sprawę, że nie miała nic w ustach od czasu tamtego croissanta poprzedniego ranka. Wmusiła w siebie jedzenie i położyła się znów na łóżku, myśląc nad tym, że teraz jest praktycznie bezdomna. Jej mieszkanie w Paryżu zostało wynajęte do końca czerwca, a w zamku trwa remont, więc to nie była żadna opcja.

Zdecydowała, że zostanie tu jeszcze jedną noc, a rano wybierze się do Gassin. Była pewna, że Jean chętnie przygarnie ją na kilka dni, póki ona nie zdecyduje, gdzie zamieszka. Może wynajmie sobie jakieś lokum w pobliżu. Przynajmniej byłaby pod ręką, żeby doglądać renowacji.

Na tym poprzestała. Za wcześniej było na snucie dalszych planów.

Zastanawiała się, czy Sebastian przyjechał już do domu w Yorkshire. Wiedziała, że musi zacisnąć zęby i jak najprędzej zadzwonić do Gerarda, i poprosić go o dobrego prawnika specjalizującego się w rozwodach. Na szczęście za krótko była mężatką, żeby zacząć zmieniać dokumenty i na razie oficjalnie nie

mieli żadnej wspólnej własności. Emilie pomyślała o pięknym diamencie, jaki Sebastian kupił Belli, zaraz potem gdy przelała na jego konto dwadzieścia tysięcy dolarów, i o porsche, którego nawet nie widziała. Zrobiło się jej niedobrze.

Żałowała, że nie umie podejść do tego tak spokojnie jak Alex, który zaakceptował swoje relacje z bratem, ale jak mówił kiedyś, dobrze jest się czasem zezłościć. To pomaga leczyć rany. I przynajmniej, póki się wścieka, nie czuje bólu, choć jak zgadywała, to może przyjść później. Była zaskoczona, że na razie odczuwa tak niewiele, przecież szalała za Sebastianem na początku ich znajomości. Kompletnie zawrócił jej w głowie. Ale może to nigdy nie była miłość, jaką Constance opisywała Sophii dawno temu w Paryżu. W każdym razie na pewno nie ta trwała: spokojniejsza, bardziej cierpliwa, która pozwala razem przejść wszystkie próby, jakie gotuje nam życie.

Sebastian pojawił się razem z mistralem i porwał ją bez reszty. Ale czy kiedykolwiek czuła się przy nim dość pewnie, żeby być sobą? Zdała sobie sprawę, że w ostatnim roku przez większość czasu starała się, jak mogła, robiła wszystko, by go zadowolić. Była tak wdzięczna za jego obecność w swoim życiu, że przesłaniało jej to pojęcie o tym, co dobre, a co złe. Tyle razy powinna była mu się przeciwstawić, okazać więcej siły, jednak od samego początku to Sebastian rozdawał karty. Zawsze robili to, co chciał, a ona była posłuszna, gotowa się ugiąć, zrobić unik, wierzyć we wszystko, co jej powie.

Nie, pomyślała Emilie, to nie była miłość.

Włączyła telewizor, by przerwać ciszę panującą w pokoju, i zastanawiała się, czy to z powodu brandy powiedziała Alexowi, co jej matka zrobiła – albo czego nie zrobiła – kiedy ona była nastolatką.

Teraz wydawało się to niedorzeczne. Tyle lat zamiatania pod dywan rezultatu braku zainteresowania i opieki ze strony matki. Pozwoliła, by narastał w niej wewnętrzny żal i jak trujący bluszcz zabił jej dobre myśli, serce i ufność do ludzi. Ale w ostatnich tygodniach Alex pokazał jej, że nie ma sensu nienawidzić albo oglądać się w przeszłość. Bo w efekcie jedyna osoba, która cierpi, to ty.

Kochany Alex... jaki on mądry i dobry. Przypomniała sobie, jak czuła się w jego ramionach, kiedy płakała. Pocieszył ją, i to było takie naturalne. I dlaczego potrafiła powiedzieć to wszystko jemu, skoro nigdy nie zdobyła się na coś takiego przy mężu?

Ale zaraz sama się skarciła, żeby się nie zagalopować. Angielski epizod został zamknięty raz na zawsze. Musi spróbować wybaczyć, zapomnieć i żyć dalej.

– Emilie! Dawno cię nie było. – Jean uśmiechnął się do niej serdecznie, kiedy weszła do winnicy.

– Jakoś nie mogłam się powstrzymać i znów przyjechałam – powiedziała z ironią w głosie, a po chwili zauważyła parę innych bystrych oczu wpatrzonych w nią od strony ławy, gdzie zwykle siadywał Jacques. – Witaj, Antonie. – Uśmiechnęła się do chłopca. – Pomagasz tu, co? Chcesz coś zarobić i zbierać na nowe książki?

– Anton pomieszka z nami parę dni, bo jego mama jest w szpitalu – odparł Jean.

– Margaux? Nie wiedziałam, że choruje. To chyba nic poważnego? – zmartwiła się Emilie.

– Nie, jesteśmy pewni, że szybko wyzdrowieje. – Jean ostrzegł ją spojrzeniem, by nie pytała dalej. – Ale na razie staram się nauczyć Antona wszystkiego o winie. Tata siedzi w ogrodzie. Może pójdziesz się z nim przywitać? Dołączę do was za chwilę.

Jacques wyglądał dużo lepiej niż dwa dni wcześniej. Uśmiechnął się i wyciągnął do niej swoją sękatą dłoń.

– Przypuszczałem, że szybko tu wrócisz. Nie pytam czemu, Emilie, ale zawsze chętnie posłucham.

– Dziękuję, Jacques.

Usiadła obok niego przy małym stoliku.

– Powiedz, co się stało Margaux?

Jacques rozejrzał się nerwowo.

– Czy mały jest nadal z Jeanem w winnicy?

– Tak.

– No to, Emilie, prawda jest taka, że ona jest ciężko chora. Dopiero w zeszłym tygodniu zaczęła się skarżyć na bóle brzucha i pleców, choć raczej na pewno od dawna wiedziała, że coś jej dolega. Poszła do lekarza w dniu, w którym wyjechałaś, a on odesłał ją prosto do szpitala. Chłopiec nic nie wie, ale wykryto u niej raka jajników. W bardzo zaawansowanym stadium. Dziś ją operują. – Potrząsnęła głową. – Prognozy są marne.

– Och nie, Jacques! – krzyknęła zrozpaczona Emilie. – Tylko nie Margaux! Była dla mnie jak matka, kiedy przyjechałam tu po śmierci ojca.

- Tak, to bardzo dobra kobieta, nie możemy tracić nadziei.
- Pojadę odwiedzić ją w szpitalu w tych dniach – obiecała Emilie.
- Na pewno się ucieszy. A co u ciebie, Emilie? – Zmierzył ją wzrokiem. – Jakie masz plany?
- W tej chwili naprawdę nie mam pojęcia – przyznała, ze smutkiem kręcąc głową.

•••

Przez następne dni Emilie tylko spała, jadła, chodziła do zamku sprawdzać, jak postępują prace, i wozila Antona do Nicei, żeby zobaczył się z matką. Operacja nie przyniosła poprawy i Margaux była w ciężkim stanie. Emilie ścisnęło się serce, kiedy zostawiała Antona przy jej łóżku – oboje starali się być tacy dzielni ze względu na siebie nawzajem.

Gdy Anton szedł spać – pościelili mu tymczasowo materac w małym pokoju na dole – oni troje rozmawiali o tym, co się z nim stanie, jeśli jego matka nie wyzdrowieje.

- Ojciec Antona nie żyje. Czy chłopiec ma jakichś innych krewnych? – zapytał Jean.

- Chyba jest jakaś ciotka w Grasse – przypomniał sobie Jacques. – Może trzeba się z nią skontaktować.

- Na pewno – zgodził się Jean. – Ale jestem ojcem chrzestnym małego. Czy nie powinniśmy mu zaproponować, żeby zamieszkał z nami?

- Moglibyśmy, na razie, jednak taki dzieciak potrzebuje kobiecej ręki – powiedział Jacques. – A to dom mężczyzn.

- Anton ma prawie trzydzieści lat i jestem przekonany, że będzie miał na ten temat własne zdanie – odparł Jean.

- Skoro rozmawiamy o naszym gospodarstwie – włączyła się Emilie – słyszałam, że niedaleko jest domek do wynajęcia. W winnicy rodziny Bournasse. Pojadę go jutro obejrzeć. Z tego, co powiedziała mi przez telefon pani Bournasse, to idealne miejsce.

- Wiesz, że nie musisz się spieszyć z wyprowadzką – podkreślił Jean.

- Tak, to bardzo miło z waszej strony, ale ja też muszę zacząć planować.

Kiedy Jacques poszedł kłaść się spać, Jean i Emilie posprzątali naczynia po kolacji.

– Czy ojciec coś ci jeszcze mówił? Czy jest gotowy wyjawić tożsamość dziecka Sophii? – spytała.

– Nie. I nie naciskałem go – odpowiedział zdecydowanie Jean. – Czuje się teraz dużo lepiej. Nie chcę go denerwować.

– Jest niesamowity – przyznała Emilie. – Co za ironia losu, w pewnej chwili myślałam już, że to z nim będziemy musieli się pożegnać, a zdaje się, że pierwsza odejdzie Margaux. Byliśmy dziś u niej w szpitalu. Wygląda strasznie. Anton jest taki dzielny.

– To wyjątkowy młody człowiek – zgodził się Jean. – A ponieważ tak wcześnie stracił ojca, jest przez to szczególnie mocno związany z matką. Tata prosił, żeby jutro po południu podwieźć go do Nicei. Chce porozmawiać sam na sam z Margaux. Nie przeszkadzałoby ci, gdyby Anton został z tobą?

– Z przyjemnością zajmę się nim. Może pojechać ze mną zobaczyć domek. Nie myślałam, że to Jacques będzie odwiedzał kogoś umierającego w szpitalu.

Westchnęła.

– Mój ojciec jest jak skrzypiące drzwi, Emilie – stwierdził Jean. – Pewnie przeżyje nas wszystkich.

•••

Emilie i Anton nie potrzebowali więcej jak parę sekund, by stwierdzić, że ten dom to dla niej idealne tymczasowe lokum, póki trwa remont. Dziesięć minut spacerem od zamku, położony wśród cudownych winnic, był ładnie urządzonej w prowansalskim stylu, z piecem na drewno, który zapewni ciepło, kiedy za parę miesięcy nadciągnie zima.

– Są tu jeszcze dwa dodatkowe pokoje! – zawołał Anton, kiedy wychodził z jednego z nich. – Może mógłbym czasem tu u ciebie pomieszkać, gdyby mama... dłużej została w szpitalu.

– No pewnie. – Emilie uśmiechnęła się. – Kiedy tylko zechcesz. To co, podoba się nam? Mam go wynająć?

– Tak! Tu jest nawet internet – odpowiedział z zapałem.

Kiedy cena została uzgodniona z panią Bournasse, Emilie dla uczczenia tej okazji zabrała Antona na lunch do Le Pescadou w Gassin.

Anton siedział, opierając brodę na ręce, zapatrzony w cudowny widok ze wzgórza.

– Mam nadzieję, że nie będę musiał stąd wyjechać – powiedział ze smutkiem. – Mieszkałem w Gassin całe życie i jest mi tu dobrze.

– A czemu miałbyś wyjechać? – spytała Emilie, kiedy kelner przyniósł dla każdego z nich po świeżo upieczonej pizzy.

Anton spojrział na nią swoimi wielkimi niebieskimi oczami.

– Bo moja matka umiera. A kiedy to się stanie, może będę musiał przenieść się do ciotki i zamieszkać w Grasse.

– Och, Anton. – Emilie wyciągnęła dłoń i ścisnęła lekko jego rękę nad stołem. – Nie trać nadziei, może ona wyzdrowieje.

– Nie, nie wyzdrowieje. Nie jestem głupi, Emilie. Miło, że wszyscy udajecie, ale ja znam prawdę tu. – Anton uderzył piąstką swoją małą pierś. – Nie przepadam za ciotką i kuzynami. Interesuje ich tylko piłka nożna i śmieją się ze mnie, bo lubię czytać i się uczyć.

– Proszę, staraj się na razie o tym nie myśleć. A jeśli zdarzy się najgorsze – Emilie po raz pierwszy przyznała przy nim taką ewentualność – na pewno są i inne rozwiązania.

– Mam nadzieję – odparł cicho.

•••

Kilka dni później Emilie wyprowadziła się od Jeana i Jacques'a do swojego nowego domu. Anton chętnie pomagał jej we wszystkim. Chodził za nią krok w krok, zwłaszcza że Margaux, której jeszcze bardziej się pogorszyło, chciała oszczędzić synowi bólu patrzenia na nią w tym stanie i zasugerowała, żeby przestał odwiedzać ją dzień w dzień w szpitalu. Była tak nafaszerowana morfiną, że prawie nieprzytomna. Teraz wszyscy już wiedzieli, że jej śmierć to tylko kwestia czasu.

– Przeszkadzałoby ci, gdybym tu wpadał do ciebie na rowerze? – zapytał Anton, kiedy podłączała laptopa, żeby sprawdzić, jak działa internet.

– Oczywiście, że nie, Antonie, zaglądam do mnie, gdy tylko zechcesz. – Uśmiechnęła się do niego. – Może zrobimy sobie teraz herbatę?

•••

Później tego wieczoru, kiedy Anton był już bezpiecznie z powrotem u Jeana i Jacques'a, Emilie usiadła przed komputerem i przeczytała e-maile. Bała się, że przyszło coś od Sebastiana, ale nie. Natomiast zobaczyła nieprzeczytany list od Alexa.

Do: edlmartinieres@ornage.fr

Od: aecarruthers@blackhall.co.uk

Najdroższa Em,

mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku i że Francja okazała się balsamem dla Twojej biednej, skołatanej duszy. Nie miej mi za złe, że piszę, ale pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, co się zdarzyło po Twoim wyjeździe. Może przynajmniej trochę się ubawisz.

Sebastian wrócił do Blackmoor Hall kilka godzin po tym, jak w pośpiechu opuściłaś ten dom. Fufał i pufał coś o jakiejś potwornej pomyłce. (Kusiło mnie, żeby wspomnieć nie tylko o zwierzeniach jego kochanki, ale i o tym, że jego ubrania rozrzucone po dzielonej przez niego z nią sypialni mogły wzbudzić w Tobie pewne podejrzenia, ale ucieszy Cię zapewne, że udało mi się pohamować – w ostatniej chwili). Zapytał mnie, gdzie jesteś. Ja, oczywiście, znów udałem, że nie mam o niczym pojęcia, ale powiedziałem, że mówiłaś coś o porannym wyjeździe. Mamrotał, że na pewno wrócisz, jak się tylko trochę uspokoisz, a potem poszedł do głównej części domu. Przez parę godzin był spokój. Nagle jednak usłyszałem wrzask i energiczne kroki w kierunku mojego mieszkania.

Przywdziałem mentalnie swoją kuloodporną kamizelkę, domyślając się już, co się szykuje. Mój brat wpadł do pokoju i domagał się odpowiedzi, kto zaglądał do jego sejfu i ukraść książkę.

– Jaką książkę, kochany braciszku? – pytam.

– Tę, którą chciałem, żebyś mi pożyczył wieki temu – odpowiada.

– Och – mówię – masz na myśli moją książkę? Ale przecież twierdziłeś, że ci się gdzieś zapodziała? Szczerze mówiąc, Seb – ciągnę – zupełnie o niej zapomniałem. – Marszczę brwi. – Więc przez cały ten czas wiedziałeś, gdzie ona jest?

Och, Emilie, wyraz jego twarzy był bezcenny. Został złapany na jednym ze swoich kłamstw!

Zaczął potem (nic nie przesadzam) plądrować moje mieszkanie. Oskarżał mnie, że zabrałem mu książkę. Trzeba przyznać, ma tupet, biorąc pod uwagę, że książka była moją własnością. Potem, po przeszukaniu wszystkich kątów (biedna Jo, sprzątaczką, była bardzo zmartwiona, że narobił takiego bałaganu), spróbował innej sztuczki.

– Słuchaj, Alex – mówi w ten swój irytująco szczerzy sposób, jak zawsze, kiedy chce kogoś wykiwać. – Miałem ci to powiedzieć, kiedy tylko będę miał pewność, ale ostatnio odkryłem, że ta twoja książka jest niesamowicie cenna.

– Naprawdę? – mówię. – Boże, co za niespodzianka!

– Tak, naprawdę niebywale cenna.

– Ja to mam szczęście! Ile? – pytam.

– Około pół miliona funtów – mówi. (Ha!)

Więc gdybym ją przypadkiem miał, to powinienem trzymać w bezpiecznym miejscu, bo – i w tym momencie nachyla się do mnie, jakby chciał mi coś powiedzieć w zaufaniu – prawdopodobnie udałoby mu się zrobić z tego pół miliona okrągły milion!!

– Boże! – powtarzam. – Jak to możliwe?

Na co on wyjaśnia mi, że istnieje drugi tom, a on zrobił pewne rozeznanie. Jest bliski odnalezienia go, a jeśli mu się uda, dwa tomy razem mogą być warte mnóstwo pieniędzy. Gdy zdobędzie tamten tom, to może moglibyśmy razem, jak przykładowe rodzeństwo, jak uczniwi, troszczący się o siebie nawzajem bracia, jakimi jesteśmy, połączyć dwa tomy i podzielić się wygraną?

Ja cały czas poważnie kiwam głową i słucham uważnie. A potem mówię:

– To brzmi cudownie, Seb. Jest tylko jeden mały problem. Ja nie mam tej książki. Nie ukradłem swojej własności i nie mam pojęcia, gdzie ona jest. Ale – pytam (prowokując go trochę) – w takim razie, kto mógł ją sobie wziąć...?

Siedzimy razem i myślimy głęboko przez chwilę. Obserwuję go i kiedy to do niego wreszcie dociera, patrzę na niego, jakbym doszedł do tego samego smutnego wniosku.

– Emilie.

– To musiała być ona – zgadzam się.

Wtedy wstaje i zaczyna krążyć po pokoju, pytając, skąd, u licha, mogła o niej wiedzieć. I że, tak naprawdę, jeśli ona ją nam „ukradła”, to on (i poprawił się zaraz), to ja powinienem natychmiast zgłosić to policji.

Na to ja przypomniałem, że jeśli to naprawdę Ty, bardzo trudno będzie dowieść kradzieży, bo książka jest na pierwszej stronie podpisana przez Twojego ojca.

Kompletnie zbaraniał. Ale po chwili odetchnął z ulgą.

– Ale przecież ty, Alexie, dostałeś list od naszej babki, w którym pisze, że ofiarowuje ci tę książkę.

A co ciekawe, najdroższa Em, to ja, o ile mi wiadomo, nigdy nie pokazywałem bratu listu, który dał mi prawnik babci po moim powrocie do domu.

– Jaki list? – pytam. – Nie pamiętam żadnego listu.

– List, w którym, jak mi mówiłeś, babcia pisała, że ofiarowuje ci tę książkę.

– A, tak – bąkam, drapiąc się w głowę, jakbym coś kojarzył. – Chyba go podarłem.

W tym momencie przerażenie w twarzy mojego brata jest prawie komiczne. Rzucił mi jedno spojrzenie – nie, powiedziałbym raczej, że zabija mnie wzrokiem – i wypada z mojego mieszkania, trzaskając drzwiami.

W tym momencie dochodzę do wniosku, że wściekły Seb jest groźny. Lub – bardziej niebezpieczny niż zwykle. Podjąłem kroki, najdroższa Em, które mogłyby się wydać lekką przesadą, biorąc pod uwagę, że ten e-mail dotyczy zagubionej książki – wezwałem ślusarza. Tego popołudnia stawiał się karnie i uszczelnił moje włazy. Jestem teraz uwięziony wśród zabezpieczeń, jakie zwykle stosuje się wobec Mony Lisy. Mam domofon zarówno na drzwiach zewnętrznych, jak i w domu, plus różnorodne zamki i kłódki na samych drzwiach. To brzmi dramatycznie, ale chcę przynajmniej móc bezpiecznie odpocząć w nocy we własnym łóżku.

Co ciekawe, tego popołudnia Seb wyjechał. To było dobre pod jednym względem, bo mogłem swobodnie instalować zabezpieczenia, ale, niestety: (a) nie zostały one w związku z tym wypróbowane, a ja czuję się jak głupek, że się niepotrzebnie wykosztowałem, (b) martwię się, że on wyruszył do Francji i Cię tam dopadnie.

Najdroższa Em, nie mam pojęcia, co u Ciebie ani gdzie mieszkasz, i pewnie wyolbrzymiam zagrożenie, bo się o Ciebie martwię, ale czy on wie, gdzie przechowywany jest Twój księgozbiór? Lepiej, żeby już nie próbował go przeszukiwać. A domyślałam się, że to on załatwiał miejsce, w które przewieziono zbiory, i jako mąż ma do nich swobodny dostęp, jeśli tylko zechce. Poza tym,

gdyby pojawił się we Francji, żeby się z Tobą zobaczyć, proszę, nie idź na spotkanie sama, dobrze?

Pewnie panikuję, oboje wiemy, że Sebastian nie jest agresywny, z wyjątkiem tego, jak czasem zachowywał się wobec mnie, ale chcę Cię uprzedzić, żebyś się miała na baczności. W końcu chodzi o wielkie pieniądze.

A teraz... przez całą tę szarpaninę z bratem – szczególnie że obecnie jestem tu kompletnie uwięziony – zacząłem myśleć, co byłoby najlepszym rozwiązaniem dla mnie. Może i dlatego, że słuchałem, jak czytałaś mi list babci na głos, doszedłem do pewnych ważnych wniosków. Chętnie podzielę się nimi z Tobą za jakiś czas, ale teraz nie pora na to. Sama masz dość na głowie. A tak przy okazji, oficjalnie na piśmie potwierdzam, że „zwracam Ci” tę książkę. Proszę, jeśli znajdziesz pierwszy tom, rób z jednym i drugim, co zechcesz. Zapewniam Cię, że nie potrzebuję pieniędzy. Na szczęście moje nowe „dzieci”, które zaadoptowałem, sprawują się ostatnio bardzo dobrze.

Mam nadzieję, że odpowiesz na ten list. Po pierwsze, muszę mieć pewność, że do Ciebie dotarł i że ostrzegłem Cię przed Sebastianem, a po drugie, bardzo chciałbym wiedzieć, co u Ciebie.

Po Twoim wyjeździe w domu zrobiło się strasznie pusto.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami,

całuję

Alex

Po przeczytaniu tego e-maila przerażona Emilie wzięła komórkę i wykonała natychmiast dwa telefony. Jeden do firmy zajmującej się magazynami. Zostawiła wiadomość, że się rozwodzi i jej mąż w żadnym wypadku nie może mieć dostępu do żadnych rzeczy z zamku, a zwłaszcza księgozbioru. A drugi do Jeana, którego poprosiła, żeby jeśli pojawi się Sebastian, powiedział, że jej tu nie widział.

– Chyba tyle to już wiem bez uprzedzania – odparł przytomnie Jean.

Potem Emilie napisała do Alexa. Dziękowała ogromnie za ostrzeżenie, przeprosiła, że odzywa się dopiero teraz, i zapewniała, że jak dotąd Sebastian się nie pokazał. Miała nadzieję, że Alex da jej znać o swoich planach na przyszłość. A przy podpisie dodała też, że całuje.

Było już ciemno. Nalała sobie kieliszek wina i spacerowała po domu podenerwowana.

Alex mógł się o nią martwić, ale ona z kolei bardzo niepokoiła się o niego.

A nawet więcej...

Położyła się do łóżka zaraz po kolacji. Nawet nowy materac, dużo bardziej miękki niż te stare z końskiego włosia, na których ostatnio sypiała, nie pomógł jej się zrelaksować.

A jeśli Sebastian wróci do Blackmoor Hall i przedrze się przez zabezpieczenia do mieszkania Alexa?

No nie, opamiętała się. Alex to tylko brat jej byłego męża. Nie ona jest za niego odpowiedzialna.

Ale... Emilie wstała i zaczęła chodzić po małej sypialni, było tu coś więcej. Tęskniła za nim. I tak samo martwiła się o niego, jak on o nią.

Nagle stanęła jak wryta, przypominając sobie sugestię Jeana: „Może wybrałaś nie tego brata, co trzeba”...

Po chwili doszła do wniosku, że jest zmęczona i daje się ponieść emocjom. Wyobraża sobie uczucia, których tak naprawdę nie ma.

Zmusiła się do powrotu do łóżka i zamknęła oczy zdecydowana wreszcie zasnąć.

Dwa dni później zadzwonił Jean.

– Obawiam się, że mam złe wieści. Margaux umarła przed świtem. Nie wiem, co mówić Antonowi. Jest bardzo dzielny, ale...

– Zaraz przyjeżdżam – powiedziała.

...

– Anton poszedł pospacerować w winnicy. Jest sam – poinformował ją Jean, kiedy weszła.

– Mówiłeś mu?

– Tak. Przyjął to spokojnie. Zadzwoniłem do tej ciotki w Grasse, obiecała, że przyjmie go do siebie, ale Anton nie jest zachwycony tą perspektywą.

– Rzeczywiście. Wszyscy musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby mu pomóc. – Westchnęła.

– Jest do ciebie bardzo przywiązany, Emilie – powiedział cicho Jean.

– A ja do niego. Oczywiście przez jakiś czas może mieszkać ze mną, ale...

– Rozumiem. – Skinął głową.

Zakłopotana wstała.

– Pójdę do niego – zdecydowała.

Oddalając się od domu i idąc w kierunku winnic, zadawała sobie pytanie, co oznaczało to „ale”, kiedy przed chwilą mówiła do Jeana. Była bogatą samotną kobietą, z ogromnym domem, i aktualnie miała czas, by poświęcić go osieroconemu dziecku. A w dodatku chłopcu, którego ogromnie polubiła w ostatnich tygodniach. Mało prawdopodobne, by ponownie wyszła za mąż. I, oczywiście, nigdy nie będzie miała własnych dzieci.

Uświadomiła sobie, czym było to „ale” – bała się, bała się odpowiedzialności, wzięcia pod opiekę kogoś, kto by jej potrzebował, kogo dobro musiałyby stawiać zawsze na pierwszym miejscu. Kompletnie inaczej niż jej matka.

Czy byłyby taką samą matką jak ona?

Emilie przerażało, że istnieje taka groźba.

– Ten chłopiec mnie potrzebuje, on mnie potrzebuje...

Czy ona temu poddała?

Oczywiście, pocieszyła się. Jest jak ojciec, wszyscy tak mówią. A Édouard często powtarzał jej, że o wiele przyjemniej jest być komuś potrzebnym, niż kogoś potrzebować.

Emilie zdała sobie nagle sprawę, że jeśli Anton zechce z nią mieszkać, to będzie to wyróżnienie dla niej, nie dla niego.

Szła między rzędami winorośli. Szukała go. Wreszcie dostrzegła. Patrzył ze smutkiem na zamek w oddali. Jego drobna sylwetka zdradzała wewnętrzny ból. Emilie ogarnęła fala macierzyńskich uczuć i decyzja została podjęta. Podeszła do chłopca. Wyciągnęła do niego ręce.

Usłyszał kroki za sobą i odwrócił się, starając się otrzeć łzy.

– Anton, tak strasznie mi przykro.

Objęła go, a po chwili on też się odważył przytulić do niej. Stali tak razem, podtrzymując się nawzajem, a łzy płynęły im po policzkach.

Kiedy przestały mu drgać ramiona, otarła swoją i jego twarz brzegiem swetra.

– Co ja ci mogę powiedzieć, Antonie. Wiem, jak bardzo ją kochałeś.

– Jacques mówił mi rano, że śmierć to część życia. I wiem, że powinienem starać się z tym pogodzić, ale chyba na razie nie potrafię.

– Jacques to bardzo mądry człowiek – przyznała Emilie. – Anton, może nie pora o tym mówić, ale czy chciałbyś, przynajmniej na jakiś czas, pomieszkać u mnie i dotrzymać mi towarzystwa? W moim wynajętym domu jest dość samotnie. Przydałby mi się tam jakiś mężczyzna.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Jesteś pewna?

– Jak najbardziej. Pomyślisz o tym?

– Emilie, nie muszę się zastanawiać! Przrzekam, nie będę przeszkadzał, mogę ci pomóc... robić różne rzeczy – obiecywał uroczyście.

– Tak, mógłbyś mi pomagać. Oboje jesteśmy sierotami, prawda?

– Tak, ale... Może za bardzo mi się to spodoba i nigdy nie będę chciał wyjechać...

– No to dobra wiadomość jest taka – uśmiechnęła się do niego, przyciągnęła go do siebie znowu i pogłaskała po włosach – że przecież nie musisz nigdzie wyjeżdżać.

Do: edlmartinieres@orange.fr

Od: aecarruthers@blackhall.co.uk

Wtorek

Najdroższa Em,

cieszę się, że odpowiedziałaś. Choć nie dlatego, bym przypuszczał, że Sama Wiesz Kto wyruszył do Francji, wymachując pistoletem i domagając się zwrotu mojej cennej książki. Jest na to zbyt tchórzliwy. Pewnie ucieszy cię wiadomość, że ma jeszcze tu wrócić. Mieszkam więc w mojej twierdzy jak Mona Lisa, nasłuchując, kiedy na podjazd nadciągnie z hurkotem jego stary grat. Założę się, że Seb postarał się ograniczyć straty i zadeklarował wieczną miłość Belli. (Przykro mi). W każdym razie, jak możesz sobie wyobrazić, jest tu dość samotnie – to o czymś świadczy, jak człowiek zaczyna tęsknić nawet za tym, żeby od czasu do czasu brat obrzucił go stekiem wyzwisk. I w tym kontekście napięcie czekania na jego ponowne pojawienie się w domu utwierdziło mnie co do planów, o których wspominałem ci w poprzednim e-mailu. Jak pisałem, „moje dzieci” kwitną. Tak bardzo, że sprzedałem je, uzyskując spore wiano. (OCZYWIŚCIE, NIE MÓW TEGO SWOJEMU PRAWIE BYŁEMU MĘŻOWI!) Ale to spora suma, która pozwoli mi żywić się pasztetem z gęsich wątróbek przez resztę życia. A także kupić sobie coś mniej wyizolowanego, gdzie będę mógł mieć do czynienia z innymi członkami mojego gatunku. Obecnie przeglądam ofertę mieszkań na parterze w centrum Yorku, który jest pięknym miastem ze strasznie fajną katedrą.

Może jesteś zaskoczona tą nagłą zmianą zdania, bo mówiłem Ci, że za wszelką cenę chcę tu zostać. Niestety, posiadanie na spółkę tego domu przyniosło jedynie ból. I choć ostatnim życzeniem mojej babki było, abyśmy się pogodzili z Sebastianem, to nie dało się tego zrealizować. I wiem, że jej marzenie nigdy się nie spełni. Więc dla naszego wspólnego dobra zdecydowałem się wreszcie zgodzić na jego żądanie, by sprzedać Blackmoor Hall. Jedno, o czym może jeszcze nie wspominałem: Seb zaciągnął spory dług pod zastaw swojej części domu. Przypuszczam, że bank naciska, aby to spłacił, i dlatego tak mu zależy na tej sprzedaży. Będzie oczywiście zachwycony, kiedy mu powiem. A w sumie myślę, że czas przeciąć dawne więzy i zacząć nowy rozdział.

W tym miejscu muszę Ci powiedzieć coś jeszcze (co, jak wiem, zmartwi Cię, i dlatego do tej pory nie chciałem tego poruszać) – to ja płaciłem za wszystkie udogodnienia w swoim mieszkaniu we wschodnim skrzydle. I ponosiłem koszty własnego utrzymania. Dostałem spore odszkodowanie po rozprawach sądowych z ubezpieczenia kierowcy, który odebrał mi władzę w nogach (ha!). Informuję Cię o tym, bo zależy mi na tym, byś wiedziała, że nie pasożytowałem na bracie. Powinnaś też wiedzieć, że z początku proponowałem odnowienie z odszkodowania całego Blackmoor Hall. Ale kiedy się zorientowałem, że Seb tak strasznie obciążył hipotekę domu, to się wycofałem. Zabawne, od tamtej pory przestał się ze mną przyjaźnić.

W każdym razie, co myślisz o moim planie przeprowadzki? Jestem zdecydowany na osiemdziesiąt procent. Mimo to sądzę, że tak właśnie trzeba zrobić.

Szczerze mówiąc, Em, od Twojego wyjazdu jestem okropnie samotny. A teraz sprzedałem też swoje dzieci, trochę bez sensu. Oczywiście, mogę adoptować jakieś inne...

Jeśli masz chwilę, napisz, co sądzisz – bardzo ucieszył mnie Twój list.

Tęsknię za Tobą,

całuję, całuję

Alex

Emilie nie miała czasu odpowiedzieć, bo razem z Antonem szykowali się do wyjścia na pogrzeb Margaux. Ale nawet kiedy siedziała w pięknym średniowiecznym kościele Świętego Wawrzyńca w Gassin, trzymając mocno za rękę Antona, myślała o e-mailu Alexa.

Tęsknię za Tobą.

Po mszy wielu miejscowych przyszło do domu Jeana i Jacques'a. Spróbowali nowego rocznika wina i pochwalili je.

Kiedy wszyscy goście już wyszli, Emilie zobaczyła, jak Anton stoi sam, kompletnie wyczerpany.

– Może idź na górę i zacznij się pakować? Zaraz pojedziemy do domu – powiedziała łagodnie.

Twarz Antona rozpogodziła się odrobinę.

– Dobrze.

Patrzyła, jak udręczony wspina się na piętro. Czuła, że decyzja, aby przeprowadzić się do niej zaraz po pogrzebie, była dobra. Przynajmniej zajmie się zarządzaniem na nowo po tym tragicznym dniu.

W kuchni pojawił się Jean.

– Emilie, siedzimy w ogrodzie, ojciec pyta, czy nie przyłączyłabyś się do nas, póki Anton jest na gorze.

– Oczywiście – zgodziła się i wyszła z domu za Jeanem.

Jacques siedział w tym samym fotelu, co przez całe popołudnie, przyjmując gości. Emilie widziała, jak bardzo lubi ludzi z okolicy.

– Siadaj, Emilie – powiedział poważnie. – Muszę z tobą porozmawiać. Jean, ty też zostań.

Po jego głosie można było poznać, że musi z nią omówić coś bardzo ważnego.

Jean nalał im wszystkim po kieliszku wina i usiadł obok Emilie.

– Zdecydowałem, że nadszedł moment, by wyjawić ci, kto jest dzieckiem Sophii. Mam nadzieję, że kiedy to powiem, zrozumiesz, dlaczego czekałem z tym aż do tej chwili.

Jacques odchrząknął. Miał schrypnięty głos od rozmawiania przez cały dzień.

– Gdy zawieźliśmy Victorię do przyklasztornego sierocińca, a potem Constance wyjechała do Anglii, błagałem Édouarda, żeby jeszcze raz się zastanowił – zaczął Jacques. – Ale nie chciał o tym słyszeć i, kilka dni później, wyjechał do Paryża. Jednak mnie gnębiły wyrzuty sumienia. Wiedziałem, że zaledwie kilka kilometrów stąd leży w łóżeczku córka Sophii de la Martinières. Niekochana. I nikt jej nie chce.. – Jacques wzruszył ramionami. – Próbowałem tłumaczyć sobie, że to jeszcze jedno przypadkowe dziecko wojny i że nie jestem odpowiedzialny za Victorię, ale nie potrafiłem o niej zapomnieć. Bo widzicie, ja ją pokochałem. Po dwóch tygodniach walki z samym sobą postanowiłem pojechać do sierocińca sprawdzić, czy już ją ktoś adoptował. Jeśli tak, to uznam to za wolę boską i nie będę jej szukać. Ale, oczywiście, nikt jej nie wziął. – Jacques pokręcił głową. – W tym czasie Victoria skończyła już cztery miesiące. Gdy tylko wszedłem do sali z dziećmi, jej oczka się ożywiły. Poznała mnie. Uśmiechnęła się... Emilie, ona uśmiechała się do mnie. – Jacques złapał się za głowę. – I kiedy to zrobiła, wiedziałem już, że nie będę w stanie jej opuścić.

Nie mógł dalej mówić. Siedział w milczeniu, a Jean objął go, starając się pocieszyć.

– Więc – Jacques uniósł nagle głowę – wróciłem do domu i zastanawiałem się, co zrobić. Mogłem ją sam adoptować, ale myślałem, że to nie będzie dobre dla dziecka. Mężczyźni w tamtych czasach nie mieli pojęcia o opiece nad niemowlętami, Victoria potrzebowała kochających matczynych ramion. Głowiłem się, kto w okolicy mógłby ją wziąć, żebym przynajmniej, skoro już nie jestem w stanie sam się nią opiekować, miał szansę czuwać nad tym, jak dorasta. Wreszcie trafiłem na właściwą kobietę. Miała już jedno dziecko. Znałem ją, bo przed wojną jej mąż pracował u mnie podczas winobrania. Poszedłem ją odwiedzić i zorientowałem się, że wciąż czeka na powrót męża. Nie miała od niego żadnych wieści. I ona, i dziecko byli w bardzo trudnej sytuacji. Głodowali, jak wielu innych po wojnie – tłumaczył Jacques. – Ale to była dobra kobieta i po jej dziecku widziałem, że jest troskliwą matką. Spytałem, czy zaadoptowałyby drugie dziecko. Z początku, oczywiście, tak jak się spodziewałem, odrzuciła tę możliwość. Powiedziała, że ledwie jest w stanie wykarmić własną córkę. Zaproponowałem jej więc pewną sumę pieniędzy. Znaczną – pokiwał głową – i zgodziła się.

– Tato, jak mogłeś jej coś dać? – zapytał Jean. – Wiem, jaki byłeś biedny po wojnie.

– Tak. Prawda. Ale... – Jacques zawahał się chwilę i rzucił okiem na Emilie, która widziała, że bardzo trudno mu jej to powiedzieć. – Twój ojciec, Emilie, dał mi coś przed wyjazdem do Paryża, już po powrocie Constance do Anglii. Wetknął mi to do rąk, bez słowa. Może w ten sposób prosił mnie o wybaczenie mu tego, że odmówił uznania dziecka Sophii, i chciał mi jakoś zadośćuczynić. Skontaktowałem się więc z kimś, kto działał na czarnym rynku, który kwitł tu po wojnie. Poprosiłem, żeby wycenił to, co twój ojciec mi ofiarował. W ten sposób zdobyłem pieniądze dla dobrej kobiety, która miała adoptować Victorię.

– A co to było, co dał ci mój ojciec, Jacques? – zapytała cicho Emilie.

– To była książka, książka, która, jak wiedział, ogromnie mi się podobała. Bardzo stara, z cudownymi rycinami. Wiedziałem, że udało mu się zdobyć drugi tom do kompletu. Przysłał go z Paryża przez Armanda, kuriera, by dać nam znać, że uciekł i jest bezpieczny. A potem podarował Constance. Chciał, żeby zabrała go sobie do Anglii. Pamiętasz, mówiłem ci, Emilie?

– Tak – odparła, a przez jej twarz przemknął uśmiech. – Znam tę książkę. To *Historia francuskich owoców*.

– Zgadza się – potwierdził Jacques. – I odkryłem, że ta, którą dostałem, tom pierwszy, to bardzo rzadkie wydanie i bardzo stare. Udało mi się ją sprzedać za sumę, która wystarczyła, żeby zapłacić tamtej kobiecie za przygarnięcie dziecka Sophii. Wybacz mi to, co zrobiłem, Emilie. Nie powinienem był sprzedawać prezentu od twojego ojca. Ale kupiłem za to bezpieczeństwo jego siostrzenicy i jej przyszłość.

Oczy Emilie zamgłyły się od łez, ścisnęło ją w gardle, prawie nie była w stanie mówić.

– Wierz mi, Jacques – powiedziała wreszcie – myślę, że nie mogłeś zrobić z tą książką nic piękniejszego.

– Ile w końcu za nią dostałeś? – zapytał Jean.

– Dziesięć tysięcy franków – odparł Jacques. – Co w tamtych czasach, kiedy tylu ludzi głodowało, było fortuną. Zapłaciłem kobiecie tysiąc franków od razu i powiedziałem jej, że będzie otrzymywać po pięćset franków rocznie do czasu, kiedy dziewczynka skończy szesnaście lat. Nie mogłem ryzykować i dać jej wszystkiego od razu. Chciałem upewnić się, że zasłuży na te pieniądze, troszcząc się o dziecko. Kobieta nie wiedziała nic o pochodzeniu małej. O to zadbałem szczególnie starannie. Poprosiła też, czy mogłaby nadać dziewczynce imię po swojej matce.

– I oczywiście zgodziłeś się? – powiedział Jean.

– Tak. I, dzięki Bogu, mój wybór okazał się właściwy – wysapał Jacques. – Tak naprawdę, kiedy dziewczynka skończyła pięć lat, kobieta odmówiła już przyjmowania pieniędzy. Jej mąż wrócił i warunki im się poprawiły. Powiedziała, że kocha to dziecko i dziwnie się czuje, że ktoś jej za to płaci. Jestem szczęśliwy, że wybrałem odpowiednią osobę. Emilie, dziecko twojej ciotki trafiło do najbardziej szczęśliwej, kochającej rodziny, jaką tylko można sobie wymarzyć.

– Dziękuję ci z całego serca, również w imieniu mojej ciotki i ojca za to, co zrobiłeś, Jacques – powiedziała Emilie i nie mogła się już powstrzymać przed zadaniem drążącego ją pytania – Kim jest to dziecko? Jak się nazywa?

– Na imię ma...

Jacques przełknął nerwowo i spróbował znowu.

– Miała na imię Margaux.

Wszyscy troje siedzieli w milczeniu, starając się pojąć konsekwencje tego, co przed chwilą wyjawiał Jacques.

– Teraz rozumiesz, Emilie – odezwał się wreszcie Jacques – dlaczego tak bałem się wyjawić tożsamość tego dziecka. To przewróciłoby życie Margaux do góry nogami. Przez ponad piętnaście lat pracowała w zamku jako gosposia. Kiedy umarł twój ojciec ta poprzednia, którą na pewno pamiętasz, odeszła. W tym czasie przyjaźniłem się z matką Margaux. Poleciałem jej córkę Valérie, twojej matce.

– Teraz rozumiem, dlaczego sądziłeś, że nie powinieneś nic mówić, tato – odezwał się cicho Jean. – Jak by się czuła Margaux, wiedząc, że tak długo pracuje dla de la Martinièresów, a tak naprawdę jest jedną z nich?

– No właśnie – przyznał Jacques. – Ale teraz, oczywiście, Margaux już nie ma wśród nas, a na naszym progu, jak powracający do domu gołąbek, wylądował Anton. I staliście się sobie nawzajem bardzo bliscy... – Jacques skinął w kierunku Emilie. – Dlatego musiałem ci powiedzieć. Chłopiec, który właśnie pakuje się, by pojechać z tobą do twojego domku, to tak naprawdę syn twojej siostry ciotecznej, która została wykluczona z rodziny.

Emilie słuchała, jak Jean, dociekliwy jak zawsze, wypytuje o szczegóły. Teraz zrozumiała... zrozumiała, dlaczego wszystko w tym chłopcu wydawało jej się takie bliskie... w ich żyłach płynęła krew de la Martinièresów. Nic dziwnego, że przebiegł ją dreszcz, kiedy zobaczyła Antona siedzącego na podłodze w bibliotece i czytającego książkę, dziecko o delikatnych rysach i ciemnych włosach. To nie do swojej babci był podobny, ale do jej brata, Édouarda.

– Emilie – ciągnął Jacques. – Postanowiłem, że tobie zostawię decyzję. Od ciebie zależy, czy wyjawisz Antonowi jego pochodzenie. Wielu powiedziałooby, że to już nie ma znaczenia i może tylko okazać się dla niego ciężarem. Ale Anton Duvall jest jedynym poza tobą żyjącym potomkiem rodu de la Martinièresów.

Zapadło milczenie. Emilie słyszała tylko świergot ptaków szykujących się na zachód słońca.

– Niezależnie od tego, czy Anton to syn mojej gospodyni, czy mój krewny, moja decyzja, żeby zaproponować mu mieszkanie u siebie, byłaby taka sama – oznajmiła wreszcie, nachylając się i poklepując kolano staruszka. – Jacques, chcę powiedzieć ci dwie rzeczy. Po pierwsze, nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy sposób wykorzystania prezentu od mojego ojca, niż to, że zapewniłeś jego siostrzenicy bezpieczne dzieciństwo. A po drugie, tak bardzo się cieszę, że zaufałeś mi na tyle, by wyjawić prawdę. Ale musisz też wiedzieć, że dla mnie pokrewieństwo z Antonem to tylko jeszcze jeden bonus. Stał mi się bliski od pierwszego wejrzenia. – Uśmiechnęła się. – Naprawdę, Jacques, dzięki tobie jestem dziś taka szczęśliwa. Mam nadzieję, że kiedyś zdołam ci się za to zrewanżować.

– Emilie, Emilie... – Jacques wyciągnął do niej rękę i uściśnął jej dłonie. – Może los tak chciał, śmierć Margaux okazała się smutnym rozwiązaniem mojego dylematu. Anton ma dom, a ty staniesz się dla niego czułą matką. Édouard stracił zdolność do współczucia w pewnym momencie podczas wojny, jak wielu jego rodaków. Ty nie trać nigdy swojej wrażliwości, dobrze?

– Nie, nie stracę. Przysięgam – powiedziała z przekonaniem.

– Życie jest zbyt krótkie na nienawiść i zapiekłe urazy. Kiedy napotykasz coś dobrego, łap to obiema rękami. – Jacques uśmiechnął się do niej błodo.

– Dobrze – odparła. – Obiecuję.

– Możemy już jechać?

Wszyscy troje obejrzeni się i zobaczyli Antona. Stał z małą walizką w ręku. Był zdezorientowany, najwyraźniej wyczuł napięcie wiszące w powietrzu.

– Lepiej, żebyśmy dotarli do domu, nim zrobi się ciemno, Emilie – powiedział cicho.

– Tak. – Emilie wstała i wzięła Antona za rękę. – Jedźmy, póki widno.

•••

Kiedy Anton rozpakował się w swoim pokoju i położył się już spać, Emilie wcale nie czuła zmęczenia. Była w euforii. Zastanowił się jeszcze, czy i kiedy powiedzieć Antonowi o jego pochodzeniu. Najważniejsze, by teraz czuł się kochany i potrzebny. Był bardzo bystrym chłopcem. Gdyby powiedziała mu już dziś, że jest jej krewnym, mógłby pomyśleć, że tylko dlatego zgodziła się go przygarnąć. Chciała poczekać, aż poznają się lepiej i chłopiec nabierze do niej większego zaufania, zanim wyjawি mu coś więcej.

Włączyła komputer i przeczytała raz jeszcze e-mail od Alexa. Potem wstała, tak bardzo podminowana, że nie potrafiła usiedzieć na miejscu.

– Ja też za tobą tęsknię – powiedziała w kierunku laptopa, krążąc po pokoju. – I to bardzo – dodała dla pewności. – Tak naprawdę, więcej niż bardzo.

Zatrzymała się nagle. Czy ona kompletnie zgłupiała?

Może. Jeśli do tej pory budowała jakieś relacje z Alexem, to, łagodnie mówiąc, w bardzo skomplikowanych okolicznościach. Ale na myśl o nim robiło jej się dziwnie w brzuchu i to wrażenie miała od tak dawna, że już nawet nie pamiętała, kiedy było inaczej. I to nie miało.

Znów zaczęła krążyć... Oczywiście, to może być totalna porażka, ale czemu nie? Nic nie jest na zawsze, jak się boleśnie przekonała w ostatnich miesiącach. Życie może zmienić się w jednej chwili. To co by szkodziło spróbować? Jeśli nauczyła się czegoś od przeszłości czy ostatnich zdarzeń, to tego, że szansa trafia się tylko raz. I prosi, i błaga, żeby z niej skorzystać, rozpoznać, co dobre, a odrzucić, co złe. Tak jak mówił Jacques...

Emilie ziewnęła nagle i padła na kanapę jak szmaciana lalka. Pomyśli o tym jutro i jeśli w chłodnym świetle poranka nadal będzie czuła to samo, to napisze e-mail. Z tym postanowieniem zwłokła się z kanapy i poszła spać.

Do: aecarruthers@blackhall.co.uk

Od: edlmartinieres@orange.fr

Czwartek

Drogi Alexie,

dziękuję za Twój e-mail. Pomyślałam, że od razu do Ciebie napiszę i dam Ci znać, co się stało z tomem pierwszym. Dość powiedzieć, że nie ma go już w zbiorach de la Martinièresów, ale to długa historia, którą powinnam opowiedzieć Ci osobiście. Mogę tylko zdradzić, że ta książka pozwoliła kupić bezpieczeństwo członka mojej rodziny i nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy sposób wykorzystania jej. Cieszy mnie też, że poszukiwania Sebastiana od początku nie miały sensu i że pieniądze ze sprzedaży książki posłużyły dużo ważniejszej sprawie niż zaspokojenie jego chciwości.

Po drugie, zdaje się, że adoptowałam dziecko. To dwunastoletni chłopiec, ma na imię Anton, i to, znów, dużo dłuższa i skomplikowana historia. Po trzecie,

jeśli chodzi o Twoje rozterki, co robić dalej, to zastanawiam się, że może przydałoby Ci się trochę czasu do namysłu i miejsce, gdzie mógłbyś się nad tym zastanowić z dalszej perspektywy. Mój wynajęty dom jest mały, ale wszystko mieści się na jednym poziomie i mam jeden wolny pokój. Wokół nie ma zbyt wielu ludzi, tylko winogrona, mam jednak nadzieję, że może towarzystwo Antona i moje Ci wystarczy.

Daj znać, czy dasz radę przyjechać. Bylibyśmy tu razem – trzy sieroty!

Też za Tobą tęsknię,

całuję, całuję, całuję

E

Do: edlmartinieres@orange.fr

Od: aecarruthers@blackhall.co.uk

Najdroższa Em,

dziękuję za zaproszenie. Przylatuję w poniedziałek do Nicei o 13.40. Jeśli nie możesz mnie odebrać (i mój wózek inwalidzki!), daj znać, proszę.

Bardzo cieszę się na to spotkanie i, oczywiście, na to, że poznam Antona.

całuję, całuję, całuję, całuję

A

P.S. Dzięki Bogu nie muszę już za Tobą tęsknić, tylko czekam niecierpliwie na to, że się zobaczymy.

To życie we mnie

*Ślepo staram się ciebie chronić
wiedząc, że we mnie jesteś,
poczęte z miłości, o duszy przeczystej,
zostaniesz, kim tylko zechcesz.*

*Dać swoje ciało ci muszę,
w nim nowe życie powstaje i rośnie.
Będziemy kiedyś wolni,
wyjdziemy z ukrycia radośni.*

*Wiedz, że stworzyła cię miłość
promienna jak jasne słońce,
niczego się nie obawiaj, kochanie,
opowiem ci o ojcu.*

*Nie widzę siły, która cię stworzyła,
ni serc bijących równo, pewnie,
a jednak czuję cię, więc widzę
dziecko, moje dziecko we mnie.*

Sophia de la Martinières
maj 1944 roku

Epilog

Rok później

Emilie otworzyła drzwi frontowe zamku na oścież. Anton pomógł przeprowadzić wózek Alexa przez próg na pusty, dudniący echem korytarz, gdzie stała tylko oparta o ścianę drabina jednego z malarzy, potrzebna, żeby położyć ostatnią warstwę farby.

– Ojej – powiedział Anton, patrząc na sufit. – Chyba zrobiło się to wszystko większe.

– To dlatego, że jest świeżo pomalowane na białą, a przez wiele tygodni widać było tylko tynki – wyjaśniła Emilie.

Popatrzyła w dół na posadzkę i skinęła głową z zadowoleniem.

– Dobrze się spisali, odnawiając marmur. Strasznie by mi było żal, gdyby trzeba było to zmienić.

– Tak – przyznał Alex, podążając za jej wzrokiem. A potem spojrzał na schody i dodał: – Trochę się martwię, że ten paskudny system, który pozwala wjeżdżać w fotelu na górę, może nie za bardzo pasować do tak eleganckiego wnętrza.

– No i właśnie dlatego tu jesteś. – Emilie mrugnęła do Antona. – Pokażemy mu?

– Tak! – Oczy Antona błyszczały z niecierpliwości. – Jedź za mną.

Poprowadził Alexa odbijającymi echo korytarzami i przez pokoje, w których wciąż panował remontowy bałagan – bo prace wewnątrz miały potrwać jeszcze kilka miesięcy – aż dotarli na tyły domu, do holu przy kuchni. Anton ustawił wózek Alexa przed drzwiami i przycisnął guzik na panelu. Drzwi rozsunęły się cicho.

Alex zajrzał do środka.

– To winda.

– Tak, panie detektywie. – Anton się uśmiechnął. – I to moja ulubiona nowa zabawka. Przejedziemy się?

Kiedy byli w środku, Anton przyciskiem zamknął drzwi, a Alex podniósł wzrok na Emilie. Jego oczy zaszkliły się łzami.

– Dziękuję – szepnął.

– Nie dziękuj, ten dźwięk jest dla mnie, kiedy będę za stara, żeby chodzić po schodach. – Uśmiechnęła się. – I na wypadek gdybyś chciał zostać tu nieco dłużej.

To zdanie stało się ich stałym żartem. Alex przyjechał rok temu i choć nie snuli żadnych planów na temat wspólnej przyszłości, to żadne z nich nie myślało o rozstaniu. Żyli z dnia na dzień, nie czuli, że powinni sformalizować swój związek, a jednak wiedzieli, że z każdym miesiącem są sobie coraz bardziej bliscy i potrzebni.

Alex i Anton tworzyli towarzystwo wzajemnej adoracji, co było widoczne od początku. Bystry, dociekliwy umysł Antona działał pobudzająco na intelekt Alexa i Emilie wiedziała, że to korzystne dla obu stron. Ich osobliwa mała rodzina mogłaby się wydawać innym dziwna, ale ich trójka odnalazła w niej szczęście, radość i spokój zarazem.

Anton nadal nic nie wiedział o swoim prawdziwym pochodzeniu, ale wkrótce jego relacje z Emilie miały być oficjalnie zatwierdzone – Anton zostanie adoptowany, dzięki czemu będzie mógł nosić należne mu nazwisko i pewnego dnia odziedziczyć zamek. Kiedy to już się stanie, także Emilie i Alex będą mogli zalegalizować swój związek, ale Emilie się nie spieszyła. Było idealnie tak, jak jest.

Obserwowała pełną emocji twarz Antona, kiedy drzwi się znów rozsunęły i wszyscy troje znaleźli się w przestronnym holu.

– Dobry Boże! – zawołał Alex. – Mogłabyś tu pomieścić centrum handlowe i parking na dwieście aut – zażartował, kiedy Emilie skinęła na Antona, żeby skręcił z nim w lewo.

– Myślałam, że to mógłby być nasz pokój – powiedziała Emilie, kiedy Anton wiozł Alexa przez starą piękną sypialnię jej rodziców do sąsiedniego pomieszczenia. Kiedyś była tu garderoba Valérie, teraz przerobiono ją na łazienkę dla osoby niepełnosprawnej, ze wszystkim co potrzeba, żeby Alex miał swoją upragnioną niezależność.

– Jeszcze nie położyli tu kafelków. Pomyślałam, że pewnie chciałbyś wybrać sobie kolor i wzór – dodała.

– To cudownie, kochanie, dziękuję. – Alexowi aż zabrakło słów, tak bardzo był wzruszony, że Emilie zadała sobie tyle trudu ze względu na niego.

– I nie, nie musimy dzielić się łazienką. – Uśmiechnęła się. – Moja garderoba i łazienka są tam. – Wskazała, gdy Alex podjeżdżał z powrotem na środek sypialni. – Podoba ci się widok?

– Po prostu niesamowity.

Alex popatrzył przez długie okna na ogród i winnice ciągnące się aż po majaczące w oddali wzgórza, na którym leży Gassin.

– Od dawna już nie patrzyłem na nic z góry – powiedział cicho, lekko ochryplym z emocji głosem.

– Alex, chodź, pokażę ci mój pokój – wtrącił Anton. – Emilie powiedziała, że przed malowaniem mogę wybrać kolor, jaki tylko zechcę, byle nie czarny.

Emilie uśmiechnęła się, patrząc, jak opuszczają sypialnię. Została sama. Spojrzała w okno, obserwując wpadające przez nie światło. Dwa lata temu umarła tu jej matka i teraz, rozkoszując się widokiem, miała mieszane uczucia. Myślała o swoim ojcu. Po stracie tych, których kochał, zamknął się w sobie. Chował się przed światem w bibliotece przez prawie całe jej dzieciństwo.

Zaczynała też lepiej rozumieć matkę. Po przeczytaniu jej listów miłosnych do męża zdała sobie sprawę, jak bardzo Valérie go kochała. Musiała stale walczyć o miłość i uwagę mężczyzny, który był zbyt poraniony, by je dawać. Patrząc wstecz, Emilie uświadomiła sobie, że przez większość swojego małżeństwa Valérie spędzała czas samotnie w Paryżu.

Fakt, że wnuk Sophii wraca do rodziny i że przygarnęła Antona ze zwykłego odruchu serca, wynagradzał w pewnym stopniu krzywdy z przeszłości. Koło się zamknęło i zaczynał się całkiem nowy rozdział.

Emilie odwróciła się i wolno ruszyła do drzwi poszukać Alexa i Antona. Kiedy wyszła z pokoju, zdała sobie sprawę, że gniewna mała dziewczynka, która krzyczała i płakała nad martwym ciałem matki dwa lata temu, nareszcie dorosła.

•••

– Muszę przyznać, że kiedy zobaczyłem moją nową łazienkę, nabrałem ochoty, żeby się tam wprowadzić – powiedział Alex później, kiedy opuszczał boki fotela i wciągał najpierw tors, a potem nogi na łóżko, kładąc się obok niej.

– Kierownik budowy mówi, że potrzebują jeszcze najwyżej trzech miesięcy, więc na pewno jesienią zamieszkamy już w zamku i spędzimy tam nasze pierwsze święta Bożego Narodzenia – odparła Emilie.

– A przy okazji – wtrącił Alex – dostałem e-mail od moich prawników. Seb znalazł kupca na Blackmoor Hall. Na pewno jest zachwycony. I na pewno spróbuje

mnie oszukać, i nie da mi należnej części. – Uniósł brwi. – Mój prawnik twierdzi, że hipoteka domu została obciążona na trzysta pięćdziesiąt tysięcy funtów, to stan obecnego zadłużenia Sebastiana. Dałbym sobie rękę uciąć, że cokolwiek ponad to Seb uzyska ze sprzedaży, rozpuści w rok. Dobrze, że przynajmniej Bella zna go jak łysego konia. Musi go kochać. Inaczej by z nim nie wytrzymała. À propos, masz jakieś wiadomości od adwokata w sprawie rozwodu?

– Nic poza tym, że Sebastian postawił jeszcze bardziej szalone żądania – odparła Emilie. – Oczywiście nie dostanie tego, czego chce, ale prawie mam ochotę mu zapłacić, żeby się wreszcie odczepił. Honoraria prawników będą w końcu kosztować więcej niż ugoda.

– Na pewno moja obecność w tej układance niespecjalnie pomogła. – Alex westchnął. – Domyślam się, że Sebastian zdołał umniejszyć swoje winy, opisując cię jako latawicę, a mnie jako kanalię i chama, który sprzątnął mu żonę sprzed nosa.

– Najprawdopodobniej. – Emilie umilkła na chwilę, nim dodała: – Alex, jest coś, o czym ci nie wspomniałam. Zaprosiłam kogoś. Przyjeżdża jutro. W tamtym momencie byłam pewna, że to dobry pomysł, ale teraz... teraz bardzo się martwię – przyznała.

– No to lepiej mi powiedz – zasugerował Alex.

•••

Jacques drzemał przy kominku, kiedy usłyszał samochód podjeżdżający pod dom. Trwała długa, mroźna zima i znowu złapał bronchit. Zastanawiał się, jak co roku, czy dożyje do następnego lata.

Usłyszał, jak drzwi kuchni się otwierają, i przypomniał sobie, że Emilie miała przyjechać z przyjacielem na lunch. W pokoju dziennym pojawił się najpierw Jean.

– Tato, nie śpisz?

– Nie. – Jacques otworzył oczy, kiedy syn do niego podszedł.

– Tato. – Jean wziął go za rękę. – Emilie przywiozła kogoś do ciebie.

– Witaj, Jacques – powiedziała Emilie, prowadząc ze sobą gościa.

Jacques patrzył na przybyłego. To był stary człowiek, jak on. Wysoki, o wyprostowanej sylwetce, elegancki.

– Jacques – odezwał się mężczyzna – pamiętasz mnie?

Mówił po francusku z silnym obcym akcentem. Wydawał się zdecydowanie znajomy, choć Jacques nie potrafił skojarzyć tej twarzy.

– Minęło ponad pięćdziesiąt lat, odkąd staliśmy razem w tym pokoju – dodał gość.

Jacques przypatrywał się niebieskim oczom. Wyblakły, ale spojrzenie nadal było przenikliwe. I w końcu dotarło do niego, kto to jest.

– Frederik?

– Tak, to ja.

– Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć!

Jacques odepchnął dłoń syna i bez pomocy podniósł się z fotela. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, łączyło ich tyle wspomnień. Potem Jacques wyciągnął ręce do Niemca i uściskali się na powitanie.

• • •

Alex przyjechał z Antonem do winnicy po lunchu, tak jak prosiła Emilie. Ostatnio kupił sobie specjalnie przystosowany samochód, kierowany tylko rękami, co zrewolucjonizowało jego życie i dało mu pewną autonomię, choć ograniczoną do krótkich podróży, i to w towarzystwie Emilie lub Antona.

Anton wyjął wózek inwalidzki z tyłu auta i podprowadził Alexowi.

– Kim jest ten ktoś, kogo Emilie chce, żebym poznał? – zapytał, kiedy pomagał Alexowi wsiąść.

– Myślę, że zostawmy to jej. Sama ci wyjaśni – odparł Alex.

Kiedy dotarli do kuchni, Anton zobaczył, że Emilie, Jean, Jacques i jeszcze jeden starszy pan piją kawę przy kuchennym stole.

– Dzień dobry – przywitał się nieśmiało.

Emilie natychmiast wstała, podeszła do niego i objęła go ramieniem.

– Anton – powiedziała, patrząc, jak oczy Frederika napełniają się łzami na widok chłopca. – To twój dziadek, Frederik. I jeśli jesteś na to gotów, opowie ci o twojej rodzinie...

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla Jeremy'ego Trevathana, Catherine Richards i zespołu Pan Macmillan, a także dla Jonathana Loyda, Lucii Rae i Melissy Pimentel z Curtis Brown. Dla Olivii Riley, mojej asystentki, Jacquelyn Heslop, Susan Grix i Richarda Jemmetta. Dla Susan Boyd, Sama Gurneya, Helene Ruhn, Rity Kalagate, Almuth Andreae, Johanny Castillo i Judith Curr, każde z nich to przyjaciel i źródło nieocenionych rad, zarówno osobistych, jak i merytorycznych.

Dziękuję Damienowi i Anne Rey-Brot, ich przyjaciółom i rodzinie w Le Pescadou w Gassin, Tony'emu Bourne'owi i *monsieur* Chapelle z Domaine du Bourriane, których nazwisko, zamek i winnica zostały wypożyczone przez Constance i inne postaci z powieści, zanim dowiedziałam się, że taka rodzina i jej piękny dom naprawdę istnieje. Weszłam w świat swojej fikcyjnej historii i to magiczne doświadczenie nauczyło mnie pokory. Dziękuję Wam wszystkim za szczegóły, jakie mi podaliście. Wszelkie pomyłki wynikają na pewno z mojej winy, nie z Waszej. Dziękuję też Janowi Goessingowi, który przedstawił mi barwną historię przedwojennych Niemiec, i Marcusowi Tyersowi, Naomi Ritchie i Emily Jenkins w St Mary's Bookshop w Stamford, które uprzejmie wybrały dwa bardzo stare i cenne tomy wydane we Francji: to na nich oparłam pomysł powieściowych białych kruków.

Dziękuję wszystkim swoim wspaniałym zagranicznym wydawcom, którzy zapraszali mnie do swoich krajów i witali z otwartymi ramionami. Podróże i stykanie się z różnymi kulturami są pożywką dla mojej wyobraźni, dzięki nim poznaję miejsca, w jakich mogę osadzić akcję przyszłych powieści.

Oczywiście, dziękuję też Rodzinie, której wsparcie i zachęta w zeszłym, gorączkowym roku były dla mnie nieocenioną pomocą. Moim dzieciom: Harry'emu za odkrywcze uwagi i pouczenia redaktorskie, Belli za wstępne dyskusje na temat fabuły i nadanie imion głównym bohaterom, Leonorze za piękny wiersz, jaki napisała dla mnie jako rówieśnica Sophii, i Kitowi za to, że jest w domu klientem numer jeden Amazona... w dziedzinie sportu! Mojej matce, Janet,

dziadkowi Johnsonowi, mojej siostrze Georgii i mojemu mężowi, Stephenowi, który był po prostu niesamowity.

No i w końcu dziękuję wszystkim swoim czytelnikom na świecie, którzy wydają ciężko zarobione pieniądze na moje książki. Bez Was byłabym bardzo nieszczęśliwą pisarką bez odbiorców. To dla mnie zaszczyt, że chcecie czytać historie, które tworzę. Dziękuję Wam.

Lucinda Riley, maj 2012 roku

Bibliografia

Tajemnice zamku to powieść, której fikcyjna akcja rozgrywa się na tle prawdziwych zdarzeń historycznych. Podaję listę źródeł, które pozwoliły mi lepiej poznać tamte czasy i okoliczności, w jakich mogli znaleźć się moi bohaterowie:

Lucie Aubrac, *Outwitting the Gestapo*, Bison Books, 1994.

Matthew Cobb, *The Resistance: The French Fight Against the Nazis*, Pocket Books, 2009.

Squadron Leader Beryl E. Escott, *The Heroines of SOE: F Section: Britain's Secret Women in France*, The History Press, 2010.

Hans Fallada, *Alone in Berlin*, Penguin, 1994; tłum. polskie: *Każdy umiera w samotności*.

Anna Funder, *All That I Am*, Viking, 2011.

Sarah Helm, *A Life in Secrets: The Story of Vera Atkins and the Lost Agents of SOE*, Abacus, 2006.

John Van Wyck Gould, *The Last Dog in France*, Author-House, 2006.